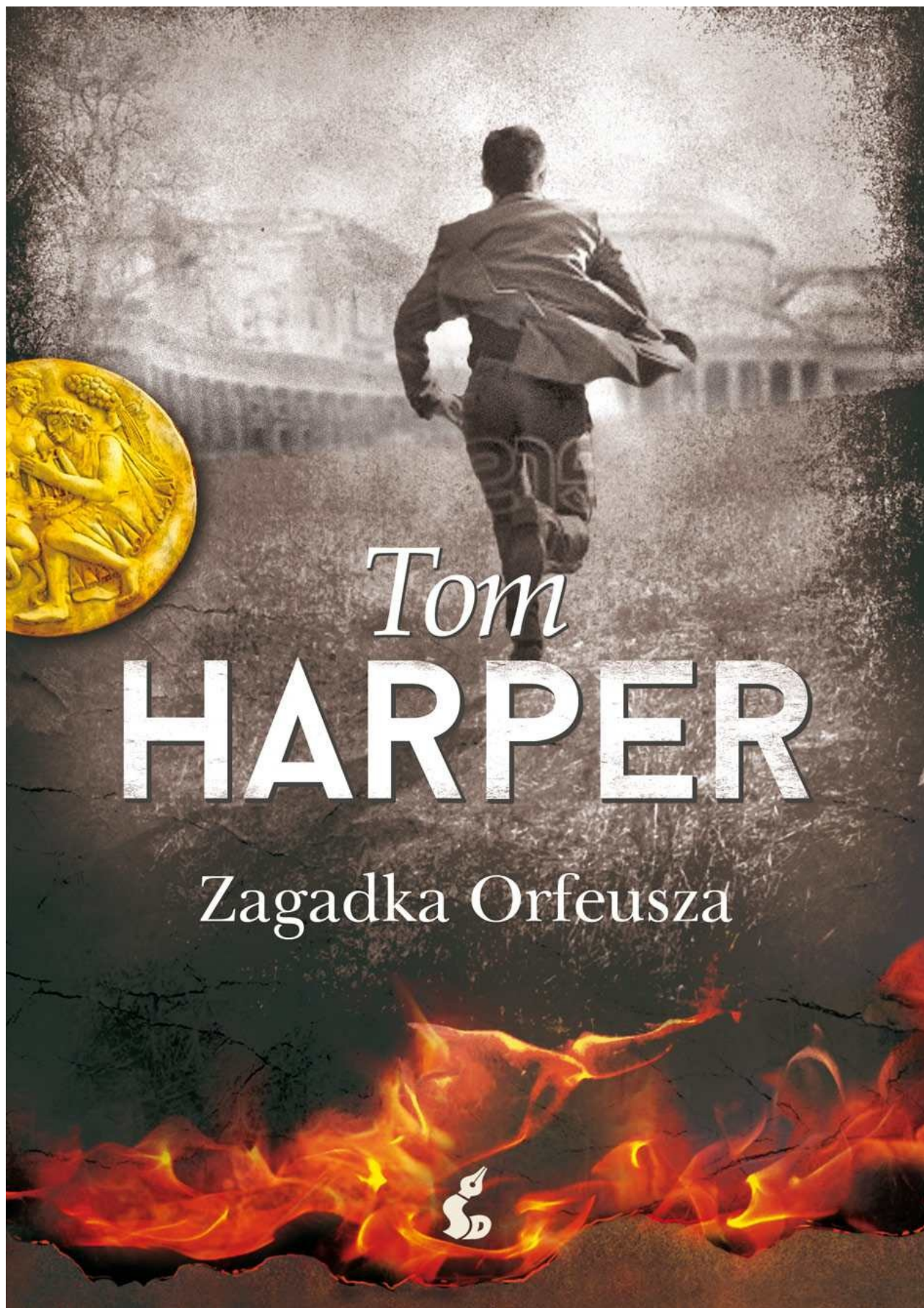


Tom
HARPER

Zagadka Orfeusza





Tom
HARPER

Zagadka Orfeusza



Tom
HARPER

Zagadka Orfeusza

Z języka angielskiego przełożył
Zbigniew Kościuk



Tytuł oryginału:
THE ORPHEUS DESCENT

First published in the English language
by HODDER & STOUGHTON LIMITED

Copyright © Tom Harper 2013

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Vavoq (Wociech Wawoczny)

Zdjęcia na okładce: © Shutterstock/beeboys

© Shutterstock/Pres Panayotov

© Shutterstock/elen_studio

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Magdalena Świtała

ISBN: 978-83-7999-587-5

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo



konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Podziękowania

*Matthew,
pięknu i prawdzie*

Nikt przy zdrowych zmysłach nie podejmie się wyrażenia słowami swoich najgłębszych myśli, a cóż dopiero ich spisania.

Platon, *List VII**

* Wszystkie cytaty z literatury klasycznej w przekładzie własnym (przyp. tłum.).

Wyobraźcie sobie jaskinię, w niej zaś ludzi – wszyscy z obrozą na szyi i w łańcuchu tak ciasnym, że nie mogą się poruszyć ani nawet odwrócić głowy. Za ich plecami płonie ognisko, którego nie są w stanie zobaczyć, przed ogniem tańczą kukielki. Więźniowie widzą jednak tylko cienie rzucane na kamienną ścianę.

Siedzą tak całe życie i myślą, że cienie to rzeczywistość. Skąd bowiem mogliby wiedzieć, że jest inaczej?

A teraz pomyślcie, co by się stało, gdyby jeden z nich uciekł?

Ja nie muszę sobie wyobrażać jaskini, ponieważ już w niej siedzę. Nie ma tam ogniska ani słońca, jedynymi cieniami są zaś obrazy mojego umysłu.

Twarda posadzka rani mi kości, skalny występ wpija się w czaszkę, ale ból w końcu słabnie. Kamień mnie wciąga, ciepło ciała powoduje, że się z nim stapiam.

Zstąpiłem do podziemi...

Poeci śpiewają o ciszy panującej w grobie, gdy się w nim jednak znalazłem, doszedłem do wniosku, że zostałem pięknie oszukany. W grobie nie ma ciszy. Kapanie wody przypomina bicie serca. Syk kamienia przenika uszy – słyszę muzykę ziemi wirującej wokół własnej osi.

W lśniącej kuli widzę wspaniałe miasto jaśniejące na wysokiej skale akropolu. W zatoce za murami zakotwiczył drewniany statek z jaskrawymi czerwonymi oczyma i statek żelazny, którego oczy zasnuła rdza. Statek z żelaza nie ma żagli. To nawa umarłych.

Słyszę ciszę, mój wzrok przenika ciemności. Przebywam na jawie, a jednocześnie śnię. Jestem martwy, choć nigdy wcześniej nie byłem równie ożywiony.

W suchym powietrzu wyczuwam absurdalną woń dojrzałych fig. Bogini musi być w pobliżu.

Zszedłem do Pireusu. Widzę wszystko tak wyraźne, jakby wydarzyło się wczoraj.

Rozdział 1

Pod żadnym pozorem nie wolno pozwolić, aby ludzie poniżej czterdziestego roku życia podróżowali do obcych krajów.

Platon, *Prawa*

ATENY, 389 ROK PRZED NASZĄ ERĄ

Wczoraj szedłem do Pireusu z moim bratem Glaukonem. Rzekłem mu, że marnuje czas, ale się uparł.

O poranku zbudziły mnie dźwięki fletów. Dobiegały końca najbardziej wystawne uczy – muzycy grali ostatnią pieśń, a utrudzeni goście przywdziewali szaty i wlekli się ulicami. Krople deszczu lizały powietrze. Ciemny obłok zawisł nieruchomo nad najświetniejszym miastem świata.

Zamarudziłem chwilę we wschodniej bramie, aby spojrzeć na nie ostatni raz. Obywatelskie Ateny odwróciły się do mnie plecami: agora, gmachy sądów, budynek zgromadzenia i więzienie ukryły się za plecami akropolu. Pozostał jedynie Partenon, górujący nad miastem niczym marmurowa zjawa pośród chmur.

Na chwilę słodka melancholia zagłuszyła moje troski. Zmówiłem cichą modlitwę, próbując zapamiętać ten moment, zabrać go ze sobą w daleką podróż.

– Przypatrz się dobrze – powiedział Glaukon. – Zażękniesz za tym widokiem, kiedy wyjedziesz.

Odwróciłem się w drugą stronę. Z bramy łypał na mnie sześćdziesięciocentymetrowy bożek z wzwiedzionym członkiem długości dziewięćdziesięciu centymetrów. Glaukon splunął w dłoń i dotknął jego hermy, żeby zapewnić sobie szczęście.

– Przynajmniej on jest rad, że wyjeżdżasz.

Spojrzałem nań z gniewem, ponieważ zniszczył piękną chwilę lichym żartem. Twarz Glaukona spochmurniała, jakbym go zranił tym, że poczułem się urażony jego słowami. Między nami pojawił się dystans.

Rozciągająca się za miejską bramą droga do Pireusu przypominała prosty korytarz o ścianach upstrzonych graffiti, wytyczony między ziemią niczyją a nadaniami i grobami. Wyglądała jak więzienny dziedziniec, szczególnie w dni, gdy kaci uwijali się za północnym murem, wrzaski skazanych podążały zaś za przechodami aż do morza. O tak wczesnej porze jednak oprawcy jeszcze spali, droga zaś była niemal pusta. W oddali majaczyły jedynie cienie moich nielicznych towarzyszy podróży.

Była to samotna wędrówka, jeśli bowiem nawet rabusie i złodzieje płaszczy czaili się wśród grobów, zostawili nas w spokoju. Potomkowie Arystydesa byli znani z roślej budowy. Chociaż obaj dobiegaliśmy czterdziestego roku życia, w Glaukonie można było dostrzec bohatera wojennego, we mnie zaś zapaśnika. Sokrates nazywał nas Poluksem i Kastorem – boskimi braćmi, zapaśnikiem i jeźdźcem. Najlepszymi z jego uczniów.

Poczułem skurcz w klatce piersiowej, jak zawsze wtedy, gdy o nim pomyślałem. Mimo upływu dziesięciu lat absurdalność jego śmierci nadal odbierała mi oddech. Po odejściu Sokratesa Ateny opustoszały – powinienem był wyjechać wiele lat temu, gdyż w tym mieście zabiegano jedynie o dzielność.

Glaukon spojrział w niebo i zawyrokował:

– Nadciąga burza. Zły to dzień na wypłynięcie w morze.

Przyspieszyłem kroku. Trzy noce z rzędu śniłem ten sam sen: tonąłem, pogrążałem się w otchłani, z której nie mogły się wydostać nawet moje krzyki.

Ociągałem się z wyruszeniem w tę podróż.

Ateńczycy nigdy nie byli łatwymi kompanami dla świata. Jesteśmy wyjątkowymi ludźmi, którzy dobrze się czują jedynie we własnym gronie. Nawet nasze przelotne dążenia zmierzające do stworzenia imperium wydają się zabarwione solipsyzmem, stanowią próbę przyłączenia świata do Aten przez ukształtowanie go na własne podobieństwo. W innych czasach trzymaliśmy świat na odległość wyciągniętego ramienia.

Na końcu tego ramienia znajdował się Pireus – ateńska dłoń powstrzymująca świat lub wyciągnięta ostrożnie na jego powitanie. W Pireusie mieszkają przedstawiciele wszystkich narodów: smagli Kartagińczycy nieustannie trajkoczący w swoim języku, chytry i zalatujący serem Sycylijczycy, przypominający niedźwiedzie przybysze z kolonii na wybrzeżu Morza Czarnego i Egipcjanie, w których można dostrzec pierwiastek wieczności nawet wtedy, gdy próbują utargować trzy miedziaki na beli płótna. Kury dziobały ziarno, które spadło z wozów wiozących pszenicę do Aten, kiedy kurtyzany oddające się za dwa obole próbowały odciągnąć mężczyzn od ich zajęcia. Kilka z nich chciało zwabić mnie i Glaukona. Mimo swojego wieku zauważyłem, że się rumienię i nie wiem, gdzie zwrócić oczy.

– Może ukołoby to twoje nerwy? – zasugerował Glaukon. – Wyglądasz, jakbyś już cierpiał na chorobę morską.

Nie mogłem zaprzeczyć. Wśród obcych woni unoszących się w powietrzu wyczułem słonawą nutę morza. Zapach powodował, że przewracało mi się w żołądku. Ponownie pożałowałem, że nie mogę zrezygnować z podróży.

Moja dłoń przesunęła się w kierunku pasa, dotykając torby, w której spoczywał list Agatona. Musiałem jechać.

Szliśmy dalej, mijając emporium i świątynię trackiej bogini Bendis. Wypalone

drzewce pochodni zaścięłały drogę procesji, która przeszła tędy minionej nocy. Zamiatacze ulic krzatali się z miotłami, sprzątając podeptane wianki i odłamki potłuczonych naczyń, które pozostały po święcie ku jej czci.

W końcu naszym oczom ukazała się zatoka.

Każdy, kto spogląda na morze, widzi w nim, jak mniemam, zwierciadło otwierających się możliwości. Kupiec dostrzega zysk, admirał – chwałę, bohater zaś – przygodę. Dla mnie morze było czarną paszczą, nieodgadnioną i przepastną. Statki zakotwiczone wokół basenu portowego przypominały zęby, a żółta piana i ścieki oblepiające pale wydawały się śliną. Najgorsza ze wszystkiego była jednak woda. Jej wezbrane fale otworzyły się przede mną i wciągnęły w nocny koszmar. Ziemia zakołysała się pod stopami. Na mojej twarzy pojawiły się kropelki potu.

Glaukon chwycił mnie za ramię.

– Czujesz się słabo?

Zaprzeciłem skinieniem głowy i siłą woli odwróciłem uwagę od wody. Za stoą dostrzegłem dach świątyni Afrodyty, niczym wdowi szpic.

– Może przed wypłynięciem powinienem zmówić modlitwę do bogini?

Nie uwierzył mi.

– Nie wystarczy podróż do Delf? Zapomniałeś o baranie, którego wczoraj ofiarowaliśmy Posejdonowi?

Nie zapomniałem. Zwierzę się zakołysało, gdy polałem mu łeb wodą, nóż kapłana błysnął w powietrzu, przyprowadzając mnie o mdłości. Krew trysnęła do basenu, wnętrzności poczęły się zaś wić niczym sterta węgorzy.

– Kapłan zapewniał, że znaki są pomyślne – przypomniał Glaukon. *Usta mu zadrżały, kiedy to mówił.* – Jeśli nie podoba ci się wyrocznia augura, może powinieneś zostać.

Zaryzykowałem kolejne spojrzenie na zatokę. Jej obraz się rozplynął, ujrzałem jedynie statki.

– Chodźmy!

Odnalazłem swoją nawę zakotwiczoną przy wschodnim nabrzeżu Sycylijszyków, w najbardziej ruchliwej części portu. Statek obserwował mnie parą czerwonych oczu wymalowanych na dziobie tuż ponad linią wody, gdy niewolnicy umieszczali dzbany z oliwą we wnętrzu jego brzucha. Niestrzeżona sterta bagaży leżała na brzegu przy trapie.

Glaukon podniósł rzeczy, które wczoraj dostarczono wozem.

– To twoje?

– Tak, głównie księgi.

– Niewiele zobaczysz z tej Italii, jeśli będziesz trzymać nos w zwoju.

Nie podjąłem próby wyjaśnienia mu, o co chodzi. Glaukon kochał wiedzę, ale

w żadnym wypadku nie zrezygnowałby dla niej z posiłku.

– Nigdy nie widziano Sokratesa z księgą – przypomniał mi Glaukon.

– Nie jestem Sokratesem.

– On nie wyjechałby z miasta. – Jego słowa miały cel, Glaukon zaś wyraźnie do niego zmierzał. – Nigdy nie wyjechał, chyba że wezwały go obowiązki wojskowe. Ateny były dla niego całym światem.

– Nie jestem Sokratesem – powtórzyłem.

– Jesteś pewien, że słusznie postępujesz?

– To zależy, jak rozumiesz słusność...

Przerwał mi tupot stóp dobiegający z za naszych pleców. Szarpnięcie za płaszczomal nie zważyło mnie z nóg. Odwróciłem się i ujrzałem zdyszanego niewolnika z tuniką moką od potu, choć dzień był pochmurny.

– Fileb pragnie, abyś na niego zaczekał – oznajmił, spoglądając na mnie zuchwale.

– Gdzież on jest?

Niewolnik wskazał tłum zgromadzony w stoi. Rzuciłem okiem na trap. Pragnienie uniknięcia spotkania z człowiekiem pokroju Fileba zwyciężyłoby nawet strach przed morzem, ale już ujrzałem krągłą postać kuśtykającą ku nam o lasce. Na jasnych lokach spoczywał przekrzywiony pognieciony wieniec, do policzka przylgnęły zaś męty wina, jakby go kto opryskał. Musiał przybyć prosto z uczty.

Pozdrowił nas, kiedy znalazł się bliżej.

– Synowie Aristona! Wiedziałem, że to wy! – Teatralnie przesunął wzrok z bagażu na statek, aby ponownie skupić go na nas. – Czyżbyście się dokądś wybierali? Wyglądacie tak, jakbyście się szykowali do podróży.

– Ja zostaję. – Glaukon bezlitośnie skinął głową w moją stronę. – On wyjeżdża.

– Dokąd?

– Do Italii.

Fileb cmoknął ustami.

– Oczywiście. Wyborne jedzenie, młodzi chłopcy... Wrócisz dwukrotnie większy, niż jesteś obecnie. – Wymierzył mi kuksańca w brzuch. – Uważaj jednak, co wkładasz do ust, dobrze?

Wzdrygnąłem się, ale Fileb tego nie spostrzegł. Jego niespokojne oczy przesunęły się ponad moim ramieniem, odwróciłem się więc niezgrabnie, żeby zobaczyć, o co chodzi. Na trapie stanął wysoki mężczyzna o bujnej czuprynie, urodziwej twarzy i szacie zarzuconej swobodnie na ramię. Jego śladem podążała gromadka tragarzy, kołysząc się niebezpiecznie pod ciężarem bagaży.

Fileb wytrzeszczył na wpół otwarte oczy.

– Toż to Eufemos! – wykrzyknął. – Ten filozof! – Prychnął. – Zabrał jeszcze większy bagaż od ciebie! Jeśli tak dalej pójdzie, twój statek wywróci się do góry dnem, zanim wypłynie z zatoki.

Zakręciło mi się w brzuchu.

– Eufemos nie jest filozofem – odrzekłem. – To sofista.

– Myśliciel. – Fileb stuknął się w głowę. – Eufemos zajmuje się konkretnymi, przydatnymi rzeczami. Nie rozprawia o pierdzeniu os i tym podobnych kwestiach, jak wasz przyjaciel Sokrates. Eufemos mógłby go nauczyć kilku rzeczy. Kiedy dotrzesz do Italii, będziesz tak pełen jego wiedzy, że ledwie znajdziesz miejsce na jedzenie.

Fileb stał na skraju nabrzeża, z łatwością więc mógłbym go zepchnąć do wody. Wystarczyłoby chwycić za laskę i pociągnąć, a drań zlizywałby pąkle z kadłuba statku. Oparłem dłoń na ramieniu Glaukona, na wypadek gdyby przyszedł mu do głowy podobny pomysł, ponieważ w przeciwieństwie do mnie mógłby go zrealizować.

– Będiesz mieć przynajmniej kompana do rozmowy – powiedział Glaukon.

Zachowałem kamienną twarz, choć jego dowcip nie był mi w smak. Jeśli mogłem się czegoś obawiać bardziej od samotnej wyprawy morskiej, to chyba podróży w towarzystwie człowieka podobnego Eufemosowi.

Jesteś pewien, że słusznie postępujesz? Zignorowanie pytania było rzeczą łatwą, ale udzielenie odpowiedzi, mimo całej mądrości przekazanej przez Sokratesa, uznałem za rzecz niemożliwą. Właśnie dlatego musiałem jechać.

Zawsze podejmę ryzyko, wybierając możliwe dobro wobec pewnego zła – mawiał Sokrates. Miesiąc później wypił cykute.

Kuksaniec w brzuch sprawił, że ponownie znalazłem się na brzegu.

– Rozmarzyłeś się, co? Idę o zakład, że jedną nogą stoisz już w jaskini rozpusty.

– Jadę do przyjaciela.

Fileb chytrze łypnął okiem.

– Oczywiście. – Niemal zgiał się wpół, taki był rad z własnego dowcipu. – Żałuję, że nie mogę popłynąć z tobą.

Zdzielił niewolnika kijem, udając pasterza kóz, po czym podniósł drzewce do góry, torując sobie drogę wśród tłumu. Glaukon powiódł za nim gniewnym wzrokiem.

– Czy na twoim statku nie ma żadnej wolnej koi?

Miło, że o to zapytał. Spojrzałem mu w oczy z wdzięcznością i dostrzegłem, że nadal czają się w nich wątpliwości. Odwrócił głowę.

– Uważaj na siebie. Italia to niebezpieczne miejsce. Poza wybrzeżem nie ma tam niczego, z wyjątkiem pustkowia i barbarzyńców. Nie będę przy twoim boku, aby cię strzec.

Objęliśmy się na pożegnanie. W chwili gdy go dotknąłem, poczułem ukłucie – nie było to uczucie przyjemnej melancholii wywołane opuszczeniem miasta, ale coś bardziej gorzkiego i nieodwracalnego. Obejmowałem go tak długo jak mogłem.

Kiedy się odsunąłem, wcisnął mi coś do ręki – gładki zielony kamyczek wypolerowany przez morze.

– To kamień z rozbitego statku. Jeśli nawa zacznie tonąć, chwyc go, a natychmiast

przeniesie cię na ląd. Przynajmniej tak powiadają.

Ująłem kamyk w palce jak płytkę liry. Oczywiście wiedziałem, że to przesąd, ale tego ranka byłem dziwnie wrażliwy. Niemal czułem magię wibrującą we wnętrzu kamienia jak szarpnięta struna.

– Skąd go masz?

– Kupiłem od wędrowca, kapłana Orfeusza. – Glaukon zaśmiał się z zakłopotaniem.

– Cóż, nigdy nie wiadomo.

– Mam nadzieję, że nie będę go potrzebować.

– Oczywiście. Udanej podróży. Wróc lepszym człowiekiem.

Kiedy postawiłem stopę na trapie, mdłości powróciły z mściwą siłą. Pokład wydawał się toczyć jak butelka, choć statek był przycumowany i się nie poruszał. Nie zapowiadało to nic dobrego. Uchwyciłem się poręczy i spojrzałem w dół nabrzeża, wypatrując Glaukona i zachęty, ale Glaukon zniknął.

Coś uderzyło mnie w tył nogi, omal nie wywracając na pokład. Rozgniewany tragarz warknął, żebym usunął się z drogi. Mało brakowało, a amfora zmiażdżyłaby mi palec.

Zbolały powlokłem się wzdłuż pokładówki w stronę rufy. Cały dygotałem. Usiadłem na pokładzie, czekając, aż fala paniki opadnie.

Jesteś pewien, że słusznie postępujesz?

Sięgnąłem do torby i wyciągnąłem list. Załoga była zbyt zajęta szykowaniem statku do wyjścia w morze, aby zwracać na mnie uwagę. Sofista Eufemos zniknął w środku.

Rozwinąłem i wygładziłem zwój, choć czytałem go tyle razy, że znałem na pamięć każde słowo.

Dowiedziałem się wielu rzeczy, o których nie mogę ci napisać. Niektóre wprawiają cię w zdumienie. Italia to osobliwe miejsce, pełne dziwów i niebezpieczeństw. Nie ma tutaj nikogo, komu mógłbym powierzyć te sekrety.

Tysięczny raz zadałem sobie pytanie: *Jakie sekrety?*

Kiedy ładunek umieszczono pod pokładem, liny się napięły. Słońce podążało swoim torem wokół Ziemi. Popołudniowy wiatr spłynął z gór, trzaskając fałami jak biczem, ale chmury nie uległy rozproszaniu. Morze i niebo zespoliły się w nadciągającej burzy, choć nie stopiły się ze sobą.

Niewidoczny z pokładu barkas wyprowadził nas z zatoki. Statek, jak się wydawało, poruszał się z własnej woli, bez wiosła i żagli. Z lądu spoglądała na nas biała wieża grobowca Temistoklesa, obok której przepływaliśmy.

Poddałem się morzu.

Rozdział 2

BERLIN – CZASY WSPÓŁCZESNE

Przedstawienie rozpoczęło się powoli – szmerem perkusyjnych talerzy przypominającym dźwięk wody w uchu. Szmer wyłonił się niepostrzeżenie ze zgiełku panującego w klubie, rozchodząc się w tłumie, przerywając rozmowy i wywołując milczenie.

Później odezwał się bęben – wolno, czterdzieści uderzeń na minutę – w rytmie śpiącego serca. Stłoczone ciała zaczęły napierać na scenę, żeby być bliżej muzyki. Sala zamieniła się w płuca oddychające w rytm uderzeń bębna.

Jonah wsunął plektron między zęby, poddając się rytmowi. Palce lewej dłoni zastygły na szyjce gitary, gotowe do uderzenia pierwszego akordu. Muzyka ukierunkowała na niego energię tłumu jak wektor, aby poczuł ją w strunach i odesłał z powrotem.

Po chwili do perkusji dołączył kontrabas, dorównując bębnowi, następnie wolno wychodząc na pierwszy plan, jak przyspieszający pociąg towarowy rozkładający ciężar na wszystkie połączenia. Jonah wyjął plektron z ust i umieścił nad strunami. Zamknął oczy. Nie musiał odliczać czasu – wiedział, co nastąpi.

Rytm uległ przyspieszeniu, jak puls człowieka budzącego się do życia. Syntezator rozblysnął nutami lśnącymi jak sproszkowane szkło. Reflektory przesunęły się po sali. W blasku przypominającym księżycową poświatę Jonah dostrzegł smukłą dziewczynę o pociągłej twarzy i długich włosach przewiązanych opaską. Odchyliła głowę do tyłu, otworzyła usta i poruszała się w rytm muzyki. W idealnej harmonii z nim.

Pomyślał o Lily. *Jeszcze jeden dzień...*

Uderzył pierwszy akord i scena eksplodowała światłem.

SIBARI, WŁOCHY

DWADZIEŚCIA CZTERY GODZINY PÓŹNIEJ

Lily otworzyła bramę i uruchomiła alarm, sprawiając, że dziedziniec zalało światło reflektorów. Szybko minęła parking, zagrożona przez panujące wokół ciemności. Choć miała prawo tutaj być, w ogóle tego nie czuła. Nasunęła kapelusz na głowę.

Weszła po schodach na górę i otworzyła drzwi laboratorium. Wcześniej się zastanawiała, czy nie powinna wziąć latarki, ale wyglądałoby to podejrzanie. Włączyła lampy jarzeniowe, mając nadzieję, że zasłony w oknach są wystarczająco grube, aby ukryć światło.

Jestem kierownikiem stanowiska archeologicznego – przypomniała sobie. – Jestem

tutaj szefem. Otworzyła pomieszczenie, w którym przechowywano odnalezione przedmioty, i wprowadziła kod szyfrowy otwierający sejf. Złota tabliczka leżała na poduszce, jaśniejac w miejscach, w których konserwatorka usunęła błoto nagromadzone w ciągu dwudziestu czterech wieków. Mrugnęły do niej drobne złote litery.

Usłyszała skrzypnięcie za plecami i omal nie upuściła tabliczki. Wsunęła ją do szuflady i zajrzała do laboratorium. W pokoju nie było nikogo. Drzwi kołysały się na zawiasach obok na wpół oczyszczonej czaszki.

Nabawiła się paranoi.

Starannie zamknęła drzwi i sprawdziła zasuwę, następnie ponownie sięgnęła po tabliczkę. Znaki były zbyt małe, żeby móc je odczytać gołym okiem. Wsunęła blaszkę pod mikroskop, przygotowawszy wcześniej pióro i kartkę papieru. Obraz wybrzuszył się i skurczył, kiedy regulowała ostrość pokręteł, po chwili jednak ukazały się wyraźne litery.

Słabo znała grekę – pozostawiła to zadanie innym – ale pierwszej linijki nauczyła się na pamięć.

Słowa pamięci wyryte w złocie...

Gdy o nich myślała, zawsze wspominała Jonaha.

BERLIN

Jonah wyciągnął się na wiklinowej kanapie i pociągnął długi łyk z butelki. Nie poczuł jeszcze smaku piwa, ale chłód napoju wydawał się dobry. Choć minęła już druga w nocy, było ciepło, a jego T-shirt wydawał się ciężki od potu, którym nasiąknął w klubie.

Świat wirował leniwie, ale nie miało to żadnego związku z piwem ani z dymem marihuany dolatującym od strony sąsiedniego stolika. Jonah uspokajał się i kurczył do poprzedniego stanu. Muzyka ucichła, publiczność zniknęła. Energia, której mu udzieliła, powoli opadała, on zaś ponownie stawał się sobą. Sobą i nikim więcej.

Po zejściu ze sceny najgorszy był odpływ fali euforii. Niektórzy sięgali po narkotyki, ale Jonah wiedział, że niczego w ten sposób nie rozwiąże, jedynie pogłębi upadek. W złagodzeniu przykrego stanu pomagały kilka piw, grono przyjaciół i siedzenie do późna w nocy.

W wodzie odbijały się gwiazdy, na niebie jaśniały światła. Siedzieli w barze nad brzegiem rzeki, pod mostem drogowym, w rejonie dawnych nabrzeży przemysłowych. Lokal był nieformalnym miejscem spotkań artystów. Barwne światełka przebijały między drzewami, od strony niewielkiego parkietu wielkości spizarki dobiegała prymitywna muzyka techno. Grupa balowiczów o pustym spojrzeniu stała na zewnątrz jak zgubione, opętane dusze, kołysząc się spazmatycznie w rytm muzyki. Upłynęło dużo czasu od chwili, gdy ostatni raz mieli kontakt z rzeczywistością.

Cień przepchnął się przez tłum, trzymając sześć butelek piwa w jednej ręce i dziew-

czynę w drugiej. Zawsze powtarzał, że perkusista powinien mieć duże dłonie.

– Jeszcze jedno na drogę?

Grający na kontrabasie Alex wziął dwie butelki.

– Czy nie dobiegła już kresu?

– Nie dla mnie. – Jonah schylił się po następną butelkę. Cień opadł na wiklinowy stołek i postawił pozostałe butelki na stoliku. Towarzysząca mu dziewczyna usiadła na kanapie, wciskając się między Jonaha i Aleksa.

– To Astrid – wyjaśnił Cień. – Była na naszym koncercie.

Jonah ją zapamiętał – była dziewczyną, którą ujrzał w blasku księżycowej poświaty. Miała na sobie obcisły czarny T-shirt z krótkim rękawem i głębokim, sięgającym piersi dekoltem w kształcie litery „V”. Jej włosy opadały długimi puklami niemal do talii, związane opaską z diademem, która upodabniała ją do starożytnej wyroczeni.

– Należysz do zespołu, prawda? – Przysunęła usta do jego głowy, aby usłyszał ją przez muzykę. – Masz na imię Jonah?

Kanapa rzeczywiście była ciasna. Kiedy dziewczyna odstawiła drinka, mogła oprzeć rękę jedynie na jego udzie.

– Świetnie grałeś – powiedziała, przesuając koniuszkiem języka po jego uchu. – Twoje piosenki... – Położyła dłoń na przeponie. – Bardzo głęboko je odczuwam.

– Dzięki. – Jego głos zabrzmiał szorstko. Nigdy nie umiał sobie radzić z pochwałami.

– Będiesz grać w Berlinie? Chciałabym cię jeszcze zobaczyć.

– To był nasz ostatni koncert. *Tournée* się skończyło.

– W takim razie powinniśmy to uczcić. Chciałbyś się zabawić? Znam kilka klubów w Kreuzbergu, załatwię, żeby nas wpuścili. Mam niedaleko mieszkanie.

Wszystko wydawało się takie proste. Noc sprawiała, że nie było rzeczy niemożliwych, rankiem jednak pozostawał tylko zgiełk plotek. Światła, woda i muzyka szeptały, że mógłby ją mieć, że mógłby zapomnieć o odpływie euforii i o wszystkim, co się z nim wiązało. Tak łatwo było zapomnieć.

Walka z pokusą musiała się uzewnętrznić na jego twarzy. Alex, który wypił więcej od innych, kiwał głową, być może w rytm muzyki. Cień, który rozumiał niebezpieczeństwo, próbował nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

O pewnych rzeczach nie warto jednak zapominać. Jonah wstał, zostawiając na stole niedopitą butelkę.

– Muszę się przespać. Jutro czeka mnie długa droga.

Astrid zaczęła się podnosić w ślad za nim.

– To żaden problem. Możemy...

– Jadę do żony.

Kiedy podskakujemy nerwowo na widok cienia, często zdarza się nam przeoczyć to, co rzeczywiste. Skupiona na złotych literach, Lily nie usłyszała dźwięku samochodu zajeżdżającego na parking. Zasłony ukryły nagły rozbłysk świateł alarmowych.

Poprawiła szkiełko pod mikroskopem, żeby przeczytać dwie ostatnie linijki. Takie artefakty nazywali tabliczkami, choć mogłoby to sugerować trwałość i solidność. W rzeczywistości zawsze wtedy, gdy jej dotknęła, miała wrażenie, że zwinie się jak płatek kwiatu. Litery wyryte na cienkiej złotej blaszce były ulotnymi znakami, które przesuwały się z każdą zmianą światła. Konserwatorka wykonała wspaniałą robotę, wydobywając je spod błota, gdzie tak długo spoczywały.

Dopóki Adam jej nie odnalazł.

Na dole trzasnęły drzwi – pewnie nie zamknęła ich jak należy. Skopiowała kilka ostatnich słów i zmrużyła oczy na widok nieznanych kształtów. Osoba, która spisała oryginalny tekst, popełniła wiele błędów, Lily nie chciała więc ich mnożyć. Próbowała sobie wyobrazić dawnego skrybę kreślącego z pośpiechem kochanka znaki na złotej folii. Kochanka lub złodzieja.

Drgnęła niespokojnie, tracąc koncentrację. W krótkiej przerwie usłyszała dźwięk dochodzący ze schodów. Nie, ten dźwięk nie był wytworem jej wyobraźni. Dobiegły ją odgłosy kroków, niemal na górze.

Nie było czasu, żeby wrócić do sejfu. Wyjęła tabliczkę spod mikroskopu, wepchnęła między sreberka po słodyczach i wsunęła do kieszeni szortów, po czym sięgnęła po leżący na stole zeszyt. W tej samej chwili, gdy otworzyły się drzwi.

– Jeszcze pracujesz?

Białe lniany garnitur sprawiał, że Richard wydawał się starszy o milion lat. Spojrzała nad jego ramieniem, ale odniosła wrażenie, że jest sam.

Machnęła zeszytem.

– Chciałam sprawdzić, czy zawiera najnowsze dane. A ty?

– Wracalem do hotelu, kiedy ujrzałem światło. Pomyślałem, że powinienem to sprawdzić. – Zatrzymał wzrok na otwartych drzwiach do magazynu. Poczula, że jej tętno przyspieszyło.

– Jak się czuje Ari?

– W porządku.

– Wyjaśniłeś mi, że nie może zabierać wszystkiego, co mu się spodoba? – Śmiałe słowa, szczególnie w sytuacji, gdy tabliczka wypalała jej dziurę w szortach.

– Powinnaś była zostać. Nie możesz się kłócić ze sponsorem, a później stroić fochy i znikać.

– Miałam zostać i kontynuować kłótnię? – Podeszła do magazynu i zamknęła drzwi, czując na plecach ciężkie spojrzenie Richarda. Przygryzła wargi i odwróciła się na pięcie, wykrzywając twarz w czymś, co miało przypominać zmieszany uśmiech.

– Odwieszysz mnie, jeśli obiecuję, że będę grzeczna?

BERLIN

Ich van był białym fordem econoline, poobijanym i brudnym, z bocznym napisem kościół odkupiciela w south peckham. Chociaż Jonah nigdy nie był w South Peckham, czuł, że jest im winny kilka dziękczynnych modlitw. W ciągu siedmiu lat zjeździł tym samochodem prawie całą Europę i nigdy go nie skradziono, nigdy również nie zginął im żaden bagaż.

– Dasz sobie radę?

Cień przyszedł go pożegnać. Miał na sobie bokserki i ścisnął w rękę butelkę piwa. Pozostali byli na samowolce, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nikt nie lubił pożegnań po zakończeniu trasy koncertowej.

– Jasne. – Rzucił torbę na fotel pasażera obok termosu, który napełnił kawą w barze śniadaniowym. Wiedział, że będzie jej potrzebować. Spał zaledwie cztery godziny, a czekało go osiemnaście godzin jazdy.

– Czy ktoś poszedł z tą dziewczyną?

– Nie chodziło jej o nas. – Cień drwiąco wyduł wargi. – Wszystkie chcą tylko naszego chłopaka wyrzutka. Wstyd, że dałeś się skusić.

– Nie dałem.

– Musisz być jedynym facetem na świecie, który po skończeniu *tournee* wraca do żony. *Rock and roll*.

Jonah wspiął się do kabiny, odsuwając na bok zużyte opakowania po żywności i puszki zaścielające podłogę. Zamknął drzwi i opuścił szybę. O dziesiątej rano było już dwadzieścia pięć stopni, on zaś jechał na południe vanem, w którym klimatyzacja opierała się wyłącznie na technologii wiatrowej.

– Długo tam zabawisz? – zapytał Cień.

– Dwa, trzy tygodnie. Lily popracuje jeszcze kilka dni na wykopaliskach. Później się zwiniemy. Pobędziemy jakiś czas ze sobą.

– Brzmi nieźle. Przekaż pozdrowienia pani Yoko.

– Przecież wiesz, że Beatlesi tylko by nas podzielili. Nie można ich połączyć z Zep-pelinem.

Uśmiechnęli się do siebie, za dowcipami kryła się jednak twarda prawda. Żaden z nich nie wiedział, czy ponownie wyruszą w trasę. Grali razem dziesięć lat, co samo w sobie stanowiło mały cud, ale za każdym razem było trudniej. Każda nowa piosenka stanowiła większe wyzwanie, każda trasa wydawała się trudniejsza od poprzedniej. Wielkie koncerty, po których schodzili ze sceny w stanie boskiego uniesienia, były coraz rzadsze i oddzielone dłuższymi przerwami, a hotele – niezmiennie – okropne.

Ponieważ nie była to odpowiednia pora na rozmowy, stuknęli się pięściami przez otwarte okno. Jonah zmówił modlitwę do Boga South Peckham i uruchomił silnik.

– Bywaj!

Cień pomachał mu na pożegnanie butelką piwa.

– Idź do diabła.

Jonah spędził mnóstwo czasu w drodze, sądził więc, że bez trudu dotrze na miejsce, stało się jednak inaczej. Tym razem na końcu drogi nie znajdował się kolejny obskurny klub i system nagłaśniający, który trzeba było sprawdzić, ale była tam Lily. Niecierpliwił się za każdym razem, gdy o niej pomyślał – nawet licznik przejechanych kilometrów nie mógł dotrzymać mu kroku.

Nizina Niemiecka wznosiła się stopniowo na długości setek kilometrów, aż w końcu jego oczom ukazały się dalekie zaśnieżone szczyty Alp. Wjechał do Austrii i Włoch w głębokim cieniu gór. Zjadł kanapkę i wypił colę w zajeździe przy autostradzie poniżej przełęczy Brenner, zaczerpnął w płuca rzeńskiego górskiego powietrza i pospiesznie wrócił do furgonetki. Musiał dotrzeć do podeszwy włoskiego buta, nie był jednak nawet w połowie drogi.

Jego telefon zawibrował. Jonah spojrzął na ekran i przeczytał wiadomość.

Jedź ostrożnie, ale nie trać czasu. Potrzebuję Cię tutaj. {o} L

Ciekawe, o co mogło jej chodzić. Kierując jedną ręką, wpisał odpowiedź kciukiem:

Jestem w drodze. Wszystko w porządku?

Chwilę później na ekranie pojawił się tekst:

Tak. Po prostu nie mogę się doczekać, żeby mieć Cię znowu dla siebie. {o} L

W pobliżu Florencji zjadł kolejny posiłek, przespał kilka godzin na parkingu dla ciężarówek pod Rzymem i zatrzymał się na śniadanie na przedmieściach Neapolu, gdy promienie przebijającego się przez chmury słońca dotknęły wierzchołka Wezuwiusza. Później ponownie wjechał w góry, aby przyprawiającym o zawrót głowy zjazdem dotrzeć do Sibari. W końcu jego oczom ukazała się równina okolona górami i błękitne morze lśniące w mglistej oddali. Tuż przed dziewiątą znalazł się w kurorcie Laghi di Sibari i ostatni raz wyłączył silnik.

Starożytne Sybaris uchodziło za synonim hedonizmu, było to jednak dwa tysiące pięćset lat temu. Dziś jedynym świadectwem dawnych czasów były luksusowe wille i hotele skupione wokół portu, wzdłuż długich palców sztucznej laguny. Antyczne miasto znikło z powierzchni ziemi, nowe było ofiarą typowego włoskiego niedbalstwa. Od pobielonych budynków odpadały kawałki tynku, w kilku brakowało okiennic. Śmieci dosłownie wylewały się z pojemników i zaściełały ulice. Jachty nadal prezentowały się okazale, ale tylko przepływały przez Sibari.

Członkowie ekspedycji archeologicznej Lily wynajmowali pokoje w trzygwiazdkowym hotelu na końcu jednego z nabrzeży. Nie było to wymarzone miejsce na spędzenie

wakacji, ale wydawało się lepsze od namiotu. Od nieznającej języka angielskiego i wiecznie uśmiechniętej recepcjonistki Jonah wydobył informację, że archeolodzy wyszli do pracy.

Poczuł ukłucie rozczarowania, nadzieja zastania Lily przy śniadaniu dodawała mu bowiem sił w drodze z Neapolu. Sytuacja uległa pogorszeniu, kiedy recepcjonistka pokazała mu pokój. Były tam wszystkie rzeczy Lily: ubrania porozwieszane na krzesłach, książki na komodzie, mała buteleczka perfum i laptop na biurku. Bikini na poręczy balkonu nadal ociekało wodą po porannym pływaniu. Było w nim wszystko oprócz niej.

Nie myśląc długo, usiadł na łóżku i zdjął buty kopnięciem. Bardzo pragnął ją zobaczyć, ale w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespał zaledwie sześć, jego powieki były więc ciężkie jak z ołowiu. Położył się, ukrył twarz w poduszce i wciągnął jej zapach. *Bardzo jej pragnął.*

Zdrzemnie się tylko pół godziny, później zaś wstanie i jej poszuka.

Rozdział 3

Czy wypłynąwszy w morze, staniesz na mostku i zaczniesz się mocować ze sterem? Czy też oddasz go w ręce kapitana, a sam odpoczniesz?

Platon, *Alkibiades*

Filozof Heraklit wypowiedział słynne zdanie, że nie można wejść dwukrotnie do tej samej rzeki. Świat zanadto się porusza, wszystko płynie. Jediną stałą rzeczą jest to, że nie ma nic stałego. Strumień, do którego włożysz palec, nie jest tym strumieniem, w którym się zanurzysz. Ponieważ i ty nie jesteś ten sam.

Pokład statku nie nadaje się do czytania Heraklita, w najlepszym razie wywołuje we mnie mdłości. Tutaj rzeka Heraklita wpływa do morza, morze zaś staje się całym światem. Wszystko płynie. Załoga krząta się gorączkowo, próbując zapanować nad nawą. Żagle łopoczą, liny się napinają, pokład wznosi się i opada, słowa płyną, fale nieustannie wyginają horyzont. Morze to nie miejsce na poszukiwanie prawdy.

Byliśmy dzień drogi od Pireusu i rozwijaliśmy dobrą prędkość. W oddali przesuwały się purpurowe góry Peloponezu, a promienie słońca przeświecały przez cienki żagiel, wydobywając cienie lin, które się za nim znajdowały. Liny i reflinki tworzyły regularną siatkę na powierzchni płótna, na którą nakładały się łuki i ukośne linie sztagów, fałów, brasów i want. Matematyczne piękno.

Sprawdziwszy, czy nikt nie patrzy, wyciągnąłem list Agatona i wyprostowałem zwój na dłoni.

Pewien nauczyciel pitagorejczyk ma księgę mądrości, którą jest gotów sprzedać, ale chce za nią sto drachm. Czy możesz mi przysłać pieniądze lub, jeszcze lepiej, przywieźć je osobiście?

Zanoszę modły, abyś przyjechał. Dowiedziałem się wielu rzeczy, o których nie mogę napisać w liście – niektóre wprawiają cię w zdumienie. Italia to osobliwe miejsce, pełne dziwów i niebezpieczeństw. Nie ma tutaj nikogo, komu mógłbym powierzyć te sekrety.

Zatrzymałem się u Demosa w Turioj, ale będę na ciebie czekać w Tarencie. Zaprzyjaźniłem się tam z pewnymi ludźmi i chciałbym, żebyś ich poznał.

Agaton. Wśród wszystkich uczniów Sokratesa jego gwiazda świeciła najjaśniej. Po śmierci nauczyciela, kiedy wszystko poszło w rozsypkę, mieszkaliśmy przez pewien czas w Megarze, pobierając nauki. Mimo że byłem pięć lat starszy, nie potrafiłem do-

równać mu kroku. Byłem niczym osioł drepzczący krętą ścieżką, on zaś był zwinną kozicą wspinającą się na górę wielkimi susami – kozicą, która nigdy nie spadła, ponieważ nie spojrzała w dół. Przez dziesięć lat Agaton prowadził nas z miasta do miasta, z wyspy na wyspę, w poszukiwaniu nauczyciela, o którym słyszał. I to Agaton znudził się pierwszy, kiedy go znaleźliśmy. Agaton, który pragnął więcej. Agaton, który pierwszy usłyszał plotki, że w Italii można znaleźć poszukiwane przez nas odpowiedzi.

Nagle padł na mnie cień i owionęła mnie woń pachnideł narcyza. Podniosłem głowę i zmrużyłem oczy, statek wykonał bowiem zwrot i promienie słońca błysnęły nad krańdździą żagla. Do dziś udało mi się uniknąć towarzystwa sofisty – miał koję w pokładówce, razem z oficerami i kupcami ze spółki handlowej, ja zaś spałem na pokładzie obok innych pasażerów. Kiedy widziałem, że zmierza na dziób, szedłem na rufę do latryny, a gdy udawał się w kierunku rufy, schodziłem do kambuza, aby wyżebrać trochę chleba od kucharza. Nawet w więzieniu długości trzydziestu metrów istniały sposoby na uniknięcie niechcianego spotkania.

Nie miałeś jednak dokąd uciec, kiedy zapędzili cię w kozi róg. Wetknąłem list do zwoju Heraklita, ale nie zrobiłem tego dość szybko, żeby umknęło to jego uwadze.

– Co czytasz?

– Heraklita.

– O czym pisze?

– Powiada, że morze to paradoks – jest jednocześnie dobre i złe.

– Dobre jest ono dla ryb, ale złe dla ludzi. – Eufemos wyjrzał za burtę. – Obyśmy nie skończyli razem z rybami. Mam pewne wątpliwości co do kapitana.

Wolałem nie wiedzieć jakie. Nie chciałem z nim rozmawiać. Eufemos zgiął się ostrożnie i usiadł na pokładzie obok mnie, krzyżując nogi. Zapach narcyza się nasilił.

– Jeśli chcesz coś poczytać, chętnie ci pożyczę. Napisałem księgę. Pewnie o niej słyszałeś, nosi tytuł *O cnocie*.

– Nie znasz przysłowia „Pisz o tym, na czym się znasz”?

Zarechotał i skrzywił twarz w uśmiechu, choć śmiech i grymas nie pokrywały się ze sobą.

– Bardzo jesteś szybki. Widziałem cię podczas igrzysk istmijskich. Zdobyłeś wieńiec w zapasach. Wtedy także byłeś szybki.

Przyjąłem pochwałę skinieniem głowy.

– Powiedzieli mi, że znałeś Sokratesa.

„Oni” mu powiedzieli. „Oni” zawsze tak czynią – ludzie pokroju Fileba, którzy węższą i plotkują, mylnie poczytując to za wiedzę.

– Dawne dzieje.

– Jaki on był?

Przekręciłem się na pokładzie.

– Był najmądrszym z ludzi.

- Wszyscy tak mówią.
- Teraz, gdy już bezpiecznie nie żyje.
- Ale jaki był naprawdę?

Nie odpowiedziałem. Nie potrafię opisać Sokratesa, tak jak nie jestem w stanie opisać powierzchni Słońca, ponieważ nawet gdy zmrużę oczy, zbyt mocno jaśnieje, żeby na nie patrzeć.

- Co cię sprowadza do Italii? – zapytałem.

Zmiana tematu wywołała kolejny uśmiech na jego twarzy. Eufemos miał widać uśmiech na każdą okazję.

- Znudziłem się Atenami. Otrzymałem lepszą propozycję.

Odczekał chwilę, żebym chwycił przynętę. Kiedy nic nie rzekłem, podjął wątek:

– Jadę na Sycylię. Tyran Syrakuz uważa się za mecenasa sztuki. Zapłaci sowicie każdemu, kto przybędzie na jego dwór. Szczególnie człowiekowi moich umiejętności.

- To znaczy?

– Nauczam cnoty, jak twój Sokrates. Jestem pewien, że świetnie o tym wiesz. – Spojrzał na mnie podejrzliwie, jak pies pociągnięty za ogon.

- Jesteś dobry?

– Najlepszy – odparł bez wahania. – Cnota to mój fach. Nauczam jej lepiej i szybciej od wszystkich w tej branży. Gdybyś wysłuchał moich nauk, wróciłbyś do domu lepszym człowiekiem, niż z niego przybyłeś. Drugiego dnia byłbyś lepszy niż pierwszego, codziennie stawałbyś się bardziej doskonały.

Udałem, że jego słowa wywarły na mnie wrażenie, choć nie miałem wątpliwości, że to tylko dobrze wyćwiczone paplanie.

– Czy cnoty można się nauczyć? Zawsze sądziłem, że jest ona wrodzoną cechą ludzkiego charakteru.

– Pewnie, że cnota jest wrodzona, ale nie ma z niej pożytku, gdy spoczywa uwięziona we wnętrzu człowieka. Trzeba takiego nauczyciela jak ja, żeby wydobyć ją na powierzchnię, oszlifować.

– Sądzisz, panie, że kompromitowanie się na dworze tyrana jest najlepszą rzeczą, jaką może uczynić samozwańczy nauczyciel cnoty? – zapytałem.

Zachowałem się nietaktownie, ale widziałem tyłu ludzi jego pokroju paradujących po agorze i gimnazjonie, że nie miałem doń cierpliwości. Pragnąłem, żeby odszedł, ale Eufemos posłał mi kolejny uśmiech – pobłażliwy i tylko lekko rozczarowany.

– Uważam, że sofista, który naucza jedynie ludzi dobrych, marnuje swój talent. Znacznie lepiej uczynić dobrymi ludzi złych. Twój wuj na przykład mógłby skorzystać z moich nauk.

Mój wuj. Piętnaście lat temu dokonał przewrotu i doprowadził do obalenia demokracji. Później oddał Ateny naszemu wielkiemu wrogowi, czyli Sparcie. Rządy jego junty trwały zaledwie rok – wystarczająco długo, żeby krew ludzi, których kazał tortu-

rować i zabić, pozostawiła niezatartą plamę. Nie była to najjaśniejsza chwila w dziejach rodu, który wywodził się od Solona Prawodawcy.

Złożyłem zwój, wstałem i odszedłem, a właściwie powlokłem się po rozkołysanym pokładzie, próbując nie upaść. Usiadłem na stercie rupieci obok leżącej nieopodal zwiniętej liny.

Dyskusowanie z sofistą zawsze było błędem.

Tego wieczoru powiał rzeński wiatr i czerwone niebo zakrwawiło horyzont. Wyciągnąłem z mieszka otrzymany od Glaukona kamień pochodzący z zatopionego statku i obróciłem go w palcach, spoglądając na morze barwy ciemnego wina. W oddali na linii fal ukazał się niewyraźny kształt.

– Czy to żagiel? – W głosie Eufemosa zabrzmiała wysoka nuta niepokoju. – Słyszałem, że w pobliżu grasują piraci. Czy nie powinniśmy płynąć w nieco większym oddaleniu?

Kapitan nawy przystąpił do relingu i stanął obok mnie.

– To nie piraci... – oświadczył.

– Cóż za ulga!

– To tylko gardziel piekieł.

Zarechotał i pociągnął z butelki, którą trzymał w ręku. Kiedy poluzowana lina strzeliła na wietrze, Eufemos podskoczył ze strachu.

Kapitan ponownie wybuchnął śmiechem.

– To przyłodek Tajnaron – wyjaśnił. – Miejsce, w którym Orfeusz zstąpił do Hadesu.

Wyteżyłem wzrok w świetle zmierzchu. Ujrzałem ląd – zbocze majaczące niewyraźnie w błękitnej mgłę. Mimo to poddałem się czarowi. *To jest to miejsce* – szeptał Głos Pragnienia. To jaskinia, którą Orfeusz zszedł do Hadesu, żeby zagrać na lirze i oczarować bogów, skłonić ich śpiewem do uwolnienia żony.

Mityczny nonsens – odburknął Głos Rozsądku, ale nie zdołał mnie powstrzymać przed wypatrywaniem ciemnej gardzieli wejścia do pieczary. Ujrzałem jednak tylko plamy przed oczami.

Spojrzałem ukradkiem na Eufemosa. Nawet on wyglądał na mniej pewnego niż zwykle.

– Czy to znaczy, że jesteśmy bliżej celu podróży? – zapytał z nadzieją w głosie.

– W końcu wszyscy tam skończymy.

– Nie o to pytałem.

Kapitan skinął butelką w stronę lądu, który niknął w ciemności za naszymi plecami, po czym cisnął ją do wody, żeby została pochłonięta przez fale.

– Tylko bogowie wiedzą, jak blisko jesteśmy.

Statek, którym podróżowaliśmy, zwał się „Kallisto” – od imienia nimfy morskiej. Ten, kto nadał mu takie miano, musiał być nieuleczalnym optymistą lub ślepcem, nawa bowiem – obdarzona wybrzuszonym funkcjonalnym kadłubem – w niczym nie przypominała nimfy. Nasza „Kallisto” nie tańczyła na falach, ale kołysała się na nich jak kaczka. Potrzebowała wichury, żeby posuwać się w tempie szybszym od pełzania, przy najsłabszej nawet fali kołysała się zaś tak mocno, że się lękałem, że rzuci nas wszystkich w odmętę. Co noc nasłuchiwałem skrzypienia statku, wyobrażając sobie, jak pękają jego deski, wpuszczając do środka morską kipieli. Co noc śniło mi się, że tonę.

Morze nadal mnie przerażało, choć odkryłem, że poeci piszący o niebezpieczeństwach i udrękach morskiej podróży nie zauważyli, że to, co przerażające, może być jednocześnie niesłychanie monotonne. Wojna trojańska ciągnęła się dziesięć lat, Homer jednak nie bez przyczyny opisał tylko kilka tygodni jej trwania.

Za dnia czytałem. Studiowałem pisma Herodota i Tukidydesa, Pittakosa i Symonidesa. Siłą woli przedzierałem się przez dzieło Heraklita, zamiast cisnąć jego zwój za burtę. Kiedy już wszystko przeczytałem, sięgnąłem po Eufemosa. Zostawił mi swój zwój na pledzie pierwszego wieczoru, gdy rozmawialiśmy.

Starąłem się, żeby mnie na tym nie przyłapał, ale Eufemos – niczym pies – miał nieomylny nos zdolny wyczuć własne odchody. Po upływie pół godziny poczułem na ramieniu charakterystyczną woń oddechu narcyza.

– Widzę, że sięgnąłeś po moją niewielką broszurę.

Czekał niezgrabnie, pragnąc szczerzej pochwały, ale pozostawiłem go w niepewności.

– I...? – zapytał w końcu.

– Tytuł brzmi *O cnotcie*.

– Zaiste, cóż zatem?

– Ty zaś piszesz, że cnota nie istnieje – mówiąc to, zajrzałem do zwoju. – „Jedynym prawem natury jest życie i śmierć. Życie bierze się z tego, co pomaga, śmierć zaś z tego, co staje nam na przeszkodzie. Natura nakazuje zatem, abyśmy sobie pobłażali i nie odmawiali przyjemności, jeśli życie nam miłe”. To mi przypomina Heraklita.

– Dziękuję.

– Nie jest to jednak dobre skojarzenie. Jeśli jedynym prawem jest egoizm, jakim sposobem człowiek może stać się dobry?

Na twarzy Eufemosa błysnął triumfalny uśmiech.

– Nie jest do tego zdolny! Właśnie o to chodzi! Możemy jedynie reagować na okoliczności zgodnie z naturą, jedyną zaś prawdą, którą ona podsuwa, jest przeżycie.

Krew się we mnie wzburzyła, głos uległ nasileniu. Sokrates, który nawet we wrotach Hadesu stanąłby z uprzejmym zdumieniem na twarzy, dokuczał mi, że nie posiadam właściwego usposobienia do debaty. Jemu samemu nie poszło jednak lepiej, kiedy go postawili przed sądem.

- Jeśli cnota nie istnieje, czy można nauczyć człowieka, jak stać się dobrym?
- To zależy, jak pojmujesz dobro.
- Nie, nie zależy! – Mimowolnie chwyciłem przynętę, nie mogąc się opanować. – Skoro nie potrafimy się zgodzić w kwestii tego, co dobre – jeśli założymy, że dobro to egoistyczny interes pojedynczego człowieka – czego wówczas powinniśmy nauczać?
- Twierdzisz, że istnieje jakaś stała miara dobroci, na podstawie której moglibyśmy ocenić każdego człowieka. Jakaś skala od jednego do siedmiu. Ja zaś powiadam, że miarą tą jest sam człowiek, dobro zaś jest jedynie jakością. Człowiek nie jest po prostu dobry sam w sobie – jest dobry w czymś.
- Rozumując w ten sposób, można by dojść do wniosku, że także złodziej może być dobry, jeśli się zna na swoim fachu.
- Zaiste, może być dobrym złodziejem – przytaknął Eufemos.
- Ale nie jest dobrym człowiekiem!
- Może nim być. – Sekret sofistów polega na tym, żeby nie stracić cierpliwości i nigdy nie przestać się uśmiechać. – Jak pewnie pamiętasz, zgodziliśmy się, że prawo natury nakazuje, aby człowiek spełniał swoje pragnienia.
- Na nic się nie zgodziłem!
- Aby więc być dobrym człowiekiem, trzeba być dobrym w zdobywaniu rzeczy, których pragniemy – stąd dobry człowiek.
- Czy cnota nie ma z tym nic wspólnego?
- Oczywiście że ma. Jest kluczowa.
- Spojrzałem nań podejrzliwie.
- Jak to?
- Żeby zrobić karierę, trzeba postępować zgodnie z prawami ustanowionymi przez społeczeństwo. Człowiek złej reputacji nigdy nie zajdzie tak wysoko jak ktoś znany z moralności. Gdyby ludzie wiedzieli, że dany człowiek kradnie, zamknęliby go i przestałby być dobry w złodziejskim fachu.
- Diaboliczna amoralność Eufemosa zakręciła mi w głowie silniej od kołysania statku. Zgodnie z jego logiką zło było dobrem, gorsze zaś – lepszym.
- Czy tylko tego nauczacie swoich klientów? Jak uchodzić za dobrego i nie zaprzętać sobie głowy rzeczywistością?
- Pozory są rzeczywistością. Dodam, że moi klienci nigdy się nie skarżą. – Eufemos zachichotał. – Nauczam ludzi, jak stać się dobrymi w zaspokajaniu własnych pragnień. Jak dobierać słowa, aby zjednać sobie sędziów i prawodawców. Jakich argumentów użyć, aby zwyciężyć. Jak oczarować chłopców i potencjalnych teściów. A gdyby to nie poskutkowało, uczę nawet sztuki walki.
- Poczułem świerzbienie rąk, jakby zapragnęły udzielić mu lekcji we wspomnianej dziedzinie, jakimś sposobem bowiem Eufemos pozbawił mnie wszelkiej innej broni.
- Czy jest coś, czego nie potrafisz uczynić?

Nie wyczuł ironii moich słów i dumnie wypiął pierś. Przechylił głowę i pogładził szyję, jakby próbował przeniknąć głębię własnych kompetencji, po czym z nieśmiałym uśmiechem skinął głową w kierunku kołyszącego się morza.

– Nie umiem pływać.

Łatwo mógłbym splawić Eufemosa jako zwyczajnego oszusta, ale nie mogłem go lekceważyć. Myślę, że szczerze wierzył w to, co mówił – w zmieniający się świat pełen walki i chciwości, które powstrzymuje jedynie strach. Był także filozoficznie konsekwentny w swojej całkowitej amoralności – bardziej, jeśli mam być szczerzy, od wszystkiego, co ja mogłem ofiarować.

Ustąpienie pola Eufemosowi na wysokiej niwie filozofii wzbudziło we mnie pragnienie wyskoczenia za burtę.

Nie chodziło o to, że nie potrafiłem dać mu odporu. Jego system był dla mnie obrazą. Choć brzmiał przekonująco – ba!, niemal rozsądnie – niczego nie tłumaczył. Nie potrafił wyjaśnić rzeczy znanych jako dobre i prawdziwe. Chwalebności udzielenia pomocy nieznanemu, który znalazł się w niedoli, i piękna słońca zachodzącego nad przylądkiem Sunion. Siły bijącej od żołnierza, który wynosi towarzysza z pola bitwy po nieudanym ataku, i wzruszenia serca na widok przyjaciela stojącego u drzwi.

Nie chcę żyć w świecie zdefiniowanym przez brutalne ograniczenia Eufemosa. W świecie pozbawionym miłości i piękna. W świecie bez nadziei na postęp.

Pragnienie, aby coś było prawdą, nie jest jednak intelektualnie spójną pozycją.

Jesteśmy na morzu od ośmiu dni. Byłbym rad, gdybyśmy u kresu podróży zdołali przezwyciężyć w dyspucie dzielące nas filozoficzne różnice i dojść do zgodnych wniosków. Jestem pewien, że gdybym był Sokratesem, właśnie tak by się to skończyło. Ja jednak codziennie odkrywam nowe kwestie, które budzą moją pogardę. W rzeczy samej, gdy pewnego wieczoru stałem na rufie i obserwowałem nadciągający zmierzch, doszedłem do wniosku, że z radością zniósłbym dwukrotnie dłuższą podróż tym statkiem, byle tylko uniknąć towarzystwa Eufemosa.

Przyznaję, byłem rad z siebie. Najbardziej niebezpieczną część wyprawy – odcinek na pełnym morzu z Korfu do Italii – przepłynęliśmy w jeden dzień i w jedną noc przy spokojnym morzu i sprzyjającym wietrze. O świcie, gdy za dziobem ukazał się brzeg Italii, wylałem kielich wina na ołtarz nawy i podziękowałem bogom za bezpieczną podróż. Czy jednak rzeczywiście najgorsze już minęło?

Czcze urojenia. Nie rzekłem ani słowa, bogowie potrafią jednak przeniknąć głębię ludzkiego serca. Fale uderzające o kadłub szeptały moje myśli lodowatym otchłaniem, w których nasłuchiwali bogowie. Słuchali i zaśmiewali się do łez.

Opłynęliśmy przylądek i zaczęliśmy zmierzać w kierunku Tarentu – pierwszego portu na trasie naszej podróży, w którym czekał na mnie Agaton. Bogowie jednak nie spie-

szyli się z dostarczeniem mnie na miejsce. Gdy wpłynęliśmy do zatoki, z powietrza uszło wszelkie życie i skwar okrył nas niczym koc, wiatr zaś ledwie poruszał nawą. Cały statek zaczął się pocić, wydzielając woń drewna i smoły, poza tym oliwa gotowała się łądowniach, co powodowało, że każda powierzchnia była śliska w dotyku.

Siedziałem w cieniu żagla i obserwowałem linię brzegu przesuwaną się wolno w oddali. Urodziłem się w czasach, gdy wszystkie imperialne ambicje Aten zatoneły na zawsze, rozbiwszy się o skały pychy, nigdy więc nie musiałem walczyć poza granicami kraju. Choć dobiegałem czterdziestego roku życia, nie zpuściłem się dalej od Olimpu, dokąd się udałem na igrzyska. Przyglądałem się wybrzeżu, opustoszałym plażom i gęstym lasom napierającym na brzeg. I rozmyślałem o liście Agatona.

Italia to osobliwe miejsce, pełne dziwów i niebezpieczeństw.

Nagle powietrze się poruszyło. Powiała lekka bryza, chłodząc pot na moim karku. Odniosłem wrażenie, jakby nagle pociemniało. Żagiel wzdął się powietrzem, naprężył i trzasnął. Cierpki zapach krzemienia przeniknął powietrze, zapowiadając deszcz.

Tego wieczoru szybko zapadł zmierzch. Eufemos wyszedł na pokład i spojrzał w niebo.

– Żadnych gwiazd. – Odwrócił się do kapitana. – Myślisz, panie, że to zły znak?

Kapitan sprawiał wrażenie trzeźwego. Pomyślałem, że był to zaiste zły znak.

– Nie ma się czym martwić.

– Czy nie powinniśmy zakotwiczyć na noc bliżej brzegu? – nie ustawał w pytaniach Eufemos. – Czy nie byłibyśmy wówczas bardziej bezpieczni?

Kapitan uniósł głowę i splunął w morze.

– Wieje zły wiatr. Jeśli się zbyt zbliżymy, zepchnie nas na skały.

Fale zaczęły wzbierać. Statek, który nigdy nie był nieruchomy, teraz zaczął falować i podskakiwać niczym galopujący koń. Dobyłem z mieszka kamyk z wraku i potarłem go w palcach. Był gładki niczym szkło. Pomyślałem o tym, ile niespokojnych dłoni musiało go polerować podczas morskich wojaży. Rozumując logicznie, skoro miałem go teraz w rękę, musiał się okazać skuteczny.

Nie jestem jednak pewien, czy można stosować prawa logiki do kamyka obdarzonego zbawczą mocą.

Kapitan klepnął Eufemosa po plecach.

– Od Tarentu dzieli nas tylko kilka lig. Jeśli zdołamy dotrzeć do zatoki, nie znajdziemy bezpieczniejszego kotwicowiska.

Spojrzałem w bok, siłą woli przywołując suchy ląd ukryty w ciemności. Wiedziałem, że musi tam być, choć moim oczom nie ukazały się żadne ogniska, księżyc zaś nie przebił się przez zasłonę chmur. Jedyne światłem była mała lampka oliwna, której płomień trząskał na dachu pokładówki, gdzie żeglarze próbowali naprostować wiosło sterowe.

Skoro nie mogą dojrzeć lądu ani gwiazd, skąd wiedzą, dokąd zmierzają?

Lunał ulewny deszcz. Fale rozbijały się nad pokładem i chłostały nogi, rzucając nas na kolana. Ogarnął mnie chaos – kolejny element świata pogrążonego w zmaganiach. Kiedy zaczynałem się podnosić, statek robił wszystko, żeby zwalić mnie z nóg, miotając się jak tytan próbujący zerwać kajdany. Wiatr wył w takielunku. Słyszałem, jak kapitan krzyczy do sternika mocującego się z wiosłem sterowym. Chwilę później huknął grom, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Wiatr i burza, morze i statek zaczęły się poruszać w niemej pantomimie.

Później przedstawienie ustało.

Potężny jęk wstrząsnął nawą. Wszyscy runęliśmy na pokład, jak liście spadające z drzewa. Oliwa się wylała i lampka zgasła. Usłyszałem krzyk nad głową i dźwięk przypominający łoskot bębnow. W całkowitej ciemności coś ogromnego i złowieszczonego przemknęło w powietrzu, uderzając z trzaskiem w statek i przyszpilając mnie do pokładu. Wierzgnąłem członkami, ale nie mogłem się poruszyć. Czyżby zmiażdżyło mi nogi?

Pragnąłem leżeć bez ruchu, ale nic nie mogło trwać nieruchomo w tej wściekłej furii. Fala wdarła się na pokład i uderzyła mnie w twarz. Oczy zapiekły, zakrzusiliśmy się słoną wodą. Próbowałem ją wypluć, nadeszła jednak kolejna i wepchnęła mi ją siłą do gardła.

Senny koszmar stał się rzeczywistością. Tonąłem. Wyciągnąłem rękę, szukając w ciemności przedmiotu, którego mógłbym się chwycić, ale wszystko wokół wirowało. Woda i powietrze przelewały się przez moje palce. Zakipiałem gniewem z powodu niesprawiedliwości, ponieważ fale i porywy wiatru uderzały mnie mocno jak kamień, gdy zaś próbowałem je chwycić, przelewały się między palcami.

Coś wyskoczyło z ciemności i owinęło się wokół mojego nadgarstka. Próbowałem się uwolnić, ale silne palce wbiły się w moją skórę.

– Toniemy! – usłyszałem krzyk żeglarza.

Zsunąłem się po przechylonym pokładzie. Coś ześlizgnęło się ze mnie i wtedy zrozumiałem, że przygniótł mnie nie maszt, ale żagiel, oplatając moje członki nasiąkniętym płótnem. Podniosłem się na kolana i zacząłem pełznąć przed siebie, im wyżej jednak się wspinałem, tym silniej pokład spychał mnie w tył.

Odnalazłem krawędź nawy, uniesioną jak miecz, i zacząłem macać w poszukiwaniu poręczy. Nie znalazłem jej, ale zdołałem się chwycić kadłuba, gdy nadeszła kolejna fala.

Z wody dobiegło mnie rozpaczliwe wołanie o pomoc. Nie mam pojęcia, jak zdołałem je usłyszeć przez burzę – może była to jakaś sztuczka wiatru lub echo odbijające się od fal – natychmiast jednak zrozumiałem, że to mógł być on. Eufemos.

Przypomniałem sobie strzępy naszej rozmowy. Moje ironiczne pytanie: „Czy jest coś, czego nie potrafisz uczynić?” i jego rozbijającą odpowiedź: „Nie umiem pływać”.

Kiedyś już tutaj byłem. Skoczyłem w dół i pogrążyłem się we śnie.

Rozdział 4

JONAH – SIBARI

Śniło mu się morze, ale zniknęło w chwili, gdy otworzył oczy. Leżał na łóżku, próbując odgadnąć, gdzie się znajduje. Oplątało go hotelowe prześcieradło, z nocnego stolika spadła szklanka, znajdująca się w niej woda rozlała się na podłogę. Czy to on ją zrzucił? Miał wrażenie, że spał nie dłużej niż pięć minut.

Ostre światło przenikało przez zasłony. W pokoju było gorąco. Ktoś otworzył drzwi.

– Lily?

Na progu stał mężczyzna, mroczny i twardy, z kluczem francuskim w ręku. Miał na sobie designerskie džinsy i białe polo z krokodylem Lacoste'a na piersi.

Jonah usiadł. Jego oczy przypominały kamyki, głowa bolała, jakby ktoś umieścił na niej dziesięciotonowy ciężar.

– O co chodzi?

– Ja do łazienki. – Mężczyzna dwukrotnie podrzucił klucz w powietrzu, wskazując drzwi. – Przyszedłem naprawić prysznic. Ona chciała, żebym to zrobił.

– Rozumiem. – Mózg Jonaha nadal się nie obudził. – Czy mógłby pan przyjść później?

Nieznamy postać mu lekceważące spojrzenie. Jonah poczuł się zaniepokojony i bezbronny, choć nie miał pojęcia dlaczego. Odepchnął się od materaca i wstał.

– Wrócę za jakiś czas.

– Zaczekaj! – powiedział Jonah. – Kto cię wezwał? Lily? Kobieta, która tu mieszka? Widziałeś ją w hotelu?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Podrzucił klucz i złapał go z łatwością, napinając bicepsy pod koszulką z krótkimi rękawami.

– Wrócę.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Echo niosło się po hotelowych korytarzach, dopóki nie zagłuszył go szmer zraszaczy pracujących na zewnątrz. Która była godzina?

Budzik Lily spadł razem ze szklanką. Jonah postawił go na miejsce i skrzywił się boleśnie. Czternasta dwadzieścia. Czy to możliwe, żeby spał tak długo?

Chociaż nieznamy przyszedł naprawić prysznic, Jonah postanowił z niego skorzystać. Głowica trysnęła silnym gorącym strumieniem. Jonah nastawił zimną wodę, żeby wywołać przyływ adrenaliny. W rezultacie pojawił się ból głowy, ale zdołał odzyskać pewną jasność myślenia.

Mógł zaczekać na Lily – był przekonany, że niebawem wróci – w hotelu panowała jednak martwa cisza, on się zaś niecierpliwił. Przez siedem tygodni przebywał w zamknięciu – w klubach, hotelach, wanie – i cieszył się latem jedynie nocami. Był spragniony dziennego światła i świeżego powietrza. Poza tym brakowało mu jej. Dlatego postanowił pójść na teren wykopalisk.

W lobby zastał fachowca złotą rączkę siedzącego na plastikowym krześle i oglądającego telewizję, włączoną na stałe nad kontuarem recepcji. Jego oczy podążyły za Jonahem w kierunku drzwi, na twarzy mignął znaczący uśmiech.

– Pysznic działa! – zawołał Jonah do recepcjonistki, przechodząc obok kontuaru. Dziewczyna posłała mu nierozumiejący uśmiech.

Przez kilka sekund na zewnątrz wydawało się chłodniej niż w środku, ale kiedy ruszył przed siebie, oblała go fala potu. W sierpniu o piętnastej większość Włochów kładzie się do łóżka, kurort przypominał więc wymarłe miasto. Na polach majaczyło kilka postaci robotników. Oprócz nich Jonah słyszał jedynie chrzęst własnych kroków, idąc drogą między bliźniaczymi rzędami topoli.

Zszedł w wysoką trawę rosnącą na poboczu, gdy znienacka dobiegł go dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Nawet z oddali pojazd wydawał się zajmować całą szerokość drogi – zbliżał się pędem w jego stronę, przybierając monstrualne rozmiary. Pułkownikowy czarny mercedes, wielki niczym czołg. Przed oczami Jonaha mignęły przyciemniane szyby i cienie postaci. Pęd powietrza uderzył go tak silnie, że omal nie wpadł do rowu. Samochód minął Jonaha, wznosząc tumany kurzu, który oblepił mu skórę.

Dobrze wiedzieć, że ktoś ma jeszcze pieniądze.

Betonowa płyta leżała w poprzek rowu niczym most. Po drugiej stronie wśród pól wznosiła się samotnie monumentalna żelazna brama. Jonah nie wiedział, czy była ona swoistą zaliczką na poczet domu, który nigdy nie został zbudowany, czy też ostatnią pozostałością po zniszczonej rezydencji. Cień słupów na chwilę przysłonił słońce, gdy Jonah mijał umowny próg. Później przypomniał sobie przelotny zimny deszcz, niczym tchnienie ducha, i zadał sobie pytanie o to, jaką granicę właściwie przekroczył. W niewielkiej odległości ujrzał samochody zaparkowane w polu, wokół wykopu. Przyspieszył kroku.

Kiedy pierwszy raz ujrzał Lily, stał w dole głębokości trzech metrów. Trafił tam w sposób tak przypadkowy i nieprawdopodobny, że później musiał to uznać za przeznaczenie. Spotykał się wtedy z inną dziewczyną imieniem Amy, studentką archeologii z Preston. Amy zapisała się na kurs archeologii i musiała odbyć letnie praktyki na stanowisku archeologicznym. Wybrała Grecję. Ponieważ nie wymagano żadnego doświadczenia, Jonah pomyślał, że za niewielkie pieniądze zakosztuje słońca i spędzi czas z dziewczyną. Dlatego zgłosił się razem z nią. Na trzy dni przed zaplanowanym

wyjazdem Amy nabrała wątpliwości w sprawie praktyk, kursu z archeologii i samego Jonaha. W rezultacie został z trzystoma funtami bezzwrotnej zaliczki, kolejnym zawodem miłosnym i biletem powrotnym do Aten (którego również nie można było zwrócić). Nie miał tyle pieniędzy, żeby pozwolić sobie na ich marnowanie – właściwie w ogóle nie było go stać na wyjazd – dlatego zameldował się na miejscu.

Szybko pożałował swojej decyzji. Jak się okazało, stanowisko archeologiczne znajdowało się w zapadłym zakątku Grecji, kierownikiem ekspedycji był zaś starszy profesor, któremu bardziej zależało na emeryturze niż na przedsięwzięciu naukowym. Oprócz Jonaha przyjechało tylko czterech ochotników, zaprzyjaźnionych licencjatów z Oksfordu. Po południu, kiedy było zbyt gorąco, żeby kopać, opalali się na plaży lub czytali Evelyn Waugh. Jonah, który nigdy nie potrafił usiedzieć w jednym miejscu, chodził po górach lub pływał na samotnej plaży. Podczas wspólnych kolacji dużo pił i drażnił studentów, co powodowało, że sytuacja stawała się napięta. Kiedy zapadało kłopotliwe milczenie, starał się jeszcze bardziej. Wyjechałby wcześniej, gdyby można było przebukować bilet.

Później zjawiała się Lily. Nie zauważył, kiedy przyjechała. Usłyszał zamieszanie, kiedy pozostali uczestnicy wyprawy odłożyli narzędzia i poszli się przywitać. Nie ruszył się z wykopu, oczyszczając swoją ścianę. Najpierw ujrzał jej sfatygowane górskie buty w dole naprzeciw jego rowu.

– Jesteś tą gwiazdą rocka?

Był gwiazdą rocka, ponieważ musieli go jakoś zaszufadkować, choć oksfordzka zniewaga brzmiała jak komplement. Głos, który usłyszał, nie był jednak głosem dziewczyny z prywatnej szkoły ani członkini klubu jeździeckiego, jak tego oczekiwał – miał ostry ton krzemienia, przypominający szarawe góry, spieczone wrzosa i jego dom na północy.

Podniósł głowę i spojrzał w górę. Ujrzał jasne włosy w odcieniu miodu upięte w kucyk, krótkie szorty i odsunięty do tyłu słomkowy kowbojski kapelusz. Jej oczy były jasnoniebieskie i uśmiechnięte.

– Richard powiedział, że jesteś humorzastym draniem. – Uklękła naprzeciw niego i zaczęła dziobać kamienie czubkiem swojego rydla. – Jestem Lily.

Nie powiedziała nic więcej, ale to wystarczyło. Postanowił zostać, żeby zobaczyć, co się wydarzy.

Jedną z rzeczy, których nauczył się podczas pierwszego tygodnia z Lily, było to, że każde miejsce, w którym archeolog wbije szpadel, jest nazywane wykopem. Kiedyś na dźwięk tego słowa wyobrażał sobie okopy z filmów o pierwszej wojnie światowej – wąskie rowy oszalowane deskami. W przeciwieństwie do nich archeologiczny wykop mógł mieć długość od kilkudziesięciu centymetrów do kilkunastu metrów i dowolną szerokość. Inaczej mówiąc – był po prostu dołem w ziemi.

Również teraz ujrzał przed sobą krawędź wykopu i ziemne stopnie prowadzące w dół. Chociaż letnią ciszę zastąpił szum generatorów, Jonah zapomniał o bólu głowy. W każdej chwili mógł zobaczyć Lily.

Spojrzał w dół na zatłoczone stanowisko. Blisko dwadzieścia osób pracowało dwójkami i trójkami, centymetr po centymetrze oczyszczając pędzelkiem i oskrobując osad wieków. Większość poruszała się na czworakach, ale kilka osób pochyliło się nad stołem osłoniętym zieloną plandeką, napiętą linkami od namiotu.

Niestety, żadna z tych osób nie miała na głowie słomkowego kapelusza.

Jonah zszedł po ziemnych stopniach. W wykopie panował jeszcze większy upał. Ciężko było być jedynie przy krawędzi i pod plandeką. Kilkoro ochotników podniosło głowę i spojrzało na niego z nieznacznym, bladym uśmiechem. Byli w większości studentami. Nadal nie zauważył Lily.

– Gwiazda rocka powraca. Grałeś na Wembley?

Spod plandeki wyłonił się mężczyzna w różowej koszuli i białym kapeluszu panama, po czym ruszył energicznie w kierunku Jonaha, wyciągając rękę na powitanie. Chociaż spędził w Sibari sześć tygodni włoskiego lata, jego skóra pozostała śmiertelnie blada, a warstwa potu nadała mu wygląd woskowej figury. Jedynym kolorem na jego twarzy była wieczna intensywna czerwień warg.

– Witamy w zaginionym mieście Sybaris! – oznajmił. – Jak minęła podróż?

– Cześć, Richardzie! – Jonah uściśnął jego rękę i rozejrzał się wokół. – Gdzie jest Lily?

– Musiała pojechać do laboratorium, mieliśmy zły dzień. Wróci lada chwila. Przywieść ci coś do picia?

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że czuje potworne pragnienie. Jakiś student podał mu butelkę wody z chłodziarki. Jonah potarł nią czoło, zanim wypił zawartość. Ciecz wdarła się do jego wnętrza jak sople lodu.

Chociaż górna warstwa gleby była spieczona na kamień, w dole wykopu odczuwało się wilgoć. Lily wspominała, że starożytne miasto zostało zmyte z powierzchni ziemi. Ciekawe, czy woda była uwięziona pod powierzchnią przez dwa i pół tysiąca lat.

– Padało?

– Tutaj to mało prawdopodobne. Znajdujemy się poniżej poziomu wód gruntowych.

– Richard wskazał żółte plastikowe rurki wychodzące z wykopu i podłączone do kilku szumiących elektrycznych pomp. – Urządzenia pracują na okrągło. Gdyby nawaliły, spotkałby nas ten sam los, jaki był udziałem dawnych mieszkańców.

– Co się stało? – Kałuża czarnej cieczy wypełniała narożnik wykopu, przelewając się na fragment odsłoniętej ściany.

– Dziś rano wysiadła jedna z pomp. Zanim zdążyliśmy ją naprawić, woda sięgnęła kolan. – Richard zdjął kapelusz, żeby otrzeć czoło, odsłaniając spoconą, potarganą czuprynę. – Mamy jedną awarię za drugą.

Do Richarda podeszła wysoka dziewczyna w czapce baseballowej Edmonton Oilers.

– Mógłbyś rzucić na coś okiem? – zapytała, nie zwracając uwagi na Jonaha.

– Oczywiście, za minutkę...

Jonah spojrział w górę wykopu, ale Lily nadal nie było.

– Wybiorę się do laboratorium.

– Masz samochód?

– Czy to daleko?

– W tym przeklętym upale? Sprawdzę, o co chodzi, i cię zawiozę. Za minutkę wrócę.

Mało brakowało, a poszedłby sam. Laboratorium musiało być niedaleko, on zaś bardzo pragnął zobaczyć Lily. Poza tym czuł, że dzieje się coś złego. Mimo ostrego słońca nad wykopem wisiała czarna chmura. Ochotnicy unikali jego wzroku, jakby wszyscy ciężko pracowali, choć nikt ich nie przynaglał. Zbili się w małe grupki, zerkając przez ramię w obawie, że ktoś ich podsłucha. Czyżby rozmawiali o nim?

Czuł się potwornie zmęczony, poza tym był upał – w takich warunkach łatwo o paranoję. Z pewnością nie rozmawiali o nim, choć po sześciu tygodniach pracy na wykopaliskach każdy przybysz wydaje się bardziej interesujący od kolejnej szufli ziemi.

Niecierpliwość zwyciężyła – szybciej dotrze na miejsce samochodem. Usiadł w cieniu rowu na płaskiej podstawie kolumny i wyciągnął telefon.

Przyjechałem! Za minutę Richard podwiezie mnie do laboratorium. Załóż swój kapelusz.

Wysłał wiadomość i czekał. Minęły dwie minuty, później umknęło kolejnych pięć minut. Po drugiej stronie wykopu Richard prowadził ożywioną rozmowę telefoniczną, marszcząc brwi. Jonah spojrział na swój telefon, czekając na odpowiedzi od Lily.

Mijały kolejne minuty.

Rozdział 5

Bądź czujny, żeglarzu! Na morzu i ziemi, wszędzie można napotkać groby rozbitków.

Platon, *List XV*

Obserwowało mnie dwoje oczu. Były umieszczone na słupkach i przypominały czarne gwiazdy. Obracały się wolno, z boku na bok, lustrując moją postać. Oceniając.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytałem potwora.

Monstrum wysunęło różowe ramię. Ramię nie miało dłoni, ale było zakończone potężnym ząbkowanym pazurem. Leżałem bez ruchu, gdybym się bowiem poruszył, pewnie rozszarpałoby mnie na części.

Drgnąłem, kiedy szpon dotknął mojego nosa. Ślepie mrugnęły. Krab cofnął szczypce i uciekł po piasku. Okazało się, że nie był aż tak duży, jak mi się zdawało.

Byłem tak spragniony, że mało nie umarłem. Bolało mnie całe ciało. Czułem się jak piasek, który dostatecznie długo leżał na słońcu, że byle powiew wiatru mógł go rozwiać na cztery strony świata.

Rozejrzałem się wokół i ujrzałem barwy: zieleń drzew, błękit nieba, biel piasku. Na krawędzi pola widzenia ukazała się piana niesiona przez fale. Krab zniknął.

Dźwignąłem się. Z głowy zsunęły się skręcone wodorosty. Niebo było czyste, drzewa stały nieruchome, fale cicho szemrały, rozmawiając ze sobą. Pośród wodorostów, muszli i dryfującego drewna ujrzałem kawał liny i wygięty fragment deski przypominający element kadłuba. Ujrzałem także Eufemosa – rozciągniętego na piasku i chrapiącego jak pijany.

Pamiętałem wszystko jak sen. Głos dobiegający z morza. Moje ramię oplatające jego klatkę piersiową i walkę z falami tak ciężką, że byłem pewien swojej śmierci. I piasek pod stopami. Nie mogłem uwierzyć, jak ciężki jest ten Eufemos.

Rozejrzałem się wokół, ogarniając wzrokiem nowy świat. Plaża przechodziła łukiem w długą zatokę, okolona sosnami i cyprysami. Kawałek dalej, na łasze piachu lizanej przez fale, leżał przewrócony kadłub „Kallisto”. Maszt żaglowca zniknął, wzdłuż kadłuba biegła zaś poszczerbiona rana. Tłusta brązowa plama oliwy zabarwiła wodę wokół statku. Ocaleliśmy tylko my dwaj – Eufemos i ja.

Rozprostowałem palce zaciśnięte w pięść. Zielony gładki kamień z rozbitego statku lśnił w mojej wilgotnej dłoni. Zmrużyłem oczy i spojrzałem nań ze zdumieniem. Czy

naprawdę ścisnąłem go podczas burzy, gdy nasz statek tonął?

Uklęknąłem i potrząsnąłem Eufemosem, żeby go obudzić. Usiadł.

– Gdzie jesteście?

– W Italii. – Wypowiedzenie tego słowa sprawiło mi ból.

Eufemos potarł oczy. Na jego twarzy można było dostrzec zaschłą sól.

– Myślałem, że nie żyję.

– Potrzebujemy wody.

Z plażą graniczyła ściana lasu, ale w niewielkiej oddali spostrzegłem przerwę między drzewami. Dźwignąłem Eufemosa, opierając się o niego w celu zachowania równowagi. Po długim czasie spędzonym na morzu piasek zakołysał się pod stopami. Brzuch miałem obolały, jak po zapaśniczej walce. Dwa razy omal nie upadłem, gdy szliśmy w kierunku linii drzew.

– Co to takiego?

Spojrzałem w dół i stanąłem jak wryty. Sztormowe fale wygładziły plażę, ale w tym miejscu – tuż za granicą przyływu – ktoś naruszył jej ład. Albo raczej stworzył go na nowo. Liczne białe kamyczki tworzyły kwadrat, w środku którego narysowano kilka geometrycznych figur. Trzy kwadraty – dwa identyczne i jeden nieco większy – rozmieszczono w taki sposób, że ich krawędzie wyznaczały trójkąt.

Eufemos cofnął się z mrocznym pomrukiem, który zabrzmiał jak „czary”. Omal się nie roześmiałem.

– To nie magia, tylko matematyka! – wychrypiałem. – Musimy się znajdować blisko ludzkiej cywilizacji.

Ścieżka wyprowadziła nas z plaży między drzewa. Dywan sosnowych igieł stłumił odgłos kroków. Las pochłoniął zgiełk morza, tak że było słyhać jedynie szum wiatru między gałęziami. W powietrzu zawisła czarowna cisza. Byłem ciekaw, kto wytyczył ścieżkę, którą podążaliśmy. Czyżby ci sami ludzie, którzy ułożyli figury na plaży?

Powiew wiatru sprawił, że las wydał westchnienie. Oprócz niego przyniósł coś jeszcze – dziwną muzykę wijącą się meandrami pozbawionych melodii dźwięków, które zdawały się rozbrzmiewać zgodnie z jakimś ukrytym schematem. Nie były to dźwięki fletu ani liry, ale niskie pobrękiwanie dzwonek.

Przyspieszyliśmy kroku. Po chwili ścieżka doprowadziła nas do polany, gdzie las był powstrzymywany przez okrągły kamienny mur. Wewnątrz ogrodzonego miejsca wiała się spiralnie zwirowa ścieżka, prowadząca do małej okrągłej świątyni. Przed świątynią znajdował się ołtarz, przed ołtarzem zaś – w samym centrum okręgu – było źródło z wodą spływającą do kamiennego basenu.

Minęliśmy bramę i podeszliśmy wprost do basenu, ignorując spiralną ścieżkę. Moje dłonie znajdowały się kilka centymetrów od wody, kiedy Eufemos mnie powstrzymał.

– Czy to bezpieczne?

Zawahałem się. Chciałem zignorować jego słowa, wskoczyć do sadzawki i pić do-

póty, dopóki nie zapomnę, że istnieje coś takiego jak pragnienie. Eufemos miał jednak słusność. Byliśmy w dziwnym kraju, którego mieszkańcy oddawali cześć dziwnym bogom. Może istniał jakiś zakaz?

Woda ciemno połyskiwała, zachęcając, żeby się napić. Dziwna muzyka zabrzmiała ponownie, tym razem znacznie bliżej. Rozejrzałem się wokół.

Nie wiedziałem, jakie bóstwo strzeże tego miejsca, ale najwyraźniej domagało się dziwnych ofiar. Wokół leżały drewniane ramy powiązane sznurami niczym elementy jakiejś ogromnej maszyny. Płytkie dołki w ziemi wypełniały inne figury, podobne do tych, które widzieliśmy na plaży. Siedem metalowych rurek różnej długości wisiało na gałęzi drzewa, uderzając o siebie na wietrze i wytwarzając ciągle zmieniającą się muzykę, którą słyszałem. Bachus obserwował z cokołu przebieg wydarzeń. Mimo to woda mnie kusiała.

– Jaki grzech można popełnić, pijąc wodę?

Nagle z lasu wyleciał jakiś przedmiot i bez ostrzeżenia uderzył mnie w głowę. Słaby i pozbawiony równowagi, przewróciłem się i wpadłem z pluskiem do sadzawki.

Eufemos schwycił mnie i wyciągnął. Kiedy się otrząsałem, na ziemi obok mnie leżało jabłko, na moim czole pęczniał zaś duży brązowy siniak odpowiadający mu wielkością. Na skraju polany, za murem granicznym, stał mężczyzna i nas obserwował.

Podskoczyłem na jego widok. Był wysoki i chudy jak tyczka, o okrągłej głowie, która wyglądała tak, jakby została pożyczona od kogoś znacznie większego. Siwe włosy splecione z liśćmi sterczały na wszystkie strony. Liście przylgnęły także do jego białej tuniki, jakby przespał noc w lesie. Nie wydawał się dostatecznie silny, żeby rzucić jabłkiem tak mocno.

– Czy możemy się napić?! – zawołał Eufemos.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Potrzebujemy wody! – wychrypiałem.

Nieznajomy rozważył moje słowa, po czym ostrożnie obszedł mur, zmierzając w stronę bramy. Następnie złożył pokłon i ruszył ścieżką, okrążając nas trzykrotnie, zanim dotarł do środka.

– Jestem Eurytos – oświadczył, jakby coś nam to mówiło.

Wyglądem przypominał banitę lub zbiegłego niewolnika, ale najwyraźniej nie był całkowicie pozbawiony środków. Na szyi nosił złoty dysk z wrytymi drobnymi znakami, zawieszony na skórzanym pasku.

Spojrzałem mu w oczy i zrozumiałem, że wyglądam nie lepiej od niego.

– Nasz statek zatonął – wyszeptalem. – Potrzebujemy wody.

– Chodźcie!

Ruszyliśmy za nim do bramy, słuchając, jak mruczy coś pod nosem. Muzyka poruszanych wiatrem dzwonek cichła w miarę oddalania się przez nas od przybytku, ginąc w lesie. Po chwili dotarliśmy do wąskiego strumienia płynącego między topolami.

– Tej wody możecie się napić.

Uklękaliśmy na brzegu i zaczęliśmy chleptać wodę jak psy. Ponownie omal się nie utopiłem. Eurytos oparł się o drzewo, bacznie nas obserwując.

– Jesteście z Aten?

Skinąłem głową zaskoczony. Po czym to rozpoznał? Czyżby w owym lesie wałęsali się inni przemoczeni Ateńczycy? Czyżbyśmy stanowili aż tak pospolity widok?

– Nasz statek zmierzał do Tarentu – wyjaśnił Eufemos. – Czy to daleko stąd?

– Czternaście i pół tysiąca stóp.

– Możesz nas tam zaprowadzić?

Obejrzał nas dokładnie.

– Powinniście najpierw odpocząć.

Sądząc po wyglądzie Eurytosa, oczekiwałem, że jego domostwo będzie lichym szałasem zbudowanym z mchu i gałęzi, podobnym do tego, do którego centaury zaprowadziły młodego Achillea, aby go karmić jagodami. Okazało się jednak, że mieszkał on w całkiem sporym wiejskim domu za lasem, z którego rozciągał się widok na uprawną dolinę. Przynajmniej tyle spostrzegłem, zanim runąłem na jego zdumiewająco wygodne łóżce.

Zamierzałem się zdrzemnąć kilka godzin, ale kiedy się przebudziłem, zachodzące słońce zabarwiło okno delikatnym pomarańczowym światłem. Na stołku obok łóżka leżało świeże ubranie. Eufemos spoczywał obok mnie, chrapiąc niczym marmurowa piła.

Ubrałem się i wyszedłem na zewnątrz. Główna izba, pełniąca funkcję salonu, była pusta, ale do moich uszu dobiegło zza okna delikatne, nieregularne stukanie przypominające odgłos ciężarków od krosna.

Eurytos klęczał na dziedzińcu. Początkowo nie rozpoznałem jego postaci. Przebrał się w czystą białą wełnianą tunikę i uczesał włosy, nadając im gładki, niemal czcigodny wygląd. Nie uczyniło go to jednak normalnym. Rysował coś na ziemi, pochylony nad dołkiem w piasku, i układał figury z białych kamyków, mrucząc coś pod nosem. Co pewien czas pochylał się nad leżącym nieopodal liczydłem i głośno przesuwiał koraliki z jednej strony na drugą, po czym powracał do kamyków.

Chociaż było wiele ważniejszych spraw, nie mogłem się powstrzymać przed zapytaniem:

– Co robisz?

– Przeprowadzam eksperymenty – odparł, nie podnosząc głowy.

– To jakiś rodzaj sztuki?

– Filozofia.

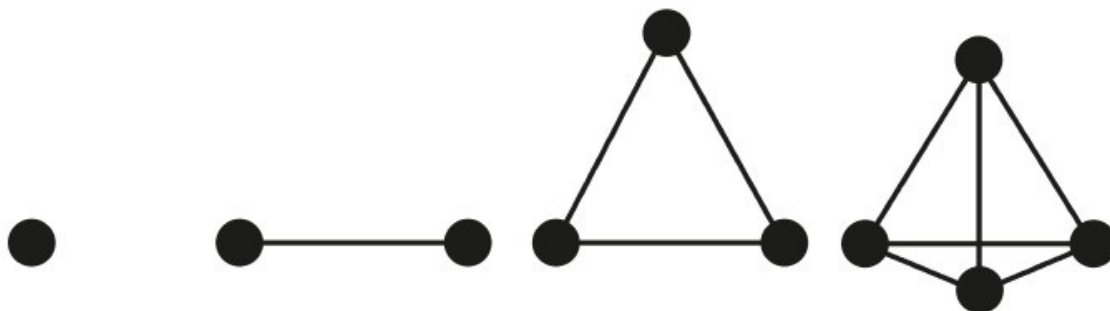
Kształty na piasku przypominały dziecinne obrazki – patykowate postaci ludzi i zwierząt stojące przed patykowatymi domami w otoczeniu innych, jeszcze bardziej abstrakcyjnych figur. Całego mnóstwa trójkątów.

Przypomniałem sobie figurę nakreśloną na plaży.

- To geometria?
- Geometria bada kształty, mnie zaś intrygują liczby.
- Nie dostrzegam tutaj żadnych liczb.
- Trzeba umieć je policzyć.

Zgarnął kamyki i zaczął ponownie układać, powoli i z namysłem.

– Świat jest zbudowany z liczb. Jedyńka to punkt. Dwójka tworzy odcinek. Trójka określa przestrzeń, czwórka zaś – mówiąc to, położył kolejny kamyk – to objętość, ciała stałe.



Nakreślił palcem linie na piasku, żeby połączyć kamyki.

- Widzisz? Jeden, dwa, trzy, cztery. Myślisz, że to przypadek?
- Hm...
- Wszystko, co istnieje, ma swoją liczbę. – Sięgnął po kolejne kamyki, układając z nich następną patykową postać. – Jeśli uda się nam odgadnąć liczbę każdej rzeczy, zdołamy pojąć sposób działania świata.

– Kto tak powiedział? – Zza naszych pleców dobiegł głos Eufemosa, który podszedł niepostrzeżenie i spoglądał przez ramię Eurytosa na figury na piasku.

- Filozof. Pierwszy i największy.
- Jaki filozof?

Eurytos nie odpowiedział, ale gdy spojrzałem na trójkąty, które narysował, nagle odgadłem odpowiedź. Przypomniałem sobie list Agatona.

Nauczyciel pitagorejczyk ma księgę mądrości, którą pragnie sprzedać.

- Mówisz o Pitagorasie? Jesteś pitagorejczykiem?

Eurytos przekreślił dłoń i wykonał dziwny gest, dotykając złotego medalionu na szyi.

- Tylko ludzie oświeceni powinni wypowiadać jego imię.
- Przybyłem do Italii, żeby odnaleźć przyjaciela. Napisał mi, że studiuje razem z pitagorejczykami dzieła nauczyciela. – Eurytos wzdrygnął się ponownie, gdy wypowiedziałem to imię. – Zwie się Agaton. Może go poznałeś?

Moje pytanie wywołało niezwykły skutek. Eurytos wyglądał tak, jakby połknął jeden ze swoich kamyków. Natychmiast je zgarnął i wsunął z grzechotem do niewielkiej saskwy.

– Prawda jest święta – mruknął. – Nie wolno o niej rozprawiać.

– Wiele macie zakazów – zauważył Eufemos. – Czy jest coś, o czym możecie rozmawiać?

Machnąłem ręką, dając mu znak, żeby zamilkł.

– Czy Agaton tutaj był? Zatrzymał się u ciebie? – Agaton był jednym z najdelikatniejszych ludzi, jakich znałem, ale miał przenikliwy umysł, ostry niczym miecz, i nie lękał się przelać krwi. Wyobraziłem sobie, jak mogła wyglądać rozmowa, jeśli Eurytos zaczął mu pokazywać swoje kamyki.

Starzec pokręcił głową.

– Ale go znasz?

– Archytas się tym zajął. On ci powie.

– Czym się zajął?

– Archytas ci powie – powtórzył.

– Kim jest Archytas?

Starzec zaciągnął mieszek i wstał.

– Zaprowadzę cię do niego.

Rozdział 6

JONAH – SIBARI

Cień przysłonił zatopione miasto. Lily nadal nie wróciła, chociaż ochotnicy zabrali narzędzia i przykryli wykop plastikową płachtą.

Nie powinien był czekać. Dotarłby na miejsce dawno temu, teraz jednak mogliby się minąć, gdyby pojechał do laboratorium, ona zaś udała się piechotą. Wprowadził jej numer. Telefon dzwonił bez końca. Omal nie wyłączył dzwiku, ale Lily nie odebrała.

Nie mógł dłużej czekać. Wstał i odnalazł Richarda na drugim końcu wykopu – razem z dwoma ochotnikami badał rączkę jakiegoś naczynia wystającą z ziemi.

– Pójdę po nią – oznajmił. – Jeśli wróci, powiedz, żeby do mnie zadzwoniła.

Richard podniósł głowę.

– Przepraszam! – Machnął ręką. – Mamy zwariowany dzień. Będę za minutę.

– Nie musisz.

– Dobrze, dobrze. – Richard podał notes jednemu z ochotników i sięgnął do kieszeni po pęk kluczy. – Już jedziemy.

Jonah wygramolił się z wykopu i wszedł do jednej z furgonetek. Ból głowy powrócił. Ciepło oczekiwania ostygło, utkwilo grudą w gardle, przerodziło się w rozczarowanie i niepewność. Wyciągnął komórkę. Nadal żadnej wiadomości.

Richard pojechał piaszczystą drogą w kierunku nadmorskiej autostrady, po czym skręcił przy zakładzie kamieniarskim. Kawałek dalej, obok torów, na skraju pola stał dwupiętrowy wiejski dom otoczony drzewami cytrusowymi i lśniącym drutem kolczastym. Droga zajęła im trzy minuty.

Mógł tam dotrzeć pieszo w dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Zamiast tego zmitrężył prawie trzy kwadransy, czekając na Richarda. Sfrustrowany tupnął nogą o podłogę samochodu, kiedy Richard otwierał bramę.

Na werandzie domu siedziało pół tuzina ochotników z wiadrami pełnymi błotnistej wody, oczyszczając szczoteczką do zębów różowe fragmenty glinianych garnków. Obmyte skorupy schły na słońcu. Jonah przypomniał sobie zdjęcia wykonane po katastrofie lotniczej, przedstawiające magazyn, w którym śledczy próbują odtworzyć przebieg zdarzenia na podstawie szczątków maszyny.

– Widzieliście Lily?

Muskularny chłopak w zielonym podkoszulku podniósł głowę.

– Nie.

– Przyszliśmy pół godziny temu – dodała siedząca obok dziewczyna, mówiąc z wyraźnym amerykańskim akcentem. – Może jest na górze.

Jonah pobiegł schodami, przeskakując po dwa stopnie. Laboratorium było prostym pomieszczeniem, pośrodku którego zestawiono kilka drewnianych stołów, nadając wnętrzu charakter szkolnej pracowni przyrodniczej. Oprócz stołów dostrzegł brudny zlew, mikroskop, komputer i plastikowe torby z fragmentami ceramiki. Na stole stała na wpół zrekonstruowana czarna waza i wyszczerzona w uśmiechu czaszka.

Nadal ani śladu Lily.

– Pewnie wróciła do hotelu – zasugerował Richard, stając za jego plecami. – Wspominała, że dokucza jej upał.

Jonah rozejrzał się po pokoju, jakby Lily mogła wyskoczyć spod stołu lub zejść z jednego z obrazków wiszących na ścianie. Jego twarz pokrył lodowaty pot.

Richard przebywał w innym świecie.

– Odwiozę cię do hotelu – zaproponował. – Pewnie siedzi w basenie.

Lily uwielbiała wodę. Podczas ich pierwszych wspólnych wykopalisk w Grecji rywalizowali o to, kto pierwszy dopłynie do małej wyspy nieopodal brzegu, i wciągali się na skały, unikając jeźowców, które mogły pokłuć stopy jak igły. Powiedział jej, że w poprzednim życiu była delfinem. Taki był także pierwszy prezent, który jej podarował – wisiołek z delfinem.

Ktoś otworzył drzwi prowadzące do biura za laboratorium. Nieznajoma dziewczyna w kusym ubraniu wystawiła głowę na zewnątrz. Była młoda, jak pozostali, o długich kasztanowych włosach. Zauważyła Jonaha i zatrzymała na nim wzrok dłużej, niż było to konieczne.

– Czym mogę służyć?

– Szukam Lily.

Dziewczyna odruchowo podniosła dłoń do ramienia i poprawiła pasek stanika.

– Jesteś Jonah, prawda? Lily powiedziała, że dziś przyjedziesz.

– Czy ona tu jest?

– Hm... nie jestem pewna. – Spojrzała na Richarda. – Mamy tu coś, co powinieneś zobaczyć.

– Wrócę za minutę.

Richard wszedł do pokoju bez przeproszenia i zamknął za sobą drzwi. Jonah miał ochotę zabrać kluczyki do jego samochodu i pojechać do hotelu. Zmarnował dużo czasu na miejscu wykopalisk i miał wrażenie, że za chwilę wybuchnie.

Pomyślał, że Richard zawsze był dupkiem. Osunął się na jedno ze sfatygowanych krzeseł i zamknął oczy. Od czasu kiedy się obudził, miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie, jakby ktoś porzucił meble, kiedy spał.

Nie myślisz trzeźwo – powiedział sobie. Upał, zmęczenie i uczucie pustki po zakończeniu podróży. Oczywiście Lily zapewne wróciła do hotelu. Gdyby nie zatrzymał się

na ostatnią kawę w przydrożnym barze, zastałby ją na śniadaniu.

Otworzył oczy. Ze stołu wpatrywała się w niego niekompletna czaszka. Miała jeden oczodół i twardą grudę ziemi w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się mózg.

Wiem, jak się czujesz.

Rozejrzał się wokół, próbując odnaleźć Lily wśród laboratoryjnych rupieci. Na stołach leżały drobne artefakty, zapakowane w plastikowe torebki z paskiem papieru zawierającym informację o miejscu, w którym je znaleziono. Niektóre notatki wyglądały na sporządzone ręką Lily. Do ściany przymocowano pinezkami skserowany dowcip rysunkowy, stary komiks Far Side, który zapamiętał z jej biura w Londynie. Szatan z widłami pchał zdezorientowanego nieszczęśnika w kierunku pary drzwi oznaczonych napisami zostaniesz potępiony, jeśli to zrobisz i zostaniesz potępiony, jeśli tego nie uczynisz. U dołu umieszczono podpis: musisz dokonać wyboru. Na szafce pod rysunkiem leżał zeszyt w czarno-białej okładce.

Richard nadal był w biurze, Jonah podszedł więc do szafki i otworzył zeszyt. Na okładce widniał tytuł Dziennik wykopalisk wykonany wyraźnym, odręcznym pismem Lily.

Zaczął przeglądać strona po stronie skrupulatne uwagi Lily i jej schludne rysunki przedstawiające znalezione przedmioty. Monety, naczynia i grzebień z rączką w kształcie centaury.

Jeden z rysunków zajmował niemal całą kartkę.

Przedstawiał cienki cylindryczny przedmiot z wgnieceniami i wygięciami, przypominający papieros rzucony na ziemię.

Dwa kółka mocowały go do łańcuszka, który naszkicowano obok.

Pod spodem widniało oznaczenie r27: tabliczka/wisiorek/pudełeczko i skala, z której wynikało, że artefakt miał około czterech centymetrów długości.

Już miał odwrócić kartkę, gdy zauważył nierówną krawędź w miejscu sąsiedniej strony. Dziwna sprawa, archeolodzy bowiem niemal obsesyjnie zapisywali wszystko, co zrobili. Ich czynności były jednorazowe i niepowtarzalne, nie mieli więc innego wyboru. W chwili gdy ostrze spadła zagłębiało się w ziemi, niszczyli przedmiot, który chcieli zbadać. Gdyby go nie udokumentowali, byłoby tak, jakby w ogóle nie istniał.

– Co robisz? – zapytał Richard, stając w drzwiach biura. – To poufne materiały, przecież wiesz.

– Przeglądałem rzeczy Lily. – Jonah zamknął zeszyt i odsunął go od siebie. – Brakuje jednej kartki.

Twarz Richarda skamieniała.

– Doprawdy?

– Powiedziałem to, abyś nie myślał, że ją ukradłem.

– Nie ulegaj paranoi! – Richard rzucił mu kluczyki do samochodu.

– Poszukajmy Lily.

Kiedy wrócili do hotelu, cienie uległy wydłużeniu, a marina się ożywiła.

Dzieci grały w piłkę na drodze, używając kontenerów na śmieci jako bramek, opaleni na brąz mężczyźni w kąpielówkach polewali jachty wodą z ogrodowych węży. Jonah udał się prosto do pokoju Lily. Pragnął, żeby ten dzień jak najszybciej dobiegł końca – rozpoczęty w Berlinie i zakończony na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Pragnął ujrzeć Lily, pragnął jej dotknąć, zasnąć i obudzić się z nią u swojego boku.

Prosta sprawa.

Drzwi do pokoju nie były zamknięte.

Napięcie zaczęło powoli opadać.

– Lily? – zawołał, otwierając drzwi.

Pokój okazał się jednak pusty. Tak pusty, że Jonah potrzebował chwili, aby zdać sobie z tego sprawę. Ani śladu Lily, ani śladu najdrobniejszego przedmiotu. Wszystko zniknęło: ubrania z krzesła, budzik, buty i laptop. Na świeżo zasłanym łóżku leżały nowe ręczniki. Jakby Lily nigdy nie istniała.

Sprawdził numer na drzwiach, aby się upewnić, że jest we właściwym pokoju.

Otworzył szafy. Były puste, podobnie jak szuflady nocnego stolika i łazienka.

Kiedy rozwarł okiennice, spostrzegł, że czerwony ręcznik i kostium bikini zniknęły z balkonowej poręczy.

Odwrócił się powoli, a może to pokój zawirował, on zaś poddał się tylko jego ruchowi. Nogi się pod nim ugięły. Od strony basenu dobiegł krzyk dziewczyny.

Usiadł na łóżku.

Na płycie podłogowej obok nocnego stolika lśniła woda. Woda ze szklanki, którą przewrócił podczas snu. Nie było wątpliwości, że jest we właściwym pokoju.

Komórka zawibrowała na udzie, wywołując takie wrażenie, jakby ktoś dźgnął go w nogę. Wyciągnął ją z kieszeni i odczytał wiadomość.

Pilna sytuacja rodzinna – musiałam niezwłocznie wyjechać do domu.

Przykro mi, że się minęliśmy.

Wyjaśnię to później.

Przeczytał wiadomość jeszcze raz, próbując ją zrozumieć, ale nie potrafił – słowa nie miały żadnego sensu.

Dlaczego nie zadzwoniła? Wprowadził jej numer spoconymi, drżącymi palcami.

I tym razem telefon dzwonił bez końca płaskim, monotonnym dźwiękiem kontynentalnego systemu telefonicznego, nie zaś znajomym „dzyń, dzyń”.

Przynajmniej nadal była w kraju. Może prowadziła samochód i nie mogła odebrać.

Rozłączył się i wpisał pilną wiadomość: **Wszystko w porządku? Gdzie jesteś? Co się stało?**

Kolejnych dziesięć minut należało do najdłuższych w jego życiu. Później nadszedł kolejny esemes:

Mama znowu się przewróciła.

Muszę z nią być. Bateria mi się kończy. Zadzwonię, kiedy dotrę do Londynu.

Runął na łóżko, obserwując łopatki wentylatora wirujące na suficie. Kiedy dotrę do Londynu? Jechał niemal dwadzieścia cztery godziny, żeby się z nią spotkać, a ona poleciała do Londynu? Bez zobaczenia się z nim.

– Co ja, u licha, robię we Włoszech?

– zapytał na głos, jakby zwracał się do pustego pokoju.

Wstał i wyszedł na balkon. Na dole dzieci baraszkowały w basenie, ich rodzice wylegiwali się na leżakach z telefonami i papierosami w ręku.

Wśród opalonych ciał dostrzegł parę ohydnie białych nóg w beżowych szortach, wystających spod cienia rzucanego przez parasol.

Zbiegł na dół i ruszył w kierunku basenu. Richard siedział na leżaku z otwartą książką na kolanach i telefonem w ręce. Wsunął telefon do kieszeni i spojrzął na Jonaha zza przydużych okularów przeciwsłonecznych.

– Właśnie zamierzałem do ciebie pójść. Dostałem wiadomość od Lily.

– Ja również – odparł Jonah. – Wyjechała.

– Bez uprzedzenia.

Bez uprzedzenia? Przecież wiedziała, że przyjeżdża. Musiała wiedzieć, że dotarł na miejsce. Nie mogła nie zauważyć furgonetki zaparkowanej przed hotelem. Dlaczego nie odnalazła go przed wyjazdem?

Przecież wystarczyło zadzwonić.

– Wyjaśniła, o co chodzi? – zainteresował się Richard.

– Jej mama znowu się przewróciła. – Dwa lata temu matka Lily spadła ze schodów i złamała biodro. Kości się zrosły, ale starsza pani nie odzyskała pewności siebie. Żyła w strachu, że ponownie ulegnie wypadkowi.

Tylko że obok mieszkała siostra Lily.

Czy nie mogła zaopiekować się matką?

Po co ten cały pospieszny wyjazd do domu?

Powinien zadzwonić do jej rodziny i zapytać, co się stało, ale najpierw...

– Gdzie jest najbliższe lotnisko?

– Zwykle korzystamy z lotniska w Bari. Lotniska w Neapolu i Brindisi są w podobnej odległości.

Hotelowe WiFi obejmowało swoim zasięgiem okolice basenu, Jonah użył więc komórki, aby podłączyć się do sieci i sprawdzić najbliższe loty. Mijały kolejne cenne minuty – Internet działał tak wolno, jakby ktoś był na linii i mozolnie wpisywał ręcznie każde słowo.

– Która jest godzina? – zapytał Richarda, nie podnosząc głowy.

– Dochodzi siedemnasta trzydzieści.

Ostatni samolot wylatywał o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt.

– Jak daleko jest lotnisko?

– Wszystkie są oddalone o trzy godziny drogi.

Jonah zaklął. Richard sięgnął po jego telefon i odczytał informacje o lotach.

– Nie dasz rady w piątkowy wieczór.

Wygląda na to, że utkwieś tu razem z nami.

Chyba że wrócisz samochodem...

Jonah wsunął rękę do kieszeni i odszukał kluczyki vana. Przez chwilę zastanawiał się nad pojechaniem samochodem.

Gdyby dzięki temu szybciej dotarł do Lily, w jednej chwili znalazłby się za kółkiem, choć zrobiło mu się słabo na myśl o kolejnych dwudziestu czterech godzinach jazdy.

Nie zyskałby jednak w ten sposób na czasie. Mógł wsiąść do samolotu jutro wczesnym rankiem i dotrzeć do Londynu w porze lunchu, kiedy jego van przekraczałyby Alpy, gdyby zdecydował się pojechać samochodem.

– Jestem pewien, że wszystko się wyjaśni – pocieszył go Richard. – To jedna z takich sytuacji. Spotkamy się na kolacji. O dwudziestej na tarasie.

Zapraszamy do naszej kompanii.

Powiedziawszy to, wstał i przypomniał sobie, że ciągle trzyma w dłoni telefon Jonaha. Wyciągnął rękę, żeby go oddać.

Nagle mała dziewczynka zaczęła biec wokół basenu, uciekając przed starszym bratem i tupiąc mokrymi stopami.

Richard uskoczył w bok, poślizgnął się na wilgotnych kamieniach i wyrzucił ramiona dla zachowania równowagi.

– Cholera!

Telefon Jonaha wypadł mu z ręki i poszybował w powietrzu. Jonah skoczył po niego, ale zrobił to za późno, poza tym był za daleko. Urządzenie wpadło do wody z głośnym pluskiem.

Kiedy opadało na dno, z obudowy zaczęły uchodzić małe banieczki powietrza.

Jonah chwycił rękę Richarda.

– Co robisz...?!

– Bardzo cię przepraszam.

Za przeciwsłonecznych okularów i gazet spojrzały na nich wszystkie oczy na basenie. Jakiś chłopiec zanurkował i wynurzył się z telefonem. Podał go Jonahowi, a następnie odpłynął, rozpryskując wodę. Jonah spojrzał na martwy kawałek metalu i szkła spoczywający w jego dłoni.

– Nie włączaj go – poradził Richard.

– Musi wyschnąć.

Jonah zamieniłby Richarda w kamień, gdyby posiadał taką moc.

Pięć minut przed dwudziestą ktoś zapukał do jego drzwi. Jonah jęknął, nie udzielając odpowiedzi. Nie miał ochoty na obiad. Nie miał ochoty nikogo widzieć. Nie poruszył się od czasu powrotu z basenu, a jego myśli wirowały w kółko, dopóki nie zamarły.

Nie myślał ani nie czuł, nie spał ani nie był przytomny. Po prostu był. Jedyнным doznaniem, jakie odczuwał, były bliżej nieokreślone mdłości, przypominające słaby promyk światła, który miał niebawem rozbłysnąć z całą siłą.

Ręce go bolały od wielu godzin spędzonych za kółkiem. Wyciągnął się na łóżku, chwytając palcami krawędź materaca.

Poczuł coś.

Między materacem i ścianą leżała książka. Lily musiała o niej zapomnieć, kiedy się pakowała.

Wyobraził sobie, jak do późna czyta w łóżku i wsuwa książkę pod poduszkę, po czym spycha za łóżko podczas snu.

Wyciągnął ją.

Książka otworzyła się na pierwszej stronie. Oczy przeczytały ją odruchowo.

Wczoraj zszedłem do Pireusu z moim bratem Glaukonem...

Spojrzał na okładkę.

Państwo Platona. Nietypowa wakacyjna lektura.

Odgadł, że zabrała książkę, ponieważ potrzebowała jej w pracy.

Na tytułowej stronie widniała dedykacja.

Dla Lily

– miłość jest prawdą, Adam Poczuł tępy ból podobny do zgagi.

Książka musiała być stara – Lily nie spotykała się z Adamem od lat. Był ciekaw, dlaczego zabrała ją do Włoch.

Poczuł kolejne ukłucie i zdał sobie sprawę, że nie ma niczego bardziej skomplikowanego od zemsty niezaspokojonego głodu. Nie jadł od śniadania na postoju w okolicy Neapolu.

Przynajmniej temu mógł zaradzić.

Odłożył książkę, wstał i obmył twarz wodą. Jego T-shirt był brudny, w pokoju nie miał jednak żadnych ubrań, poszedł więc do vana i wygrzebał coś czystego.

Zajrzał do lobby, aby zapytać, czy może zadzwonić do Lily z hotelowego telefonu, ale recepcjonistka zniknęła.

Odnalazł członków ekipy w tylnej części hotelu – na tarasie, z którego rozciągał się widok na marinę. Siedzieli przy długim stole, śmiejąc się i żartując w świetle kolorowych lampek rozciągniętych wzdłuż poręczy. Richard zajął miejsce w głowie stołu. Dla Jonaha nie było wolnego krzesła.

– Nie wiedzieliśmy, czy przyjdiesz.

Poprosilibyśmy o dodatkowe nakrycie.

Jonah zastygł w niezgrabnym oczekiwaniu, kiedy ochotnicy robili mu miejsce i przysuwali krzesło. Jego obecność wydawała się przeszkadzać w rozmowie.

– Zadzwoniłem do biura sprzedaży biletów – oznajmił Richard. – Byli bardzo mili. Zarezerwowali ci miejsce na pierwszy lot z Bari jutro rano.

– Czy Lily się odezwała? – Brak telefonu wywoływał poczucie bezsilności, odcięcia od świata. Musiał się z nią skontaktować.

– Pewnie siedzi w samolocie – odparł Richard, spoglądając w niebo, jakby mógł wypatrzeć samolot Lily mrugający między gwiazdami.

Jonah sięgnął po kawałek chleba i wsunął go do ust. Od tafli wody odbijały się światła żaglówek. Po drugiej stronie mariny dostrzegł ogromny jacht motorowy oświetlony jak scena.

Na stole pojawiły się talerze z włoskimi przystawkami. Richard sięgnął po jedną z nich i niezgrabnie posmarował chleb pastą z pomidorów dojrzałych na słońcu. Jonah musiał chwycić kieliszek z winem, żeby się nie przewrócił.

Poczuł kolejne ukłucie gniewu na wspomnienie telefonu.

Musiał niezwłocznie pomówić z Lily, ale czuł się zupełnie bezradny. Nie mógł zadzwonić do jej rodziny ani przyjaciół.

Wszystkie numery były zapisane w jego komórce. Tylko jeden numer znał na pamięć, ale Lily nie odbierała.

– Czy wspomniała o matce przed wyjazdem?

– Ani słowa. – Richard ugryzł kawałek chleba i na jego różową koszulę kapnęła kropla oliwy. Nigdy nie uważał przy jedzeniu. – Powiedziała jedynie, że jedzie do laboratorium.

Do jachtu motorowego po drugiej stronie mariny podjechał samochód.

Duży i czarny, przypominający mercedesa, który minął Jonaha na drodze. W okolicy nie mogło być dwóch pojazdów takiej wielkości.

Jonah obserwował, jak wysiada z niego czterech mężczyzn. Choć znajdowali się daleko, w sposobie ich zachowania było coś groźnego – rozproszyli się i wolno obracali głowami, jakby wypatrywali niebezpieczeństwa. Dwóch weszło na trap i zniknęło w głębi łodzi. Pozostali dwaj wrócili do samochodu i wyciągnęli duży pakunek z bagażnika.

Obaj musieli się schylić, żeby go podnieść.

Jeden z ochotników opowiedział dowcip o mafii. Pozostali wybuchli śmiechem, choć niektórzy uczynili to nerwowo. W końcu znajdowali się w południowych Włoszech.

Jeden z mężczyzn na nabrzeżu wyglądał znajomo. Tego dnia wydarzyło się tak dużo, że odpowiedź nadeszła dopiero po chwili. Poza tym był inaczej ubrany – miał na sobie czarną koszulę i dżinsy, nie zaś biały T-shirt z aligatorem na piersi.

Facet był hydraulikiem, który przyszedł naprawić prysznic w pokoju Lily – prysznic, który działał bez zarzutu. Co robił na pomoście?

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Jonah odsunął krzesło i wstał.

Krew napłynęła mu do głowy. Zachwiał się i chwycił stół. Studenci spojrzeli na niego, jakby był pijany. Wokół było słyhać urywki obcych rozmów unoszących się w po-

wietrze jak pył.

- To tania błyskotka.
- Sandi jest odmiennego zdania.
- Ari to dupek.

Kiedy się odwrócił, spostrzegł, że patrzy na niego kobieta siedząca przy sąsiednim stole. Było to spojrzenie nie przelotne, ale głębokie i badawcze. Była uderzająco piękna – miała krótkie czarne włosy i delikatne rysy twarzy złocące się w świetle kolorowych lampek. Na obnażonym ramieniu widniał wytatuowany kwiat lotosu. Jonaha opało natrętne uczucie, że gdzieś ją widział, choć mogła to zasugerować nadmiernie poufałym spojrzeniem. Może na koncercie?

Kiedy skierowała wzrok na talerz, uznał, że tylko mu się zdawało. Przez sześć ostatnich tygodni co noc oglądał setki twarzy oświetlonych przelotnie przez reflektory. Przeciężenie bodźcami podprogowymi. Jego mózg musiał gdzieś przechowywać te wszystkie obrazy. Pewnie dlatego Jonah tak często przeżywał *déjà vu*.

Z drugiej strony, jeśli nie uroił sobie incydentu z hydraulikiem, człowiek na nabrzeżu nie był fałszywym wspomnieniem.

Wybiegł z hotelu i popędził w dół ulicy. Kurort ciągnął się wzdłuż marin, kondominiów i hoteli wzniesionych przy długich palcach zatoki i oddzielonych miejscami do cumowania.

Przeciwnie nabrzeże znajdowało się zaledwie pięćdziesiąt metrów od linii wody, ale dotarcie do niego łodem wymagało pokonania niemal dwóch kilometrów. Dobiegł do niego w dziesięć minut, choć w połowie drogi czuł się tak, jakby miał zwymiotować.

Kiedy znajdował się w odległości zaledwie dwóch przecznic, zrozumiał, że przybędzie za późno. Próbował przyspieszyć, ale im bardziej się starał, tym wolniej się poruszała. Silniki ryknęły, po czym można było usłyszeć stłumiony szum śrub młócających wodę.

Dotarł do nabrzeża w chwili, gdy światła na pomoście nawigacyjnym zniknęły w ciemności. Kilwater lśnił fosforyzującą bielą. Na pawęży odczytał nazwę „Nestis”.

Nagle uderzyło go silne białe światło.

Czekający w ciemności mercedes ożył.

Kierowca, niewidoczny zza reflektorów, dodał gazu, następnie puścił sprzęgło tak gwałtownie, że trzytonowy wóz skoczył naprzód. Otoczyła go jasność. Przez chwilę Jonah myślał, że wóz zepchnie go do wody.

Mercedes w ostatniej chwili wykonał jednak gwałtowny skręt na trzech kołach i pędem odjechał. Świat zawirował. Za plecami usłyszał stukot kroków.

– Co ty wyprawiasz, do licha?! – Twarz Richarda poczerwieniała jak burak. Poły rozpiętej koszuli wysunęły się ze spodni, jedna ze sznurówek się rozwiązała. Richard zgiął się wpół, jakby miał kolkę. – Dobry Jezu...

– Pomyślałem... – Co właściwie sobie pomyślał? Nagle opadł z sił.

Czy naprawdę widział hydraulika na nabrzeżu – w ciemności, za wodą?

A może zmęczony umysł zalewał go obrazami? Może było to kolejne déjà vu?

Nad mariną przeleciała mewa. Po drugiej stronie zatoki dostrzegł pozostałych stółowników obserwujących go z hotelowego tarasu.

Z odległości miliarda kilometrów.

Zrozumiał, jak śmiesznie musi wyglądać. Woda się uspokoiła. Słabe fale uderzały o pale, wskazując, że kiedykolwiek cumowała tutaj łódź.

Richard wsunął koszulę w spodnie i otarł pot z czoła.

– Zobaczysz, że jutro wszystko będzie dobrze.

Rozdział 7

Przybysz z obcego kraju, który odwiedza główne miasta i zachęca najlepszą młodzież, aby za nim poszła, powinien się strzec. Szybko bowiem wywoła zazdrość, wzbudzi wrogość i skłoni do knucia intryg przeciwko sobie.

Platon, *Platon, Protagoras*

Ponownie tonąłem.

Próbowałem wypłynąć na powierzchnię, ale woda była gęsta, moje ramiona zaś ledwie się poruszały.

Krzyczałem.

Morze dostawało się do środka, wypełniało mnie, aż w końcu przestałem je czuć, ponieważ się nim stałem.

Oddychałem wodą.

Przepływała przeze mnie, kojąc strach. Kiedy podniosłem głowę, ujrzałem słońce – biały dysk połyskujący przez fale. Piekł moje oczy nawet pod wodą. Musiałem go dosięgnąć. Zacząłem płynąć w górę, ale słońce się nie zbliżało, choć byłem coraz wyżej.

Teraz znajdowałem się na lądzie.

Ciemne chmury zasnuły niebo, przesuając się nad równiną. W oddali majaczyła rozwidlona góra. Bosonoga bogini zbliżała się ku mnie, stąpając po ukwieconej łące. Powiewy wiatru rozwiewały jej suknię napiętą na marmurowej skórze. W jej włosach szeleścił bluszcz. Boskie oblicze było piękne i dostojne, ale twarde jak kamień. Kiedy się zbudziłem zlany potem, wiedziałem, że przed chwilą rzekła mi coś ważnego.

Gorączkowo myślałem, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć jej słów.

Eurytos pragnął jak najszybciej się nas pozbyć.

Po krótkim śniadaniu wyruszyliśmy do Tarentu. Pierwsze wrażenia z Italii po opuszczeniu plaży i lasu wprawiły mnie w zdumienie.

Spodziewałem się dzikiego pustkowia, a ujrzałem schludne rzędy drzew oliwnych i cytrusowych oddzielające posiadłości oraz gęstą pszenicę rosnącą między nimi. Trakt był gładki, domy wydawały się zadbane – równie dobrze moglibyśmy się znajdować w pobliżu Teb. W oddali rysowała się jednak wysoka wyżyna, kreśląc ostrą linię wyznaczającą granicę cywilizacji.

Kiedy dotarliśmy do Tarentu – drogą na grobli, która prowadziła przez mokradła – mury miasta okazały się grube, zaprawa zaś jeszcze biała. Nie wolno było zapo-

mnieć, że kolonia ta leżała na granicy dzikiego, nieznanego kraju.

Miasto zbudowano na pasie lądu między morzem i wewnętrzną laguną, aby miało naturalną ochronę za sprawą znakomitej zatoki (szkoda, że nasz statek nie zdołał do niej dotrzeć). Eurytos powiódł nas tłoczonymi uliczkami obok pięknych świątyń i ściśniętych domów.

On również wydawał się mniej dziki, niż początkowo sądziłem – na ulicy witało go wielu ludzi wyglądających na szanowanych obywateli. Przystawali, żeby z nim pomówić o interesach, było ich tym więcej, im bliżej znajdowaliśmy się agory.

Eurytos poprowadził nas przez plac do fontanny z Posejdonem stojącym na rydwanie ciągniętym przez cztery delfiny. Naprzeciw niego, niemal na tej samej wysokości, na stopniach gmachu zgromadzenia stał mąż w błękitnej szacie, tocząc ożywioną dysputę z kilkoma mężczyznami. Niektórzy byli ubrani jak żołnierze, inni mieli szaty kupców i prawników, ale wszyscy sprawiali wrażenie ważnych.

Eurytos precyzyjnie przeszedł przez ciżbę do męża stojącego na szczycie schodów i zdołał zwrócić na siebie jego uwagę.

Szepnął mi coś do ucha, wskazując na mnie i Eufemosa. Zagadnięty chwilę później przeprosił swoich towarzyszy i zszedł na dół. Jego rozmówcy udawali, że kontynuują rozmowę, ale zauważyłem, że wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę.

– To ci rozbitkowie. – Eurytos przedstawił nas przepaszającym tonem.

– A oto Archytas.

Był wysoki i pełen ogłady, o mocnych ramionach i krótkim kroku, jakiego się nabywa, maszerując w szyku z tarczą hoplity uderzającą o kolana. Później się dowiedziałem, że był moim rówieśnikiem, choć wyglądał na starszego. Miał dostojne siwe włosy i przenikliwe oczy, które lustrowały mnie w taki sposób, że odniosłem wrażenie, że widziały i zrozumiały więcej, niż kiedykolwiek zdołam.

– Witajcie! – rzekł. – „Jaki wasz naród, kraj i miasto? Jakie widzieliście strony? Do jakich dotarliście rubieży?”

Nie zrobił na mnie wrażenia, cytując słowa Homera, choć byłem pewien, że Eufemos uwielbiał takie rzeczy. Zanim zdążył odrzec w podobnym tonie, powiedziałem:

– Przybyliśmy z Aten. Nasz statek się rozbił.

– Co cię sprowadza do Italii?

Choć pytanie było proste, dwadzieścia głów pochyliło się w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Przypląnąłem w odwiedziny do przyjaciela.

– Agatona

– dodał Eurytos wyjaśniająco.

On i Archytas wymienili ze sobą krótkie spojrzenie.

– Znasz go, panie?

– Zapoznał nas wspólny znajomy – odparł Archytas. – Mieszkał u mnie.

Nie zrozumiałem, dlaczego użył czasu przeszłego

– Jak to mieszkał?

– Musiał nagle wyjechać.

– Miał się ze mną spotkać.

– Dlaczego wyjechał? – wtrącił się Eufemos, wyczulony na skandale.

– I dokąd się udał? – zapytałem.

– Pewnie wrócił do Turioj. Ma tam przyjaciela.

Zatrzymałem się u Demosa w Turioj.

– Mojego przyrodniego brata Demosa. – Myślałem gorączkowo, zaskoczony nieoczekiwanymi nowinami.

– Czy to daleko stąd?

Archytas lustrował mnie przenikliwym wzrokiem.

Jego spojrzenie coś komunikowało, ale nie zdołałem tego odgadnąć.

– Możesz dotrzeć do Turioj pieszo w trzy dni, ale szybciej będzie popłynąć łodzią.

– Nasza noga więcej nie postanie na pokładzie – oświadczył z naciskiem Eufemos.

Nie wiedziałem, dokąd się udam, ponieważ podróż do Tarentu mnie wyczerpała. Poza tym nie miałem nic oprócz odzienia na grzbiecie (pożyczonego od Eurytosa) i nie było mnie stać na posiłek, a co dopiero na podróż do Turioj. Odniosłem również wrażenie, że Archytas nie chce mi wyjawić pewnych rzeczy o Agatonie, rozpaczliwie jednak pragnąłem je poznać.

Archytas musiał wyczytać to wszystko w moich oczach, okazał mi bowiem zmiłowanie.

– Za późno już, aby wyruszyć w drogę. Możecie zanocować w moim domu.

Dom Archytasa stał niedaleko agory.

Przyćmiewał on wszystko, co widziałem w Atenach, i taki był przestronny, że Eufemos i ja dostaliśmy oddzielne pokoje. Archytas oszedł, powiadając, że musi załatwić pewne sprawy w mieście, Eufemos zaś zaoferował, że do niego dołączy, bez wątpienia licząc, że znajdzie jakichś klientów.

Wyciągnąłem się na łożu, próbując rozluźnić napięte mięśnie.

Oplotłem palcami krawędź materaca, ale ku mojemu zdumieniu zamiast miękkiej tkaniny wyczułem coś szorstkiego i twardego, co zmarszczyło się pod moim dotykiem. Wyciągnąłem ten przedmiot.

Okazało się, że to zwój, sfatygowany i pognieciony. Rozwinałem go na długość pierwszej kolumny, aby zobaczyć, co zawiera.

Droga prawdy, dzieło Parmenidesa.

Oczywiście studiowałem jego pisma, ale bez większego powodzenia.

Przedstawia on swoją naukę tak zwięźle i czyni to tak niejasnym językiem, że nie wiadomo, co o tym sądzić. W połowie – pod wpływem Głosu Pragnienia – dałem się uwieść jego mrocznym fantazjom i barwnym obrazom. Druga połowa – Głos Rozsądku

– upierała się jednak, że filozof, który ma coś ważnego do powiedzenia, powinien należycie to wyłożyć.

Przeglądałem zwój, spoczywając na łożu i rozmyślając o tym, kto go zostawił.

Ścieżka, którą przybyłeś, nie jest uczęszczanym traktem, którym podążają śmiertelni. Nie przywiódł cię tu jednak okrutny Los, tylko Prawda i Sprawiedliwości, abys nauczył się wszystkiego, co trzeba wiedzieć.

Są bowiem dwie drogi dociekania – droga, która jest, i droga, której nie ma. Jedna z nich jest niemożliwa, nie można bowiem podążać drogą, która nie istnieje. Nie wrócił również żaden z tych, którzy ją wybrali.

Być może dlatego, że przeczytałem te słowa na italskiej ziemi, gdzie zrodziły się jego idee, być może z powodu szoku wywołanego ostatnimi dniami – tak czy inaczej moje mury roztropności runęły.

Odkryłem, że podczas lektury Głos Rozsądku z jakiejś przyczyny stał się dziwnie uległy.

Nie pozwól, żeby nawyki skierowały cię na utartą ścieżkę. Nie kieruj się niewidzącymi oczami, niesłyszczącymi uszami i zdrętwiałym językiem, tylko rozumem. Myślą przeniknij rzeczy, które istnieją, choć wydaje się, że ich nie ma.

Nadal spoglądałem na rękopis, usiłując dostrzec rzeczy, które mogły się w nim znajdować lub mogło ich nie być, gdy usłyszałem zgiełk i gromki głos Archytasa wydającego polecenia niewolnikom. Zszedłem na dół.

Archytas przebywał w andronie, miejscu przeznaczonym dla mężczyzn.

Podobnie jak oni pomieszczenie to było surowe i pozbawione ozdób – czarno-białe płytki ułożone w trójkąty na posadzce, nieliczne naczynia obiadowe na pobielonych ścianach i brązowa zbroja w alkwie.

Stałem w drzwiach i omal nie upadłem, gdy mały chłopiec wpadł na mnie, uderzając w kolana, odbijając się od nich i przebiegając między nogami.

Cofnąłem się w samą porę, aby uniknąć zderzenia z kolejnym dzieckiem.

W kącie obok skrzyni na podłodze siedziało nagie niemowlę, ciągnąc drewnianą kaczkę na kółkach, która kwakała podczas toczenia.

– Czyżbym trafił do złobka? – zapytałem głośno, nie kryjąc zdumienia.

– Dzieci sprawiają, że czujemy się młodzi – odparł Archytas. – Czasami widzą bardziej wyraźnie niż dorośli.

Rzekłszy to, połaskotał niemowlę w policzek, gdy niewolnica zabierała je na stronę. Podałem mu zwój.

– Znalazłem tę księgę w mojej izbie.

Myślę, że pochodzi z twojej biblioteki, panie.

Archytas rzucił okiem na tytuł.

– Nie wiedziałem, co się z nią stało.

– Zwój wpadł za łóżko. – Przerwałem na chwilę. – Czy Agaton spał w nim przede

mną?

– Tak.

Także tym razem imię Agatona wzbudziło konsternację.

Oblicze Archytasa pociemniało, jego serdeczność ostygła.

Postanowiłem wybadać sprawę, żeby sprawdzić, co się okaże.

– Opowiedz mi o Agatonie. Dobrze się miewa?

– Tak, był zdrow, gdy go ostatnio widziałem.

– Wspomniałeś, że odszedł w pośpiechu.

– Zaiste tak było.

– Dlaczego?

– Nie powiedział.

Wyrzekł te słowa z goryczą, która sprowokowała mnie do zadania następnego pytania.

– Pokłóciliście się?

Archytas podniósł kaczkę i obejrzał ją od spodu, wciskając mocniej jedno z kółek.

– Czy Agaton jest twoim bliskim przyjacielem?

– Najlepszym, jakiego mam.

Spostrzegłem, że się zadumał. Jeśli mam być szczery, sam nie byłem pewien swoich słów. Z jednej strony Agaton jest moim najlepszym przyjacielem, którego wielce miłuję. Kiedy z nim mówię, czuję, jakbym miał serce na dłoni.

Z drugiej strony potrafi być uparty, nieszczerzy i okrutny, często również sprawia wrażenie, że nie zauważył twojego przyjścia lub wyjścia. Na przykład może poprosić, abys przepłynął morze, żeby się z nim spotkać, po czym wyjechać, zanim zdążysz dotrzeć na miejsce.

– Wiem, że Agaton bywa trudny – rzekłem, próbując podtrzymać rozmowę.

– Bywa również niecierpliwy.

Archytas z wolna skinął głową.

– Znudził się czekaniem?

– Sądził, że nauczę go czegoś, czego nigdy bym nie zdradził.

Nie zrozumiałem jego słów. Agaton przybył do Tarentu, żeby powitać mnie w porcie, nie zaś po to, aby studiować.

Dlaczego zatem wyjechał?

Spojrzałem na zbroję wiszącą na ścianie.

Była ładnie wykonana, jednocześnie praktyczna.

Promienie światła prześwitywały przez wyklepane otwory, a rozcięcia widniejące na skórzanych nagolenicach były zbyt głębokie, by pochodzić od ćwiczeń i markowanych uderzeń.

– Czy Agatona interesowała sztuka wojenna? – zapytałem, choć było to wielce nieprawdopodobne, znałem go bowiem jako niezwykle pokojowo nastawionego człowie-

ka.

- Albo polityka?
- Filozofia.

Archytas roześmiał się na widok mojej zdumionej miny.

- Nie wszyscy filozofowie są bosymi włóczęgami nagabującymi nieznajomych.

Przypomniałem sobie, z jakim szacunkiem odnosili się do niego mężczyźni w agorze, nawet starsi od niego.

- Nie wiedziałem, że jesteś filozofem.

Sądziłem, że jesteś kimś...

- Ważnym?

– Szanowanym.

– Jestem dowódcą garnizonu miasta, jeśli poczytujesz to za coś ważnego. – Uśmiechnął się. – W Italii godzimy filozofię z innymi zajęciami. Filozof może być nawet szanowanym obywatelem.

Nie była to rozmowa, o jakiej marzyłem, choć przybrała nowy obrót.

- Czego chciał od ciebie Agaton?
- Zafascynowała go nauka Pitagorasa.

Spojrzałem uważnie na mojego gospodarza, który w każdym calu różnił się od Eurytosa.

- Jesteś pitagorejczykiem, panie?

– Matematykiem.

- Jak Eurytos?

– Obaj uważamy, że kluczem do rozwikłania zagadki świata są liczby.

On jednak sądzi, że chodzi o nie same.

Patrzy na rzeczy jednostkowe i myśli, że zdoła z nich wyczytać ogólne zasady, jakiś rodzaj sensu.

Ja postępuję odwrotnie.

Złączył kciuki i palce wskazujące, czyniąc z nich prymitywny trójkąt.

- Możesz dopatrzeć się w tym trójkąta, ale figura z palców nim nie jest.

Moje palce nie są proste, kąty zaś nie są dokładne.

Gdybyś próbował formułować na tej podstawie ogólne sądy o trójkątach, uzyskałbyś brednie.

Jest jednak inny sposób.

Kiedy rozmyślam o trójkącie, nie przedstawiam sobie tego lub innego przedmiotu, są one bowiem jedynie odbiciem pierwowzoru, który nie jest zdefiniowany fizycznie, ale logicznie.

Nie jest dowolnym trójkątem, lecz samym trójkątem. Geniusz Pitagorasa polegał na odkryciu, że u podstaw porządku świata kryje się system, który – co jest zaiste odrobinę cudowne – można ogarnąć rozumem.

– Rozumiem, że okazuje się to prawdą w wypadku trójkątów – odrzekłem.

Archytas sięgnął do skrzyni i wyjął piękną ośmiostrunną lirę z szylkretowym pudłem rezonansowym i podwójną ramą. Przyłożył ją do piersi i szarpnął dwie struny, jedna po drugiej.

– To jedna nuta, a to druga. – Uderzył je ponownie, tym razem jednocześnie. – Gra-
ne razem, dają harmonię – trzecią rzecz, która łączy w sobie elementy składowe.

W akordzie można było wyczuć rodzaj dziwnego piękna.

– Jaki to ma związek z matematyką?

– Muzyka jest matematyką. – Archytas ponownie uderzył akord. – Spójrz na struny. Gdybyś je zmierzył, odkryłbyś, że pierwszy z harmonijnych dźwięków powstaje przez skrócenie drugiej struny do trzech czwartych długości pierwszej.

Następna para dźwięków powstaje przez stosunek trzech do dwóch, oktawa zaś bierze się z podwojenia długości pierwszej struny.

Zapisał proporcje na woskowej tabliczce.

1:2 – 2:3 – 3:4

– Sądziłem, że nie interesują cię liczby.

Zagrał jeszcze kilka dźwięków, improwizując prostą melodię, która przypominała nieśmiertelną muzykę dzwonek pobrzmiwających w leśnym wietrze.

– Wszechświat znajduje się w ruchu, wszystko zaś, co się porusza, wydaje dźwięk. Gdybyśmy zdołali go usłyszeć i pojąć wzory, które nim rządzą, w świecie zapanowała-
by znacznie większa harmonia.

– Czy Agaton chciał się tego nauczyć?

Muzyka ucichła. Archytas odłożył lirę do skrzyni.

– Agaton sądził, że jest coś więcej.

Że nie powiedziałem mu wszystkiego.

– Czy to prawda?

Archytas spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Piękno matematyki polega na tym, że nie można niczego ukryć. Nie ma żadnych obrzędów ani misteriów. Każdy krok wynika logicznie z poprzedniego.

I każdy człowiek może to dostrzec, jeśli zechce się zastanowić.

– Rozstaliście się jednak w gniewie.

– Nie. Dopiero wtedy, gdy odkryłem, co uczynił...

Nagle trzasnęły drzwi i do izby wszedł Eufemos.

– Przynoszę dobre wieści – oznajmił.

– Najałem muły, które zawiozą mnie do Regium.

Najwyraźniej oczekiwał, że coś powiem, ale ja tylko nań spojrzałem.

– Turioj jest po drodze. – Kolejna pauza.

– Jeśli chcesz odnaleźć przyjaciela, możesz ze mną pojechać.

Nie miałem niczego, nawet torby.

– Nie stać mnie... Jak za nie zapłacisz?

Pokazał mi dłoń pełną bitych złotych monet z perskim łucznikiem.

– Obrabowałeś kogoś?

– Zaszyłem je w pasie, na wszelki wypadek. Wiem z doświadczenia, że wypadki zwykle się zdarzają.

– Nie dziwota, że byłeś taki ciężki, kiedy wyciągałem cię z wody.

– Teraz okazuję ci wdzięczność.

Pojedziesz ze mną?

Zawahałem się. Chciałem zapytać Archytasa o wiele rzeczy, perspektywa znoszenia towarzystwa Eufemosa nie była zaś wesoła. Z drugiej jednak strony...

Są bowiem dwie drogi – powiada Parmenides – a jedna z nich jest niemożliwa.

– Pojadę.

Tego wieczoru Archytas wyszedł na obiad. Eufemos chciał z nim pójść, ale Archytas zrećnie się wykręcił. Cały wieczór spędziłem w izbie pochylony nad lampą, próbując odnaleźć jakiś sens w księdze Parmenidesa. Nie potrafiłem się jednak skupić. Ciągłe nasłuchiwałem powrotu Archytasa, ale docierały do mnie jedynie odgłosy pustego domu: śpiew niewolnika, kapanie wody i uderzenia szczotki o ścianę, jakby ktoś wymiatał kąty.

Miejsce, w którym zacząłem, jest tym, do którego powrócę.

Z głębi domu doleciało kwakanie drewnianej kaczki. Potarłem oczy.

Wpatrywałem się w kolumnę dwadzieścia minut, rozmyślając o Agatonie. Zwinąłem zwój i położyłem go na piersi.

Tej nocy bogini przyszła ponownie, trzymając mnie za rękę, gdy przelatywaliśmy nad złocistym morzem.

Powiedziała mi coś, ale szum wiatru porwał słowa i ich nie usłyszałem.

Chciała, żebym je powtórzył, gdy zaś nie potrafiłem tego uczynić, wpadła w gniew. Puściła mój nadgarstek i zacząłem spadać. Spadałem i spadałem ku wodzie, dopóki nie wylądowałem na materacu i nie przebudziłem się w ciemnym, cichym domu.

Później nadszedł ranek i zapomniałem o wszystkim w pośpiechu przygotowań.

Nie miałem rzeczy do spakowania, ale Eufemos kupił tyle nowych ubrań i zapasów, że można by nimi wyposażyć małą armię. Archytas zapowiedział, że przejdzie z nami pierwszy odcinek.

Przeprawiliśmy się promem przez zatokę i ruszyliśmy cienistą drogą prowadzącą na południe przez urodzajne pola rozciągające się na nadmorskiej równinie. Pragnąłem zapytać Archytasa o Agatona – czułem bowiem, że z każdym krokiem mój czas się kończy – ale jakoś nie miałem wrażenia, że chwila jest odpowiednia.

Nie uszliśmy daleko, kiedy pod topolami po prawej stronie pojawiła się grupa niskich kopców, zbyt małych i odizolowanych, aby były wzgórzami.

Archytas przystanął.

– Pozwólcie, że coś wam pokażę.

Sprowadził muły z traktu i powiodł nas zarośniętą trawą ścieżką. Złocienie i stokrotki lizały nasze stopy, w powietrzu unosił się zapach tymianku i dzikiej cebuli.

Po chwili weszliśmy w swoistą dolinę między kopcami. Były one nieco wyższe od nas i wyposażone w kamienną ościeżnicę zapieczętowaną glinianą płytą. Poczerniałe wypalone lampy tkwiły w niszach wykutych w nadprożach. W szczelinach między skałami panoszyły się chwasty, trawa porastała przestrzeń między słupkami framugi.

Pomyślałem, że muszą to być grobowce. Zastanowiło mnie, dlaczego znajdują się tak daleko od drogi, przy samotnej ścieżce.

Jeden z kopców różnił się od pozostałych. Od jego wrót ciągnęła się ciemna smuga ziemi, wskazująca, że coś z niego wykopano lub wywleczono.

Obok leżały fragmenty rozbitej glinianej płyty, wejście było zamknięte kilkoma pospiesznie zbitymi deskami.

Archytas stanął przed nim, aby się upewnić, że zobaczyłem.

– Co się stało?

– Ktoś się tutaj włamał dwa tygodnie temu. Rabusie otwarli trumnę i zabrali kilka przedmiotów grobowych.

– To potworne.

Choć słowa zabrzmiały banalnie, oddawały moje uczucia.

Zbezczeszczenie grobu jest najgorszą rzeczą, jaką można uczynić, ściągającą pewny gniew bogów. Żaden Grek o zdrowym umyśle nigdy by się na to nie powążył. Jeśli oglądaliście Antygonę, wiecie, o czym mówię.

– Czy złapano człowieka, który to uczynił?

Archytas podniósł jeden z gipsowych odłamków i obrócił w dłoni.

– Jeszcze nie.

Wyraźnie chciał mi coś powiedzieć, ale nie potrafiłem go zrozumieć. Może byłem naiwny, a może miałem przesadne wyobrażenie o przyjacielu.

Eufemos, którego nie zbiłaby z pantałyku żadna sztuczka, od razu pojął, w czym rzecz.

Zakaszłał z udawanym smutkiem medyka stawiającego diagnozę, która przyniesie mu duży zysk.

– Nasz przyjaciel sugeruje, że to sprawka Agatona.

Rozdział 8

JONAH – LONDYN

Oglądał filmy, których bohaterowie odbywali dalekie podróże w głębokim śnie przesypani lata świetlne w szklanych kapsułach, dopóki nie dotarli do odległej gwiazdy. Chociaż w samolocie linii Ryanair nie było szklanych kapsuł, czuł się podobnie jak oni. Był nieświadomy i odrętwiały, poruszał się w przestrzeni w stanie śmierci pozornej. Nawet kiedy dotarł na miejsce, nie miał wrażenia, że się obudził.

Przed pójściem spać zadzwonił do Lily z telefonu hotelowego, ale jej komórka nadal milczała.

Numer domowy również był głuchy. Dręczyła go myśl, że Lily próbowała zadzwonić na jego zepsuty telefon, bez którego czuł się tak, jakby stracił rękę lub nogę. Gdy tylko wylądował na lotnisku Standsted, znalazł sklep z telefonami i kupił nowy aparat, płacąc wygórowaną cenę i modląc się, żeby stara karta SIM działała.

Włączył nowy telefon.

Ikona wirowała bez końca, gdy urządzenie szukało sieci, jego nadzieja słabła zaś z każdą sekundą.

To tylko telefon – przypomniał sobie, ale chodziło przecież o coś więcej.

Telefon był linią życia.

Odnaleziono sieć

Otworzył menu z kontaktami i stwierdził, że na karcie SIM są wszystkie stare numery. Uczucie ulgi przerodziło się w zakłopotanie, ale było mu wszystko jedno.

Odnalazł i wprowadził numer matki Lily.

Po trzech sygnałach odebrała Julie, siostra Lily. Jej obecność u matki wydawała się zrozumiała. Odniosł wrażenie, że jego telefon ją zaskoczył.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Właśnie to chcę ustalić.

– Jak się czuje mama?

– Nieźle.

– Czy Lily jest z wami?

Pauza.

- Nie ma jej z tobą?
- Poleciała nocnym samolotem, żeby być z mamą.
- Co? O czym ty mówisz?
- Z twoją mamą. Znowu się przewróciła, dlatego Lily poleciała do domu. – Czekał na przytaknięcie, na jakiś znak potwierdzenia, ale żadne z pytań nie doczekało się odpowiedzi. – Widzę, że nie dotarła na miejsce... – skonkludował niezgrabnie.
- Mama siedzi obok mnie i rozwiązuje krzyżówkę – powiedziała w końcu Julie. – Wpadłam do niej na herbatę. O co chodzi z tym upadkiem?
- Lily powiedziała... – musiał jakoś podtrzymać rozmowę. – Pewnie źle zrozumiałem.
- Czy Lily nic się nie stało?
- Próbuję to ustalić.* Ich rozmowa wydawała się jednym wielkim nieporozumieniem.
- Nie wiem. – Opowiedział jej, co się stało.
- Nie mam pojęcia, kto jej to powiedział. Mama czuje się dobrze.
- To świetnie. – Dręczyło go jednak inne pytanie. – Gdzie w takim razie jest Lily? Zapanaowało niezręczne milczenie, jakby Julie analizowała różne możliwości.
- Może pojechała do domu.
- Wiedział, że nie wróciła do domu, kiedy tylko go zobaczył.
- Do połowy zaciągnięte kotary od sześciu tygodni sugerowały, że mieszkańcy wyszli tylko na chwilę.
- Wszystkie światła były zgaszone, choć w deszczowe popołudnie na parterze było ciemno jak w norze. Jonah czuł brak Lily tak, jak czuje się brak płyty, biorąc do ręki puste pudełko.
- Otworzył drzwi, odsuwając na bok stertę listów leżących na wycieracze.
- Większość starszej korespondencji ułożono w schludnych stosikach na stole.
- Ktoś tu był, ale nie dziś i nie była to Lily.
- Zaczął nasłuchiwać. Dobiegały go jedynie dalekie odgłosy samochodów na moście Wandsworth i kapanie wody z kuchennego kranu. Czy było tak przez sześć ostatnich tygodni?
- Lily?! – zawołał.
- Mieszkanie składało się z trzech pokoi, ale nigdzie nie znalazł Lily.
- Nie zauważył również bagażu ani żadnego znaku świadczącego o tym, że zajrzała do mieszkania. Kiedy sprawdził wszystkie pomieszczenia, poszedł na górę i zadzwonił do mieszkania sąsiadki.
- W końcu Alice otworzyła drzwi – bosa, w malarskim fartuchu. Jej długie włosy były upięte w luźny, niestaranny kok.
- Na policzku miała smugę niebieskiej farby i sprawiała wrażenie zdumionej.
- Mielście wrócić za trzy tygodnie.
- Zmieniliśmy plany. Lily i ja przylecieliśmy oddzielnie. Widziałas ją?

Alice nasunęła okulary na czoło i spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

– Czy wszystko jest w porządku?

W porządku?

Nic nie było w porządku, ale jak powiedzieć o tym sąsiadce z góry, która podlewa twoje kwiaty?

– Pewnie niebawem się pojawi – odparł. Schodząc po schodach, czuł jej spojrzenie na plecach.

– Dziękuję za podlewanie kwiatów – przypomniał sobie na dole.

Mieszkanie było ciemnie, ciasne i wilgotne. I zdecydowanie za drogie.

Jedynym dostępnym środkiem transportu były publiczne autobusy, które dwadzieścia cztery godziny na dobę przejeżdżały z łoskotem pod ich oknami, wywołując drżenie fundamentów i budząc ich ze snu. Podobnie jak w innych częściach Londynu także tę okolicę zdominowały delikatesy z organiczną żywnością i sklepy, w których sprzedawano akcesoria łazienkowe po tysiąc funtów sztuka, podwyższenie statusu było zaś mi-tem, w który wierzyli jedynie agenci nieruchomości.

Podwójne drzwi w tylnej części mieszkania wychodziły na niewielkie wybrukowane podwórko, które opadało trzema betonowymi stopniami do rzeki.

Nie Tamizy, ale jednego z jej dopływów – zapomnianego strumienia, który niegdyś nawadniał zielone wzgórza, później chaotyczne dzelnice przemysłowe, aby w końcu stwarzać problemy przedstawicielom klasy średniej mieszkającym na przedmieściach. Kiedy Lily ujrzała strumyk z okna sypialni, wiedziała, że to miejsce będzie ich domem.

Jonah wyraził zgodę, mimo że martwił się kosztami i ryzykiem powodzi. Lily miała pewną cechę, o której wiedział, choć nie potrafił jej zrozumieć

– odczuwała dziwne pokrewieństwo z wodą, które sprawiało, że pragnęła przebywać w jej pobliżu.

W pierwszą noc po przeprowadzce rozebrała się w ogrodzie i zeszła do wody, nie zważając na ostrzeżenia Jonaha i okna sąsiadów.

Skoczyła do ciemnego strumienia i pływała w kółko na plecach, śmiejąc się z zimna. Kiedy wyszła, przytuliła się do Jonaha pod kocem – nawet teraz zadrżał na wspomnienie jej lodowatego ciała – i usiadła na stopniach, patrząc w gwiazdy przyćmione sztuczną łuną miasta.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał.

Teraz gwiazdy zniknęły. Było chłodne sierpniowe popołudnie. Jonah siedział na stopniach i pił piwo. Drzewa porastały przeciwległy brzeg i okoliczny park. Wystarczyło skupić wzrok, aby dostrzec majaczące w oddali miasto.

Jonah obserwował wodę i myślał o Lily.

Rzeka płynęła przed siebie, ale jego myśli zataczały koła.

Jakaś część jego „ja” upierała się, że wszystko jest w porządku. Że doszło do nieporozumienia, że odebrali błędny sygnał i jakimś sposobem znaleźli się nie tam, gdzie

powinni. Jeśli pozostanie na miejscu, prędzej czy później otworzą się drzwi lub zadzwoni telefon i znowu wszystko będzie tak jak kiedyś. Tak przynajmniej było w normalnym życiu.

Wiedział jednak, że to nieprawda.

Jego teoria miała za dużo luk, aby można było udawać, że ma sens.

Wczoraj rano Lily była w Sibari.

Richard to potwierdził, Jonah widział zaś jej kostium schnący na balkonie, kiedy dotarł na miejsce. Po południu Lily spakowała swoje rzeczy i zniknęła.

Wiedział, dlaczego pragnie wierzyć, że naprawdę zaszła pomyłka

– alternatywa wydawała się zbyt absurdalna i przerażająca, żeby brać ją pod uwagę.

Teraz jednak musiał to zrobić.

Sięgnął po nową komórkę i zadzwonił do Richarda w Sibari. Telefon dzwonił bez końca – w innej sytuacji Jonah dawno by zrezygnował – zanim Richard raczył go odebrać.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Czy Lily bezpiecznie dotarła na miejsce?

Jonah milczał tak długo, że Richard musiał pomyśleć, że się rozłączył. On jednak wpatrywał się w przepaść bez dna.

– Tutaj jej nie ma. Nie doleciała.

Przeczekał okrzyki i pytania, których się spodziewał, a następnie odpowiedział z zamkniętymi oczami: Jestem pewny. Nie. Ani śladu. Miał wrażenie, że spada.

– U was pewnie także jej nie ma?

– Nie.

– Możesz sprawdzić, o której wymeldowała się z hotelu?

Czy recepcjonistka ją widziała?

– Zapytam. Jestem teraz na terenie wykopalisk.

– Wypytaj ludzi. Może coś komuś powiedziała.

– Dobrze. – Richard sprawiał wrażenie zniecierpliwionego, jakby pragnął się rozłączyć, ale Jonah na to nie pozwolił.

– Czy coś ją niepokoiło?

– Tylko praca na wykopaliskach.

Jonah przypomniał sobie jacht i duży samochód stojący na nabrzeżu. Czuł, że czarny mercedes ma jakiś związek z Lily. Wtedy sądził, że jest jedynie skołowany.

– Wczoraj zauważyłem samochód w waszej okolicy – dużego czarnego mercedesa. I jacht. Mógłbyś spytać, czy ktoś go nie widział? Nie zauważyliście nic podejrzanego?

– Zajmę się tym – obiecał Richard. – Muszę już iść.

Jonah dopił piwo i poszedł do kuchni po następne.

Potrzebował środka uspokajającego. Bez piwa nie dałby sobie rady z rozgorączkowanymi myślami. Przed jego oczami tańczyły tysiące potwornych obrazów z filmów i

wiadomości. Musiał znaleźć sposób, aby się z nimi uporać.

Kiedy otworzył lodówkę, jego uwagę przykuła samoprzylepna karteczka.

Tkwiła tam od czasu ich wyjazdu na początku lata, zaczęła się więc wyginać na krawędziach.

Kolejny artefakt pozostawiony przez Lily.

Kupić mleko, spaghetti, szynkę, piwo.

{o} L Znak {o} był jej ideogramem – stylizowanym przedstawieniem kwiatu lili, który można było dostrzec po uważnym obejrzeniu.

Sygnowała nim wszystko, co do niego pisała – liściki, maile, esemesy.

Poza dwoma ostatnimi wiadomościami tekstowymi, które wysłała z Sibari. Jonah zwrócił na to uwagę, ale miał wtedy większe zmartwienia. Uznał, że Lily była zbyt zdeenerwowana mamą, aby zawracać sobie głowę drobiazgami.

Tylko że jej mama była zdrowa, w rodzinie nie było żadnej sytuacji awaryjnej. Wszystko było kłamstwem.

Poza tym Lily nigdy by go nie okłamała.

Wrócił nad rzekę, ale nie otworzył piwa. Musiał się zastanowić. Ktoś mógł ukraść jej komórkę i wysłać wiadomości w formie makabrycznego żartu. Było to najlepsze wyjaśnienie, na które mógł liczyć, ale nie tłumaczyło jedynego faktu, który się naprawdę liczył.

Jej zniknięcia.

Powiedział to głośno, pozwalając, aby rzeka przyjęła wypowiedziane słowa i uniosła je z nurtem. Zaczął się zastanawiać, co mógłby zrobić w zaistniałej sytuacji.

GRECJA

Od pierwszej chwili gdy ją zobaczył, miał wrażenie jakby zawsze się znali.

Musiał się jedynie dowiedzieć, kim jest.

To Lily namówiła całą szóstkę do wyjazdu na wykopaliska: Richarda i Juliana, Charisę i Adama, Jonaha i w końcu samą siebie. Dopóki nie dotarła na miejsce, Jonah nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wszyscy na nią czekali. Przez pierwsze trzy dni tworzyli zamknięty krąg – wystarczali sobie i nie przejawiali zainteresowania jego osobą.

Dopiero gdy przyjechała Lily, zauważył zmianę. Jakby wcześniej coś ukrywali.

To Lily nadała sens ich grupie, stała się jej zwornikiem. Znacznie później zadał sobie pytanie, czy bez niej naprawdę się lubili.

Ponieważ wykopywanie z ziemi fragmentów naczyń nie absorbowało jego uwagi, miał dużo czasu, żeby myśleć o innych. Różnili się od siebie nawet ubiorem – od siebie i od innych osób, które znał. Richard nosił koszule z długim rękawem i śmieszny kapelusz panamę, osłaniający głowę przed słońcem. Z kolei Charisa odsłaniała każdy cal swojego złocistego ciała, który mogła. Julian, dwudziestolatek wyglądający na czterdziestolatka, nosił się jak bankier w luźny piątek. Z kolei Adam miał wyłącznie czarne

rzeczy, nawet gdy przerzucał ziemię szpadlem w greckie południe.

Jonah pobłogosławiłby im wszystkim na drogę, gdyby nie pojawiła się Lily.

Na pierwszy rzut oka trudno było ocenić całą piątkę. Ciągłe wchodzili i wychodzili ze swoich pokojów, wcierali krem przeciwsłoneczny w plecy kolegów, ochlapywali się w morzu. Pierwszego dnia Jonah sądził, że Lily i Adam są parą, drugiego – że Lily i Julian. Doszedł do wniosku, że Richard jest gejem. Jonah cały czas trzymał się od nich na dystans, ze słuchawkami na uszach, obserwując ich poczynania i nie kryjąc zdumienia.

W niedzielę mieli wolny dzień, wynajęli więc samochód i pojechali do Delf. Choć rozprawiali o tym cały tydzień, żaden nie pomyślał o zaproszeniu Jonaha, ale w niedzielę po śniadaniu Lily odnalazła go w lobby.

– Pojedziesz z nami?

– Macie miejsce?

– Ścisną się. – Uśmiechnęła się do niego. – Może trzeba będzie wejść na wzgórze, przesunąć to i owo.

Lily prowadziła. Jako najstarszy i najwyższy, Jonah dostał miejsce obok kierowcy. Pozostała czwórka wpełzła na tylną kanapę. Charis usiadła na kolanach Juliana.

Opuścili szyby i włączyli radio – grecką stację, która zatrzymała się na latach siedemdziesiątych. Cały czas nadawali Don't Bring Me Down i utwory Electric Light Orchestra. Richard narzekał na pyłki w powietrzu, Adam ślęczał pochylony nad przewodnikiem.

– Wyrocznia w Delfach wygłaszała proroctwa przez ponad osiemset lat.

Niesamowita sprawa, jeśli się nad tym zastanowić.

– Mistyczna Meg – powiedział Julian.

– Babka szybowała wysoko, jak latawiec.

– Świątynię zbudowano w uskoku tektonicznym – dodał Richard, miętosząc w palcach kapelusz. – Wyziewy etylenu wydostawały się na powierzchnię i wyrocznia je wdychała.

– Richard ma gotową odpowiedź na każde pytanie – wyjaśniła Lily. – Zero romantyzmu.

– Archeologia zajmuje się faktami...

– zaczął Richard.

– Jeśli szukasz prawdy, doktor Tyree ma zajęcia z filozofii w sali obok! – odkrzyknęli chórem.

W starożytności wyrocznia delficka odgrywała doniosłą rolę, stanowiąc połączenie Mekki z Organizacją Narodów Zjednoczonych.

Zdaniem autora przewodnika antyczna świątynia była rozległym zespołem położonym na zboczach masywu Parnasu. Rozpoczęli zwiedzanie razem, ale rozległość miejsca sprawiła, że wkrótce się rozdzielili. Julian i Charis ruszyli przodem, z kolei Ri-

chard i Adam chcieli zbadać każdy kawałek marmuru, kiedy więc dotarli do świątyni Apolla, Jonah i Lily zostali sami. Minęło południe, słońce piekło niemiłosiernie. Większość turystów wróciła do swoich autobusów lub schroniła się w kafejkach, żeby zamówić napój z kruszonego lodu i soku.

W rezultacie mieli całe miejsce dla siebie.

Lily usiadła na kamiennym bloku, przyglądając się świątyni. Na końcu zespołu świątynnego wznosił się rząd żłobionych kolumn, poza którymi przetrwały jedynie fundamenty. Nawet jednak ruiny były imponujące – długie niczym katedra, wzniesione z bloków wielkości samochodu. Otwór po drugiej stronie był miejscem, gdzie niegdyś zasiadała wyrocznia, udzielając odpowiedzi, które definiowały ówczesną cywilizację.

– Gdybyś mógł zadać wyroczni jedno pytanie, o co byś zapytał?

Jonah spojrział w jej oczy ocienione rondem kapelusza.

– Tylko uważaj! – ostrzegła. – Jej odpowiedzi bywały bardziej zawiłe od pytania.

– Spytałbym ją, czy ma chłopaka.

Lily się roześmiała.

– Myślę, że wyrocznia żyła w celibacie. W przeciwnym razie utraciłaby zdolność przepowiadania przyszłości.

Wstała, zakręciła pirueta i odeszła, wspinając się na kolejną górę. Jonah stał w kurzu, zastanawiając się, czy nie zmarnował szansy, czy jej nie obraził, czy w ogóle zwróciła uwagę na jego słowa.

Lily zrobiła jednak trzy kroki i się odwróciła.

– Skoro o tym mowa – nie ma.

LONDYN

Siedział nad rzeką z laptopem na kolanach. Palec mu drżał, gdy wpisywał słowa pojawiające się na ekranie.

OSOBY ZAGINIONE

Dlaczego „osoby”? Nie wiedzieć czemu, określenie „osoby zaginione” wynurzyło się z jego świadomości niczym skrót kulturowy. Czyżby było to tak powszechne zjawisko, że społeczeństwo odczuło potrzebę stworzenia specjalnej kategorii?

Musiało być powszechne, skoro rząd poświęcił mu całą sekcję na swojej stronie internetowej. Z zamieszczonych informacji wynikało, że powinien zgłosić zaginięcie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Wrócił do mieszkania i wprowadził podany numer, zatrzymując się przy ostatniej cyfrze tak długo, że telefon się poddał. Zupełnie jakby był nastolatkiem dzwoniącym do dziewczyny, która złamała mu serce.

Spróbował ponownie.

Powiedział operatorce centrali, czego chce, po czym został przełączony i usłyszał młody głos niejakiego Martina. Martin wyrecytował wykute na pamięć słowa wyraża-

jące współczucie, zapisał imię i nazwisko Lily, jej rysopis i ostatnie miejsce pobytu.

- Zna pan numer jej paszportu?
- Miała go przy sobie.
- Numer komórki? Adres mailowy?

Podał jeden i drugi.

– Nie odbiera telefonu. Myślę, że ktoś go wykorzystał do przesłania fałszywych wiadomości.

Czy jego słowa nie zabrzmiały dziwnie? Martin udał, że tego nie dosłyszał.

– Musi pan złożyć zawiadomienie na policji. Przekazą je do Interpolu, który skontaktuje się z Włochami. Śledztwo poprowadzi miejscowa policja, w Sibari.

Wszystko działa się stanowczo za wolno. Czyżby sądzili, że odnajdą Lily, wypełniając formularze i przekazując je z biurka na biurko?

– Nie mogę tam wrócić i osobiście zgłosić zaginięcia? – Jego pytanie nie oznaczało, że wierzy w skuteczność włoskiej policji.

– Oczywiście, może pan pojechać na miejsce, ale powinien się pan zastanowić, co w ten sposób osiągnie.

Czy mówi pan po włosku? Nie będziemy w stanie panu pomóc, dostarczyć odpowiednich środków.

Śledztwo będzie całkowicie w rękach Włochów.

- Chce pan powiedzieć, że nie mogę niczego zrobić?
- Możemy przygotować komunikat dla mediów. Możemy również wydrukować ulotki i plakaty do rozpowszechnienia w rejonie zaginięcia.

Ulotki i plakaty. Czy tylko tyle mogli zrobić?

Wyświechtane kartki A4 przyklejone do słupów ulicznych latarni, jakby szukał zaginionego kota.

- Niezależnie od decyzji – podjął Martin
- proszę się najpierw skontaktować z miejscową policją.

Wtedy rozpoczną oficjalne śledztwo.

– Rozumiem.

Martinowi pozostało jeszcze trochę tekstu w scenariuszu.

Tego wydrukowanego drobnym maczkiem.

– Oczywiście należy pamiętać, że czasami ludzie znikają, ponieważ sami dokonali takiego wyboru. To znaczy, że nie chcą, abyśmy wiedzieli, gdzie się znajdują.

W takim wypadku nie będziemy mogli podać panu miejsca pobytu, nawet jeśli ją znajdziemy.

- Zaginęli, ponieważ sami dokonali takiego wyboru? – powtórzył jak echo Jonah.
- Oczywiście zawiadomimy pana, jeśli ustalimy, że Lily jest cała i zdrowa.
- Martin odwrócił kartkę i podjął radośniejszym tonem: – Co roku zgłasza się zaginięcie dziesiątek tysięcy ludzi.

W większości wypadków istnieje niewinne wyjaśnienie zniknięcia i sprawę udaje się szybko rozwikłać.

Rozdział 9

Człowiek posiadający choć odrobinę zdrowego rozsądku powinien trzymać się z dala od wszelkich przestępstw, w które są zamieszani cudzoziemcy.

Platon, Platon, Prawa

Wpatrywałem się w gardziel naruszonego grobowca. Topole kołysały się na wietrze, wysokie trawy szeptały swoje sekrety. Niemal przekonałem samego siebie, że słyszę jakieś przerażające stworzenie pełznące w tunelu, przyciągane przez światło.

– Naprawdę sądzisz, że to sprawka Agatona? – wymamrotałem.

– Do naruszenia grobu doszło w noc jego odejścia.

U moich stóp leżał fragment glinianej płyty, którą zapieczętowano grobowiec.

Podniosłem go. Widniała na nim zakapturzona niewiasta zasiadająca na tronie. Odgadłem, że to Persefona, choć tabliczka pękła i brakowało kawałka twarzy.

– To nie dowodzi...

– Żałobniczka nawiedziła to miejsce, żeby zapalić lampę grobową. Widziała go.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

– Kto jest tutaj pochowany? – Znajdowaliśmy się w sporej odległości od miejskiej nekropolii, którą widziałem w drodze do Tarentu, i od wielkich pomników stojących obok traktu. To miejsce wydawało się odosobnione i prywatne.

– Ktoś, kto odszedł dawno temu.

– Co Agaton spodziewał się tutaj znaleźć? – Otwarty grobowiec zionął mrocznym pytaniem. – Czy pochowano w nim pitagorejczyków?

– Byli oni wyznawcami religii starszej od nauki Pitagorasa.

Archytas zerwał kilka złocieni i ułożył w poprzek wejścia do grobu jako rodzaj przeprosin.

– Pitagoras mu nie wystarczył. Agaton pragnął pójść krok dalej, odkryć to, co było przed nim. Znaleźć źródło idei Pitagorasa.

– Co nim było?

Archytas spojrzał na mnie twardym wzrokiem.

– Nie mogłem mu powiedzieć.

Wracaliśmy w milczeniu.

Ciszę przerywało jedynie brzęczenie much i krakanie wron dochodzące z dziupli w pniu cyprysu. Nie zaskoczyło mnie, że Archytas zawrócił w stronę Tarentu, gdy dotarli-

śmy do traktu. Pokazał mi to, co zamierzał.

– Czy Agaton znalazł w tym grobowcu to, czego szukał? – spytałem szybko, kiedy uwagę Eufemosa pochłoneły sakwy przy siodle. Przez krótką chwilę miałem Archytasa wyłącznie dla siebie.

– Nie.

– Gdzie mam go szukać?

– Chcesz za nim podążyć?

– Po to przybyłem – rzekłem, choć wszystko, co usłyszałem do tej pory, wskazywało, że mój przyjaciel wpakował się w straszne tarapaty.

Archytas wytarł smugę kurzu z górnej części tuniki.

– Chciałbym ci zadać hipotetyczne pytanie – powiedział. – Wyobraź sobie, że bogowie obdarzyli cię mechanicznymi skrzydłami i uniosłeś się w przestworza. Szybujesz obok słońca, planet i gwiazd, aż do końca wszechświata. Docierasz do niego i wyciągasz rękę, próbując sięgnąć dalej. Co się wówczas dzieje?

– Nie wiem – odparłem, rozważając jego słowa. – Gdybym znajdował się na końcu wszechświata, moje ramię nie zdołałoby sięgnąć dalej.

– Cóż jednak zdołałoby je powstrzymać? Mur? Jakaś przeszkoda istniejąca poza nim?

Zrozumiałem problem. Granica nie stanowiłaby wówczas ostatecznego kresu.

– Gdyby twoje ramię przez nią przeszło, istniałaby przestrzeń, w którą można by wkroczyć. Nie dotarłbyś zatem do granicy.

Wszystko to brzmiało dziwnie podejrzanie, jak nauka sofistów.

Spojrzałem nań surowo.

– Czy istnieje rozwiązanie tej zagadki?

– To paradoks. Nie ma odpowiedzi. – Wytrzymał moje spojrzenie, odsyłając z powrotem moje wątpliwości. – Jeśli zaś idzie o znaczenie...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nagle postanowił tego nie robić.

– Będziesz mógł rozmyślać o tym w drodze.

– Co z Agatonem? – przypomniałem mu o moim pierwszym pytaniu.

– Zajrzyj do domu swojego przyrodniego brata w Turioj.

Chociaż czułem, że pragnie jak najszybciej nas opuścić, pomyślałem o ostatnim pytaniu, na które nie uzyskałem odpowiedzi.

– Czy Agaton wspominał o księdze, którą pragnie kupić? Drogiej, pewnie rzadkiej?

Archytas szorstko pokręcił głową.

– Nigdy nie wspominał mi o żadnej księdze.

Miałem wrażenie, że to najdłuższa i najbardziej płaska droga na świecie.

Ziemia zdawała się łączyć z morzem, morze zaś jakby łączyło się z niebem, tworząc idealną geometryczną płaszczyznę niezakłóconą przez żaden przedmiot stały. Przynaj-

mniej miałem dość miejsca na rozmyślania. Po pokonaniu kilku tysięcy stóp w skwarze i nudzie podjąłem milczący dialog, który prowadziłem od dziesięciu lat.

Sokrates: Czy nie żałujesz tego, że popłynąłeś do Italii?

Ja: Martwię się o Agatona.

Sokrates: Chodzi ci o tę historię z grobowcem?

Ja: To nie ma żadnego sensu.

Agaton nie posunąłby się do kradzieży i nigdy nie sprofanowałby grobu.

Sokrates: Ponieważ jest dobrym człowiekiem?

Ja: Tak.

Sokrates: A dobry człowiek...

Ja: ...nigdy nie uczyniłby czegoś, o czym wie, że jest złe. Sam mi to wpoiłeś.

Sokrates: Mógł jednak uczynić coś złego, błędnie przekonany, że czyni dobrze. Co ty na to?

Ja: Agaton potrafi odróżnić dobro od zła. Ma obsesję na punkcie czynienia tego, co dobre.

Sokrates: Kiedy człowiek coś czyni, czy robi to ze względu na nie czy na coś innego, co pragnie osiągnąć? Na przykład kiedy płynąłeś do Italii, czy pragnąłeś niewygód i niebezpieczeństw podróży, czy też chciałeś odnaleźć Agatona?

Ja: Myślę, że twoje pytanie jest retoryczne.

Sokrates: Czy nie jest tak zawsze?

Ja: Oczywiście.

Sokrates: Co jest celem każdego działania?

Ja: Z naszych poprzednich rozmów wnoszę, że musi nim być jakieś dobro.

Sokrates: Czy zatem Agaton mógł obrabować grobowiec, ponieważ sądził, że będzie lepiej to uczynić, niż tego zaniechać?

Ja: Może i tak.

Sokrates: Ponieważ miał na uwadze jakieś dobro?

Ja: Tak.

Sokrates: Co jest dobrem najwyższym?

Ja: Mądrość.

Szedłem mozolnie, prowadząc muła za uzdę, żeby dać mu chwilę wytchnienia. Byłem spocony, choć tylko częściowo z powodu południowego skwaru. Mroczne obrazy przysłoniły mój umysł. Za myślami zamajaczyła bogini pozbawiona oblicza. Próbowałem o niej zapomnieć, przypatrując się krajobrazowi, ale nie było się czego uchwycić w monotonnym krajobrazie.

Sokrates: Wracając do mądrości, co sądzisz o swoim pierwszym spotkaniu z pitagorejczykami?

Ja: Archytas przemawiał z większym sensem niż Eurytos.

Mimo to zrozumiałem jedynie połowę jego słów.

Sokrates: Pewnie Agaton uznał, że wiedzą oni o czymś, co jest warte poznania.

Ja: Za chwilę mi powiesz, że miał słuszość.

Sokrates: Pamiętasz słowa Heraklita, który mawiał, że w świecie nie ma niczego pewnego, ponieważ wszystko podlega zmianom?

Ja: Że nie można wejść dwukrotnie do tej samej rzeki.

Ja: Pitagorejczycy powiadają jednak, że są rzeczy pewne. Na przykład to, że kąty trójkąta zawsze dają sto osiemdziesiąt stopni.

Ja: A podwojenie długości struny zawsze daje oktawę.

Ja: Można zatem obalić tezę Heraklita.

Można wejść dwukrotnie do tej samej rzeki – jeśli zostanie zdefiniowana matematycznie.

Ja: Właśnie. Matematyka nadaje się idealnie do trójkątów, ale czy istnieje matematyka cnoty?

Czy istnieją prawa nakazujące, co należy czynić? Prawa równie pewne jak te, które określają, które nuty pozostają ze sobą w harmonii?

Ja: Dlaczego miałyby nie istnieć? Czy większość ludzi potrafi stwierdzić, że słuchana melodia jest harmonijna lub nie?

Ja: Tak.

Ja: Czy każdy to potrafi?

Ja: Nie. Niektórzy są głusi, nie rozróżniają melodii.

Ja: Czy ogólnie rzecz biorąc, ludzie potrafią stwierdzić, że dane działanie jest dobre lub złe?

Ja: Sądzę, że niektórzy to potrafią.

Ja: Może ludzie pozbawieni zdolności odróżnienia dobra od zła cierpią na coś podobnego do głuchoty na dźwięki. Na rodzaj moralnej głuchoty.

Ja: Eufemos z pewnością został nią dotknięty.

Ja: Popelnia on ten sam błąd co Heraklit.

Dokonuje dedukcji na podstawie tego, co widzi w świecie.

Ponieważ dostrzega w nim wiele chaosu, wnioskuje więc, że nie istnieją żadne prawa.

Ja: Powiadasz zatem, że istnieją także prawa moralne?

Prawa, które rządzą rzeczami, o których ludzie wiedzą, że są dobre i złe, nawet jeśli nie rozumieją dlaczego?

Ja: Posłuchaj Parmenidesa.

Myślą przeniknij rzeczy, które istnieją, choć wydaje się, że ich nie ma.

Ja: Pewnie mi nie powiesz, co to za prawa?

Ja: Czeka nas jeszcze długa droga, aby do nich dotrzeć.

Sokrates uwielbiał spacerować. Lubił chodzić i toczyć dysputy, spacerować i rozmyślać, przemierzać tam i z powrotem każdą ateńską uliczkę.

Spacerowanie sprzyja rozmyślaniom – mawiał, choć nie zaobserwowałem tego u siebie. Ponieważ moje myśli nie płynęły swobodnie, dopóki nie ulokowałem wygodnie swojego ciała, z rylcem w dłoni i świeżą tabliczką na stole.

Teraz zrozumiałem, na czym polega atrakcyjność spacerowania.

W towarzystwie Sokratesa często miałem wrażenie, że przebyłem długą drogę, ale nie dotarłem do celu.

Spacerowanie gwarantowało przynajmniej, że dokąds dotrzesz.

Kiedy dotarliśmy nieco dalej na południe, krajobraz zaczął się zmieniać.

Górskie szczyty majaczące na horyzoncie przełamały monotonię otoczenia. Trakt opustoszał, ludzkie osady stały się rzadsze i bardziej rozproszone. W nocy słyszałem dalekie wycie wilków, choć może były to nawoływania dzikich plemion zamieszkujących interior. Niestety, nie zniechęciło to Eufemosa.

Już na początku drogi dumnie oświadczył, że jedną z najlepszych sztuczek, które stosuje na sali sądowej, jest przemawianie bez brania przerwy na oddech, dzięki czemu przeciwnik nie może dojść do słowa. Teraz do znudzenia demonstrował tę sztukę.

– Dlaczego pogardzasz światem?

Wspinaliśmy się na górę należącą do pasma strzegącego dostępu do równiny Turioj.

Na chwilę zapomniałem o Eufemosie i dopiero gdy zamilkł, zdałem sobie sprawę, że chce, abym coś rzekł. Powtórzył pytanie.

– Nie gardzę światem – odparłem.

– Czemu zatem okazujesz taką wrogość sofistom?

– Przykro to mówić, ale pogardzanie sofistami nie jest równoznaczne z pogardą dla świata.

– Razi cię jednak nasza światowość.

Kiedy filozofowie medytują w górach, kreśląc trójkąty, my przebywamy w dole, na salach sądów i zgromadzeń, zmagając się z problemami prawdziwego życia.

– Prawdziwego życia? – powtórzyłem jak echo. – W waszych rozważaniach nie ma niczego prawdziwego. Nie staracie się wyjaśnić świata, ale przedstawiacie go tak, żeby otrzymać zapłatę. Rad powiesz, że czarne jest białe, zło zaś nazwiesz dobrem.

Uznasz słabszy argument za mocniejszy.

– Jeśli tyłu dało się przekonać, może argument, który nazywasz słabszym, wcale nie jest taki słaby, jak ci się zdaje.

– Nie chodzi mi o słabość lub siłę argumentów. Idzie o prawdę i fałsz.

Eufemos uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Sądzisz, że człowiek da czemuś wiarę, choć wie, że to nieprawda?

– Jasne, że nie.

– Jeśli zatem można wykazać, że coś nie jest prawdą, jak zdołasz kogoś przekonać, że jest inaczej?

Cofnąłem się myślami.

– Na procesie Sokrates powiedział: „Człowiek, któremu zależy na sprawiedliwości i długim życiu, powinien trzymać się z dala od działalności publicznej”.

– „Sokrates powiedział”. Cały czas go cytujesz, jak Homera. Czemu nie powiesz, co sam sądzisz?

Odwrociłem się do niego.

– Co ja sądzę? Naprawdę chcesz wiedzieć?

– I to bardzo.

– W młodości ciągle słyszałem, że państwem powinni rządzić ludzie najlepsi, a to my byliśmy najlepiej wykształceni. Tylko my byliśmy na tyle mądrzy i bystrzy, aby zrozumieć naturę sprawiedliwości. Kiedy objęliśmy ster rządów – jak pewnie wiesz – zaczęliśmy wyrzynać przeciwników jak owce.

Usunęliśmy każdego, kto się z nami nie zgadzał, każdego, kto się sprzeciwiał.

Później zajęliśmy się tymi, którzy razili nas swoim wyglądem. Likwidowaliśmy ich bez sądu, nocą, za pomocą sztyletu.

Próbowaliśmy nawet zmusić Sokratesa do wykonania egzekucji, aby później móc go oskarżyć.

Przyszli także do mnie. Nie „po” mnie, ale „do” mnie. Starali się wykorzystać moją próżność. Przekonali mnie, że zabójstwa i tortury są złem koniecznym, aby zapewnić ochronę Atenom. Że po usunięciu raka będzie można wyleczyć miasto. Schlebiali mi, powiadając, że mógłbym wykorzystać swoją wiedzę, pomagając im w stworzeniu społeczeństwa, o którym tyle dyskutowaliśmy.

Najgorsze jest jednak to, że odczuwałem pokusę. Będę się tego wstydzić do końca życia. Kiedy podali mi miecz, niemal go przyjąłem.

Widziałem w nim skalpel chirurga, zamiast noża zabójcy. Byłem ślepy.

Tylko dzięki pomocy Sokratesa zdołałem przejrzeć ich oszustwo.

Później przywrócono demokrację.

Przyszli nowi ludzie i oznajmili, że należy puścić w niepamięć dawne kłamstwa. Ogłosili amnestię. Nadal jednak potrzebowali kozła ofiarnego – ofiary, żeby przebłagać lud. Dlatego stracili Sokratesa, na którego nie powazyła się podnieść ręki nawet junta, ponieważ demokraci silniej od tyranów nienawidzą tych, którzy demaskują ich obłudę. Wiesz, kto wykonał brudną robotę?

Kto wniósł oskarżenie przeciwko Sokratesowi?

Poeta, przedsiębiorca i sofista.

Dlatego gardzę twoim prawdziwym światem. Ponieważ ludzie wydzierają go sobie jak wojenny łup, próbują go wykorzystać na swoją korzyść, nie bacząc na prawdę.

Dopiero po chwili zrozumiałem, że zgodziłem się z główną tezą Eufemosa, ale nawet jeśli to spostrzegł, wyraz mojej twarzy musiał go odwieść od wspomnienia o tym.

Kamień graniczny ustawiony przy trakcie informował, że znajdujemy się w niewielkiej odległości od Turioj.

Żywot Pitagorasa dostarcza pouczającej przestrogi dla każdego filozofa rozmyślającego o karierze publicznej.

Sto pięćdziesiąt lat temu w tajemniczych okolicznościach pożegłował on na wschód i osiedlił się w greckiej kolonii Kroton na południowo-zachodnim krańcu Italii.

Lgnęli do niego uczniowie. W krótkim czasie większość znakomitych obywateli miasta zapisała się do jego szkoły, w tym miejscowy siłacz imieniem Milon.

Pitagoras uczył ascezy, kontemplacji i matematyki.

Kiedy gorliwi uczniowie Parmenidesa spostrzegli, że ich miejscowi rywale, sybaryci, wiodą życie nieprzystające do pitagorejskiego ideału, pławiąc się w hedonistycznym luksusie, zburzyli Sybaris.

Nie wszyscy jednak opowiedzieli się po stronie Pitagorasa. Rządy mędrców są z konieczności elitarne, co powoduje, że ludzie niemądrzy i głupi czują się wykluczeni i żywią do nich niechęć.

Głupich zresztą nigdy nie brakuje.

Pewnej nocy wrogowie Pitagorasa z Krotonu powstali, spalili mu dom i urządzili rzeź jego uczniom. Sam Pitagoras ledwie uszedł z życiem.

Resztę swoich dni spędził na wygnaniu, nieopodal Tarentu. Z traktu widać do dziś jego dom, choć obecnie został przekształcony w zespół świątynny.

Kiedy przechodziliśmy tamtędy drugiego dnia, zaciągnąłem Eufemosa, żeby zobaczyć to miejsce.

– Skąd Pitagoras czerpał swoją mądrość?

– zapytałem na głos, przypominając sobie pytanie, które Agaton zadał Archytasowi.

– Wiele się słyszy o jego uczniach i naśladowcach, ale niemal nic o nauczycielach.

Eufemos przyjrzał się skromnemu domostwu.

Budynek stojący obok potężnej świątyni z kolumnami przypominał zwyczajny skład lamp.

– Kiedy byłem na Krecie, poznałem pewnego obywatela z Krotonu.

Opowiedział mi podanie, że Pitagoras zszedł do podziemnego świata jak Orfeusz, ale zamiast kobiety wyprowadził stamtąd mądrość.

Przypomniałem sobie grób, do którego wtargnął Agaton – dziurę ziejącą w zboczu wzgórza.

– Czego musiałby się dowiedzieć, aby podróż była tego warta?

Eufemos wzruszył ramionami.

– To zwykłe przesady.

Dotarliśmy do Turioj w pochmurny dzień, gdy obłoki sunęły nisko nad ziemią. Ujrzałem je z oddali – miasto położone na równinie, otoczone górami i szarym morzem.

Kiedy przechodziliśmy mostem rozpiętym ponad Kratosem – obok białej świątyni poświęconej Artemidzie, która wyznaczała granice miasta – Eufemos wskazał przepły-

wającą pod nami rzekę.

Brzegi były porośnięte przez gęste szuwary oplatające fragmenty upadłych kolumn, które zaśmiecały koryto niczym kości zaginionej armii.

– To zatopione miasto Sybaris.

Możesz mówić o pitagorejczykach, co chcesz, ale wolałbyś nie mieć z nimi na pieńku.

Nad górami huknął piorun i przetoczył się po równinie. Chmury zwarły szeregi na podobieństwo ściany tarcz. Krople deszczu znaczyły kręgi na powierzchni wody.

Eufemos spojrział w niebo.

– Nadciąga sroga burza.

Kiedy dotarliśmy do murów miasta, byliśmy przemoczeni do suchej nitki.

Musiałem krzyknąć do strzegącego bramy, aby mnie usłyszał.

– Gdzie jest dom Demosa?!

Ulewa spowodowała, że ulice opustoszały. Pospieszaliśmy szeroką aleją, mijając puste warsztaty i wielkie świątynie. Niewyraźne, mroczne postaci skupiły się pod portykami niczym cienie Hadesu.

Rzeźbione monstra, które przykucnęły na rynnach, wypluwały na nas strumienie wody.

– Jeśli nie będziemy ostrożni, miasto ponownie zniszczy woda! – krzyknął mi do ucha Eufemos.

– Przynajmniej nie jesteśmy na morzu!

Niebo przecięła błyskawica, po chwili rozległ się grzmot. Jeden z mułów wyszarpnął uzdę z mojej ręki i spłoszony pogalopował uliczką, znikając nam z oczu. Próby jego pochwylenia byłyby daremne. Eufemos i ja pociągnęliśmy drugie zwierzę kolejne kilkaset stóp do domu, który opisał strzegący bramy.

Niewolnik otworzył drzwi, cofając się, aby uniknąć kropel deszczu rozpryskujących się na progu.

– Czy to dom Demosa?

Niewolnik skinął głową.

– Czy zastałem Agatona?

– Na wszystkich bogów! – Eufemos odsunął mnie łokciem, odepchnął niewolnika i wszedł do środka, otrzepując się jak pies. – Czy to ważne?

Schrońmy się przed deszczem!

Stanęliśmy w korytarzu, czekając, aż pierwszy niewolnik przyniesie wodę i zmyje błoto z naszych stóp. Drugi niewolnik poszedł po swojego pana.

Trzeciemu przypadło niewdzięczne zadanie rozładowania muła na deszczu.

Wkrótce przemoczony bagaż Eufemosa znalazł się w środku, tworząc kolejną kałużę na posadzce.

– Witajcie! – dobiegł nas niezbyt gościnny głos. Jakaś postać zasłoniła lampę na

końcu korytarza. Naszym oczom ukazał się korpulentny jegomość o pochyłych ramionach i tłustych siwych włosach. Zatknał kciuki za pas i lekko się kołysał, przypatrując się naszym postaciom, jakbyśmy byli belą materiału, która nieoczekiwanie wylądowała na progu jego domu.

– Macie jakiś interes?

– Nie poznajesz własnego brata?

Albo kogoś w tym rodzaju, ponieważ w naszych żyłach nie płynęła ta sama krew. Jego ojciec poślubił moją matkę, ale dla obojga był to drugi związek.

Demos był piętnaście lat starszy ode mnie i wyprowadził się z domu w czasach, których nie pamiętam. Ojciec dał mu imię pod wpływem entuzjazmu dla demokracji, co dostarczyło pretekstu do kpin ateńskim żartownisiom, kiedy reszta rodziny związała swój los z dyktatorami. Demos, którego nic nie łączyło ze zwykłymi ludźmi, uznał to za niezdane i udał się na emigrację.

– Oto Eufemos, słynny sofista i retor.

Choć Eufemos do niczego się nie nadawał, miałem nadzieję, że zrobi przynajmniej wrażenie na moim przyrodnim bracie.

Demos jednak prawie nie zwrócił nań uwagi.

– Mój dom to nie gospoda dla ciebie i twoich przyjaciół próżniaków – mruknął, prowadząc nas korytarzem. – Jeszcze nie doszedłem do siebie po ostatnim, którego mi przysłałeś.

Natychmiast zapomniałem o zimnie.

– Masz na myśli Agatona?

– Ktoś mógłby rzec, że zyskujesz przewagę.

– Czy on tutaj jest?

– Już nie.

– Kiedy wyjechał?

– Miesiąc temu.

Stałem na progu andronu.

– To niemożliwe. Był w Tarencie dwa tygodnie temu.

– W takim razie pewnie tam się udał.

– Demos klapnął ciężko na ławę i odchylił się do tyłu. – Wina! Byłem rad, że pozbyłem się go z domu.

– Jego gospodarz z Tarentu rzekł, że przybył tutaj.

– Jeśli o mnie chodzi, mógłby się udać na księżyc. Nie jest tu mile widziany.

Twarz Demosa poczerwieniała, a jego ramiona napięły się od gniewu.

Uznałem tę reakcję za przesadną, ale złożyłem ją na karb szoku wywołanego moim przybyciem.

Starłem się być uprzejmy.

– Rad jestem, że cię widzę, bracie.

Dobrze wyglądasz.

Nie była to do końca prawda.

W Atenach, kiedy był młody, ja zaś sam byłem jeszcze młodszy, Demos wiódł błogie, złote życie: przystojny, bogaty i pożądanym. Po trzydziestu latach część tego złota się wytarła, a pod rysami i wgnieceniami pojawił się ołów.

– Nikt mnie nie uprzedził o twoim przybyciu – burknął.

Niewolnik przyniósł kielichy z ciepłym winem.

– Co cię sprowadza do Italii?

Lękałem się wspomnieć ponownie o Agatonie.

– Przyjechałem studiować.

– Nie mają tu filozofii. – Demos był jednym z tych Ateńczyków, którzy wyjechali na emigrację tylko po to, aby opowiadać kolonistom, że w domu jest lepiej. – A twój przyjaciel?

– Eufemos będzie służyć tyranowi Syrakuz.

Eufemos skłonił się niezgrabnie na ławie, jak zwijająca się rozgwiazda.

– Pozwól, panie, że podziękuję za waszą szczerą gościnę...

Zrobiło mi się mdło na dźwięk głosu Eufemosa. Piłem wino, przysłuchiwałem się burzy i rozmyślałem o otworze w ziemi, w którym ostatni raz widziano Agatona.

Rozdział 10

JONAH – LONDYN

Korpulentna posterunkowa z komendy policji w Wandsworth zaprowadziła go do pokoju przesłuchań i poczęstowała kawą. Powiedziała, że ma na imię Ruth.

Lampy fluorescencyjne mrugnęły i zapłonęły światłem, kiedy przystąpiła do spisывania jego danych.

– Zawód?

– Muzyk. Gram w zespole.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Powinam o panu słyszeć?

Pomyślał, że chyba nie. Ich pierwszy album wzbudził pewne zainteresowanie: zamieszczono profil grupy w magazynie muzycznym „New Musical Express”, pozytywną recenzję w „Uncut” i krytyczną notatkę w „Face”. Kilka singli pojawiło się w dolnych rejonach listy przebojów. Mogliby się przebić do górnej dwudziestki, gdyby pozwolili wykorzystać swoją piosenkę w reklamie telefonu komórkowego, ale Jonah odmówił. Uważał, że powinni być wierni swoim ideałom. Wkrótce jednak zainteresowanie opadło, przestali być nowym popularnym zespołem, stali się zaś kolejną kapelą próbującą się przebić przez zgiełk. Ich piosenki były coraz lepsze, fani byli wierni jak zawsze, ale w miarę upływu lat stało się jasne, że nigdy nie zdobędą wielkiej sławy.

– Kiedyś daliśmy cykl koncertów z grupą LCD Soundsystem

– odpowiedział.

– Uznam to za „nie” – odrzekła uradowana własnym żartem.

– Przejdźmy do rzeczy...

Ruth zadała mu takie same pytania jak pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych i uzyskała takie same odpowiedzi.

– Zatem, według pana wiedzy, ostatni raz widziano ją wczoraj rano.

– Albo po południu. Zabrała swoje rzeczy z hotelu. Recepcjonistka mogła ją widzieć... – Przerwał, zastanawiając się nad tym, co mógłby zrobić inaczej, nad pytaniami, które mógłby zadać we Włoszech, gdyby wiedział, że Lily nie dotrze do Londynu.

– Czy zna pan jakiś powód, dla którego Lily mogłaby chcieć zniknąć?

– Chcieć? – powtórzył jak echo Jonah. – Sądzi pani, że tego chciała?

Ruth uśmiechnęła się, że go nie usłyszała.

– Nic nie wskazuje na popełnienie przestępstwa.

To dobrze

– przypomniała. – Większość podobnych spraw znajduje proste wyjaśnienie.

Podobnych spraw.

– A esemesy?

– Nie rozumiem.

– Nie mogła wysłać ich sama. Ktoś musiał to zrobić.

Ruth była profesjonalnie przygotowana do takich przesłuchań, żeby dać do zrozumienia, co o tym sądzi.

– Sprawdźmy je. Czy przeżywaliście jakieś trudności w waszej relacji?

Mieliście jakieś problemy?

– Wszystko było w porządku.

– Kiedy widziałeś ją ostatni raz?

– Sześć tygodni temu. Zawiozłem ją na lotnisko.

– To długi czas rozłąki.

Jonah próbował odgadnąć minę Ruth, ale jej twarz była idealnie neutralna.

– Robimy tak co roku. Latem ona wyjeżdża na wykopaliska, a ja ruszam w trasę koncertową.

– Jestem pewna, że to niełatwe.

– Fakt.

– Mieliście ze sobą kontakt?

– Codziennie.

Kolejna notatka.

– Czy wspominała o czymś, co ją zaniepokoiło? O konfliktach z kolegami?

O życiu prywatnym? – Jonah pokręcił głową. – Kłóciliście się?

Nadal kręcił głową, kiedy zrozumiał, że ostatnie pytanie dotyczy jego osoby.

– Nie – odrzekł z naciskiem.

Uniosła brwi, zapisując następną uwagę.

– Partnerzy często się kłócą.

Jonah nie odpowiedział.

– W ciągu jednej nocy pokonał pan całą drogę z Berlina. Czy miał pan jakiś szczególny powód do pośpiechu?

– Chciałem się z nią zobaczyć.

– Musiał pan być bardzo zmęczony.

– Zdrzemnąłem się po drodze. – Co chciała zasugerować? Że minął się z Lily, ponieważ uciął sobie drzemkę?

Ponownie poczuł narastający gniew, ale nad nim zapanował.

Ruth czekała, obserwowała, czy nie chce powiedzieć nic więcej. Kiedy tego nie zrobił, pochyliła się do przodu i zapisała coś na kartce. Miał wrażenie, że trwa to bardzo długo.

- To wystarczy, żeby wszcząć dochodzenie.
- Wstała.
- Poinformujemy Interpol, oni zawiadomią miejscową policję. Włosi przeprowadzą dochodzenie. Tymczasem zorganizujemy konferencję prasową, aby wzbudzić czujność. Wskazała drzwi.
- Ktoś przecież musi wiedzieć, gdzie jest pańska żona. Trzeba jedynie do niego dotrzeć.

GRECJA – DZIESIĘĆ LAT TEMU

Kolejna niedziela i kolejny napakowany wynajęty samochód. Wyglądało na to, że Adam chce zobaczyć każdą starożytną kolumnę w Grecji. Tym razem Jonah pozwolił Richardowi usiąść z przodu, sam zaś wcisnął się z tyłu. Charis usiadła mu na kolanach – jej gołe nogi dotykały jego nóg, a jej piersi znajdowały się kilka centymetrów od jego twarzy.

Ku niezadowoleniu pozostałych Richard znalazł jedyną grecką stację nadającą muzykę poważną. Charis bez przerwy mu za to dokuczała.

- Wiem, że wszystkie utwory brzmią podobnie, ale idę o zakład, że nie znasz tytułu tej pieśni. Po prostu jesteś snobem.

- Nie muszę znać tytułu kompozycji, żeby ją lubić.

- Platon twierdził, że trzeba znać właściwą nazwę rzeczy, aby zrozumieć jej istotę – wtrącił Adam z drugiego końca samochodu. Charis wyciągnęła rękę i dała mu prztyczka w nos.

- Wypchaj się swoim Platonem!

- To aria Królowej Nocy – powiedział Jonah. – *Z Czarodziejskiego fletu* Mozarta.

Richard odwrócił się w fotelu.

- Dziesięć punktów dla Jonaha. Nie sądziłem, że się na tym znasz.

- Jesteś miłośnikiem opery czy co? – zapytała Charis i uszczypnęła go w policzek.

- Moja matka jest śpiewaczką – powiedział. Przypomniawszy sobie, jak leżał w łóżku i słuchał pieśni przez drzwi, gdy ćwiczyła w salonie. Tymczasem Julian zaczął opowiadać dłuższą historię o dziewczynie ze szkoły, którą nazywali królową nocy, i wszyscy o nim zapomnieli.

Świątynia była zrujnowana – kilka kamiennych bloków pośród trawy i chwastów, otoczonych niskim łańcuchem pełniącym funkcję ogrodzenia. Nikt nie pilnował zabytków.

Przeleźli przez łańcuch i weszli do środka, żeby się rozejrzeć, ale nawet Adam nie potrafił się w tym rozeznać.

Charis oparła dłonie na biodrach i spojrzała na ruiny.

- Adamie, słodziutki! W porównaniu z tym gruzowiskiem nawet nasze wykopaliska wydają się interesujące.

– Za to widok jest piękny! – zawołał Julian, który zawędrował na drugi koniec zespołu świątynnego, gdzie strome urwisko opadało do morza.

– W przewodniku napisali, że na dole jest morska jaskinia – wyjaśnił Adam. – Miejscowa legenda głosi, że kiedyś znajdowały się tam wrota prowadzące do Hadesu.

– Och! Bajki!

Tym razem zabrali ze sobą chłodziarkę. Julian wyjął puszkę piwa, otworzył ją i wylał sporą część na kamienie.

– Co robisz?! – krzyknął Richard, oglądając się przez ramię w poszukiwaniu dozorczy.

– To historyczne miejsce!

– Składam libację bogom – odparł Julian, wylewając kolejną porcję na kamienne bloki, następnie biorąc spory łyk do ust. – Czy ktoś ma ochotę?

Jonah sięgnął po piwo. W letnim skwarze, pyłe i słonym powietrzu napój miał smak nektaru. Podał puszkę Lily.

– Chcesz trochę?

– Dzięki.

Adam nadal spoglądał za krawędź urwiska.

– Czy ktoś chce zobaczyć jaskinię?

– Ja! – Jonah podniósł się i ruszył za nim. Klif był stromy, ale nie urwisty, z dużą ilością skalnych szczelin, których można było się chwycić.

– Skręćcie sobie kark – powiedział Richard. – Albo utoniecie.

– Wejście będzie trudniejsze od zejścia – dodał Julian. – Utkwiecie w pułapce.

– Jak Filoktet – dorzuciła Charis.

– Pójdę pierwszy – rzekł Jonah, ostrożnie stawiając puszkę na podstawie kolumny. Usiadł na zboczu klifu, następnie się odwrócił i opuścił. Skały były ciepłe, ale nie tak strome, jak wyglądały z góry, jego ramiona wzmocniły się zaś od kopania.

Urwisko kończyło się skalną półką szerokości kilkudziesięciu centymetrów, za którą był niewielki spadek do morza.

Nie widział jaskini, ale kilka metrów dalej woda znikła we wnętrzu skały.

Z oddali dobiegł go szum przypominający harmider autostrady.

Kamienie i żwir posypały się w dół.

Podniósł głowę i ujrzał gołe nogi i sfatygowane buty. Lily ześlizgnęła się kilkadziesiąt ostatnich centymetrów i wylądowała niepewnie. Jonah chwycił ją za ramię.

– Uważaj. Chcesz dowieść, że Richard miał rację?

– Muszę to zobaczyć.

Przesunęła się na skraj półki i położyła na brzuchu, wychylając się i wyginając głowę, żeby zajrzeć do środka.

– Woda musi dokądś wpływać.

Jonah położył się obok niej. Fale znikły we wnętrzu klifu, w niskiej ciemnej pasz-

czy, do której nie mogli zajrzeć.

– Za mała na jaskinię.

Kolejny łoskot kamieni. Adam stanął na półce i wytarł dłonie o dzinsy.

– Rzeczywiście tam jest? – zapytał.

Lily się odsunęła, żeby Adam mógł zobaczyć. Jonah przekręcił się na bok, starając się zrobić mu miejsce. Usłyszał, że Lily się podnosi.

– Chcę zobaczyć, dokąd wpływa.

Podniosła ramiona i ściągnęła T-shirt, później zzuła buty, zsunęła szorty i stanęła obok. Była w samej bieliznie, lekko zaczerwieniona, prowokując, żeby na nią spojrzeć. Miała małe różowe kokardki na pasku stanika.

Zrobiła krok w stronę krawędzi skalnej półki.

Fala zniknęła w przesmyku. Adam spojrział w górę i natychmiast spuścił oczy.

– A prądy? – spytał Jonah.

– Jeśli chcesz, możesz tu poczekać – powiedziała Lily.

Jonah rzucił okiem na Adama. Bez słowa rozebrali się do bokserek, starając się nie patrzeć na Lily.

Skoczyli, zapominając o skrępowaniu.

Wąski przesmyk niebezpiecznie wzmacniał fale. Jedna z nich uderzyła Jonaha w twarz i rozbiła się o Lily.

Wyplął na powierzchnię, dotykając głową skalnego sklepienia. Otworzył usta ze zdumienia i wciągnął wodę w płuca. Ramię Lily objęło go za szyję i pociągnęło do przodu. Chwilę później przetoczyła się po nim kolejna fala.

Oślepiony, wyplął na powierzchnię.

Kiedy przepływał pod skałą, jego ramiona ogarnął mroczny chłód.

Wyciągnął rękę, spodziewając się napotkać skalną ścianę, ale poczuł jedynie wodę. Huk fal zastąpił niski, dobiegający zewsząd pomruk przypominający daleki śmiech. Lily go puściła. Otworzył oczy.

Przesmyk przechodził w długą, wysoko sklepioną jaskinię. Jakimś cudem promienie słoneczne przenikały do środka i odbijały się od ścian, rysując pomarszczone linie światła na kamieniu. Cała jaskinia lśniła złocistym błękitem.

Płynęli w milczeniu, upajając się wspaniałością tego miejsca. Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, ujrzał łukowato sklepione ściany tworzące przestrzeń przypominającą katedrę.

Lily zaczęła płynąć w kierunku przeciwległej ściany. Plusk wywołany ruchem ramion poniósł się echem w jaskini. Wyciągnęła rękę i umieściła dłoń w małym wgłębieniu.

– Ktoś to wykuł. Widać ślady dłuta. – Sięgnęła w głąb wnęki. – Być może stał tu jakiś posąg.

– To święte miejsce. – Z oddali dobiegł rozproszony głos Adama, który spoglądał

w dal spowitej mrokiem jaskini.

Jonah wyobraził sobie pradawne dłonie, godzina po godzinie cierpliwie odłupujące skałę w półmroku oświetlonym jedynie przez morze. Czas stał się względny. Kiedy coś musnęło jego dłoń, pomyślał, że to morska nimfa lub starożytny rzeźbiarz powracający z ofiarą dla bogów.

Z jego palcami splotły się inne palce.

Odwrócił się i ujrzał Lily unoszącą się w odległości wyciągniętego ramienia, z rozpromienioną twarzą i odrzuconymi do tyłu włosami. Kiedy ich oczy się spotkały, coś przepłynęło między nimi, powodując, że Jonah nagle stracił oddech.

– To niewiarygodne! – usłyszeli Adama z głębi jaskini. – Otwórzcie usta!

Spróbujcie wody!

Lily się zanurzyła, nie wypuszczając jego ręki. Kiedy woda dotarła do nosa, otworzyła usta i wpuściła ją do środka.

Wynurzyła się na powierzchnię, biorąc gwałtowny wdech.

– Spróbuj!

Jonah otworzył usta, pozwalając, żeby strużki spłynęły na język. Woda była zimna i czysta, zawierająca jedynie śladowe ilości soli.

– Słodka! – Jonah ponownie spojrział na niszę, czując, że dziwna atmosfera tego miejsca zaczyna deformować rzeczywistość.

– Pewnie to ujście podziemnej rzeki – powiedział odwrócony plecami Adam, wpatrując się w mrok. – Ciekawe, dokąd sięga.

– Nie rób tego – powiedziała Lily.

– Nie popłynę daleko.

Zanurkował i zniknął im z oczu.

Chłupot powoli zamienił się w echo.

Lily i Jonah zostali sami.

Nie potrafił powiedzieć, czy to ona podpłynęła do niego, czy to on podpłynął do niej. Pamiętał jedynie, że magia jaskini pchnęła ich ku sobie, a pomarszczone linie światła i szum fal sprawiły, że jej ciało splotło się z jego ciałem. Ich wargi się zetknęły. Jej ciało było zimne jak woda, niemal nagie, ale Jonah czuł jedynie, że ze środka bije złociste ciepło, które zamienia go w światło.

Przestali poruszać nogami, żeby utrzymać się na powierzchni. Zanurzyli się bezwiednie, dopóki woda ich nie przykryła i nie poczuli pod stopami piaszczystego dna jaskini. Jonah odbił się nogami. Wypłynęli na powierzchnię, dysząc, śmiejąc się i spoglądając na siebie z zachwytem.

Z głębi jaskini doleciał rytmiczny plusk płynącego Adama. Odsunęli się, choć jej stopa pozostała owinięta o tył jego nogi.

Adam wypłynął na światło, ciężko dysząc.

– Ta jaskinia... ciągnie się całymi kilometrami.

Spojrzał między nich. Jego twarz przysłonił cień podejrzliwości.

– Wszystko w porządku?

Jonah nie potrafił wydusić z siebie słowa. Pragnął jedynie ponownie ją poczuć.

– Czy moglibyśmy tu wrócić z latarkami? – zapytała Lily, odrzucając włosy do tyłu.
– Zbadać jaskinię?

– W ciemności jest lepiej. Można pływać i wsłuchiwać się w to miejsce.

Powinniście to zobaczyć.

Jonah ujął dłoń Lily.

– Musimy wracać.

LONDYN

Następnym dniem była niedziela. Jonah spędził ją w mieszkaniu, wpatrując się w telefon i siłą woli zmuszając go, żeby zadzwonił, a jednocześnie wypisując rozpaczliwe wiadomości na laptopie.

Istniało mnóstwo sposobów skontaktowania się z ludźmi, on zaś chciał wykorzystać je wszystkie. Pisał maile, zamieszczał wiadomości, słał esemesy, co generowało kolejne maile, odpowiedzi, pytania i wyrazy współczucia.

Najważniejsze były jednak odpowiedzi, ale one nie nadchodziły.

Zalogował się na wspólny rachunek bankowy, żeby sprawdzić, czy dokonano transakcji, które mogłyby wskazywać miejsce pobytu Lily. Saldo nie zmieniło się od czasu, kiedy podjął pieniądze w Berlinie, żeby zapłacić za benzynę.

Zadzwonił do Sibari – trzy razy do hotelu i dwa razy do laboratorium, w niedzielę laboratorium było jednak zamknięte. W hotelu odebrali, ale recepcjonistka nie mówiła po angielsku.

Skończyło się na tym, że zostawił wiadomość dla Richarda.

Rozmowa z recepcjonistką przypomniła mu o łodzi, którą widział w marinie. Siedząc przed komputerem, wpadł na pomysł, że w Internecie muszą być ludzie mający obsesję na punkcie jachtów. Wpisanie w wyszukiwarce JACHT „NESTIS” potwierdziło słuszność jego przypuszczeń.

Migiem ustalił, że jacht należy do Greka Ariego Maroussisa, dziedzica fortuny wyrosłej z koncernu o nazwie Towarzystwo Żeglugowe „Ophion”.

Przez kilka minut miał poczucie, jakby zalała go fala informacji. Artykuły w Wikipedii, sylwetki w prasie, wiadomości w serwisach informacyjnych, spekulacje o tym, kto przejmie kierownictwo w firmie.

Krały plotki, że ojciec Ariego jest poważnie chory, że zaszył się w swojej willi na egejskiej wyspie Spetses. Mimo ogromnych rozmiarów World Wide Web strumień jednak wkrótce wysechł i Jonah zrozumiał, że obraca się w kręgu tych samych faktów. Od kilku miesięcy żaden obserwator jachtów nie widział „Nestis”. Nic również nie wskazywało, że Ari wie o istnieniu Lily.

Co to mogło oznaczać?

Przypuszczalnie nic. Zamknął komputer i położył się na kanapie. Nie czytał, nie jadł, nie oglądał telewizji, nawet nie słuchał radia, żeby nie przeoczyć dzwonka telefonu.

Unosił się w przestrzeni, czekając na telefon lub szcęk klucza, który sprawi, że świat ruszy na nowo. Zdjął z półki jej zdjęcie i patrzył na nie, dopóki obraz nie uległ zamazaniu.

Lily stała w słońcu, w kapeluszu odsuniętym do tyłu, ze smugą czerwonej ziemi na policzku.

Gdzie jesteś – spytał fotografię. Choć odpowiedź była warta tysiąc słów, zdjęcie ciągle powtarzało to samo.

Stan, w którym się znajdował, przypominał odpływ euforii po koncercie – kiedy świat stawał się szary, w środku pojawiała się zaś pustka – ale był tysiąc razy gorszy. Poradził sobie w ten sam sposób co zawsze, nalewając kolejnego drinka.

W poniedziałek rano wrócił na komendę policji. Choć sala konferencyjna okazała się mniejsza, niż sądził, w trzech czwartych była pusta. Sale pokazywane w telewizyjnych wiadomościach były zwykle pełne ludzi – rozświetlone fleszami aparatów i telewizyjnymi reflektorami, rozbrzmiewające gorączkowymi pytaniami zrozpaczonej rodziny. W jego sali znajdowała się tylko jedna kamera wideo, przy której nie było operatora, i pół tuzina reporterów, którzy stali z tyłu i wymieniali dowcipy. Naprzeciw przedstawicieli mediów ustawiono stół na kozłach z mikrofonem, nad którym widniało godło policji metropolitalnej.

Ruth wyprowadziła go bocznymi drzwiami.

– Zaczekamy kilka minut, może ktoś przyjdzie.

– Myślałem, że zjawi się więcej ludzi – wybąkał Jonah.

– Tak to już jest.

Ruth spojrzała na niego, jakby chciała coś dodać, ale ugryzła się w język.

Jonah mógł się tego domyślić. Sprawa Lily nie była wystarczająco pikantna i krwawa, aby zwrócić uwagę ludzi łaknących sensacji. Ci, którzy przyszli, byli członkami medialnej watahy, węszącymi w nadziei, że coś się im trafi.

Posterunkowa zaprowadziła go do poczekalni. Roślina w doniczce, automat z zimną wodą, kilka niebieskich krzeseł i matka oraz siostra Lily siedzące w kącie. Jego teściowa miała na sobie szarą sukienkę i różowy sweter, jakby zabłądziła w drodze do kościoła. Jej twarz wydawała się mała i poszarzała.

Julie ubrała sukienkę z niebieskiego dżerseju sięgającą kolan, odsłaniającą opalone nogi i smukłe, mocne ramiona.

Upięła ciemne włosy w praktycznego kucyka. Była tak różna od Lily, że wielu ludzi, łącznie z Jonahem, zastanawiało się, czy siostry miały tego samego ojca.

Nigdy jej o to nie zapytał, ojciec zaś, kimkolwiek był, nigdy nie znalazł się tak blisko, aby udzielić odpowiedzi.

Pochylił się i niezgrabnie objął teściową. Była tak chuda, że się obawiał, czy jej nie złamie. Zmieniła się od jesieni dwa lata temu – utraciła wewnętrzne światło. A teraz to.

- Biedaku – wyszeptała.
- Dobrze, że jesteście.
- Przyjechałyśmy dziś rano
- wyjaśniła Julie. – Niczego się nie dowiedziałeś?

Pokręcił głową.

- A ty?
- Nic. Sądziłam, że zadzwoni, aby spytać o mamę, nawet jeśli...

Przerwała.

Jonah poczuł skurcz w piersi.

- Nie pokłóciliśmy się.

Matka Lily podniosła głowę.

- Ona zadzwoni, da nam znać...
- Przypomniałam sobie o czymś – wtrąciła Julie. – Dostałam...

Przerwała. Ruth dała im znak głową.

- Chodźcie, miejmy to za sobą.

Zaprowadziła ich do sali konferencyjnej.

Jonah nie naliczył więcej dziennikarzy niż poprzednio.

Kilku fotoreporterów trzymało aparaty, szykując się do zdjęć – reszta sprawiała wrażenie znudzonych. Jonah poczuł, że narasta w nim gniew. Próbował go stłumić, ale napięcie jedynie się zwiększyło.

Kiedy zajęli miejsca, Ruth pochyliła się nad mikrofonem.

- Dziękuję państwu za przybycie. Jak państwo wiedzą, Lily Barnes zaginęła w piątek we Włoszech. Jej mąż przeczyta krótkie oświadczenie, po którym będzie można zadawać pytania.

Odwróciła mikrofon w stronę Jonaha, który wyciągnął z kieszeni pogniecioną kartkę i zmrużył oczy, żeby widzieć słowa. Oświadczenie dla prasy było najtrudniejszą rzeczą, jaką do tej pory napisał. Bał się na myśl, że je odczyta.

Przez sześć ostatnich tygodni grał dla setek, czasami tysięcy ludzi. Chociaż widział przed sobą jedynie sześciu znudzonych dziennikarzy zebranych w nędznej komendzie policji, nie miał piosenki, która mogłaby sprawić, że jego słowa zabrzmiały właściwie. Miał oznajmić światu, że Lily zniknęła.

Uczynienie tej wiadomości faktem publicznym przypominało otwarcie drzwi i wpuszczenie do środka wszystkich przerażających możliwości, które do tej pory od siebie odsuwał.

- Moja żona, Lily...
- Czy mógłby pan mówić głośniej? – poprosił jeden z reporterów.

W pokoju było za gorąco, wyschło mu ustach. Odchrząknął i napił się wody ze szklanki stojącej na stole.

– Przepraszam. – Chciał to mieć za sobą. – Moja żona, Lily...

Przerwał. Bocznymi drzwiami wszedł do sali umundurowany funkcjonariusz i szepnął coś Ruth. Ta skinęła głową i położyła dłoń na mikrofonie.

– Chwileczkę.

Wyszli na korytarz. Jonah widział ich przez szybę w drzwiach, ale niczego nie słyszał. Dziennikarze nagle się ożywili.

Jeden z nich wyciągnął notatnik i zaczął coś pisać, spoglądając co chwila na Jonaha. Czyżby pisał o nim? Jonah poczuł kolejny przypływ gniewu. Nie, musiał pisać o Lily.

Po chwili drzwi ponownie się otworzyły. Ruth weszła do środka, ale nie usiadła.

– Niestety, będziemy musieli odwołać konferencję.

Reporterzy zaczęli szemrać, ale Ruth posłała im groźne spojrzenie, którego musiała się nauczyć podczas pierwszego tygodnia w szkole policyjnej. Jonah tylko na nią patrzył, powtarzając jak echo pytanie zadane przez kilku dziennikarzy.

– Dlaczego?

Ruth odwróciła się do Jonaha i rodziny Lily.

– Znaleźli ją. – Później, widząc, że dziennikarze kręcą nosem, dodała: – Jest cała i zdrowa.

Ruth zaprowadziła ich do poczekalni, zostawiając reporterów, którzy przystąpili do pakowania swoich rzeczy.

Kilku zrobiło mu zdjęcie na odchodnym, jakby mieli pretensje, że zepsuł im zabawę. Było mu wszystko jedno. Zmiał kartkę z oświadczeniem dla prasy i wrzucił ją do kubła na śmieci, przytłoczony falą ulgi.

Nadal jednak miał wiele pytań.

– Gdzie ona jest? Czy nic jej się nie stało?

– Pańska żona jest cała i zdrowa – odpowiedziała Ruth.

– Jak ją znaleźli? – spytała Julie.

– Włoska policja rozmawiała z nią przez komórkę. Nie znamy szczegółów, zadzwonili przed chwilą. Niebawem prześlą nam pełny raport, ale wiadomo, że jest cała i zdrowa.

Rozmawiali z nią przez komórkę?

W ciągu trzech ostatnich dni dzwonił do Lily setki razy i telefon nigdy nie był włączony. Nagle poczucie ulgi zaczęło słabnąć

– Kiedy wróci? – zapytała matka Lily.

– Nie mam pojęcia – odrzekła z uśmiechem Ruth, ale jej energiczny ton był dziwnie wymijający. Ukrywała coś przed nimi.

– Gdzie ona jest? – powtórzył Jonah.

Ruth wyprostowała ramiona, biorąc się w garść. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Prosiła, żeby zachować to w tajemnicy.

Jonah poczuł, że przeszedł go zimny dreszcz.

Coś było wyraźnie nie w porządku.

– Żałuje, że zmartwiła was opowieścią o matce i wywołała tyle zamieszania.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Potrzebowała trochę czasu dla siebie.

– Czy mogę z nią pomówić?

– Nie wiem, co zaszło między wami.

To wasza sprawa, nie policji.

Ruszyła przodem, prowadząc ich korytarzem w kierunku drzwi. Jonah chciał zostać na komendzie, dopóki nie otrzyma odpowiedzi, ale musiał iść za Ruth, żeby go słyszała.

– W jaki sposób ustalili, że to ona?

Przecież ktoś mógł użyć jej telefonu. Czy pojechali na miejsce i ją widzieli? Czy zlokalizowali jej komórkę?

– Wszystko będzie w raporcie – odrzekła Ruth.

Poniewczasie się zorientował, że zdołała go wyprowadzić za podwójne drzwi do recepcji.

Na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju współczucia.

– Przykro mi, że dowiedziałeś się o tym w taki sposób.

Dowiedziałem?

Wszyscy zachowywali się tak, jakby coś zostało wyjaśnione, ale w jego świecie pojawiło się jedynie więcej pytań.

Dlaczego nie mogli się z nią zobaczyć?

Dlaczego nie pragnęli tego tak rozpaczliwie jak on?

Julie ujęła go za ramię i wyciągnęła na ulicę. Jej matka już tam była, oparta o metalową poręcz oddzielającą ją od samochodów przesuających się w kierunku ronda.

– Pokłóciliście się? – zapytała Julie.

– Nawet jej nie widziałem! – Próbował sobie przypomnieć każdą rozmowę, każdego esemesa i maila, którego wymienili w ciągu ostatnich sześciu tygodni. – Nie kłóciliśmy się. Po prostu chcieliśmy być razem.

Zauważył, że mu nie uwierzyła.

– Wszyscy się kłócą. Zapytaj mojego Robiego. Ona wróci.

– O nic się nie pokłóciliśmy! – powtórzył z naciskiem.

– Idź do domu i odpocznij. I nie dzwoń do nas, dopóki nie będziesz mieć dobrych wiadomości.

Już dość zmartwiłeś mamę.

Zostawiła go na schodach i ruszyła w kierunku postoju taksówek przed domem towarowym, ale po chwili się odwróciła i zaczęła czegoś szukać w torebce.

– Niemal zapomniałam. Dostałam ten list dziś rano...

Wróciła i podała mu białą kartonową kopertę pokrytą kurierskimi nalepkami. Serce Jonaha żywiej zabiło, kiedy ujrzał adres – pismo Lily, list wysłany do Julie. Na naklejce widniała piątkowa data. Musiała to wysłać przed zniknięciem.

Drżącą ręką wyciągnął dwie kartki. Na górnej widniała krótka notatka: *Czy możesz to przechować do mojego powrotu?*

Pod spodem, na drugiej kartce, znajdował się tekst spisany dziwnymi, kanciastymi znakami przypominającym dziecinne pismo. Jonah potrzebował chwili, aby stwierdzić, że nie jest to język angielski, i kolejnej, żeby skonstatować, że nie jest to zwyczajny alfabet. Może była to greka?

– Przypuszczam, że ta kartka ma jakiś związek z jej pracą – dodała Julie. – Zatrzymaj ją. Może jej potrzebować, kiedy wróci.

Jeśli wróci. Starał się o tym nie myśleć, ale okrutny głos w jego wnętrzu przeniknął przez zaporę ogniową.

Spojrzał na telefon, ale nie znalazł żadnych nowych wiadomości. Ponownie wprowadził numer Lily i ponownie się okazało, że aparat jest wyłączony. Nic nowego. Samochody w dole krążyły wokół ronda Wandsworth. Jonah zaczął obserwować ludzi w poszukiwaniu Lily i zastanawiać się, czy tak będzie wyglądać reszta jego życia.

Chyba że... Ponownie spojrzał na kartkę, którą dostał od Julie – na martwe słowa spisane w martwym języku – i zadał sobie pytanie, czy pomogą mu odnaleźć żonę.

Rozdział 11

Pierwsze wrażenia z pobytu w Italii napęłniły mnie odrazą. Gardzę życiem, które zowią tam szczęśliwym – ciągłym ucztowaniem italskich Greków i Syrakuzańczyków, którzy obżerają się dwa razy dziennie i nigdy nie chodzą spać sami.

Platon, *List VII*

– Zaiste, znam odpowiedź na twoje pytanie – rzekł Demos, maczając chleb w winie i obgryzając go do skórki. – Czy Dionizjos jest dobrym władcą Syrakuz? Absolutnie. Miasto potrzebuje silniej ręki, w przeciwnym razie Sycylia zostałaby podbita przez Kartagińczyków.

Jego silna ręka sięgnęła po brzoskwinię i ścisnęła ją tak mocno, że pękła skórka owocu, sok zaś spłynął między palcami.

– Niestety, Dionizjos zapomniał, z kim powinien walczyć. Przypomina on człowieka, który wybiera sobie żonę tylko po to, aby stwierdzić, że woli jej siostrę, później kuzyna tej siostry, na koniec zaś jego syna... – Wykonał wymowny gest palcami ociekającymi sokiem. – To człowiek nienasycony.

– Pokaż mi tyrana, który taki nie jest – bąknąłem z pełnymi ustami.

– Czy Dionizjos wyruszył na kontynentalną Italię? – zapytał Eufemos.

– Dwa lata temu Turioj utworzyło koalicję z innymi miastami, żeby stawić mu czoło. Skończyło się katastrofą.

Stoczyliśmy dwie bitwy, ale za każdym razem zostaliśmy okrążeni. Całkowicie nas zawstydził, choć trzeba przyznać, zachował się bez zarzutu. Pozwolił naszym się wycofać i wykupić jeńców, później zaproponował pokój na godnych warunkach. Oto miara wielkości.

Demos wydawał się niemal dumny, jakby przez klęskę obywatele Turioj zaskarbili sobie udział w chwale. Nigdy nie brałem udziału w bitwie, ale widziałem ciała leżące na agorze, kiedy mój kuzyn i jego przyjaciele objęli rządy. Do dziś pamiętam martwe, pozbawione nadziei oczy. Też mi miara wielkości!

Tymczasem Demos mówił dalej.

– Wielu roztropanych mężów uważa, że w Turioj przydałaby się silna władza.

Eufemos starannie obrał swoją brzoskwinię.

– Pragniecie domorosłego tyrana?

A może zaprosicie Dionizjosa?

– Nie można zaprzeczyć, że odnieśliśmy pożytek z przywódcy, który postępowałby słusznie, zamiast całymi dniami rozprawiać na zgromadzeniu, niczego nie osiągając.

Jeśli o mnie chodzi, byłem w zgodnym nastroju. Przyrodni brat tak na mnie działał. Oprócz tego ciekło mi z nosa po wczorajszej burzy i licho spałem.

– Sądzisz, że tyran zawsze czyni to, co słuszne?

Były to moje pierwsze słowa, które raczył zauważyć, choć pytanie go zdumiało.

– Niektórzy tak, inni nie. Powiadam tylko, że są wolni i mogą robić to, co słuszne.

– Tyrani nie są ludźmi wolnymi.

– Czynią, co im się podoba.

– Są niewolnikami własnej pożądliwości.

– Są jednak władni ją zaspokoić – przypomniał niefrasobliwie Eufemos, próbując rozładować atmosferę.

– Każde nieumiarkowane pragnienie zniewala – podkreśliłem z uporem. – Czyni człowieka niewolnikiem. Na przykład żądza.

– Może i tak.

– Albo obżarstwo.

– Zaiste.

– Dlatego każdy pijak zamienia się w tyrana.

Demos się uśmiechnął. U większości ludzi uśmiech odsłania najlepsze cechy twarzy, ale w wypadku Demosa była to rzecz brzydka.

– Jeśli to prawda, dziś wieczór wszyscy będziemy tyranami.

Spojrzałem nań pytająco.

– Wydaję ucztę.

Cały dzień włóczyłem się po Turioj, wypytyjąc o Agatona. Miasto było nowoczesne, jak Pireus, z prostymi ulicami i ze świeżą farbą na ścianach świątyń. Można by pomyśleć, że jest pozbawione historii – dopóki człowiek nie przypomniał sobie potopionych mieszkańców Sybaris, gnijących pod jego fundamentami.

Nikt nie widział Agatona od jego wyjazdu miesiąc temu. I nikt go tutaj nie obwinał o jakieś przestępstwo.

Wróciłem do domu Demosa po południowym posiłku, uciałem sobie drzemkę, po czym ubrałem się na ucztę.

Przed zachodem słońca zaczęli się schodzić pierwsi goście.

W Atenach głównym zajęciem podczas uczy jest picie wina. Posiłek stanowi jedynie pretekst, dostarcza wieczorowi tła. W Italii podchodzi się do jadła bardziej poważnie. Na naszym stole pojawiło się śpiewające i dzikie ptactwo, pięć rodzajów ryb i trzy węgorze, papryka nadziewana rodzynkami i słodkie placki migdałowe w kształcie bogini. Choć inni jeszcze nie skończyli, brzuch mi wzdęło jak u topielca. Za to Eufe-

mos, który siedział dwie sofy dalej, był w swoim żywiole.

Nie mógł się również powstrzymać przed drwieniem ze mnie.

– Nie jesteś głodny?

– Za dużo tego jadła.

– Nie wiem, po co przyjechałeś do Italii, skoro masz zamiar zostawiać jedzenie na stole.

Mężczyźni siedzący wokół nas wybuchnęli śmiechem. Kupiec, z którym dzieliłem sofę, przysunął się i szturchnął mnie w żebra.

– Trzeba was podkarmić, Ateńczycy.

Chociaż był bardzo otyły, opróżniał każdy talerz, który mu podano. Udałem uśmiech i odrzekłem Eufemosowi: – Czy musisz się stawiać w kłopotliwym położeniu? Obnosić się ze swoją zachłannością?

– Nie jestem zachłanny. Nie udawaj skromnisa.

– Jesz, panie, jak pitagorejczyk – rzekł do mnie kupiec, wzbudzając powszechną wesołość.

– Jeszcze nim nie jest – odparł Eufemos – ale już ma obsesję na punkcie trójkątów.

Demos sięgnął po kawałek chleba i mnie poczęstował.

– Może kęs chleba lepiej będzie pasować do twoich upodobań.

– Tylko nie częstuj go soczewicą.

– Jeśli zanadto będzie pierdzieć, nie zdoła się skoncentrować.

– I w przyszłym żywocie powróci jako pchła.

Nienawidziłem ich wszystkich, ale najbardziej Eufemosa. Spoczywałem na sofie, unieruchomiony przez kupca polegającego przede mną, i pokornie przyjmowałem zniewagi. Kiedy to wspominam, dochodzę do wniosku, że nie chcieli być okrutni. Oczekiwali, że się do nich przyłączę. Rzucali we mnie kamykami, sądząc, że sięgnę po kij i zdzielię ich w odpowiedzi. Takie rzeczy poczytywali tam za rozrywkę.

Na szczęście wkrótce się mną znudzili i zajęli piciem. Później niewolnicy uprzątnęli stoły, obmyli nasze ręce i stopy, w końcu zaś ukoronowali głowy wieńcami z mirtu i róż. Złożyliśmy libacje i odśpiewaliśmy hymn na cześć bogini, a następnie wykonaliśmy tradycyjne ceremonie.

Mamrotałem, najlepiej jak umiałem, nieznanie modły do nieznanych bogów. W Atenach oddajemy cześć Atenie i Zeusowi – chłodnej mądrości i twardej władzy.

W Italii wolą Demeter i jej córkę – niewiasty dojrzałe, miękkie i podatne.

Ich misteria reagują na dotyk jak płatki kwiatu, wciągając cię coraz głębiej, aż zatracisz się w ciemności.

Biesiadnicy wybrali Demosa na sympozjarchę, ale zaczęli marudzić, kiedy decydując o kolejności rozrywek, zaproponował, żeby mieszać jedną część wina z trzema częściami wody.

– Postradałeś rozum?

- W tak kiepskiej jesteś formie po wczorajszej uczcie?
- Liczy każdy grosz, stary sknera.

Demos machnął ręką z rozdrażnieniem i kazał niewolnikom, żeby dodawali do wina dwie części wody. Ci napełnili głęboki krater o dwóch uchwytach i szerokim brzegu.

- Większy on od kielicha Nestora – zarechotał kupiec.

Zadumałem się, czy Homer na swój sposób nie chciał być dla mnie miły, przypomniałem sobie bowiem inny cytat: *Natrętni hulacy, których wyuzdane swawole Ranią ucho mędrca, krzywdzą trzeźwe oko.*

Demos uderzył w sofę, żeby uciszyć zebranych.

- Jak powiada Homer: „Muzyka i taniec wieńczą ucztę”. Zabawimy się?
- Słyszałem, że zaszczyli nas Deotyma – szepnął mi do ucha kupiec.

Zewsząd odezwały się wiwaty, gwizdy i tupanie pięt o sofę. Wszyscy goście utkwili wzrok w drzwiach.

Chociaż słońce już zaszło, w sali było gorąco. Każdy z mężczyzn obnażył się do pasa. Płomienie lamp migotały na gładkich, posmarowanych olejem piersiach, lśniły na tłuszczu i mięśniach, odbijały się od polerowanych stołów, tańczyły wśród oliwek i ciecierzycy na półmiskach. Wonności, którymi skropili nas niewolnicy, były tak słodkie, że trudno było oddychać. Czułem, że za chwilę coś się wydarzy.

Niewolnik otworzył drzwi. Do izby wbiegło czworo tancerzy: trzy młode niewiasty i chłopiec około piętnastego roku życia. Młodzieniec miał na sobie przepaskę biodrową, dziewczęta nosiły jeszcze skromniejsze odzienie.

Za tancerzami kroczył flecista, który przysiadł na stołku w kącie.

Goście obserwowali z zachwytem, jak tancerze odgrywają tradycyjne widowisko, które miało przedstawiać wybór Parysa. Trzy dziewczęta ciągnęły młodzieńca to w jedną, to w drugą stronę, próbując go zjednać, muzyka wygrywana na flecie stawała się zaś coraz żywsza, przeradzając się w szaleńczy jazgot. Kiedy dobiegła końca, cała czwórka straciła odzienie.

Hera i Atena wycofały się ku ścianom, Parys i Afrodyta oddali się zdumiewającej, orgiastycznej gimnastyce.

Kupiec spoczywający na sąsiedniej sofie trącił mnie łokciem. Jego zad przywarł do mego krocza.

- Idę o zakład, że w Atenach nie uświadczysz takich przedstawień.
- W Atenach zwykle zabawiamy się rozmową.

Eufemos wyraził odrębne zdanie:

- Może na ucztach, na które chadzasz.

Jeśli o mnie chodzi, widziałem kiedyś...

Demos jednak również mnie usłyszał.

– Chyba nie chcemy, żeby mój młodszy brat wrócił do Aten, myśląc, że Turioj jest mniej cywilizowane od stolicy. – Pstryknął palcami. Tancerze sięgnęli po ubranie i

wybiegli z izby.

– O czym będziemy rozprawiać?

Chudy mężczyzna spoczywający po lewej stronie, trzy sofy ode mnie, jak mniemam aspirujący do miana dramatopisarza, westchnął błogo:

– Cała ta muzyka i piękno sprawiają, że myślę o miłości.

– Zaiste – przytaknął medyk, starszy mężczyzna o krzaczastych brwiach i gęstym białym runie porastającym pierś jak u barana, wskazując wybrzuszenie pod tuniką dramatopisarza. – Widzę panie, żeś pobudzony.

Zanim pisarz zdążył odpowiedzieć, rozległo się kołatanie do drzwi, jakby inni biesiadnicy postanowili wtargnąć na przyjęcie. Demos kazał niewolnikom, żeby poszli i zobaczyli, kto przybył.

– Jeśli to przyjaciele, zaproście ich do środka. Jeśli nie, powiedzcie, że skończyliśmy pić i poszliśmy spać.

Śmiechy i żarty ucichły. Wszyscy zamienili się w słuch.

Poczułem powiew świeżego powietrza. Do izby weszła bosonoga niewiasta owinięta w długą szatę, niosąc w rękę podwójny flet zwany *aulos*.

Wśród zebranych przeszedł szmer.

Deotyma.

Poniecham próby jej opisanie, mógłbym bowiem układać słowa jak cegły, nie utworzyłyby one jednak ściany, tylko okno. Mógłbym próbować ją wykuć przymiotnikami, ale najlepszą rzeczą, którą mogą one utworzyć, jest posąg, to zaś byłoby gorsze od niepowiedzenia niczego, ponieważ Deotyma była bardziej ożywiona od wszystkich gości na sali. Przypominała odbicie w wodzie lub polerowanym kamieniu, jak obraz, który nigdy nie jest ten sam. Chyba że patrzyłeś na niego tak długo, że przestałeś dostrzegać ruch i uchwyciłeś głęboki spokój ukryty w głębi jej jestestwa.

Niewiasta zrzuciła płaszcz i podała go niewolnikowi. Suknia pod spodem była cienka i przejrzysta jak światło księżycy, obszyta srebrną nicią. Niczego nie skrywała.

Poczułem, że nastrój uległ zmianie – jakbym znalazł się między wilkami, gdy do jaskini weszła owieczka.

– Spóźniłaś się – rzekł Demos.

– Byłam u kogoś.

Miejscem Deotymy nie była izba pełna spoconych ciał. W istocie trudno rzec, gdzie się ono znajdowało – chyba tylko w przedsionkach świątyni, w których mogłaby przebywać w towarzystwie innych bogiń. Każda niewiasta skuliłaby się pod spojrzeniem tyłu mężczyzn, ale Deotyma pozostała chłodna i niewzruszona.

Wyjęła z tkaniny podwójną fletnię.

– Czy mam zagrać?

Mężczyźni skinęli głową.

W chwili gdy włożyła piszczałki między wargi, coś się zmieniło, właściwie zmienił

się cały świat.

Czułem, jak wino łączy się z krwią w moich żyłach.

Wierzyłem Pitagorasowi, gdy powiadał, że muzyka to język kosmosu.

Jednocześnie wiedziałem, że niewłaściwie to wyłożył. Nie była to bowiem muzyka rozumu, matematyczna konstrukcja przypominająca siatkę ulic, ale raczej muzyka, która wije się meandrami górskiego strumienia. Muzyka, która sprawia, że człowiek pożąda cielesnego ciepła i zapomnienia. Muzyka, którą mógł zagrać Orfeusz, żeby wydostać się z podziemnego świata.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta, Deotyma usiadła z zamkniętymi oczyma na krawędzi sofy Demosa – właściwie naga, jednocześnie zaś zupełnie niedotykalna.

Przez salę przetoczył się powiew, ponieważ biesiadnicy przypomnieli sobie o wzięciu oddechu.

– Czy istnieje coś lepszego od upojenia się dźwiękami fletu? – zakrzyknął entuzjastycznie dramaturg.

Deotyma zmierzyła go wzrokiem sfinksa.

– Uważaj, panie. To niebezpieczna rozrywka.

– Jak to? – zapytałem retorycznie.

Pragnąłem jedynie, żeby zwróciła na mnie uwagę.

Zadrżałem, kiedy się odwróciła i na mnie spojrzała. Czar muzyki nadal brzmiał echem w jej uszach.

– Flety mają magię. Jeśli nie będziesz uważać, rzucą na ciebie czar, zanim się spostrzeżesz.

Pamiętasz konie mieszkańców Sybaris?

– Nie.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Mówiono mi, że jesteś pitagorejczykiem.

Od kogo się tego dowiedziała?

– Nie jestem.

– Gdy obywatele Krotonu wyruszali na Sybaris, wiedzieli, że największym zagrożeniem jest miejscowa jazda.

Dlatego ustawili flecistów w pierwszym szeregu. Kiedy zagrali, konie poddały się czarowi muzyki, porzuciły swoich jeźdźców i przyłączyły do armii Krotonu. To prawdziwa historia – dodała z cichym przekonaniem, jakby widziała to na własne oczy.

– I przestroga, aby nie dać się oczarować. – Demos klasnął w dłonie, próbując przerwać zaklęcie. – Zanim przyszedł, moja droga, szykowaliśmy się do wygłoszenia mów na cześć naszych ateńskich gości.

Deotyma usiadła na sofie i oparła się o gospodarza. Demos pogładził jej włosy.

– Jakież miał być ich temat?

– Miłość.

Kielich z winem dotarł do mnie.

Wziąłem głęboki łyk. Wino tasyjskie – niemal najlepsze. Szkoda takiego dla mnie.

Deotyma splotła ramiona na piersi.

– Czekam.

– Pozwolimy, aby zaczęli Ateńczycy.

Niech nam pokażą, jak to się robi.

Skinął głową w stronę Eufemos.

– Musi pan mieć coś mądrego do powiedzenia o miłości.

– Eufemos potrafi mądrze prawić o wszystkim – przypomniałem.

Sofista wsparł się na łokciu i pociągnął z kielicha.

– Żeby zrozumieć miłość, trzeba zrozumieć ludzką naturę. Aby zaś pojąć naturę człowieka, trzeba się cofnąć do zarania czasu.

Czy mi się zdawało, czy Eufemos wpatrywał się w piersi Deotymy?

– Jak wiadomo, praczłowiek był okrągły. Plecy jego i boki tworzyły kulę, miał także cztery ręce i cztery nogi.

I jedną głowę o dwóch identycznych twarzach spoglądających w przeciwną stronę. Miał ponadto czworo uszu, czworo oczu i całą resztę.

– A wstydlive części ciała? – spytał dociekliwy medyk.

– Miał je obie, męskie i kobiece.

Potrafił również chodzić w pozycji wyprostowanej, jak my, w przód i do tyłu, a gdy chciał szybko bieć, mógł się toczyć z wielką prędkością, obracając się na wszystkich dłoniach i stopach niczym gimnastyk. Pierwsi ludzie byli mocni, tak mocni, że umyślili sobie wspiąć się do nieba i zrzucić zeń bogów.

– Jaki to ma związek z miłością?

– Posłuchajcie, a się dowiecie – odrzekł Eufemos, prostując wieniec na swojej głowie. – Zeus obmyślił plan: przeciął człowieka na pół, jak można przeciąć jajko włossem. Po podziale każda część zaczęła pożądać drugiej połowy. Obejmowały się wzajemnie w nadziei, że ponownie staną się jednym. Stąd się wzięło odwieczne pragnienie, które wszyscy odczuwamy, żeby odzyskać pierwotną pełnię. Ciągłe szukamy drugiej połowy – bez niej jesteśmy jak płaska ryba lub postać na fryzie, którą wyrzeźbiono jedynie do połowy. Stąd również pochodzi silne dążenie do pełni, które zwiemy miłością. Kiedy odnajdziemy swoją drugą połowę, pragniemy się z nią stopić, przeżywać razem każdą minutę, aby nawet śmierć nie zdołała nas rozdzielić.

Gdybym mu ufał, byłaby mi w smak jego mowa. Czekałem na puentę, ale Eufemos zakończył wystąpienie z lekkim ukłonem, rzucając szybkie spojrzenie Deotymie, która nie dała znaku, że usłyszała choćby jedno słowo z jego przemowy.

Później zabrali głos inni biesiadnicy, ale zapamiętałem tylko to, że spoglądałem na Deotymę tyle razy, ile wystarczyło mi śmiałości, gdy zaś kielich do mnie wrócił, piłem zeń więcej niż powinienem.

Kiedy przyszła kolej kupca, dostał takiej czkawki z przejedzenia, że nie potrafił się odezwać.

- Wstrzymaj oddech, panie.
- Kichnij.
- Wypłucz gardło.
- Słowa nie może wymówić. Niechaj pitagorejczyk przemówi za niego.

Oczywiście chodziło im o mnie.

Nigdy nie miałem daru przemawiania.

Chętnie pozostałbym w kącie, ukryty za kupcem, który chwycił się za nos i zwiesił z sofy, próbując wypić kielich wody, znajdując się w pozycji z nogami do góry, ale zmęczyłem się słuchaniem ich głosów – głosów ludzi, którzy skupiali na sobie uwagę, odkąd zabito Sokratesa. Poza tym miałem coś do powiedzenia.

– Niewiele wiem o miłości – zacząłem. – Na pewno nic, co można by ubrać w słowa. Można żartować z miłości lub rozprawiać o jej skutkach i dziwnych rzeczach, które pod jej wpływem czynią mężczyźni i kobiety.

Można również opisać akt fizyczny.

Rozległy się okrzyki i wiwaty:

– Uczyń to! Opisz!

– Nie mogę jednak wam powiedzieć, czym jest naprawdę, tak jak nie mogę powiedzieć, czym jest ogień lub światło.

– Nie filozofuj! – przerwał mi Demos.

– Przecież rozprawiamy o miłości.

Deotyma sięgnęła po migdał z misy i wsunęła go Demosowi do ust.

– Czy miłość nie jest rodzajem mądrości?

Demos ścisnął jej piersi.

– W moim domu miłość to kwestia techniczna.

Kolejne śmiechy. Deotyma pozwoliła, żeby ręka Demosa na chwilę tam pozostała, po czym wykonała obrót i ześlizgnęła się na podłogę, opierając stopy na sofie. Ramię Demosa drgnęło.

Kielich zatoczył kolejne koło. Ująłem krater za oba uchwyty i wziąłem tęgi łyk.

Wino było ciężkie jak ołów. Nie wyczułem w nim wody.

Kupiec z prawej strony chciał wygłosić mowę, ale Demos mu przerwał, wskazując moją osobę:

– Dajże mu skończyć!

– Niechaj pitagorejczyk powie, co ma rzec! – zakrzyknęli chórem pozostali. – W przeciwnym razie narobi smrodu.

Mógłbym tak prawić do znużenia, ale gdy próbowałem ich zignorować, spostrzegłem, że Deotyma patrzy na mnie z podłogi, na jej wargach świta zaś słaby uśmiech. Nie przyjazny, a już na pewno nie zapraszający, ale... pełen zaciekawienia.

Wstałem i uniosłem rękę, musieli więc zwrócić na mnie uwagę.

– Powiem wam o jedynym człowieku, którego kochałem. – Rozległy się nieuchronne, oczywiste żarty. – Zwał się Sokrates.

Nagle stałem się znakomitością.

– Znałeś go?

– Tego Sokratesa?

– Byłeś jego kochankiem?

– Czy to prawda, że deprawował młodych chłopców?

Spocząłem na sofie, zwieszając nogi na podłogę. Czuję, że na mnie patrzą, najbardziej zaś Deotyma, znaczyło to jednak dla mnie tyle, ile daleki zgiełk, ile fale rozbijające się o brzeg.

Spoglądałem w płomień lampy, koncentrując się na najjaśniejszej jego części, dopóki myślami nie przeniosłem się do agory i nie stałem się dwadzieścia lat młodszy. Sokrates stał wśród plakatów i karteczek przyklejonych do pomnika herosów eponimów, jak człowiek, który się zgubił. Już wtedy był stary, ale niezwykle swawolny jak dziecko.

– Niełatwo odmalować Sokratesa, opisując bowiem ludzi, porównujemy ich z innymi znanymi postaciami z historii i literatury. Sokrates różnił się jednak od każdego z żyjących, od każdego, kto kiedykolwiek istniał.

Przerwałem, zastanawiając się nad czymś, o czym już kiedyś myślałem.

– Gdybym go opisał, powstałaby karykatura, ale tak właśnie jest.

– Mówże wreszcie!

– W ateńskich sklepach sprzedają niewielkie popiersie satyra Sylena z pieszczakami i fletami w ustach. Macie takie u siebie? Z zewnątrz wydają się groteskowe – włosy w nieładzie, twarz pokryta zmarszczkami – ale w środku są zawiasy. Po otwarciu popiersia ukazuje się podobizna boga.

Niektórzy skinęli głową, jakby wiedzieli, o czym mówię.

– Sokrates był jak ten satyr. Twarz, którą widział świat, przypominała rzeźbioną podobiznę Sylena.

Rozszerzone nozdrza, wybałuszone oczy, potargane włosy. Miał także zadarty nos i tłuste wargi niczym osioł. Zawsze chadzał boso, jego stopy były więc popękane i pokryte odciskami.

Najlepszą zaś cechą jego odzienia było to, że czasami żona mu je prała.

Podobnie było z tym, czego nauczał. Na zewnątrz wydawało się to pospolite, aż do śmieszności, ponieważ nie przechwalał się swoją uczonością. Nie ilustrował swoich obserwacji przykładami z życia dawnych bohaterów ani poetyckimi cytatami. To go nie pociągało. Przystrajał swoje argumenty w codzienne szaty

– opowiadał o tragarzach i kowalach, szewcach i garbarzach.

Z sali dobiegło kilka stłumionych chichotów.

– Ignoranci wyśmiewali się z niego.

Nie rozumieli go, ponieważ trzeba było otworzyć drzwi i zajrzeć do środka.

Jeśli to zrobiłeś, jeśli zbliżyłeś się na tyle, żeby je uchylić, widziałeś złociste obrazy o pięknie tak niezwykłym, że nie mogłeś przestać na nie patrzeć.

– Sokrates był prowodyrem wszczynającym zamieszki

– rzekł Demos.

– To prawda – przytaknałem. – Był prowodyrem w najlepszym i najbardziej niebezpiecznym sensie. Dzięki niemu uświadomiłem sobie, że nie powinienem żyć tak jak dotąd, spełniając oczekiwania, które inni mieli względem mnie. Sokrates gardził wszystkim, co społeczeństwo każe nam szanować: bogactwem, czcią i władzą.

Doprowadził mnie do punktu, w którym nie mogłem już dłużej znosić swojego dotychczasowego życia.

– Miałeś prawić o miłości – zganił mnie Demos. – Idzie ci jak po grudzie.

– Nie – zaprzeczyła Deotyma. – Taka właśnie jest miłość.

– Im dłużej go słuchałeś, tym silniej pragnąłeś, żeby przemawiał. A kiedy w końcu zbliżyłeś się doń na tyle, aby otworzyć drzwi i ujrzeć, co naprawdę myśli, byłeś gotów zrobić dla niego wszystko.

– Wszystko?

– Dramatopisarz poruszył zadkiem na wypadek, gdybym nie zrozumiał jego pytania.

– Czy byłeś obecny, kiedy...? – Syrakuzanńczyk złożył dłonie w kielich i udał, że pije, następnie odrzucił głowę do tyłu, krztusząc się na niby.

Deotyma zmarszczyła brwi.

Spojrzałem na zuchwalca, wyobrażając sobie, że go duszę.

– Tego dnia byłem chory... – skłamałem z najwyższym trudem.

– Teraz moja kolej! – przerwał kupiec. – Kichanie mi pomogło.

Nikt jednak go nie słuchał. Nagle Deotyma, która spoczywała oparta o sofę Demosa, poruszyła się leniwie niczym kot i wstała.

– Chcecie, żebyśmy opowiedziały wam o miłości?

– Czy będzie pokaz? – spytał medyk.

Spojrzała nań z szyderczym uśmiechem, który zdołałby okiełznać gorgony.

– Nie zniósłbyś widoku.

Światło lampy kładło się złotym blaskiem na jej twarzy, nagich ramionach i szyi. Złoty łańcuch błysnął między piersiami. Przypomniałem sobie fragmenty z Homera, w których bogini zrzuca przebranie i pozwala, aby nieszczęsny bohater ujrzał ją taką, jaka jest naprawdę. Kiedy jej szare oczy spoczęły na mnie, poczułem, jakbym zamienił się w wodę.

– Miłowałeś Sokratesa?

– Tak.

– Mógłbyś opisać to uczucie?

– Czuję... – Moja dusza wezbrała na samą myśl o tym, mięśnie się napięły na wspomnienie walki. – Czuję się jak pierwotny człowiek, o którym mówił Eufemos.

Miałem wrażenie, że odnalazłem swoją drugą połowę.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Nagle odniosłem wrażenie, jakby w izbie nie było nikogo oprócz nas dwojga.

Pozostali zbladli jak biesiadnicy, których wymalowano na ścianie za ich plecami.

– Pozwólcie, że opowiem wam o miłości – zaczęła. – Miłość nie jest życzliwa, sprawiedliwa ani dobra, jak powiada dramaturg. Nie jest ona bogiem, nie jest nawet nieśmiertelna.

W jednej chwili może być pełna życia, w drugiej zaś leżeć martwa w pieczarze, aby ponownie ożyć.

– Miłość to nędzarz skulony na progu, sponiewierany i zapuszczony, o bosych stopach i odzieniu zbrukany ziemią.

Jest sofistą, spiskowcem i wróżbitą.

Sprytnym bohaterem. Jest dzieckiem Pragnienia i Obfitości, wnukiem Przebiegłości.

Jest potrzebujący, bezwzględny i zwodniczy. Wiesz, czego pożąda najbardziej?

– Nie.

– Nieśmiertelności.

Obecni w izbie jęknęli.

– Przynudza jak tamten – westchnął jeden z gości.

– Wiem o kilku innych rzeczach, których pożąda miłość – wtrącił medyk, rozwiązując tunikę i odsłaniając poły na wypadek, gdyby zabrakło nam wyobraźni. W kąciu ust Deotymy mignął słaby uśmiešek.

– To prawda, miłość zaraża nas pożądaniem. Wszelkie stworzenie – człowiek, ptak lub drapieżnik – cierpi niewypowiedziane męki z powodu żądzy rozmnażania – rzekła, spoglądając chłodno na obnażonego członka medyka.

Niektórzy aż się trzęsą z tego pożądania.

Dlaczego?

– Wyjdź na podwórzec, to ci wyjaśnię

– zaproponował obcesowo medyk.

– Miłość pragnie piękna.

– Przed chwilą powiedziałaś, że pożąda nieśmiertelności.

Pokręciła głową. Nawet ten prosty gest mnie oczarował. Igraniem światła w pocie na jej szyi. Błyskiem kolczyków. Sposobem, w jaki kosmyk ciemnych włosów zakłęsał się na policzku niczym liście bluszczu.

– Miłość pragnie piękna. Pragnie go dla siebie i chce mieć je na zawsze.

Seks nie jest celem miłości, ale metodą, którą miłość się posługuje. Kiedy odczuwamy pożądanie, jesteśmy tak ożywieni, że mamy wrażenie, jakbyśmy zdołali umknąć

własnej śmiertelności.

Demos pochylił się ku przodowi, siedząc na sofie niczym na dziobie okrętu. Światło lampy rzeźbiło głębokie czerwone bruzdy na jego twarzy.

– A ty kogo kochasz, Deotymo?

Zastanowiła się chwilę, po czym spojrzała prosto na mnie. Czułem się tak, jakby każda cząstka mojego ciała zamieniła się w ogień.

– Kogoś, kogo nie ma na tej sali.

Brzęk przerwał ciszę panującą w izbie. Demos wstał. Marmurowy stół runął na podłogę, kołyszając się tam i z powrotem wśród rozsypanych daktyli i orzechów.

– Pora, abyś sobie poszła – rzekł. – Chyba że chciałabyś coś dodać na temat miłości.

Odwróciła się do mnie plecami, nie widziałem więc spojrzenia, które mu posłała. Mimo to odniosłem wrażenie, jakby ta chwila zastygła w czasie.

– I ty mógłbyś zostać wprowadzony w podstawowe tajniki miłości – rzekła doń. – Jeśli jednak sądzisz, że zdołasz przebyć całą drogę... – Zwróciła ku niemu zgięty mały palec. – Nigdy nie dotrzesz do drzwi.

Wyszła, zanim zdążył odpowiedzieć.

Demos usiadł ciężko i klasnął w dłonie.

– Zabawmy się nieco!

Tancerki wróciły.

Kiedyśmy rozmawiali, naoliwiły ciała, szykując się na to, co miało nastąpić. Atmosfera w izbie uległa ożywieniu. Młodzieniec zaczął ponownie wygrywać na flecie, choć po wysłuchaniu gry Deotymy zdawało się, że pierdzi przez słomkę.

Zignorowałem tancerki i niewolników sprzątających bałagan, który zostawiła po sobie Deotyma. Dla mnie izba opustoszała.

Przez otwarte drzwi widziałem Deotymę, która zakładała płaszcz na podwórk. Spostrzegłem szczupłą kostkę pod rąbkiem jej sukni, poruszenie bioder, kiedy owijała się połami płaszcza.

Płaszcz Deotymy był prostą szatą – pierwszą, która robi dziewczyna, kiedy nauczy się tkąć. Nie było jednak dwóch identycznych, choć wszystkie wyglądały podobnie. Właśnie dlatego umieszczano na nim szpilę, wstążkę lub haft, aby móc go odnaleźć po zakończeniu wieczoru, kiedy oczy są utrudzone i trzeba wybrać jeden z dziesięciu.

Jej płaszcz miał monogram – literę „A” obwiedzioną kołem – naszyty na plecach, poniżej karku.

Całkiem pospolity. Tyle że widywałem go wcześniej wielokrotnie, ostatnio zaś na nabrzeżu Pireusu, gdy spoczywał na ramionach żegnanego przyjaciela. Nadal pamiętam chwilę, kiedy się odwrócił, aby wejść na pokład statku, i monogram mignął na jego plecach.

Pewnie, że pamiętałem. Wtedy ostatni raz widziałem Agatona.

Rozdział 12

JONAH – LONDYN

Charis mieszkała w pięknej miejskiej rezydencji w północnej części Londynu, pełnej pobielanych domów. Frontowe drzwi były okolone przez dwa wawrzyny, z zagrabionego żwiru u dołu schodów ulicę obserwował zaś posąg skrzydlatego bóstwa pozbawiony jednego ramienia. U jego stóp leżała czerwona piłka.

Jonah wszedł po schodach i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu młoda kobieta, szczupła i ładna, w opiętych džinsach podkreślających zgrabną figurę i obcisłym różowym T-shircie. Pewnie niania. Uśmiechnęła się do niego w sposób typowy dla wielu kobiet.

– Czy zastałem Charis?

Z głębi doleciał stłumiony głos.

– W porządku, Yolando! Już idę! – Usłyszał ruch na schodach, odgłos uderzenia i znajome „cholera!”. Niania cofnęła się do środka, szerzej otwierając drzwi.

– Czy nie możesz poprosić dzieci, żeby posprzątały zabawki, Yolando? – Przerwała na widok Jonaha. – To ty, kochanie?

Kiedy się poznali, Charis była obiektem westchnień wszystkich mężczyzn. Każdy człowiek ma wiek, w którym wygląda najlepiej – Charis jako młoda i silna kobieta. Pewnie za silna, jak dla niej. W jej nad wiek dojrzałym ciele kryła się dziewczęca niewinność. Jej skóra promieniowała młodością, długie czarne włosy otaczały pyzate policzki. Śmiała się głośno i obejmowała ramionami niedawno poznane osoby. Kiedy spoglądałeś w jej niebieskie oczy, nie widziałeś śladu skrzepowania, ale otwartość i radosne zaproszenie do środka. Nawet Jonah był pod jej wrażeniem – zanim pojawiła się Lily.

A teraz... Nie powinna wyglądać tak staro w wieku trzydziestu lat.

Pucołowate policzki zniknęły, ich miejsce zajęła twarda, kanciasta twarz, modnie uczesane włosy straciły zaś dawny blask. Oczy sprawiały wrażenie zmęczonych. Jedynie objęcie, którym go powitała, nie uległo zmianie.

– Nie wiedziałam, że przyjdiesz.

Trzeba było mnie uprzedzić.

– Dzwoniłem wczoraj. – Wykonał kilkanaście telefonów do każdego, kto mógł mu pomóc w odnalezieniu Lily. – Zostawiłem ci wiadomość.

– Przepraszam. Rodzice Billa spędzili z nami weekend. Właśnie wyjechali.

Dzisiaj rano miałam przeprawę z dziećmi. – Posłała mu kokieteryjny uśmiech za-

miast przeprosin.

– Oddzwoniłabym, przecież wiesz. Miałeś pilną sprawę?

Nie potrafił tego wyjaśnić na progu.

– Moglibyśmy pogadać?

– Jesteś tajemniczy. – Kolejny przebłysk dawnej energii. – Wejdz.

Możesz się zająć dziećmi, Yolando?

Zagotuj wodę.

Słodzisz, prawda?

Przepraszam za ten bałagan.

Zaprowadziła go do oranżerii pełnej wiklinowych mebli i plastikowych zabawek. Lato przypuściło ostatni atak i miasto oblały siódme poty. Na niebie nie było ani jednej chmurki. W porze lunchu pracownicy biurowi tłumnie wylegną do parków, podwijając rękawy i opuszczając ramiączka staników, żeby wyrównać blednącą opaleniznę. Charis nie otworzyła jednak drzwi mimo gorąca panującego w oranżerii.

Niania przyniosła herbatę. Charis rzuciła okiem na zegarek.

– Minęła dwunasta – oznajmiła szczęśliwie zaskoczona. – Napijemy się czegoś mocniejszego?

– Wystarczy herbata.

– Ale nuda. – Skoczyła z fotela i wyszła, aby wrócić po chwili z butelką białego wina i dwiema szklankami.

Napełniła je po brzegi.

– Zdrowie!

Wino było tak chłodne, że smakowało jak woda.

Charis zsunęła buty i podwinęła nogi pod siebie.

– Co się stało?

– Lily zaginęła – wybełkotał, wziął drugi łyk wina i wszystko jej opowiedział. Kiedy skończył, jego szklanka była pusta. Charis napełniła ją ponownie.

– Bardzo mi przykro. Jeśli się odezwie...

– Nie jest tak, jak myślisz. – Po tonie głosu odgadł, o czym pomyślała, i nie chciał tego słuchać. – Tuż przed swoim zniknięciem Lily wysłała list. Musiała to zrobić z hotelu tamtego ranka.

Pomyślałem, że jeśli ktoś to zrozumie, to chyba tylko ty.

Sięgnął do torby po kopertę FedEx i wyjął z niej kartkę papieru. Dłoń Charis otarła się o jego rękę, gdy ją odbierała.

– To starożytna greka.

– Potrafisz odczytać ten napis?

Nie musiał pytać. Charis otrzymała wyróżnienie dla najlepszej studentki filologii klasycznej w Oksfordzie.

Później był doktorat, po nim stanowisko badawcze, które szybko zamieniło się w

pełny etat w college'u. Jednocześnie miała cały korowód chłopaków i namiętny romans z promotorem, po czym nieoczekiwanie poślubiła dwadzieścia lat starszego absolwenta Eton i przyjęła zasadę, że jako jego żona nie powinna pracować.

– To trochę skomplikowane. – Odsunęła z twarzy lok czarnych włosów.

– Musiała to z czegoś skopiować. Może z przedmiotu znalezionej podczas wykopalisk. Wiesz, co to takiego?

Wskazała lewy górny narożnik kartki, w którym Lily napisała „R27” i wzięła w kółko.

– Nie mam pojęcia, może to jakiś numer referencyjny. – Jonah podrapał się w zarosnięty policzek. – Tylko to potrafię odczytać.

Charis mruknęła coś pod nosem, po czym wydała ciche chrząknięcie wyrażające zdumienie.

– „Słowa pamięci”. Tak tutaj napisano.

„Słowa pamięci wyryte w złocie na godzinę twojej śmierci”.

Chociaż znajdowali się w parnej oranżerii, Jonaha przeszedł lodowaty dreszcz.

– Co to znaczy?

– Chwileczkę.

Charis ześlizgnęła się z krzesła i poszła do salonu. Jonah wziął kartkę i spojrzał na dziwne znaki.

W porównaniu ze schludnym pismem Lily kartka przedstawiała istny chaos.

Linie były krzywe, litery umieszczono w dziwnej odległości od siebie. Jakby dziecko uczyło się pisać.

Na godzinę twojej śmierci.

Zauważył zdjęcie stojące na półce.

Lily spoglądała na niego z fotografii umieszczonej w starej, taniej ramce.

Podniósł ją i uważnie obejrzał. Lily była z Richardem, Charis i Adamem.

Obejmowali się ramionami w miejscu, gdzie było zimno i wilgotno, sądząc po płaszcach i mokrych włosach. Pewnie w Oksfordzie. Czy on także tam był?

Zdjęcie musiało pochodzić sprzed wieków. Ich twarze były świeże jak deszcz, Lily zaś od dawna nie obejmowała ramieniem Adama.

Dopił wino i nalał sobie następną kolejkę, rozlewając napój.

– Stare dobre czasy. – Charis wróciła z książką w rękę i usiadła na oparciu jego fotela. Jonah ponownie spojrzał na fotografię.

– Rozmawiałaś ostatnio z Adamem?

Charis pokręciła głową.

– Adam nie wysyła kartek z bożonarodzeniowymi życzeniami.

Myślę, że pojechał do Grecji, żeby udawać Sokratesa.

Jonah odstawił fotografię na półkę, choć jego oczy raz po raz spoglądały na Lily. Charis otworzyła książkę na środkowych, lśniących kartach. Na czarnym tle Jonah uj-

rzał coś, co wziął za arkusz złoczonego papieru o postrzępionych brzegach i ośmiu zagnieceniach w miejscu złożenia.

Arkusz był pokryty pismem, ale nie wykonano go atramentem. Znaki mogły być zrobione tępym rylcem lub skopiowane z innego arkusza.

– Czy to pergamin?

Charis wybuchnęła śmiechem i potargała mu włosy.

– Pergamin jest zbyt tani, kochany. To złoto.

– Taki przedmiot musi być wart fortunę.

– To powiększenie. Prawdziwy artefakt ma wielkość karty kredytowej.

Jonah przyjrzał się fotografii. Pismo przypominało znaki z listu Lily – duże litery wiążące się meandrami w poprzek kartki. Nawet w powiększeniu nie były większe od tych, którymi można by sporządzić listę zakupów. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakie musiały być małe i jak trudne było je wyryć. Dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu?

– Co to takiego?

– Złota tabliczka grobowa, element starożytnego kultu. Zmarłych grzebano z tabliczką, aby mogli ją zabrać do życia pośmiertnego. Ta jest datowana na czterechsetny rok przed naszą erą.

– Jest ich więcej?

– Znajdowano je w całym rejonie Morza Śródziemnego. Jedna z nich znajduje się niedaleko, w British Museum.

Jonah wypił łyk wina.

– Czy Lily mogła taką znaleźć?

– Prowadziła wykopaliska w rejonie, z którego pochodzą tabliczki. Myślę, że niektóre z nich znaleziono podczas ekspedycji w Sybaris. – Przejrzała kilka kartek książki, przypominając sobie fakty. – Trzy pochodzą z Turioj, miasta zbudowanego w miejscu zatopionego przez powódź Sybaris.

– Nie musisz jej tłumaczyć? Wiesz, co zawiera?

– Mniej więcej. Tabliczki różnią się drobnymi szczegółami.

– Jakimi szczegółami.

Charis zamrugła oczami.

– Nie powiedziałam ci? Zawierają wskazówki, jak dotrzeć do krainy cieni.

GRECJA

Jonaha nie było na miejscu, dowiedział się więc o wszystkim dopiero po pewnym czasie. Poszedł z profesorem Menelaosem do laboratorium po narzędzia. Pozostali rzucaли frisbee w gaju oliwnym obok wykopów.

Menelaos ostrzegął ich przed wężami, ale był wiecznie zmartwionym starszym mężczyzną, paranoikiem, jak wszyscy Grecy, nie przywiązywali więc wagi do jego słów.

Podobno początkowo prawie nic nie czuła. Jedynie lekki ból w miejscu, gdzie zęby

jadowe przebiły łydkę, tuż nad butem. Na skarpetkę spłynęła kropla krwi. Grali jeszcze kilka minut, kiedy siedziała pod drzewem, pocierając ranę i rozmawiając jak gdyby nigdy nic. Wąż zniknął w ziemi. Lily powiedziała, że nie był dłuższy od jej ramienia.

Pięć minut później jad zaczął działać.

Jej twarz i kark poczerwieniały, nabrzmiały jak balon. Ukazały się żyły, oczy wyszły na wierzch, a język spuchł tak, że wystawał z ust. Wiła się na ziemi, kiedy ból ogarnął grzbiet.

To Adam ją ocali. Kiedy Charis krzyczała, Richard bredził zaś o wezwaniu karetki, Adam wziął ją na ręce i zawołał Juliana, żeby wynieść ją z łąki. Położył Lily na tylnym fotelu wynajętego samochodu i zawiózł do oddalonego piętnaście kilometrów szpitala w Ejo. Kiedy Julian powiedział, że może zabić całą trójkę, jeśli będzie prowadzić jak szalony, omal nie wyrzucił go z samochodu.

Jonah wrócił piętnaście minut później. Menelaos miał jeszcze jeden samochód, ale nie dał mu kluczyków.

Powiedział, że nie zdołają niczego zrobić. Jonah przeszedł trzy kilometry do głównej drogi i zatrzymał ciężarówkę jadącą do Ejo. Kierowca wysadził go na obrzeżach miasta. Przez godzinę szukał szpitala.

Julian przywitał go w zatłoczonej poczekalni.

– Jest nieprzytomna. Lekarze mówią, że ma pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

– Co?!

Julian wyciągnął chusteczkę i otarł czoło.

– Pięćdziesiąt procent szans na przeżycie.

Zaczął coś mówić, wypowiadać słowa, które Jonah ledwie słyszał: surowica, niewydolność wielonarządowa, środki znieczulające.

– Muszę ją zobaczyć.

– Adam przy niej czuwa. – Julian położył dłoń na jego ramieniu. – Pozwólmy lekarzom pracować.

Jonah strząsnął rękę.

– Muszę ją zobaczyć – powtórzył.

Rozejrzał się wokół, szukając pomocy, choć nie znał greckiego. Chwilę później ujrzał Adama wychodzącego przez podwójne drzwi.

Miał zwieszona ramiona i pobladłą twarz.

– Jak ona...?

– Bez zmian. To będzie trwać całe wieki. Powiedzieli, żeby poczekać tutaj.

Tej nocy Adam i Jonah siedzieli w poczekalni, prawie ze sobą nie rozmawiając.

Kiedy pielęgniarka powiedziała, że mogą zajrzeć do chorej, poszli do jej pokoju i zajęli miejsca po przeciwnych stronach łóżka.

Lily wyglądała jak więzień. W otwartych ustach miała rurkę aparatu do oddychania, a gruba wiązka przewodów i kabli oplatała ją jak pajęczyna.

W końcu Adam podniósł głowę.

– Nie ma sensu, żebyśmy obaj tu siedzieli. Lekarz powiedział, że może znajdować się w tym stanie przez godziny, może nawet dni. Lepiej czuwajmy na zmianę.

– Nie. – W jej organizmie znajdowało się dużo jadu, była bardzo osłabiona.

Potrzebowała, żeby przy niej był.

– Jeśli chcesz, możesz iść.

Czuł się zbyt zmęczony, aby udawać.

W jego głosie można było wyczuć surową, wyraźną emocję. Trudno było jej nie zauważyć. Adam spojrzał na niego.

– Czy ty i Lily...?

Jonah skinął głową. Od tamtego dnia, gdy odkryli morską jaskinię, on i Lily zachowywali się jak nastolatki na rodzinnych wakacjach. Wymykali się przy każdej okazji i płynęli na odludną plażę, dotykali się nogami pod stołem podczas kolacji. Chwyтали ukradkiem każdą zakazaną chwilę. Wyznanie tego, co ich łączy, wydawało się zdradą grupy.

„Poza tym nie chcę denerwować Adama – powiedziała Lily. – Źle to przyjmie”.

– Domyślałem się. – Adam pociągnął łyk wody z butelki. Jego napięta twarz wyrażała wściekłą koncentrację, jakby stanął przed matematycznym problemem, który mógł rozwiązać za pomocą intelektu.

Jonah nie wiedział, co odpowiedzieć.

Stali po przeciwnych stronach łóżka, Lily leżała między nimi. Słyszał jedynie syk dochodzący z rurki dostarczającej powietrze i ciche tykanie aparatury medycznej.

Adam pogłaskał ramię Lily, które przywiązano do łóżka, aby nie wyciągnęła rurek nieostrożnym ruchem.

– Zadzwoń, jeśli coś się zmieni.

Miał wrażenie, że między nimi pojawiła się nieskończona przestrzeń.

– Uratowałeś jej życie – powiedział Jonah. – Lekarze powiedzieli, że za pięć minut byłoby za późno.

Po nosie Adama spłynęła łza. Otarł ją gniewnym gestem.

– Zrobiłbyś to samo, gdybyś tam był.

Lily była nieprzytomna przez czterdzieści dwie godziny. Jonah czuwał u jej boku w godzinach odwiedzin lub drzemał w poczekalni. Drugiej nocy jedna z pielęgniarek ulitowała się i pozwoliła mu zostać w pokoju po zakończeniu pory odwiedzin. Siedział na krześle, śniąc niespokojnie i budząc się wiele godzin przed świtem.

Tym razem musiał zasnąć, ponieważ obudziły go jasne promienie słońca wpadające przez okno. Światło padło na twarz Lily przez kokon kabli, ożywiając bladą skórę.

Lily drgnęła, poruszyła powiekami i otworzyła oczy. Jonah rozdziawił usta, po chwili skoczył na drugą stronę pokoju, do przycisku przywołania. Lily chciała coś powiedzieć, ale uniemożliwiła to rurka tkwiąca w gardle. Pocałował ją w czoło i spoj-

rzał w oczy, komunikując wszystko wzrokiem.

Dopiero gdy zrozumiał, że zwyciężyła, dotarło do niego, że zakończenie mogło być inne. Wcześniej nie dopuszczał takiej możliwości, gdyby bowiem to uczynił, byłoby tak, jakby się na to zgodził, zamiast powstrzymać śmierć przez trzy dni. Zdążył tylko zadzwonić do Adama, zanim padł z wyczerpania.

Kiedy jad przestał działać, lekarze powiedzieli, że objawy powinny szybko ustąpić. Wypisali Lily tego samego popołudnia. Tej nocy poszedł do pokoju, który Lily dzieliła z Charis. Charis otworzyła mu drzwi.

– Ona śpi. Właśnie wychodziłam, żeby zapytać Adama, czy chce się napić.

Biedak nie może się pozbierać.

– Dotrzymam jej towarzystwa.

Klimatyzator nad oknem działał pełną parą, było więc tak zimno, że Lily przykryła się kocem. Jonah usiadł na łóżku Charis, opierając stopy na podłodze i składając dłonie jak do modlitwy.

– Kocham cię – powiedział głośno.

Lily otworzyła oczy. Nie wiedział, czy go usłyszała.

– Możesz otworzyć okno? – zapytała.

– Zimno tu jak w chłodni.

– Lekarze powiedzieli, żeby w pokoju było zimno.

– Potrzebuję świeżego powietrza.

Proszę.

Jonah otworzył okno. Po długim czasie spędzonym w sterylnym szpitalu przytłoczył go zapach życia unoszący się w powietrzu. Wyłączył klimatyzację.

Milczeli dłuższą chwilę.

– Jak się miewa Adam?

– Cieszy się, że twój stan uległ poprawie. – Nie chciał teraz myśleć o Adamie, ale był przekonany, że oczekuje czegoś więcej. – Chce wiedzieć, co czułaś, zanim dotarłaś do szpitala. Czy widziałaś jasne światło?

Ujrzałaś Boga? Wiesz, coś w tym stylu.

Przyciągnęła go do siebie. Położył się obok niej na kocu, czując, jak jej ciało unosi się i opada w rytm oddechu.

– Ogarnął mnie przerażający mrok.

Nie było żadnych gwiazd ani jasnych świateł. Obawiam się, że nie widziałam Boga. I nie otrzymałam żadnego wielkiego objawienia.

Myślałam jedynie o tym, że pragnę tego dokonać.

Razem z tobą.

Odsunęła koc. Miała na sobie T-shirt, jeden z jego, choć go jej nie pożyczył.

Kiedy uniosła ramiona, zdjął go. Leżała obok niego całkiem naga.

– Czy to bezpieczne? – zapytał.

- Nie zatruję cię.
- Nie o to mi chodzi.
- Życie jest za krótkie. – Objęła go ramionami i przyciągnęła do siebie. – Chyba że nie chcesz...

Jonah położył się na niej delikatnie i ostrożnie pocałował w kark.

- Chcę.

LONDYN

Miał wrażenie, jakby szklany pokój odwrócił się do góry nogami. Ściana za jego plecami zadrżała, uderzona piłką.

- Powiedziałaam Yolandzie, żeby nie pozwalała na to dzieciom. W domu piłka jest zakazana – zirytowała się Charis.

Spojrzała ponownie na kartkę, mrużąc coś do siebie.

- Dlaczego Lily to wysłała? – zapytał głośno Jonah.
- Żeby mieć nad czym pracować zimą? Włosi nie pozwoliliby jej wywieźć z kraju oryginalnego artefaktu.

- Przecież mogła włożyć kopię do torby i zabrać ze sobą. Dlaczego ją wysłała?

Zauważył, że Charis spojrzała na niego zalotnie. Jej pierś lśniła od potu, pasek topu zsunął się z ramienia.

- Co?

- Posłuchaj siebie, kochanie.

Naprawdę myślisz, że starożytna grecka tabliczka powie ci, gdzie jest Lily?

- Nadała to na pocztę w dniu swojego zniknięcia. Musi istnieć jakiś związek.

Nie dowiesz się niczego więcej – szepnął jakiś głos w jego wnętrzu.

- Możesz to przetłumaczyć?

Sprawdzić, czy nie ma w tym nic niezwykłego?

- Będę potrzebować czasu. To skomplikowany tekst. Mogłabym to zatrzymać na jakiś czas?

- Oprócz tej kartki nie mam niczego.

– Zrobię sobie kopię. – Skoczyła na równe nogi, pociągając go za sobą i prowadząc na górę. W jakimś pokoju płakało dziecko, jakby cały jego świat się zawalił. Po chwili dołączyło do niego kolejne, którego wrzaski przerywały krzyki wyczerpanej niani.

Charis zdawała się tego nie dostrzegać.

Po przegrzanej oranżerii gabinet wydawał się chłodny. Na białym biurku stał biały komputer, wzdłuż ścian ciągnęły się białe półki. Było także białe łóżko z białymi prześcieradłami, pewnie na wypadek gdyby goście nie zmieścili się w pięciu pozostałych sypialniach. Na stoliku przeżył się dumnie czarny posążek bogini o obnażonych piersiach, z głową odrzuconą do tyłu, trzymającą w rękach dwa węże składane w ofierze niebiosom.

Urządzenie wielofunkcyjne zaszumiało, kiedy Charis włożyła do niego kartkę. Jonah stał przy oknie, spoglądając na trawnik. Płacz ustał.

Wszystko, co słyszał, sprowadzało się jedynie do szumu miasta w sierpniowy dzień.

Jej nagie stopy stąpały bezszelestnie po białym dywanie, a głos znalazł się nagle tuż za jego plecami.

– Możesz zostać na kolacji?

– Powinienem już iść.

– Mielibyśmy cały dom dla siebie.

Każę Yolandzie zabrać dzieci do kina.

Bill jest we Frankfurcie – dodała wyjaśniająco.

Odwrócił się. Charis stała tak blisko, że prawie do dotykała. Wygięła grzbiet, odchylając głowę do tyłu. Piżmowa woń jej perfum wypełniła pokój.

Jonah położył dłoń na jej nagim ramieniu. Wino sprawiło, że jego myśli spowiła mgiełka. Poczł się pijany.

Odsunął ją od siebie. Zrobiła dwa kroki wstecz i usiadła na łóżku. Zaczęła rozpinąć top.

– Co robisz?

Przerwała, wyraźnie zdumiona.

– Kochanie...

Dotknęła jego paska. Poczł falę furii.

Odtrącił jej rękę. Robienie takich rzeczy, kiedy Lily go potrzebowała – robienie tego w ogóle – było złe, złe, złe. Jak...

Jak tańczenie na grobie Lily – odpowiedział głos w jego głowie.

Charis wstała i wygładziła top. Jej twarz poszarzała i stwardniała.

– Nie musisz udawać sir Galahada.

Jak ci się zdaje, co ona teraz robi?

– Lily zaginęła.

– Nie zaginęła, kochanie. Zostawiła cię.

Choć wino uczyniło go miękkim, słowa Charis zaboląły go jak cios w brzuch.

– Ona zaginęła

– powtórzył, chowający się za tymi słowami jak za ścianą, ale śmiech Charis ponownie ją zburzył.

– Wydorosłej w końcu. Powiedziąłeś, że policja rozmawiała z nią dziś rano.

Posłuchaj tego, co mówią. Co ona mówi. Czy wiesz, co robiła we Włoszech?

Pokręcił głową. Chciał, żeby Charis zrozumiała, ale słowa „zadzwońiaby”, „nie zostawiłaby mnie” nie zdołalyby oddać tego, co czuł. On po prostu wiedział.

Charis położyła ręce na piersi.

– Możesz wierzyć, w co zechcesz. Po prostu mi cię żal.

– Jeśli chcesz mi pomóc, powiedz, co to znaczy – powiedział, zabierając list Lily.

Wyszedł z pokoju. Słyszał, jak idzie za nim po schodach, ale się nie odwrócił. Z kuchni ponownie dobiegł dźwięk odbijanej piłki.

Zaczął majstrować przy zasuwie frontowych drzwi.

– Jonah?

Spojrzał na nią wbrew sobie. Charis stała w połowie schodów z twarzą ukrytą w cieniu. Wyglądała tak, jakby zaczęła płakać, ale pewnie był to tylko pot.

– Mam nadzieję, że ją odnajdziesz.

Szedł bez końca krętymi uliczkami parnego miasta, chodzenie było bowiem łatwiejsze od myślenia.

Kierował się na południe, jak kropla deszczu spływająca do rzeki, nieświadoma, że porusza ją siła ciężenia. Powinien był wrócić do swojego mieszkania, ale nie potrafił znieść myśli o panującej w nim pustce.

W końcu znalazł się na Tottenham Court Road. Czarny znak ze złotymi literami wskazywał drogę w lewo, do British Museum.

Jedna z nich znajduje się niedaleko, w British Museum.

Ruszył za drogowskazem, wszedł po schodach między wysokimi jońskimi kolumnami i dowiedział się, jak dotrzeć do odległej galerii z dala od zgiełku wypełniającego Great Court.

Złota tabliczka spoczywała między dwiema warstwami przydymionego akrylowego szkła, zamknięta w gablocie w narożniku sali. Była jeszcze mniejsza, niż powiedziała Charis – niewiele większa od dużego znaczka pocztowego.

Musiał się pochylić i osłonić oczy rękami, że dostrzec drobne litery. Obok blaszki na złotym łańcuszku wisiało cylindryczne pudełeczko.

Poniżej znajdowała się kartka, na której wydrukowano przekład starożytnego tekstu.

"złota tabliczka z orficką inskrypcją i pudełeczko w formie naszyjnika, w którym go przechowywano"

– informował napis.

Przypatrywał się jej długi czas. Nikt mu nie przeszkadzał, nikt nie prosił, żeby się przesunął – ta część muzeum była zbyt oddalona od sklepów z pamiątkami i kawiarni, żeby zwrócić uwagę zwiedzających. Gdyby nawet go poprosili, pewnie niczego by nie usłyszał. Nie odrywał wzroku od ekspozycji, wpatrywał się jednak nie w tabliczkę, ale w pudełeczko umieszczone obok niej.

Widział je wcześniej – takie lub podobne. Trzy dni temu, naszkicowane w dzienniku wykopalisk Lily w Sibari.

Sięgnął po telefon.

Rozdział 13

Może byłoby najprościej, gdybym przytoczył wam rozmowę z Deotymą i pytania, które mi zadała.

Platon, *Uczta Akolouthei*.

Słowo odcisnięte w błocie pod progiem – tam, gdzie niewolnicy rozlali wodę. „Pójdź za mną”.

W andronie za moimi plecami Eufemos, Demos i medyk chrapali na sofach, gdzie posnęli nadzy. Jedna z tancerek – jak sądzę, Afrodyta – leżała skulona na piersi Eufemosa. Kiedy ją ujrzałem, pomyślałem, że to Deotyma.

Mało brakowało, a byłbym drania zabił.

Poprzedniej nocy zdołałem się dowlec do łóża, ale to nie pomogło.

Głowa pękała mi z bólu, w żołądku tak mnie gniotło, jakbym połknął kamień.

Miałem ochotę zwymiotować, sądząc jednak po zapachu, nie byłbym pierwszy. Po kuśtykałem do drzwi, otworzyłem je... i ujrzałem słowo odcisnięte w błocie.

Akolouthei.

Pójdź za mną.

Potarłem oczy. Po jednym kroku ukazało się ponownie. I znowu. Ścieżka słów prowadziła mnie w górę ulicy, z każdym krokiem odciągając od domu mojego przyrodniego brata. Znaki były słabsze tam, gdzie ziemia była sucha i stopy podnosiły pył, ale nadal były możliwe do odczytania.

Widziałem już wcześniej takie znaki.

Używały ich nierządnice z ateńskiej dzielnicy Kerameikos, które nosiły buciki ze słowami wrytymi na podeszwie, reklamujące ich wdzięki, dokądkolwiek się udały, i pozostawiające ich kocią woń.

Ziemia została niedawno zwilżona, odciski stóp były świeże. Ten, kto pozostawił znaki, musiał niedawno wyjść z domu – i to wejściem przeznaczonym dla mężczyzn. Czyżby koniec końców została na noc?

Pójdź za mną.

Znajdowałem się w podatnym stanie, szedłem więc za znakami.

Ścieżka stroniła od głównych ulic, trzymając się bocznych zaułków i tylnych alejek, gdzie mniej stóp mogło zatrzeć ślady. Im dalej szedłem, tym bardziej byłem pewien, że stanowią wiadomość – wiadomość przeznaczoną dla mnie. Dlatego za nimi podążałem.

Ścieżka urywała się przed drzwiami dużego domu stojącego na skraju miasta, tam, gdzie uliczki zaczęły się uwalniać od surowej symetrii, którą im narzucono.

Za podmokłymi polami na niebie rysował się rozwidlony szczyt góry Apollion. Wandę podpierały dwie kolumny, jedna z hermą zwróconą na zewnątrz i dzwonem związającym ze sterzącego fallusa, którego na nim ustawiono. Zakołatałem do drzwi.

Otworzyła mi niewolnica, zgarbiona niewiasta o siwych włosach upiętych w kok.

– Czyj to dom? – zapytałem.

Otworzyła szerzej z niemym uśmiechem, wpuszczając mnie na zacieniony podwórzec, pośrodku którego rosło owocujące drzewo morelowe, otoczone mozaiką przedstawiającą ptaki gniazdujące wśród winorośli i bluszczu. Na stole pod drzewem w wiklinowej klatce siedział cicho prawdziwy ptak.

Powietrze było słodkie od woni moreli – moreli i fig. Rozejrzałem się w poszukiwaniu innego drzewa, ale żadnego nie znalazłem. Poza tym było za wcześnie na figi.

– Nie ufasz swoim zmysłom?

Zza kolumny ukazała się Deotyma.

Spojrzałem na nią bez słowa, choć tylko dlatego, że zaskoczył mnie dźwięk jej głosu. To, że znajdowała się w tym miejscu, wydawało się oczywiste, jakbym już to wiedział.

Nie ufasz swoim zmysłom. Czy było to pytanie?

– Podążyłem śladem twoich stóp.

– Pomyślałam, że to uczynisz. – Zrobiła kolejny krok w moją stronę. – Wyglądasz na człowieka, który szuka kogoś, za kim mógłby podążać.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Mógłbym zaprzeczyć, powiedzieć, że nie szukam nauczyciela, ale zaginionego przyjaciela, którego płaszcz miała na sobie poprzedniej nocy. Mógłbym również zapytać, jak weszła w jego posiadanie.

Ponieważ nie byłem gotów do wysłuchania odpowiedzi, tylko więc na nią patrzyłem. Deotyma miała twarz, która zdołała się oprzeć przemijaniu, charakter zaś tak niezłomny, że nic nie zdołałoby go nagiąć. Jej skóra była gładka, rysy były zdecydowane, oczy – głębokie jak czas. Miała na sobie prostą lnianą suknię oraz naszyjnik z paciorków i suszonych fig. Pomyślałem, że to ich zapach poczułem, ale dojrzała woń nie mogła pochodzić od tych pomarszczonych, zeschniętych łusek.

Moja słabość do fig była przyczyną wielu żartów Sokratesa. Mawiał, że tylko z ich powodu jestem gotów pobrudzić sobie ręce.

Szare oczy Deotymy przyłapały mnie na tym, że ją obserwuję. Zarumieniłem się. Widziałem ją właściwie nagą wczorajszej nocy, ale dzisiejsze spotkanie wydawało się bardziej intymne.

– Masz piękny dom – rzekłem, chowając się za banalnymi słowami.

– Dziękuję.

Taki dom nawet w Italii musiał kosztować małą fortunę.

- Masz ziemię na wsi?
- Nie.
- Jakiś interes?
- Co sugerujesz?

Lekko się skrzywiłem. Słowo, którego użyłem – ergasterion – mogło oznaczać interes dowolnego rodzaju, także przybytek specyficznie wstydliwego rodzaju.

- Nie miałem na myśli...

Nie poczuła się urażona.

- Mężczyźni łakną mojej przyjaźni.
- Oczywiście.
- Niektórzy pragną wyrazić swoje uczucia darami.

Rozejrzałem się wokół: malowidła na ścianie, drogie naczynia we wnęce, para złotych sandałów wsunięta pod krzesło.

- Musisz mieć, pani, hojnych przyjaciół.
- Zaiste, jeśli pozwolę się im zbliżyć.

Istniało słowo na określenie tego zajęcia, choć nawet Sokrates nie użyłby go w jej obecności. Hetaira. Niewiasta, której nie można kupić jak nierządnicy, znacznie kosztowniejsza w utrzymaniu niż żona. Dostępna, ale niebędąca na sprzedaż. Czasami szanowana, ale niedarzona wielkim poważaniem.

- Czy Demos jest twoim przyjacielem? – zapytałem niby od niechcenia.

Głos Pożądania rozbrzmiewający w moim wnętrzu pragnął za wszelką cenę ustalić, czy spędziła z nim noc.

- Demos jest bardzo troskliwy.
- Przyszłaś na jego ucztę.
- Dowiedziałam się, że wśród gości będzie sławny ateński filozof. Chciałam go ujrzeć na własne oczy.
- Mam nadzieję, że Eufemos cię nie rozczarował.

Uśmiechnęła się kącikiem ust – do siebie, nie do mnie. Ptak w wiklinowej klatce zaczął czyścić piórka.

Zaciekawiło mnie, dlaczego go trzymała.

- Przejdziemy się?

Zmieniła buty na takie, które niczego nie komunikowały. Nie założyła także płaszcz Agatona.

Zacząła mnie oprowadzać po mieście, pokazując świątynie, posągi i teatr. Wspomniała o Hippodamosie, architekcie, który zaprojektował miasto, i o Protagorasie, sofście, który napisał jego prawa.

Szedłem za nią i słuchałem. Dziwnie się czułem, spacerując z niewiastą, jakbyśmy byli dwoma mężczyznami udającymi się do gimnazjonu.

U Deotymy jednak wszystko było dziwne.

Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak rozmawiać z kobietą. Może nie stanowiłoby to problemu, gdybym urodził się w Sparcie. Wówczas bowiem dorastałbym razem z nimi, walcząc i uprawiając zapasy, jak z chłopcami.

W Atenach jednak ukrywamy niewiasty w naszych domach niczym najcenniejszy skarb.

- Jesteś z Turioj? – zapytałem, gdy cisza zasugerowała, abym coś powiedział.
- Nikt nie pochodzi z Turioj – odrzekła cierpko.
- To miasto imigrantów.
- Skąd więc jesteś?

Wiedziałem, że nie jest Greczynką.

Czułem to, choć nie różniła się od nich wyglądem ani mową – tak jak wyczuwa się cudzoziemca grającego znaną pieśń.

Wszystkie nuty są poprawne, rytm dokładny, ale w kadencjach

- szczególnie w odstępach między nimi – słychać coś obcego.

Deotyma wysunęła się do przodu i nie usłyszała mojego pytania. Dotarliśmy do agory – szerokiego placu z portykami i nowymi posągami. Wszędzie rządziła symetria, każdy budynek miał swoje odbicie, każda kolumna miała bliźniaczkę. W centrum, niczym pępek nowo narodzonego miasta, wznosił się ładny grobowiec umieszczony na cokole.

- To mauzoleum Herodota
- oznajmiła Deotyma niczym przewodnik oprowadzający gości po akropolu. – Podooba ci się? – spytała, jakby miało to dla niej jakieś znaczenie.

Przyjrzałem się budowli. Mauzoleum było ładne – kolumny wspierały dach, na frezie wyrzeźbiono sceny z wojen perskich.

Zauważyłem Leonidasa z trzystu Spartanami, Kserksesa niesionego w lektyce i perskiego żeglarza wołającego pomocy, gdy jego triera tonęła pod Salaminą. Postaci wydawały się niezwykle żywe, barwy – intensywne. Cały gmach był ozdobiony marmurem i musiał kosztować fortunę.

- Nie on jest pomnikiem Herodota – odparłem – lecz jego Dzieje.
- Jego pomnikiem jest historia – powiedziała.

Słowa Deotymy mnie zdumiały. Czy chodziło jej o to, że wielki kamienny grobowiec jest historycznym artefaktem?

A może chciała podkreślić, że pewnego dnia zamieni się w ruinę?

Że prawdziwym dziedzictwem Herodota jest historia, którą inni mogą dzięki niemu uprawiać? A może po prostu powtórzyła moje słowa?

Słowa brzmią tak, jakby niosły znaczenie, ale gdy je podasz w wątpliwość, okaże się wówczas, że zawsze mówią to samo – powtarzał Sokrates. Można było odnieść wrażenie, że słowa Deotymy zawsze komunikowały trzy rzeczy równocześnie.

- Herodot osiągnął pewną miarę nieśmiertelności – rzekłem, nawiązując do słów,

które wypowiedziała poprzedniej nocy. Miłość pragnie nieśmiertelności. – Napisał swoje Dzieje, żeby „czas nie przyćmił blasku ludzkich czynów”. W istocie jednak przetrwał dzięki nim bardziej niż Dariusz, Temistokles czy tych trzystu Spartan.

Wpatrywałem się w postaci wyrzeźbione na fryzie. Nie była to rzeczywistość prawdziwa, ale ta, którą Herodot stworzył własnymi słowami.

Czy przekazywały one jakąś prawdę o ludziach, których dłonie pokryły się odciskami od wiosła tryer? O mężach, którzy całowali swoje żony, wyruszając na wojnę, i krzyczeli, tonąc w czystym morzu pod Salaminą?

– Herodot opowiada historię Gigesa Lidyjczyka – powiedziała Deotyma. – Słyszałeś ją, panie?

Skinąłem głową. Spojrzała na mnie wymownie, prosząc, żebym ją opowiedział.

– Giges był członkiem straży przybocznej króla Lidii. – Chociaż mój egzemplarz Herodota poszedł na dno razem z „Kallisto”, zapamiętałem opowieść, którą umieszczono niemal na początku jego dzieła, czyli w miejscu, do którego dociera większość ludzi. – Król chciał się pochwalić urodą królowej, ukrył więc Gigesa w sypialni, żeby ten mógł zobaczyć, jak się rozbiera.

Kiedy królowa zauważyła, że Giges na nią patrzy, domyśliła się, co uczynił jej małżonek.

Zawstydzona, postawiła Gigesa przed wyborem: albo zabije króla za jego zuchwałość, albo sam straci życie. Giges wybrał pierwsze rozwiązanie.

Zamordował króla, poślubił królową i został władcą Lidii.

Wszystko dlatego, że ujrzał ją nagą.

– Ciało kobiety to niebezpieczna rzecz.

Przygryzłem wargi, starając się odpędzić obraz Deotymy w przezroczystej sukni, który oglądałem wczorajszej nocy.

– Słyszałam inną wersję tej historii – rzekła. – Giges był pasterzem, nie członkiem straży. Gdy pewnego dnia pasł owce, trzęsienie ziemi spowodowało, że we wnętrzu góry powstała szczelina. Zszedł do niej i znalazł w środku mechanicznego konia wykonanego z brązu i szkielet ogromnego człowieka ze złotym pierścieniem na palcu.

Dźwięk jej głosu sprawił, że ujrzałem głęboki wąwóz w miejscu pęknięcia ziemi i niebo przypominające postrzępioną ranę. I brązowego konia leżącego na boku, jakby padł podczas bitwy, lśniącego matowym blaskiem.

I ogromne kości na pół ukryte w podłożu jaskini. I szorstkie dłonie pasterza pośpiesznie ściągające pierścień.

– Zabrał pierścień i wrócił na górę.

Kiedy później napotkał innych pasterzy, ci nie mogli go zobaczyć. Zrozumiał, że pierścień uczynił go niewidzialnym, przyszedł mu więc do głowy pewien pomysł. Udał się do pałacu. Kiedy tylko znalazł się w środku, użył pierścienia, aby przejść obok straży, uwieść królową i zamordować króla.

– Ot tak, po prostu?

– Ot tak.

Zastanowiłem się nad jej słowami.

– Wolę wersję Herodota.

– Dlaczego?

– U Herodota król został ukarany za zdradzenie królowej. Posłuszny losowi Giges wymierzył mu swoiście pojętą sprawiedliwość, w twojej zaś wersji, pani, Giges zabił króla tylko dlatego, że mógł to uczynić. Nie miał żadnego motywu. Od początku musiał być złym człowiekiem.

– Naprawdę? – Jej suknia zakołysała się na biodrach. – Myślisz, że gdyby istniał drugi taki pierścień i gdyby znalazł go człowiek dobry, nie uczyniłby tego co Giges? Przecież mógłby zabrać wszystko, przespać się z każdą niewiastą, nawet zabić – i nigdy nie zostać schwytany.

Miałby nieograniczoną władzę.

– Taki musiałby być bogiem.

– Gdyby posiadał taką władzę i jej nie używał, ludzie uznaliby, że jest idiotą.

Wszyscy sądzą, że złe postępowanie zaprowadzi ich dalej od czynienia tego, co słuszne. Ludzie dobrzy to ci, którzy się boją, że zostaną przyłapani.

– Właśnie tak powiedziałyby Eufemos – rzekłem ponuro.

Przeszliśmy w milczeniu kolejną przecznicę. Po przekroczeniu rogatek miejskich przepych Turioj pozostał w tyle. Rozdwojona góra wyrosła nade mną, kładąc się brzemieniem na ramionach.

– Ostatniej nocy powiedziałaś, że o miłości można powiedzieć więcej, niż nam objawiłaś – rzekłem. – Co miałaś na myśli? Może tylko się droczyłaś z Demosem?

– Mówiłam poważnie.

– Możesz mi to zdradzić? Czy powinienem się poddać jakiemuś obrzędowi inicjacji?

Stała, po czym odwróciła się na pięcie i zaczęła się przyglądać mojej twarzy tak badawczo, że odniosłem wrażenie, że za chwilę spłonę.

– Już posiadasz tę wiedzę, panie.

Tylko jeszcze nie przejrzałeś na oczy.

Zapłonąłem rumieńcem, urażony, omamiony i sfrustrowany ponad miarę.

Zacząłem rozumieć, dlaczego założyła taką suknię wczorajszej nocy. Mogła przywdziać szatę, która niczego nie skrywała, ponieważ jej umysł pozostawał całkowicie nieprzenikniony, jak miasto bez murów, które ma niezdojone akropol.

Możesz mieć wszystko – zdawała się mówić – ale nic ci z tego nie przyjdzie.

– Sokrates mawiał, że mądrość zamieszkuje w ludzkim wnętrzu, on zaś jest jedynie położną, która wydobywa ją na świat.

– Sokrates rozumiał misteria.

Rzekła to z taką pewnością, która przypomniała mi ton, jakim opowiadała o koniach Sybaryjczyków. Zupełnie tak, jakby tam była.

– Czyżbyś poznała Sokratesa?

Kolejny z jej ulotnych, skierowanych do wnętrza uśmiechów.

– Jak sądzisz, ile mam lat?

Nie istniała właściwa odpowiedź na jej pytanie, ja zaś byłem wystarczająco roztropny, aby o tym wiedzieć.

Przypuszczam, że nigdy się nie spotkali, ponieważ Sokrates z pewnością by o niej wspomniał.

Na zewnątrz stanowili swoje przeciwieństwo – jak sfinks i satyr, Afrodyta i Hefajstos – ale w obojgu płonęła ta sama boska mądrość. Gdyby się pobrali, ich dzieci byłyby pewnie nieśmiertelne.

– Czy Sokrates wyjaśnił, jak ludzie weszli w posiadanie mądrości, którą rzekomo z nich wydobywał? – spytała. – Jeśli on był położną, to kto był ojcem?

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie bogowie.

Znaleźliśmy się ponownie w okolicy jej domu, a im bliżej byliśmy, tym bardziej stawałem się ponury. Nie mogłem znieść myśli, że nasza przechadzka dobiegnie końca. Poza tym nie zapytałem jeszcze o płaszcz Agatona.

Szczerze mówiąc, prawie o nim zapomniałem.

Zatrzymała się przed frontowymi drzwiami.

– Mogę ci pokazać coś jeszcze? Nie zajmie to długo.

Poczucie ulgi sprawiło, że na mojej twarzy pojawił się nieprzytomny uśmiech. Ruszyłem za nią szczęśliwy, mijając bramę i podążając traktem na grobli, który dochodził do drogi między zielonymi mokradłami pełnymi lilii i chwastów. Z ziemi starczyły dziwne wzgórki. Tam, gdzie woda była czysta, pod powierzchnią było widać kamienne bloki.

– To Sybaris – wyjaśniła Deotyma.

Tyle to i ja wiedziałem. Kiedy pitagorejczycy z Krotonu uznali, że dekadencja Sybaryjczyków stała się nieznośna, stwierdzili, że nie wystarczy jedynie miasta pokonać lub wziąć w niewolę, ale trzeba je zetrzeć z powierzchni ziemi. Pewnej nocy zmienili bieg rzeki Kratis, kierując ją na Sybaris i topiąc śpiących bezbronnych Sybaryjczyków. Sybaris siedemdziesiąt lat stało puste, dopóki Ateńczycy nie postanowili zasiedlić go ponownie.

Nawet jednak wówczas koloniści nie odważyli się nadać miastu dawnego imienia, zajmowało ono również mniejszą powierzchnię od swojego poprzednika. Milczącym świadectwem tych wydarzeń były opuszczone grzędzawiska.

Wśród trzciny stała nieruchoma czapla z pochyloną głową, jakby na coś czekała. Zdziwiło mnie, że coś tak ponurego może być jednocześnie takie piękne.

– Byłeś kiedy w Egipcie?

Zdążyłem już przywyknąć do tego, że Deotyma nagle zmieniała temat.

– Nie.

– Egipcjanie pamiętają wydarzenia, które były dawne już za czasów Herodota.

Ktoś zbudował mur na końcu mokradeł, aby nie mogły się tam dostać zbłąkane zwierzęta. Deotyma wspięła się na kamienie, następnie opuściła na nasyp, aby stanąć na kamiennym kapitelu tkwiącym w ziemi. Z otaczającej go trawy wypływała woda.

– Egipcjanie opowiadają o świętej wyspie, która istniała dziewięć tysięcy lat temu za słupami Herkulesa – większej niżli Libia i Azja razem wzięte. Należała ona do Posejdona, który nazwał ją Atlantydą.

Ruszyłem za nią i stanąłem na krawędzi grzędawiska. Przez sandały zaczęło mi przeciekać zimne błoto.

– Miasto, które zbudowali, przez wieki uważano za cud. Mury ozdobili brązem, świątynie wyłożyli zaś złotem i srebrem. Kanały i zatoki były pełne statków i kupców z całego świata.

Jej głos ponownie przywołał niezwykle obrazy, jakby czarami wydobyła z bagna pradawne kamienie i stworzyła z nich coś wspanialszego, niż było kiedyś.

– Przez wiele pokoleń mieszkańcy Atlantydy roztropnie pogardzali wszystkim z wyjątkiem prawdziwej cnoty. Nie ulegali zgubnemu wpływowi zbytków. W miarę upływu czasu stłumili jednak w sobie boską iskrę. Górę wzięła ludzka natura i choć zewnętrznemu obserwatorowi mogli się wydać bogatsi, szczęśliwsi i bardziej potężni niż kiedyś, zmierzali ku upadkowi. Później rozpętali straszną wojnę z Atenami, najkrwawszą, jaką widział świat, kiedy zaś zostali pokonani, Posejdon odebrał swoją wyspę. Po potężnych trzęsieniach ziemi i powodzi, które trwały dzień i noc, Atlantyda pogrzyżła się w morzu.

Egipcjanie powiadają, że do dziś statki nie mogą żeglować w tym rejonie z powodu błotnistych mielizn.

Od strony bagien powiał wiatr.

Deotyma oderwała okruch zaprawy i rzuciła go ponad nieruchomą taflą wody. Tynk odbił się dwukrotnie od powierzchni i zatonął.

Chciałem coś powiedzieć – coś głębokiego lub mądrego, co zrobiłoby na niej wrażenie – ale język uwiązł mi w gardle. Mój umysł zamienił się w pustynię, na której nie rosły żadne słowa.

– Dlaczego ostatniej nocy nazwali cię pitagorejczykiem? – zapytała.

– Dokuczali mi z powodu słabego apetytu. – Przerwałem, a następnie zdradziłem jej część prawdy. – Przybyłem do Italii w poszukiwaniu przyjaciela, który studiował u nauczyciela pitagorejczyka.

– Znasz jakichś pitagorejczyków?

– Tylko jednego, który prawił z sensem, poza tym nie określiliby siebie mianem pita-

gorejczyka.

– Archytasa?

Ponownie poczułem, że nie mogę powiedzieć niczego, o czym by nie wiedziała. Ogarnęła mnie rozpacz.

– Znasz go?

– Jest moim przyjacielem. – Nie zważając na zazdrość, którą zapłonęła moja twarz, podjęła:

– Czy dowiedziałeś się czegoś od Archytasa?

– On twierdzi, że świat przypomina instrument muzyczny.

Spojrzała mi w oczy. Czuję się tak, jakby rozwijała moją duszę niczym zwój i w niej czytała.

– Widzę, że spodobała ci się jego teoria.

– Po śmierci Sokratesa mój świat się zawalił. – Rzadko rozmawiałem z kimś tak szczerze, a cóż dopiero z niewiastą.

– Teoria Archytasa wskazuje sposób zjednoczenia podzielonego świata, wydobycia zeń harmonii, jak z dwóch strun.

– Przecież to tylko metafora.

– Nie, to właśnie odkrył Pitagoras.

Muzyka rządzi się matematycznymi proporcjami opartymi na tych samych liczbach, które leżą u podstaw wszechświata. Matematyka wyjaśnia wszystko, ale ty pewnie już to wiesz... – zdałem sobie nagle sprawę.

– Matematyka nie jest doskonała. Czy wspomniał ci o tym? Gdybyś nastroił lirę według proporcji matematycznych, interwały między kolejnymi parami strun brzmiałyby doskonale, ale by się nie sumowały. Im więcej strun dodasz, tym bardziej się oddalą od podstawowej nuty. Dobry muzyk wie, że trzeba lekko skorygować każdy dźwięk, aby cała skala była zestrojona.

Nie znałem się na muzyce.

– Tego nie pojmuję.

– Doskonałe proporcje matematyczne tworzą niedoskonałą skalę. To tak, jakbyś chciał napełnić dzban, w którym mieści się dokładnie osiem kubków.

Wlewasz wodę, kubek po kubku, ale przy ósmym dzban się przelewa.

Jedynym sposobem zapobiegnięcia przelaniu jest zadbanie o to, aby każdy kubek nie był do końca pełen.

– Wybacz, ale to nie ma sensu.

– Właśnie. Świat nie jest sensowny.

Albo nasze zmysły nie zostały stworzone tak, żeby zdołały docenić doskonałość, albo doskonały świat opisywany przez matematykę nie jest naszym światem.

Przypomniałem sobie paradoks Archytasa o tym, że nie można dotrzeć do końca wszechświata.

– Przemawiasz jak sofista. Góra to dół, lewo to prawo, dobro zaś to zło.

Otworzyła usta i zatrzymała mnie wzrokiem.

– Czy nigdy nie uczyniłeś czegoś złego, co sprawiło, że poczułeś się dobrze?

Ogarnęła mnie fala gorąca. Poczulem podniecenie. Co gorsza, wiedziałem, że to spostrzegła.

– Dziwnie jest mówić o tym z kobietą

– wyjąkałem.

Uśmiechnęła się jak sfinks.

– Czy kobiety nie mogą dyskutować o filozofii? Czy natura mężczyzny i kobiety różni się czymś poza tym, że jedno zasiewa ziarno, drugie zaś wydaje owoc?

– Mężczyźni bywają silniejsi.

Wyrazem twarzy skwitowała moją lichą ripostę.

– Czy ta różnica ma znaczenie w filozofii?

– Nie.

– Czy wiele kobiet nie przewyższa wielu mężczyzn pod wieloma względami?

Nigdy o tym nie pomyślałem.

W Atenach nie ma okazji do oglądania niewiast wykonujących wiele zajęć.

– Czy sądzisz, że naturalne zdolności zostały różnie rozdzielone między płciami? Że niewiasta jest z natury bardziej leniwa, krucha i głupia? Że jest mniej zdolna od mężczyzny?

Może i nie znałem wielu kobiet, ale znałem wystarczająco wielu mężczyzn.

– Wątpię.

Deotymie to jednak nie wystarczyło.

Odwróciła się niecierpliwie, spoglądając w stronę domu. Czulem, że ją tracę.

– Dlaczego założyłaś płaszcz Agatona? – wybełkotałem.

Odwróciła się i przeszła mnie spojrzeniem, jak promień, który przechodzi przez zasłonę.

– Byłam ciekawa, kiedy o to zapytasz.

– Skąd...

– Agaton mówił o tobie bez przerwy.

Uważa, że jesteś najmądrzejszym z jego przyjaciół.

– Dlaczego nosisz jego płaszcz? – powtórzyłem.

– Zapomniał o nim. Zostawił go w moim domu, kiedy wyruszył nocą do Turioj.

– Agaton mieszkał w twoim domu?

– Przenocował u mnie przed wyjazdem – odrzekła spokojnie. Możesz sobie myśleć, co chcesz – mówiły jej oczy. – I tak ci nie powiem.

– Sądziłem, że zanocował u Demosa.

– Posprzeczali się. Kiedy Agaton wrócił, zatrzymał się u mnie.

– Jak to? Co to znaczy „kiedy Agaton wrócił”?

– Dwa tygodnie temu. Udał się do Tarentu na spotkanie z tobą, ale wydarzyło się coś złego.

Przypomniałem sobie zbezczeszczonego grób. Jak na człowieka mającego obsesję na punkcie cnoty, Agatonowi przytrafiało się mnóstwo złych rzeczy.

– Dlaczego więc nie poczekał tutaj?

– Dostał list z Lokr Epizefiryjskich.

Gdy go przeczytał, oświadczył, że musi jechać.

– Powiedział, co w nim napisano?

– Nie. – Na jej wargach pojawił się uśmiech. – Ale się tego dowiedziałam...

Sięgnęła do trzewika i wyciągnęła mały zwitek papirusu. Wziąłem go i przeczytałem.

Mam innego chętnego. Jeśli nadal chcesz mieć księgę, musisz przybyć przed końcem miesiąca.

Czekam w przedsionku Wielkiej Świątyni.

Pismo było niestaranne, ledwie dało się odczytać

– jakby zostało sporządzone przez kogoś miotanego sennymi koszmarami. Nie znalazłem podpisu.

– Wiesz, kto to przysłał?

– Człowiek z Lokr, pitagorejczyk imieniem Timajos. Agaton próbował kupić od niego księgę, ale Timajos żądał zbyt dużo.

Sto drachm – spoczywających na dnie Zatoki Tarenckiej.

Chciałem coś powiedzieć, ale zamilkłem. Przyszła mi do głowy przykra myśl. Ponownie ujrzałem tamten grób. Otworzyli mogiłę i zabrali przedmioty grobowe. Czy były w nim pieniądze? Złoto?

Deotyma wybawiła mnie z niedoli.

– Agaton nie miał pieniędzy.

– Skąd wiesz?

– Poprosił mnie bowiem o pożyczkę.

Odmówiłam.

– Co zamierzał uczynić po dotarciu do Lokr?

– Nie powiedział mi. Nie rzekł nawet, czy wróci.

Chłodny dreszcz przeszedł mi po nodze. Gdy tak stałem, wilgotna ziemia zaczęła wolno wciągać moje stopy.

Wyciągnąłem je, niemal tracąc jeden z sandałów, i wycofałem się na brzeg.

Deotyma obserwowała mnie uważnie.

– Mam coś jeszcze. – Sięgnęła ręką i rozpięła złoty łańcuch na szyi. Skrywał go naszyjnik z fig, który widziałem ostatniej nocy. Łańcuch i znacznie więcej.

– Prosił, żebym ci to dała, jeśli przyjedziesz przed jego powrotem.

Łańcuszek kończył się cylindrycznym złotym pudełeczkiem.

Wyjęła go z miejsca, gdzie wisiał między piersiami, i rzuciła w moją stronę.
Pachniał figami.

Otworzyłem pudełeczko. Na moją dłoń wypadła mała złota blaszka – złoty listek delikatnie skręcony niczym zwój.

– Otwórz.

Rozwinąłem złotą blaszkę, która okazała się wielkości mojego kciuka.

Niemal całą jej powierzchnię pokrywały drobne wyryte litery, ściśnięte na małym skrawku z niemal rozpaczliwą, nagłą potrzebą.

Słowa pamięci wyryte w złocie...

Rozdział 14

JONAH – LONDYN

Spoglądał na tabliczkę umieszczoną w grobowcu z akrylowego szkła, przyciskając telefon do ucha. Richard odpowiedział bardzo szybko, jak na siebie.

– Słyszałeś najnowsze wiadomości o Lily? Od policji? Wygląda na to, że ją znaleźli.

Jonah nawet nie zadał sobie trudu udzielenia odpowiedzi.

– Opowiedz mi o... – Odczytał muzealną karteczkę. – Złotej tabliczce orfickiej.

Kątem oka zauważył strażnika obserwującego go z progu, ale teraz nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

Richard zamilkł i na linii zrobiło się cicho jak w muzeum.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekł w końcu.

– Widziałem rysunek w dzienniku wykopalisk. – W ostatniej chwili powstrzymał się przed wspomnieniem, że Lily skopiowała tekst.

– Podpisaliśmy klauzulę o nieujawnianiu informacji – powiedział Richard. – Lily nie powinna była ci mówić.

– Nie zrobiła tego. – Strażnik posłał mu ostrzegawcze spojrzenie. – Po prostu myślałem, że ta tabliczka ma związek z jej zniknięciem.

– Przecież odnaleźli Lily, nie słyszałeś?

– Rozmawiałeś z nią?

Richard się zawahał.

– Nie.

– Ani ja. Dlatego muszę wiedzieć wszystko o tej tabliczce.

Na linii rozległy się trzaski. Jonah spojrzał w kierunku strażnika, ale uwagę tamtego odwróciła Japonka, która fotografowała eksponaty z użyciem lampy błyskowej.

– Będziesz musiał zapytać o to sponsorów.

– Nie wykręcaj się. Jesteś jej przyjacielem czy nie?

– Pewnie, że jestem – naburmuszył się Richard. – Chcę ci pomóc, ale to nie ja twierdzę, że Lily zaginęła.

– Jeśli mi nie powiesz, pójdę do mediów.

Dziennikarze już zaczęli węszyć. – Kłamstwo z trudem przeszło mu przez gardło, pamiętał bowiem swoją poranną konferencję prasową, ale Richard połknął przynętę.

– Zadzwoń do fundacji. Oni ci to wytłumaczą.

– Kto?

– Fundacja Eikasia. To oni finansują wykopaliska. Mają biuro w Londynie.

Japonka zniknęła, strażnik zaś szedł w jego stronę, wskazując telefon. Jonah już wiedział, że nie znajdzie odpowiedzi w Londynie.

– Co się wydarzyło w Sibari, zanim dotarłem na miejsce?

– Przepraszam pana. – Strażnik mówił znacznie głośniej od Jonaha.

– W porządku – rzekł do Richard. – Umów spotkanie i poinformuj mnie. Jak najszybciej.

Schował telefon i wytrzymał wzrok strażnika, dopóki ten nie usiadł na stołku w kącie sali. Było mu obojętne, czy zostanie upomniany.

Patrzył na tabliczkę uwięzioną w gablocie. Czuł jej ból – była jednocześnie żywa i martwa, widoczna i niedająca się dotknąć.

Jestem słowami pamięci – mówiła – wyrytymi w złocie na godzinę twojej śmierci.

– Czy Lily nie żyje? – zapytał.

Nie. Wiedziałyby, gdyby umarła.

Poczułby to, ale nie czuł niczego. Lily znajdowała się daleko, być może uwięziona za inną niewidoczną ścianą, jak orficka tabliczka. Mimo to żyła.

Jak ją odnaleźć?

Jego uwagę zwróciły trzy słowa umieszczone na karcie w gablocie. Nie zbliżaj się.

W jego uszach rozległ się nieprzerwany, rytmiczny dźwięk. Ze zdumieniem stwierdził, że było to tykanie jego zegarka. Rozejrzał się wokół, ale żaden ze zwiedzających wydawał się go nie słyszeć.

Czyżbym oszalał?

Spojrzał na zegarek. Jego słuch powrócił do normy. Teraz dobiegały go jedynie szum klimatyzacji i głosy z oddali.

Wrócił do mieszkania i usiadł przy stole ze stertą otwartych kopert, laptopem i butelką piwa. Lily spoglądała na niego z fotografii na ekranie. Siedziała wewnątrz ogromnej amfory zwanej pitos, która byłaby większa od niej, gdyby nie tkwiła po krawędź w ziemi.

Lily uśmiechała się radośnie do aparatu, łamiąc mu serce.

Miał przed oczami jej profil na Facebooku. Przejrzał wpisy, szukając czegoś, co mogłoby mieć znaczenie.

Same zatroskane wiadomości od przyjaciół, do których zadzwonił w niedzielę, mających nadzieję, że nic jej się nie stało, i pospiesznie skreślona linijka od Julii, która je ucięła, ogłaszając, że jej siostrę odnalazła włoska policja. Nikt nie wiedział nic więcej.

Nie znalazł żadnych odpowiedzi.

Napisał krótką wiadomość.

Nadal nie mam kontaktu z Lily.

Jeśli ktoś z Was był na stanowisku archeologicznym i widział coś niezwykłego lub wie, gdzie Lily może się znajdować, proszę o pilny kontakt.

Słowa ukazały się w polu osi czasu i poszarzały. Czekając na odpowiedź, otworzył nową zakładkę i zalogował się na konto bankowe. Nadal żadnych transakcji od czasu jego wyjazdu z Berlina.

Przypomniał sobie pytanie Charis.

„Czy wiesz, co robiła we Włoszech?”

Zaczął przeglądać historię transakcji, analizując, co się stało przed zniknięciem Lily.

Jeśli w tygodniu poprzedzającym jej zniknięcie wydarzyło się coś niezwykłego, od razu to zauważy. Tylko że Lily przebywała we Włoszech, on zaś bawił w różnych miejscach, gdzie posługiwano się językiem francuskim, holenderskim, włoskim, greckim, niemieckim...

Greckim?

Przeczytał fragment historii transakcji.

22 sierpnia 2012 atm plac konstytucji, ateny, gr, eur 100.00

Tournée koncertowe oznaczało ciągłą zmianę miejsca pobytu. Kluby, hotele, bary szybkiej obsługi – te same marki powtarzane w różnych językach, chociaż wszyscy mówili po angielsku. Łatwo mógł zapomnieć, gdzie jest, jeszcze łatwiej, gdzie był. Wiedział jednak, że w tym roku nie znalazł się w promieniu ośmiuset kilometrów od Aten.

Karta mogła być skradziona, ale na koncie pozostały pieniądze. Jonah nie sądził, żeby złodziej pokonał długą drogę do Aten, żeby podjąć sto euro.

Przecież Lily była wtedy w Sibari.

Rozmawiał z nią co noc.

A może nie? Któregoś wieczoru facet od promocji zaprosił ich do klubu, a głośnik basowy tak huczał, że nie słyszał samego siebie. Kiedy wyszedł z sali, Lily przesłała mu esemesa z wiadomością, że poszła spać. Czy było to w piątek? We wtorek? Czy był wtedy w Rotterdamie, a może w Gandawie?

Chyba wspomniałaby mu o wyjeździe do Aten.

Czy na pewno?

Wrócił do jej profilu na Facebooku i spojrzął na zdjęcie, żałując, że obraz nie może udzielić mu odpowiedzi.

Zastanawiał się, jaki związek ze zniknięciem Lily mogły mieć złota tabliczka i podróż do Aten. Nagle uśmiech na jej twarzy stał się jakby rozpaczliwy. „Wyciągnij mnie stąd” – powiedziała, zagrzebana w ziemi.

Komórka wydała dźwięk informujących o nadejściu esemesa.

Richard bał się zadzwonić. Jonah miał ochotę z miejsca do niego odzwonić, ale wiedział, że ten nie odbierze.

Co masz do ukrycia? – pomyślał.

Przeczytał wiadomość.

Spotkają się z Tobą jutro o czternastej.

Niegdyś był to największy port na świecie, przez który przepływały towary ze wszystkich stron globu. Teraz w Docklands handlowano jedynie papierem. Jonah przedzierał się przez tłum ludzi w garniturach, czując się jak włóczęga w swoich dzinsach rurkach i T-shircie zespołu Beta Band.

Wszedł do lobby i zadał sobie pytanie, czy nie pomylił budynku. Znak umieszczony nad stanowiskiem recepcji nie wspominał ani słowem o Fundacji Eikasia. Zamiast tego dużymi brązowymi literami wypisano TOWARZYSTWO ŻEGLUGOWE OPHION SA. Po chwili przypomniał sobie, gdzie widział tę nazwę. Dwa dni temu przeczytał o niej w Internecie, ale nie w związku z fundacją lub Richardem. Towarzystwo Żeglugowe „Ophion” było firmą rodzinną należącą do Ariego Maroussisa, dziedzica fortuny znanego armatora i właściciela jachtu „Nestis”.

Tego samego, który rozpułnął się w ciemności w dniu zaginięcia Lily, która zniknęła podczas prac wykopaliskowych finansowanych przez Fundację Eikasia, do której biura odesłał go Richard. Rzecz jednak w tym, że w rzeczywistości biuro należało do Towarzystwa Żeglugowego „Ophion”.

Recepcjonistka nie powitała go uśmiechem.

– Szukam Fundacji Eikasia

– powiedział.

– Czy jest pan umówiony na spotkanie? – Przyjęty przez nią wyraz twarzy komunikował, że uważa to za mało prawdopodobne.

– Nazywam się Jonah Barnes.

Czekają na mnie.

Dała mu przepustkę i skierowała do kolejnej recepcji na czternastym piętrze.

Nikt go tam nie oczekiwał. Usiadł na skórzanym kanapie wielkości trumny, wygodnej i zimnej, i sięgnął po broszurę leżącą na szklanym stole. Przekartkował ją, oglądając zdjęcia w poszukiwaniu jakiegokolwiek ujęcia Lily wśród naukowców i uśmiechniętych pracowników działających w terenie.

Wiele projektów wydawało się nie mieć żadnego związku z archeologią – na zdjęciach widnieli fizycy, filozofowie i biolodzy morscy.

Najwyraźniej fundacja dysponowała okazałymi środkami i przeznaczała je na różne cele.

Po chwili szklane drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna w szarym garniturze. Był wysoki i opalony, o czarnych kręconych włosach i rzeźbionych rysach samca alfa.

– Panie Barnes – powiedział bez uśmiechu – nazywam się Andreas Maniatis.

Jestem dyrektorem zarządzającym.

Dziękuję, że pan przyszedł.

W jego angielskim było coś obcego, co dużym nakładem środków doprowadzono do

perfekcji.

Wprowadził Jonaha do prywatnego gabinetu przez podwójne szklane drzwi.

W oknach sięgających od podłogi do sufitu można było dostrzec odbicie budynku w fasadzie przeciwległego gmachu.

– Przykro mi z powodu zaginięcia pańskiej żony. Musi pan przeżywać trudny okres.

Trudny?

Słowo, którego użył, sugerowało względność – punkt na kontinuum od łatwego do trudnego – ale Jonah znajdował się kilka stopni ponad wartością maksymalną.

– Za chwilę dołączy do nas doktor Andrews. Udzieli bardziej precyzyjnych odpowiedzi na pańskie pytania.

Sekretarka przyniosła dwa dzbanki z kawą i śmietankę.

– Sądziłem, że pomyliłem adres – odparł Jonah, kiedy sekretarka nalewała kawę. – Co łączy waszą fundację z Towarzystwem Żeglugowym „Ophion”?

– Właściciele towarzystwa finansują naszą fundację.

– Ari Maroussis?

– Tak, między innymi.

– On tam był, prawda? Na miejscu wykopalisk, w dniu zaginięcia Lily.

Andreas stuknął w stół srebrnym piórem.

– Rodzina Maroussisów lubi wiedzieć, na co idą jej pieniądze. To naturalne.

– Słyszycie mnie? – Przerwał im cienki głosik.

Jonah odwrócił się w stronę drzwi, ale te były zamknięte. Głos dochodził zza jego pleców, choć kiedy wchodził, nikogo tam nie widział. Odwrócił się na krzesło.

Szeroki ekran na ścianie ożył, ukazując siedzącego za biurkiem Richarda. Miejsce, w którym się znajdował, przypominało laboratorium w Sibari. Richard umieścił kamerę zbyt wysoko i zbyt blisko, wcisnęła go więc w krzesło i powiększyła nos.

– Dziękuję, że pan do nas dołączył, doktorze Andrews

– powiedział Andreas. – Wiem, że zna pan Jonaha Barnesę.

W pierwszej chwili Jonah nie skojarzył. Richard zawsze był dla niego po prostu Richardem, nigdy doktorem Andrewsem.

Przesunął krzesło w kierunku środka pokoju, niepewny, gdzie powinien się znajdować, nie widział bowiem kamery po swojej stronie.

– Richard wie, że chciałem zapytać o złotą tabliczkę orficką, którą znaleźliście w Sibari – powiedział Andreasowi.

Andreas spojrział na niego, jakby Jonah był parą spinek do koszuli, którą zamierza kupić.

– Nie jestem archeologiem.

W Londynie tylko wypisujemy czeki. – Ponownie stuknął piórem w stół, żeby to podkreślić. – Nie wydaliśmy jeszcze żadnego oświadczenia na temat wykopalisk prowadzonych w Sibari.

Jego ton był tak protekcyjny, że Jonah uznał go za celowy. Facet chciał napędzić mu stracha.

– Znaleźli tabliczkę – powiedział. – Wie pan, jak wyglądają tabliczki orfickie? To starożytne złote blaszki pokryte drobnym pismem. Jedna z nich znajduje się w British Museum. Lily znalazła kolejną podczas wykopalisk w Sibari.

- Nasi pracownicy podpisali klauzulę o zachowaniu tajemnicy.
- Chodzi o moją żonę – przypomniał mu Jonah.
- Doktor Andrews twierdzi, że policja już ją odnalazła.
- Nie sądzę. Myślę, że jednym z powodów zniknięcia Lily jest ta tabliczka.

Cała trójka zamilkła. Pióro Andreasa zawisło w powietrzu. Jonah spojrzął na ekran, próbując zmusić Richarda do odwrócenia wzroku. Trudno było to zrobić, nie wiedząc, gdzie jest kamera, ale widać się udało, ponieważ Richard skulił się na krześle.

- Nie wolno nam o tym mówić.
- Po co te wszystkie tajemnice?

Richard spojrzął ponad ramieniem Jonaha w kierunku biurka Andreasa. Jak klasowy lizus pytający o zgodę nauczyciela.

- To ważne znalezisko. Musimy potwierdzić autentyczność przedmiotu, zbadać go... Istnieją określone procedury.

– Ale znaleźliście go?

Richard niechętnie skinął głową.

– Czy było w nim coś wyjątkowego?

– Wyjątkowego? – Doktor Andrews podrapał się w nos, jakby go zaswędziało. – Co przez to rozumiesz?

Po prostu chciałbym wiedzieć.

Chciałbym wiedzieć, dlaczego Lily przepisała tekst z tabliczki i wysłała siostrze w dniu swojego zniknięcia. Nie zamierzał jednak wspominać im o liście.

– Czy mógłbym ją zobaczyć?

Richard i Andreas wymienili kolejne spojrzenie. Richard otworzył usta, ale jego wargi się nie poruszyły.

– Co?

– Powiedz mu – rzekł Andreas.

Richard pochylił się do kamery. Jego twarz wypełniła cały kadr.

– Tydzień temu włamano się do laboratorium.

Ktoś otworzył sejf i ukradł tabliczkę.

Jonah potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co do niego mówią.

– Zawiadomiliście policję?

– Oczywiście.

– Czy wspomnieliście o tym, kiedy wypytywali o Lily? Najpierw bowiem zniknęła tabliczka, później zaś ona. Te sprawy muszą być ze sobą związane. – Czyżby tylko on

potrafił to dostrzec?

W dalszym ciągu coś przed nim ukrywali. – Na Boga, Richardzie, nie chrzań mi o jakichś pieprzonych procedurach.

Ona jest twoją przyjaciółką.

Richard pochylił głowę tak nisko, że jego twarz stała się prawie niewidoczna.

– Jonah?

Głos Andreasa był tak chłodny i rozkazujący, że Jonah odwrócił się powoli na krzesło.

– Mój kolega stara się powiedzieć, że tylko troje ludzi z zespołu znało szyfr do sejfu, w którym przechowywano tabliczkę.

Doktor Andrews, konserwatorka i... twoja żona.

GRECJA

Byli w wykopie – pierwszy raz, jeszcze przed ukąszeniem przez węża i tym, co wydarzyło się w morskiej jaskini – ściśnięci w niewielkim pomieszczeniu, które kiedyś było spiżarnią. Dziś pozostały po niej jedynie cztery niskie kamienne ściany tworzące prymitywny kwadrat. Lily kłęczała, zeskrobując ziemię, którą Jonah zamiatał wiklinową szczotką i wnosił w wiadrze na zewnątrz.

Robota w upale była uciążliwa. Poprzedniego dnia wypił za dużo do kolacji i kiepsko spał, budząc się co chwila z powodu chrapania Juliana.

– Naprawdę chcesz się tym zajmować?

– zapytał bardziej opryskliwie, niż zamierzał.

– Jeśli ktoś zechce mnie zatrudnić.

– Nie ma pieniędzy, za które zgodziłbym się to robić.

– Zapłacono ci za przyjazd tutaj – zauważyła rzeczowo.

– Nie przypominaj mi o tym.

Wiadro było pełne. Wyniósł je i wysypał na stertę gruzów, po czym wrócił i usiadł na resztkach muru, obserwując ją uważnie. Lily wsunęła kosmyki włosów za uszy i zrobiła skupioną minę.

W śledzeniu jej wytężonej pracy było coś intymnego.

– Nigdy nie umiem odgadnąć, o czym myślisz

– powiedziała nagle.

– Przypatrujesz się wszystkiemu zza swojej grzywki, jak zwierzę ukrywające się w wysokiej trawie, i nie odzywasz ani słowem.

Jonah spojrział na drugi koniec wykopu, gdzie Julian i Charis oczyszczali znaną amforę pitos i prowadzili głośną rozmowę o życiu uczuciowym Juliana.

– Z tego, że ktoś gada bez przerwy, nie wynika, że wiesz, o czym myśli.

– Podczas wczorajszej kolacji nie powiedziałeś ani słowa w ciągu pięćdziesięciu siedmiu minut.

Mierzyłam czas.

Chciałam się przekonać, czy wytrzymasz całą godzinę.

Jonah wzruszył ramionami. Lily westchnęła.

– Jak zamierzasz zostać gwiazdą rocka, skoro jesteś taki cichy?

– Na scenie jest aparatura nagłaśniająca.

– Akurat! Czy będziesz stać i gapić się gniewnie na widownię, jak gapiłeś się na mnie?

Nie próbował się tłumaczyć, ponieważ do końca nie rozumiał samego siebie. Poza sceną lubił trzymać się z boku i obserwować. Nie był nieśmiały ani nerwowy, po prostu miał niewiele do powiedzenia. Przynajmniej słowami.

O rzeczach ważnych – o uczuciach i barwach, odcieniach emocji i tęsknotach – wypowiadał się za pomocą muzyki.

– Nie patrzyłem na ciebie z gniewem.

– Obnażył zęby w wymuszonym, wściekłym grymasie. – Próbowałem się skupić. – Sięgnął za nią i zmiotł ziemię, pozwalając, aby jego ramię dotknęło jej ramienia. – Przyjdź na koncert, kiedy wrócimy do Wielkiej Brytanii. – W świetle reflektorów, zespolony z czymś pięknym i wspaniałym, zaczynał naprawdę żyć. – Na scenie jestem inny.

Zmarszczyła nos.

– Nie jestem pewna, czy chcę, abyś był inny.

– Nie wiesz nawet, o czym myślę.

– Zamienimy się? – Podała mu oskard.

Wziął go ostrożnie i przykucnął nad otworem zrobionym przez Lily. Słońce tak mocno spaliło ziemię, że jedynym sposobem było porąbanie jej na kawałki, a następnie usunięcie grudek.

Uderzał ze strachem, bojąc się, że zniszczy jakąś bezcenną wazę. Lily robiła to jak chirurg, Jonah był jednak przekonany, że jego działanie przypomina rąbanie drewna.

– Chcesz wiedzieć, o czym myślę? – zapytał po chwili. – Zastanawiam się, dlaczego taka dziewczyna chce wykonywać najnudniejszą robotę na świecie.

Zdzieliła go szczoteczką.

– Jesteś równie zły jak Julian. Ta robota jest nudna, jeśli sam jesteś nudziarzem.

– Przekonaj mnie.

– Słyszałeś o wehikule czasu? Nigdy nie przejdiesz się uliczkami starożytnych Aten, ale jeśli będziesz kopać w odpowiednim miejscu, możesz stanąć na tych samych kamieniach, po których stąpali Platon i Eurypides.

Możesz wykopać kielich lub monetę, którą miał w dłoni człowiek żyjący dwa tysiące lat temu. To tak, jakbyś dotknął jego ręki. Nie jak w muzeum, gdzie wszystko leży w hermetycznych gablotach i nie można niczego dotknąć.

To jest realne.

Zdjęła kapelusz i otarła czoło.

– Adam mówi, że przypomina to superpozycję kwantową. Znasz teorię o jednoczesnym istnieniu wszystkich możliwych światów? Archeologia jest sposobem sięgnięcia przez wymiary i dotknięcia elementu rzeczywistości równoległej.

Jonah nie był szczególnie zainteresowany tym, co powiedział Adam, nawet jeśli to rozumiał. Spojrzał na Lily, próbując odczytać wyraz jej twarzy. Adam powiedział. Chętnie by się dowiedział, co myśli o Adamie.

– Zaczekaj!

Lily wysunęła ramię i zablokowała oskard w powietrzu.

– Spójrz tutaj!

Oczywiście niczego nie zauważył. Na tle szarego podłoża błysnęło coś różowego. Jeszcze milimetr, a byłby to zniszczył.

– Twoja kolej. – Podał jej oskard i usunął się z drogi. Lily uklękła i ostukała ziemię jak budowniczy sprawdzający ścianę.

– Możesz mi podać szpachelkę?

Podsunał jej narzędzie o dwudziestocentymetrowej drewnianej rączce zakończone trójkątną żelazną blaszką.

Lily przesunęła nią po stwardniałej powierzchni, usuwając pył.

– To duży przedmiot – oświadczyła. – Idź po profesora.

Po chwili zjawili się inni, żeby popatrzeć. Otoczyli Lily kołem, kiedy usuwała ziemię pędzelkiem i odłupywała ziemię wokół ceramicznego przedmiotu. Ani razu nie podniosła głowy.

Przypominała rzeźbiarza lub garncarza nadającego kształt glinie, kształt niewidoczny dla nikogo oprócz niej. Jonah chciał, żeby inni odeszli.

Odstąpienie znaleziska zajęło jej blisko godzinę. Kiedy skończyła, ukryty w ziemi przedmiot leżał w płaskim leju, choć ani razu go nie dotknęła. Można było go podnieść, jakby został porzucony pięć minut temu. Zmierzyli pozycję i wykonali zdjęcia. Profesor zanotował dane w dzienniku stanowiska archeologicznego.

Była to figurka – gliniana kobieta o szerokich biodrach, pełnych piersiach i uniesionych ramionach symbolizujących siłę. Jej twarz niemal całkowicie się zatarła, pozostało jedynie małe wgłębienie w kształcie półksiężyca, które mogło być kiedyś rozumiejącym uśmiechem.

Lily trzymała ją w dłoni, kiedy profesor wypisywał etykietę. Jej twarz lśniła potem i dumą, jakby przed chwilą urodziła.

LONDYN

Jonah miał wrażenie, jakby ktoś wysunął spod niego krzesło.

– Lily nie mogła...

Przypomniał sobie dokument bankowy i podróż do Aten, o której mu nie powiedzia-

ła. I pilnej sytuacji rodzinnej, która się nie zdarzyła.

Czy wiesz, co robiła we Włoszech?

Andreas dźgnął piórem w jego stronę.

– Czy teraz zdradzisz nam, co Lily powiedziała o tabliczce?

Postanowił brnąć w kłamstwie.

– Powiedziała, że się o nią martwi. – Czy nie zabrzmiało to zbyt pusto, aby być prawdą? – To bez znaczenia...

– Przeciwnie. Myślę, że właśnie o to chodzi.

Chciał oddychać, ale w pokoju nie było powietrza. Chciał im wyjaśnić, że Lily nigdy nie ukradłaby artefaktu, nie znajdował jednak słów.

– Pragniemy ją odnaleźć tak samo jak ty – wtrącił Richard.

– Dlaczego nie zatrzymała jej policja?

Kiedy ją zlokalizowali? – W obecnej sytuacji aresztowanie Lily stanowiłoby pewien postęp.

Wiedzieliby przynajmniej, gdzie przebywa.

– Włoska policja... – Andreas zrobił taką minę, jakby skosztował wina i odkrył, że w kieliszku pływają kawałki korka.

– Twoje zawiadomienie o zaginięciu trafiło do innej komendy niż ta, która prowadzi dochodzenie w sprawie kradzieży. Kiedy połączyli obie sprawy, Lily ponownie się wymknęła.

Nadal nie mógł uwierzyć.

– Powiedzieliście, że szyfr znała trzecia osoba. Konserwatorka.

– Nie było jej na miejscu. Opuściła stanowisko archeologiczne... na samym początku.

Jonah ponownie wyczuł lukę w jego słowach.

Brakujący fragment, coś niedopowiedzianego.

– Dlaczego wyjechała?

– Miała inne zobowiązania – odparł gładko Andreas. – To normalne, kiedy zatrudnia się najlepszych.

Są rozchwytywani.

– Ustaliliśmy, że w tym czasie nie było jej w kraju – dodał Richard.

Przyszła mu do głowy nieprzyjemna myśl.

– A jeśli ktoś zmusił Lily do otwarcia sejfu?

– To możliwe. – Nieprawdopodobne

– odpowiedziały oczy Andreasa.

– Czy inne osoby obawiały się o bezpieczeństwo? Czy wydarzyło się coś podejrzanego?

– Niczego nie zauważyliśmy. Przecież to Włochy.

Prowadzimy operacje w całym rejonie Bliskiego Wschodu, w Afryce Północnej, na

Bałkanach... – Skinął ręką w kierunku okna. – Wykopaliska we Włoszech przypominają kopanie w przydomowym ogródku.

Jonah przypomniał sobie coś, co jeden z ochotników powiedział podczas obiadu – dowcip o mafii.

– A przestępczość zorganizowana?

– Mafia? – Andreas wzruszył ramionami. – Oczywiście działają w tym rejonie, ale nie zajmują się archeologią.

– Mogłaby ich zainteresować bezcenna złota tabliczka.

– Wszyscy pracownicy podpisali zobowiązanie do zachowania tajemnicy.

Nikt z zewnątrz nie wiedział o jej istnieniu. Oprócz ciebie.

Andreas pozwolił, żeby jego słowa zawisły w powietrzu, dopóki sugestia nie stała się oczywista.

– Jeśli sugeruje pan...

– Stwierdzam jedynie fakty.

Powinienem pana ostrzec, że są one znane także włoskiej policji. Mogą chcieć zadać panu kilka pytań.

– Myślą, że pomogłem Lily ukraść tabliczkę?

– Jest pan jedyną osobą z zewnątrz, która o niej wiedziała. Z pogwałceniem klauzuli o zachowaniu tajemnicy.

Chciał im wyjaśnić, że o niczym nie wiedział i niczego się nie domyślał, dopóki nie dostał listu i nie ujrzał gabloty w muzeum. Skłamał jednak i wpadł we własną pułapkę. Może gdyby porozmawiał z policją, zdołałby wszystko im wytłumaczyć.

– Sprawy zaginięcia Lily i zniknięcia tabliczki są ze sobą powiązane – oświadczył zdecydowanym tonem Andreas. – Dlatego rozwikłanie jednej sprawy doprowadzi do rozwiązania drugiej.

Otrzymane informacje nie układały się w spójną całość, ale w głowie tak mu wirowało, że myśli uległy zamazaniu.

Musiał się dowiedzieć czegoś więcej, ale zapomniał czego. Musiał wyjść.

Wstał. Andreas nacisnął guzik na biurku, powodując, że drzwi kliknęły i się otworzyły. Jonah nie wiedział nawet, że były zamknięte.

– W pełni rozumiemy pańskie zatroskanie – zapewnił Andreas. – Pragniemy powrotu Lily równie mocno jak pan. Jeśli zaszło nieporozumienie lub jest niewinna, na pewno zdoła udzielić odpowiedzi na nasze pytania.

Odprowadził go do windy.

– Musi pan jednak rozstrzygnąć, czy Lily chce, żeby pan ją odnalazł.

Rozdział 15

Jeśli nie wiesz, skąd wyruszyłeś, i nie znasz celu podróży ani drogowszaków, jak zdołasz gdziekolwiek dotrzeć?

Platon, *Państwo*

Deotyma spojrzała w niebo. Wysokie obłoki utkały zasłonę skrywającą słońce, górskie szczyty wydawały się większe niż kiedykolwiek.

– Powinnam już iść. Mam spotkanie z przyjacielem.

– Zaczekaj. – Błoto oblepiło moje stopy. Czuję, że tonę. Podniosłem złotą blaszkę.

– Cóż to takiego?

– Zapytaj Agatona, kiedy go odnajdziesz. – Zeskoczyła z kamiennego kapitelu i wspięła się na trakt. – Nie marnuj czasu.

– Dlaczego mi nie pomożesz?

Stała na szczycie wału i spojrzała w dół, a jej postać zarysowała się na tle nieba jak kontury bogini. Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że złamała mi serce.

– Dziękuję, że wysłuchałeś moich opowieści. Sprawiliś mi radość.

– Kiedy mogę cię ponownie zobaczyć?

Nie zrozumiałem do końca tego, co odrzekła, ale zabrzmiało to jak: „W twoich snach”.

Słowa pamięci wyryte w złocie na godzinę twojej śmierci, Kiedy otoczy cię mrok i powiedzie w dół ścieżką, która budzi strach.

Pałac nocy i źródło po prawej stronie, Czarna woda i lśniący biały cyprys, Gdzie zstępujące dusze doznają ochłody po swoim upadku.

Trzymaj się od nich z daleka.

A później chłodna woda z sadzawki Mnemosyne Przepływająca pod Strażnikami Obserwującymi i wszechwiedzającymi.

„Czego szukasz w mrocznych cieniach Hadesu?”

„Jestem synem Ziemi i rozgwieżdżonego Nieba, Usycham z pragnienia, ginę.

Pozwól mi napić się szybko zimnej wody Która wypływa z sadzawki Mnemosyne”.

Więcej pytań.

Poradzą się Królowej Piekieł.

Napijesz się zimnej wody z sadzawki Mnemosyne, Wyfruniesz z koła cierpienia I podążysz dalej świętą drogą Otoczony chwałą wraz z innymi duszami, które przeżyły

inicjację.

Przytulony do piersi Królowej Piekieł Jak dziecię pijące mleko matki, czyste, niepodlegające już śmierci.

Jak bóg.

Odłożyłem tabliczkę. Oczy mnie rozboleły od czytania drobnych liter wyrytych na złotej blaszce i od poruszania nią to w jedną, to w drugą stronę, aby oświetliły ją promienie słońca. Nawet teraz nie byłem jednak pewien, czy właściwie ją odczytałem.

Czy można było winić skrybę?

Odczytanie słów było trudne, ale o ileż trudniejsze było wyrycie ich w złocie.

Ktokolwiek to uczynił, musiał być przekonany, że to sprawa życia i śmierci.

Kiedy otoczy cię mrok i powiedzie w dół ścieżką, która budzi strach...

Wersy spisano heksametrem, heroicznym rymem Homera. Mniej lub bardziej dokładnie.

Metrum było nierówne. Niektóre słowa zawierały błędy, innych wydawało się brakować lub zastąpiły je skróty. Nie to jednak sprawiało mi największy kłopot.

Złota blaszka była tak cienka, że czułem przez nią własny kciuk.

Powąchałem ją. Złoto nie powinno pachnieć niczym innym z wyjątkiem osoby, która je nosiła, ale za figową wonią Deotymy wyczułem coś chłodnego i ziemistego, jakby przedmiot ten długo leżał w ziemi. Wiersz opisywał podróż do podziemnego świata. Był to utwór z rodzaju tych, które można umieścić w grobie, aby pomógł zmarłemu odnaleźć drogę w Hadesie.

Otworzyli mogiłę i zabrali przedmioty grobowe.

Niepokoilo mnie coraz bardziej, jak Agaton, orędownik cnoty, wszedł w posiadanie tego przedmiotu i dlaczego nie próbował go sprzedać?

Tym jednak, co najbardziej mnie gnębiło, gdy złoto mieniło się w świetle i żłobienia dotykały wirowych wzorów mojego kciuka, była jego autentyczność.

Wiersz nie był opowieścią. Zawierał wskazówki, wskazówki przekazane ze śmiertelną powagą od kogoś, kto tam był

– i powrócił.

Usłyszałem hałas u drzwi. Eufemos wszedł do pokoju, węsząc jak lis.

Swobodny uśmiech nie był w stanie ukryć ciekawości obecnej w jego spojrzeniu. Za późno położyłem dłoń na stole, aby ukryć złotą blaszkę.

– Wychodziłeś? – zapytał.

– Podziwiałem widoki. Czy wiesz, że w tym mieście pochowano Herodota? – Próbowałem przesunąć złotą blaszkę ku sobie bez zwrócenia jego uwagi. – Gdzie Demos?

– Wszedł.

– Z kim?

– Jak mniemam, z chłopcem, którego poznał w gimnazjone. Zalatywało od niego perfumami. – Eufemos usiadł ciężko na moim łożu, aby po chwili wyciągnąć się na

nim. – Pamiętasz nasze wczorajsze rozważania o miłości? Co sądzisz o tej dziewczynie?

– O Deotymie? – Jej imię pojawiło się na moich ustach tak szybko, że nie zdołałem się powstrzymać. Eufemos zmrużył oczy.

– Wiesz, gdzie ją znaleźć?

– Nie można kupić takiej kobiety jak ona – ostrzegłem go.

– Nie muszę tego robić. Stosowny dar i odpowiednie słowa otworzą jej nogi jak pudełko Pandory.

Za bystra ona dla ciebie

– przypomniał Głos Rozsądku.

Wiesz, kim ona jest – odpowiedział niezaspokojony Głos Pożądania.

– Odniosłeś podobne wrażenie?

– Jakie? – Nie usłyszałem go dokładnie.

Pochylił się ku mnie.

– Pomyślałeś, prawda? Wchodząc, poczułem w izbie słabą woń jej perfum.

Była tutaj? – Klepnął łożę i powąchał palce. – Czy tu ją posiadałeś?

– Nie bądź śmieszny.

– Nie ma się czego wstydzić... Nie jestem zazdrosny. Może trochę, ale dostanę, co swoje.

– Nie było jej tu.

– Ciągłe marzysz jak nastolatek.

Zakochałeś się w niej? – Nowa myśl rozbawiła go jeszcze bardziej. – Nie ma wątpliwości, że Deotyma jest ładniejsza od Sokratesa.

– Wyjdź!

Podszedł do drzwi, a następnie coś sobie przypomniał.

– Dziś rano zaszedłem do portu. Jutro odpływa statek do Syrakuz.

– Powiedziałeś, że po tym, co spotkało „Kallisto”, już nigdy nie zaufasz morzu.

– Sycylia jest wyspą. Trzeba się tam jakoś dostać. Jakie masz plany?

Jakie mam plany? Czy powinienem zostać i znosić gościnność Demosa w nadziei, że Agaton wróci?

Złoto pulsowało pod moją dłonią, szeptało słowa mojej krwi. Wyfruniesz z koła cierpienia i podążysz dalej świętą drogą. Nagle już wiedziałem, co pragnę uczynić.

– Popłynę do Lokr.

Okazało się, że Lokry są na szlaku do Syrakuz i że statek Eufemosa zawinie do tamtejszego portu. Podróż oznaczała dwa kolejne dni na morzu i dwa kolejne dni spędzone w towarzystwie Eufemosa, co nie było mi w smak, ale podróż lądem zajęłaby ponad tydzień, ja zaś musiałem nadgonić czas i spotkać się z Agatonem.

Demos się uradował, gdy dałem do zrozumienia, że mogę wyjechać, choć jego entuzjazm osłabł, kiedy wyjaśniłem, że będzie go to kosztować sto dwadzieścia drachm.

Pięć na podróż do Lokr, piętnaście na powrót do Aten i sto na księgę.

– Nawet ten twój druh miał dość ogłady, żeby nie prosić mnie o pieniądze.

– Jestem członkiem rodziny – odrzekłem, naciągając definicję. – Oddam ci, kiedy wrócę do domu.

– A jeśli tam nie dotrzesz? – Wyczułem, że martwi się o pożyczone pieniądze. – Na końcu półwyspu trwa wojna. Wojska Dionizjosa oblegają Regium, Syrakuzańczycy zaś niczego bardziej nie pragną od tego, żeby Ateńczycy zgnili w ich kamieniołomach.

Udałem nonszalancję. Gdybym okazał najmniejsze wahanie, nie dałby mi pieniędzy.

– W Lokrach moja podróż dobiegnie końca. To spokojny rejon, prawda?

– Na razie tak.

Miałem do Demosa jeszcze jedno pytanie – pytanie dotyczące czegoś, na czym zależało mi bardziej od pieniędzy.

– Ta dziewczyna, która grała na flecie podczas twojej uczyty... Deotyma...

Demos skrzywił się na dźwięk jej imienia.

– Deotyma... – powtórzyłem, żeby sprawdzić, jaki efekt wywoła to imię. – Długo ją znasz?

– Dlaczego pytasz?

– Słyszałem, że jest przyjaciółką Agatona.

Pewnie nie zareagowałby gwałtowniej, gdybym rzekł, że uwiodłem mu żonę.

– Martwiłem się, że sprawa wyjdzie na jaw.

– Martwiłeś się?

– Odwiedziła mnie, kiedy Agaton tu był. Spodobała mu się... Cóż, dlaczego nie? Każdy mężczyzna w Turioj twardnieje na widok Deotymy. Tylko że doszło do sceny, Agaton był nieznośny.

Traktował ją jak dziwkę, którą można mieć za dwa obole.

Kiedy powiedziałem, żeby się uspokoił, napadł na mnie. W moim domu!

Zastanowiłem się nad jego słowami.

Agaton był drobnej budowy, miał ramiona cienkie jak trzcina, a do gimnazjonu zaglądał tylko wówczas, gdy dawano wykłady. Z kolei Demos był potężnym mężczyzną, bez trudu dźwigającym własny ciężar. Ich walka byłaby tak krótka i bolesna, jak Demos by zapragnął.

– Wiem, że to twój przyjaciel, ale...

– Co powiedziała Deotyma?

– Miała pretensje do nas obu. Głupia zdzira. – I dodał nieco bardziej refleksyjnym tonem: – Powiadają, że jest w połowie dzikuską. Jej matka była Sycelką.

– Kim?

– Sycylijką. Sycelowie to dziki lud, który zamieszkiwał wyspę przed naszym przybyciem.

Obecnie prawie ich wytępiliśmy.

Jak mogłem spędzić niemal cały ranek w towarzystwie Deotymy, wymieniając się opowieściami o zaginionych miastach i tajemniczych pierścieniach, a o tym nie usłyszeć? Jeśli zaś Agaton zachował się tak oburzająco, dlaczego zatrzymał się u niej po powrocie?

O czym jeszcze mi nie powiedziała?

Powinienem był zapytać Deotymę o wiele rzeczy, ale czas spędzony w jej towarzystwie upłynął szybko jak sen, a rozmowa przypominała brodenie w oceanie. Ziemia się poruszała, w odmętach znikwały nawet głązy.

Jednego byłem jednak pewien – na świecie była tylko jedna osoba, w której obronie Demos gotów był wystąpić, i nie była nią bynajmniej dziewczyna grająca na flecie. Nie była nią nawet kobieta tak pożądana jak Deotyma. Jeśli doszło do kłótni – w co byłem w stanie uwierzyć – powód mógł być tylko jeden.

– Wolła Agatona od ciebie? Aż tak cię to rozgniewało?

Demos dzwignął się z przerażającym uśmiechem.

– Pójdę po pieniądze. Nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

W dniu wyjazdu udałem się ponownie do domu Deotymy.

Zastałem zaryglowane drzwi i zamknięte okiennice na oknach. Kołatałem, dopóki nie poraniłem sobie knykci, ale nikt nie otworzył.

Godzinami błąkałem się po Turioj, ze spuszczonego wzrokiem, szukając śladów jej stóp. Wystawiałem przed grobowcem Herodota, w świątyni Afrodyty i teatrze. Całą godzinę wpatrywałem się w ruiny starożytnego Sybaris.

Na mokradłach mewy przysiadły na parze starych kolumn, które wystawały z wody, tworząc bramę prowadzącą donikąd. W wodzie między nimi połyskiwały promienie słońca.

Wyobraziłem sobie Deotymę zbliżającą się ku nim, sunącą po powierzchni niczym łabędź, po czym znikającą w błysku światła.

Była to równie prawdopodobna odpowiedź jak każda inna.

– Znasz legendę o pierścieniu Gigesa?

Byliśmy ponownie na statku, tym razem płynącym do Lokr.

Tak przynajmniej mi się zdaje. W mojej pamięci statek, morze i niebo oraz Eufemos i ja jesteśmy archetypami, kolażem złożonym z typowych elementów. Naprawdę zapamiętałem jedynie uczucia. Podczas tej krótkiej podróży pragnąłem rozmawiać wyłącznie o Deotymie.

Eufemos nie znał opowieści o Gigesie w takiej formie, jaką przytoczyła mi Deotyma. Kiedy skończyłem, skinął głową z aprobatą.

– Sądzę, że ta legenda dowodzi mojej słuszności.

– Ponieważ prawo natury nakazuje dążenie do przyjemności i branie wszystkiego, co tylko możliwe? – zapytałem.

– Zaiste.

– Jedynym zaś powodem, aby udawać cnotliwych, jest to, żeby inni się nie połapali, że pragniemy coś od nich uzyskać?

– Tak. – Eufemos ostrożnie skinął głową, wyczuwając zasadzkę.

– Czy gdybyś znalazł pierścień Gigesa, zamieniłbyś się w libertyna niewzbraniającego się przed kradzieżą i zabójstwem? Czy przed ukradzeniem moich pieniędzy i wrzuceniem mnie do wody powstrzymuje cię jedynie to, że mogę cię zobaczyć?

Stały uśmiech Eufemosa lekko zbladł.

Wydawało się, że niepokoi go falowanie morza.

– To czysto hipotetyczna sytuacja.

– Skąd wiesz? – Teraz to ja się uśmiechnąłem. Czuję na karku ciepłe promienie słońca. – Powiadasz, że świat jest niczym kocioł, w którym wszyscy zwracają się przeciwko wszystkim.

Powiadasz, że posługujemy się konwencją, aby ukryć chciwą, egoistyczną prawdę. Myślę jednak, że ukrywasz coś przeciwnego. Zapomnij o konwencjach i społecznych oczekiwaniach, zzuź je jak pierścień Gigesa, a być może odkryjesz w sobie coś dobrego.

Eufemos wziął do ręki koniec liny i zaczął rozplątywać jej włókna.

– Kto wie, jak bym postąpił w skrajnych okolicznościach?

– Chcesz powiedzieć, że w sytuacji ekstremalnej, gdybyś nie miał absolutnie żadnego wyboru, mógłbyś uczynić to, co słuszne?

– Nie, myślałem o Orfeuszu.

Nie zrozumiałem związku.

– Kiedy Hades wykradł mu żonę, Orfeusz postanowił zstąpić do podziemnego świata, aby ją ratować.

Oświadczył, że zrobiłby dla niej wszystko, ale posłużył się podstępem.

Dlatego bogowie nie pozwolili jej wyprowadzić – ponieważ nie złożył najwyższej ofiary. Myślał, że jego miłość jest doskonała, ale okazało się inaczej. Nie zdecydował się umrzeć dla ukochanej, bogowie nie uwolnili więc Eurydyki z Hadesu.

Szczelina w ziemi. Samotny człowiek torujący sobie drogę wśród skał luźnych jak pył. Niesie na plecach lirę, we włosach ma wieniec z czarnego bluszczu. To mógł być Giges. Na dnie wąwozu nie było jednak ani pierścienia, ani brązowego konia – jedynie mroczna czeluść prowadząca w głąb ziemi. Gdybyś przyłożył do niej ucho, usłyszałbyś dźwięk fal rozbijających się o skały.

Musieliśmy zmienić kurs, kiedy mówił, żagiel bowiem przysłonił słońce.

– To była skrajna sytuacja – mruknąłem.

– Skrajne sytuacje ujawniają prawdę.

– Koniec liny zamienił się w trzy oddzielne włókna wijące się w powietrzu niczym trójgłowy wąż Apolla. – Ten twój nieuchwytny przyjaciel, Agaton... Dobry z niego człowiek?

– Jeden z najlepszych.

– Prawy? Cnotliwy?

– Absolutnie.

– Mimo to włamał się do grobowca i coś ukradł.

Jego oczy śledziły mnie, jak jastrząb śledzi mysz. Ile zauważył w mojej izbie?

Czy wiedział, co to za tabliczka? Czy się domyślił? Zwinąłem dłoń w pięść, aby nie dotknąć pudełeczka wiszącego na szyi.

Pragnąłem zmienić temat, ale wzmianka o Orfeuszu i grobach przypomniała mi coś, o co chciałem go spytać.

– Pamiętasz opowieść o tym, że Pitagoras posiadał swoją wiedzę w krainie umarłych? Czy wspomniano, że coś napisał?

Eufemos pokręcił głową.

– Pitagoras jest znany z tego, że nigdy niczego nie napisał. Dlatego ludzie pokroju Archytasa i Eurytosa spierają się o to, co rzeczywiście powiedział.

Dlaczego?

Pitagoras mu nie wystarczył. Agaton pragnął pójść krok dalej, odkryć to, co było przed nim. Znaleźć źródło idei Pitagorasa.

Agaton nie zszedł do podziemnego świata niczym współczesny Orfeusz – powiedziałem sobie stanowczo. – Udał się do Lokr, żeby kupić księgę.

Eufemos odłożył linę na bok.

– Może to znalazł.

– Co?

– Pierścień Gigesa. – Zauważył, że się pogubiłem. – Agaton. To by wyjaśniało, dlaczego go nie znalazłeś, przebywszy długą drogę do Italii.

Usłyszałem trzask dochodzący z góry.

Od razu wiedziałem, że różnił się od zwykłych dźwięków na statku. Może nawet zacząłem podnosić głowę.

Ostrzegawcze okrzyki rozległy się zbyt późno.

Coś świsnęło w powietrzu i uderzyło mnie w głowę.

Rozdział 16

JONAH – LONDYN

Choć był dopiero wtorek, cierpienie stało się jego codzienną rutyną.

Z drżeniem otworzył drzwi, jakby miał wyjść na scenę. Wyobraził sobie, że ona tam jest – wyobraził sobie jej uśmiech i ramiona, które go obejmują. Obraz wydawał się tak boleśnie rzeczywisty, że musiał być prawdziwy. Na świecie nie było żadnego powodu, dla którego nie mogłaby tu być, dlaczego więc miałoby jej nie być?

Zawołał Lily po imieniu, stojąc w otwartych drzwiach. Zjrzał do każdego pokoju, przecież mogła zasnąć, czekając na niego. Później osunął się w rozpacz. Sprawdził wiadomości głosowe, esemesy, maile, nieodebrane telefony. Każde zaprzeczenie pożerało kawałek jego duszy. Ciekawe, ile czasu trzeba, żeby nic z niej nie zostało?

Ciepły dzień sprawił, że się spocił, ale pot ostygł, zamieniając się w coś lepszego i nieprzyjemnego. Był na siebie wściekły. Udał się do Fundacji Eikasia z tyloma pytaniami – o tabliczkę, Ariego, podróż Lily do Aten – ale zamiast uzyskać odpowiedź, dał się zbyć lipną opowieścią, że Lily jest złodziejką.

Czy to prawda?

Na kanapie obok niego leżały list od Lily i kopia tekstu widniejącego na tabliczce. Przysunął papier do twarzy, próbując wyczuć jakiś zapach, ale palce Lily nigdy nie pachniały perfumami.

Mawiała, że ręce archeologów i tak zawsze pachną ziemią.

Dlaczego go wysłała?

Była rasową kopaczką. Nie datowała ceramiki, nie rekonstruowała znalezionych artefaktów, nie znała się na starożytnej grece.

Konserwatorom i akademikom pozostawiała wyjaśnienie swoich znalezisk, ograniczając się do wydobycia ich z ziemi. Dlaczego zatem ostatnie godziny przed swoim zniknięciem spędziła na mozolnym kopiowaniu tekstu?

Jeśli zamierzała ukraść tabliczkę, dlaczego zadała sobie tyle trudu, żeby ją wcześniej skopiować i wysłać siostrze?

Dlaczego zadała sobie tyle trudu?

Zadzwoił do Charis. Kiedy go usłyszała, jej głos stał się sztucznie pogodny.

– Mam mało czasu. Idziemy z Billem na przyjęcie. Właśnie się szykujemy.

Masz jakieś wieści od Lily?

Ani słowa o tym, jak się rozstali.

Oboje byli zgodni, że nic między nimi nie zaszło.

– Jeszcze nie. – Jeszcze. W chłodnym zakamarku umysłu, który dostarczał bieżących komentarzy, pomyślał, kiedy „jeszcze” zamieni się w „nigdy”.

– Przetłumaczyłaś tabliczkę?

– zapytał.

– Zrobiłam, co mogłam. Jest tego niewiele, kochanie, mniej więcej to samo co na innych, które opublikowano.

– Możesz przesłać mi tekst?

– Jak chcesz. Wyślę ci maila. Teraz muszę się ubierać. Uważaj na siebie.

Odłożył telefon. Na półce zauważył książkę, którą przywiózł z Sibari – postrzępione wydanie Państwa Platona z serii Penguin Classic. Sięgnął po nią i zaczął kartkować, zastanawiając się, czy ma coś wspólnego z orfickimi tabliczkami.

Książka nie była wyposażona w indeks, on zaś czuł się zbyt zmęczony, aby zastanawiać się nad czytаныmi fragmentami.

Ponownie rzucił okiem na dedykację z wewnętrznej strony okładki.

Dla Lily

– Miłość jest prawdą, Adam.

Zatrzasnął książkę i poszedł do lodówki. Miał zamiar napić się piwa, ale w kredensie znalazł wódkę. Wlał alkohol na kilka kostek lodu i szybko wypił, ciesząc się chłodem w ustach.

Alkohol uspokoił wewnętrzne rozdygotanie.

Zrobił sobie drugą szklanę.

Sygnal laptopa oznajmił nadejście maila. Znajome ukłucie nadziei osłabło, kiedy ujrzał, że wiadomość pochodzi od Charis i zawiera przekład greckiego tekstu. Zaczął czytać, ale przerwał w połowie.

Zdenerwował go identycznie brzmiący tekst. Czytanie wydawało się blokować jego umysł, wpychać go w sen, w którym biegł niekończącym się tunelem.

Słowa pamięci wyryte w złocie na godzinę twojej śmierci.

Dlaczego był ostatnią rzeczą, którą napisała Lily?

Nie wstając od komputera, wrócił na profil Lily na Facebooku. Wiadomość, którą zostawił wczorajszego dnia, nadal znajdowała się u góry, ale pod spodem pojawił się komentarz. Post przesłany przez jakąś Sandi McConn.

Byłam na stanowisku. Pracowałam jako konserwatorka.

Wiadomość nadeszła pięć minut temu

– Sandi nadal była na linii. Jonah kliknął pole czatu.

Jonah: Możemy pogadać?

O wykopaliskach?

Sandi: UP Jonah: ?

Sandi: Umowa poufności.

Rozmawiali na publicznej platformie.

Czy dlatego o tym wspomniała?

Jonah: Gdzie jesteś w realu?

Sandi: W Londynie. Jutro lecę do domu.

Jonah: Możemy się spotkać?

Tym razem musiał poczekać chwilę na odpowiedź. Ogarnęły go wątpliwości.

Czy się wylogowała? Czy rzeczywiście była w Londynie? Czy naprawdę była tym, za kogo się podawała, nie zaś jedynie słowami na ekranie?

Sandi: Możesz przyjechać na Paddington?

Jonah: Kiedy?

Sandi: Teraz.

Sandi McConn okazała się szczupłą, piękną kobietą w tym samym wieku co Jonah, o krótkim kasztanowym kucyku i trzech srebrnych kolczykach w każdym uchu. Stała i machała do niego z kawiarenki po drugiej stronie ulicy.

– Rozpoznałam cię z fotografii. Lily lubiła się tobą chwalić.

Jonah się zarumienił. Poczul skurcz w gardle, oczy mu zawilgotniały, choć wiedział, że nie pojawią się łzy. Lily nazywała go wodoszczelnym.

– Pójdę po kawę.

Uspokoił się, czekając w kolejce.

Usiadł naprzeciw niej i zamieszał kawę.

Tylko trzy osoby z ekipy znały szyfr do sejfu.

Doktor Andrews, konserwatorka...

– Czytałam twoją wiadomość o Lily na Facebooku – powiedziała Sandi. – Mam nadzieję, że się odnajdzie – dodała po chwili wahania.

– Dzięki. Jestem wdzięczny, że zgodziłaś się na spotkanie. Mam szczęście, że akurat byłaś w Londynie.

– Również tak myślę.

– Wiem, że jesteś zajęta.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

– Co?

– Richard powiedział, że miałaś inną robotę?

– Naprawdę?

Czyżby coś pominął?

– To nieprawda?

Sandi odchyliła się na krześle.

– Przecież ci powiedziałam, że podpisałam zobowiązanie do zachowania tajemnicy. Jedno, kiedy rozpoczynałam pracę, i drugie, gdy wyjeżdżałam. Oni naprawdę nie lubią, żeby ludzie gadali o tym, jak zostali zwolnieni.

– Ty? Zwolniona? Powiedzieli, że byłaś jednym z najlepszych pracowników.

– O rany, miło to słyszeć. – Skrzywiony uśmiech. – Może napiszą mi referencje. Uniósł dłonie, dając do zrozumienia, że to wszystko go przerasta.

– Wczoraj miałam zakończyć pracę na wykopaliskach, spędzić jeden dzień w Londynie i jutro wrócić do Kanady.

Tymczasem musiałam siedzieć tydzień w Londynie, ponieważ nie mogłam przebukować biletu.

– Co się stało?

– Pytasz o sprawy objęte moją klauzulą poufności.

– Czy miało to coś wspólnego ze złotą tabliczką? – zaryzykował.

Sandi odchyliła się na krześle. Jej szczupłe palce oplotły kubek.

– Jeśli się nie mylę, klauzula obejmuje także to.

– Dziś po południu rozmawiałem z Richardem Andrewsem. Powiedział mi wszystko.

– Naprawdę?

– Tabliczka została skradziona.

Richard wspomniał, że tylko trzy osoby znały szyfr do sejfu – on, Lily i ty.

– Czyżby dla odmiany usiłował zrobić mnie w kradzież?

Jonah się zawahał, ale uznał, że nie ma nic do stracenia.

– On myśli, że ukradła ją Lily.

– Może mieć rację.

– To niemożliwe. – Podniósł głos, czując, że traci nad sobą panowanie. – Lily nigdy by tego nie zrobiła.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście...

Coś w jej głosie sprawiło, że się zawahał.

Zawołowane ostrzeżenie, ukradkowe trącenie w żebra. Nie wiesz tyle, ile ci się zdaje.

– Powiedz mi coś – podjęła Sandi. – Pojechałeś do Sibari, prawda? Czy byłeś tam, gdy skradziono tabliczkę?

Jonah skinął głową.

– Czy wybuchła wielka afera? Czy na miejscu wykopalisk była policja?

Zagłądali ludziom do pokojów, tego rodzaju rzeczy?

– Nie widziałem żadnej policji. – Pomyślał, że tamtego dnia Richard ani razu nie wspomniał o policji.

Wieczorem członkowie zespołu zasiedli do kolacji, jakby nic się nie stało. I nikt nie powiedział ani słowa na ten temat.

Tylko trzy osoby z ekipy znały szyfr do sejfu.

Doktor Andrews, konserwatorka i Lily.

Sandi wyjechała. Jonah był pewny, że nie zrobiła tego Lily, pozostawał zatem...

– Zabrał ją Richard?

Długa cisza. Sandi wpatrywała się w swój kubek. Jonah miał ochotę unieść ją i wytrząsnąć prawdę.

– Mam rację, prawda? Dlatego cię zwolnił?

– Wyciągnął wizytówkę Andreasa i zaczął wprowadzać numer.

– Do kogo dzwonisz?

– Richard nadal jest w Sibari. Muszę powiadomić ludzi z Fundacji Eikasia, żeby mogli go zwolnić. – Zaczął klikać na wyświetlaczu, wpisując kolejne znaki.

Richard ukradł tabliczkę i upozorował zniknięcie Lily, aby to ukryć. Zabrał jej telefon i użył go do przesłania fałszywych wiadomości.

W ten sposób dowiedział się o jej matce i nadał esemesom pozór prawdy.

Wytrącił mój telefon do basenu, abym nie mógł zadzwonić do Anglii i się dowiedzieć, że to wszystko było kłamstwem.

Sandi wyciągnęła rękę i zasłoniła ekran.

– Problem w tym, że Richard nie zwolnił Lily.

– Upozorował jej zniknięcie.

Spojrzała mu przez ramię.

– Należy uważać z wypisywaniem takich rzeczy. Szczególnie do ludzi, którzy mają dużo pieniędzy i sprytnych prawników.

Ci goście nie są iluminatami. Gdyby chcieli odsunąć Lily, wręczyliby jej bilet lotniczy, pasek z wypłatą i tekst z klauzulą poufności.

– Musiała go zaskoczyć. Nie miał wyboru.

– Jesteś bardzo pewny Lily.

– Tak.

– Masz do niej pełne zaufanie.

Spojrzał jej w oczy. Był wściekły, ale nie czyniło go to zupełnie głuchym.

– Co sugerujesz?

Sandi obróciła łyżeczkę w palcach, obserwując zmienne odbicie na powierzchni kubka.

– Ja także jej ufałam. Uważałam ją za jedną z dobrych, dopóki nie wróciła z Aten.

Zderzenie z rzeczywistością.

Przypomniał sobie transakcję w bankomacie i podróż do Aten, o której Lily nigdy mu nie wspomniała.

– Co się stało w Atenach?

– Richard chciał się mnie pozbyć.

Lily pojechała do Aten, żeby pogadać z ludźmi z Fundacji Eikasia, którzy finansowali naszą ekspedycję.

Powiedziała, że skłoni ich do zmiany decyzji.

Zamiast tego przywiozła jednego ze sobą, żeby mnie zwolnił.

Z jednej strony się ucieszył, że istniało proste wytłumaczenie podróży Lily do Aten. Z drugiej jednak strony – skoro naprawdę tak było, dlaczego mu nie powiedziała?

– Na pewno zrobiła wszystko, co mogła.

Sandi włożyła łyżeczkę do kubka i utkwiała w nim wzrok.

– Niczego nie rozumiesz? Wszyscy w tym tkwili. Wszyscy byli przyjaciółmi z college'u, każdy miał każdego w kieszeni. Kiedy Adam usunął mnie z drogi, mogli zrobić wszystko, co chcieli.

Musiał się przesłyszeć. W kawiarni było coraz tłoczniej. Studenci przy sąsiednim stole przekrzykiwali się wzajemnie.

– Kto?

– Adam, dyrektor programowy.

Dziwny facet, taki spięty. To on mnie wywalił.

– Jaki Adam?

– Adam Shaw. – Uniosła brwi na widok jego miny. – Widzę, że jego także poznałeś.

Rozdział 17

Oto Timajos z italskich Lokr, miasta mającego dobre prawa. Zalicza się on do jego najwybitniejszych obywateli.

Piastował najważniejsze i najbardziej zaszczytne urzędy w swoim kraju, i, jak mniemam, wspierał się na wyżyny wszelkiej filozofii.

Platon, *Timajos* (20)

Inne miasto i inny port. Lokry zajmowały piaszczysty pas wybrzeża ciągnący się za wysokimi górami, które zdawały się kroczyć do morza. Słońce było tam bardziej gorące, a powietrze gęstsze.

W chwili gdy przerywałeś marsz, opadała cię chmara much. W tym skwarze trudno im było odróżnić żywych od umarłych.

Obraz rozciągającego się przede mną miasta był zamazany. Blok, który zsunął się z rei, tylko mnie musnął. Mówili, że miałem szczęście, ale nie czułem się szczęśliwcem. Czułem się jak jeden z tych bohaterów Homera, którzy opowiedzieli się po złej stronie, stając naprzeciw Achillesa – jakby mózg miał mi eksplodować w czasie. Bandaż, którym owinęli mi głowę, ciągle się rozwijał i majtał na twarzy niczym zasłona, ale przynajmniej chronił oczy przed blaskiem słońca. Za każdym razem gdy się poruszyłem, moją czaszkę przeszywał ból.

Mało brakowało, a wypadłbym za burzę, kiedy się potknąłem na trapie, ale Eufemos mnie złapał w ostatniej chwili.

Gdy wchodziliśmy do Lokr, zrozumiałem, dlaczego gromadzą się tutaj muchy. Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, były świątynie z ołtarzami lepкими od krwi. Wszyscy zaś Italczyki żyli w cieniu mrocznej bogini, w Lokrach bowiem wydawała się ona bliższa niż gdziekolwiek indziej.

Minęliśmy dwie świątynie poświęcone Afrodycie, bogato zdobione i pełne niewiast. W środku lśniły złote posągi, a białe gołębie pożywiały się ziarnem rozsypanym na posadzce przybytku.

Posągi ustawione od frontu odsłaniały wszystkie uroki bogini. Starłem się odwrócić głowę, ale chcąc nie chcąc, spojrzałem w ich stronę niczym rozpalony nastolatek zerkający na porneia w pobliżu bram miasta.

Sprawiły one, że pomyślałem o...

Agaton – przypominałem sobie, próbując zapanować nad delirycznymi myślami. –

Przyjechałem tu, żeby odnaleźć Agatona. Człowiek z Lokr, pitagorejczyk imieniem Timajos.

Agaton próbował kupić od niego księgę, ale Timajos żądał zbyt wiele.

Powiedziała mi to Deotyma, siedząc w ruinach starożytnego Sybaris, gdy kontur jej postaci odbijał się na tle wody. Przypomniałem sobie krągłość jej piersi pod przezroczystą suknią podczas tamtej uczty, piersi niczym z kości słoniowej, o małych zadartych sutkach i...

Agaton.

Zdążyłem już poznać swoją rutynę, jak Syzyf poznał swój głaz. Przećwiczyłem ją w Tarencie i Turioj, a teraz miałem powtórzyć w Lokrach – pójść do agory, wypytać o Agatona i ponownie wyciągnąć pusty los.

Kiedy już ustaliłem, że nikt o nim nie słyszał, postanowiłem rozejrzeć się za Timajosem.

Jeśli nadal chcesz mieć księgę, musisz przybyć przed końcem miesiąca.

Czekam w przedsionku Wielkiej Świątyni.

Nasz statek przywiózł ładunek, który trzeba było wyładować, i miał wyruszyć najwcześniej następnego ranka, Eufemos zaofiarował więc, że będzie mi towarzyszyć. Zaciśnąłem zęby, pragnąc, żeby sobie poszedł, próbując siłą woli skłonić go do odejścia, ale on chciał obejrzeć świątynię.

– To najśłynniejszy przybytek w całej Italii. Muszę go koniecznie zobaczyć.

Wdrapałem się na wzgórze w obłoku bólu, w skwarze i rozpacz. Muchy lizały krew, która sączyła się przez bandaż. Kiedy dotarliśmy na sam szczyt miasta, cuchnąłem potem, bandaż był zaś jedyną rzeczą, która powodowała, że moja czaszka się nie rozpadła.

Gmach świątyni okazał się zaiste wspaniały. Stał na tarasie, na krawędzi wąwozu, nieco za murami miasta.

Pomyślałem, że wiosną strumienie wody z rozpuszczonego śniegu musiały spływać z gór, tocząc pianę, ale teraz między białymi jak kość głazami sączyła się jedynie wąska strużka. Ogromny fronton wspierał się na grubych kolumnach przypominających pnie drzew. Kariatydy, służki Persefony, obserwowały mnie chłodnym wzrokiem, podtrzymując dach.

Strażnicy, obserwujący i wszechwiedzący. Moje oślepienie słońcem oczy sprawiły, że zakołysali się na swoich piedestałach. Wyobraziłem sobie, jak zstępują na ziemię, zrzucają ciężar z ramion i pozwalają, aby świątynia runęła na mnie. Ich kamienne twarze dawały do zrozumienia, że uczyniliby to bez wahania i poczucia winy.

Kiedy wstępowaliśmy w cień portyku, otoczyły nas przyciszone głosy szumiące jak płynąca woda – szeptane hymny i modły pełne rozpacz.

Czcciele, głównie kobiety, przechodzili obok, niosąc ofiary do sanktuarium.

Niektóre niewiasty wychodziły z płaczem, inne promieniowały radością. Powietrze

było lepkie od krwi, wina i soku granatu.

Okrążyłem kolumnadę, starając się nie potknąć o zbłąkane kobiety i psy, nie ujrzałem jednak nikogo, kto pasowałby do mojego wyobrażenia człowieka pragnącego sprzedać księgę Pitagorasa, zaczepiłem więc kapłana zmierzającego do świątyni i zapytałem, czy słyszał o Timajosie.

Nie słyszał, ale wspomnienie imienia wywołało reakcję – ponad ramieniem kapłana ujrzałem pochyloną głowę, która nagle się poderwała. Brudny zakapturzony żebrak leżał oparty o ścianę świątyni.

Uklęknąłem obok niego.

Mucha spacerująca po jego ramieniu bzyknęła i odleciała oburzona.

– Znasz Timajosa, człowieku?

Żałowałem, że się pochyliłem, ponieważ człowiek ten cuchnął okrutnie.

Miał szerniałe paznokcie i dziwne narośle na stopach. Mimo cienia nasunął kaptur tak mocno, że całkowicie zasłaniał mu oczy. Jedyнным szczegółem twarzy, który spostrzegłem, była potargana pomarańczowa broda, która wysunęła się spod kaptura, długa i rzadka. Wargi skryte za brodą wiecznie się krzywiły, jakby miał w ustach coś okropnego, czego nie mógł przełknąć ani wypluć.

– Timajosa?

– zachichotał, powtarzając jego imię.

– Znam Timajosa.

– Gdzie on? – zapytałem, spoglądając na otaczający nas tłum. – Możesz go wskazać?

Wyciągnął brudny paluch, kołysząc nim jak pijak. Próbowałem odgadnąć, kogo wskazuje, dopóki nagle nie odwrócił dłoni i nie przyłożył palca do własnej piersi.

– Timajos to ty!

Nie zaprzeczył.

– Szukam mojego przyjaciela Agatona. Chciał kupić od ciebie księgę.

– Pragniesz ją mieć?

– Chcę odnaleźć Agatona. Czy jest tutaj?

Zakapturzona twarz zakołysała się teatralnie – najpierw w prawo, później w lewo, zataczając pełny łuk.

– Nie tu. Miałem na myśli Lokry – odparłem niecierpliwie.

Jego głowa opadła, jakby ktoś skręcił mu kark. Wbił wzrok w ziemię.

– Zaprzeczasz?

Nie odpowiedział.

– Ale wiesz, o kim mówię. Czy Agaton był tu niedawno?

– Nie ma „był” i „będzie”, tylko „jest”.

– Dokąd się udał?

Kolejne milczenie. Później stało się tak, jakby ktoś przekręcił klucz, wypuszczając

go na wolność.

– Za górą. Nie ma stamtąd ucieczki, nie zdoła przejść tą drogą. Dziewiąty rok stawiają czoło wojskom Ilionu. I po co to wszystko, pytam?

– Chodzi o Regium? – odgadł Eufemos. Trzymał się on w pewnym oddaleniu, strojąc od żebraka, jakby był on czymś, w co nie chce wdepnąć.

– Zaiste. – Timajos przytaknął mu gorliwie. – Tak, tak... Regium. Agaton udał się do Regium.

– W jakim celu miałyby to uczynić? – Demos opowiedział mi o Regium, mieście na samym końcu Italii, które tyran Dionizjos dwa lata próbował zmusić do uległości. – Czy w ogóle można tam dotrzeć?

– Do Regium? Tak. Ale z niego powrócić? – Timajos wydał rechot, który zamienił się w napad kaszlu. – Tylko ścieżką przyprawiającą o zawrót głowy. Nie róbcie tego. Trzymajcie się od niej z daleka. Powiadam, z daleka.

Nikt nie wrócił tą drogą.

– Dlaczego więc Agaton tam poszedł?

Timajos uniósł dłonie, obejrzał je i szarpnął głową z boku na bok, szaleńczo parodiując czytanie.

– Po księgę? – przerwałem mu.

– Po jaką księgę? – zaciekawiał się Eufemos.

Timajos złożył dłonie, tworząc z nich szeroką misę.

– Po Krater. Nazywamy ją Kraterem.

– O czym traktuje?

Timajos nagle z całej siły uderzył się dłońmi w twarz.

– Zawiera tajemnice.

– Tajemnice pitagorejczyków?

– Nie zapłaciłby żądanej ceny.

Wreszcie dotarliśmy do sedna.

Wyciągnąłem mieszek i podetknąłem mu pod nos, żeby nie mógł go przeoczyć.

– Mam pieniądze.

Timajos pochylił się do przodu.

Wyczułem, że wbił we mnie spojrzenie pod kapturem.

– Ile jest dla ciebie warta? – spytał przebiegle.

– Agaton wspominał o stu drachmach.

– Chcę więcej! – warknął Timajos.

Przeliczyłem swoje środki.

– Mogę dać sto dziesięć.

– Żadna księga nie jest warta takiej ceny! – zaprotestował Eufemos.

– Tylko głupi sądzi, że mądrość ma cenę – rzekł mu Timajos.

– Chcesz powiedzieć...

Ręka Timajosa sięgnęła po mieszek.

Cofnąłem się, ponieważ odgadłem, że się rozmyślił.

– Wiedza jest tania – rzucił szyderczo. – Tania jak umieranie. Ale ta księga nie jest tania, nie ma ceny!

– Nie sprzedasz jej?

– Nie mogę.

– Dlaczego? – Zrozumiałem w tej samej chwili, gdy wypowiedziałem pytanie. – Ponieważ jej nie masz. Już ją sprzedałeś.

Zachichotał z sykiem, jak gotujący się czajnik, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że odgadłem.

– Sprzedałeś ją Agatonowi?

Kolejny syk i żadnej odpowiedzi.

– Kto ją kupił?

Timajos zachichotał.

– Oszust z Lydii, czarnoksiężnik o złocistych włosach i perfumowanych lokach, z wypiekami od wina na twarzy.

– Obetnę mu głowę, jeśli go znajdę! – ryknął nagle gniewnym głosem.

Starąłem się zignorować teatralne gesty.

– Znasz jego imię? Czy jest w Lokrach?

– Już ci powiedziałem. Kierujesz się niewidzącymi oczami i głuchymi uszami.

Zrozumiałem, że cytuje mi Parmenidesa. Gdybym myślał bardziej przytomnie, zdziwiłbym się, jakim sposobem obłąkany żebrak zna tak ezoteryczną filozofię. Bolała mnie jednak głowa i miałem dość półprawd i głupiej paplaniny. Pragnąłem spojrzeć mu w oczy. Wyciągnąłem rękę i zdałem kaptur.

Jego krzyk rozdarł świątynię – był tak głośny, że mógł roztrzaskać kamienne boginie. Cofnąłem się. Timajos zwinął się na podłodze, skowycząc niczym pies i zakrywając oczy. A przynajmniej ten fragment twarzy, w którym powinny się znajdować. W ciągu ułamka sekundy po ściągnięciu kaptura spostrzegłem, że nie ma tam niczego oprócz przerażających blizn.

Ktoś lub coś wypaliło mu oczy.

– Naprawdę chcesz się udać do Regium?

Eufemos przypatrywał mi się z drugiej strony stołu w miejskiej winiarni. Pragnąłem, żeby mówił ciszej, krzyki Timajosa nadal bowiem brzmiały mi w uszach.

– Nie usłyszałeś niczego, co nam mówiono, odkąd wylądowaliśmy w Italii? – ciągnął. – W Regium trwa wojna. Wojska Dionizjosa otoczyły miasto, tyran próbuje je zdławić. Nie podejdziesz zbyt blisko do jego bram.

Nie chciałem rozmawiać z Eufemosem.

– Wiem, że masz się za lepszego niż ten świat, ale rzeczywistość nie zniknie tylko dlatego, że ją zignorujesz. Wiesz, co ci uczynią, kiedy zostaniesz schwytyany podczas

próby przeniknięcia do miasta?

Sprzedadzą cię jako niewolnika lub wyślą do kamieniołomów w Syrakuzach. Nie czytałeś księgi Tukidydesa? Opisuje to bardzo dosadnie.

– Muszę tam pójść.

– Po Agatona? Odwiedziłeś każdą kolonię w Italii, żeby go odnaleźć. Czy nie przyszło ci do głowy, że gdyby pragnął cię widzieć, mógłby choć trochę ułatwić ci zadanie?

– Może być w tarapatach.

– Zaiste się w nich znalazł, jeśli poszedł do Regium. Z tobą będzie podobnie, jeśli to uczynisz.

Odniosłem wrażenie, jakby moja głowa zapadła się do środka, jakby wyschła do cna w skwarze. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. W końcu także Eufemosowi wyczerpały się argumenty.

– Jadę do Syrakuz – rzekł w końcu. – Jeśli skończysz w okolicznych kamieniołomach, nie licz na to, że zdołam ci pomóc.

Wyciągnąłem sakiewkę Demosa, nadal ciężką od niewydanych monet.

– Ile chcesz?

– Za co?

– Za naszą podróż od Tarentu. Ile?

Gdyby zależało mi na opinii Eufemosa, odraza na jego twarzy zapiekłaby mnie do żywego.

– Wiem, sądzisz, że zależy mi wyłącznie na pieniądzach. Udowodnię ci, że jesteś w błędzie.

– Zaczekaj. – Zacząłem szukać palcami na dnie mieszka. Wśród płaskich monet wyczułem kamyk, łatwy do rozpoznania po realnej namacalności.

– Weź go.

Pokazałem mu kamień z wraku.

Eufemos się zawahał.

– Dowiódł swojej siły

– przypomniałem.

Nadal nie wiedział, czy z niego nie szydę.

– Nie będziesz go potrzebować podczas drogi powrotnej do Aten?

– Umiem pływać.

Zgarnął go ze stołu.

– Mam nadzieję, że odnajdziesz Agatona. I mam nadzieję, że okaże się tego wart.

W jednej sprawie Eufemos miał słuszność – dotarcie do Regium drogą morską było niemożliwe.

Flota Syrakuzanczyków blokowała dostęp do zatoki. Rozpytałem w okolicy, ale nawet sto drachm nikogo nie skusiło.

– Musisz pójść przez góry – powiedział mi ogorzały kapitan z pokładu swojego statku. – To jedyna droga.

– Jest tam jakiś trakt?

Pokręcił głową i splunął na deski.

– Nie ma, ale znam człowieka, który cię przeprowadzi.

Lokry stały się moim złym snem.

Pamiętam, jak stałem w alejce za stoą kupców i negocjowałem z trzema oszpeconymi typami, pachnącymi capem i wyglądającymi jak zabójcy.

Zakrwawiona głowa i zalatujący winem oddech sprawiały, że doskonale do nich pasowałem.

– Podróż do Regium przez góry zajmie trzy dni – oznajmił herszt, którego zwali Polusem. – Co weźmiesz ze sobą?

– Tylko to, co mam na sobie.

Spojrzeli na siebie ze zdumieniem, które pojąłem, gdy spotkaliśmy się za murami miasta. Było nas czterech dorosłych mężczyzn, chłopiec i dwadzieścia osłów z grzbietami uginającymi się pod ciężarem worków.

– Mieszkańcy Regium głodują – wyjaśnił Polus. – Dionizjos oblega ich prawie dwa lata. Głodny wiele zapłaci za jadło.

Dlaczego Agaton miałby się tam udać? Dlaczego w ogóle uznał, że zdoła tego dokonać? Czy również zapłacił przemytnikom, aby przesznułowali go przez góry? Co go opętało? Czy sądził, że zdobędzie pieniądze na księgę, którą Timajos już sprzedał?

Gdybym się zatrzymał, żeby pomyśleć nad jednym z tych pytań, pewnie nigdy nie wyruszyłbym w drogę. Głowa zbyt mocno jednak mnie bolała, żeby snuć takie rozmyślenia.

Zamiast tego spojrzałem w kierunku góry i słońca, które wisiało nad jednym ze zboczy.

Może z góry wszystko stanie się bardziej zrozumiałe.

Każdy Ateńczyk – w ogóle każdy Grek – mieszka w górach od dnia swoich urodzin. Zażyłość z górami nie sprawia jednak, że czujemy się z nimi wygodnie.

Tłoczmy się w ciasnych dolinach i wolimy raczej wypłynąć w morze, niż wspinać się na szczyty. Góry to surowe, okrutne miejsca. Rozrzedzone powietrze sprawia, że serce staje się chłodne.

W górach mieszka łowczyni Artemida i Dionizos, bóg wina i boskiego szału.

To na górze król Penteusz został rozdarty na strzępy przez własną matkę, tam również ojciec porzucił Edypa, żeby umarł.

Morze jest groźne, ale niebezpieczeństwa morskich podróży biorą się z tego, że zostaje ono w ciągłym ruchu, stale obiecuje zmianę.

Z kolei góry stawiają nas wobec wieczności i nie wskazują żadnej drogi wyjścia.

Takie z grubsza myśli przychodziły mi do głowy, kiedy szedłem w górę za osłami.

Moi przewodnicy byli oszczędni w słowach jak Spartanie i pozostawili mnie zdanego na własne siły. Kiedy już upewniłem się w przekonaniu, że mnie nie zabiją, całkiem o nich zapomniałem.

Stukot kopyt, dyszenie ludzi i zwierząt oraz brzęczenie owadów w trawie były jedy-
nymi dźwiękami, które słyszałem.

Weszliśmy na górę wąskim kamiennym wąwozem i rozbiliśmy obóz nad brzegiem rzeki. Nocą w wąwozie huczał wiatr, jakby za rogiem wzbierała ogromna fala. Nic dziwnego, że miałem koszmarne sny.

Następnego dnia kontynuowaliśmy wędrówkę w górę rzeki, która wiła się gęsto za-
lesionymi zboczami, nieprzerwanie się pnąc. Gdy spojrzałem w dół, przeraziłem się,
jak wysoko dotarliśmy, choć oglądane wierzchołki były tylko stopniami prowadzącymi
na prawdziwy szczyt, który skrywał się za nimi.

W głowie mi pulsowało. Późnym rankiem słońce przepędziło cienie z doliny. Ka-
mienię piekły, powietrze się gotowało. Szliśmy korytem strumienia, żeby zmoczyć i
ochłodzić stopy.

Umierałem z pragnienia, ale gdy przykucałem, żeby się napić, lodowata woda powo-
dowała, że czaszkę przyszywały mi bolesne igły.

Czarna woda i lśniący biały cyprys, Gdzie zstępujące dusze doznają ochłody po
swoim upadku.

Trzymaj się od nich z daleka.

Po południu opuściliśmy rzekę i ruszyliśmy zboczem pokrytym kikutami wypalonych
drzew. Stromizna była okrutna, pozbawiona znaków szczególnych. Szliśmy godzinami
bez wody, wzbijając tumany kurzu, aż poczerniały nam stopy.

W połowie wspinaczki zacząłem spazmatycznie dygotać, jakbym miał gorączkę.

Mimo słońca świat pociemniał. Kiedy kurz opadł, wydało mi się, że widzę Sokrate-
sa idącego obok mnie. Poruszał się z wdziękiem nawet górskim zboczem, stawiając
lekkie, zgrabne kroki.

– Chciałbym, żebyś naprawdę tu był – rzekłem.

Choć nie widziałem jego twarzy, pomyślałem, że się uśmiechnął.

– Muszę trzymać się miasta. Drzewa i piękne widoki są bardzo dobre, ale niewiele
cię nauczą.

– Myślisz, że odnajdę Agatona, kiedy dotrę do Regium?

– Wierzysz Timajosowi?

– Nie – odrzekłem.

– Wiedziałeś o tym, kiedy wyruszałeś w drogę.

– Zaiste.

– Liczy się rozpoczęcie podróży.

– Wiem. Słyszałem Odyseję.

– Musisz jedynie podążać przed siebie, nie bacząc na stromiznę.

- Trudno iść, kiedy nie widać wierzchołka.
- Masz rację – przytaknął. – Dlatego zawsze przebywałem na dole.
- Czy powinienem zawrócić?

Nie odrzekł ani słowa. Starłem się wyczytać odpowiedź z jego twarzy, ale zasłonił ją tuman pyłu.

– Musisz pokonać długą, męczącą drogę, zanim dotrzesz do prawdy – powiedział w końcu.

- Nie ma krótszej?
- Nie sędzę, żeby istniała, ale będzie ci łatwiej, jeśli skupisz się na bieżącym zadaniu.

Domyśliłem się, że mówi o Deotymie.

- Deotyma wiedziała, dokąd poszedł Agaton – przypomniałem.
- Nie chciałeś od niej nic więcej?
- Wiem, że powinienem lepiej nad sobą panować.
- Nie w tym rzecz. Każdy filozof powinien się zakochać, w przeciwnym razie nie będzie wiedział, o czym prawi.

- Przecież chodzi o umiłowanie mądrości.
- Potrzebujemy także innej miłości: lepkiej, spoconej, ludzkiej.

Żeby otworzyła nam oczy.

- Na co?
- Na piękno, które jest pierwszym krokiem prowadzącym do znacznie szerszego świata.

- Jakiego świata?

Pokręcił głową.

- Wiesz, co im powiedziałem. Jak to ująłeś w swoim dialogu?
- Gdybym miał choć odrobinę mądrości, nie utrzymywałbym, że wiem to, czego nie wiem. – Uznałem za absurd, że Sokrates cytuje mój ustęp, w którym przytaczam jego słowa.

Niedorzeczność tej sytuacji wyraźnie go rozbawiła.

– Wykazywałem ludziom, że niczego nie wiedzą, ale nie podziękowali mi za to. Ty chcesz im pokazać, czego nie znają, a to jest znacznie trudniejsze.

- Pewnie i mnie nie podziękują.
- Znajdziesz to, czego szukasz – odparł Sokrates. Mimo że nie było go przy moim boku, podniósł mnie na duchu.

Szedłem w górę podczas całej naszej rozmowy. Zrobiło się późno, ale przynajmniej dokądś dotarliśmy.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, było chłodniejsze powietrze.

Nie musiałem się rozglądać, aby wiedzieć, że jesteśmy wysoko, ponieważ otaczała nas cisza. Światło stało się miękkie. Na kilka minut przerażające górskie zbocze stało

się miejscem magicznym.

Kiedy obeszliliśmy grzbiet, otworzył się przed nami widok sięgający aż po horyzont. Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, niebo przedzierzgnęło się zaś w szkarłatną tkaninę rozpostartą między ziemią i niebem, z niską linią purpurowych obłoków na horyzoncie.

Pośrodku majaczył szczyt.

Początkowo pomyślałem, że to jeszcze jeden obłok, ale linie były zbyt wyraźne, kształt zaś zbyt wierny.

Przyjrzałem się dokładniej i zrozumiałem, że to wierzchołek góry.

W wieczornym świetle wydawał się unosić w powietrzu.

– To Etna – wyjaśnił mój przewodnik.

O Etnie krąży wiele opowieści.

Niektóre znałem, o innych dowiedziałem się później. Opowiadano, że góra jest siedzibą Hefajstosa, boga kowali i złotników. Albo że pradawny tytan, stugłowy Tyfon, spoczywa w Tartarze przygnieciony przez tę górę i wywołuje erupcje, kiedy wiję się pod jej ciężarem.

Powiadają również, że filozof Empedokles rzucił się do jej krateru w nadziei, że stanie się bogiem. Pozostał po nim tylko jeden brązowy sandał.

Słychać także głosy, że Etna jest wrotami do Piekieł.

Przypomniały mi się strofy z Pindara, których nauczyłem się w szkole: Czyste strumienie ognia Tryskają z jej głębi.

Za dnia wypływają zeń języki lawy, Ciągając za sobą ciemny obłok dymu.

W nocy zaś czerwony płomień toczy się w dół i spycha głązy W szeroką otchłań morza.

Tej nocy nie było fontanny ognia, tylko cienkie pasemko dymu wznoszące się ze szczytu. Czuję się lekko rozczarowany.

– Lepiej zejźmy niżej – rzekł przewodnik. – Pomarzniemy tu w nocy.

Kiedy rozpoczęliśmy schodzenie, Etna zbladła w gasnącym świetle zmierzchu. Wieczorny chłód sprawił, że głowa przestała mi pulsować. Podziw wywołany widokiem Etny oczyścił coś w moim wnętrzu.

Dotarliśmy do gaju pełnego dębów i kasztanowców, gdzie urządziliśmy postój.

Jedni rozładowali osły i wyprowadzili je na łąkę, żeby się pożywiły górką trawą, inni rozpalili ognisko. Wziąłem wiadro i poszedłem szukać wody. Słońce zniknęło, ale noc mnie nie przeraziła. W pobliżu było słychać szmer strumienia. Podążyłem za dźwiękiem do źródła i przykucnąłem, aby napełnić wiadro, nabrać wody w dłonie i zmyć pył z twarzy.

Na niebie pojawiły się gwiazdy.

Usiadłem na skałach i zacząłem je podziwiać. W nocy świat wygląda inaczej. W świetle księżycy lub gwiazd widzimy go niewyraźnie lub zgoła wcale, nawet jeśli spo-

glądamy na te same rzeczy, które za dnia postrzegaliśmy wyraźnie. Świat nie uległ zmianie. Nie zmieniły się także nasze oczy. Zbrakło jedynie światła.

A jeśli istniało słońce innego rodzaju?

Słońce, które swoimi promieniami nie oświetlało świata, ale opromieniało umysł? Czy wówczas ujrzelibyśmy rzeczy inaczej – rzeczy, które teraz postrzegamy niewyraźnie lub nie widzimy ich wcale? Cóż byśmy wówczas ujrzeli?

Mój oddech uległ przyspieszeniu.

Szukałem czegoś po omacku, w ciemności. Nie wiedziałem czego, ale czułem, że chodzi o coś ważnego. O coś, czego wypatrywałem całe życie.

Heraklit powiada, że nie możemy poznać świata, ponieważ ten podlega ciągłym zmianom. Sofiści twierdzą, że nie można go poznać, wiemy bowiem jedynie to, co przekazują nam zmysły, te zaś są tak niedoskonałe, że mówią różne rzeczy o różnych porach dniach.

W odległości trzech metrów ode mnie rośnie drzewo rozszczepione przez piorun. W tej chwili nie mogę go zobaczyć, ale wiem, że tam jest – zapamiętałem je, gdy schodziłem ze wzgórza. Choć moje oczy go nie widzą, widzi je mój umysł. On wie.

Gdyby istniało słońce mogące wejść nad umysłem, o ileż bardziej stałby się on jasny, o ileż więcej by widział zamiast mrocznych cieni świata, w którym żyjemy?

A jeśli rzeczy, które spotykamy na świecie, są jedynie cieniami, jakie rzucają byty?

Usłyszałem krzyki dochodzące od strony obozowiska.

Pewnie moi towarzysze zaczęli się niecierpliwić.

Podniosłem się niechętnie, sięgnąłem po wiadro i ruszyłem powoli w stronę ogniska migoczącego między drzewami.

Wyszedłem na polanę. Ogień zapłonął na dobre. Płomienie strzelały wysoko w nocne niebo, rzucając na ziemię długie cienie. Cienie ludzi i zwierząt.

Jedni rozmawiali, inni siedzieli w milczeniu. Gdybym zadał sobie trud i ich policzył, mógłbym zauważyć, że było ich więcej niż wówczas, gdy odchodziłem.

Musiało również dojść do jakiejś walki. Jeden z moich towarzyszy leżał na ziemi, krwawiąc. Inni zostali zapędzeni między drzewa. Pilnowało ich kilkunastu żołnierzy w zbrojach z brązu i czerwonych tunikach. Tak głęboko pogрузyłem się w rozmyślaniach o innych światach, że nie zwróciłem uwagi na to, co się stało pod moim bokiem.

Uprzedzałem cię – rzekł Eufemos.

Nie próbowałem uciekać.

Nie zdołałbym zrobić dziesięciu kroków.

Skrępowali mnie, zakneblowali i poprowadzili w ciemności.

Rozdział 18

JONAH – LONDYN

Niczego nie rozumiesz? Wszyscy w tym tkwili.

Wszyscy byli przyjaciółmi z college'u, każdy miał każdego w kieszeni.

Stał na ulicy przed dworcem Paddington, w labiryncie kantorów, kiosków z gazetami i pralni chemicznych.

Potrzebował drinka.

Znalazł pub i opróżnił pintę piwa, nie czując żadnego smaku. Uznał, że potrzebuje czegoś mocniejszego. Wszedł do baru i zamówił dwie wódki z tonikiem.

Lily pojechała do Aten, żeby się spotkać z Adamem. Dlatego mu nie powiedziała. Wrócili razem i Adam zwolnił Sandi, ponieważ sprzeciwiła się ich planowi wykradnięcia tabliczki.

Później Lily zabrała tabliczkę i zniknęła.

Powiedział sobie, że w to nie wierzy.

Naprawdę? Przez cztery dni uparcie powtarzał, że Lily jest ofiarą. Uchwycił się tego niczym pewnika czystego i twardego jak szkło, ignorując coraz większe pęknięcia. Szkło może jednak przyjąć tylko określoną liczbę uderzeń, później rozpadnie się w kawałki.

Musiał pomówić z Adamem, ale miał jedynie jego numer w Oksfordzie.

Zadzwoił do Charis, lecz jej telefon był wyłączony – przypomniał sobie, że tego wieczoru miała wyjść na przyjęcie.

Strona internetowa Fundacji Eikasia zawierała niewiele informacji, ale znalazł przynajmniej numer telefonu biura w Atenach. Wprowadził go i usłyszał nagrany komunikat w języku greckim. Spojrzał na zegarek. Była dziewiętnasta, w Atenach mieli więc dwudziestą pierwszą. Domyślił się, że była to informacja o godzinach pracy biura.

Nie mógł zadzwonić do Richarda.

Przyszła mu do głowy tylko jedna osoba.

Facet spędzał całe dni w kancelarii, nie przeszkadzało więc, że znał jedynie numer służbowy. O tak późnej porze sekretarki poszły pewnie do domu i sam odbierał telefony.

– Julian?

– Jonah. – W małym głośniku zagrzmiął głęboki głos. – Jak się miewasz, chłopie?

– Bywało lepiej.

– Masz jakieś wieści o Lily?

– Nie.

– Jestem pewien, że się odnajdzie.

Gdyby te słowa wypowiedział ktoś inny, zabrzmiałyby jak tani frazes, ale Jonah nie miał wątpliwości, że Julian naprawdę tak myśli.

Julian żył w bezpiecznym, wygodnym świecie, w którym ludzie postępowali właściwie, złe rzeczy zdarzały się zaś jedynie na stronach „Daily Telegraph”.

– Muszę pogadać z Adamem. Znasz jego numer?

Julian zachichotał, dając do zrozumienia, że ma szczęście.

– Gdzieś go zapisałem. – Pauza. – Nie w moim telefonie. Może jest w mailu.

Bóg jeden wie, kiedy ostatnio z niego korzystałem. Nasz Adam nie nadaje się do pogaduszek.

– Możesz poszukać?

Jest mi naprawdę potrzebny. Myślę, że Adam może wiedzieć coś o Lily.

– Żaden problem. – Cisza przerywana klikaniem, jakby Julian pisał coś na klawiaturze. – Słuchaj, dziś wieczór jadę w twoją stronę. Może się spotkamy? Masz taki głos, jakbyś potrzebował bratniego ramienia, żeby się wypłakać, a przynajmniej pinty piwa, do której mógłbyś uronić łyżę.

Julian był ostatnią osobą, przed którą Jonah mógłby otworzyć serce, ale wypity alkohol obalił wszystkie pewniki, pozostawiając jedynie beznadziejną pustkę.

Podał nazwę pubu w Wandsworth i umówili się za godzinę.

OKSFORD

Niektórzy powiadają, że Oksford to miasto marzeń, ale dla Jonaha było osobliwym nocnym koszmarem.

Matka zaczęła płakać, kiedy oświadczył, że wyjeżdża. Przyjaciele powiedzieli, że Oksford jest pełen palantów z południa kraju. Zespół prawie się rozpadł, ale wyjechał mimo to, ponieważ pragnął być z Lily i był uparty. Po dwóch miesiącach spotkania się w przerwach między jej wykładami i jego zmianami w barze Bear był bliski przyznania, że mieli rację. W Grecji wszystko wydawało się naturalne, w Oksfordzie nic nie przychodziło łatwo. Studenci zachowywali się tak, jakby znali tajemnice niedostępne innym ludziom. Żyli w ciągłym pośpiechu, kierowani jakimiś ukrytymi motywami, i gadałi dziwnym językiem pełnym średniowiecznych naleciałości w rodzaju „dzień świętego Michała”, „siermiężny” i „czworoboczny dziedziniec”.

Starszy, twardszy i znudzony szkołami, do których uczęszczali, a także pracą, jaką podejmą w przyszłości, Jonah nie należał do ich świata, niezależnie od tego, jak bardzo Lily próbowała go zmienić.

Już w grudniu wiedział, że jeśli pojedzie do domu na Boże Narodzenie, więcej tam nie wróci. Lily miała w Oksfordzie innych przyjaciół, ale Jonah widywał się najczę-

ściej z tymi, których poznał w Grecji.

Co zaskakujące, najbardziej zżył się z Adamem. Nie mógłby powiedzieć, że go lubi, nigdy również nie otrzymał w zamian czegoś, co przypominałoby koleżeństwo lub przyjaźń. Mimo to zbliżała ich do siebie silna wewnętrzna determinacja.

– Obaj podążamy za swoją muzą – skwitował Adam, kiedy Charis go o to zapytała. Jonah siedział na krześle i pił piwo, Adam przycupnął zaś na łóżku ze szklanką wody.

– Co masz w tej torbie?

Adam zignorował pytanie.

– Wiesz, czym jest sympozjon?

– Rodzajem przyjęcia?

– W starożytnej Grecji sympozjonem nazywano ucztę połączoną z piciem wina. Najbardziej znanych opisów uczt dostarczyli Platon i Ksenofont. Ludzie kulturalni wydawali przyjęcia w swoich domach i dyskutowali o wielkich zagadnieniach filozoficznych.

– Brzmi nieźle.

– Wydają takie przyjęcie.

W czwartek. – Adam otworzył torbę.

W środku znajdował się dziwny instrument: zaokrąglona drewniana skrzynia z dwoma ramionami, na których rozpięto siedem strun.

– Wiesz, co to jest?

– Mandolina? – odpowiedział Jonah.

– Ten instrument to starożytna grecka lira.

– Wykopałeś ją spod trawnika przed college'em?

– To kopia. Wypożyczyłem ją z Wydziału Filologii Klasycznej.

Podał lirę zebrany. Po ciężarze i solidnej budowie przedmiotu Jonah odgadł, że to raczej makieta do celów naukowych niż instrument muzyczny.

Gdy jednak uderzył pierwszą strunę, dźwięk okazał się czysty i odpowiednio wysoki. Mniej donośny niż dźwięk gitary i mniej głęboki od harfy, odznaczający się bezbarwnym, chłodnym brzmieniem.

– Potrafisz na tym zagrać?

Jonah sięgnął do futerału po plektron.

Wybrał kilka strun i szarpnął, wydobywając dźwięki palcami. Chociaż opierał lirę o klatkę piersiową, muzyka wydawała się dziwnie daleka.

– Znasz jakąś melodię?

Adam wyjął z torby plik kartek.

– Skserowałem to dla ciebie. Kilka artykułów z klasycznej muzykologii.

Zdaniem Platona najbardziej grecka jest skala dorycka.

Jonah przejrzał kartki. Było tam dużo terminów w rodzaju „skala diatoniczna” i „skala miksolidyjska”, ale nic, co przypominałoby akordy lub nuty.

– To na nic. Nie można analizować muzyki jak... greckiej tragedii. Trzeba ją czuć.

– Dlaczego zakładasz, że nie można odczuwać greckiej tragedii? – zdziwił się Adam. – Przecież Eurypides nie napisał Bachantek, żeby słuchacze studiów licencjackich mogli na ich przykładzie analizować grecką gramatykę. Napisał je, żebyś skowyczał ze strachu, widząc, jak okrutni bywają bogowie.

Adam często mówił takie rzeczy, dlatego Jonah go zignorował.

– Może zdołam coś zaimprovizować.

Adam pochylił się do przodu, oplatając palcami szklanę z wodą.

– Pitagorejczycy uważali, że muzyka leży u podstaw porządku świata.

Twierdzili, że dzięki muzyce można osiągnąć stan transcendencji, zjednoczyć się z kosmosem. Czy zdarzyło ci się tego doświadczyć?

– Tak – przytaknął zgodnie z prawdą Jonah. Nagle poczuł więź z Adamem, jakby runął dzielący ich mur, ale gdy na niego spojrzał, twarz ukryta za długimi włosami sprawiała wrażenie smutnej.

– Po prochach?

Jonah nie wiedział, czy powinien się poczuć urażony. Czyżby to była kolejna próba dokuczenia mu za to, że jest muzykiem?

Adam odsunął włosy z twarzy i spojrzał mu w oczy.

– Pytałem poważnie.

– Czasami.

– Czytałem książkę... – Ton Adama stał się chłodny i rzeczowy. – Grecy mieli boginię imieniem Demeter.

Demeter była patronką zbóż i zbiorów, przypuszczalnie manifestacją jakiejś prymitywnej bogini płodności, wielkiej matki ziemi. Oddawali jej cześć podczas misteryjnych obrzędów, wpadając w szal i osiągając boską ekstazę.

– Sądysz, że byli odurzeni?

– Podczas obrzędów na cześć Demeter pito wino zmieszane z jęczmieniem. Demeter była boginią ziarna. W pszenicy występuje grzyb nazywany sporyszem, który ma psychodeliczne właściwości.

– Grzyb?

Chcesz pogadać o magicznych grzybach?

– Nieważne. – Adam wstał z zaciętą twarzą. – Myślałem, że mnie zrozumiesz.

Jonah zgniótł puszkę po piwie i wrzucił ją do śmietniczki.

– Podobnie jest z muzyką. Nie można tylko o niej czytać.

Spojrzał na niego z bladym uśmiechem.

Adam tylko tak się uśmiechał

– ze smętym, zrezygnowanym spojrzeniem kogoś, kto przyjrzał się światu i przeżył nieodwracalne rozczarowanie. Kogoś, kto wiedział, że wszystko jest absurdem, ale postanowił wykorzystać życie najlepiej, jak to tylko jest możliwe.

- Właśnie dlatego urządzam sympozyjon.
- Stanął w drzwiach, jakby sobie o czymś przypomniał.
- Jak wam idzie z Lily?
- Świetnie.
- Tutaj osiągnięcie sukcesu nie będzie łatwe.
- Powiedziałem, że świetnie nam idzie.

LONDYN

Julian przyjechał prosto z pracy.

Prążkowany garnitur, lawendowa koszula, jedwabny krawat i lśniące buty szkoty.

Wizerunek bywalca City dopełniały złote spinki i brzuch wystający za pasek.

Powyżej kołnierzyka od dziesięciu lat nic nie uległo jednak zmianie. Julian nadal wyglądał jak przerośnięty uczeń z czupryną czarnych loków, których nigdy nie czesał, wielkimi oczami i twarzą, która przypominała Jonahowi ciastko z kremem.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Boże, przykro mi z powodu Lily – powtórzył. – Pozwól, że postawię ci drinka.

Wepchnął Jonaha do pubu i niemal rzucił na krzesło. Po chwili wrócił z baru, niosąc cztery piny piwa.

– Mają promocję. – Postawił szklanki, rozlewając piwo na stół. – W zaistniałych okolicznościach może to zabrzmieć ironicznie, ale warto skorzystać.

Julian utrzymywał dystans w kontaktach z przyjaciółmi Lily. Kiedy tamci pisali doktorat i zdobywali wieżę z kości słoniowej, Julian uzyskał dyplom na Oksfordzie

– „z przeciętnym wyróżnieniem godnym dżentelmena” – i z miejsca podjął pracę w City, w kancelarii prawnej swojego ojca. Za każdym razem gdy się spotkali, Julian miał nowy wóz i nową dziewczynę, stawiał wszystkim drinki, poklepywał po plecach i gasił wszelkie próby rozmowy o swojej pracy. Później milczał całymi miesiącami, aż do następnego spotkania. Kupował jednak każdą płytę, którą nagrał zespół Jonaha, i nigdy nie zapomniał o jego urodzinach.

Jonah wychylił swoje piwo.

– Odszukałeś numer komórki Adama?

Julian wręczył mu bilet grzecznościowy ze złożonym nagłówkiem, w poprzek którego nagryzmołono numer telefonu.

– Rozmawiałeś z nim ostatnio?

Julian pokręcił głową z ustami pełnymi orzeszków.

– Niewiele od czasu, kiedy zaczął zgrywać bajronicznego bohatera.

Dlaczego go szukasz?

– Sponsorował wykopaliska, na których pracowała Lily. Tydzień temu pojechała do Aten, żeby się z nim zobaczyć.

Julian mógł udawać komedianta ze szkoły publicznej, ale nie był głupi.

Podniósł wzrok znad szklanki.

– Adam to pieprzony mnich. Kropka.

Nigdy by tego nie zrobił

– Dziesięć lat temu kochał się w Lily.

– Wszyscy się w niej kochaliśmy.

Złamała nam serce, kiedy przyjechałaś.

Teraz złamała także twoje. Wiem, że to żadne pieprzone pocieszenie. Wypijmy jeszcze po jednym, to najlepsze lekarstwo.

Poszedł do baru, a Jonah wyciągnął komórkę. Wprowadził numer Adama, ale nie zadzwonił.

Adam finansował wykopaliska. Lily wiedziała o tym od początku, ale mu nie powiedziała.

O czym jeszcze mu nie wspomniała?

Zwinął kartkę i wetknął ją do kieszeni. Miał mętlik w głowie. Nie chciał rozmawiać z Adamem w takim stanie. Chociaż alkohol dodał mu odwagi, nie miał jej dość do podjęcia takiej rozmowy.

Ekran zabłysnął. Numer Adama zniknął, a jego miejsce zajął tekst esemesa. Nie musiał go otwierać – telefon automatycznie wyświetlił obraz roboczy. Dwa zdania i nic więcej.

Przestań mnie szukać. Nie wróć.

{o} L

Nadal wpatrywał się w ekran, kiedy Julian usiadł z dwiema dużymi szklankami whisky.

– Jakież nowiny?

Jonah przysunął mu aparat po stole.

– Chryste! – Julian postawił szklanki tak mocno, że rozlał odrobinę alkoholu.

– Kiedy to dostałeś?

– Przed chwilą.

Czy to się dzieje naprawdę? Przez trzy dni był pewien, że wiadomości wysłał ktoś inny. Podejrzewał nawet Richarda. A przecież mogło istnieć prostsze wyjaśnienie.

Julian z pewnością w to nie wątpił.

– Nikt z nas się tego nie spodziewał.

Ty i Lily stanowiliście idealną parę.

Myślisz, że kogoś miała...?

Jonah chwycił szklankę, jakby była jedynym ogniwem łączącym go ze światem.

– Przeczytałeś wiadomość. Nie wiem nic więcej.

Nie powiedział prawdy. Przecież próbowali mu to przekazać.

Ta policjantka, Ruth: Czy przeżywaliście jakieś trudności w waszej relacji? Jakież problemy?

Sandi: Uważałam ją za jedną z dobrych.

Charis: Ona nie zaginęła, kochanie.

Zostawiła cię.

Zignorował natrętne głosy, zatkał uszy, był bowiem pewien, że tamci się mylą. Kochał Lily, a Lily kochała jego.

Nie sądził, żeby liczyło się coś jeszcze.

Ekran rozblęsnął ponownie. Telefon zadzwonił. Jego serce ożyło nadzieją, kiedy zobaczył informację o dzwoniącym: mama Lily. Wszedł z pubu na chwiejnych nogach.

W drzwiach potrącił dwóch mężczyzn w garniturach, którzy wchodzili do środka. Coś krzyknęli, ale nie zrozumiał.

Stał na środku chodnika w strumieniu przechodniów, rozmawiając przez telefon.

– Jonah? Mówi Julie.

Nadzieja prysła, ale chwycił się tego, co mu pozostało.

– Czy Lily jest u was?

– Nie – odparła i po chwili podjęła: – Przed chwilą wysłała mi wiadomość.

Chce, żeby zostawić ją w spokoju.

Pragnie być sama.

Wypowiedziała ostatnie zdanie, jakby wbijała igłę – tak żeby nie sprawić mu bólu, jednocześnie zaś wstrzyknąć truciznę. Jakby musiała to zrobić.

– Ja również dostałem wiadomość.

Obok niego ryknął przejeżdżający autobus. Poczł jego masę w mocnym podmuchu powietrza. Wyobraził sobie, jak wpada pod koła i osuwa się w zapomnienie. Cofnął się w stronę budynku, nie ufając sobie.

– Przykro mi – powiedziała Julie.

Julie była siostrą Lily, a to ograniczało jej współczucie. Gdyby coś się stało, gdyby pojawiły się skonfliktowane strony, nie stanęłaby u jego boku.

– Będę w kontakcie.

Wrócił do pubu. Przynajmniej Julianowi nie musiał niczego tłumaczyć. Czas płynął. Julian gadał, Jonah pił. W końcu Julian spojrzał na zegarek.

– Muszę jechać do domu, stary druhu.

Zostałem zaproszony na przyjęcie.

– Znam gospodarza?

Julian zrobił zakłopotaną minę.

– Czuję się trochę zażenowany.

Słyszałeś o przyjęciach „słodkiego tatuśka”?

– Nie.

– To imprezy dla takich gości jak ja.

Dla facetów z dużą ilością gotówki i małą ilością czasu, niedysponujących odpowiednią liczbą godzin na zaloty.

Można tam poznać chętne dziewczyny.

– prostytutki?

Julian zrobił przerażoną minę.

– Boże, nie! Dziewczyny potrzebujące odrobiny bezpieczeństwa, pragnące wiedzieć, że nie marnują swojego czasu.

Nie ma w tym niczego podejrzanego.

– Ale im płacisz?

– Chryste!

Wiesz, że jesteś nieuprzejmy, kiedy sobie wypijesz? Nie płacisz im. Sprawiasz, aby poczuły się docenione. Jesteśmy dorosłymi ludźmi.

– Wyrzucił ramiona w górę i pomachał kelnerowi kartą kredytową. – Nie wszyscy mieli tyle szczęścia co ty i Lily.

– Szczęścia?

– Przeżyliście razem dziesięć szczęśliwych lat. Bóg jeden wie, czym ją tak rozsierdziłeś, ale uwielbiała cię do samego końca.

Nikogo nie dopuszczaliście do środka. Daj spokój, podrzucę cię.

Zapamiętał jedynie, że Julian wsadził go do taksówki i podał adres. Później nastąpił krótki przejazd i wybrzmiało trzaśnięcie drzwiami.

Zejście na chwiejnych nogach do mieszkania i manipulowanie kluczem. I upadek na kanapę. Butelka wódki stała na stole, tam gdzie ją zostawił. Wylał odrobinę alkoholu na wodę z rozpuszczonych kostek lodu, po czym spojrzął na zegarek. Dopiero dwudziesta pierwsza trzydzieści. Jakim cudem upił się tak wcześniej?

Wiedział, że powinien opóźnić pójście do łóżka. Spojrzął na telefon, nie wiedząc, do kogo zadzwonić. Czy Alex już wrócił? A Cień?

Komórka przypominała igłę.

Wiedział, że nie powinien tego robić.

Wiedział, że to go zaboli, ale mimo to otworzył ostatnią wiadomość od Lily i przeczytał ją ponownie. Tylko po to, żeby podtrzymać ból.

Ciągle patrzył na esemesa, kiedy telefon zadzwonił drugi raz w ciągu wieczoru. Numer zastrzeżony. Nagle ponownie wytrzeźwiał. To była Lily.

Dzwoniła, żeby powiedzieć, że popełniła błąd. Żeby przeprosić. Żeby wszystko wyjaśnić – od tego zacznijmy.

Gdyby tylko mógł z nią pogadać.

Zaczął majstrować niezgrabnymi palcami przy aparacie.

– Słucham?

– Czy to Jonah Barnes?

Głos należał do kobiety, ale nie był to głos Lily. Mało brakowało, a byłby się rozłączył.

– Kto mówi?

- Przyjaciółka, której jeszcze nie poznałeś.
- Skąd masz mój numer?
- Chcę ci pomóc. Mógłbyś przyjechać do Aten?

Nie wiedział, czy jest bardziej trzeźwy czy bardziej pijany niż kiedykolwiek dotąd. Odsunął telefon od twarzy i obejrzał go, jakby był przedmiotem z innej planety.

- Dlaczego? – zapytał w pustkę.
- Żeby się ze mną spotkać.
- Po co?
- Ponieważ wiem, kto porwał twoją żonę.

Rozdział 19

Człowieka, który dał się wziąć do niewoli, należy zostawić na pastwę nieprzyjaciela, jest bowiem jego prawowitą własnością, którą może rozporządzać wedle swojej woli.

Platon, *Państwo*

Wyobraźcie sobie jaskinię, w niej zaś ludzi – wszyscy z obrozą na szyi i w łańcuchu tak ciasnym, że nie mogą się poruszyć ani nawet odwrócić głowy.

Za ich plecami płonie ognisko, którego nie są w stanie zobaczyć, przed ogniem tańczą kukiełki. Więźniowie widzą jednak tylko cienie rzucane na kamienną ścianę.

Nie jest aż tak źle. Skuli mnie kajdanami i założyli obrozę na szyję, ale mogę odwrócić głowę. Umieścili nas w długiej, wysoko sklepionej jaskini, która wije się niczym koncha. Wejście jest szerokie, otwarte na przestrzał, do środka wpada więc odrobina słonecznego światła. Nie ma także ogniska ani żadnych kukiełek.

Właściwie kukiełki nie byłyby takie złe. Przydałaby się odrobina rozrywki.

Dziś rano w jaskini było czterdziestu trzech więźniów.

Ostatniej nocy naliczyłem czterdziestu siedmiu, poprzedniego ranka jedynie czterdziestu jeden. Obsesyjnie liczę więźniów.

Pewnie Archytas zdołałby wyczytać jakiś sens z tych liczb, ale ja tylko się bawię. Układam prawa na własny użytek i sprawdzam prognozy. Jeśli w porze kolacji zostanie nas czterdziestu pięciu, dostanę dodatkową porcję chleba. Jeśli liczba więźniów będzie parzysta, kiedy słońce dotrze do przeciwległej ściany, zostanę uwolniony. Oczywiście moje przewidywania się nie spełniły, ale przynajmniej miałem jakieś zajęcie.

Do jaskini wchodzi dwóch strażników, rzucając cień na ściany.

Czerwone szaty, czarny hełm, ryczący lew na klamrze pasa. Serce zaczyna mi walić, gdy nadchodzą, ale nie śmiem podnieść głowy. Doświadczam ulgi i rozpaczę, kiedy ich buty mnie mijają.

Dolatuje mnie brzęk zdejmowanych kajdan. Wyciągają jakiegoś biedaka.

Staram się zignorować dobiegające odgłosy: bełkot, płacz i błaganie. Słyszę, jak więzień woła, że światło rani mu oczy.

Nikt nie wie, dokąd go zaprowadzą.

Nie rozmawiamy o tym. Wiemy tylko, że – tak czy inaczej – wszyscy będą wolni.

Czy jednak pragniemy takiej wolności?

Zostało czterdziestu dwóch.

Miałem dwanaście lat, gdy Ateny postanowiły podbić Syrakuzy.

Dziwna to była decyzja. Toczyliśmy wówczas wojnę ze Spartą, która ciągnęła się z przerwami od dnia moich urodzin. Sparta była uwięziona w głębi lądu, pozbawiona dostępu do morza, oddalona kilka dni marszu od Aten.

Z kolei Syrakuzy leżały na wschodnim wybrzeżu Sycylii, niemal na krawędzi świata. Sparta zagrażała nam rok w rok, Syrakuzy pragnęły zaś jedynie z nami handlować. W jakiś jednak sposób arystokratyczna pycha zespoliła się z demokratycznym entuzjazmem i pchnęła nas do wyruszenia przeciwko Syrakuzaczkom.

Wyprawa zakończyła się fiaskiem, istną tragedią.

Z Aten wyszło pięćdziesiąt tysięcy wojska, wróciło zaś ledwie dwustu żołnierzy. Zapytacie, jaki bohater wpadł na tak przedni pomysł?

Jego imię brzmi Alkibiades. Przed wyruszeniem na tę obłąkaną wyprawę sprofanował misteria Demeter i krążył po Atenach, niszcząc wszystkie hermy, które przynoszą szczęście.

Kiedy usłyszeli o tym przywódcy miasta i go odwołali, wszedł na statek płynący do Turioj i przeszedł na stronę Sparty.

Zdradził im najslabszy punkt armii ateńskiej. Wkrótce nasza flota została zatopiona, oblężenie przerwane, a żołnierze okrążeni i wycięci w pień.

Do Syrakuz przyprawiono siedem tysięcy jeńców.

Trzymali ich w kamieniołomach, siedemdziesiąt dni bez jedła i wody. Martwi leżeli tam, gdzie padli, dopóki Dionizjos się nie znudził i nie sprzedał reszty jako niewolników. Tymczasem Alkibiades obraził swoich spartańskich gospodarzy i pojawił się jako specjalny doradca na dworze króla Persji, podpowiadając mu, jak pokonać Ateny.

W czasach, których z powodu wieku nie pamiętałem, Alkibiades był najlepszym uczniem Sokratesa.

Czterdziestu dwóch więźniów. Jeśli o zachodzie słońca liczba będzie nieparzysta, zostaną uwolniony. Tak sobie powtarzam.

Słońce zaczęło ponownie wpełzać do jaskini. Pył z kamieniołomów zawirował w słupie światła, choć ostatnio nie wydobywano tu kamienia. Wykopali wszystkie bloki, zostały jedynie ogromne dziury w ziemi.

Użyteczne do wyrzucania niechcianych rzeczy.

Nie wiem, co się stało z Polusem i przemytnikami, ponieważ już na początku nas rozdzielili. Nie sądzę, aby znajdowali się w tej jaskini. Więzień obok mnie bez przerwy mamrocze.

Czasami mam wrażenie, że recytuje Ajschylosa. Może biedak jest aktorem.

Naprzeciw mnie siedzi człowiek, który się zaklina, że ocalał z wyprawy Alkibiadesa, ale ja nie daję mu wiary.

Nikt nie zdołałby tu przeżyć tak długo.

Moje ciało poczerniało od siniaków.

Doprowadzenie mnie do kamieniołomów wymagało odrobiny mimowolnej przemo-
cy: bicia i kopania, szarpania, wleczenia i rzucania. Korzyść z posiadania rosłej postu-
ry polega na tym, że ludzie najpierw się zastanowią, zanim cię uderzą. Niekorzystne
jest jednak to, że gdy się już zdecydują, pragną, aby naprawdę cię zabolalo.

Kajdany i obroza rozorały mi skórę do żywego. Na karku pojawił się obrzęk – tam,
gdzie zerwali złoty łańcuch. Muchy gryzą otwartą ranę. Nocą nie mogę spać, ponieważ
odpędzam szczury. Wkrótce będę zbyt zmęczony, żeby zwracać na nie uwagę.

Nawet Sokrates nie zdołał mnie odnaleźć w tej czeluści. Próbowałem do niego zaga-
dać, ale nie odpowiedział.

Czasu jest mnóstwo, w mojej głowie nie ma jednak ani jednej myśli.

Tym razem postaci strażników nie rzucają cienia. Najpierw słyszę stukot ich butów.
Serce zaczyna mi walić, ale gdy już przyspieszy, natychmiast zwalnia, spodziewając
się, że mnie ominą.

Oni jednak zatrzymują się naprzeciw mnie. Staję twarzą w twarz z lwem ryczącym
na klamrze pasa. Jeden z nich chwytą mnie za szyję, aby rozpiąć obrozę przykuwającą
mnie do ściany.

Chwytają mnie za ręce i wywlekają. Po tygodniu spędzonym w jaskini oczy krzyczą
z bólu pod wpływem słonecznego światła, nawet o zmroku.

Czarne plamy zaciemniają pole widzenia. Może to plamy krwi na skałach znajdują-
cych się na zewnątrz.

Czterdziestu jeden więźniów w jaskini obserwuje moje odejście.

Czterdziestu jeden. To nieparzysta liczba.

Strażnicy milczą, ja zaś nie zadaję pytań.

Ładują mnie do wozu z daszkiem i ruszają w dół wzgórza. To chybotliwa podróż, co
chwila przerywana i rozpoczynana na nowo. Słyszę tumult, czuję tłum napierający ze
wszystkich stron, później mam w uszach tylko ryk przypominający szum krwi, przery-
wany wykrzykiwanymi pytaniami i odpowiedziami. Koła wozu obracają się wolno na
kamiennej drodze.

Wóz staje. Strażnicy wywlekają mnie na ziemię. Jestem w jakimś wysokim miejscu
otoczonym potężnymi murami.

Z prawej strony widzę słońce zachodzące krwawo nad morzem, ale nie mam czasu
na podziwianie widoków.

Czekają na mnie kolejni strażnicy – ci mają ozdobne zbroje i zacięte twarze.

Ludzie, którzy przywieźli mnie z więzienia, pozdrawiają ich i odchodzą w pośpie-
chu.

Mijamy kolejne drzwi i pokoje.

Ostatnia sala nie jest największa, ale wydaje się najważniejsza. Nie ma okien, aby
żadne sekrety nie wydostały się na zewnątrz. Siedmiu strażników stoi na baczność przy

ścianach. Żaden nie ma broni, ich ramiona wyglądają jednak na wystarczająco krzepkie, aby zdołali wykonać swoją robotę.

Pośrodku na złotym tronie z oparciami rzeźbionymi na kształt przykucniętych lwów i słońcem jaśniejącym nad głową zasiada tyran. Jest większy ode mnie, ma złocistorude włosy i piegowatą twarz, jak barbarzyńca. Cieszy się złą sławą, jak oni wszyscy, ale gdy na niego patrzę, odnoszę wrażenie, że nie może być starszy ode mnie. Jedną rękę zacisnął w pięść.

To Dionizjos. Wówczas najbardziej kontrowersyjna postać w całym greckim świecie. Geniusz wojskowy i bastion cywilizacji, uzurpator, zabójca i tyran – ludzie powtarzają jego imię na każdej agorze od Słupów Herkulesa po Morze Czarne. Czuję się niemal rozczarowany, że okazał się zwykłym człowiekiem.

Siedział bez ruchu i obserwował mnie uważnie. Spojrzałem w jego błękitne oczy, próbując odnaleźć w nich ślad człowieczeństwa, ale nie zdołałem sięgnąć dna.

Wydawał się czegoś ode mnie oczekiwać, nie miałem jednak pojęcia czego. Czekałem.

- Wiesz, kim jestem? – zapytał w końcu.
- Musisz być, panie, jakimś przestępcą.
- Co?!

Tego się nie spodziewał. Skinąłem w stronę żołnierzy rozstawionych po sali.

– Musisz być bardzo groźny, skoro tylu mężów cię pilnuje. Do pilnowania mnie wystarczyło dwóch.

Krótki, szczekliwy rechot.

- Trafna uwaga. Rzeczywiście jestem groźny, ty zaś, jak powiadają, jesteś szybki.

Czekał na moją odpowiedź, ale po ośmiu dniach spędzonych w jaskini nie byłem skory do mówienia.

- Na twoim miejscu padłbym na kolana i błagał o litość – zasugerował.
- Gdybym był na twoim miejscu, dawno bym mnie uwolnił.

Słowa wydawały się pochodzić z jakiegoś miejsca na zewnątrz mnie, jak niefortunne echo, które wydobyło się przypadkiem z moich ust. Czy mogłem być bowiem aż tak szalony, żeby zwracać się tymi słowy do tyrana Syrakuz?

- Słyszałem, że znałeś Sokratesa.

Skąd się tego dowiedział? Od chwili gdy jego ludzie pojмали mnie na zboczu góry, nie rzekłem ani słowa. Nikt mnie również o nic nie pytał.

– W rzeczy samej, czy nie napisałeś relacji z jego procesu? Jestem pewien, że ją czytałem.

Moja odwaga uleciała.

Nagle przestałem być anonimowym więźniem, który nie ma nic do stracenia. Wiedzieli, kim jestem.

- Napisałem – przyznałem.

– Wiesz zatem, jaki los spotyka filozofów, którzy przemawiają nierozważnie podczas procesu, którego stawką jest ich życie.

– Czyżbym stał przed sądem?

Sądziłem, że pominęliśmy ten punkt, kiedy znalazłem się w więzieniu.

– Jeśli chcesz, możesz tam wrócić. – Dionizjos zeskoczył z tronu i podszedł do mnie. Stanęliśmy twarzą w twarz.

Strażnicy zacisnęli dłonie na moich ramionach, spodziewając się uderzenia.

Dionizjos rozwarł pięść i wyciągnął rękę, ale mnie nie dotknął. We wgłębieniu jego tłustej dłoni leżał cienki złoty cylinder na złotym łańcuszku. Czy dlatego kazał mnie tu sprowadzić?

– Co to jest? – zapytał.

– Nie wiem.

– Skąd to masz?

– Od przyjaciela.

– Gdzie to znalazł?

– Nie mam pojęcia.

– Jak on się zowie?

– Agaton.

Sądziłem, że to imię będzie dla niego pustym słowem. Gdybym przeczuwał, że zna Agatona, pewnie bym skłamał.

Twarz Dionizjosa rozpromieniła się, jakby go znał.

– Jesteś przyjacielem Agatona?

Szkoda, że nie wiedział o twoim przybyciu. Minąłeś się z nim o włos.

Ogarnęło mnie przerażenie.

– Agaton tu był?!

– Jestem znanym mecenasem sztuki.

Każdy filozof i poeta, malarz i dramaturg prędzej czy później trafi na mój dwór.

Nie uwierzyłem mu.

Agaton nienawidził tyranii. Prędzej bym się go spodziewał w burdelu w Kerameikos niż tutaj, chyba tylko z nożem, żeby rozplątać gardło Dionizjosowi. Albo jeśli nie miał w tej sprawie wyboru.

Podążyłem śladami Agatona do Regium. Może uczyniłem to zbyt dobrze.

– Czy go porwałeś, jak mnie?

Strażnicy stojący za tronem uśmiechnęli się znacząco.

– Przybył tutaj z własnej woli.

– Dlaczego?

– Z takiego samego powodu jak każdy. Dla pieniędzy.

Agaton nie zabiegał o pieniądze.

Podczas całej naszej znajomości nie widziałem u niego złamanego obola.

Często musieliśmy kupować mu chleb, aby nie umarł z głodu, lub nowe buty, gdy nadchodziła zima. Blask na twarzy Dionizjosa wskazywał jednak, że mówi prawdę, przynajmniej w pewnym stopniu.

– Potrzebował pieniędzy, żeby kupić księgę – odgadłem. Okazało się, że mam słuszność. Właśnie dlatego udał się do Regium – żeby odnaleźć Dionizjosa i błagać o jego opiekę. A może Timajos skłamał i Agaton od razu przybył tutaj?

Jak bardzo musiał pragnąć tej księgi?

– Dałeś mu pieniądze?

Dionizjos przyjrzał się swoim palcom. Przypomniałem sobie świątynię w Lokrach i Timajosa bredzącego w upale.

– Kto ją kupił?

– Oszust z Lydii, czarnoksiężnik o złocistych włosach i perfumowanych lokach, z winnym rumieńcem na twarzy.

Z rozgoryczeniem zrozumiałem, że powiedział prawdę. Byłem zbyt głupi, żeby to zauważyć. Lidyjskim oszustem okazał się fałszywy bóg Dionizjos.

– Wybadałeś, na co potrzebował pieniędzy, i sam kupiłeś tę księgę. – Kolejny powód, żeby nienawidzić tyrana, który patrzył na mnie z uśmiechem. – Dokąd udał się Agaton?

– Zniknął – odparł Dionizjos, robiąc niewinną minę.

Przełożył złoty łańcuch przez głowę i umieścił pudełeczko ze zwojem na szyi. Odniosłem wrażenie, że coś się skończyło, ale Dionizjos nie spieszył się z odesłaniem mnie do jaskini. Uniósł dwa palce, dając znak, aby strażnicy odstąpili. Ledwie zdołałem utrzymać własny ciężar, a cóż dopiero kajdany.

Osunąłem się ciężko na kolana.

– Nie masz o mnie dobrego mniemania. – Nie było to pytanie. – Czy jesteś jednym z tych demokratów, którzy uważają, że wszyscy powinni decydować o wszystkim?

Rozmowa stała się dziwnie nierealna.

Szukałem oznak wskazujących, że to nie sen, ale nie mogłem ich znaleźć.

Rozumiałem jednak reguły. W obliczu tyrana lepsze było niezłomne trwanie na swojej pozycji niż ustąpienie pola.

– Demokracja to uroczo chaotyczna forma sprawowania rządów. Traktuje ona wszystkich ludzi jednakowo, niezależnie od tego, czy na to zasługują.

Był dość inteligentny, żeby wyczuć sarkazm w moich słowach. Przypadło mu to do smaku.

– Nie cenisz wolności? – Ostatnie słowo wypowiedział z pewnym obrzydzeniem.

– Nie mam nic przeciwko wolności, ale im więcej jej posiadamy, tym więcej pragniemy mieć. W końcu ludzie odnoszą się z niechęcią do wszystkiego, co choćby w najmniejszym stopniu ją ogranicza: do praw, obyczajów, nawet do konwencji społecznych, to zaś już anarchia.

– Z drugiej strony nie aprobujesz rządów jednego człowieka?
– W demokracji ludzkie apetyty sięgają amoku. W tyranii zjawisko to ogranicza się do jednego człowieka.

Żadna z sytuacji nie sprzyja dobremu państwu.

Z tego nie był już taki zadowolony.

Jak każdy człowiek dążący do władzy absolutnej był czuły na słowa krytyki.

– Homer powiada: „Wszyscy nie możemy być królami, dlatego jeden musi panować nad innymi”.

– Poeta wspomina również o kierowaniu rydwanem: „Pochyl się w lewo i steruj prawym koniem okrzykami oraz batem” i tak dalej. Czy lektura Homera nauczyła cię, panie, sztuki powożenia rydwanem?

Wydął wargi.

– Nie chcesz władzy ludu ani tyrana, czego więc pragniesz? Rządów ciała złożonego z arystokratów i ludzi godnych?

– To powoduje rozłamy.

– Cóż zatem?

Wzięłem oddech i wyprostowałem się siłą woli. Moja głowa poruszyła się z wielkim trudem. Bałem się, że kajdany mnie przygniotą.

Zebrałem siły, próbując sobie przypomnieć zdanie z rozprawy, nad którą pracowałem przed opuszczeniem Aten.

– Dopóki filozofowie nie staną się królami lub królowie i książęta filozofami, nie zdołamy uwolnić państwa – w ogóle rodzaju ludzkiego – od zła, które je trapi.

Dionizjos wybuchnął śmiechem.

Oczywiście nie oczekiwałem, że od razu zmieni zdanie. Mimo to poczułem się rozczarowany.

Dionizjos nie był głupcem.

Miałem nadzieję, że przynajmniej wda się ze mną w dyskusję.

– Obaj jesteśmy jednakowi – rzekł do mnie. – Wielcy ludzie uważają, że rządzić powinni wielcy, filozofowie widzą u steru filozofów, pozbawieni umiejętności prostacy wierzą zaś w demokrację.

– Nie chcę być tyranem. Chcę, żeby świat był rządzony sprawiedliwie.

– Myślisz, że nie jestem sprawiedliwy?

– Sprawiedliwość nie jest przymiotem. To wewnętrzna dyscyplina, która wymaga ustawicznego ćwiczenia.

Pomyślałem, że ponownie mnie wyśmieje, ale on zmienił temat.

– Wiesz, co powiada Eurypides?

– „Dionizjos jest w pałacu! Padnijcie na kolana!”

– Bardzoś szybki. A wiesz, co Dionizjos czyni tym, którzy nie uznają jego władzy?

Skinąłem głową. W sztuce Eurypidesa Penteusz drwi z Dionizosa.

Rozgniewany bóg zwabia go na wierzchołek góry, gdzie zostaje rozdarty na strzępy przez niewiasty, a następnie zjedzony. Później matka zabiera jego głowę do pałacu, jak piłkę.

– Pomyślałem o innej sentencji – rzekł Dionizjos. – „Tyrani są mądrzy, kiedy się otaczają ludźmi mądrymi”.

Musiła to być jego ulubiona maksyma, ponieważ cały się rozpromienił. Chciałem przytoczyć mu słowa o czerpaniu rady od poetów, ale postanowiłem tego nie robić.

– Jesteś mądrym człowiekiem, powiedz więc, czy byłoby rzeczą dobrą zatrzymanie cię na moim dworze?

Uśmiech zadowolenia.

Był sprytniejszy, niż sądziłem, i zdawał sobie z tego sprawę – jak bóg w sztuce Eurypidesa, który daje królowi Penteszowi linę, żeby biedak się na niej powiesił.

– Sokrates był mądrzejszy ode mnie – odparłem ostrożnie. – Mawiał jednak, że jest mądry tylko dlatego, że wie, jak znikoma jest jego wiedza.

Dionizjos zmarszczył brwi.

– Powiadasz, że nie jesteś mądry?

Wyraźnie bawił się ze mną.

– Jeśli jesteś mądry, sam to osądź.

– Chcesz, żeby filozofowie byli królami.

– Albo królowie filozofami.

– Myślisz, że zdołasz uczynić ze mnie filozofa? – pytanie Dionizjosa otworzyło się przede mną niczym szeroka, groźna pułapka.

– Sokrates mawiał, że nigdy nikogo niczego nie nauczył. Pomagał im jedynie odnaleźć w sobie wiedzę, która tylko czekała, żeby ją wyprowadzić na światło.

– Nie obchodzi mnie Sokrates. Chcę wiedzieć, co ty sądzisz. – Dionizjos przeszedł przez salę i podniósł zwój z alkowy. Przejrzał go pobieżnie.

Istnieje sztuczka umożliwiająca szybkie czytanie, polegająca na takim poruszaniu nadgarstkiem, aby zwój przesuwiał się z jednego drążka na drugi bez zagniecenia i porwania. Dionizjos robił to z wyćwiczoną wprawą, zamiast gmerać palcami, jak to czynią ludzie nieuczeni. Powiadają, że był skrybą, zanim wziął się za politykę.

– „Człowiek, któremu zależy na sprawiedliwości i długim życiu, powinien trzymać się z dala od działalności publicznej” – przeczytał na głos.

Zwój okazał się moją rozprawą o procesie Sokratesa. Napisałem te słowa, aby strzec jego pamięci, ale teraz stały się bronią w ręku tyra.

– Nadal pragniesz trzymać się z dala od działalności publicznej?

– Moje poglądy uległy zmianie od czasu, gdy to napisałem – przyznałem.

– Jakże wygodnie.

Naciskał mnie tak, że uchodziły soki.

Wiedział o tym. Gdybym się poddał, Dionizjos rzuciłby mnie w ogień bez chwili

wahania.

– Filozofia zajmuje się życiem – zaimprovizowałem. – Polityka, handel, wojna – wszystkie są jej częścią.

Byłoby rzeczą dziwną oddzielać jedno od drugiego.

Myślę, że przejąłem tę myśl, mniej lub bardziej wiernie, od Archytasa.

Dionizjos podrapał się w brodę.

Czekałem, aby zobaczyć, czy mi uwierzy.

– Gdybym dał ci szansę stworzenia wzoru władcy, czy skorzystałbyś z niej?

A może to tylko teoria?

– Chcesz, żebym cię uczył? – Pomyślałem, że czułbym się tak, jakby zamknięto mnie w klatce z lwem.

Uczucia te musiały się objawić w zmęczonym tonie mojego głosu.

Dionizjos stracił nad sobą panowanie.

Nie wytrzymał.

– Jeśli wolisz, wyszukam ci jakieś kamieniołomy!

– Z radością nauczę cię wszystkiego, co potrafię.

– Nie chodzi o mnie.

Wiem, co wiem – komunikowała jego twarz. – Reszta może sobie iść do diabła. Nie sprowadzał filozofów i poetów, żeby się od nich uczyć, ale ich posiadać.

– Myślałem o moim synu. Może zdołasz wyprowadzić go na ludzi.

Skinałem głową. Cóż innego mogłem uczynić?

– Powiadają, że Sokrates często debatował o tym, czy cnoty i mądrości można się nauczyć. Będiesz mieć szansę, aby się o tym przekonać.

Powiem otwarcie: od powodzenia przedsięwzięcia zależy twoje życie.

Poklepał mnie po ramieniu i wyszczerzył zęby, wyraźnie rad. Może i potrafił cytować Homera oraz Eurypidesa, prowadzić wzniosłe dysputy o prawie i obyczajach, ale w tej chwili rozumiałem, że jestem w rękach psychopaty.

Co uczynił z Agatonem?

Rozdział 20

JONAH – LONDYN

Ostatnie dziesięć sekund dawnego życia upłynęło na kanapie – dziesięć sekund, podczas których jego umysł wydobywał się ze snu, odzyskując pamięć. Poczł krótki, niemal euforyczny stan nieważkości, zanim każda cząstka jego ciała dostosowała się do siły ciężenia obowiązującej w nowym świecie, do którego został wrzucony.

Później uderzyła go myśl, że Lily nie wróci.

Rozejrzał się wokół. Jego komórka leżała na podłodze obok kanapy. Portfel znalazł się na stole, karty kredytowe wysypały się na blat. Czy został okradziony? Potarł oczy i spojrzał w kierunku drzwi. Były zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem.

Czy w mieszkaniu był ktoś oprócz niego?

– Jest tam kto?! – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział. Sprawdził wszystkie pokoje. Zajrzał nawet do szaf w sypialni – na wszelki wypadek – ale i tam nikogo nie było.

Komórka na dywanie zadzwoniła z wyrzutem. Jonah namacał ekran.

Trzy wiadomości głosowe, jeden mail

– przeczytał.

Zaczął od odsłuchania wiadomości.

Wczoraj serce podeszło mu do gardła, sądził bowiem, że to Lily. Dziś prysły wszelkie nadzieje.

Julian: Mam nadzieję, że bezpiecznie dotarłeś do domu. Uważaj na siebie.

Charis: Bardzo mi przykro z powodu Lily, kochanie. Chcesz nas odwiedzić w domu na wsi w najbliższy weekend?

Richard: Cieszę się, że Lily jest bezpieczna. Zawiadomię policję.

Julian musiał powiedzieć im o wszystkim, kiedy się rozstali. Poczł narastający gniew. Był zakłopotany tym, że Julian rozsiewa plotki na jego temat.

Jeśli takie są fakty, to nie plotka – w jego głowie zabrzmiał okrutny głos.

Dla porządku przejrzał maila.

W nagłówku widniał tytuł: Potwierdzenie rezerwacji lotu.

Gdyby nadal nie był odrobinę wstawiony, od razu uznałby wiadomość jako próbę wyłudzenia, ale zamiast tego ją otworzył.

Przeczytał trzykrotnie.

Po raz pierwszy, ponieważ jego zmęczone oczy miały kłopot z odgadnięciem maleń-

kich liter, po raz drugi, ponieważ uznał, że musiał coś źle zrozumieć, i po raz trzeci, ponieważ komunikat nie miał żadnego sensu.

Z treści wynikało, że w najbliższe popołudnie ma zarezerwowany lot do Aten. Czytał i czytał, szukając haczyka – prośby o podanie danych konta bankowego lub przelanie dziesięciu tysięcy dolarów na konto agencji podróży w Nigerii. Ale niczego takiego nie znalazł.

Twoja karta o końcowych numerach xxxx-0427 została obciążona pełną kwotą, która nie podlega zwrotowi.

Podniósł jedną z kart rozsypanych na stole i przeczytał cztery ostatnie srebrne cyfry.
0427 Czyżbym kupił bilet?

Ogarnęła go panika. Rzucił telefon i skoczył na równe nogi. W chwili gdy wstał, poczuł, jakby sto ton nacisnęło mu na mózg, ponownie zwałając na kanapę.

Spojrzał na rozrzucone puszki po piwie i butelkę wódki, jakby zdołał coś wyczytać z ich ułożenia. Chciał sobie przypomnieć, ale jego czaszka była tak ciężka, że miażdżyła wszelką myśl.

Umierał z pragnienia.

Lodówka była pusta, odkręcił więc zimną wodę i napełnił szklanekę. Wypił i nalał kolejną.

Sny i wspomnienia powróciły.

Telefon dzwonił.

Biegł ciemnym tunelem, ścigany przez siłę, która by go wciągnęła, gdyby tylko się odwrócił.

Ktoś pytał: „Czy możesz przyjechać do Aten?”. Unosił się w błękitnej wodzie, wyciągał rękę w poszukiwaniu Lily, ale była zawsze poza jego zasięgiem.

Wiem, kto porwał twoją żonę.

Pewnie mu się to przyśniło. Lily nie została porwana. Uciekła i go zostawiła, przecież codziennie kończy się tak wiele związków. Kiedyś się odezwie, a wtedy zatrudnią prawników, później zaś poznają innych ludzi i będą dalej żyć.

Ale Lily z jego snów, Lily, którą poślubił, nigdy by go nie zostawiła.

Podrapał zarośnięty policzek kartą kredytową, jakby była brzytwą.

Uwierzył w sen tak mocno, że zabukował lot. Czy zrezygnować z biletu tylko dlatego, że się obudził?

Pomyślał o cytacie ze starożytnego filozofa Heraklita zasłyszonym do Adama.

Przebudzeni, widzimy nasze sny, ale gdy tylko zasypiamy, oglądamy śmierć.

Wykorzystał je nawet w swojej piosence.

Po raz drugi w życiu nie miał na świecie niczego z wyjątkiem złamanego serca i biletu do Aten. Poszedł do sypialni i wrzucił kilka rzeczy do torby.

Podczas komponowania piosenki zdarzały się chwile, gdy nagle wszystko łączyło się ze sobą. Nieudane próby i błędne nuty przeradzały się w coś żywego i prawdziwego.

W jednej chwili otaczał go chaos, w drugiej wszystko miało sens. Przez chwilę widział całość – nie każdy szczegół, ale pomysł utworu.

Po przelotnym olśnieniu następowały długie godziny mozolnych prób jego uchwycenia, to jednak wystarczyło, żeby wiedział, dokąd zmierza.

Jedną z takich chwil był niedawny telefon. Jedno słowo, które spajało wszystko razem. „Ateny”.

Lily poleciała do Aten tydzień przed swoim zniknięciem.

Adam miał biuro w Atenach i wrócił do Sibari razem z nią.

W Atenach znajdowała się główna siedziba Fundacji Eikasia.

Oczywiście gdyby się nad tym zastanowić, nie musiało to niczego oznaczać. Lily pojechała do Aten, żeby porozmawiać z ludźmi finansującymi wykopaliska, Adam wrócił, żeby zająć się sprawą zwolnienia Sandi. Żadna tajemnica. Tylko że później Lily zniknęła.

Gdyby chcieli odsunąć Lily, wręczyliby jej bilet lotniczy, pasek z wypłatą i tekst zawierający klauzulę poufności.

Szukał w złym miejscu. Kiedy meteoryt zniszczył jego świat, próbował to pojąć, spoglądając na gruzy pod stopami. A przecież powinien był patrzeć w górę. To, co wydarzyło się w Sibari, miało źródło w Atenach.

W skwarze nocy, w oparach alkoholu i emocji wydawało się to tak realne, że niemal można było tego dotknąć.

Z nadejściem chłodnego poranka, w promieniach słońca, ujrzał jednak słabość argumentów. Tyle że na zmianę było za późno.

Zaleta czasów współczesnych polega na tym, że niezależnie od tego, jak jesteś pijany, otumaniony lub oszukany, możesz błyskawicznie otrzymać to, czego pragniesz. Nawet jeśli jest to czyste szaleństwo.

Jonah wylądował w Atenach o dwudziestej czasu lokalnego. Samotny pogranicznik zbywał podróżnych machnięciem ręki, ledwie rzucając okiem na paszport. Tłum się rozproszył.

Można było odnieść wrażenie, że samolot Jonaha był jedynym, który wylądował w ostatnim czasie. Odgłos jego kroków niósł się echem po pustych korytarzach. W długiej hali odbioru bagażu kręciła się taśma, ale nie było na niej żadnych walizek.

Zostawił innych pasażerów oczekujących na bagaż i przeszedł przez odprawę celną. Zadzwoił do Adama z hali przylotów, używając numeru otrzymanego od Juliana.

– Słucham? – Dawno nie słyszał głosu Adama. Tak dawno, że zapomniał, jak bardzo go denerwował. Chłodny, twardy i czysty, pozbawiony najmniejszego akcentu lub emocji.

Telefonicznie bezcielesny, jakby istniał w jakimś czystym państwie dźwięków.

– Mówi Jonah.

Długa chwila ciszy. Rozmawianie z Adamem przypominało grę z komputerem sza-

chowym, który analizował rozwój sytuacji dwadzieścia ruchów naprzód.

– Słyszałem, że Lily się odnalazła. To dobra wiadomość.

Zatem wszyscy już wiedzą

– pomyślał.

– Przysłała esemesa, ale nie zjawiała się osobiście.

– Rozumiem – przytaknął Adam.

– Jestem w Atenach. Chciałbym z tobą pogadać.

Dłuższa chwila ciszy.

– Dobrze.

– Mógłbyś mnie przenocować?

– Oczywiście.

– Mogę przyjechać? – Gdyby rozmawiał z inną osobą, nie omieszkąby przeprosić, ale w świecie Adama nie było miejsca na przepaszanie. Wszystko ograniczało się do problemów i rozwiązań.

– Jasne.

– Gdzie mieszkasz? Wezmę taksówkę.

– Taksówkarze strajkują, pociągi są do niczego. – Problemy i rozwiązania. – Przyjadę po ciebie.

– Nie musisz...

Ale on już się rozłączył.

OKSFORD

Jonah nie przyszedł na sympozjon Adama – musiał pracować. Jeden z pracowników wziął zwolnienie chorobowe, menedżer baru kazał więc Jonahowi przejąć jego zmianę, jeśli nie chce stracić roboty. Wyszedł dopiero przed północą – było zimno, ulice opustoszały, prószył słaby śnieg. Mało brakowało, a pojechałby prosto do domu.

Chciał się jednak zobaczyć z Lily, poza tym obiecał Adamowi, że wpadnie.

Ruszył w dół St Giles', pochylając głowę w padającym śniegu i kierując się w stronę wysokich szeregowców, w których Adam mieszkał wspólnie z Richardem i Julianem.

Sądził, że przyjęcie już się skończyło.

Dom był ciemny, wszystkie zasłony zaciągnięto. Żadnej muzyki, żadnych rozmów. Wcisnął dzwonek. Usłyszał dźwięk dochodzący z wnętrza domu, ale nikt nie zareagował.

W świetle ulicznych lamp było widać padający śnieg, który zbierał się na jego szalik.

Zadzwonił i zapukał ponownie.

Próbował zadzwonić pod numer stacjonarny – w zimowej ciszy słyszał nawet dzwonek za szybami – ale nikt nie podniósł słuchawki.

Już miał przerwać połączenie, kiedy Julian odebrał.

– Słucham? Kto mówi?

– Jonah.

– Jonah? – Głos Juliana był bełkotliwy i nieprzytomny, jakby przed chwilą się obudził.

– Stoję przed domem i pokrywam się śniegiem. Mógłbyś otworzyć drzwi?

– Chyba nie powinieneś wchodzić...

– Jak to? Czy Lily tam jest?

– Ona... Chryste! – Głos Juliana odpłynął. – Zejdę na dół.

Julian otworzył drzwi. Miał na sobie jedynie spodnie khaki. Końce rozpiętego paska dyndały z obu stron, włosy były w nieładzie.

– Przyszedłeś nie w porę – powiedział piskliwym głosem. Jonah wciągnął powietrze, próbując wyczuć zapach trawki.

– Nie sądzę, żeby ona...

Jonah odepchnął go na bok i ruszył po schodach do salonu na pierwszym piętrze. W środku paliło się słabe światło, ale kiedy próbował otworzyć drzwi, okazało się, że coś je blokuje.

Musiał się precyzyjnie, żeby wejść do środka.

W pokoju cuchnęło dymem, potem i wymiocinami. Trzy pojedyncze łóżka i kanapę przykryto kocami i zestawiono w kwadrat na skraju pokoju. Wnętrze oświetlały świeczki.

Na półce z książkami tliło się kadzidełko, z sufitu zwisała skarpeta, żeby dezaktywować alarm przeciwpożarowy. Na podłodze leżała przewrócona miska z oliwkami, obok niej stało pyreksowe naczynie żaroodporne do połowy wypełnione winem, był również nóż kuchenny. Na kremowym dywanie widniały ciemne plamy. Czy to wino? A może krew?

Było zbyt ciemno, żeby to stwierdzić, ale nie mógł znaleźć włącznika światła.

W kącie pokoju stała nietknięta lira.

– Jonah? To ty, kochanie?

Charis leżała na jednym z łóżek.

Miała na sobie coś przypominającego sari, które nosiła przed rozpoczęciem studiów, ale ubiór znajdował się w pewnym nieładzie. Jonah dostrzegł ciemny sutek w miejscu, gdzie jedna z piersi wysunęła się spod szaty. Charis nie zwracała na to uwagi. Jej oczy były otwarte, ale nieruchome. Czerwona szminka rozmazała się wokół ust.

Richard siedział na przeciwległym łóżku z głową ukrytą w dłoniach, ubrany w togę, która zsunęła się z ramion.

Nawet w blasku świec jego pozbawiona włosów pierś sprawiała wrażenie kredowobiałej.

– Co się tu dzieje, do licha?

– Zaprawił czymś wino – wyjaśnił bełkotliwie Richard.

– Co?

Ciało Richarda przeszedł dreszcz, jak ciało żaby na lekcji biologii.

– Nie powiedział nam.

– Gdzie jest Lily?

– Nie powiedział nam. – Richard jęknął i ponownie ukrył twarz w dłoniach.

– Na górze – szepnęła Charis za jego plecami. – Z Adamem.

Ruszył na górę, pokonując po dwa stopnie jednocześnie.

Trzy rzędy schodów i znalazł się na samej górze.

Bez łóżka pokój Adama sprawiał wrażenie pustego. W sinym świetle lampy lawowej ujrzał Lily skuloną przy pustej ścianie. Trzymała na kolanach głowę Adama. Miała na sobie strój, który nazywała suknią Afrodyty: cienki ubiór bez rękawów, który przewiozła z Grecji. Adam był nagi.

Jej zmęczone zapłakane oczy podniosły się i spotkały z oczami Jonaha.

Zauważył zadrapanie na policzku.

– Możesz przynieść mi szklanę wody? Powinien się napić.

Jonah się nie poruszył. Kiedy jego wzrok przywyknął do ciemności, dostrzegł długie smugi na ramionach Adama, przypominające zastygłą krew.

Wcześniej ich nie zauważył, ponieważ widział jedynie Lily.

– Co...?

– To nie tak, jak myślisz – powiedziała.

Jonah wybiegł.

Później żadne o tym nie wspomniało, przynajmniej nie zrobili tego w obecności Jonaha. Cechą ambitnych, dynamicznych mieszkańców Oksfordu i Cambridge jest wybiórcza pamięć.

Byli brutalnie dobrzy w tej dziedzinie, kiedy bowiem postanowiłeś wspiąć się wysoko, spoglądanie za siebie nie miało sensu, a jeśli emocjonalny bagaż zbyt mocno ci ciążył, po prostu zrzucałeś go z ramion. Jednocześnie nie można było ot tak, po prostu zerwać z przyjaciółmi.

Udawałeś zatem, że nie stało się nic złego.

Jonah nie przestał się jednak zastanawiać, co naprawdę zapamiętali.

Czterdzieści minut później przed gmach terminalu zajechało srebrne audi.

Jonah przywołał obraz Adama studenta, próbując dopasować go do mężczyzny, który przed nim stał. Zgolił długie czarne włosy. Ludzie, którzy go nie znali, zastanawiali się, czy nie choruje na raka, ale według wiedzy Jonaha ogolenie głowy nie miało przyczyn medycznych.

Po prostu pewnego dnia Adam zgolił włosy tak, jak zrzucił dziesięć kilogramów – jakby chciał sprowadzić jakąś teorię do jej najprostszej formy. Richard nazywał to brzytwą Ockhama.

Musieli mu wytłumaczyć, o co chodzi.

Nie zmienił jednak swojego stylu ubierania. Wsiadł z wozu w obcisłym czarnym T-shircie z serkiem, luźnych czarnych spodniach worach i czarnych butach. Jego oczy także się nie zmieniły – może stały się jeszcze bardziej takie, jakie były kiedyś. Brak włosów i tłuszczu powodował, że nie można było przed nimi uciec. Szare i wodniste analizowały świat z wyniszczającą intensywnością.

Zobaczył Jonaha i wysiadł z samochodu. Poruszał się z gracją, jak tancerz. Jonah znał ludzi, którzy byli przekonani, że Adam jest gejem.

Jego uścisk dłoni był silny i lodowaty.

– Zjawieś się prawie bez uprzedzenia.

– Julian mnie upił. Uznałem, że przyjazd do Aten to dobry pomysł.

Adam przyjął jego słowa bez głębszego zastanowienia.

– Tutaj jej nie ma.

Powiedział to tak nieoczekiwanie, że Jonah potrzebował chwili, aby zrozumieć.

– Wiesz, gdzie jest? – zapytał, uznał to bowiem za logiczną reakcję.

– Nie. Nie jesteś jedynym, który się o nią martwi.

Wskazał rzeczy Jonaha.

– To cały twój bagaż?

Lily powiedziała mu kiedyś, że lotnisko w Atenach znajduje się niedaleko miejsca bitwy pod Maratonem, gdzie dziewięć tysięcy ateńskich żołnierzy powstrzymało napór całego imperium perskiego. Po bitwie Filippides pobiegł do miasta, aby oznajmić dobre nowiny.

Dystans wynosił około czterdziestu kilometrów, on zaś brał udział w walce.

Zmarł, gdy tylko dobiegł do Aten. Nikt nie odnotował, w jakim czasie pokonał dystans.

Widać duch Filippidesa udzielił się Adamowi, ponieważ na ekranie cyfrowego prędkościomierza utrzymywało się sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, gdy prowadził wóz pustą autostradą. Jonah pomyślał, że policja drogowa także strajkuje.

Obserwował śmigające znaki drogowe i dziwne nazwy zapisane w dziwnym alfabecie. Były to te same litery i był to ten sam język, w którym ktoś wyrył tekst na złotej tabliczce dwa i pół tysiąca lat temu.

Adam milczał, Jonah od razu przeszedł więc do sedna.

– Lily przyjechała do Aten tydzień temu, żeby się z tobą spotkać.

Adam skinął głową, nie odrywając wzroku od tunelu ulicznych świateł.

– Chciała pogadać o złotej tabliczce orfickiej, którą odkopali.

– Powiedziała ci o tym?

– Sam się dowiedziałem.

Adam nie zapytał, w jaki sposób, nie wspomniał również o zobowiązaniu do zachowania tajemnicy. Zobowiązanie nie osiągnęło swojego celu, było więc tak, jakby nigdy

nie istniało.

– Później wróciliście od Sibari i zwolniłeś Sandi McConn, konserwatorkę. Dlaczego?

– To nieistotne.

Prędkość na liczniku zmalała do stu siedemdziesięciu dziewięciu, aby chwilę później powrócić do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Jestem odmiennego zdania. Chciałeś coś zrobić z tą tabliczką. Sandi McConn tego nie aprobowała, pomyślałeś więc, że Lily także się nie zgodzi. Był wtorek.

W piątek obie zniknęły z miejsca wykopalisk.

– To hipoteza robocza. – Adam minął stare bmw wlekące się prawym pasem.

– Wiesz, na czym polega słabość hipotez? Bardzo trudno je udowodnić.

Możesz zgromadzić wszystkie dowody na świecie, ale wystarczy znaleźć jeden fakt, który wyklucza daną hipotezę, i nadaje się ona do kosza.

– Mam rację, prawda?

– Jeśli fundacja pragnęła ukryć tabliczkę – ciągnął Adam, jakby Jonah nic nie powiedział – zakładając, że Lily tego nie chciała, co również nie jest prawdą, dlaczego sama ją ukradła?

– Nie zrobiła tego.

Czy rzeczywiście? – zapytał sam siebie. – A może trzymasz się kurczowo własnej wersji, choć nie jest prawdziwa?

Zjechali z autostrady w labirynt wąskich uliczek z gęsto zaparkowanymi samochodami. Jonah chwycił się fotela, gotowy na uderzenie, Adam jednak spokojnie pilotował wóz, mknąc przez mgławicę asteroidów złożoną z motocykli, pieszych i innych kierowców.

– Pomyśleć, że nazywają to miejsce kolebką cywilizacji – mruknął do siebie Jonah.

– W Państwie Platon skarży się na wielki ruch w mieście. Nic się nie zmieniło.

Zaparkowali w podziemnym garażu i pojechali do mieszkania na górze.

Gdyby Adama odwiedził autor pisujący dla magazynu poświęconego stylowi życia – co wydawało się mało prawdopodobne

– określiłby jego mieszkanie jako minimalistyczne.

Spartanie ze starożytnej Grecji uznaliby je za funkcjonalne, ale słowem, które przyszło do głowy Jonahowi, było „puste”. Meble były białe i niskie, zaprojektowane tak, żeby nikiły w przestrzeni. Stół wykonano ze szkła, krzesła – z cienkiej stali. Nawet ściany były przezroczyste, a z sięgających od podłogi do sufitu okien otwierał się panoramiczny widok miasta.

Na wchodzie było widać złotą tarczę księżyca wynurzającą się zza zalanego światłem Akropolu.

– Pewnie jesteś głodny – powiedział Adam. Wyjął kluski i warzywa z białego kredensu i zaczął je podgrzewać na patelni. Kosmyk dymu sunął przed siebie niczym woń

jakiegoś egzotycznego wina.

Jonah rozejrzał się po mieszkaniu, ale było tam niewiele do oglądania.

Apartament Adama był jednym wielkim pokojem na ostatnim piętrze budynku, jeśli nie liczyć urządzonej w rogu łazienki.

Funkcję sypialni pełnił japoński materac futon zaścielony świeżymi białymi prześcieradłami, rolę salonu odgrywała kanapa. W rzędzie szafek sięgających kolan znajdowały się pewnie zapasy czarnej odzieży na całe życie.

Jonah zatrzymał się przed dużym malowidłem umieszczonym na ścianie łazienki, które lśniło niczym planeta w surowej przestrzeni. W centrum obrazu znajdowała się dalia, choć była prawie niewidoczna pod mocnymi pociągnięciami świecowej kredki, jakby jakiś dwulatek próbował ją zamalować.

Poniżej widniały karmazynowa plama krwi i ledwie widoczne, sprane litery układające się w słowo WENUS. Był to jedyny kolor – jedyna dekoracja w całym mieszkaniu, do tego tak żywa, że Jonah poczuł się niewygodnie.

– To Cy Twombly – wyjaśnił Adam, umieszczając podsmażone jedzenie na białym talerzu i stawiając go na stole.

Dla siebie nie nałożył niczego. Usiadł po drugiej stronie i obserwował jedzącego Jonahaa.

– Dlaczego nie zadałeś najbardziej oczywistego pytania?

– Jakiego? – zapytał Jonah z ustami pełnymi klusek.

– Czy miałem romans z Lily? Czy nie opuściła wykopalisk w Sibiri i nie przyjechała do Aten, żeby ze mną być?

– Ponieważ wiem, że to nieprawda. – Próbował sobie przypomnieć, co Adam powiedział wcześniej. – Nie jest to bowiem „uzasadniona hipoteza robocza”.

– Rzeczywiście – przytaknął Adam. – Ale nie możesz dowieść jej fałszywości.

Czy to cię nie niepokoi?

– Wiem, że mam rację.

– Pomyślałem, że chciałeś użyć słowa „aksjomat”.

Jonah pochylił się nad talerzem i wciągnął kluskę.

– Co słyszać w pracy? – zapytał.

– W porządku.

– Sandi powiedziała, że jesteś dyrektorem programowym fundacji.

Dyrektor – to brzmi dumnie.

– To tylko tytuł.

Zapadła cisza.

– A co z kapelą?

– Niedawno zakończyliśmy trasę koncertową. Być może ostatnią.

– Przykro to słyszeć.

Jonah wzruszył ramionami.

– Wszystko co dobre kiedyś się kończy. – Usłyszał swoje słowa i się skrzywił. Nie wszystko – powiedział sobie. – Niektóre rzeczy powinny być wieczne.

Dokończył posiłek. Adam zaniósł talerz do kuchni i umył go w lśniącym porcelanowym zlewie.

– Możesz spać na łóżku. Zdrzemnę się na kanapie. Mam trochę roboty przed snem.

Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, zanim zamknął oczy, było to, jak Adam siada na kanapie z laptopem. Jego bezcielesna głowa unosiła się nad sinym ekranem jak głowa tonącego.

Kiedy się obudził, na kanapie nie było nikogo. Adam zniknął. W surowym mieszkaniu czuł się jak rozbitek wyrzucony na bezludną wyspę. Jedynymi dowodami wskazującymi, że jest inaczej – jak odcisk stopy na piasku – był szum pary dochodzący z łazienki i lekkie grzechotanie pokrywy rondla stojącego na płycie grzejnej.

Na kuchennym blacie, obok rondla z gotującą się wodą, leżało białe jajko.

Jonah włożył je do wody, nastawił minutnik i zaczął podziwiać wschód słońca nad Atenami.

Dwie minuty później Adam wyszedł spod prysznica. Jego wychudzone nagie ciało sprawiło, że Jonah ponownie przywołał plotki o chorobie. Adam bez skrupowania podszedł do białej szafki i wyjął czarne spodnie od garnituru, czarną koszulę oraz parę czarnych mokasynów.

– Jakie masz plany na dziś? – zapytał, kiedy minutnik zadzwonił.

– Rozejrzę się po mieście. – W gruncie rzeczy Jonah nie miał pojęcia, co robi. Po upływie dwunastu godzin przyjazd do Aten zaczął się wydawać kapryśną fantazją, wybrzmiewającymi dźwiękami piosenki, która dobiegła końca.

– Uważaj na siebie. Ateny zrobiły się ostatnio bardzo niebezpieczne.

Komuniści i anarchiści, faszyci i demonstranci. Policja jest niemal równie zła jak oni. Trzymaj się z daleka od gmachu parlamentu na placu Konstytucji. Najwięcej tam gazów łzawiących.

– Jesteś lepszy od TripAdvisora.

W oksfordzkim żargonie Adam uzyskał „podwójną jedynkę” z fizyki i filozofii. Po zrobieniu dyplomu zaczął pisać doktorat na Wydziale Informatyki.

Z nieznanых przyczyn nie uzyskał tytułu, ale studia wywarły trwałe wpływy na sposób jego wysławiania się. Można było odnieść wrażenie, że każde jego zdanie składa się z zer i jedynek, każde słowo znaczy dokładnie tyle, ile zaprogramowano. Z drugiej strony może zawsze mówił w taki sposób.

Podał Jonahowi okrągłą formę ceramiczną.

– Masz ostrakon – wyjaśnił, ale Jonah nie miał pojęcia, co to oznacza. – Pomachaj nim przed drzwiami, kiedy będziesz chciał wejść do środka. Wróć około dwudziestej pierwszej.

Przenocujesz tu dzisiaj?

Jonah nie wyczuł żadnego podtekstu w jego słowach. Żadnego znaku, który wskazywałby, że Adam chce się go pozbyć, ani żadnej sugestii, która świadczyłaby, że tego pragnie. Po prostu zwykła prośba o informację.

- Jeśli to możliwe.
- Oczywiście. Uważaj na siebie w mieście.

Trzy minuty po opuszczeniu budynku odezwała się jego komórka.

Rozdział 21

Nie wolno wpadać w panikę na wieść o przybyciu tyrana i jego ludzi, ale wystawać na rogu ulic i bacznie obserwować, zamiast wydawać pochopny osąd.

Platon, *Państwo*

Kiedy strażnicy rozkuli mi kajdany, myślałem, że skonam. Bez tego żelastwa czułem się pozbawiony ciężaru, jakby moja dusza oddzieliła się od ciała.

Gdybym jednak rzeczywiście zaczął odpływać, strażę z pewnością by mnie powstrzymały.

Wyprowadzili mnie z sali i powiedli korytarzem, później zaś szerokim dziedzińcem. Po raz pierwszy od pojmania ujrzałem gwiazdy. Po drugiej stronie dziedzińca znajdowały się kolejne drzwi prowadzące do pomieszczeń koszarowych.

Rzędem schodów udaliśmy się na górę, do małej izby o nagich ścianach, w której były łoże i okno.

Kiedy strażnicy wyszli, usiadłem na drewnianym łóżu i ukryłem twarz w dłoniach. Moje ciało przechodziły gwałtowne dreszcze – czułem się tak, jakby przez okno wdarło się do środka morze, rycząc w moich uszach. Nie usłyszałem, kiedy się otwierają.

– Wiedziałem, że cię tu zobaczę!

Jego triumfalny okrzyk wydawał się niestosowny, podobnie jak głos, choć nie wiedziałem dlaczego. Wydawał się fałszywy, jakby ktoś uderzył niewłaściwą strunę liry, tak że nawet głuchy by się zmiarkował.

Eufemos stał na progu, odziany w obszytą złotem szatę.

Jego zadowolony uśmiech zniknął, kiedy ujrzał mój spuchnięty kark, siniaki, podartą tunikę i błoto zaschłe na ciele.

– Co ci się stało, na bogów?

– To robota twojego mecenasa. – Podczas rozmowy z Dionizjosem mój głos wydawał się należeć do kogoś innego

– osobnika niezłomnego i pewnego siebie – teraz jednak pasował bardziej do umierającego.

– Jak...?

– Pojmali mnie na górze, u wrót Regium.

Pojmali i uwięzili w kamieniołomach.

Patrzyłem, jak to do niego dociera – obserwowałem grymasy człowieka przystosowującego się do nowej rzeczywistości.

W końcu jednak powrócił do dawnego przekonania o własnej nieomyślności.

– Mówiłem ci, żebyś tego nie robił. – Pauza. – Odnalazłeś Agatona?

– Dionizjos powiedział, że Agaton był tutaj.

Eufemos spojrzał na mnie wyraźnie zdumiony.

– Jestem tu od tygodnia, ale go nie widziałem. O tobie jednak również nie miałem pojęcia, dopóki mi nie powiedzieli. Przed chwilą... – Mówił cicho, jakby działo się w nim coś doniosłego, ale po chwili na powrót stał się sobą. – Okropnie wyglądasz.

Nie miałem siły. Podążyłem za Eufemosem jak owca, ten zaś wskazał mi łaźnię i gorącą wodę, oliwę i świeże odzienie. Nikt nas nie zatrzymał, mogliśmy się poruszać bez przeszkód po całym pałacu. Nie minęła godzina, a niemal przypominałem człowieka.

Eufemos pomógł mi się położyć.

– Jesteś głodny?

Pokręciłem głową. Pewnie byłem głodny jak wilk, ale mój żołądek jeszcze nie doszedł do siebie.

– Przyniosę ci chleb i mleko, gdybyś poczuł głód w nocy.

– Zostań – rzekłem. Po długim czasie spędzonym w więzieniu nie byłem jeszcze gotów zostać sam.

Eufemos usiadł na parapecie okna i zgasił lampę.

Kiedy się obudziłem następnego ranka, Eufemos zniknął. Na parapecie stała miednica z zimną wodą. Obmyłem twarz i spojrzałem w dół na morze uderzające o skały spienionymi falami. Tą drogą nie zdołałem uciec. Gdy jednak pchnąłem drzwi, otwarły się bez trudu.

– Już wstałeś?

Na progu stał rosły strażnik w takiej pozie, jakby chciał zapukać. Posłał mi nieprzyjemny uśmiech.

– Pora na pierwszą lekcję.

Na placu apelowym, w cieniu ogromnego kamiennego lwa, ćwiczyli ludzie Dionizjosa odziani w czerwone tuniki. Przez szczęk broni i stukot kijów usłyszałem szmer nieznanymi języków.

Usłyszałem nawet grekę.

– Barwna gromadka – zauważyłem.

– Dionizjos najmuje najlepszych – odrzekł dowódca.

Wzruszyłem ramionami.

– To niewolnicy?

– Już nie.

Nie akceptuję niewolnictwa, ale dawanie niewolnikom wolności i broni, żeby tyranizowali społeczeństwo, któremu niegdyś służyli, nie wydaje mi się postępem. Oczy-

wiecie jeśli pominąć punkt widzenia samych niewolników.

Wspięliśmy się po schodach do ogrodu na górze. W oddali ujrzałem kręte stopnie przypominające rzędy pustego teatru. Siedział na nich otyły chłopak ubrany w grubą purpurową szatę, zbyt ciężką na tak ciepły dzień.

Młodzieniec podjadał migdały z misy.

– To Dionizjos, syn Dionizjosa – wyjaśnił strażnik.

Zwykle tyrani nadają synom własne imię. Wiedziałem o tej słabości, ale spoglądając na chłopca, zwątpiłem, czy ojciec lubi w nim coś oprócz imienia.

W ósmym roku życia przypominał on tandetną podróbkę ojca, jak gliniana kopia rzeźby Fidiasza, którą można kupić w Olimpii. Lichy materiał sprawia, że linie stają się miękkie, zamazuje się charakter i cel oryginału.

Spojrzał na mnie nieprzytomnie i chłodno przywitał. Mimo tego, kim był, poczułem doń odrobinę sympatii. Obaj byliśmy więźniami tego samego człowieka, choć tylko jeden miał jakąkolwiek szansę na ucieczkę.

– Władca kazał dać ci wszystko, czego będziesz potrzebować. Księgi, tabliczki, rylce... – Strażnik spojrzał na mnie, oczekując jakiejś wskazówki.

Kiedy nasze oczy się spotkały, zdałem sobie sprawę, że żaden z nas nie ma pojęcia, czego należy uczyć ośmiolatka.

Co mam zrobić?

Dopiero poniewczasie zrozumiałem okrutne piękno gry prowadzonej przez Dionizjosa. Jak bóg, od którego wzięł swoje miano, musiał tylko kiwnąć palcem. Podał mi tyle sznura, ile potrzebowałem.

– Przynies dwie tabliczki i rylce – rzekłem strażnikowi. – I kilka ksiąg. – Odwróciłem się do chłopca. – Co czytasz?

Spojrzał na mnie pustym, nierozumiejącym wzrokiem.

– Jaką księgę dał ci do czytania ostatni nauczyciel?

– Iliadę.

Poczułem przypływ nadziei.

– Czytaliście Homera?

– Opowiadał mi różne historie.

– Umiesz czytać?

Utkwił wzrok w ziemi.

– Trochę.

– Czy masz nauczyciela gramatyki, który cię uczy czytania? Nauczyciela muzyki, gimnastyki i tak dalej?

Odpowiedział ponurym skinieniem głowy. Nie zazdrościłem biedakowi, który musiał go uczyć gimnastyki.

– W takim razie skupię się na twoim moralnym kształceniu.

Doleciał mnie stukot kroków. Strażnik wrócił z tabliczkami. Położył je na stopniach

i oparł się o ścianę z kpiącym uśmiechem.

Pomyślałem, że nigdy nie zdołam uformować charakteru chłopca, jeśli ten brutal będzie mi zaglądać przez ramię.

– Czy możesz zostawić nas samych?

Udał, że jest przerażony.

– Ciebie z nim? Samego z synem władcy?

– Tak, grozi mu jedynie to, że zostanie zanudzony na śmierć.

Głęboko rozważył moją groźbę. Nie powinienem był sięgać po ironię.

– Uważaj – ostrzegł mnie poważnie i odszedł niespiesznym krokiem.

– Świetnie – rzekłem, zwracając się do mojego nowego ucznia. – Od czego zaczniemy?

– Lubiłem słuchać opowieści Homera

– odparł młokos z nadzieją w głosie. – Były bardzo interesujące.

– Nie wątpię.

Grecy to lud żyjący w rozproszeniu – podzielony przez dialekty i bogów, morza i góry, potrawy i politykę. Jedyną rzeczą, która nas łączy, są dwa utwory ułożone przez jednego człowieka z zamierzchłej, mitycznej przeszłości.

Nie zaprzeczam, że to wspaniałe opowieści i mistrzowska poezja, ale dobór zadufanych herosów i pomniejszych bóstw pozostawia wiele do życzenia, jeśli chce się z nich uczynić podstawę jakiegokolwiek cywilizacji opartej na cnocie.

Nie chciałem jednak źle zacząć z moim nowym uczniem, zapytałem więc:

– Jakich opowieści się nauczyłeś?

Podniósł się, naprężył pierś i wyrecytował: Kości chrupnęły, zanim opadł miecz, Jęczący bohater legł w pyle i krwi.

Oczy potoczyły się na brzeg, tryskając posoką, Wypchnięte z upiornych oczodołów.

Dziki Atryda obrócił krwawiącego, Wyrwał mu ramiona i radośnie zakrzyknął...

– Dość, wystarczy! – Machnąłem ręką. – Kto cię tego nauczył, na niebiosy?!

Chłopak zrobił ponurą minę i wskazał kogoś za moimi plecami. Na dziedzińcu rozległy się szybkie kroki zmierzające w naszą stronę. Odwróciłem się i ujrzałem Eufemosa. Nadal miał na sobie tę absurdalnie strojną szatę.

– Widzę, że się przebrałeś – wysapał naburmuszony, zanim zdążyłem coś rzec.

– Przepraszam?

– „Nienawidzę tyranów, za dobry jestem do polityki”. Tylko spójrz na siebie. Sądziłem, że jesteś człowiekiem z zasadami.

– Co? – Eufemos zachowywał się tak, jakby zapomniał o ostatniej nocy.

Pewnie czyste szaty i kąpiel wystarczyły, żeby zapomniał, jakim byłem nieszczęśliwym.

Ostatecznie rzeczywistością było dla niego to, co widział lub czego postanowił nie dostrzegać.

- Przecież nie wierzysz w żadne zasady – przypomniałem.
- Bardzo sprytnie, zaiste.
- Co złego uczyniłem?
- Zabrałeś mi robotę.
- Twoją robotę?

Eufemos wskazał chłopca, który usiadł i obserwował nas zza misy z migdałami.

- To ja miałem go uczyć!

Gdyby nie był tak jawnie rozsierdzony, byłbym się roześmiał.

- Dionizjos wyciągnął mnie z kamieniołomów, nie dał żadnego wyboru.
- Nie pamiętasz, coś prawił o daniu odporu tyranii? Czy była to czcza gadanina?

Spojrzałem nerwowo na chłopaka.

Sprawiał wrażenie rozbawionego.

- Sam rzekłeś, żebym się zaangażował. Twoja siła przekonywania jest powszechnie znana.

W zasadzie chciałem mu schlebić, ale w moim tonie mogła się kryć słaba nutka sarkazmu, ponieważ Eufemos jej nie przeoczył.

- Jesteś złośliwcem i obłudnikiem.

To ci nie przystoi...

- Nie chciałem...
- Sądziłem, że jesteś lepszy. – Odwrócił się, żeby odejść, ale nagle sobie o czymś przypomniał. – Życzę szczęścia. Będzie ci potrzebne, jeśli masz go uczyć. – Posłał chłopcu jadowite spojrzenie.

- Obaj zasłużyliście na swój los.

Sięgnąłem po jedną z tabliczek i napisałem coś na pokaz, próbując nad sobą zapanować.

- Kłopot z poezją – wyjaśniłem chłopcu, kiedy Eufemos się oddalił – polega na tym, że poeci podlewają rzeczy, które powinny uschnąć. Cała ich sztuka polega na ukazaniu bohaterów w stanie największego wzburzenia i sprawieniu, żebyśmy poczuli to samo co oni. Oczywiście nie należy ulegać emocjom.

Powinniśmy nad nimi panować.

Kolejne puste spojrzenie.

Zapanowanie nad uczuciami tego młokosa nie wydawało się problemem.

- Chodźmy do biblioteki! Poszukamy czegoś bardziej stosownego.
- „Pewnego dnia miejska mysz wybrała się na wieś, żeby odwiedzić kuzyna.

Kuzyn ten był wieśniakiem, prostym gryzoniem, ale lubił swojego krewniaka mieszczucha i zaprosił go do siebie. Nie miał wiele jadła – tylko sól, oliwę i chleb – ale chętnie je ofiarował”.

Podniosłem głowę, żeby sprawdzić, czy chłopak słucha. Trudno to było rozstrzygnąć, czy miał jednak otwarte.

– Bajki Ezopa zawierają wiele chwalebnych nauk
– zachęciłem młodzieńca. – Sokrates rozmyślał o nich w ostatnich dniach swojego życia. Do końca przewrotny, nadał im formę wierszowaną. Myślę, że była to jedyna rzecz, którą w życiu napisał.

Staliśmy w bibliotece Dionizjosa przed szerokimi oknami wychodzącymi na morze. Półki wokół nas były wypełnione zwojami, upchane niczym ładownia statku amforami. Lękałem się pomyśleć, gdzie i jakim sposobem Dionizjos je zdobył, ale wśród tych wszystkich dzieł leżała księga, którą Agaton pragnął nabyć od Timajosa – Krater, jak ją nazwał – księga warta sto drachm, zawierająca pitagorejskie tajemnice. Korciło mnie, żeby ją przejrzeć, ale czujny bibliotekarz i dwóch strażników przy drzwiach odwiedli mnie chwilowo od tego zamiaru.

Zamiast niej sięgnąłem po Ezopa.

„Mysz z miasta wzgardziła prostym jadłem, które jej podano.

– Jak możesz jeść to paskudztwo – prychnęła.
– Na wsi nie ma nic innego – odparł kuzyn przepraszającym tonem.
– W takim razie chodź ze mną. Pokażę ci, jak żyć. Po tygodniu spędzonym w mieście będziesz się dziwić, jak mogłeś wegetować na wsi.

Myszy wyruszyły w drogę i późnym wieczorem dotarły do domu kuzyna z miasta.

– Umieram z głodu – oznajmiła wiejska mysz.

Powiedziawszy to, zaprowadziła kuzyna do wielkiej jadalni pełnej ciast, dżemów i wina. Wiejska mysz zjadła tyle, że się rozchorowała, nie nawykła bowiem do tak obfitej strawy.

Nagle usłyszeli przerażający pomruk.

– Co to takiego – zapytała wiejska mysz.
– Nie przejmuj się, to tylko koty – odparł kuzyn z ustami pełnymi jadła.
– Tylko? – pisnęła wiejska mysz.

Nagle drzwi się otwały i do izby wpadły dwa ogromne kocury. Myszy musiały uciekać, żeby ratować życie, i w ostatniej chwili przecisnęły się przez dziurę w podłodze, umykając kocim pazurom.

Wiejska mysz czmychnęła do drzwi.

– Żegnaj, kuzynie! – zawołała.
– Już wychodzisz?
– zapytał krewniak. – A co z ciastami?

Wiejska mysz pokręciła głową.

– Wolę jeść w spokoju sól i chleb niż ciasto i wino w strachu”.

Odłożyłem zwój.

– Jaką naukę autor chciał nam przekazać? Co sądzisz?

Chłopak pokręcił głową, że nie wie.

– Która z myszy okazała się szlachetniejsza?

Młokos pomyślał chwilę.

– Mysz z miasta.

– Dlaczego?

– Była dzielniejsza. Ta druga uciekła.

– Ach! – westchnąłem. – Rozumiem, dlaczego jesteś tego zdania, ale choć mysz ze wsi czmychnęła, uczyniła to, co słuszne. Cnotliwe postępowanie nie jest bezmyślnym odruchem.

Oznacza podjęcie właściwego działania w zależności od tego, czy o daną rzecz należy zabiegać czy też jej unikać.

Młody Dionizjos nie zrozumiał.

– Czy odwaga nie jest cnotą?

– Jest.

– A tchórzostwo nie zalicza się do cnót?

– Masz rację, ale...

– Mysz z miasta była zatem myszą cnotliwą.

– Myślę, że należy odczytać tę bajkę alegorycznie – rzekłem pospiesznie. – Nie chodzi o myszy, ale o społeczność, w której żyjemy.

Miasto to społeczeństwo opływające w luksusy, ale jego mieszkańcy lękają się o życie.

Rozejrzałem się po izbie, zatrzymując wzrok na strażnikach pilnujących drzwi w nadziei, że chłopak zrozumie.

– Wieś może się wydać prosta i niecywilizowana, mają tam jednak największy luksus – wolność od lęku.

– Przecież w mieście były ciasta i dzemy...

– To rzeczy ulotne – wyjaśniłem. – Przez chwilę dobrze smakują, ale nie mają trwałej wartości. – Zauważyłem, że mi nie uwierzył. Nic dziwnego, był bowiem krągły niczym balon. – Zdrowe wiejskie jadło jest bardziej pożywne.

– Chleb i oliwa! Co za nuda!

Starłem się nie stracić cierpliwości.

– W bajce Ezopa nie chodzi o jadło.

Jej tematem jest cnota. Jeśli chcesz mieć wiernych przyjaciół i poddanych, powinienes sprawować całkowitą władzę nad swoimi pragnieniami.

W przeciwnym razie jak będą mogli ci zaufać?

Młody człowiek w dalszym ciągu sprawiał wrażenie zagubionego.

Postanowiłem przedstawić sprawę w taki sposób, żeby zdołał ją pojąć.

– Czy gdybyś był myszą, nie wolałbyś mieszkać tam, gdzie nie musiałbyś się martwić, że zjedzą cię koty?

Młodzieniec podrapał się w ucho.

– Nie, przecież to ja byłbym kotem!

Drzwi się otwarły i do izby wpadł ciepły powiew.

Twarz chłopca pojaśniała i dopiero teraz dostrzegłem podobieństwo ojca. Przeciśnął się obok mnie, przebiegł izbę i rzucił w ramiona nowego przybysza.

– Dionie!

Nieznajomy miał około dwudziestu lat, był wysoki i silny, o zmierzwionych włosach i poważnej twarzy. Niezależnie od stopnia pokrewieństwa z Dionizjosem bardziej przypominał tyrana od jego słabowitego synalka. To samo zadufanie, ta sama pewność siebie.

Dionizjosa otaczała jednak groźna, mroczna aura, Diona zaś – złocista poświata.

– Musisz być nowym nauczycielem – powitał mnie. – Jestem jego kuzynem, Dionem. Jego matka to moja siostra.

Szwagier tyrana. Nawet to jednak nie ostudziło ciepłych uczuć, które do niego poczułem. Wszystko, co się porusza, wytwarza muzykę

– powiedział Archytas. Musi to dotyczyć także ludzi.

Nie słyszymy tej muzyki uszami, ale wyczuwamy rezonans, gdy się do nich zbliżamy.

Muzyka towarzysząca Dionowi cechowała się doskonałą harmonią, roziskrzoną melodią, u której podstaw leżała głęboka powaga.

– Powiedziano mi, że znałeś Sokratesa – rzekł.

Pewnie wyryją te słowa na moim grobie.

– Może nadejdzie dzień, kiedy będę znany z czegoś innego.

Twarz Diona rozpromieniła się tak słonecznym uśmiechem, że moja odpowiedź zabrzmiała cierpko.

– Mam nadzieję, że wyuczysz mojego siostrzeńca na wielkiego władcę.

Przytaknąłem, siląc się na uśmiech.

Jeśli Dion dostrzegł mój brak entuzjazmu, nic nie rzekł. Zmierzwił chłopakowi włosy i powiedział:

– Idź, pobiegaj sobie.

Chłopak czmychnął drzwiami, a jego śladem podążyli strażnicy. Dion złożył zwój z bajkami Ezopa i umieścił go na półce.

– Pozwól, że oprowadzę cię po mieście.

Podam wam garść podstawowych informacji, gdyż być może kiedyś znajdziecie się w Syrakuzach, wtedy łatwiej zorientujecie się w terenie.

Syrakuzy to ogromne miasto położone na zboczach wapiennego urwiska, które opada do dwóch zatok oddzielonych skrawkiem lądu. Wyspa ta, niski garb przypominający skorupę żółwia, zwie się Ortygią. Kiedyś znajdowały się tam stocznie i składy. Kiedy Dionizjos obalił demokrację, tam właśnie się udał.

Otoczył murami zbocza i zamienił magazyny w piwnice nowej twierdzy, którą pobudował. W trzech miejscach przeciął wyspę murami, na mostach kazał postawić bramy. Ponieważ bał się chodzić do agory, między ludzi, zbudował nowy rynek w najwyższym

punkcie wyspy, z dwiema wspaniałymi świątyniami poświęconymi Atenie i Bogini.

Właśnie tam zabrał mnie Dion.

Świątynię Bogini odnawiano, była więc otoczona rusztowaniem. Wspięliśmy się po nim na sam szczyt, między bogów, i stanęliśmy na małym balkonie stanowiącym element trójkątnego zwieńczenia. W promieniach słońca złożona tarcza Ateny z sąsiedniej świątyni lśniła niczym ogniste oko.

Pewnie było ją widać w Grecji.

– Co o tym sądzisz? – spytał Dion.

Z balkonu roztaczał się widok na całe miasto: drogę na grobli z masywnymi bramami i mostami zwodzonymi, okręty wojenne stojące na kotwicy i kupieckie nawy w większej, południowej zatoce.

W oddali, ponad miastem, ujrzałem zbocze, z którego wydobyto kamień do wszystkich budowli Dionizjosa.

Czterdziestu dwóch więźniów (mniej więcej) siedziało tam w jaskini, czekając na swój los.

– Widok jest imponujący

– odrzekłem.

Wszystko było piękne, z wyjątkiem jednej rzeczy. Dionizjos zbudował swoje doskonałe miasto na Ortygii, ale nie zaufał ludziom aż tak, żeby mogli w nim zamieszkać. W Atenach, Koryncie lub Tebach na takiej wyspie biłoby serce miasta – prawnicy i prawodawcy, sofiści i nierządnicze, kupcy i domokrażcy targowaliby się ze sobą, rozprawiali i wszczynali burdy – ale w Syrakuzach miejsce to zionęło wielką pustką. Zauważyłem kilku urzędników spieszących przez plac z dokumentami i znajome strażę w czerwonych szatach pilnujące świątyni. Oprócz nich nie było nikogo.

Widać pałac nie był dostatecznie stary dla duchów.

Dion oparł się o kamienną balustradę.

– Jak ci idzie z moim kuzynem?

Próbowałem wymyślić odpowiedź, która nie uczyniłaby sytuacji niezręczną.

– Jest mniej onieśmielający od ojca.

Zrozumiał, co miałem na myśli.

– Nie można osądzać Dionizjosa według standardów obowiązujących w Atenach. Od pokoleń na Sycylii trwa wojna. Trzeba było człowieka z jego odwagą, żeby nad tym zapanować.

Puste ulice zaprzeczały jego słowom.

Dionizjos nie był człowiekiem odważnym. Odgrodził się murem od ludzi, którymi rządził, ponieważ bał się spojrzeć im w twarz.

– Ile lat pokoju mieliście od czasu, gdy Dionizjos objął rządy? – zapytałem.

– Niewiele, ale nie można go o to winić.

Zasiadł na tronie, kiedy Kartagińczycy zajmowali niemal całą Sycylię. Zawsze wra-

cali, niezależnie od tego, jak sromotnie ich pokonał.

– Ale Kartagina zawarła pokój.

W końcu.

– Tak.

– Czemu zatem jego wojska rozłożyły się obozem wokół Regium? Dlaczego każdy kolonista w południowej Italii ogląda się nerwowo przez ramię, gdy słyszy jego imię?

Nie otrzymałem odpowiedzi.

– Tyran dochodzi do władzy, powiadając, że chce wybawić państwo z kryzysu. Umarza długi i rozdaje ziemię, pragnąc być miłym i dobrym dla wszystkich. Gdy jednak kryzys minie, potrzeba kolejnego zagrożenia, które usprawiedliwiłoby dalsze sprawowanie władzy. Dlatego rozpoczyna nową wojnę.

Dion nie zaprzeczył.

– Ludzie zaczynają narzekać – ciągnąłem. – Krytyka mu zagraża, dlatego ich usuwa. W końcu trwa wojna.

Ale im więcej ludzi zgładzi, tym więcej stworzy sobie wrogów i tym większe czystki będzie musiał przeprowadzić, aż nie pozostanie nikt, kto miałby odwagę lub zdolność sprzeciwienia się jego woli.

Znajdowaliśmy się wysoko. Może myślałem, że nikt nas nie usłyszy.

A może oślepił mnie fałszywy błysk tarczy Ateny, ponieważ zapomniałem o niebezpieczeństwie, jakim było dyskusowanie o tyranii w pałacu tyrana, do tego z jego siostrzeńcem. Albo po prostu pragnąłem mu zaufać.

Dion spuścił oczy. Może nigdy nie słyszał, aby człowiek przemawiał tak otwarcie.

– Czy to twoja pierwsza wizyta w Syrakuzach? – zapytał.

– Wszędzie jest tak samo. – Jak w prawach matematycznych Archytasa, gdzie te same liczby zawsze dają ten sam wynik.

– Powiadają, że nie interesuje cię polityka.

– To prawda.

– Widzę jednak, że dużo o niej myślisz.

– Bo jej nienawidzę.

– To inna sprawa. Z tego, że o coś nie zabiegamy, nie wynika, że nam na tym nie zależy.

– Ile masz lat? – zapytałem.

– Dziewiętnaście.

– Znasz więc jedynie rządy swojego szwagra. Ja widziałem dwie strony monety. Kiedy miałem dwadzieścia trzy lata, mój wuj wpadł na podobny pomysł co Dionizjos.

Dziwna sprawa, ponieważ w tym samym roku Dionizjos objął władzę w Syrakuzach. Tyran i ja byliśmy niemal w tym samym wieku. Kiedy porównam niedoświadczonego, niepewnego siebie młodzieńca, którym wówczas byłem, z zadufanym i brutalnym dwudziestojednoletnim Dionizjosem, który dokonał przewrotu w polis, dochodzę do wnio-

sku, że równie dobrze moglibyśmy należeć do całkiem innego gatunku.

– Mój wuj nie rządził długo – podjąłem – ale tak posmakowałem tyranii, że mi wystarczy do końca życia.

Kiedy pięć lat później jego wrogowie zabili Sokratesa, wiedziałem, że świat nie nadaje się do naprawy.

Spojrzałem w morze, myśląc o odległości, która oddzielała mnie od Aten.

– Sokrates uważał za rzecz główną stronienie od działalności publicznej i kultywowanie cnoty. Za tym się opowiadał. Sofiści usprawiedliwiają pazerny egoizm po prostu schlebając systemowi. Demokraci krzyczą, aby wszystko było darmo dla wszystkich, tyrani zaś trzymają obywateli pod butem.

Świat jest zepsuty.

– Znasz rozwiązanie?

Odwrócił się i na mnie spojrzał. Jego twarz lśniła w promieniach złocistego światła odbitego od tarczy Ateny, ale głód wiedzy jeszcze silniej rozpalał jego oczy. Pragnął usłyszeć odpowiedź i sądził, że ją znam. Czy w ten sam sposób patrzyłem kiedyś na Sokratesa?

Pomyślałem, że Sokrates nigdy nie czuł się równie niezręcznie jak ja. On uwielbiał przebywać w centrum uwagi.

– Trzeba sięgnąć głębiej. Egoizm głoszony przez sofistów to nic innego jak filozofia Heraklita przeniesiona do świata ludzi. Czytałeś Heraklita?

Pokręcił głową.

– Powiada on, że w świecie nie ma nic stałego. Wszystko płynie. Gdy w to uwierzysz, egoizm nabierze doskonałego sensu, ponieważ oprócz nas nie będzie niczego, czym można by się kierować.

Po wyrazie jego twarzy odgadłem, że mnie zrozumiał.

– Musi przecież istnieć coś jeszcze.

Jakiś fundament świata na zewnątrz nas.

– Tak.

– W Tarencie mieszka mąż imieniem Archytas. Sadzi on, że tym fundamentem jest matematyka. Matematyka przeczy nauce Heraklita – dowodzi, że istnieją rzeczy stałe. Trójkąt zawsze jest trójkątem, kiedy zaś dodasz dwa do dwóch, zawsze otrzymasz cztery.

Dwukrotnie dłuższa struna zawsze daje oktawę.

– Trudno zaprzeczyć. – Nasze oczy się spotkały. Zauważył mój łamiący się głos.

– Archytas jest na właściwej drodze, ale nikt nie zmieni swojego życia rozwiązaniem równania. Muzyka może odmienić nasz nastrój, nie odmieni jednak życia. W najlepszym razie to metafora.

Przypomniałem sobie słowa Deotymy.

Albo nasze zmysły nie zostały stworzone tak, żeby zdołały docenić doskonałość,

albo doskonały świat opisywany przez matematykę nie jest naszym światem.

– Pitagorejczycy odkryli, że muzyka to matematyka przekształcona w dźwięki.

Że kryją się w niej prawdy, niezmiennie prawa. Jeśli struny są im posłuszne, powstaje harmonia. Gdybyśmy zdołali odkryć podobne prawa rządzące ludźmi, społeczeństwo osiągnęłoby stan harmonii, czego rezultatem byłaby...

– Cnota? – zasugerował Dion.

– Pięknie.

– Cóż to za prawa?

Pieśń rozbrzmiewająca w moich uszach nagle ucichła. Obłok zasłonił słońce na tarczy Ateny, a świat poszarzał.

– Jeszcze ich nie odkryłem. – Potarłem oczy. – Gdy to uczynię, może nie będzie już więcej tyranów.

– Zamierzasz uczyć tego mojego siostrzeńca? – W uśmiechu Diona mignęło ostrzeżenie. – To by dopiero była dzielność.

– Sokrates powiedział, że odwaga jest stanem, który powstaje, gdy uwolnimy się od błędnego myślenia.

W jego mniemaniu mądrość była swoistym procesem oczyszczającym, wyzbywaniem się błędu, aby w końcu dotrzeć do prawdy.

Wszystko to było pobożnym życzeniem.

Przypomniałem sobie, w jakim celu przypląnąłem do Italii.

– Przyjaciel mój przybył tutaj z Aten.

Zwie się Agaton. Widziałeś go?

Dion poruszył obłuzowany kamień w balustradzie.

– Nie zabawiał u nas długo. Chciał pieniędzy. Dionizjos nigdy by mu ich nie dał.

– Rozmowa z nim sprawiłaby ci radość. – Agaton był mu bliższy wiekiem. Wyobraziłem sobie ich obu w gimnazjonie, dzielących jedną ławę i odbywających długie przechadzki brzegiem morza. Śmieszna sprawa, myśl ta wywołała bowiem we mnie zazdrość.

– Dionizjos ot tak go wypuścił?

– Dlaczego miałby tego nie uczynić?

Nie jest potworem, który pożera każdego, kto wejdzie do jego zamku. To człowiek praktyczny, któremu zależy na osiągnięciu celów.

Kamień puścił. Dion obrócił go w dłoni, po czym rzucił w dół. Nie usłyszałem, jak uderzył o ziemię.

– Chcesz uczyć mojego siostrzeńca na podstawie bajek Ezopa? – zapytał.

– Uznałem, że to najlepsze, co mogę zrobić.

– Znasz opowieść o starym lwie i lisie?

– Czytałem Ezopa dawno temu.

– Powinieneś przeczytać go ponownie. – Wyczułem, że to dla niego ważne. – Stare-

mu lwu wypadły zęby, pazury się stępiły. Nogi także miał słabe, gdyby więc rzucił się w pogoń za zwierzyną, na pewno by mu uciekła.

Dlatego dopilnował, żeby zwierzęta usłyszały, jak bardzo osłabł, po czym zaszył się w pieczarze. Zwierzęta zaczęły doń przychodzić, jedno po drugim, aby złożyć wyrazy współczucia, lew zaś, który wcale nie był taki słaby, jak powiadał, zjadł je wszystkie.

Pewnego dnia w pieczarze zjawił się lis. Lew ujrzał jego cień obok drzwi i zapytał:

– Czemu nie wejdiesz do środka?

– Miło, że zapraszasz – odrzekł lis – ale nie skorzystam. Widziałem ślady prowadzące do pieczary, ale nie zauważyłem żadnych, które by z niej wychodziły.

Roześmiałem się.

– Dlaczego mi to powiedziałaś? Jeśli chcesz mnie ostrzec, żebym nie wchodził do pieczary lwa, już na to za późno.

Dion nie zaśmiał się razem ze mną.

– Ezop wyjaśnia morał: „Czerp przestrożę z niedoli innych”.

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, ale słońce zaświeciło ponownie, Dion zaczął się zaś oglądać przez ramię, jak człowiek, który powinien się znajdować w innym miejscu, niż jest.

– Łatwo prawić o takich sprawach w jasnych, wysokich rejonach, ale miej się na baczności, gdy zejdziesz na ziemię.

W pałacu jest wiele zakamarków, nigdy także nie wiadomo, kto nasłuchuje w cieniu.

– Nie martw się – rzekłem. – Nie jestem taki dzielny jak Sokrates.

Uśmiechnął się.

– Ale Sokrates nigdy nie opuścił Aten.

Kiedy zszedłem na dół, strażnicy zniknęli. Było to dla mnie bez różnicy, ponieważ obejrzałem fortyfikacje Ortygii. Wiedziałem, że nie zdołam uciec. Może Dion chciał mi pokazać mury i fosy?

Usiadłem na ławie. Po chwili zjawił się niewolnik, choć go nie wołałem, i zaproponował chłodną wodę. Wypiłem chciwie, rozlewając płyn na tunikę.

Nawet skryte za obłokiem słońce paliło dziedziniec, a wysokie mury zatrzymywały ciepło. Poczułem, że kręci mi się w głowie. Wczoraj o tej porze byłem więźniem, siedziałem w jaskini.

Dziś uczyłem syna tyrana.

W kamieniołomach wiedziałem przynajmniej, kto jest moim wrogiem.

– Mógłbym się przysiąc?

Moim oczom ukazał się gruby jegomość – łysy i spotniały, w ciężkiej oficjalnej szacie. Mimo tuszy poruszał się ostrożnie, jak ptak z uszkodzonym skrzydłem. Opadł na ławę, nie czekając na moją odpowiedź.

– „Ludzie winią bogów o to, co jest zasługą ich własnej głupoty” – rzekł nieoczekiwanie.

Wypowiedział starannie każde słowo, spoglądając mi prosto w oczy.

– Przepraszam?

– Leon – przedstawił się, jakby nie wypowiedział tej dziwnej strofy z Homera.

– Właśnie wróciłem z podróży na wieś. Musisz być naszym nowym Ateńczykiem.

– Nie używaj tego jako argumentu przeciw mnie.

Zaśmiał się głośno, jakby kto rozbił talerz, i otarł czoło.

– Nie uczynię tego, panie. Tak się składa, że mam wielu przyjaciół w Atenach.

Rechot urwał się równie nagle, jak się pojawił.

Spojrzał na mnie przenikliwie.

– Przywiozłeś, panie, jakieś listy?

– Nie.

– Doprawdy? – Szarpnął głową w bok, jakby starał się oczyścić ucho z woskowiny.

– Słyszałem, że uczysz chłopca.

Skinałem głową.

– Bystry z niego uczeń?

– Jestem pewien, że kiedyś będzie kropka w kropkę jak ojciec.

Kolejna salwa śmiechu.

– Dobrze to ująłeś. Bardzo trafnie.

Widzę, że twoja sława jest prawdziwa.

– Wetknął palec do ust. – Na pewno nie przywiozłeś żadnych listów?

– Ani jednego. – Po chwili dodałem, jakby nie miało to żadnego znaczenia: – Mój statek poszedł na dno w drodze do Italii.

– Aha! – Poruszył energicznie głową, jakby rozwikłał jakąś zagadkę, nad którą śleczął godzinami. – Co słyhać w Atenach?

– Bez zmian.

– Rad jesteś ze swojego pobytu w Syrakuzach?

– Sprowadzono mnie tutaj wbrew mojej woli, obito i trzymano tydzień w kamieniołomach. Poza tym było bardzo przyjemnie.

Spojrzał na mnie, wyraźnie zszokowany.

– To straszne. Czy znaleźli listy?

– Nie miałem żadnych listów – odparłem znużony.

– Szczęśliwie się złożyło.

Rzekłszy to, podniósł się i odszedł.

Nie miałem dokąd pójść, siedziałem więc na ławie. Słońce ponownie wyjrzało zza chmur.

Pszczoły zabrzęczały w kwiatach, a świat odpłynął gdzieś daleko.

Niemal zasnąłem, kiedy obudziły mnie energiczne kroki.

Ponownie ujrzałem Diona. Nie był już jednak tym uśmiechniętym, szczerym młodzieńcem, z którym rozmawiałem o filozofii na szczycie świątyni. Kiedy stanął, pod

jego stopami zebrała się kałuża wody. Czyżby pływał?

- Co się stało?
- Chodzi o twojego przyjaciela – odrzekł, unikając mojego wzroku.
- Eufemosa?
- Agatona.

Rozdział 22

JONAH – ATENY

Patrzył na telefon, świecący i podskakujący w jego dłoni niczym egzotyczna ryba wydobyta z głębi oceanu. Za oknami szklanego pudła rozciągały się Ateny.

Kiedy odebrał, telefon przestał wibrować. Głos z drugiej strony przypomniał mu o czymś, o czym prawie zapomniał, jak zapach deszczu u kresu długiego suchego lata.

– Cieszę się, że przyjechałeś. Nie byłam pewna, czy mnie zapamiętasz.

– Kim jesteś?

– Zapomniałeś?

– Zadzwoń do mnie w Londynie?

Dwa dni temu? W nocy?

Westchnęła, jakby czymś ją rozczarował.

– Aż tak cię odurzyli?

Słuchając jej głosu, pomyślał, że ponownie śni.

– Nikt mnie nie odurzył. Po prostu za dużo wypilem.

– Alkohol to narkotyk. Nie trzeba nawet go wstrzykiwać.

Nie znalazł odpowiedzi.

– Powiedziałaś, żebym przyjechał do Aten?

– Jesteś w Atenach, prawda?

Rozmowa z obcą bezimienną kobietą sprawiała, że nie był niczego pewien.

Wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, gdzie jest, i ujrzał Akropol. Nagle wszystko stało się absurdalne – jakby znalazł się na planie filmowym, reżyser chciał zaś nakręcić najbardziej oczywistą scenę, aby widzowie wiedzieli, że Jonah jest w Atenach. Z tą różnicą, że na planie filmowym Akropol byłby tłem umieszczonym na ścianie studia.

– Jesteś tam?

– Tak, ciągle. – Przyglądał się Akropolowi, szukając linii pęknięć.

Mgła unosząca się w powietrzu sprawiała, że budowla falowała i lśniła.

Zastanawiał się, czy był to ten niesławny ateński smog, czy też... gaz łzawiący.

– Powiesz mi, kim jesteś?

– Słyszałeś o Elefsinie?

To stanowisko archeologiczne na wybrzeżu, za Pireusem.

– Tak.

– Spotkajmy się tam o dwunastej.

Sprawdź, czy cię nie śledzą.

– Kto? – Nie dostał odpowiedzi. – Dlaczego miałbym tam pojechać? Nie wiem nawet, kim jesteś.

– Przyjedź, to się dowiesz.

– Jak cię rozpoznam?

– To ja rozpoznam ciebie.

W poprzednim świecie Jonah nie siedziałby w autobusie wleającym się podmiejskimi dzielnicami Aten tylko dlatego, że dostał anonimowy telefon.

W ogóle nie byłoby go w Grecji. Tylko że dawny świat już nie istniał, a jego zniszczenie dokonało się gładko, lecz nieodwracalnie.

Przypomniawszy sobie samotną bramę na polu w Sibari i zimny dreszcz, który przeszedł mu po plecach, gdy ją przestępował. Czy wtedy wszystko się zmieniło?

Autobus podskakiwał na długiej prostej ulicy pełnej warsztatów wulkanizacyjnych i sklepów z artykułami żelaznymi. Na jego przystanku nie widniała żadna informacja o „stanowisku archeologicznym”. Za nic by się nie połapał, gdyby kierowca nie krzyknął do niego po grecku i nie pokazał niepozornej bocznej uliczki. Na jej końcu stała budka. Bileter sprzedał mu zakurzony bilet i wpuścił na duży plac z ruinami grobowców i innych gmachów. Kikuty kolumn wskazywały miejsce monumentalnej bramy. Za bramą wznosiły się porośnięte krzewami wzgórze i wieża z zegarem wskazującym dwunastą.

Za pozostałościami bramy wiła się ścieżka prowadząca do kolejnych ruin na zboczu wzgórza. Lily wiedziałaby, dokąd pójść. Rzuciłaby okiem na ruiny i wszystko ożywiła, usunęła pył i przywróciła kamieniom dawną chwałę.

Żałował, że nie ma jej przy sobie.

– Szuka pan przewodnika?

Kobieta pojawiła się znikąd – Jonah był pewien, że jeszcze przed chwilą jej nie było. Nawet teraz, gdy przed nim stała, było w niej coś tymczasowego, jak w ptaku, który w każdej chwili może odlecieć. Jej twarz zasłaniały okulary przeciwsłoneczne i czapka bejsbolowa.

Dzień był ciepły, temperatura dochodziła do trzydziestu stopni, ale ona miała na sobie kardigan z długim rękawem zapięty pod szyję i spodnie z lekkiej tkaniny.

Mógł jedynie stwierdzić, że jest szczupła, o małych piersiach i delikatnej budowie ciała. I że sięga mu ledwie do brody.

Poczuł oszałamiające *déjà vu*, podobne do wrażenia, którego doświadczył, kiedy ujrzał Lily. Nie poznania – ponieważ nie ujrzał niczego, co mógłby rozpoznać – ale zażyłości.

Poczucia harmonii, która między nimi istniała.

– Szuka pan przewodnika? – zapytała ponownie.

Mówiła doskonałą angielszczyzną z lekkim amerykańskim akcentem. Czy słyszał ten głos przez telefon? Nagle odkrył, że w ogóle nie pamięta jego brzmienia.

– Czy to ty poprosiłaś, żebym tu przyjechał?

Daszek nasunięty na czoło całkowicie zasłaniał twarz.

– Jestem przewodniczką.

Były dwie możliwości: albo nieznajoma była osobą, z którą miał się spotkać, albo nią nie była. Jeśli nią była i chciała udawać, w porządku, jeśli nie, przynajmniej pożytecznie spędzi czas.

I może się czegoś dowie.

„Dwie hipotezy robocze” – jak powiedziałyby Adam. Mógł pozwolić, żeby dowody zaczęły się kumulować, dopóki jedna z nich nie okaże się fałszywa.

– W porządku.

Ruszył w ślad za nią, przekraczając próg.

– Zagadka składa się z trzech części.

Straty, poszukiwań i wstąpienia.

Poprowadziła go w górę ścieżką wijącą się zboczem wzgórza. Minęli jaskinię i wyszli na szeroki taras, z którego rozciągał się widok na morze i wyspę Salaminę. Kiedyś było to jedno z najświętszych miejsc w Grecji, ale dziś tankowce i frachtowce tarasowały cieśninę, prosty horyzont przecinały zaś portowe dźwigi i kominy oplecione rurami, zasnuwane dymem z pobliskiej rafinerii ropy. Po drugiej stronie cieśniny wznosiły się dwa wierzchołki, rysujące idealny półksiężyc na tle nieba.

Jonah przypomniał sobie górę, którą widział w Sibari.

– W starożytnej Grecji istniała religia publiczna, w której dorastano, z kultem takich bóstw jak Zeus, Atena i Posejdon.

Oprócz niej były religijne misteria, tajemne rytuały, które wymagały inicjacji. Do najśłynniejszych należały misteria eleuzyńskie. Kultywowano je przez tysiąc lat, od ciemnych wieków po okres rzymski, dopóki nie zostały wykorzenione przez chrześcijaństwo.

– Jakie tajemnice skrywały? Te misteria...

– Nikt tego nie zdradził. Co roku wyznawcy wyruszali z Aten, pokonując dwadzieścia kilometrów. Przybywali do tej świątyni i uczestniczyli w rytuałach odprawianych przez kapłanów. Oglądali święte przedmioty i słuchali świętych prawd. To zmieniało ich sposób postrzegania świata.

– Rozumiem.

Minęli taras wykuty częściowo w zboczu wzgórza, częściowo oparty na masywnej kamiennej platformie wysuniętej w stronę morza.

Przewodniczka wskazała podstawę kolumny sterczącą w wyschniętej trawie.

– Ten gmach miał być jak las, pełen kolumn. Mogło się w nim pomieścić tysiąc wiernych przechodzących inicjację. Pościli wiele dni. Pokonali dwadzieścia kilometrów w upale.

Siedzieli w ciemności, zdezorientowani i otumanieni. Były dym, kadzidło i pochod-

nie.

Niektórzy badacze uważają, że mogli przyjmować środki psychotropowe, na przykład magiczne grzyby.

Jonah przeniósł się na chwilę do domu w Oksfordzie – ujrzał zestawione łóżka i kanapy, krew i śnieg. W Eleuzis wszystko wyglądało inaczej: mroczna jaskinia, migające światła, spoczone ciała, gorączkowe oczekiwanie na chwilę, w której bogowie zstąpią na ziemię i dotkną ich duszy. Do tego muzyka, ponieważ musiała być muzyka.

Zaciekawiło go, jak brzmiała.

Wzdłuż tylnej ściany tarasu wiły się rzędy ławek wyciętych w zboczu niczym stopnie. Jego przewodniczka usiadła na jednej z nich.

– Nikt nie wie dokładnie, jakie obrzędy odprawiano, ale ich podstawą był kult bogini Demeter. Chcesz poznać jej historię?

Odwróciła głowę i spojrzała na przeciwległą stronę tarasu, w kierunku morza. Czapka i okulary w dalszym ciągu zakrywały jej twarz. Chociaż nie powiedziała niczego, co odróżniałoby ją od przewodniczki wycieczek, im dłużej z nią był, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że właśnie z nią miał się spotkać. Otaczała ją jakaś tajemnica, coś ukrywała – coś, co czekało, aż zostanie wyjęte z pudełka i pokazane w odpowiedniej chwili.

– Opowiedz.

Podwinęła nogi pod siebie.

– Była raz panna, córka Zeusa i bogini zbiorów Demeter. Dzika dziewczyna, która mieszkała w ciemnych gęstwinach lasu, dziecko natury. Zaplatała bluszcz we włosy. Nocą za materac miała trawę, a konary drzew splatały się, żeby dać jej schronienie. Wszyscy bogowie pragnęli ją poślubić, ale jej matka się nie zgadzała. Pożądał jej także Hades, władca podziemnego świata, choć wiedział, że dziewczyna nigdy nie zgodzi się zejść do jego królestwa. Była życiem, a wszystko, co żyje, potrzebuje słońca. Hades udał się więc do swojego brata, Zeusa, króla bogów, i ten zgodził się mu pomóc. Powiedział bratu, że może porwać pannę, kiedy będzie zbierać kwiaty na polanie...

– Zaraz – przerwał jej Jonah. – Czy nie powiedziałaś, że Zeus był jej ojcem?

– I bratem jej matki. Wszystko to wydaje się odrobinę kazirodcze.

– Nie żartuj!

– Dziewczyna poszła na łąkę, żeby upleść wianuszek z kwiatów, ale kiedy się pochylała, żeby zerwać narcyza, w ziemi otwarła się wielka szczelina i jej oczom ukazał się Hades w złotym rydwanie. Dziewczyna krzyczała, ale bóg ją chwycił i wciągnął do piekła.

Jonah poczuł skurcz w klatce piersiowej. W jego opowieści nie była to leśna polana w Grecji, ale spieczona słońcem równina w południowych Włoszech, u stóp rozdwojonej góry, w szczelinie znajdowali się zaś ludzie usuwający ziemię centymetr po centymetrze.

– Demeter usłyszała krzyk córki i ruszyła na pomoc, ale szczelina już się zamknęła.

Przemierzyła ziemię w poszukiwaniu dziecka, nikt jednak nie pisnął ani słowa, każdy bowiem bał się śmierci.

W końcu Helios, bóg wszytkowidzącego słońca, ulitował się nad Demeter i wyjawiał jej prawdę.

Kiedy Demeter usłyszała, że Zeus ją zdradził, zdarła koronę, przykryła głowę i zaczęła wędrować po ziemi jak zwykła śmiertelniczka. W końcu przybyła tutaj, do Eleuzis, i utrudzona siadła w cieniu oliwki przy studni.

Kiedy córki miejscowego króla przyszły zaczerpnąć wody, zlitowały się nad nią i przywróciły ją do życia. Później Demeter objawiła im tajemnice i nakazała, żeby zbudowały jej świątynię w tym miejscu. W środku nadal jednak marniała.

Przez otchłań czasu i most łączący mit z rzeczywistością Jonah poczuł w sobie pustkę bogini.

– Tymczasem brak Demeter sprawił, że deszcz przestał padać i zbiory uschły na pniu, zamieniły się w pył. Na ziemi zapanował głód. Głodowali nie tylko ludzie – nie było pokarmu na ofiary, także więc i bogowie rozpaczliwie osłabli. Zeus wysłał jednego po drugim do Eleuzis. Błagali Demeter, żeby zechciała wrócić na Olimp i ponownie ogłosiła żniwa.

Zaofiarowali jej wszystkie dary, ale ona pragnęła tylko jednego – ponownie ujrzeć córkę. Kiedy Zeus zrozumiał, że nie ma wyboru, wysłał swojego posłańca do podziemnego świata, aby skłonić Hadesa do uwolnienia panny...

– Chyba już słyszałem tę opowieść – przerwał jej Jonah, szukając w pamięci.

– To opowieść o Orfeuszu i Eurydyce, prawda?

Przewodniczka pokręciła głową.

– Nie, to inna legenda. Orfeusz był śmiertelnikiem, jego historia ma zaś inne zakończenie. Kiedy posłaniec Zeusa dotarł do podziemnego świata, Hades nie oponował. Zanim jednak panna opuściła jego królestwo, dał jej do zjedzenia kilka jagód granatu, aby nie zgłodniała w drodze do domu.

Podniecona dziewczyna zapomniała, że jeśli skosztuje owoców piekła, nigdy się od nich nie uwolni. Od tego czasu spędza osiem miesięcy ze swoją matką w świetle słońca i cztery miesiące w ciemności z mężem. W tym czasie Demeter bierze ziemię na zakładnika i sprawia, że ta nie wydaje plonów.

– Jak się nazywa ta dziewczyna?

Jakie ma imię?

– Starożytni Grecy nie śmieli wymawiać go głośno. Mówili o niej Kore, dziewczyna. Platon nazywa ją Pherepaphą, „boginią, która rozumie”.

Ty znasz ją pewnie jako Persefonę.

Ledwie usłyszał jej imię. Nieznajoma ściszyła głos, dobiegły go więc jedynie miękkie spółgłoski szeleszczące niczym trawa. Jakby nawet teraz lękała się je wymówić.

– Ma również inne imiona kultowe.

Starożytny filozof Empedokles nazywa ją Nestis. Może już gdzieś to słyszałeś?

Jonah spojrział na nią ze zdumieniem, ale ujrzał jedynie własne odbicie w okularach.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Czy nie szukasz panny?

Rozpięła kardigan i zdjęła go. Pod spodem miała czarny top w cienkie paski, odsłaniający złocistobrązowe ramiona.

Na ramieniu widniał wytatuowany kwiat lotosu.

Jonah ponownie poczuł *déjà vu*.

Tylko że tym razem było realnym, prawdziwym wspomnieniem.

Wspomnieniem pięknej kobiety siedzącej na patio w blasku światełek, które migotały jak gwiazdy. Skoczył od stołu, żeby dobiec do jachtu zakotwiczonego po drugiej stronie zatoki. Tatuaz. Nestis.

– Byłaś w hotelu w Sibari. W noc zniknięcia Lily.

Skinęła głową.

– Zadzwoiłaś do mnie, do Londynu.

Ściągnęłaś mnie tutaj.

Ponownie przytaknęła. Jonah miał wrażenie, jakby ciągnął za sznur, który nagle rozwiązał się tak szybko, że całkowicie stracił równowagę.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Ren.

Nie była to odpowiedź na jego pytanie.

– Kim naprawdę jesteś?

– Dlaczego to robię? Dlaczego byłam w Sibari? Dlaczego jestem tutaj?

Dlaczego do ciebie zadzwoniłam?

– Dlaczego, kto – wszystko.

– Ponieważ mogę ci pomóc.

Przypomniał sobie, co mu powiedziała przez telefon. Wiem, kto porwał twoją żonę. Przez głowę przemknęła mu obłąkana myśl.

– Porwałaś Lily?

– Nie.

Miotła się na oślep. Podniósł się ze stopni, obszedł taras i stanął naprzeciw niej. Obserwowała go cierpliwie.

– Dlaczego kazałaś mi tu przyjechać?

Po co to całe przedstawienie? Udawanie przewodniczki?

– Chciałam, żebyś zrozumiał, co to za miejsce.

– Jakie miejsce?

– Eleuzis.

Spojrział na taras i wyschłą trawę sterczącą między kamieniami, na znaki i barierki

dla zwiedzających, którzy przestali tutaj przychodzić.

- Eleuzis?
- Miejsce objawień.
- Objawień – powtórzył. – Masz na myśli prawdę?
- To pojęcie jest problematyczne.

Wymijające odpowiedzi Ren sprawiały, że miał ochotę wytrząsnąć z niej prawdę. Powstrzymała go przed tym równie potężna siła – dziwna aura nietykalności otaczająca dziewczynę.

Wiedział bez uprzedzenia, że gdyby dotknął ją w gniewie, mogłoby się stać coś złego.

- Dlaczego byłaś w Sibari?
- Wiedziałaś, co się stanie z Lily?
- Nie wiedziałam.
- To dlaczego się tam znalazłaś?

Zdjęła czapkę bejsbolową i rozwinęła włosy. Opadły na ramiona – długie, czarne i lśniące. Podniosła okulary, żeby odgarnąć je do tyłu, odsłaniając parę oczu w kształcie migdałów. Po raz pierwszy Jonah zastanowił się nad tym, ile ona ma lat. Nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia, ale jej oczy wydawały się stare jak czas.

- Słyszałeś o Socratisie Maroussisie?
- Czy jest spokrewniony z Arim Maroussisem, właścicielem jachtu „Nestis”?
- Socratis to jego ojciec, najbogatszy człowiek w Grecji. To bez znaczenia, ale nie daj się zwieść. Kryzys go nie dotknął. Jego fortuna jest ulokowana w Londynie, statki zostały zarejestrowane w Panamie, a klienci to głównie Chińczycy.

- Rozumiem.
- Za Fundacją Eikasia stoją jego pieniądze. To on sfinansował prace archeologiczne w Sybaris. To on jest pracodawcą twojego przyjaciela Adama Shawa.

- Skąd wiesz o Adamie?
- Staruszek ma osobowość psychopaty, jeśli chcesz to ująć z kliniczną dokładnością. Nie można zdobyć takiego majątku, troszcząc się o uczucia bliźnich. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat zniszczył więcej ludzi, niż ty dałeś koncertów.

Wie o zespole – pomyślał Jonah.

- Ludzka dusza jest źródłem litości, współczucia i altruizmu, ale dusza Maroussisa została skażona chciwością i ambicją. Pozostał jednak staromodny – kieruje się pewnymi regułami. Ari odziedziczył wszystkie wady ojca, ale nie krępują go żadne ograniczenia.

Czytałeś Platona?

Jej pytanie go zaskoczyło.

- A powinienem?
- Platon dobrze oddał charakter Ariego – odpowiedziała rzeczowo, jakby chodziło

o niedzielne wydanie magazynu, w którym filozofowi zlecono napisanie artykułu na jego temat. – „Żyje w obłokach kadzidła i wonności, girland i wina, ale wszystkie rozkosze jego rozwiązłego życia sprawiają jedynie, że szaleńczo pragnie więcej. Jeśli zaś znajdzie w sobie cokolwiek dobrego, jakąś zasługę, życzliwość lub resztkę wstydu, wyzbywa się jej do cna, aż jego szaleństwo zostanie doprowadzone do doskonałości”.

Jonah zadrżał na kamieniach rozgrzanych przez ciepłe promienie południowego słońca.

Słowa Ren otworzyły pieczarę, poszczerbioną wyrwę w jałowym zboczu. Na zewnątrz wydobył się smród gnijących ciał, u jej wyjścia rozsypały się kości. Ze środka dobiegały niewypowiedziane krzyki.

Myśl o tym, że Lily mogła się tam znajdować, sprawiła, że miał ochotę rzucić się w morze.

– Powiedziałaś, że wiesz, gdzie jest Lily – wyjąkał z trudem, czując suchość w gardle.

Jej oczy lśniły niczym oliwa: czasami zielone, innym razem niebieskie lub tak ciemne, że traciły barwę.

– Sokrates powiedział: „Wszystkie prawdy tego świata istniały zawsze w naszej duszy”. Potrzebujemy jedynie przewodnika, który wydobędzie je na powierzchnię.

Jego frustracja zamieniła się w gniew.

– Na Boga! Czy musimy mówić o wszystkim zagadkami? Prowadzić jakąś grę? Po prostu powiedz mi, co się stało!

Ren się nie poruszyła, nie zmieniła nawet wyrazu twarzy. Przypominała skałę, w którą uderzyły jego wzburzone emocje, rozpryskując się na wszystkie strony. Jej niewzruszoność wzmocniła jego furię, doprowadzając ją do dzikiej wściekłości, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to bezcelowe.

Kiedy gniew opadł, zrozumiał, że miała słuszność. Zgromadził wszystkie elementy, których potrzebował.

W świetle spokojnego spojrzenia Ren poszczególne fragmenty połączyły się ze sobą.

– Wszystko zaczęło się od złotej tabliczki – wycedził.

– Wszystko zaczęło się dużo, dużo wcześniej, ale mów dalej.

– Inni chcieli zachować to w sekrecie.

Nie wiem dlaczego.

Zwolnili konserwatorkę, ale Lily nie ustąpiła.

Dlatego się jej pozbyli.

– Jak?

Starożytny filozof Empedokles nazywa ją Nestis.

– Ten jacht. Wywieźli ją na pokładzie jachtu. – Stał na nabrzeżu i wpatrywał się w ślad kilwatu. Widział, co się działo, ale niczego nie rozumiał.

Pochylił się i odruchowo wyrwał źdźbło trawy. Owinął je wokół palca, obserwując,

jak czerwienieje w miarę zaciskania, a później blednie, gdy rozluźnia pętlę. Jego myśli przyplływały i odpływały.

– Dlaczego jest taka wyjątkowa? Ta tabliczka?

Ren pokręciła głową. Jej włosy się poruszyły, jakby połaskotał je wiatr.

– Słyszałeś o religii orfickiej?

– Tak. – Przeczytał o niej na karteczce w gablocie z British Museum. Złota tabliczka z inskrypcją orficką i pudełeczko z naszyjnikiem, w którym była przechowywana.

– To religia misteriów, jak kult z Eleuzis. W niej także chodziło o podróż do podziemnego świata.

Charis: Tabliczki zawierają wskazówki prowadzące do podziemnego świata.

– Podobnie jak wielu miliardrom także Socratisowi Maroussisowi doskwiera ennu. Po prostu się nudzi.

Nie ma niczego, czego nie mógłby mieć, ale mimo to pragnie więcej. Poza tym jest starym człowiekiem i nie czuje się najlepiej. Ma obsesję na punkcie starożytnej filozofii, szczególnie religii orfickiej. Fundacja Eikasia została powołana w celu przeniknięcia jej sekretów.

– Czy nie poczułby się lepiej, wydając pieniądze na znalezienie lekarstwa na raka lub coś w tym rodzaju?

– Pamiętasz ostatnie słowa z tabliczki?

Nie będąc dłużej śmiertelnikiem, ale bogiem.

Nie potrzebujemy tabliczki w celu odnalezienia drogi do podziemnego świata, ponieważ i tak wszyscy się tam znajdziemy. Tabliczka ma nam pomóc przed nim uciec. Właśnie to obiecywał kult orficki. Nieśmiertelność.

Słońce ogrzewało mu plecy.

Starożytny kamień wpijał się w dłonie.

Żuk gramolił się wolno po nogawce jego spodni. Ale Jonah nie zauważył niczego.

– Przecież ta tabliczka nie jest niczym wyjątkowym – powiedział w końcu. – Są inne. Widziałem jedną w British Museum.

Ren obserwowała go w milczeniu. Po chwili Jonah zrozumiał, dlaczego na niego czekała.

– Musi zawierać coś wyjątkowego.

Coś, czego nie mają inne.

Skinęła głową.

– Przecież Charis ją przetłumaczyła.

Powiedziała, że jest taka sama jak pozostałe.

– Ufasz jej?

– Jest moją przyjaciółką. Przyjaźni się z Lily.

Sandi: Niczego nie rozumiesz?

Wszyscy w tym tkwili. Wszyscy byli przyjaciółmi z college'u, każdy miał każdego w

kieszeni.

– A pozostali? Richard? Adam? Oni także są w to zamieszani?

Wzruszyła ramionami. Kwiat lotosu na jej ramieniu zadygotał.

– Adam Shaw należy do bliskiego otoczenia Maroussisa.

Byłabym zaskoczona, gdyby fundacja zrobiła coś bez jego wiedzy.

– Ari mógł działać sam. – Działać sam. Jonah odniósł wrażenie, jakby wykonywał piosenkę kogoś innego.

Słowa należały do opowieści, do serialu policyjnego lub książki detektywistycznej. Nie do jego świata.

– Może i tak.

– A Richard?

– Richard Andrews całe życie przestrzegał zasad, które narzucili mu inni.

Poczuł się przytłoczony. Spojrzał na Ren, nie wiedząc, czy za chwilę nie przebudzi się ze snu.

– A ty?

– Ja? O co ci chodzi?

Pytanie było tak głębokie, tak podstawowe, że niemal się roześmiał.

– O wszystko. To ty mnie tutaj sprowadziłaś. Ty opowiedziałaś mi tę niezwykłą historię.

– Sam ją opowiedziałeś.

– Powiedziałaś, że nie mogę ufać moim przyjaciołom. Dlaczego miałbym zaufać tobie?

Siedziała w bezruchu, przechyliwszy głowę, jakby nasłuchiwała wiatru w kurzu. Ciśsza trwała tak długo, że Jonah zaczął się zastanawiać, czy w ogóle coś powie. Czy nie obraził jej w jakiś niejasny, ale nieodwracalny sposób.

– Myślisz, że ona...? – Nie mógł się zmusić do wypowiedzenia tych słów.

– Jakże to ma znaczenie?

Zawrzał gniewem.

– Czy w ogóle cokolwiek je posiada?

– Nie słuchałaś mojej opowieści?

Dokądkolwiek się udała, znajdziesz ją.

Prawdziwe pytanie brzmi: Czy zdołasz z nią wrócić?

Rozdział 23

Co uczynisz, gdy twój przeciwnik wpadnie do studni, jak mówi przysłowie, przyszpilony pytaniem, na które nie ma dobrej odpowiedzi?

Platon, *Teajtet*

Młokos wyglądał na nie więcej niż dziesięć lat i był nagi. Wilgotne włosy oblepiły mu czaszkę, ale słońce wysuszyło skórę. Wokół kostki miał owinięty sznur, na sąsiedniej wilgotnej kamiennej płycie leżała zaś mała amfora z winem. W pobliżu krążyli żołnierze.

Obok amfory leżał Agaton, rozciągnięty niczym pijak z komedii, które wystawiają na scenie. Nie była to jednak komedia. Jego naga skóra była obtarta i napęczniała. Choć starałem się nań nie patrzeć, trudno było nie dostrzec skupisk siniaków, które pokrywały jego ciało jak krople wodnistego inkaustu.

Jedna noga sterczała pod kątem prostym – musiała ulec złamaniu w trakcie upadku na dno. Głowa leżała wykręcona w drugą stronę, miłosiernie ukrywając oczy.

– Chłopak go znalazł, kiedy zszedł po wino – wyjaśnił Dion. – Latem trzymamy je w studni, żeby było schłodzone.

Skinąłem głową, jakby to, co powiedział, miało jakieś znaczenie.

– Musiał do niej wpaść. Może się upił i zgubił drogę w ciemności.

– Może. – Studnia znajdowała się w ogrodzie kuchennym, z dala od pokojów dla gości. Brzegi sięgały kolan, o obrzeże opierało się drewniane wieko.

Dodam, że Agaton stronił od wina.

– Przykro mi. Wiem, że był twoim przyjacielem.

Cóż, takie rzeczy się zdarzają, gdy rządzą tyrani. Ludzie znikają w mroku nocy, ciała pojawiają się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, przyjaciele wpadają do studni. Ślady prowadzą do jaskini, ale żaden z niej nie wychodzi.

A morał jest taki: Czerp przestrozę z niedoli innych.

Teraz pojąłem, co Dion chciał mi powiedzieć. Odwróciłem się ku niemu.

– Wiedziałeś.

Był zbyt młody, ale – jak widać – niezbyt niewinny. Spojrzał na mnie, próbując udąć zdumienie i niewiedzę, nie do końca mu się to jednak udało.

– Wpadł do studni.

– Czy o nim myślałeś, kiedy rozprawialiśmy o cnocie i okazywałeś zainteresowanie

moimi słowami?

Ponownie spojrzałem na ciało.

Przedstawiało straszny widok: złamane, zwiotczałe, puste. Porzuciła je dusza, wraz z nią odeszły zaś mądrość i piękno.

Wszystko, czym był Agaton.

Mimo to nie mogłem ścierpieć, że tak leży otoczony przez ludzi, którzy go zabili. Sprawiał wrażenie niezwykle samotnego, zagubionego.

Nie zastanawiając się, uklęknałem i dźwignąłem go. Był ciężki – cięższy niż za życia – ale nie zamierzałem się poddać przed najemnikami Dionizjosa.

Wyniosłem go przez bramę do mojej izby. Położyłem go na łożu i przykryłem prześcieradłem, po czym poszedłem znaleźć człowieka, który mu to uczynił.

Sokratesa nikt nie wrzucił do studni.

Umarł tak, jak żył – publicznie, otoczony tłumem czekającym na jego ostatnie słowo. Nie było mnie przy tym, byłem chory. Tak przynajmniej mówiłem ludziom.

Nie jest to do końca prawda, ponieważ nie było tak, jak im się zdaje.

Nie leżałem w łożu ani nie wdychałem wonności w łaźni parowej. Stałem na plaży pod przylądkiem Sunion, trzymając w ręku kosz pełen kamieni.

Przywiązałem jeden koniec sznura do rączki kosza, drugi zaś owinąłem wokół nadgarstka, żebym go nie puścił, kiedy zemdleję.

Byłem zrozpaczony, tak pusty, że potrzebowałem kamieni, aby mnie obciążły. Skoro Sokrates mógł być zabity przez tłuszczę, nie było dla mnie miejsca na świecie. Nie chciałem dłużej żyć.

Pamiętam tamten ranek, jakby nie było innych. Woń powietrza, zmarszczki światła na powierzchni wody i spokój morza, które przyjemnie chłodziło moje stopy. Na pobliskiej skale siedział pochylony rybak, ale zdawał się mnie nie dostrzegać.

Przyjaciele powiedzieli mi, że Sokrates wypił kielich spokojnie i bez oporu. Zbeształ przyjaciół, że płaczą jak niewiasty. Pragnął umrzeć w spokoju.

Odrętwienie pojawiło się w stopach i zaczęło ogarniać wszystkie członki.

Sokrates chodził, żeby trucizna rozeszła się w ciele, później się położył, gdy nogi stały się zbyt ciężkie. Kat komentował wszystko na bieżąco, trącając jego kostki, łydki i uda. Kiedy trucizna dotarła do żołądka, na chwilę uchylił zasłonę i wyrzekł ostatnie słowa.

W Sunionie mewa ześlizgnęła się ze skalnego cypla i zanurkowała, rozpryskując wodę. Kiedy poczułem ból w piersi, wiedziałem, że trucizna dotarła do jego serca. Sokrates rozstał się ze światem. Mocniej chwyciłem kosz, przygotowany, żeby podążyć jego śladem. Śmiejące się fale tłoczyły się u moich stóp jak dzieci, zachęcając, abym wszedł głębiej.

Dzień był spokojny, ale wiatr i morze zdawały się ryczeć w moich uszach, jakby nadciągnęła burza.

Nie potrafiłem tego zrobić. Zsunąłem sznur z nadgarstka i wypuściłem kosz, pozwalając, aby zatonął.

Później wróciłem na brzeg i runąłem na plażę, niezdolny się poruszyć. Rybak, który mnie znalazł, sądził, że nie żyję.

Czy była to odwaga, czy też było to tchórzostwo?

Sokrates mówił, że prawdziwa dzielność wymaga zrozumienia rzeczywistej natury niebezpieczeństwa.

Oczywiście nie rozumiałem śmierci, nie sądziłem jednak, że życie może być takie trudne.

Tamtej nocy pierwszy raz przyśniło mi się, że tonę.

Strażnicy nie próbowali mnie zatrzymać.

Umieli rozpoznać człowieka zmierzającego do własnej zguby. Czemu mieliby wchodzić mu w drogę?

Niektórzy otworzyli mi nawet drzwi z szyderczym ukłonem i uśmiechem sugerującym, że nie spodziewają się, abym wrócił.

Dotarłem do wielkich brązowych drzwi z warczącymi lwami i otworzyłem je pchnięciem. Pozbawiona okien sala wyglądała tak samo w świetle dnia, ale tron był pusty.

Odwrociłem się. Grupa strażników skupiła się na progu, żeby zobaczyć, co się stanie. Z wyrazu ich twarzy wyczytałem, że wejście do środka było łatwiejsze niż wyjście. Kręciłem się wokół jak wisielec dyndający na sznurze. Jak człowiek, który wiruje w powietrzu, spadając na dno studni.

Dion przepchnął się przez strażę.

Musiał biec, miał bowiem zaczerwienioną twarz i potargane włosy.

Znowu wyglądał jak chłopiec.

– Co tu robisz?!

– Chciałem ujrzeć zabójcę Agatona.

Chciałem rzec mu to w twarz.

– Cóż byś w ten sposób osiągnął?

– Powiedziałbym prawdę.

– A gdyby kazał cię za to zabić? Czy to by coś zmieniło?

Opuściłem głowę.

– To moja wina.

Przypomniałem sobie morał: Czerp przestrożę z niedoli innych. Wszedłem do pałacu tyrana, nie zauważywszy śladów Agatona prowadzących na zewnątrz.

Obraziłbym Dionizjosa, sądząc, że nie może mnie tknąć.

– Dionizjos przesłał mi wiadomość.

– Posłuchaj mnie! – rzekł błagalnie Dion. – Jesteś mądrym człowiekiem.

Nie wchodź w pułapkę, którą na ciebie zastawił.

- Sokrates mógł uciec. Był zupełnie niewinny. Mimo to dzielnie przyjął karę.
- Czy to coś zmieniło?

Pytanie zawisło w powietrzu, dopóki nie rozproszyły go ciężkie kroki. Straże w drzwiach się rozstąpiły, stając w szeregu na widok nadchodzącego Dionizjosa.

Zmierzał do tronu, jakbym nie istniał, ale stałem mu na drodze. Przez chwilę się zdało, że na mnie wpadnie jak triera pragnąca staranować inny okręt.

Poczułem niewidzialną falę narastającą w moim ciele i Głos Rozsądku krzyczący, żebym się usunął. Głos Woli zatrzymał mnie jednak na miejscu.

Dionizjos przystanął w odległości dwóch centymetrów od mojej twarzy.

Był tego samego wzrostu co ja, tej samej postury i podobnego wieku, czułem się więc tak, jakbym spoglądał we własne odbicie w zaśnieżonym lustrze.

- Słyszałem, że twój przyjaciel wpadł do studni.

Dion posłał mi z boku gniewne spojrzenie. Nie ufałem sobie na tyle, żeby przemówić.

– Powinien był uważać. – W kąciку ust Dionizjosa zaświtał uśmiezek. – W Ortygii wiele jest ciemnych dziur, do których wpadają nierozważni goście.

Ginie po nich wszelki słuch, nie słychać nawet krzyków. Cóż za tragedia! Jaka strata!

Chciał mnie wyraźnie sprowokować.

Głos Pragnienia szeptał, żebym mu pozwolił, gdyż tylko w ten sposób mogłem uczcić pamięć Agatona – składając ofiarę z własnego życia na jego grobie. W porównaniu z nim Głos Rozsądku wydawał się cichym biadoleniem, które można było łatwo zignorować.

Sokrates powiedział, że nikt nie może źle czynić, jeśli dowiedział się, co jest dobre. Myślę, że Sokrates nie docenił ludzkiej zdolności samozniszczenia.

Tym razem jednak jego argument zdzierzył i nie odrzekłem ani słowa.

Rozczarowałem Dionizjosa.

– Możesz opłakać przyjaciela. – Cóż za wielkoduszność. – Chcę, abyś jutro rozpoczął na nowo kształcenia mojego syna. Jeśli tego nie uczynisz, utracisz swoją pozycję.

Skinąłem głową.

- Możesz odejść.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie jak dwaj zapaśnicy. Później Głos Rozsądku wziął górę i go obszedłem. Ludzie Dionizjosa pozwolili mi się oddalić.

W połowie następnego korytarza usłyszałem, że ktoś za mną biegnie. Zza pleców doleciał mnie głos Diona.

Zignorowałem go, dopóki nie znalazł się tuż za mną, po czym odwróciłem się na pięcie, zmuszając, żeby się cofnął.

- Powiedziałeś mi, że Agaton wyjechał.
- Widziałem, jak odjeżdżał.

– Najwyraźniej wrócił. Wiedziałaś o tym?

Spuścił oczy.

– Tak.

– Kiedy? Dokąd pojechał?

– Nie powiedział mi. Wrócił tydzień temu, dziwnie zmieniony.

Tydzień temu.

Kiedy gniłem w kajdanach w kamieniołomach Dionizjosa.

– Jak to „zmieniony”?

– Jakby brał udział w bitwie. Nie był ranny, ale zachowywał się jak człowiek, który został uderzony w głowę lub spanikował w obliczu ataku. Jakby coś w nim pękło.

– Naprawdę nie wiesz, gdzie był?

– Nie mógł zająć daleko. Nie było go tylko kilka dni.

– Czy coś powiedział?

– Chciał coś sprawdzić w księdze Empedoklesa w bibliotece. Później miał wsiąść na statek płynący do Turioj, żeby się spotkać z przyjacielem.

Ze mną.

– Co się stało później?

– Następnego dnia już go nie ujrzałem. Miałem nadzieję, że zdążył na statek.

Próbowałem odcedzić fakty z mętliku panującego w mojej głowie.

– Jeśli wrócił przed tygodniem i był tutaj tylko jeden dzień, gdzie przebywał przez resztę czasu?

– Tam, gdzie go znaleźliśmy.

To nie mogła być prawda.

– Wczorajszej nocy zaprowadzili mnie do Dionizjosa. Nazwałem go w twarz tyranem, a dziś znaleźli Agatona. Sądzisz, że to przypadek?

– Agaton nie żył, zanim tu dotarłeś – odrzekł z naciskiem Dion. – Zanim Dionizjos dowiedział się o twoim istnieniu.

Zauważył, że mu nie wierzę.

– Czy widziałaś kiedy topielca wyciągniętego z wody? – zapytał.

– Do dziś nie.

– A ja tak. Spójrz, w jakim stanie jest jego ciało. Agaton był w tej studni od wielu dni.

Nie dałem mu wiary, ale nie było powodu, żeby się z nim spierać.

– Czy to ma znaczenie?

– Tak, jeśli się obwiniasz o jego śmierć.

– A jednak jest martwy. – Przebyłem długą drogę w poszukiwaniu przyjaciela, a teraz jego zwłoki leżały na moim łóżu pod prześcieradłem. To oznaczało koniec.

– Powinniśmy go pochować – rzekł przytomnie Dion.

– Nie pochowam go na Ortygi.

Rozdział 24

JONAH – ATENY

Jonah wrócił do Aten autobusem, oglądając ciągnące się kilometrami zakurzone betonowe bloki. Podróż trwała długo, dotarł więc do miasta, gdy słońce zaczęło zachodzić. W lodówce pojawił się sześciopak piwa Mythos.

Adam nie pił, dlatego Jonah uznał, że piwo jest przeznaczone dla niego.

Z pewnością go potrzebował. Otworzył puszkę i przypomniał sobie słowa Ren.

Alkohol to narkotyk. Nie trzeba go nawet wstrzykiwać.

Odstawił piwo i stanął w oknie, pozwalając, żeby oblało go pomarańczowe światło. Zamknął oczy i przycisnął twarz do szyby. Słońce wypełniało cały horyzont. Pomyślał, że gdyby otworzył okno, mógłby w nie wejść.

Podczas pierwszej telefonicznej rozmowy z Ren był pijany. Tym razem spotkali się twarzą w twarz i był całkowicie trzeźwy. W obu wypadkach wspomnienie wyszło jednak jak woda na słońcu. Miał problem nawet z tym, żeby przypomnieć sobie jej twarz. Nie był pewien, czy potrafiłby ją wskazać na zdjęciu, choć osobiście rozpoznałby ją bez wahania, nawet w tłumie.

Rozejrzał się w poszukiwaniu skrawka papieru i długopisu, ale nie zdołał ich znaleźć. W końcu użył odwrotnej strony biletu autobusowego i ołówka, który znalazł na dnie swojej torby. Zanotował wszystko, co zdołał sobie przypomnieć, bojąc się, że gdy zaśnie i się obudzi, o wszystkim zapomni.

Maroussis Ari Nestis Orfeusz Podziemny świat Na odwrocie biletu było niewiele miejsca – skrawek papieru miał rozmiary zbliżone do złotej tabliczki.

Ponownie pomyślał o ręce, która wyryła małe litery na tak delikatnym materiale, z rozpaczliwą pieczołowitością upychając słowa na złotej blaszce. Z trudem wydarte objawienia, o których nie można zapomnieć.

Nie potrzebujemy tabliczki w celu odnalezienia drogi do podziemnego świata, ponieważ i tak wszyscy się tam znajdziemy. Tabliczka ma nam pomóc przed nim uciec.

Pomyślał o informacjach uzyskanych od Ren, ale jego mózg nie potrafił ich przetrwać. Jej słowa tkwiły w jego umyśle jak ogromny głaz, który spadł z nieba, zbyt wielki, żeby go pojąć.

Mógł wyryć na nim tylko jedno pytanie, które miało znaczenie.

Jak ją odnaleźć?

Ren wstała, kiedy je zadał.

– Trzymaj się Adama. Jeśli uznają, że za dużo wiesz, mogą stać się nieprzewidywalni.

Zanim zdążył zapytać, co rozumie przez „nieprzewidywalni”, opuściła okulary przeciwsłoneczne i nasunęła bejsbolówkę.

Później wspomnienie zamigotało i przygasało, jak stary film, który przewinął się do końca rolki.

Następną rzeczą, którą zapamiętał, było to, jak siedzi w tylnej części autobusu przedzierającego się przez gęszcz pojazdów w stronę centrum Aten. Teraz był ponownie w mieszkaniu Adama i oglądał zachód słońca.

Podziwianie zachodu słońca sprawiło, że rozboleła go głowa. Wypił szklankę wody i położył się na łóżku.

Kiedy się obudził, zapadł zmrok, Adam zaś wrócił już do mieszkania.

Bezszelestnie krzątał się w kuchni, krojąc warzywa i wrzucając je do rondla z gotującą się wodą.

– Co robiłeś?

Głos Adama był delikatny, niemal czuły. Adam Shaw należy do bliskiego otoczenia Maroussisa.

– Pojechałem do Elefsiny.

– Do Eleuzis – poprawił go odruchowo Adam, używając starożytnej nazwy tego miejsca. Jonah przypomniał sobie postawę Adama podczas wykopalisk: wieczne rozczarowanie terażniejszością. Dla Adama, podobnie jak dla archeologów, którzy przenosili całe wioski, aby dotrzeć do ruin, które się pod nimi znajdowały, współczesna Grecja była jedynie przeszkodą na drodze do wyświeślenia starożytnych dziejów.

Wystukiwał nożem rytm staccato, krojąc marchewkę i wrzucając ją do rondla.

– Dlaczego tam pojechałeś?

– Lily wspomniała mi kiedyś o tym miejscu – skłamał Jonah.

– Mam nadzieję, że nie oczekiwałeś zbyt dużo.

Jonah wzruszył ramionami.

– Jasne, to nie Akropol.

– W tym kraju wszystko jest na opak.

– W głosie Adama można było wyczuć cień emocji. – Grecja to święte miejsce, miejsce objawień, a oni zamienili je w ziemię jałową. Terminale naftowe, fabryki, rafinerie.

Miejsce objawień. Czy Ren użyła tego określenia?

– Chodziło pewnie o miejsca pracy.

– Miejsca pracy! – Wypowiedział te słowa tak, jakby były lepkie i brudne niczym morski ptak śliski od ropy naftowej.

– Cała brzydota współczesnego świata znajduje usprawiedliwienie w „miejscach pracy”. Znajdź coś pięknego – górę, łąkę, pas wybrzeża – i obiecaj miejsca pracy, a

będziesz mógł pokryć je dowolną ilością betonu i plastiku.

– Nie wiedziałem, że jesteś ekologiem.

Z rondla wykipiała woda. Płomienie wystrzeliły i zasyczały.

– Nie obchodzą mnie rzadkie gatunki pszczół ani ochrona drzew, w których gniazdują dzięcioły.

Chodzi o środowisko człowieka. O życie wokół nas, które stanowi kontekst duszy.

Skręcił gaz i przykrył rondel pokrywką.

– Wiesz, dlaczego politycy lubią rozmawiać o miejscach pracy?

– Żeby ściągać podatki?

– Ponieważ praca jest najlepszym narzędziem ucisku, jaki wynaleziono.

Lepszym od narkotyków i religii, telewizji i tajnej policji. Sprawia, że wiecznie tyrany, przekonani, że coś w ten sposób osiągniemy, choć w rzeczywistości jedynie odbijamy na zegarze godziny, które pozostały nam do końca. Nawet tego nie dostrzegamy, gdyż praca powstrzymuje nas od myślenia.

– Ale pozwala zapłacić czynsz.

Adam nie zrozumiał żartu.

– Grecy mieli ideał cywilizowanego człowieka. Program kształcenia, który stworzyli, obejmował matematykę, gramatykę, muzykę, sport i astronomię.

Udajemy, że cenimy podobne cnoty, ale to kłamstwo wymyślone na użytek dzieci. Pomyśl o naszych znajomych z Oksfordu.

O najlepszych i najinteligentniejszych. Od czwartego roku życia tyrali godzinami, żeby dostać się do najlepszej szkoły, zdobyć miejsce na najlepszym uniwersytecie, otrzymać najlepszą robotę. Zajmowali się muzyką, sportem, teatrem, chodzili do klubów – robili wszystko, żeby stać się wszechstronnymi ludźmi.

A kiedy skończyli studia, okazało się, że żadna z tych rzeczy nie ma znaczenia. Że społeczeństwo pragnie, aby stali się jak zdalnie sterowane samoloty lub roboty przemysłowe. To nie jest świat dla żywych ludzi.

Jonah nie mógłby powiedzieć, że jest odmiennego zdania. Adam wyłożył potrawę z rondla i zaniósł na szklany stół przy oknie. Bez pytania nalał Jonahowi piwa z otwartej puszką i postawił obok jego talerza.

– Wszystkie wielkie odkrycia w dziejach cywilizacji są dziełem ludzi, którzy mieli czas myśleć. – Rozmowa z Adamem nigdy się nie kończyła. Mógł ją zatrzymać jak płytę CD i włączyć na nowo kilka godzin, a czasem kilka dni później. – W starożytnej Grecji trzy lub cztery pokolenia filozofów nakreśliły mapę rzeczywistości, której do dziś nie umiemy pojąć. Dlaczego? Ponieważ mieli czas na myślenie, czas na zagłębianie się w studnię istnienia i czerpanie z niej prawdy. Nie uczyniło ich to bogatymi ani wpływowymi.

Niektórzy stali się sławni, inni zostali straceni, ludzie nie potrafili bowiem znieść prawdy, którą im mówili. Żaden z nich nie miał jednak pracy.

Jonah pociągnął łyk piwa.

Smakowało całkiem nieźle.

– Nie mieli niewolników?

– Dobrze zorganizowane społeczeństwo przypomina ludzkie ciało: każda część jest potrzebna, ale tylko mózg jest zdolny do myślenia.

Wszystko inne jest podporządkowane głównej funkcji.

Twarz Adama stała się okrutna.

Z jakiegoś powodu przypominała Jonahowi posąg bogini w domu Charis.

Głębokie rejony zamieszkiwane przez bogów były chłodnym miejscem, w którym nie mogła przetrwać życzliwość.

– Różnimy się, ty i ja – ciągnął Adam.

– Ale przejrzelśmy kłamstwo na wylot.

Ty podążyłeś za swoją muzą, ja za moim... powołaniem.

– Czy praca w fundacji jest powołaniem?

Adam skinął głową. W kącikach jego ust pojawił się uśmiech zadowolenia, który sprawił, że Jonah poczuł gniew.

Byłabym zaskoczona, gdyby fundacja zrobiła coś bez jego wiedzy.

– Opowiedz mi o tej robocie.

– Jestem dyrektorem programowym.

– Co to znaczy?

– Sprawuję nadzór nad projektami, które finansujemy.

– Sprawujesz nadzór? – Jonah zakręcił piwem w puszcze. – Czy na tym polega twoje powołanie?

Na „sprawowaniu nadzoru”?

Adam starannie pogryzł warzywa.

– Nie możesz patrzeć z góry na wszystkich biedaków, którzy zarabiają na życie, a później mówić, że twoim życiowym celem jest „sprawowanie nadzoru”. Nawet jeśli dobrze ci płacą. – Wskazał mieszkanie.

– Wygodnie mieszkasz.

Adam obserwował go z miną człowieka, który uporczywie słucha cicho grającego telewizora.

– Jesteś rozgniewany. Wiem, że czujesz się sfrustrowany z powodu Lily.

Zrozumiem, jeśli zechcesz się na mnie wyładować, ale to nie poprawi sytuacji.

– Chciałem tylko ustalić, co czyni cię tak szczególnym.

– Sokrates powiedział: „Jeśli coś wiem, to tylko tyle, że nic nie wiem”.

– Sokrates nie dostał podwójnej pierwszej lokaty na Oksfordzie.

– To bałamutne porównanie.

– Lily pracowała dla twojej fundacji, kiedy zniknęła. Chciałbym wiedzieć, o co wam chodzi.

– O co chodzi?

– W waszym londyńskim biurze powiedziano mi, że finansujecie różne projekty badawcze. Z dziedziny fizyki, geologii, historii, filozofii. W jaki sposób „sprawujesz nadzór” nad tak różnorodnymi przedsięwzięciami?

– Posiadam dyplom z fizyki i filozofii – odparł chłodno Adam. – Jeśli chodzi o inne dziedziny, mamy panel ekspertów, którzy analizują techniczne szczegóły aplikacji.

– Zatem jesteś... Właśnie, kim jesteś?

Biurokratą przystawiającym pieczętę?

Adam siedział wyprostowany tak sztywno, że nie dotykał oparcia krzesła.

– Tego bym nie powiedział.

– A więc kim?

– Chcesz wiedzieć, co jest wspólną nicią, która łączy wszystkie te projekty?

– Właśnie o to pytam.

– Eikasia to greckie słowo oznaczające iluzję. Platon używa go na określenie najbardziej niewiarygodnej warstwy świata – rzeczywistości cieni i refleksów postrzeganej przez nasze zmysły. Próbujemy ją przeniknąć, aby zrozumieć prawdziwą rzeczywistość.

Dlatego prowadzimy badania pod każdym możliwym kątem.

– Czy nie masz wrażenia, że to odrobinę niejasne?

– Tylko jeśli nie myślisz jasno.

– Przecież wszyscy naukowcy badają rzeczywistość. Czyż nie?

– Niekoniecznie. Przyglądają się ceniom. Nie umieją zaakceptować tego, jak bardzo niepewne jest nasze poczucie rzeczywistości.

Jonah uderzył dłonią w blat, aż brzęknęły talerze.

– Uważam, że to całkiem namacalne.

– Nie tak bardzo, jak ci się zdaje.

Jonah nie widział, co odpowiedzieć.

Dwa tygodnie temu Lily istniała w jego rzeczywistości, dziś zaś jej nie było.

Zmiana była tak gwałtowna jak trząśnięcie drzwi.

Nadal jednak żyje. Przeraziło go, jak szybko zaczął w to wątpić. Po prostu muszę ją odnaleźć.

Jedli. Jonah sięgnął po piwo i zdał sobie sprawę, że opróżnił puszkę. Nie poprosił o kolejną.

– Zostaniesz dłużej? – zapytał Adam.

– Wątpię, czy dowiesz się czegoś więcej w Atenach.

Jonah pomyślał, czy ma coś do stracenia, ale nic nie przyszło mu do głowy.

– Twój szef, Ari Maroussis, był w Sibari, kiedy Lily zniknęła.

Chciałbym z nim pogadać.

Adam odłożył sztućce i utkwiał wzrok w drugiej stronie stołu.

- Gdzie się tego dowiedziałeś?
 - W Eleuzis. To prawdziwe miejsce objawień.
- Adam skinął głową, przetwarzając informacje.
- Wiesz, kim jest Ari. – Nie było to pytanie, ale stwierdzenie faktu.
 - Wiem również, kim jest jego ojciec.
 - Ari nie ma nic wspólnego z fundacją.
 - Co w takim razie robił w Sibari?

Sprawował nadzór?

- Przyjechał jako turysta.

Jonah pozwolił, żeby cisza wybrzmiała jak nuta cichnąca tak długo, że publiczność niemal o niej zapomniała. Chciał, aby kolejny akord wywołał szok.

- Nie wierzę ci.

Adam nadział kawałek brokołu na widelec i przeżuł go w ustach.

- Chcę się z nim spotkać – powtórzył Jonah z naciskiem.
- Zobaczę, co da się zrobić.
- A z jego ojcem?

– To stary człowiek o słabym zdrowiu. Przebywa w swojej willi na wyspie Spetses.

Prawie jej nie opuszcza.

Lekarze zabronili mu przyjmować gości.

– Może zgodziłby się na spotkanie, gdybym zadzwonił na policję i powiedział, że jego syn porwał moją żonę.

- Nie rób tego.
- Ponieważ znalazłbyś się w kłopotliwym położeniu?
- Ponieważ skończyłbyś w więzieniu lub został deportowany z kraju.

Maroussis jest najbogatszym człowiekiem w Grecji, a funkcjonariusze policji nie otrzymali wypłaty od pięciu miesięcy.

– Powiedział to rzeczowym tonem, bez cienia emocji. Chwilę później zebrał naczynia i zaniósł je do zlewu.

Wyciągnął parę żółtych rękawic kuchennych i naciągnął na palce. Te rękawice były najjaśniejszą rzeczą w mieszkaniu, jak pierwsze żonkile po surowej zimie.

- Załatwię ci spotkanie z Arim.

Rozdział 25

*Jak dowieść, że nie śpimy? Że wszystkie nasze myśli nie są tylko snem?
Albo, że jesteśmy przytomni i naprawdę ze sobą rozmawiamy?*

Platon, *Teajtet*

Zanim otworzyłem oczy, wiedziałem, że Deotyma tu jest. Czulem w izbie zapach dojrzałych fig maskujący odór ciała.

Stała przede mną w długiej białej sukni. Tkanina tak mocno przylgnęła do jej ciała, że wydawała się naga, z wyjątkiem przepaski z gałązki bluszczu na talii.

Wyciągnęła rękę i postawiła mnie na nogi. Choć noc była ciepła, jej dłoń wydała się lodowata. Spojrzała na łóżko.

Jej marmurowa twarz drżała.

– Musimy go zabrać. Zostało niewiele czasu.

– A strażę? – Leżałem godzinami na kamiennej posadzce, nie mogąc zasnąć.

Wysłuchiwałem się w odgłos kroków, regularny jak bicie serca, i nawoływanie strażników, którzy zmieniali się co godzinę. Ostatnia warta zaczęła się ledwie pięć minut temu.

– Pomóż mi – rzekła.

Nie zapytałem, jak się tutaj dostała, ponieważ we śnie nie miało to znaczenia. Ująłem Agatona pod pachy, ona podniosła nogi. Wydawał się znacznie lżejszy niż wówczas, gdy zabierałem go spod studni.

– Dokąd go zaniemiemy?

– Do miejsca odpoczynku.

Na zewnętrznym dziedzińcu czekał wóz. Wysoki niewolnik o nagim torsie pomógł nam ułożyć ciało Agatona na skrzyni, po czym chwycił za dyszel.

Poruszał się szybko, wdzięcznym truchtem, który przywiódł mi na myśl centaura. Deotyma i ja poszliśmy w ślad za nim.

– A strażę? Jak miniemy bramy?

Deotyma poruszała się jak światło księżyca, przemykała dziedzińcami i krużgankami niezatrzymywana przez nikogo. Przechodziła obok świątyń, lwów i zbrojowni, w których drzemała potęża Dionizjosa. Koła wozu owinięto szmatami, aby nie wydawały żadnego dźwięku.

Dotarliśmy do pierwszej bramy o masywnych wrotach sięgających nieba. Deotyma

szepnęła coś strażnikom, którzy bez szemrania odsunęli rygle.

Brązowe zawiasy drgnęły i drzwi się rozwarły, otwierając przed nami ziejącą przepaść.

Stało się tak trzykrotnie. W końcu opuściliśmy wyspę i weszliśmy do miasta. Uliczką przebiegł bezański pies, być może ścigając szczura.

W konarach platanów na agorze pohukiwała sowa. Poza tym zaułki Syrakuz były puste.

Szliśmy przed siebie w bezbrzeżne mroczne nieznane. Oś piszczała, koła wydawały cichy skrzyp. Miasto zostało w tyle. Zewsząd otoczył mnie krajobraz rozświetlony gwiazdami – majaczące w oddali cienie wskazywały wzgórza, pola i drzewa. Prosty świat.

Później ukazał się ogień. Dostrzegłem go z oddali niczym świeczkę przez otwarte drzwi. Kiedy się zbliżyliśmy, rozszczepił się w konstelację małych światełek. Grupa ludzi stała kołem w gaju topoli. Mieli zakryte twarze i długie białe szaty. Każdy trzymał lampę przy piersi jak płonące serce. Ich widok sprawił, że pomyślałem o Odysei – o Homerowym „zwiewnym, ulotnym tłumie postaci ze snu”. Zjawy mnie jednak nie przeraziły. Pochylały się z czcią, zamiast dyszeć żądzą krwi. Nie były pełne zazdrości, ale pojednane ze światem.

Wóz z ciałem Agatona zatrzymał się w środku kręgu. Niewolnik zniknął.

Wstąpiłem w puste miejsce kręgu i zdałem sobie sprawę, że go zamknąłem. Jakies dłonie okryły mnie szatą i włożyły lampę do ręki, choć moja twarz nie została zakryta.

Deotyma wzniosła ramiona i zaintonowała modlitwę na cześć bogini. Ktoś założył jej na głowę wieniec wysadzany klejnotami, wyobrażający złote liście ozdobione owocami granatów i pereł.

Panno, która łączysz ten świat z wiecznością, Nieśmiertelna, błogosławiona i łaskawa, Ziemi o obfitych piersiach, słodkich równinach i polach, i wonnych łąkach Zakwitających w życiodajnych deszczach.

Wokół ciebie wirują gwiazdy, wieczne, piękne i boskie.

Przyjdź, błogosławiona bogini, i wysłuchaj modłów swoich dzieci.

W jej dłoniach mignęło coś złotego.

Pochyliła się i położyła ten przedmiot na języku Agatona. Światło lamp sprawiło, że rozbłysnął w jego ustach niczym ostatni węgielek życia. Pomyślałem o naruszonym grobowcu w Tarencie i złotej tabliczce, którą ukradł. Teraz grób odzyskał go z powrotem.

Czy znalazł to, czego szukał?

Tylko ci, którzy zapłacili Persefonie Za dawny ból i cierpienie, Tylko ich dusze wyszły W dziewiątym roku Do słonecznego świata w górze.

Z ich dusz powstaną królowie o dumnym sercu, Szybcy i mocni, najmędrsi z mądrych.

A ludzie przez resztę dziejów Będą ich sławić jako bohaterów i mieć we czci.

Włożyła wieniec z mirtów na jego głowę. Sześciu mężczyzn wkroczyło do środka kręgu, niosąc glinianą trumnę.

Postawili ją obok wózka i złożyli w niej ciało. Wystąpiłem naprzód, żeby im pomóc, ale Deotyma spojrzała na mnie, jakby chciała rzec: „Zostań tam, gdzie jesteś!”.

Kiedy ciało Agatona znalazło się w środku, dziewczyna przyniosła szeroki krater wypełniony czymś przypominającym popiół.

Deotyma wzięła garść i posypała trumnę.

Ujrzałem wówczas liście oliwki i topoli zmieszane z ziarnem jęczmienia, które zastukało o dno.

Sześciu mężczyzn zamknęło wieko i umieściło trumnę na ramionach. Ludzie prze-
rwali krąg, żeby ich przepuścić, następnie ruszyli za nimi. Pochód zaczął się oddalać.
Zostałem sam z Deotymą.

– Czy powinienem pójść za nimi?

– Jeszcze nie.

Ujęła moją dłoń. Staliśmy obok siebie w miejscu, gdzie znajdował się środek kręgu,
i patrzyliśmy, jak lampy gasną.

Ich światło osłabło i nagle zniknęło, jakby pochłonęła je ciemna otchłań.

Z drogi powrotnej zapamiętałem jedynie szum wiatru i dźwięk zamykanych drzwi.
Później znalazłem się w izbie. Deotyma była ze mną, stała blisko.

– Czy wiesz, co widziałeś tej nocy?

Wiesz, dokąd się udałeś?

Niczego nie rozumiałem.

– Ten przedmiot, który umieściłaś w jego ustach... Czy to złota tabliczka?

– Będzie jej potrzebować w podróży.

– Przecież zabrał ją Dionizjos.

Czy...?

– Oprócz niej są inne.

Nad morzem ukazał się pełny księżyc, oświetlając nas swoim blaskiem wpadającym
przez otwarte okno.

Deotyma spojrzała na mnie jak krawiec odmierzający materiał na odzienie.

– Znalazłeś Agatona – powiedziała.

– Tak.

– Czego będziesz teraz szukać?

– Nie wiem.

Pomyślałem, że udzieliłem niewłaściwej odpowiedzi, ponieważ Deotyma cofnęła
się w cień, stając się prawie niewidoczna. Jej dłonie błysnęły w blasku księżyca, pod-
nosząc się ku szyi. Usłyszałem, że coś brzęknęło o posadzkę. Czyżby zniknęła?

Uczyniła krok naprzód, ukazując się ponownie w bladej poświacie. Była naga. Są-
dziłem, że widziałem wszystko w domu Demosa, ale dopiero teraz pojąłem, jak wiele

zdołała ukryć jej zwiewna szata. Tkanina zamazywała linie, zasnuwała rzeczywistość jak dym.

Teraz każdy milimetr jej ciała był czysty i wyraźny. Gdybyś zdołał podejść do bogini i zedrzeć z niej olimpijskie szaty, ujrzałbyś pewnie podobny widok, ale nie zdołałbyś przeżyć, żeby o tym opowiedzieć.

Rozwiązała mi pas, ściągnęła tunikę przez głowę i cisnęła na bok. Oparła dłonie na moich ramionach i opuściła na kolana. Całowałem jej brzuch, biodra i uda, ona zaś wplotła palce w moje włosy i poruszała głową tam, gdzie chciała.

Opadła na kolana i siadła na mnie okrakiem. Kiedy wsunęła mi pierś do ust, ugryzłem sutek, a ona westchnęła gwałtownie. Pchnęła mnie na podłogę.

Gdy spoglądałem na nią w świetle księżyca, jej ciało wydawało się nieskazitelne – najpiękniejsze z rzeczy, które widziałem.

Wślizgnąłem się w nią, gdy zaś na mnie napała, ziemia się poruszyła.

Świat odpłynął, a ja stanąłem na bezbrzeżnej plaży pozbawionej morza, pod bezchmurnym niebem. Rozejrzałem się daremnie w poszukiwaniu cienia, nie rzucała go bowiem nawet moja postać.

Niebo miało piękną niebieską barwę, ale nie dostrzegłem słońca. Widać było jedynie światło.

Deotyma się odchyliła, opierając ręce na posadzce. Oplotła mój tułów kolanami i napała, wsuwając się na mnie i kołyszac do tyłu. Po mojej piersi spływał pot. Przenikały mnie linie światła. Spojrzałem na nią: odchyłona głowa, obnażone zęby, włosy opadające na plecy, oczy zamknięte jak w transie.

Pchnęła mnie na podłogę. Nachyliła się, trąc sutkami o moją pierś i pokrywając twarz pocałunkami.

Jaskrawe kolory przepływały mi przez głowę, jakby wymalowała je wprost na moich oczach. Skóra była tak napięta, że stałem się instrumentem rezonującym jak lira. Rozbrzmiewały we mnie wszystkie dźwięki świata – szalona górską muzyka, przy której tańczy bachantki.

Wiłem się i skręcałem uwięziony między jej udami. Uderzałem piętami o kamienną posadzkę.

Wbiłem paznokcie w jej boki aż do krwi, ale nie puściła. Uśmiechnęła się do mnie, wtedy poczułem się tak, jakbym nagle zrozumiał wszystko, co pragnąłem pojąć.

Dusza wezbrała w moim wnętrzu tak, że ciało nie mogło jej pomieścić.

Zadrzałem konwulsyjnie.

Spazm rozerwał mnie jak grudę gliny uderzoną młotem. Skorupa ciała pękła, w środku ukazała się zaś postać jakby śpiącego dziecka, lśniąca białym światłem czystego złota. Nieskazitelne piękno.

Deotyma poruszyła się z jękiem, który wydawał się dobywać z głębin ziemi.

Chwyciła mnie za włosy, pociągnęła w górę i ukryła twarz w swoich piersiach.

Oplotłem ramionami jej plecy i przywarłem do niej z całej siły. Moje ciało było pustą łupiną. Kiedy oparła moją głowę na swojej, pogrążyłem się w ciemności. Jej piersi dotknęły moich ust i na języku poczułem lepki, mleczny smak fig.

Dobiegło mnie ciche westchnienie, które brzmiało niemal jak śmiech.

Rozdział 26

JONAH – ATENY

Stał na ziemi jałowej – czerwonej pustyni usłanej śmieciami i kawałkami blachy. Wokół wznosiły się chwiejne stosy zardzewiałych samochodów, dalej niż sięgał wzrokiem, niemal do chmur.

Z góry sypał się rzadki suchy popiół.

Nad jego głową rozległ się ryk silników. Płonący samolot leciał w dół, wlokąc za sobą czarny obłok dymu. Na pokładzie była Lily – musiał go zatrzymać, zanim uderzy o ziemię.

Zaczął się wspinać na jeden ze stosów, ten jednak tak bardzo się kołysał, że go spawalniał. Samolot w dalszym ciągu spadał – był coraz niżej i niżej – wirując niczym ziarenko topoli na wietrze...

Kiedy otworzył oczy, słońce stało wysoko, a Adam zniknął.

Na granitowym blacie leżała biała wizytówka z wiadomością skreśloną na odwrocie.

Przyjdź do biura o czternastej. Ari cię przyjmie.

Adres znajdował się z przodu wizytówki, pod logo Fundacji Eikasia i nazwiskiem Adama.

Dyrektora programowego.

Pod nazwą zajmowanego stanowiska Adam napisał: Sprawuję nadzór Jonah nie pamiętał, żeby Adam kiedyś żartował.

Czy sprawowałeś nadzór nad porwaniem Lily? Myśl o jego udziale w porwaniu Lily wydała się obłąkana.

Wypowiedział ją na głos, żeby sprawdzić, czy nie nabierze sensu, ale zdołał pomyśleć jedynie o szpitalu w Ejo, trupio bladej twarzy Lily i Adamie siedzącym przy jej łóżku.

Wtedy ocalił jej życie. Kochał ją.

Dziesięć lat temu.

Próbował pomyśleć o Ren, ale poczuł się tak, jakby opisywał muzykę, której nigdy nie słyszał. Przypomniał sobie historię, którą mu opowiedziała, o tym, jak Zeus zdradził córkę (która była także jego siostrzenicą), oddając ją swojemu bratu Hadesowi.

To wszystko jest odrobinę kazirodcze.

Adres podany na wizytówce znajdował się przy długiej ulicy biegnącej w stronę du-

żego placu w pobliżu mieszkania Adama. Zanim dotarł na miejsce, poczuł, że coś jest nie w porządku. W powietrzu unosił się czarny, zalatujący chemią dym, który powodował, że słońce miało czerwoną barwę, jemu zaś ciekło z nosa.

Okna siedziby Fundacji Eikasia były zasłonięte okiennicami do trzeciego piętra, jak każdego budynku w okolicy.

Cała ulica – jeden z głównych bulwarów przecinających centrum Aten na odcinku dwóch kilometrów – była pusta. Pusta jednak nie w znaczeniu „cicha”, tylko „wyludniona”. Z oddali dobiegł go łoskot, jakby z góry spływała ściana wody, nabierając rozpędu z każdą sekundą.

Co to za dźwięk? W jego głowie rozległ się utwór zespołu Buffalo Springfield, ostrzegając, żeby się oddalił – dwie upiorne nuty powtarzane złowrogo jedna po drugiej. Nacisnął przycisk domofonu, ale nikt nie odpowiedział.

Zapukał do drzwi.

Zrozpaczony podniósł pustą puszkę po coli ze starty śmieci na krawężniku i rzucił w okiennicę. Odbiła się z pustym brzękiem, ale nikt nie zareagował.

Wyciągnął komórkę – nadal żadnych nieodebranych telefonów, żadnych esemesów – i zadzwonił do Adama.

– Skąd dzwonisz? – spytał Adam.

– Sprzed twojego biura. Gdzie jest Ari Maroussis?

– Żartujesz? Gdyby tam pojechał, tłum powiesiłby go na najbliższej latarni.

– Tłum?

– Demonstranci. – Kliknięcie, jakby zapadka trafiła na właściwe miejsce. – Nie dostałeś mojej wiadomości? Musisz natychmiast stamtąd odejść. Szykuje się niezła rozróbka.

Nagle zza rogu wyłoniła się fala wcześniej zasłonięta przez budynek – ściana ludzi z czerwonym transparentem rozciągniętym na czole pochodu jak łyżka buldożera.

Nad głowami powiewały chorągiewki, na których wymalowano gniewne hasła, sierpy i młoty oraz zaciśnięte pięści.

Jonah wsunął komórkę do kieszeni.

Gdyby się przyjrzał dowolnej osobie w tłumie, nie zauważyłby niczego groźnego.

Większość przypominała emerytów, którzy wyszli na niedzielną przechadzkę: mężczyźni o schludnych białych wąsach i w tweedowych marynarkach, wdowy ubrane w czarne suknie i chusty. Nie wyglądali na rewolucjonistów.

On jednak widział, do czego jest zdolny tłum – podczas wielkiego festiwalu w Holandii – gdy sytuacja wymknie się spod kontroli.

Był świadkiem tego, co ludzka masa może zrobić z przeszkodą, która stanie na jej drodze. Demonstranci wypełnili ulicę jak woda rurę. Nie było sposobu, żeby przecisnąć się obok, żadnego wejścia prowadzącego do zamkniętego sklepu, w którym mógłby się ukryć. Pozostała mu jedynie ucieczka.

Przecznicę dalej ulica wychodziła na szeroki plac przypominający pole bitwy.

Na rozerwanym chodniku leżały gruzy, jakby doszło do wybuchu, a rosące nieopodal platany nie dawały cienia, ponieważ ich liście i konary zostały spalone. Przed wejściem do gmachu parlamentu, kawałek dalej, zgromadził się tłum: kolejne okrzyki, kolejne sztandary oraz megafony zniekształcające i wzmacniające wściekłość.

Kordon policjantów w białych hełmach spoglądał na demonstrantów ze schodów, tworząc mur z akrylowych tarcz.

Jonah poczuł zawroty głowy, jakby stanął na krawędzi ogromnej czaszy.

Owionęła go ciepła fala spalin. Gdyby ktoś rzucił zapalną...

Demonstranci byli coraz bliżej.

Skręcił w lewo, szukając drogi ucieczki.

Przez chwilę zupełnie się pogubił. Tłum ukazał się ponownie, sunąc jak fala w poprzek ulicy i napierając w kierunku placu. Potarł oczy i poczuł pieczenie, jakby coś go użądliło. Odwrócił się.

Protestujący byli coraz bliżej. Jeszcze raz spojrzął za siebie. Tu również byli.

Przez łzy zauważył, że ci niosą żółty sztandar. Czy drugi nie był czerwony?

Nie miał czasu na rozmyślenia. Oczy go piekły, ale wiedział, że jeśli ich dotknie, będzie dziesięć razy gorzej.

Dym i łzy przysłoniły świat. Zdawał sobie sprawę, że jeśli będzie tkwił na miejscu, zostanie zmiażdżony.

Z boku budynku dostrzegł małą uliczkę oraz znak w języku greckim i angielskim dla turystów.

Plac Konstytucji Trzymaj się z daleka od gmachu parlamentu na placu Konstytucji – powiedział Adam, później zaś sam go tam posłał. Teraz nie miał wyboru.

Plac otaczała jezdnia z pięcioma pasami ruchu, ale jedynym śladem obecności samochodów były płonące opony. Jonah przebiegł ulicę, starając się nie potknąć o rozrzucone kamienie. Znalazł się u stóp drzewa rosnącego obok pustej fontanny. Może woda wyschła. Za nim na plac wwały się czerwone i żółte sztandary, powiększając tłum zgromadzony przed gmachem parlamentu. Ryk się nasilił dwukrotnie, później trzykrotnie. Kolejne megafony przyłączyły się do zgiełku, zwiększając głośność do niespotykanych zakresów.

Przez harmider przebił się dźwięk tłuczonego szkła. Jonah ruszył w jego stronę. Z rozbitej butelki leżącej trzydzieści metrów dalej wystrzeliły płomienie, jakby pękła rura z gazem.

Koktajl Mołotowa – odpowiedział mu mózg, ale nie zdołał przekazać tej informacji nogom. Mógł się jedynie przyglądać, jak gromada młodych mężczyzn w dzinsach, kominarkach i maskach gazowych biegnie przez plac, żeby dołączyć do tłumu. Kto zabiera maskę gazową na demonstrację?

Niektórzy z protestujących usiłovali ich odepchnąć, ale mężczyźni w kapturach

przedarli się na czoło pochodu. Błysnęły iskry. Płonące butelki poszybowały w powietrzu, rozbijając się na stopniach parlamentu.

Kolejne płomienie.

Z prawej strony dobiegł go głuchy wystrzał przypominający odgłos wyjmowanego korka.

Nagle sytuacja uległa zmianie.

Kordon policji ożył i ruszył w kierunku demonstrantów. Pałki poszły w ruch.

Obłoki żółtego dymu podniosły się w południowym wietrze, gdy pojemniki z gazem łzawiącym wylądowały na ziemi. Krzyki przerodziły się w jęk bólu.

Choć pojedyncze megafony nadal wypluwały słowa protestu, tłum poszedł w rozsypkę. W jednej chwili ludzka ściana rozpadła się na tysiące spanikowanych fragmentów.

Może właśnie takie uczucie towarzyszy tonięciu, ale morskie fale są silne i jednostajne, Jonaha ogarnął zaś chaos – stał się jednym z tysięcy ludzi, którymi kierowało przerażenie.

Z jego pamięci wynurzyło się kolejne słowo: „ukierunkowanie”. Fale, które nim miały, nie były przypadkowe.

Jakaś inteligentna siła eliminowała kolejne możliwości, kierując tłumem za pomocą pałek i gumowych kul. Zaganiali ich. Przez obłoki dymu ujrzał mroczną paszczę podziemnej stacji metra. Tłum demonstrantów, który zatarasował schody, był tak gęsty, że nie można było rozpoznać poszczególnych osób, a jedynie ciała, kończyny i głowy. Czy w ogóle mieli czym oddychać?

Niektórzy próbowali się wydostać, ale policjanci wpychali ich do środka, jak króliki do worka. Inni utworzyli kordon wokół schodów, przypatrując się zamieszaniu.

Maski gazowe powodowały, że mieli wylupiane oczy i twarze przypominające ryj – jakby demony z zaświatów przybyły, żeby się rozerwać.

Ogarnęło go przerażenie, podświadoma pewność, że jeśli zejdzie, nigdy nie wydostanie się na powierzchnię.

Policjant w białym hełmie pochylił się nad barierką, skierował pistolet w dół i wystrzelił granat łzawiący do tunelu. Obłok dymu buchnął na zewnątrz. Tłum zafalował konwulsyjnie, ale presja była zbyt wielka. Ludzie mogli się poruszać wyłącznie w jedną stronę.

Zawrócił. Wiedział, że idzie we właściwą stronę, gdy miał przed sobą inne twarze: zakrwawione, mokre od łez, wykrzywione z bólu. Obok niego przesuwwały się legiony umarłych.

Zaatakował, wymachując rękami jak pływak, ale za jeden krok naprzód płacił dwoma krokami wstecz.

Gaz łzawiący był tak gęsty, że ledwie oddychał. Miał ściśnięte gardło, ciekło mu z nosa, oczy piekły niemilosiernie.

Nie zamknął ich, żeby widzieć, dokąd zmierza, gdyby to bowiem uczynił, choćby na

chwile, zostałyby wessany do otworu. Jego płuca bolały tak, jakby za chwilę miały wybuchnąć. Zdarł T-shirt i zasłonił twarz, jak inni.

W tłumie powstała wyrwa, jakby ktoś upadł na ziemię. Kobieta o długich kasztanowych włosach leżała na plecach. Próbowwała wstać, ale tłum przewracał ją ponownie. Pomyślał, że gdyby okazał się dość szybki, mógłby do niej dotrzeć, nabrać rozpędu przed zderzeniem z tłumem.

Kobieta zwinęła się na ziemi, przybierając pozycję płodu. Mimo dymu spostrzegł pasemko włosów na policzku.

Przez ułamek sekundy miał wrażenie, że nie patrzy na nieznajomą, ale widzi Lily skuloną na łóżku.

Zebrał się w sobie i przepchnął ku niej, stając w rozkroku i osłaniając ją własnym ciałem. Tłum nieprzerwanie napierał. Przez chwilę myślał, że upadnie i zginie razem z nią, ale wytrzymał.

Poruszająca się masa wyczuła przeszkodę i nieznacznie zmieniła kierunek, podążając drogą najmniejszego oporu. Dźwignął ją.

Wyglądała na otumanioną. Zaczęła odpływać w kierunku wejścia do jaskini, Jonah chwycił ją jednak za ramię i pociągnął za sobą. Torował im drogę, podtrzymując jedną ręką kobietę, drugą zaś przyciskając T-shirt do ust i nosa. Ścisk uległ zmniejszeniu, posuwanie się naprzód było więc łatwiejsze. Nawet powietrze wydawało się czystsze, ale substancje chemiczne nadal piekły go w twarz.

Ucieczka nie była jednak łatwa. Za pochodem szli policjanci z pałkami i tarczami, depcząc protestującym po piętach i pędząc ludzi jak demony. Jeden z nich spostrzegł Jonaha i ustąpił mu drogi, jakby chciał go przepuścić. Na pół oślepiiony Jonah nie wyczuł podstępów. Uderzenie kompletnie go zaskoczyło. Demon wykonał zamach i trafił go pałką w biodro. Ciało eksplodowało bólem. Krzyknął i puścił ramię kobiety. Próbował oddychać, ale gaz wykrzywił mu usta i nic nie dotarło do płuc.

Runął na kolana, czując, jak okuty żelazem bucior kopie go w bok.

Z trudem otworzył oczy i spostrzegł, że demon unosi pałkę nad jego głową.

Chciał się zasłonić, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

Nagle w powietrzu poszybował ognisty pocisk, trafiając tamtego w głowę. Szkło pękło, twarz ogarnęły płomienie.

Wrzask człowieka uwięzionego w płonącej gumowej masce nie jest czymś, co można zapomnieć. Jonah patrzył, jak policjant się zatacza, próbując zerwać maskę blokową przez hełm używany podczas tłumienia rozruchów. Po chwili nadbiegli czterej ludzie w czarnych T-shirtach, powalili go na ziemię i zaczęli kopać. Kiedy inni funkcjonariusze ruszyli na pomoc koledze, ten zniknął w obłoku pięści, pałek i gazu.

Jonah podniósł się i zaczął uciekać.

Rozdział 27

Nikt nie twierdzi, że współżycie cielesne jest jedyną rzeczą, której oczekują od siebie kochankowie.

Widać ich dusza pragnie czegoś więcej, ale nie potrafią ująć tego w słowa, więc krążą wokół, gmatwając się w zagadkach.

Platon, *Uczta*

Leżałem na łożu. Bolał mnie każdy mięsień, jakbym brał udział w zapasach.

Miałem siniaki na ramionach i guza na potylicy – w miejscu, gdzie uderzyłem o podłogę. Pomacałem, żeby sprawdzić, czy nie krwawię.

W chwili gdy dotknąłem głowy, sen powrócił. Deotyma. Jej ciało splecione z moim ciałem. Moje ciało z jej.

Poczerwieniałem. Pierwszy raz od dziesięciu lat na mojej twarzy pojawił się uśmiech.

Przypomniałem sobie resztę snu i rozejrzałem się wokół. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że leżę na łożu, na którym wcześniej spoczywało ciało Agatona. Byłem sam. Zwłoki zniknęły.

Odrzuciłem prześcieradło i stanąłem na podłodze. Byłem nagi. Potarłem palce i poczułem zapach fig. W kącie izby leżały mój pas i zwinięta tunika. Tam, gdzie je rzuciłem.

To wszystko nie mogło być snem, ale czy wydarzyło się naprawdę?

Pamiętałem nagłe przybycie Deotymy, wysokie bramy otwierające się przed nami i niewolnika ciągnącego wóz.

Przecież nie wydostalibyśmy się z Ortygii, nie wspominając o powrocie.

Co jednak stało się z Agatonem?

I dlaczego moja skóra była posiniaczona, jakbym stoczył dziesięć walk, na dodatek wszystkie wygrywając?

Podskoczyłem, słysząc skrzypnięcie drzwi. Niezależnie od tego, co się stało ostatniej nocy, czułem się oczyszczony.

Moje uszy słyszały, oczy widziały, skóra odbierała nowe doznania.

Świat wydawał się jaśniejszy, głośniejszy i bardziej realny. Jakbym przed chwilą się na nim pojawił.

Eufemos uchylił drzwi i zajrzał do środka. Podczas gdy ja wydawałem się młodszy,

on sprawiał wrażenie starszego: jego skóra stała się obwisła, oczy pogrzyżyły się w oczodołach. Jakby duch mieszkający w jego ciele został przebity i zapadł się w sobie. Nawet jego srebrzysta grzywa oklapła.

Otworzył usta, żeby coś rzec, ale zrezygnował, widząc moje puste łóżko.

– Co się stało z Agatonem?

Sam chciałem to wiedzieć.

– Pochowałem go.

Eufemos spojrział na otwarte okno, jakby się zastanawiał, czy zdołałbym przecisnąć przez nie ciało.

– Jak się czujesz?

Nie potrafiłbym tego wyjaśnić.

– Znakomicie.

Nie uwierzył mi.

– Co zrobili Agatonowi...

– Czuję się znakomicie

– powtórzyłem tak głośno, że Eufemos się cofnął.

– Dionizjos kazał ci powiedzieć, żebyś się wziął za nauczanie jego syna.

Jeśli tego nie...

Nie obchodził mnie Dionizjos i jego tępy synalek. Nie obchodził mnie nawet Agaton. Mogłem myśleć wyłącznie o Deotymie. Moja dusza dygotała jak gwałtownie pulsująca tętnica.

Eufemos źle zrozumiał moją ociężałość.

– Wiem, że jesteś wzburzony, ale...

Wzburzony?

– ...jeśli chcesz żyć, lepiej naucz chłopaka czegoś z Homera, dopóki tyran się nie znudzi i nie puści cię wolno.

Pewnie, że chciałem żyć. Jakże inaczej mógłbym liczyć na ponowne ujście Deotymy?

Eufemos poprowadził mnie korytarzami pałacu. Czuję doń niechęć, ponieważ pragnąłem świętego spokoju, żeby móc się zająć własnymi uczuciami.

– Pewnie jesteś rad, że czujesz się u tyrańcy jak w domu – zauważyłem zjadliwie.

Myślałem, że zignoruje moje słowa, ale Eufemos zrównał się ze mną i przysunął usta do mego ucha.

– Chcę ci pomóc – syknął. – Pyskujesz w obecności Dionizjosa, grasz pod publikę dla własnej satysfakcji. Może dzięki temu poczujesz się lepszy od pozostałych, ale nie rozwiązałeś żadnego problemu. Jeśli naprawdę pragniesz coś zmienić, pomścisz Agatona...

– Przerwał, ponieważ zza rogu wyszła grupka urzędników. – Pogadamy później.

Mój podopieczny już czekał w bibliotece.

Wyglądał na rozczarowanego moim widokiem, odmówiono mu bowiem przyjemności patrzenia, jak wloką mnie do kamieniołomu w kajdanach. Sięgnąłem po pierwszą rzecz, która wpadła mi w ręce – myślę, że był to zwój z Niobe Ajschylosa – i kazałem młokosowi czytać.

Później poprosiłem bibliotekarza, żeby przyniósł mi księgę O naturze Empedoklesa. Spojrzał na mnie z powątpiewaniem, ale słudzy tyranów nie nawykli do nieposłuszeństwa.

Stałem przy pulpicie obok okna i zacząłem rozwijać zwój, udając, że czytam i nie widzę, jak młody Dionizjos gryzmoli trierę na marginesie księgi.

Jeśli nigdy nie czytałeś Empedoklesa, wyjaśnię, że jego język bywa trudny. Żył on na Sycylii pięćdziesiąt lat temu, jedno pokolenie po Parmenidesie i dwa pokolenia po Pitagorasie. Podobnie jak Parmenides napisał swój traktat, prześmiewczo naśladując poezję Homera, co może uczyniło jego tekst bardziej kwiecistym, ale nie przysłużyło się jasnemu wyrażeniu myśli. A trzeba dodać, że nigdy nie należały one do najjaśniejszych.

Kilka ustępów zaznaczono inkaustem.

Wywiedziesz suszę z burzy, A z suszy strumienie spływające z nieba.

Z Hadesu wyprowadzisz duszę umarłego.

I kolejny: Zewsząd otacza ich jasne i ciepłe słońce, Wszyscy nieśmiertelni są skapani w jego jasności.

A po nim jeszcze jeden, na sam koniec: Oto ścieżka, którą stąpałem, daleki od szczęśliwości: Tułacz wypędzony z nieba.

Obok ostatnich słów ktoś skreślił na marginesie: Trzymaj się od tego z daleka.

Spoglądałem na nie ze zdumieniem.

Litery wyglądały tak, jakby wyszły spod ręki Agatona, ale nie miałem pewności.

Dlaczego tu wrócił, ryzykując życie? Co miał nadzieję znaleźć?

A może przybył, żeby kogoś ostrzec?

– Jak się sprawuje uczeń dzisiejszego ranka?

Głos sprawił, że podskoczyłem.

Odwróciłem się z miną winowajcy, odsuwając rękę od zwoju, który złożył się z trzaskiem. Dion wszedł do izby i zajrzał chłopcu przez ramię.

– Robi postępy. – Kątem oka spostrzegłem, że szczególnie dobrze idzie mu rzeźbienie scyzorykiem sprośnych scen na półce. – Pracuje nad Ajschylosem.

– Naprawdę?

– „Bogowie zaszczepiają wady w wielkim mężu, gdy pragną zniszczyć jego ród” – wyrecytował chłopak, uśmiechając się niewinnie do wuja i łypiąc mściwie w moją stronę, gdy ten nie patrzył.

Skrzywiłem się, żałując, że nie wybrałem czegoś bardziej niewinnego.

– A ty? Cóż czytasz? – Dion odwrócił głowę, żeby przeczytać wstążkę umieszczoną na końcu zwoju.

- Empedoklesa?
- Pomyślałem, że powinienem wybrać coś sycylijskiego.
- Czy wiesz, że Empedokles rzucił się do wnętrza wulkanu? – spytał Dion.

Słyszałem tę historię, ale mu nie przerwałem.

Wyczułem, że Dion przybył, aby ogłosić pokój po wczorajszym dniu, ja zaś nie chciałem dłużej się z nim droczyć.

– Oznajmił uczniom, że stał się bogiem, po czym wspiął się na Etnę i rzucił się do krateru.

Krater. Pomyślałem o kraterze, który Deotyma trzymała w moim śnie, rozrzucając zeń liście i ziarno.

O kraterze, z którego piliśmy na uczcie u Demosa, kiedy gromada mężczyzn bez serca rozprawiała o miłości. A później o księdze pod tym tytułem, którą Agaton próbował nabyć.

Dion czekał, żebym coś rzekł.

– Nigdy nie widziałem wulkanu z bliska. Zastanawiam się, czy krater naprawdę wygląda jak kielich.

Uśmiechnął się do mnie.

– Kiedyś cię tam zaprowadzę, żebyś mógł zobaczyć.

– Czy to bezpieczne?

– Tak, jeśli nie zamierzasz uczynić się nieśmiertelnym. Jak pewnie wiesz, wszystkim, co zostało po Empedoklesie, był jeden brązowy sandał. Widziałem to miejsce – dodał, dumny, że posiada osobiste doświadczenia, które mogą przydać pikanterii opowieści. – Nie jest on tak wysoki, jak mogłoby się zdawać.

– Słyszałem, że góra wypłula ten sandał, ponieważ nie mogła go strawić.

Twarz Diona posmutniała.

– Wiedziałem, że znasz tę opowieść.

– Tylko we fragmentach

– pocieszyłem go. – Chętnie zobaczę to miejsce, jeśli Dionizjos wypuści mnie z zamku.

– Właśnie w tym celu przyszedłem.

Zgodził się, żebym cię tam zabrał dziś po południu.

– Na Etnę?

– Popłyniemy łodzią.

Zeszliśmy do bramy wodnej i popłynęliśmy łodzią z wiosłami w kierunku południowej zatoki, sterując między statkami handlowymi i frachtowcami stojącymi na kotwicy.

Sponad lin opasujących kadłuby spoglądały na nas wymalowane oczy, nadające nawom wygląd monstrualnych ryb, które wynurzyły się z głębin.

Z pokładów dobiegały strzępy rozmów.

Żeglarze dowcipkowali, śpiewali i opowiadali historie, czekając na pomyślny wiatr.

Niektóre głosy miały ateńskie brzmienie.

Pierwszy raz w życiu zatęskniłem za domem.

– Jestem zdumiony, że Dionizjos okazał tyle ufności, żeby mnie wypuścić z pałacu – rzekłem, przesuwając dłonią po wodzie.

Dion się uśmiechnął.

– Musiałem dać słowo, że wrócisz.

Wyjąłem rękę z wody i otarłem o skraj tuniki.

– Dzięki za uprzejmość.

– Nie był to mój pomysł.

– Jego? – Takie przypuszczenie nie miało najmniejszego sensu. – Czyj?

– Sam zobaczysz.

Wypłynęliśmy z zatoki i powiosłowaliśmy do ujścia rzeki, która ją zasila. Magazyny ustąpiły miejsca najpierw gospodarstwom, później polom i lasom. Pochyliłem się do tyłu, wdychając zapach drzew i odór płynącej leniwie rzeki. Pewnie byłem rad, że opuściłem pałac, ale tego dnia prawie tego nie spostrzegłem. Podczas każdej przerwy, każdej chwili milczenia myślałem wyłącznie o Deotymie.

Promienie słońca ogrzewały zwisające nad wodą liście i sprawiały, że moje ubranie nasiąkało potem. Dzikie figi rosnące na brzegu drażniły mnie zapachem wspomnień.

Łódź skręciła do brzegu. Pomyślałem, że się rozbijemy, ale w ostatniej chwili dostrzegłem wąski kanał ukryty w zaroślach. Przywarłem płasko do dna, gdy otarły się o nas gałęzie wierzby.

Kiedy je minęliśmy, podniosłem głowę.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła moją uwagę, był kolor – błotnista woda zamieniła się w głęboki, majestatyczny błękit. Ujrzeliśmy małe jezioro otoczone ścianą zieleni. Było to piękne miejsce, kojące dusze. Na brzegu rosły topole, dzikie figowce i krzewy winnej latorośli. Ponad nimi wznosiły się rozłożyste i dostojny platan oraz wysoki niepokalanek pokryty kwieciami.

Fioletowe płatki jaśniały na tle nieba niczym barwne plamy, napełniając powietrze wonnością. U stóp drzewa wznosił się omszały ołtarz przechylony przez korzenie. Z posągów i wotów odgadłem, że jezioro było świętym miejscem jakiejś nimfy lub bogini.

Myślę, że domyśliłbym się tego nawet bez ołtarza.

Przy brzegu grupki nieznanymi roślina muskały wodę patykowatymi, pierzastymi liśćmi. Gdy podpłynęliśmy bliżej, zauważyłem, że mają dziwną łodygę o trójkątnym przekroju, twardą i woskową w dotyku. Ścisnąłem jedną w palcach.

– Delikatnie – rzekł Dion. – Pewnego dnia ta roślina uczyni cię nieśmiertelnym.

Pozwolił, żebym odgadł zagadkę, kiedy zaś tego nie zrobiłem, odpowiedział za mnie:

– To papirus.

Nacisnąłem ponownie, oczarowany dotykiem.

Spędziłem pół życia pochylony nad papirusem, ale jedynie w wysuszonych, przetworzonych arkuszach, które można kupić u sprzedawców książek. Roślina ta nie występuje w Grecji. Papirus był tak bujny i ożywiony, że czułem się niemal winny z powodu stron, które pokryłem swoją bazgraniną.

Łódź dotknęła dziobem brzegu i zgrabnie się obróciła. Dion wstał ze swojej ławy.

– Tutaj się rozstaniemy.

Spojrzałem na gęstwinię.

– Chcesz mnie zostawić?

– Będę na ciebie czekać nad rzeką.

– A jeśli nie wrócę?

Uśmiechnął się, ale dostrzegłem napięcie w jego oczach.

– Nie rób tego.

Ruszyłem z pluskiem przez płyciznę i wygramoliłem się na błotnisty brzeg.

Dion zaczął wiosłować do tyłu, aż łódź zniknęła w tunelu z trzcin. Zostałem sam z ptakami i owadami unoszącymi się nad niebieskim stawem. Woda sprawiała, że powietrze było świeże, a letnie bzyczenie wtórowało chórowi cykad.

Znalazłem kępę trawy, na której można skłonić głowę, i się położyłem.

Stąpała tak cicho, że nie usłyszałem jej przybycia. Wyczułem jej zapach, ale sądziłem, że to owoce jednego z dzikich figowców. Dopiero kiedy nastąpiła na trzcinę za moimi plecami i ją złamała, przewróciłem się na bok i ujrzałem jej postać w cieniu platanu.

Radość przepłynęła przez otwory, które uważałem za mocno zamknięte.

Nocne obrazy mnie przytłoczyły i nagle nabrałem pewności, że były to wspomnienia, nie zaś sny. Skoczyłem na równe nogi, przyciągnąłem ją do siebie i pocałowałem z całej siły.

Odsunęła się.

– Nie teraz.

Poczułem się jak Ikar pozbawiony skrzydeł i spadający na ziemię.

Usiadłem na twardej trawie. Deotyma położyła się obok i oparła głowę na moich kolanach. Tyle bliskości, ale nic więcej – zdawała się mówić.

– Poprosiłaś Diona, żeby mnie tu przywiózł?

– To uroczy chłopak. – Odwróciła twarz w stronę słońca i zamknęła oczy, ja zaś zaskipiałem z zazdrości. Bez trudu wyobraziłem sobie ją i Diona – dwa piękne ciała i jego młodą ciekawość niesytą jej tajemnicą.

– Dlaczego kazałaś mnie tutaj przywieźć?

– Chciałam cię zobaczyć.

Wyciągnąłem rękę, ryzykując pogładzenie jej policzka. Odwróciła głowę, muskając moje palce.

– Czy Dion wyjaśnił ci, gdzie jesteśmy?

Pokręciłem głową, czując dotyk jej warg na ręce.

– To tutaj Hades porwał Persefonę.

Spojrzałem w głęboką błękitną toń.

Miejsce wydawało się zbyt piękne na tak brutalne zdarzenie.

– Była z nią przyjaciółka, nimfa Kiane. Kiedy Kiane próbowała chwycić Persefonę, żeby ją ratować, Hades zamienił ją w źródło.

Jezioro było nieskazitelnie piękne i czyste – idealne miejsce zabaw dla dziewcząt. Wyobraziłem sobie króla podziemnego świata, jak skrada się przez zarośla z czerwonymi oczami płonącymi pożądaniem. Ujrzałem, jak porywa pannę, kiedy ta plecie wianek z kwiatów.

Krzyki przeraziły dziewczęta, później zaś nie było już nic oprócz wody bijącej z ziemi.

– Co się stało ostatniej nocy? – zapytałem.

Otworzyła oczy.

– Czy tak łatwo o tym zapomnieć?

Poczerwieniałem.

– Miałem na myśli to, co wydarzyło się wcześniej.

– Wyprawiliśmy w podróż duszę Agatona.

– Czy to wszystko działo się naprawdę?

– Pytasz o jego duszę?

– O to, co widziałem.

Uśmiechnęła się niczym sfinks.

– A wydawało się realne?

Usiadłem. W czystej toni jeziora było widać idealne odbicie nieba, ale zewsząd otaczały nas zarośla, krzewy i mroczne miejsca.

– W jaki sposób dotarłaś na Sycylię w tym samym czasie, gdy znaleźliśmy Agatona?

– Jestem tu od kilku dni. Miałam sen, gdy opuściłeś Turioj. Agaton był w opałach, kazał mi przyjechać do Syrakuz, dlatego to zrobiłam.

– Czy zawsze kierujesz się snami?

– Miałam rację.

Nie mogłem zaprzeczyć.

– A pałac? Jak weszłaś do środka i jak go opuściłaś?

– Strażnicy mnie znają.

Nie uwierzyłem jej. Wiedziałem, że próbuje mi pomóc i sięga po wyjaśnienia, które mogą zaakceptować.

To nie ma znaczenia – mówiły jej oczy, ale Głos Rozsądku się nie poddawał.

– Jesteś nimfą?

– Jestem kobietą. Przecież o tym wiesz.

Zacząłem się bawić liściem papirusu, owijając go wokół palca.

– Czyżbym oszalał?

– Jakie to ma znaczenie? Czasami obłąd bywa darem bogów. Czy nigdy nie byłeś zakochany?

Zaryzykowałem.

– Teraz jestem.

Spojrzała na mnie swoimi poważnymi, głębokimi oczami, ale jej usta uniosły się w kącikach. Czyżby starała się stłumić śmiech?

– Co to za uczucie?

– Istna agonია.

Stoczyła się ze mnie i położyła na plecach wśród trawy.

– Kiedy zostaliśmy stworzeni, nasze dusze miały skrzydła. Szybowaliśmy w eterze niczym bogowie. Później zeszliśmy na ziemię i pióra uschły, odpadły jak jesienne liście. Kikuty się oderwały, a w ich miejscu powstały twarde strupy. Żyły, które je zasiały, ostygły. Kiedy jesteśmy zakochani, ten proces ulega odwróceniu.

Miłość ogrzewa duszę jak wiosenne słońce.

Ciało staje się miękkie, strupy się rozpuszczają i krew zaczyna krążyć.

Pióra kielkują i skrzydła zaczynają rosnać.

– Zabrzmiało to boleśnie.

– Bo tak jest – przytaknęła. – Pióra muszą się przebić przez długo zamknięte otwory, a to boli. Czujesz się jak dziecko, któremu wyrzynają się zęby – wszystko je boli, swędzi i mrowi. A gdy cię rozdziela z ukochaną, ledwie możesz to znieść. Zbliżasz się do granicy obłądu.

Pomyślałem o jej słowach, choć kolce raniły moją duszę.

– Kochałaś Agatona?

Czy byłem aż tak żałosny, żeby zazdrościć zmarłemu – w dodatku przyjacielowi? Czy obłąd był aż tak nieuleczalny?

A może prawdziwe pytanie brzmiało: Czy mnie kochasz?

Skinęła głową.

Bez słowa przeproszenia, bez cienia zakłopotania.

Napiąłem się w środku, ale nagle pojąłem, że nie wiem, co miała na myśli.

Bo śmieszną rzeczą było mniemać, że Deotyma, chłodna i tajemnicza jak źródło, mogła odczuwać gorącą namiętność, gdy rozrywała moje ciało.

Poczerwieniałem, zagubiony i zawstydzony.

– Czy on cię kochał?

Spojrzała na mnie lodowatym wzrokiem.

– Agaton wiedział, że miłość jest sposobem otworzenia duszy. Miłość sprawia, że nasze skrzydła rosna, Agaton zaś pragnął latać.

– Czy dlatego umarł?

Nie usłyszałem odpowiedzi. Deotyma wpatrywała się w wodę, jakby czekała, aż coś zatonie.

– Agaton był moim najlepszym przyjacielem. Jeśli wiesz, dlaczego zginął...

Zamiast odpowiedzi wskazała sadzawkę

– błękitną, przejrzystą i spokojną.

– Jak myślisz, dlaczego Hades zamienił Kiane w źródło? Przecież nie mogła go powstrzymać przed porwaniem Persefony. W końcu był bogiem, ona zaś tylko nimfą.

– Nie wiem – odparłem, było mi to bowiem obojętne.

– Bał się, że może komuś powiedzieć.

Nie chciał, żeby ktoś go śledził.

W głębokim cieniu niepokalanka zaśpiewał słowik. Słuchałem go chwilę, podążając za melodią w górę i dół skali.

– Agaton się czegoś dowiedział – zaryzykowałem. – I za to go zabito.

Uznałem jej milczenie za znak zgody.

– Cóż to było? – Nadal milczała.

Prześledziłem w myślach moją długą podróż przez Italię, od chwili kiedy morze wyrzuciło mnie na brzegu Tarentu. – Agaton czegoś szukał. Czegoś związanego z tabliczką i księgą z Lokr.

Z Empedoklesem, pitagorejczykami i tobą. A później wdał się w to wszystko Dionizjos.

Podążałem jego śladem jak pies w lesie, ale w końcu znalazłem jedynie ciało. Nagle znenawidziłem go za to, że mnie tu ściągnął.

– Czego szukał Agaton?

– Tego samego co ty.

– Ja szukałem jego.

– I niczego więcej?

– Dopóki nie poznałem ciebie.

Deotyma zmarszczyła brwi. Nie był jej w smak mój komplement.

– Czego miłość pożąda ponad wszystko?

Przypomniałem sobie słowa, które wypowiedziała na ucztach u Demosa, stojąc prawie naga wśród podnieconych mężczyzn.

Pamięć udzieliła mi odpowiedzi.

– Piękna.

– I?

– Nieśmiertelności.

– Miłość przyciąga do piękna, piękno wiedzie do prawdy, prawda zaś jest nieśmiertelna – powiedziała, ale jej nie słuchałem. Zazdrość podsunęła mi myśl, która sprawiła, że umysł zapłonął.

Próbowałem się jej oprzeć, ale w końcu wybełkotałem:

– Jesteś w ciąży?

Spojrzała na mnie wzrokiem, który poruszyłby nawet gorgonę.

– Nie.

Wyciągnąłem rękę i namacałem twardą, trójkątną łodygę papirusu.

Przypomniałem sobie zagadkę Diona.

Pewnego dnia ta roślina uczyni cię nieśmiertelnym. Potarłem ją w palcach i pomyślałem o rolniku, który ją zbiera, o sierpnie, który przecina włókna, o tym, jak kładą ją na ziemi, a później poddają prasowaniu i suszeniu, żeby można było wytworzyć arkusz. Czyja księga zostanie spisana na roślinie, którą trzymam w ręku? Czyje palce będą ją trzymać po moich?

– Czy Agaton coś napisał?

– Nie.

– Czym więc się zajmował?

Nie byłem pewien, czy mi odrzekła.

Pomyślałem, że moje nieporadne pytania ją zirytowały, i poczułem się tak, jakby ktoś wolno obrócił nóż w moim wnętrzu.

– Co sądzisz o duszy? W co wierzysz?

Rozmowa z Deotymą przypominała gonitwę za motylem. Za każdym razem kiedy sądziłem, że ją złapałem, odlatywała w tanecznych podrygach.

Mogłem jedynie biec w ślad za nią.

– Homer powiada, że dusza jest śladem, który pozostaje po śmierci.

Dymem unoszącym się w powietrzu, gdy ognisko zgaśnie. – Chciałem wymyślić coś oryginalnego, ale się nie udało. – Nawet Sokrates tego nie wiedział.

Jego proces i mowa końcowa po ogłoszeniu wyroku: Śmierć jest zapomnieniem lub wędrówką duszy do innego świata.

Spróbowałem ponownie.

– Dusza jest metaforą, sposobem mówienia o „ja”, które czujemy w swoim wnętrzu. Głosem Rozsądku – rozumnym, inteligentnym pierwiastkiem naszej natury. Wiemy, że istnieje, ponieważ cały czas do nas przemawia.

Ale w rzeczywistości rozmawiamy sami ze sobą.

– Myślisz, że dusza jest rozumna? – spytała, podnosząc brwi, jakbym powiedział coś niestosownego.

– Jesteśmy istotami rozumnymi.

– Czy nie jesteśmy także miłością?

Pogładziłem jej włosy.

– Tak, jesteśmy.

– Przed chwilą zgodziliśmy się, że miłość jest formą obłądzenia, obłądzenie zaś stanowi przeciwieństwo rozumu.

– Pewnie dlatego staramy się panować nad naszym pożądaniem.

Chwyciła moją dłoń i odepchnęła od siebie, udając obrażoną.

– Pragniesz panować nad miłością?

Kochać mniej, niż mógłbyś?

Usidliła mnie jak sofista. Poczułem się zdradzony.

– Czy to ważne? Niezależnie od tego, co powiemy o duszy, nie zdołamy tego dowieść. Nigdy jej nawet nie ujrzymy, dopóki nie będzie za późno i nie staniemy się cieniami jęczącymi w podziemnym świecie.

Jeśli nie możesz zwyciężyć w dyskusji, uznaj ją za śmieci.

Kolejne spojrzenie gorgony. Chciałem cofnąć to, co powiedziałem, ale nie pozwoliłaby mi na to. Pochyliła się i wyrwała łodygę trzciny. Trzymając ją niczym pióro, zrobiła mały otwór w wilgotnej ziemi, a następnie otoczyła go okręgiem.

– Co widzisz?

– Koło? Oko?

– Odpowiedz językiem geometrii.

– Koło z punktem w środku.

– Albo stożek widziany z góry.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że świat bywa zwodniczy, a zmysły ułomne, Heraklit odkrył to pierwszy.

Nieznacznie skinęła głową, jakbyśmy coś rozstrzygnęli.

– Otaczające nas ściany sprawiają, że jesteśmy więźniami tego świata. Nie potrafimy sięgnąć dalej, zakładamy więc, że nie ma nic innego. W końcu tak długo na nie patrzymy, że przestajemy je dostrzegać. Zapominamy o ich istnieniu.

Staralem się dostrzec jakiś związek.

– Czy właśnie to ilustruje twój rysunek?

Człowieka otoczonego ścianami?

Nie sądzę, aby mnie usłyszała.

– Mur nie jest tak nieprzenikniony, jak się wydaje. Istnieją ukryte drzwi, którymi można przejść na drugą stronę.

Pitagoras znalazł jedne, podobnie jak Empedokles i Parmenides.

Nie wiedziałem, czy rozmawiamy o rzeczywistym miejscu czy chodzi o jakąś metaforę. Dla bezpieczeństwa pozostałem przy metaforze.

– Czy Agaton chciał odnaleźć tę bramę?

Spojrzała na mnie tak, jakby chciała powiedzieć: „Niemał mu się udało”.

Hades obawiał się, że nimfa może komuś powiedzieć.

– On ją znalazł.

Rozdział 28

JONAH – ATENY

Z odległości dwóch przecznic uliczna bitwa brzmiała jak telewizor włączony w drugim pokoju. Najgłośniejszy dźwięk brzęczał mu w uszach. Czy to wszystko mu się przyśniło? Jakaś częśćka jego jestestwa pragnęła wrócić na plac i jeszcze raz rzucić okiem. Pomyślał o kobiecie, którą uratował. Czy zdołała uciec? Krew na jego twarzy była jednak prawdziwa, podobnie jak realny był ból kolana, kiedy postawił stopę na ziemi.

Szedł dalej, nie zatrzymując się.

Dopiero kiedy poczuł telefon wibrujący w kieszeni, zdał sobie sprawę, jak mało słyszy. Wyciągnął aparat i odebrał, krzycząc ile sił w gardle. W odpowiedzi usłyszał własny cichy głosik dochodzący z końca długiego mrocznego tunelu. Zwiększył głośność, ale nadal nie mógł zrozumieć słów.

Dzwoniący przerwał połączenie.

Zanim Jonah poddał się rozpacz, na ekranie pojawiła się treść esemesa.

Gdzie jesteś?

Podniósł głowę i odczytał tabliczkę z nazwą ulicy na budynku. Ręka tak mu drżała, że z trudem wystukał odpowiedź.

Na rogu ulic Perikleous i Voulis.

Odpowiedź nadeszła prawie natychmiast.

Jadę do Ciebie.

Ren zawiozła go do Pireusu.

Zatrzymali się przed restauracją rybną nad zatoką. Jonah nie miał koszuli, był zakrwawiony i posiniaczony, ale właściciel czytający gazetę przy stoliku udał, że tego nie widzi. Może po prostu był rad, że ma gości.

Jonah poszedł do łazienki i wetknął głowę pod kran. Tak długo płukał oczy zimną wodą, aż przestał odczuwać ból.

Ren przyniosła mu dwulitrową butelkę wody mineralnej. Jonah przepłukał gardło połową, a drugą wypił. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Potargane włosy i szerokie rozcięcie na czole. Ren przetarła ranę ręcznikiem i kupiła wodę utlenioną w aptece obok. Piekł go, ale przynajmniej czuł się czysty. W ostatnim sklepie z pamiątkami otwartym w Pireusie załatwiła mu także nowy T-shirt z napisem Kocham ♥ Ateny.

Pod markizą po drugiej stronie ulicy stało kilka stolików, z których rozciągał się widok na morze. Usiedli. Byli jedynymi gośćmi.

– Adam kazał mi przyjść do biura, ale było zamknięte. Zamiast w biurze znalazłem się w samym środku zamieszek.

Skinęła głową. Odzyskał słuch, ale ciągle miał wrażenie, jakby dźwięki dobiegały z oddali. Nadal słyszał w uszach nieprzyjemny pisk.

– Powiedziałem mu, że wiem o Arim Maroussisie. Myślę, że chciał mnie przestraszyć. – Przypomniawszy sobie ziejącą otchłań stacji metra i martwe dusze wlewające się do środka. – Albo się mnie pozbyć.

Ponownie skinęła głową. Kelner przyniósł menu i czerstwy chleb. Jonah żuł skórkę i milczał. Nie potrafiłby opisać tego, co czuł. Kiedy myślał o Adamie, wpadał w taką furję, że miał ochotę coś zniszczyć, z kolei myślenie o Lily było nieznośne.

– Chcesz wrócić do domu? – zapytała Ren.

Pamiętał, jak wygląda dom. Puste mieszkanie, głuchy telefon i rzeka ustawicznie szepcząca imię Lily.

– Chcę odnaleźć żonę. – Przypomniawszy sobie, co powiedziała. – Chcę ją odzyskać. Kelner wrócił.

Ren złożyła zamówienie za ich dwoje – kilka greckich potraw, o których nie miał pojęcia.

– Masz plan? Dokąd pojedziemy? – zapytał.

– Do Spetses.

– Do Willi Maroussisa? – Kiedy poziom adrenaliny się obniżył, jego czaszkę przeszły potworny ból. – Powiedziałas, że to jeden z najbogatszych ludzi w Grecji.

– Tak, najbogatszy.

– Musi mieć ochronę. Willa jest ogrodzona. – Przyłożył do czoła butelkę wody i dodał od rzeczy: – Jestem muzykiem.

– Wprowadzę cię do środka.

Kelner przyniósł zamówienie: pastę z ikry taramosalata barwy różowej gumy balonowej, duże papryki faszerowane ryżem i półmisek małych rybek, które jadło się razem z głową.

Jonah spojrzał na zatokę za barierką, myśląc o stanie miejscowego narybku.

Obok betonowych słupów unosiły się w ściekach kawałki styropianu.

– Czy potrzebujesz czegoś z mieszkania Adama? – zapytała Ren.

Pomyślał, żeby tam wrócić, zabrać torbę i zwiesić Adama z balkonu, aby patrzył na Akropol tak długo, aż wszystko mu powie. Inny głos – pozostałość dawnego jestestwa

– podsunął mu pomysł, żeby zadzwonić na policję. Poczł smak gazu łzawiącego na języku, przypomniał sobie płonącego demona i pokręcił głową.

Nie miał niczego oprócz ubrania, telefonu oraz portfela i paszportu.

Siedem letnich tras koncertowych po Europie nauczyło go, że nigdy wiadomo, co się przyda.

– Jestem gotowy. Niczego nie potrzebuję.

Oglądane innymi oczami, które nie nabiegły krwią od gazu łzawiącego, Spetses byłoby pewnie piękną wyspą.

Białe domy o czerwonych dachach skupiły się wokół portu, na prawo od niego, nad brzegiem morza, wznosił się zaś imponujący, choć nadwątlony zębem czasu hotel w stylu grecko—edwardiańskim, przypominający Brighton Pavilion. Zalesione zbocza za miastem wznosiły się ku centralnemu masywowi tworzącemu górzysty kręgosłup wyspy. Za szczytami było widać zachodzące słońce oblewające Spetses złotym blaskiem, barwiące zamglone szczyty i zbocza akwarelową purpurą.

Stojąc na nabrzeżu, gdzie wysiedli z wodolotu, Jonah przyglądał się domom na wzgórzu.

– Który z nich należy do Maroussisa?

– Jego willa jest z drugiej strony wyspy.

– Kiedy tam pojedziemy?

– Gdy dojdiesz do siebie.

– Jestem gotowy. – Biodro nadal go bolało, kiedy poruszył nogą. Czuł siniaki na całym ciele, ale wiedział, że sobie poradzi. Byle tylko dotrzeć do Lily.

Ren zarzuciła torbę plażową na ramię.

Zasłoniła twarz chustą i okularami przeciwsłonecznymi, nie mógł się więc zorientować, czy mu uwierzyła.

– Musimy poczekać, aż się ściemni.

Wynajęli pokój w dużym hotelu nad brzegiem morza i padli na łóżko. Góry za oknem spowiała mgła. Stary dzwon wybijał kolejne godziny. Głośnik na wieży kościoła nadawał nabożeństwo – tajemniczo brzmiące frazy wznosiły się i opadały w jakimś starożytnym, wschodnim stylu. Jonah patrzył, jak wiatrak na suficie rozprasza rzeczywistość.

– Co to za imię „Ren”?

– Japońskie.

Przyjrzał się jej twarzy. Miała ciemne proste włosy i jasnobrązową skórę, ale na tym podobieństwo się kończyło.

– Nie przypominasz Japonki.

– Nie – przytaknęła. Pewnie słyszała to tysiące razy. To ona ściągnęła go do Grecji, później do Eleuzis i na wyspę Spetses, a mimo to prawie nic o niej nie wiedział.

– Skąd pochodzisz?

– To skomplikowana sprawa.

– Dlaczego to robisz?

– Co?

– Wszystko.

– Powiedziałaś, chcę ci pomóc.

Spojrzał w jej ciemne migdałowe oczy, starając się wyciągnąć coś więcej.

Okazała się nieczuła.

- Co robiłaś w Sibari?
- Śledziłam Maroussisa.
- Dlaczego?
- Bałam się, że znajdzie tabliczkę.
- Skąd wiedziałaś, że tam jest?

Tylko tyle zdołał z niej wyciągnąć.

Przekręciła się na bok i zaczęła oglądać paznokcie, jakby szukała miejsc wymagających polerowania.

- Wierzysz w reinkarnację? – zapytała nagle.
- Że jeśli będziemy źli, powrócimy pod postacią karalucha?
- Reinkarnacja nie musi podlegać logice moralności.

Jonah zastanowił się nad jej słowami.

– Co to zmienia? Jeśli jestem ponownym wcieleniem, niczego nie pamiętam. A jeśli niczego nie pamiętam, to znaczy, że nie ma niczego do pamiętania. Tak czy inaczej skończymy w tym samym miejscu.

– To samo miejsce może wyglądać całkiem inaczej w zależności od tego, jak się tam dostałeś. Gdybyś wierzył, że możesz powrócić jako karaluch, pewnie byś się pilnował.

Jonah obserwował wirujący wiatrak.

– Gdybym powrócił pod postacią karalucha, wiedziałbym tylko, że jestem karaluchem. Nie miałbym pojęcia, że w poprzednim życiu grałem w zespole i mogłem być delfinem, gdybym lepiej postępował.

Po prostu byłbym karaluchem i zabiegał tylko o to, by nie zostać rozdeptanym.

- To ograniczony punkt widzenia, nie sądzisz?
- Tak, wynikający z faktu bycia karaluchem.
- Gdybyś rzeczywiście nim był.

Zwiesiła nogi z łóżka i wstała. Bez uprzedzenia zdjęła T-shirt, rozpięła spódniczkę i zsunęła ją na podłogę.

Wyszła z niej, starannie złożyła rzeczy i włożyła do szafy. Kiedy otworzyła drzwi, Jonah zobaczył ją całą w bocznym lustrze. Nie nosiła stanika.

Obserwował ją w milczeniu. Ich oczy spotkały się w lustrze i zatrzymały dłuższą chwilę. Ponownie zdał sobie sprawę, że nic o niej nie wie.

– Nie...

Czy to działa się naprawdę? Czuł się tak, jakby tygodniami przebywał pod wodą i płuca zaczęły mu pękać.

Rozpaczliwie pragnął wypłynąć na powierzchnię, znaleźć się w słońcu i poczuć jej delikatną suchą skórę na swojej. Pragnął położyć głowę między jej piersiami, czuć, jak gładzi mu włosy, wypowieda jego imię. Ponownie poczuć się pełnym.

Odwróciła się, a może to drzwi szafy lekko drgnęły. Promień światła błysnął w lu-

strze, powodując, że Ren na chwilę zniknęła.

Ona nie jest rzeczywista.

Nierzeczywiste było także jego pragnienie. Widział obraz w lustrze, odwrócenie. W przeblasku świadomości zrozumiał, że poddała go próbie, że gdyby wszedł za nią do zwierciadła, byłby zgubiony na wieki.

– Nie. – Jedno krótkie słowo nie powinno zabrzmieć tak twardo.

Sięgnęła do torby, jak gdyby nigdy nic, wyciągnęła czarne dżinsy i czarny T-shirt z długim rękawem. Nałożyła je równie swobodnie, jak się rozebrała, a następnie wyjęła z torby inną czarną koszulę i rzuciła Jonahowi.

– Chodźmy.

Zeszli do starej zatoczki i znaleźli wodną taksówkę.

Kapitan zaprotestował, kiedy Ren powiedziała, dokąd chcą się dostać, ale sto euro załatwiło sprawę.

Ryk silnika powodował, że rozmowa była niemożliwa – siedzieli z tyłu, wpatrując się w czarną wodę i białą pajęczynę kilwateru.

Kiedy opłynęli kraniec wyspy, ich oczom ukazał się pełny księżyc. Jonah pomyślał, że to największy księżyc, jaki widział, tworzący idealne koło, maślanożółty, jakby wisiał nad horyzontem kilkaset metrów od nich.

Druga strona wyspy była mniej oświetlona – znajdowało się tam jedynie kilka rybackich wiosek i dużych hoteli ryczących muzyką, która rozchodziła się po wodzie. Kapitan zmniejszył obroty silnika i skręcił w stronę brzegu, obserwując wodę przed dziobem.

Minęli cypel i wpłynęli do szerokiej zatoczki.

Kiedy znaleźli się w odległości kilku metrów od brzegu, włączył luz. Jonah i Ren przeszli przez burtę i ruszyli płycizną w kierunku plaży. Wokół przetaczały się niskie fale.

Kiedy Jonah spojrzął za siebie, łódź zawróciła i zaczęła znikać w mroku.

– Nie odwiezie nas z powrotem?

Ren go nie usłyszała. Szum fal, cykanie cykad i zawodzenie wiatru w sosnach sprawiały, że trzeba było uważnie nasłuchiwać. Na mrocznym cyplu za zatoką wśród drzew migąło światełko przypominające lampę korsarza.

Strome zbocze prowadziło w stronę drzew na końcu plaży. Drogę blokowały zwoje drutu kolczastego, ale kiedy Jonah ich dotknął, poczuł rdzę na palcach.

Podążając jej śladem, znaleźli dziurę, przez którą przedostali się do lasu.

– Sądziłem, że to twierdza nie do zdobycia.

– Ty tak powiedziałaś.

Ren ruszyła przodem, nie zakładając butów.

Stąpała bezgłośnie po piaszczystej ziemi. Promienie księżyca przenikały przez gałęzie, rzucając pierzaste cienie.

Nie istnieje coś takiego jak światło księżyca.

Przypomniał sobie słowa Adama, gdy w księżycową noc siedzieli nad brzegiem rzeki w Cherwell. Księżyc to lustro zawieszone w przestrzeni.

W rzeczywistości widzimy słoneczne światło – nie prawdziwe, ale jego przyćmione, chłodniejsze odbicie. Czy chciał zasugerować, że świat również ma inną naturę? Że jest przyćmionym, zimnym odbiciem prawdziwej rzeczywistości? Że jest zwierciadlanym światem połyskującym w promieniach odbitego światła?

Tylko taka interpretacja przychodziła mu do głowy.

Czy zastanawiałeś się, dlaczego nocą obraz świata nie jest odwrócony, skoro postrzegamy wszystko w odbitym świetle? W Oksfordzie Adam często zadawał takie pytania.

Przypomniał sobie odbicie Ren w lustrze hotelowej szafy i zadrżał.

W odwróconym świecie nie można było nikomu ufać.

Światło, które widział na plaży, zamigotało między drzewami. Pociągnął Ren za koszulkę, ona jednak tylko pokręciła głową i szła dalej. Jonah posuwał się za nią. Zdawało mu się, że widzi kontury postaci – wysokiego mężczyznę stojącego w nieruchomej pozie. Czyżby trzymał karabin?

Wyszli spośród drzew i ujrzał wszystko wyraźnie. Źródłem światła był reflektor umieszczony w ziemi, groźna postać okazała się zaś posągiem umieszczonym przed trzymetrowym ogrodzeniem.

Mimo że stał na piedestale, posąg był tylko nieznacznie wyższy od Jonaha – przedstawiał karła o perkatym nosie, okrągłych policzkach, bezczelnym uśmiechu i wzwiedzionym członku, który niemal dotykał mu brody.

Na czole miał dwa kręcone kozie rogi wygięte ku tyłowi, w ręku trzymał kilka trzcinowych piszczałek.

W świetle dnia posąg mógł się wydawać komiczny, nawet uroczy.

Kontrast między pełną nadziei erekcją a ponurym, brzydkim ciałem był niemal żalony. W świetle reflektora jego twarz stała się jednak zaczepna i okrutna, fallus nie oznaczał pożądania, ale groźbę, ciemna ściana za jego plecami sprawiała zaś wrażenie nieprzeniknionej.

– Dokąd teraz?

Poczuł na karku powiew ciepłego wiatru. Zdawało mu się, że słyszy cichą, falującą muzykę.

Głęboka ciemna plama, która pojawiła się kilka metrów dalej, wskazywała otwór w murze.

– Wejdziemy tędy?

Mroczne usta uśmiechały się do niego, ale za nimi kryła się ciemność, czekająca, żeby go pochłonąć – tak samo jak pochłoneła Lily. Ciemna dziura, z której nikt nie wrócił. Czy można odczuwać nicość? Być przerażonym niebytem?

Od strony drzew dobiegło pohukiwanie sowy. Jonah zachwiał się i cofnął o krok. Coś go dotknęło. Omal nie krzyknął, okazało się jednak, że to tylko dłoń Ren szukająca go w ciemności. Jej smukłe palce splotły się z jego palcami.

– Niezależnie od tego, co zobaczysz, nie uciekaj. Nie poddawaj się.

Pociągnęła go za sobą.

Światło księżyca nie przenikało wysokiego żywopłotu.

Wkroczyli w mrok, a ich świat zdefiniowały ruchome, niewidoczne granice wyczuwane jedynie dotykiem.

Tymczasowa utrata wzroku sprawiła, że inne zmysły Jonaha zaczęły funkcjonować ze zdwojoną siłą. Słyszał szelest gałęzi, szmery, szepty i westchnienia, głuchy odgłos kroków na ziemi przypominający bicie serca, urywki tej samej żalostnej muzyki, którą słyszał niedawno. Jego nos wypełnił lepki, intymny zapach żywopłotu.

Koniuszki palców stały się tak wrażliwe, że czuł każdą żyłkę liści, o które się ocierał. Wkrótce zaczął się obawiać dotyku. Wyobrażał sobie, że liście ożyły, że go oplótły, chwyciły za gardło i udusiły. Nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, ale teraz nie mógł się uwolnić od myśli, że ściany na niego naciskają, wolno zgniatając jego ciało.

Nagle wokół zapaliły się światła.

Kolejny reflektor ukryty w ziemi eksplodował jak mina, gdy na niego nastąpili. Jonah potarł oczy i rozejrzał się wokół, aby sprawdzić, czy zostali złapani.

Jedynym stworzeniem, które na nich patrzyło, było czarne kamienne zwierzę siedzące na cokole niczym kot grzejący się w promieniach słońca.

– Stróżujący pies?

– To sfinks. – W świetle reflektora mogli zobaczyć, że doszli do rozwidlenia. Jedna ścieżka prowadziła w lewo, druga w prawo. Sfinks patrzył przed siebie, nie dając żadnej wskazówki.

– Którą drogę wybrać?

– To zagadka.

– Znasz odpowiedź?

Pociągnęła go w prawą stronę.

Reflektor za ich plecami zgasł, a Jonah stał się jeszcze bardziej ślepy.

Przedzierali się przez labirynt, dochodząc do kolejnych rozstajów.

Następne światła odsłaniały nowe posągi i wybory: pochyloną boginię odzianą w przezroczyste szaty, przerażającą Meduzę z węzami zamiast włosów, chłopca o poważnej twarzy, z odłupanym fragmentem w miejscu, gdzie powinny się znajdować genitalia.

Za każdym razem Ren wybierała ścieżkę biegnącą w prawo.

– Skąd wiesz, którą drogę wybrać?

– „Pałac nocy, źródło z prawej strony” – zacytowała. – Zawsze skręcaj w prawo. Maroussis o tym wie.

Pomyślał, że to zbyt proste. Przy następnym rozwidleniu jego obawy się potwierdziły. Gdy zapaliło się światło, ponownie ujrzeni czarnego sfinksa.

– Zatoczyliśmy koło. – Ogarnęła go rozpacz, po niej zaś fala przerażenia, że znalazł się w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. – Wybrałaś złą drogę. – Cofnął się, ale Ren chwyciła go tak mocno, że paznokcie omal nie rozorały mu ciała.

– To inny posąg – odrzekła gwałtownie.

– Jesteś pewna? – Jonah przyjrzał się mu uważnie, ale nie dostrzegł niczego charakterystycznego.

– Jeśli zaczniesz w sobie wątpić, nigdy się nie wydostaniesz.

– A reflektory? – Za każdym razem światło uderzało go jak pocisk. – Jeśli ciągle będziemy je zapalać, ktoś to zauważy. Będą wiedzieć, że jesteśmy w labiryncie.

Wzruszyła ramionami.

– Przecież i tak wiedzą.

– Dlaczego nas nie zatrzymali?

– To nie ich zadanie.

Posuwali się dalej. Zewsząd dochodziły szmery, jakby trafili na kolonię świerszczy. Ścieżka stawała się coraz bardziej kręta i wąska, aż w końcu trudno było rozpoznać kierunek. Hałas się nasilił.

Wyszli na zewnątrz. Nie wiedząc o tym, opuścili labirynt. Żywopłot zniknął. Otoczyła ich głęboka noc. Jonah ujrzał szeroki trawnik prowadzący do niskiego kwadratowego domu rysującego się na tle nieba. Zraszacze wystrzeliwały lśniące łuki wody nad trawą, wytwarzając dźwięk, który wziął za cykanie świerszczy.

Nie mieli gdzie się ukryć. Duży kamienny basen, przypominający poidło dla ptaków, był jedynym źródłem cienia na trawniku.

– Jak dostaniemy się do domu, żeby nas nie zobaczyli?

– To bez znaczenia. – Ren ścisnęła jego rękę i poprowadziła przez trawnik.

Wilgotna trawa bez szemrania poddawała się ich stopom. Zraszacze wirowały, opryskując ich lekką mgiełką.

Dotarli na drugą stronę. Jonah miał całkowicie mokre nogi, ale prawie tego nie zauważył.

Kiedy doszli do domu, zraszacze nagle zamilkły i ukryły się w trawie.

Noc ożyła brzęczeniem i szmerem żywych stworzeń. Poniżej domu, od strony cypla prowadzącego do ukrytej plaży, dobiegł ich szum fal uderzających o brzeg.

Przykucnęli za rzędem bugenwilli, które strzegły wierzchołka wzgórza.

Ponad nimi Jonah dostrzegł łuki pobielanej kolumnady i otwarte przeszkłone drzwi balkonowe. W środku paliły się przyćmione światła. Poczł skurcz piersi. Czy Lily tam była?

Nagle przed oknami przesunął się cień. Jonah zamarł. Na balkonie stał mężczyzna palący długie cygaro.

Początkowo Jonah wziął go za posąg.

Oświetlony przez księżyc, w szarym trzyczęściowym garniturze z chusteczką w butonierce i w szarym jedwabnym krawacie, wyglądał, jakby został wycięty z fotografii wykonanej w epoce edwardiańskiej.

Na końcu cygara błysnął czerwony węgielek. Fotografia nabrała barw.

W noc poszybował obłok wydmuchniętego dymu.

Mężczyzna spojrział w dół, tam, gdzie się schowali.

Woń tytoniu zmieszała się z zapachem kwiatów i wilgotnej ziemi.

– Pewnie przyszliście, żeby się ze mną zobaczyć – powiedział z balkonu, podnosząc głos tylko tyle, aby był słyszalny.

Rozdział 29

Ponadto należy podkreślić, że zrozumieliście jedynie niewielką część trudności, które są z tym związane...

Platon, *Parmenides*

Miłość przyciąga do piękna. Piękno wiedzie do prawdy, prawda zaś jest nieśmiertelna.

Przez chwilę czułem się tak, jakbym przeniknął chmury i stanął na wierzchołku skąpanym w promieniach słońca. Miłość stopiła się z pragnieniem mojej duszy i doszedłem do wniosku, że zrozumiałem wszystko, co powiedziała mi Deotyma.

Szybowałem w przestworzach.

– Co odkrył Agaton, gdy przeszedł przez te drzwi?

Deotyma oparła głowę na moich kolanach i spojrzała dziwnym, niezadowolonym wzrokiem.

– Powiedziałaś ci tyle, ile mogłam.

Słońce zaszło.

Wylądowałem z hukiem.

– Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

Ciągle tylko zagadki i metafory.

– Słowa są częścią muru, przez który musimy się przebić. – Wskazała krąg nakreślony na ziemi. Wilgotna gleba zaczęła się zamykać, zamazując kształt.

– Nazywamy to „kołem”, ale równie dobrze moglibyśmy mówić o „linii prostej”. Język jest niedoskonałym narzędziem: opisuje rzeczy, ale nie oddaje ich istoty.

– Wciąż to samo – zacząłem narzekać.

– Mury, narzędzia – same przerośnię.

– Nie posiadamy nic lepszego od metafor. Jeśli ujmemy to w słowa, sprowadzimy wszystko do poziomu języka, język zaś sprowadza się do metafory. – Przygryzła wargi, wyraźnie sfrustrowana moją postawą. – Czy nigdy nie przeżyłeś czegoś, co przekracza słowa?

– Ostatniej nocy. – Na samą myśl o tym przeszło mnie lekkie drżenie.

– Opisz to, co zaszło.

Poczerwieniałem, ale Deotyma nie rezygnowała.

– Byłaś naga, ściągnęłaś ze mnie tunikę, a później... – urwałem, czując pustkę. – To

śmieszne.

– Widzisz? Pewne rzeczy są zbyt realne, żeby je ująć w słowa.

– Ale ja muszę zrozumieć!

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę drzew, ocierając się o łodygi papirusu.

– Czy Agaton znalazł księgę?!

Krater?! – zawołałem za nią.

Szelest trzciny po drugiej stronie jeziora sprawił, że obejrzałem się za siebie. Dion powrócił ze swoją łodzią.

Rzucił nieśmiałe spojrzenie Deotymie, kiedy gramoliłem się do środka. Później zaczął wiosłować. Deotyma stała na brzegu i patrzyła na nas.

– Zaczekaj! – zawołałem. Kiedy oddzieliła nas przestrzeń, poczułem się tak, jakby wyrwano mi kawałek serca. – Nie popłyniesz z nami?!

– Nie mogę postawić stopy w Ortygii.

W jaskini jest lew. Pożarłby mnie, gdybym wpadła mu w łapy.

Rzekła to tak frywolnie jak mała przekomarzająca się dziewczynka, ale grymas malujący się na twarzy Diona był całkiem realny i poważny. Ponownie pomyślałem o roli, którą w tym wszystkim odgrywa. Wobec kogo jest lojalny?

Kiedy płynęliśmy przez jezioro, miałem mętlik w głowie

– mnóstwo wątpliwości i pytań bez odpowiedzi.

Tajemnice Deotymy sprawiły, że zacząłem gorączkowo myśleć. Musiałem je rozwikłać, niezależnie od tego, jak bardzo je ubrała w zagadki i aluzje.

Czego szukał Agaton?

Tego samego co ty.

Czy Agatona nie zabiła tajemnica, którą odkrył? A może uśmierciła go nimfa, w której się zakochał?

Kiedy dopłynęliśmy do brzegu, ujrzałem strażnika biegnącego po schodach pałacu, aby donieść tyranowi, że dotrzymałem obietnicy, lub powiedzieć chłopcu, żeby udał się czym prędzej do biblioteki.

Gdy tam zaszedłem, młodzieniec siedział ze wzrokiem utkwionym w tym samym fragmencie Ajschylosa, od którego kazałem mu zacząć tego rana.

Dałem mu Ezopa – bajkę o lisie i winogronach, nic kontrowersyjnego – i kazałem podsumować morał w dwóch kolumnach. Na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolonia, co uznałem za pewien sukces. Spojrzałem przez okno na szkarłatne niebo i morze, próbując uporządkować myśli.

Pragnąłem rozwikłać tajemnicę czy pojąć Deotymę? A może uważałem, że gdy zdobędę jedno, będę mieć i drugie?

Głos Pożądania krzyczał tak głośno, że nie mogłem zrozumieć, co powiada.

Zbyt wiele metafor – utyskiwał Głos Rozsądku. Skrzydła i mury, nimfy i dusze... Deotyma przysłała każde pytanie obłokiem słów.

Sokrates drażniący sofistę: Nie chcę argumentów w rodzaju „jeśli chcesz” lub „ty tak sądzisz”, pragnę dowieść prawdy tobie i mnie.

Metafory podpowiadają i sugerują, oszukują umysł tak, jak oszukują nas malarze próbujący oddać perspektywę.

Sądzisz, że słowa wzbogacają znaczenie, ale wszystkie są jedynie obrazami.

Wytwarzają nieistniejące podobieństwa. Są iluzją. Kłamstwem.

Postanowiłem, że od tej chwili będę się trzymać z daleka od metafor i innych figur retorycznych.

Są zbyt niebezpieczne w mojej sytuacji.

Kiedy lekcja dobiegła końca, odnalazłem Diona na jednym z tarasów wychodzących na zatokę. Jego włosy były pomazane olejkiem i uczesane, miał także na sobie jaskrawo farbowaną szatę.

Ludzie mniejszego formatu wyglądaliby w niej sztucznie – ja sam czułbym się śmiesznie w takim stroju – ale Dion nosił ją swobodnie.

Domyśliłem się, że Dionizjos wydaje ucztę tej nocy, choć nie zostałem na nią zaproszony. Gdyby tyran chciał mi dokuczyć, zmusiłby mnie do przyjęcia.

Przywitaliśmy się i zaczęliśmy ostrożną rozmowę na kilka ogólnych tematów, na przykład pogody, teatru i wspólnych znajomych.

Wpływ pierwszego spotkania osłabł i pojawiły się wątpliwości, ponieważ żaden z nas sobie nie ufał. Sobie albo i drugiemu.

Na końcach tarasu rosły dwa gęste cyprysy. Ich szelest sprawiał, że nie można było podsłuchać, o czym rozmawiamy. Chciałem wierzyć, że złoty młodzieniec, którego poznałem, młodzian złąkniony cnoty, nadal znajduje się w środku tej skorupy.

– Dionizjos kupił księgę od człowieka z Lokr imieniem Timajos

– powiedziałem.

– Dionizjos kupuje wiele ksiąg.

– Za tę dał sto drachm. Nosi tytuł Krater.

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, gdzie jest?

– Większość jego ksiąg można znaleźć w bibliotece.

Odwróciłem się i spojrzałem mu w oczy. Mimo ich pewności siebie, są jednak sposoby, aby zaznaczyć swój autorytet w obecności ochoczych młodych mężczyzn.

– Wiesz, o jaką księgę mi chodzi?

Nagle, jak sportowcy na dany sygnał, szpaki uniosły się z drzewa całą chmarą.

Poszybowały nad wodą, wijąc się w powietrzu jak kosmyki dymu.

Dusza jest śladem, który pozostaje po śmierci – dymem unoszącym się w powietrzu, gdy ognisko zgaśnie.

Żadnych metafor – nakazałem sobie surowo.

Dion podniósł liść i zaczął go dzielić na części.

– Ta księga to brednie. Majaki szaleńca. Dionizjos tak się wściekł, że dał za nią sto drachm, że kazał ją spalić.

Uchwyciłem się barierki i spojrzałem na spienioną wodę kotłującą się w dole.

Miałem nadzieję, że usłyszę coś więcej.

– I?

– Nie lubię patrzeć, jak niszczą wiedzę, uprosiłem go więc, żeby odesłał księgę do skarbcza świątyni.

– Muszę ją zobaczyć.

– To nie ma sensu. Mój brat ma słuszość. Ta księga to stek nonsensów.

Słowa są częścią muru, przez który musimy się przebić.

– Sam to osądzę.

Dion wyprostował fałdę szaty.

– W takim razie będziesz musiał poprosić Dionizjosa. Bez jego zgody do świątynnego skarbcza nie może wejść nikt, z wyjątkiem arcykapłana.

Dion udał się na ucztę, ja zaś ruszyłem do mojego pokoju. W kolumnadzie obok sali biesiadnej spotkałem Eufemosa.

Zmierzał w drugą stronę w towarzystwie jakiegoś człowieka. Był on niski, otyły, łysejący i spotniały od próby dotrzymania mu kroku. Uśmiechnął się, jakbym powinien go pamiętać.

– Szukaliśmy cię – rzekł Eufemos.

– Oto nasz nowy Ateńczyk – dodał jego towarzysz. – Bicz na tyranów.

W chwili gdy otworzył usta, przypomniałem sobie, kim jest. Był to ten dziwny jego-mość, którego spotkałem w ogrodzie wczorajszego dnia – ten, który myślał, że przywiozłem mu listy.

Od tamtej pory tyle się wydarzyło, że prawie o nim zapomniałem.

– Otrzymałeś swój list z Aten? – zapytałem.

– Doszło do nieporozumienia. – Zachichotał, by nagle przerwać. – A może i nie.

– Leon wziął cię za mnie – wyjaśnił Eufemos.

– Ateńczyk, filozof, nauczyciel chłopca – teraz rozumiesz, dlaczego się pomyliłem.

Kolejny przymilny uśmiech. Było mi to obojętne.

Eufemos stanowił najmniejsze z moich zmartwień.

Leon obejrzał się przez ramię i oblizał wargi.

– Dobrze, że się spotkaliśmy.

Chciałem cię spytać, co sądzisz o pewnym fragmencie z Herodota.

Rozwinął księgę i zaczął przesuwając zwój, dopóki nie odnalazł szukanego fragmentu.

Wskazał ustęp tłustym paluchem, zachęcając mnie, żebym przeczytał.

– Przeczytaj dla siebie, jeśli łaska.

Pochyliłem się nad kartką. Zapadła noc. Giges sięgnął po nóż i ukrył się za drzwiami. Kiedy król zasnął, Giges wszedł do izby i go zabił.

Podniosłem głowę, zdumiony i zakłopotany.

– O co chcesz zapytać?

– Chcielibyśmy poznać twoją opinię.

Próbowałem wymyślić coś inteligentnego.

– Słyszałem inną wersję tej opowieści – odrzekłem. – Giges znalazł magiczny pierścień, który uczynił go niewidzialnym. Dzięki temu wślizgnął się do królewskiego pałacu.

– Jakież to urocze!

– Rodzi to pytanie natury etycznej: Czy postępujemy właściwie, ponieważ to rzecz słuszna, czy dlatego, że boimy się, że zostaniemy schwytani?

Spojrzałem na Eufemosa, spodziewając się, że wygłosi jeden ze swoich monologów, ale ten milczał.

– Właśnie o tym chcieliśmy porozmawiać! – wykrzyknął zamiast niego Leon. – O pytaniach natury etycznej!

– Zgoda.

– A teraz rzuć okiem na ten urywek...

– Rozwinął zwój i wskazał inne miejsce. Przeczytałem w milczeniu.

Krezus był wstrząśnięty na wieść, że jego syn nie żyje, ponieważ obcy, którego wyznaczył na opiekuna dziecka, okazał się zabójcą.

Najwyraźniej coś przeoczyłem.

Spojrzałem ponownie na Eufemosa, ale ten odwrócił oczy.

– Wspominaliście o jakimś pytaniu. – Spojrzałem na jednego i drugiego. – Słucham? Jak ono brzmi?

Leon zaczął bawić się kciukami.

– Widzisz, zabiłeś nam ćwieka. Czy człowiek dobry to ten, który pragnie czynić dobrze? Nawet jeśli może zostać złapany?

– Źle mnie zrozumiałeś.

Jeśli postępuje właściwie, nie musi się martwić, że go przyłapią.

– No właśnie, prawda? Dobro i zło, prawda i błąd. Skomplikowana sprawa.

– Dwukrotnie skinął głową. – Dlatego przyszliśmy do ciebie.

– Sokrates powiedział, że człowiek, który wie, co jest dobre, nigdy nie uczyni niczego złego.

– Weźmy Trazybulosa – rzekł nagle Eufemos. – Według ciebie postąpił słusznie czy nie?

Spojrzałem na niego, próbując zrozumieć sens pytania. Historia Aten była mi teraz tak obca, że potrzebowałem chwili, aby poskładać części układanki.

Trazybulos był wodzem, który piętnaście lat temu wrócił z wygnania, żeby obalić trzydziestu tyranów. Stał na czele zwolenników demokracji w bitwie, w której poległ mój niesławny wuj, Kritias.

Początkowo sądziłem, że Eufemos zwyczajnie ze mnie drwi, że stara się wrócić do dawnego sporu, ale po chwili zrozumiałem.

Rozejrzałem się po korytarzu.

– Pytasz o...? – ściszyłem głos.

– Czy człowiek dobry może dopuścić się zła w słusznej sprawie? – Eufemos poważnie skinął głową. Leon wskazał mnie palcem, na wypadek gdybym miał wątpliwości, o jakiego dobrego człowieka chodzi.

– Śpiewasz na inną melodię – rzekłem do Eufemosa, co było łatwiejsze od udzielenia odpowiedzi na pytanie. – Sądziłem, że go podziwiasz... – Nie śmiałem wypowiedzieć na głos imienia tyrana.

– Powiedzmy, że zmieniłem zdanie.

– A ty? – Odwróciłem się do Leona. – Jaka jest twoja rola?

Eufemos odpowiedział za niego.

– Dionizjos długo panuje. Myślisz, że Agaton jest jedynym, który od niego ucierpiał?

Przyjrzałem się Leonowi uważniej.

Nagle jego niespokojna ruchliwość, nerwowe chichoty i nagłe tiki przestały być zachowaniem klauna, stając się oznaką człowieka rozpaczliwie pragnącego zrzucić nieznośne brzemię.

Zrobiło mi się go żal, cokolwiek przeżył. Nie była to jednak moja sprawa.

– Jeśli chcecie to zrobić, ruszajcie śmiało. Życzę powodzenia, ale nie wezmę w tym udziału.

– Jesteś nam potrzebny.

– Dlaczego?

Leon wskazał zwój, który spoczywał w moich rękach.

Przeczytałem ponownie.

...obcy, którego wyznaczył na opiekuna dziecka, okazał się zabójcą.

Poczułem strużkę potu spływającą po plecach. Moją pierś ogarnął bolesny skurcz.

– Trzeba to uczynić – wyjaśnił Leon.

– Zabicie lwa nie ma sensu, jeśli pozostawi się lwiatko.

– Potrzebujemy kogoś, kto ma dostęp do chłopca – dodał Eufemos.

Spojrzałem na jednego i drugiego, później na zwój Herodota. Pomyślałem o pierścieniu Gigesa. Co bym zrobił, gdybym go posiadał? Czy zakradłbym się niewidzialny do sypialni tyrana i zabił go we śnie, wiedząc, że nikt nie odkryje, że to ja?

Deotyma: Wszyscy sądzą, że złe postępowanie zaprowadzi ich dalej od czynienia tego, co słuszne. Ludzie dobrzy to ci, którzy się boją, że zostaną przyłapani.

Odwiedziłem Sokratesa dzień przed jego śmiercią. Siedział na kamiennej ławie w więzieniu, ze stopami przykutymi do podłogi i zwieszoną głową, ponieważ spał. Letni upał sprawiał, że w lochu cuchnęło jak w wychodku. Scytyjscy strażnicy stojący na ze-

wnętrz zachowywali się cicho.

Tamtego miesiąca odwiedzałem go tak często, że dobrze ich znałem.

– Nie do wiary, że możesz spać w takiej chwili – mruknąłem.

– W moim wieku zaprzeczanie śmierci nie ma sensu.

Mówiłem tak cicho, że ledwie siebie słyszałem, ale Sokrates się wyprostował, zupełnie przebudzony.

Jego twarz – jego kartoflowata, rumiana, piękna twarz – spoglądała na mnie jak niemowlę w kołysce. Nawet w takim miejscu, u kresu życia, jego oczu nie przysłaniało zło ani poczucie krzywdy.

– Długo tutaj jesteś?

Pokręciłem głową.

– Wszystko jest gotowe. Naczelnik poszedł do agory, wróci za pół godziny.

Strażników wezwano do gaszenia pożaru w dzielnicy Kerameikos.

Symiasz i Kriton czekają na zewnątrz z szybkim wierzchowcem. Zapłaciliśmy informatorom, więc nawet jeśli ktoś zobaczy, jak uciekasz, nie będzie niczego pamiętać. – Uklęknąłem, żeby rozpiąć kajdany, ale Sokrates powstrzymał moją rękę.

– Czy mam porzucić zasady, których nauczałem, tylko dlatego, że zmieniły się okoliczności? A może mam to uczynić na potrzeby dyskusji?

– Nie możesz tak umrzeć! – zawrzałem gniewem. – To... to... absurd!

W pierwszej chwili nic nie rzekł, tylko zmarszczył krzaczaste brwi. Czy sądzisz, że argument absurdalności kiedykolwiek kogoś powstrzymał?

Błagałem go, żeby poszedł ze mną.

Powiedziałem, że zdradzi swoje dzieci, choć tak naprawdę myślałem o sobie. Że uczestniczy w niesprawiedliwości, ponieważ oskarżenia są fałszywe, proces oszukańczy, a wyrok iście barbarzyński.

– Czy się nie zgodziliśmy, że nie należy czynić świadomie niczego, o czym wiemy, że jest złe? Czyż zło nie jest zawsze złem? A może ostatnie wydarzenia zmieniły twój sposób pojmowania i doszedłeś do wniosku, że czasem lub pod pewnymi warunkami możesz postąpić źle, choć dla innych to zabronione?

Prawił tak przez dłuższą chwilę, rozwijając swoją kwestię. Podkreślał, że całe życie przestrzegał ateńskiego prawa, wyszedłby więc na obłudnika, gdyby teraz je złamał tylko dlatego, że obróciło się przeciwko niemu.

Przypominał, że cnota jest dla niego wszystkim – ważniejsza od reputacji, cenniejsza od rodziny, donioślejsza od zmiennej opinii innych ludzi.

– Niezależnie od tego, czy spotkają nas lepsze czy gorsze rzeczy, nic nie usprawiedliwi zła. Czynienie zła zawsze dyskredytuje człowieka.

Nie słuchałem go.

Nie byłem w stanie. Kiedy skończył swój wywód, spytałem, czy mógłbym rzec coś, co zmieni jego postanowienie.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia, Sokratesie – rzekłem na koniec naszej rozmowy. Mimo że miał przed sobą tylko kilka godzin życia, widziałem, że nie jest rozczarowany.

Eufemos i Leon czekali na odpowiedź.

Spojrzałem w głąb korytarza na mroczne postaci kładące się długim cieniem między łukami krużganków.

Wyobraziłem sobie Sokratesa czekającego za jedną z kolumn, nasłuchującego.

– Nie mam wam nic do powiedzenia.

Leon cmoknął z niesmakiem i pokręcił głową. Za to Eufemos wyglądał na wściekłego.

– Pamiętasz, co powiedziałeś Dionizjosowi? Co rzekłeś mnie? Czy była to pusta retoryka?

– Powinieneś być się domyślić.

Wychwalałeś oświecone panowanie Dionizjosa i przekonywałeś, że nie ma czegoś takiego jak dobro i zło.

– A Agaton?

Próbował mnie sprowokować i niemal mu się udało. Przypomniałem sobie ciężkie ciało Agatona spoczywające na moich rękach i rany, które je pokrywały.

Pomyślałem o Dionizjosie obserwującym go w lochu, zachęcającym jego dręczycieli.

Szczującym mnie Agatonem.

Później zaś pomyślałem o synu Dionizjosa, moim uczniu. Chłopak może był tępy i leniwy, ale czy powinien umrzeć z tego powodu? Wyobraziłem sobie, jak podnoszę nóż, a jego świńskie oczka patrzą na mnie w przerażonym zdumieniu. Obraz zasnuł się czerwienią, aż się wzdrygnąłem.

– Dwa złe czyny nie dadzą dobra. – Moje słowa zabrzmiały pusto, ale były dobrą kryjówką.

– Zdarzyło ci się uznać coś za dobre?

Uważasz, że jesteś ponad wszystkim? Że jesteś za dobry dla tego świata? Czy to Sokrates cię nauczył, że tchórzostwo jest cnotą?

Cofnąłem się, jakby zwiększenie fizycznej odległości mogło mnie wyplątać z ich intrygi.

– Przypuśćmy, że zginie. Kto miałby go zastąpić?

Spojrzeli na siebie.

– Ktoś, kogo podziwiasz, jak mniemam – odparł Leon.

Odpowiedź była tak oczywista, że się zdumiałem, że od razu jej nie odgadłem.

– Czy Dion należy do spisku?

– Nie, w żadnym razie.

– Dion jest taki jak ty. Za dobry, żeby zbrukać sobie ręce – odpowiedział Eufemos.

– W każdym razie jest lojalny wobec szwagra. A ty, komu jesteś wierny?

– Prawdzie.

Myślałem, że napluje mi w twarz.

– Nie mogę uwierzyć! Rozmawiamy o... tym... a ty sprowadzasz wszystko do ćwiczenia z filozofii.

– Filozofia zajmuje się życiem.

– Oskarżasz mnie o stosowanie pokretnych argumentów, o to, że czynię czarne białym, a zło dobrem. Jesteś gorszy ode mnie. Nie przedstawiam tego, o czym prawię, jako prawdy absolutnej. Jestem uczciwy.

Nigdy nie byłem dobry w dyskusji.

Zamiast się spierać, odwróciłem się i oszedłem długim korytarzem.

Czekałem, aż mnie zawołają, ale nie można krzyczeć o zamiarze obalenia tyrana w jego domu, przynajmniej zaś nie można tego czynić, jeśli chce się zachować życie.

Czy tchórzostwo jest cnotą? Sokrates mógłby rozprawiać o tym cały dzień, drwiąc z mojego stanowiska, wskazując jego niekonsekwencje, wykuwając z moich opinii coś solidnego i celowego. W końcu były to tylko słowa.

Język jest niedoskonałym narzędziem: opisuje rzeczy, ale nie oddaje ich istoty.

Czy Sokrates był naprawdę lepszy od sofistów? A może jedynie bardziej konsekwentny w argumentacji?

Próbowałem sobie przypomnieć choć jedną rozmowę, która doprowadziłaby do zdecydowanego rozstrzygnięcia. Nie zdołałem. Nic, tylko niekończące się debaty, nieustanne pytania i żadnych odpowiedzi.

Szyderstwa Eufemosa dopadły mnie z przeszłości.

Kiedy filozofowie zasiadają w górach, kreśląc trójkąty, my przebywamy na dole, w salach sądów i zgromadzeń, zmagając się z problemami prawdziwego życia.

Żadnych metafor – przypomniałem sobie.

Rozdział 30

JONAH – SPETSES

Socratis Maroussis wskazał schody, ale Jonah się nie poruszył.

– Chcesz usłyszeć, co się stało z twoją żoną?

Jonah wszedł po stopniach na szeroką werandę. Na marmurowej posadzce w szachownicę stały trzy krzesła i wiklinowy stół nakryty obrusem, z trzema szklankami i dzbanem wina.

Jakby Maroussis ich oczekiwał. Jonah spojrział na drzwi, myśląc o tym, co się kryje za zasłoną. Jedna z nich się poruszyła, jakby pod wpływem wiatru, ale noc była spokojna, okna zaś zamknięto.

Jonah zauważył czubki czarnych butów wystające spod tkaniny.

Maroussis przyciągnął krzesło i podsunął je Ren. Wziął drugie dla siebie i wskazał trzecie Jonahowi.

– Siadajcie.

Jonah usiadł. W jego świecie przestała obowiązywać siła grawitacji.

Zniknęły góra i dół. Nie potrafił nawet wzbudzić w sobie gniewu, który powinien był odczuwać.

Maroussis nalał wina do trzech szklanek – prostych naczyń, jakie można znaleźć w każdej tawernie. Przysunął je po stole.

– Wasze zdrowie!

Jonah nie tknął wina, podobnie jak Ren. Maroussis wzruszył ramionami, wypił i odstawił szklankę na stół. Nawet jeśli zauważył, że Jonah go obserwuje, był zbyt dobrze wychowany, aby to okazać. Wydawał się przywiązywać ogromną wagę do staromodnej politesse: dystygowana postawa, elegancki sposób przesuwania szklanek po stole, jakby były figurami szachowymi, a nawet kąt, pod którym oparł cygaro o popielniczkę. Ile ma lat?

Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Upływ czasu, który napiął skórę twarzy, zamiast pokryć ją liniami zmarszczek, sprawił, że Maroussis przypominał Jonahowi afrykańską rzeźbę z twardego drewna.

– Pani musi być panną Lamelle – zagadnął Ren.

– Proszę przyjąć kondolencje z powodu siostry.

Ren zeszywniała.

– A pan to pewnie Jonah Barnes.

Z przykrością dowiedziałem się o pańskiej żonie.

Jonah nie mógł siedzieć i spokojnie słuchać człowieka, który ją porwał.

Nagle ogarnął go gniew. Przewrócił krzesło i stanął nad Maroussisem, trzymając dzban w ręce i krzycząc:

– Mów, co się z nią stało?!

Maroussis ani drgnął.

– Jeśli użyje pan przemocy, zjawią się ochroniarze.

Jonah spojrzał za siebie. Buty za kotarą zniknęły, co nie oznaczało, że ochroniarze odeszli.

– Nie powstrzymają nas przed wejściem do środka.

– Mają inne zadanie.

– Jakie?

– Pilnować mnie.

– Pana? – Jonah zacisnął palce na karafce, czując, jak opuszcza go pewność siebie. Maroussis siedział nieruchomo, ze skrzyżowanymi kostkami, spokojny niczym człowiek oczekujący przyjazdu pociągu.

– Jestem takim samym więźniem jak wy.

– Ten dom nie przypomina więzienia.

– Tylko dlatego, że brakuje panu wyobraźni. Proszę usiąść.

Jonah oparł się o poręcz balkonu.

Nagle rozpaczliwie zachciało mu się wina.

– Mam... wybaczcie, jeśli już to wiecie... syna. Krnąbrnego syna, jak byście to powiedzieli po angielsku.

– Ariego?

– Żywiłem wobec niego pewne nadzieje, ale... – Machnął ręką, jakby należały już do przeszłości.

– Nauczyłem go pragnąć tych samych rzeczy co ja... ale nie wpoiłem ignorowania tego, czym się brzydę. To zagubiony młody człowiek. Potrafi rozpoznać dobro, ale nie wie, dlaczego nim jest. Pragnie wszystkiego bez różnicy i uważa, że ma do tego prawo, ponieważ niczego mu nie odmawiano.

Jak dziecko, nie potrafi odróżnić prawdy od fałszu, snów od rzeczywistości.

Jonah postanowił zaryzykować i skosztować wina. Nie wyglądało na to, aby miał wiele do stracenia.

– Nie obchodzi mnie pana syn. Chcę wiedzieć, co się stało z Lily.

Wino było cierpkie, o żywicznym posmaku. Mimo to dopił je do końca.

Maroussis nalał mu kolejną szklanekę.

– Wiem, że moi archeolodzy znaleźli złotą tabliczkę orficką. Pańska żona ją ukradła.

– Zauważył, że Jonah chce zaprotestować, i podniósł rękę. – Za chwilę powie pan, że kierowały nią godne motywy, ale Ari był innego zdania. Chciał, aby mu powiedziała,

gdzie ją ukryła.

– Porwał ją?

Maroussis wzruszył ramionami.

– Powiedziałem mu, że postąpił nierozważnie.

Nazwał mnie rachitycznym starcem.

Doszło do szamotaniny.

– Uniósł ramię, opuszczając rękaw i pokazując zabandażowany nadgarstek. – Już nie szanuje mojej władzy.

– Chwileczkę. – Jonah zrobił krok naprzód, stając nad starszym mężczyzną.

– Widział go pan? Przyjechał tutaj?

– Ari to jeszcze dziecko. Kiedy zrobi coś złego, przyjeżdża do ojca. Nawet jeśli nie może znieść myśli o karze.

– Czy przywiózł tutaj Lily?

Staruszek podniósł zabandażowaną rękę i wskazał zbocze opadające do morza.

– Przypłynął jachtem. Była związana, o tam.

Serce Jonaha mało nie stanęło.

– Czy ona żyje? Gdzie jest?

– W miejscu, które znajduje się poza pana zasięgiem.

Od momentu wejścia do labiryntu jego myśli przesłaniał oleisty kożuch brudu. Teraz fala gniewu opadła i ujrzał wszystko wyraźnie. Poczul w ustach krew i zapragnął więcej. Podniósł dzban z winem, ale tym razem rozbił go o kant stołu. Wino i kawałki szkła rozprysły się po tarasie. W ręku został mu tylko wyszczerbiony kawałek. Miał broń.

Maroussis obserwował go ze swojego krzesła twardym, spokojnym wzrokiem.

– Czy zna pan Bachantki? Arcydzieło Eurypidesa?

Jonah nie odpowiedział.

– Bóg Dionizos przedstawia się królowi Penetuszowi jako człowiek i na pozór się mu poddaje. Daje królowi szansę, żeby potraktował go godnie.

Pozwala nawet, aby władca uczynił go swoim więźniem. To jednak tylko iluzja.

Kiedy Pentusz zaczyna się uważać za większego od boga, zostaje zniszczony.

Wyznawczynie Dionizosa, bachantki, rozdzierają jego ciało na strzępy i bawią się głową jak piłką.

Jonah nie słuchał. W ręku miał broń i zamierzał jej użyć. Muzyka pulsowała mu w uszach oszalałym rytmem, przyspieszając wraz z przenikliwym dźwiękiem cymbałów.

– Ona żyje, panie Barnes. Nadal ma pan coś do stracenia lub kogoś, dla kogo warto żyć, jeśli pan woli.

Muzyka umilkła. Jonah się cofnął.

– Gdzie ona jest?

Maroussis spojrział na kawałek szkła w ręku Jonaha.

– Nie mogę z panem rozmawiać, kiedy mi pan grozi.

Wściekłość osłabła. Usiadł. Ren obserwowała go uważnie z drugiej strony stołu.

– Gdzie ona jest?

Maroussis splótł palce.

– Zadał pan niewłaściwe pytanie. Ari nie jest zainteresowany pańską żoną.

Chciałby odzyskać tabliczkę.

– Rozumiem. – Jonah nie chciał rozmawiać o tabliczce, ale wiedział, że musi się uspokoić. – Dlaczego tabliczka jest taka ważna?

Maroussis uniósł zdrową rękę i wykonał okrężny ruch nadgarstkiem.

Zza rogu balkonu wyszedł kelner w białej marynarce i czarnym krawacie, niosąc trzy szklanki i następny dzbanek wina. Postawił je na stole i zabrał puste naczynia, uważając, żeby nie nadeptać kawałków szkła rozrzuconych na posadzce.

Jonah miał ochotę go uszczypnąć, aby sprawdzić, czy jest prawdziwy, ale nie odważył się tego zrobić.

Maroussis zaczął się bawić cygarem.

– Czytał pan Platona, panie Barnes?

– Nie.

– Czy słyszał pan cytat: „Cała zachodnia filozofia po Platonie jest tylko przypisem”?

– Nie.

– To słowa pewnego Anglika, Alfreda Northa Whiteheada. – W jego ustach nazwisko filozofa zabrzmiało egzotyczne i tajemniczo, zabarwione greckim akcentem. – Pewnie chodziło mu o to, że każde pytanie, które zdoła pan wymyślić, przyszło już do głowy Platonowi.

Może nie znalazł rozstrzygających odpowiedzi, ale sformułował pytania, co jest znacznie ważniejsze.

Jonah przywykł do sposobu mówienia starszka. Sącył wino i czekał na morał.

– W wieku czterdziestu lat Platon odbył podróż do południowej Italii.

Wiemy o tym, ponieważ filozof wspomina o podróży w listach, które się zachowały. Nie pisze, czego się tam nauczył, ale możemy snuć pewne przypuszczenia. Kiedy wrócił do Grecji, zmienił styl pisania. Przestał układać krótkie przypowieści o życiu Sokratesa, wyszydające Ateńczyków za ich ignorancję. Jego dialogi stały się złożone i głębokie.

Przypominał człowieka, który brodził po plaży i nagle nauczył się nurkować w głębinach oceanu.

Zza domu dochodził szum fal obmywających kamienistą plażę.

– Czy pojechał do Sybaris?

– Nie pisze o tym. W każdym razie było to sto lat po zniszczeniu starożytnego miasta, mógłby więc najwyżej odwiedzić kolonię Turioj, która powstała w jego miejscu.

Wierzę, że tam pojechał. Udał się do Italii, aby zgłębiać filozofię Pitagorasa, a Sybaris-Turioj było z nim silnie związane.

Wydmuchnął obłok dymu.

– Nie ma wątpliwości, że Platon nauczył się wiele od pitagorejczyków.

Poznał matematyczne podstawy wszechświata.

Koncepcję duszy i metempsychozy. Wierzę, że odkrył coś jeszcze bardziej starożytnego. Źródło mądrości, które przeniosło jego duszę na inną płaszczyznę rzeczywistości.

– Chodzi o tabliczki?

– Tabliczki są drogowskazem.

Wskazują drogę.

– Do czego?

Maroussis ponownie zmienił temat.

– Czy zastanawiał się pan nad naturą rzeczywistości, panie Barnes?

– Powinien pan pomówić z Adamem, nie ze mną.

– Z pańskim przyjacielem Adamem Shawem?

Rozmawiałem z nim wielokrotnie. Platon uważa, że ludzka osoba składa się z trzech elementów: rozumu, woli i namiętności. Osiągnąłem wszystko dzięki sile woli. Mój syn został obdarzony ponadprzeciętną dawką namiętności, Adam Shaw funkcjonuje zaś w czystych rejonach rozumu.

– Można tak to ująć.

– Sądzi pan, że Adam jest chłodny?

– Wydarłbym mu serce, gdybym wiedział, że je ma.

– Wszyscy jesteśmy więźniami świata iluzji.

Siedzimy w jaskini skuci łańcuchami i obserwujemy cienie kukiełek, które błędnie bierzemy za rzeczywistość. Platon był człowiekiem, który uciekł z jaskini, ujrzał prawdziwą rzeczywistość.

Adam Shaw i ja chcielibyśmy dokonać tego samego.

Jonah pomyślał o mieszkaniu Adama pełnym szklanych ścian i białych powierzchni. O jego pustce i widoku na Akropol – widoku tak wyraźnym, że wydawał się sztuczny. Nie potrafiłby wskazać wielu miejsc odznaczających się mniejszą realnością

– może z wyjątkiem domu, w którym się obecnie znajdował.

Nagle uderzył ręką w stół, jak przestraszone zwierzę.

Szklanki brzęknęły.

– Czy to nie jest realne?!

Maroussis podniósł szklankę i przyłożył ją do ucha, słuchając, jak rezonuje.

– Ufamy zmysłom, ale dostarczają nam marnej pomocy w zrozumieniu rzeczywistości.

Nasze uszy słyszą jedynie ułamek dźwięków wytwarzanych przez świat.

Oczy przypominają aparat o rozdzielczości jednego megapiksela. Na podstawie tych

lichych bodźców tworzymy sobie obraz złożonego kosmosu. Cóż jest tym, co nazywamy rzeczywistością?

Elektrycznymi impulsami i związkami chemicznymi migoczącymi niejasno w naszym umyśle!

Odstawił szklanę na stół.

– Zna pan koncepcję świata cieni?

– Nie.

– A może słyszał pan bardziej popularne określenie? Wszechświaty równoległe?

– Nie interesuje mnie fantastyka.

– To nauka, nie fikcja. Badania wykazały, że we wszechświecie istnieje nieskończona ilość cząstek, które znajdują się poza zasięgiem naszego poznania, ponieważ nie wywierają żadnego wyczuwalnego wpływu na świat i zaznaczają się jedynie na marginesie eksperymentów.

Nasze teleskopy i mikroskopy, spektrometry i akceleratory są zdolne wykryć jedynie jedną miliardową część materii w galaktyce.

– Jaki to ma związek z Lily?

– Podobnie jest z matematyką. Fizycy powiadają, że światem rządzą liczby.

Myślą, że głoszą nową naukę, ale ten pogląd jest równie stary jak pitagoreizm.

Stary i błędny! Austriacki matematyk Gödel udowodnił, że żaden model matematyczny, niezależnie od stopnia swojej złożoności, nie zdoła opisać wszystkich liczbowych możliwości, liczby są bowiem elementem żywego wszechświata. Żyjemy w ciasnym, materialistycznie pojmowanym świecie.

Sądzymy, że wszystko można wyjaśnić za pomocą rzeczy, które można dotknąć i policzyć, nie potrafimy jednak nawet ich naprawdę poznać. Od czasów starożytnych zawężamy nasze horyzonty – od Boga do człowieka, od człowieka do zwierząt, później do komórek, nukleotydów, atomów i cząstek.

Pograżamy się w błocie, które sami stworzyliśmy, i dziwimy się, dlaczego nie możemy się z niego wydostać.

Wszechświat gra dla nas symfonię, ale my słyszymy jedynie zgrzyt pedału pianina. I uważamy, że jest wszystkim, co można zrozumieć. Czy widział pan, co się stało z Ate-nami?

Jonah potarł rozcięte czoło.

– Na własne oczy.

– To straszne, ale nieuchronne. Mój kraj wprowadził świat w erę cywilizacji.

Teraz go z niej wyprowadzamy. To, co się dzieje w Grecji, jest logiczną kulminacją wielu wieków myśli zachodniej, upatrującej jedyny cel życia w materialistycznie pojmowanym zysku. Jeśli uznamy, że człowiek jest tylko zwierzęciem, w końcu będziemy żyć jak zwierzęta.

Jonah nie odpowiedział. Żałował, że wypił tyle wina.

– Platon zdefiniował człowieka jako duszę uwięzioną w ciele, ale my ją odrzucamy, ponieważ nie potrafimy jej zmierzyć. W ten sposób pozostaje nam jedynie ciało, które jest kruche i niepewne. Ciało stwarza kruchy i niepewny świat. Żeby stworzyć coś trwałego, musimy zacząć budować na tym co wieczne. Na duszy.

– Ale... – Jonah pokręcił głową, próbując skupić myśli na tym, co miało znaczenie.

– Jaki to wszystko ma związek z tabliczką? Z Lily?

– Kiedy Platon pojechał do Italii, znalazł coś, co wstrząsnęło jego umysłem jak bomba wodorowa. Nagle, zamiast zgrzytu pedału pianina, usłyszał całą orkiestrę. Zrozumiał, jak dostrzegać nie tylko migoczące zjawiska świata widzialnego, ale także trwałą architekturę kosmosu.

Jestem przekonany, że ta wiedza nadal istnieje i czeka na odkrycie. Wierzę też, że tabliczka z Sybaris wskazuje do niej drogę.

– Przecież oprócz niej są inne. Na Boga, widziałem jedną w British Museum!

Maroussis sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął płaską srebrną papierośnicę. Położył ją na stole i otworzył.

– Oto inna.

Jonah pochylił się nad stołem.

W papierośnicy leżała cienka złota blaszka lśniąca w promieniach światła na tarasie. Małe litery przekazywały swoje starożytne przesłanie.

Co obiecywały?

– Czy to tabliczka z Sybaris?

– Nie. – Maroussis zatrzasnął papierośnicę. Żłociste światło zgasło. – Tylko pana żona wie, gdzie ona jest.

Chyba że powiedziała o tym mojemu synowi.

Wypite wino, brak snu lub osobliwa absurdalność sytuacji sprawiły, że Jonah słucał objawień Maroussisa jak zaczarowany.

Wzmianka o Arim sprawiła, że się przebudził. Przypomnił sobie, w jakim celu tu przyszedł.

– Co pana syn zrobił z Lily?

– Ari popłynął do Włoch.

– Gdzie ona jest?!

Maroussis pokręcił głową.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, jest pan muzykiem, panie Barnes. Czy lubi pan kompozycje Bacha?

Jonah miał dość uników starego mężczyzny.

– Gdzie ona jest? – powtórzył z naciskiem.

– Myślę, że ich pan nie lubi.

Większość młodych ludzi uważa tę muzykę za zbyt matematyczną.

Niewystarczająco emocjonalną.

– Zachichotał. – Rzeczywiście, Bach to nie Elvis Presley. Trzeba być starcem, żeby zrozumieć jego sztukę.

Jonah wstał.

Rozejrzał się w poszukiwaniu wyszczerbionego kawałka szkła, ale ten zniknął. Pewnie zabrał go kelner, gdy nie patrzył.

– Bach jest mistrzem kanonu. Wie pan o tym? Jak w waszej angielskiej kołysance Row Row Row Your Boat.

Zanucił kilka taktów. – Melodia jest prosta, ale jedynie przez powtarzanie można pojąć całą jej złożoność. Trzeba takiego geniusza jak Bach, żeby ją ukazać. Bach przypomina czarodzieja.

Sięga po jakiś temat i splata go w tyle węzłów, że nie wiesz, gdzie jesteś.

A później rozwiązuje je wszystkie słabym muśnięciem struny, powodując, że wracamy do punktu, w którym wszystko się zaczęło. Dopiero jednak teraz rozumiemy, gdzie jesteśmy.

– Gdzie ona jest? – Jego pytanie stało się powracającym tematem, które Maroussis oplatał swoimi inwersjami.

– Życie jest tylko snem, panie Barnes.

Czy nie tak powiada wasza piosenka?

Pora się obudzić.

Rozdział 31

Moje pierwsze prawo będzie dotyczyć rabowania świątyń – na wypadek gdyby ktoś odważył się popełnić tak odrażającą zbrodnię.

Nie wyobrażam sobie, aby wykształcony obywatel zdobył się na podobny czyn, lecz niewolnicy, cudzoziemcy i niewolnicy cudzoziemców mogą doświadczyć pokusy.

Platon, *Prawa*

Księżyc zaczął ponownie maleć, jakby z boku odcięto mały kawałek. Choć na pierwszy rzut oka wydawał się pełny, koło uległo zmianie – przestało być doskonałe. Co noc będzie ulegać niewielkiej deformacji, aż zniknie całkowicie.

Może świat jest taki jak księżyc. Tak bliski doskonałości, że tego nie dostrzeżesz, jeśli się nie skoncentrujesz.

Albo nasze zmysły nie zostały stworzone tak, żeby zdołały docenić doskonałość, albo doskonały świat opisywany przez matematykę nie jest naszym światem.

Choć pomniejszony, księżyc świecił dostatecznie jasno. Gdybym wracał do domu z uczty, byłbym rad z jego pomocy, ale przemykałem się korytarzami pałacu tyrana, aby wykraść jego skarb, nie chciałem więc, żeby mnie widziano. Mimo to księżyc tkwił uparcie na bezchmurnym niebie, jak – mniejsza o to – oblewając swoim światłem kochanków i złodziei, ukazując ich zbrodnie czarno na białym.

Filozof Anaksagoras naucza, że księżyc nie ma własnego światła, tylko czerpie je od ukrytego słońca. Jeśli rzeczywiście tak jest, czym jest świat, który opromienia? Ubogim kuzynem?

Podrzednym miejscem oblanym przez światło z drugiej ręki? Czy dlatego jego blask powoduje, że ludzie dostają obłądu? Ponieważ to, co ukazuje, nie jest rzeczywiste?

Musiałem oszaleć. Minęła północ, a mnie nie ma w izbie. Zamiast spać, przekradam się korytarzami zamku, od kolumny do kolumny, jak Odyseusz zakradający się do Troi, żeby wykraść Palladion. Nie jestem szpiegiem, służbę wojskową odbyłem dwadzieścia lat temu.

Pewnie zostanę schwytany.

Dionizjos kazał torturować i zabić Agatona za mniejsze przestępstwo.

Nie będę mógł nawet udawać niewiedzy. Wiem, jakie są szanse i przypuszczalny

wynik, a jednak to robię. Właśnie na tym polega obłąd.

Kieruje mną nieodparty głos: Muszę poznać treść tej księgi. Deotyma powiedziała, że szaleństwo bywa błogosławieństwem i darem. Nie jestem tego pewien. To obłąd sprawił, że bachantka rozerwała na strzępy własnego syna, Herkules zaś zabił swoje dzieci.

Pragnę księgi czy Deotymy? A może utożsamiam ze sobą te dwie rzeczy?

Myślę, że gdy zdobędę jedną, posiadam drugą?

Nie wiem.

Muzyka rozbrzmiewająca w mojej duszy wyrwała się spod kontroli, stała się szybka i niebezpieczna. Rozproszone nuty, urywane tony, dziki rytm, który dobiega znikąd, po czym znika. Jakby ktoś usunął dźwięk z powietrza, rozdarł go i – nie wiedzieć jak – wcisnął mi do uszu.

Wiem tylko, że byłoby lepiej, aby mnie nie złapali.

Nocne dźwięki dochodzące z pałacu powtarzały echem obłądną muzykę rozbrzmiewającą w mojej głowie.

Stukot butów, hasła straży, skrzypienie zawiasów i rygli, zbyt bliskie urywki rozmów. Kiedy w pobliżu zahukała sowa, omal się nie poddałem.

Przekradłem się przez podwórzec do ćwiczeń i szeroki ogród, przebiegłem cieniem u stóp baszty i skręciłem w kierunku głównego placu. Na mojej drodze nie pojawiły się żadne drzwi ani strażę. Słabość niezdobytej twierdzy, jeśli można tak określić zamek Dionizjosa, wypływała z naturalnego przekonania, że nieprzyjaciel czyha za murami.

Dotarłem do dwóch świątyń i stanąłem przed nimi, jak więzień przed sędziami. Światło księżycy odwróciło rzeczywistość – żłobkowane kolumny wydawały się ulotne, oddzielające je powietrze było zaś twarde jak żelazo.

Złota tarcza Ateny na frontonie zamieniła się w srebro.

Kiedy księżyc stał na niebie, nie mogłem podejść do świątyni tak, aby mnie nie widziano. Ukryłem się więc tchórzliwie, lgnąc do cienia.

To czyste szaleństwo – powiedział Głos Rozsądku.

Zbyt daleko zaszedłeś, żeby się cofnąć – powiedział Głos Woli.

Cóż takiego jest w tej księdze? – dociekał Głos Pożądania.

Wewnętrzne głosy niemal mnie sparaliżowały.

Później usłyszałem prawdziwe głosy i brzęk zbrojnych.

Przebiegłem plac i ukryłem się w cieniu między kolumnami. Przywarłem do kamienia i zacząłem się modlić, żeby mnie nie dostrzegli.

Strażnicy minęli plac. Gdybym ich słuchał, może bym się dowiedział, że więcej dwójek obchodzi pałac, lub usłyszał jakiś urywek rozmowy.

W głowie miałem jednak tylko jedno: Gdzie oni są? Śledziłem ich ruchy po dźwięku, wstrzymując oddech za każdym razem, gdy sądziłem, że mogą się zbliżyć, i wypuszczając powietrze, kiedy się oddalali.

Po chwili zniknęli. Nasłuchiwałem jakiś czas dla pewności, policzyłem do dwudziestu, podszedłem do wielkich drzwi i pchnąłem je z całej siły. Miałem nadzieję, że są tylko na pokaz, że na Ortygii Dionizjosa nie ma zamków w drzwiach. Któż bowiem byłby tak szalony, żeby okraść tyrana w jego domu? Poza tym nawet gdybyś zdołał coś wynieść, żaden wymieniający pieniądze czy złotnik z Sycylii nie zaryzykowałby przyjęcia takiego przedmiotu.

Drzwi ani drgnęły. Dionizjos nie był naiwny. Nie mam pojęcia, jak mogłem tego oczekiwać. Ze złości kopnąłem drzwi i zraniłem się w palce, po czym zacząłem się na nich skradać, przerażony każdym cieniem. Pomyślałem o dniu spędzonym w teatrze: najpierw dramat, później komedia. Niemal słyszałem chichoty publiczności.

Powoli okrążyłem świątynię, macając ściany w poszukiwaniu drzwi lub okna.

Kolumny otaczały mnie zewsząd jak klatka. Kiedy ponownie znalazłem się od frontu, Głos Woli skulił się w kąciku, a Głos Rozsądku wymierzył mi tęgiego kopniaka.

Gdybym zdołał niepostrzeżenie dotrzeć do swojej izby, mogłoby mi się upiec.

A co z drugą? – zapytał Głos Pożądania.

Spojrzałem na świątynię Bogini stojącą obok przybytku Ateny i otoczoną rusztowaniem. Budowle znajdowały się tak blisko siebie, że wydawało możliwe przejście z jednej na drugą.

Stoją dalej, niż się wydaje – ostrzegł mnie Głos Rozsądku, ale byłem już trzy metry nad ziemią i wspinałem się dalej.

Kiedy spojrzałem w dół, światło księżyca nie pozostawiło wątpliwości, z jakiej wysokości spadnę.

Wyciągnąłem rękę, żeby się czegoś chwycić, i poczułem ciepłą gładź dachówki. Dotarłem na szczyt. Ciężko dysząc, odwróciłem się i spojrzałem na świątynię Ateny.

Kiedy byłem na ziemi, miałem wrażenie, jakby dwie świątynie niemal się ze sobą stykały, ale z góry odległość, która je dzieliła, przypominała przepaść.

Nie zdołałbym jej pokonać, nawet gdybym wykonał długi skok i poszybował w powietrzu.

Świątynia Bogini była nieco niższa od przybytku Ateny, mogłem więc zajrzeć pod okap i zobaczyć wąską, niewidoczną z dołu kładkę.

Spróbuj użyć drabiny

– odpowiedział Głos Pożądania.

Odnalazłem ostatnią drabinę, której użyłem podczas wspinaczki, i umieściłem ją nad dziurą w podłodze.

Uderzyła w rusztowanie, płosząc gołębia, który uwił sobie gniazdo na dachu. Miałem nadzieję, że hałas nie zwrócił niczyjej uwagi.

Uniosłem drabinę nad otchłanią i pchnąłem w kierunku kładki biegnącej pod dachem świątyni Ateny.

Sięgnęła.

A widzisz – zachęcił Głos Pożądania.

– Bogowie nam sprzyjają.

Bogowie wiedą nas do zagłady – odrzekł Głos Rozsądku, ale ja puściłem tę opinię mimo uszu. Poruszałem się na kolanach wąską kładką. Drabina ugięła się pod moim ciężarem. Czułem, jak się przechyla przy każdym ruchu, jakby próbowała mnie zrzucić.

Później wyciągnąłem rękę i poczułem kamień. Niemal zrzuciłem drabinę, gramoląc się w pośpiechu na wąski parapet i przywierając do solidnej podstawy kładki pod okapem.

Byłem w świątyni Ateny. Zmówiłem szczerą modlitwę, mając nadzieję, że bogini będzie strzec zbłąkanego Ateńczyka.

Wciąż jednak znajdowałem się na zewnątrz głównego sanktuarium.

Powiodłem wzrokiem wzdłuż wąskiej kładki i w połowie jej długości ujrzałem żółte światełko na krokwiach. Ruszyłem w jego stronę.

Światło pochodziło z wysokiego okna umieszczonego w ścianie przybytku.

Oliwna lampa zapiekła mnie w twarz, gdy zajrzałem do środka. Daleko w dole, na posadzce, płonął niepilnowany przez nikogo święty ogień.

Za nim stała Atena na cokole – w pełnej zbroi, z twarzą odwróconą w drugą stronę.

Na ścianach zastygli wymalowani bogowie i herosi.

Chociaż była noc, widziałem wszystko tak wyraźnie jak za dnia. Nie z powodu jednego płomienia, ale jego odbicia w tysiącach naczyń i kielichów, czasz i urn, posągów, broni, sztabek, bransolet i sprzętów zgromadzonych w tej sali, ponieważ wszystko wykonano z litego złota.

Oczywiście zależało mi wyłącznie na księdze, ale nawet ona nie byłaby nic warta, gdyby się okazało, że nie mogę do niej dotrzeć. Nie wiem, czy okno służyło jedynie do wentylacji, aby dym nie zatrzał kapłana, czy Dionizjos cierpiał na tak silną paranoję, że szpiegował nawet boginię. Z pewnością jednak nie służyło jako wejście do skarbcza, poza tym znajdowałem się wysoko nad ziemią.

Wychyliłem się z okna i spojrzałem w dół. Ściana była stroma, ale nie gładka. Sterczały z niej kamienne występy niczym szczeble drabiny.

Potrzebowałem chwili, aby zrozumieć, że to marmurowe ramy malowideł.

Próbowałem je zliczyć, ustalić, ile ich jest, w jakich odstępach je umieszczono i dokąd sięgają. Czy wytrzymają mój ciężar?

Głos Rozsądku powiedział, że to się nie uda, Głos Pożądania twierdził, że muszę spróbować. Odwróciłem się i wysunąłem nogi przez okno, po czym opuściłem się, zawisając na ramionach.

Poruszyłem stopami w poszukiwaniu półki, ale znalazłem jedynie powietrze.

Opuściłem się trochę niżej. Nadal nic.

Zsunąłem się tak daleko, jak zdołałem.

Wisiałem na palcach.

Dziesięć poduszczyków utrzymywało masę dorosłego mężczyzny. Bogini obserwowała mnie ze swojej plinty, ale nie zrobiła nic, żeby mi pomóc. Jej oblicze mówiło: Dokonałeś wyboru.

Dyndałem tak w zupełnej ciszy. Zamilkł nawet Głos Pożądania.

Parmenides powiada, że nic nie pochodzi z niczego. Czasami jednak – wyciągając palec tak daleko, jak to tylko jest możliwe – zdołasz coś znaleźć.

Natrafić na opór, zostać odepchniętym przez przedmiot, podkreślający z naciskiem: Ja istnieję.

Puściłem się i ześlizgnąłem w dół.

Półka podniosła się i oparła o moją stopę, przyjęła mój ciężar i go utrzymała.

Przywarłem do ściany, spłaszczony jak ryba, próbując złapać oddech, aby wyszeptać dziękczynną modlitwę do Bogini. Jej chłodna twarz znajdująca się niemal na tej samej wysokości co moja nie zdradzała, że dostrzegła moją osobę – może tylko lekko uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: Jeszcze mi nie dziękuj.

W przybytku były dwa rzędy malowideł otoczonych ramami z marmuru. Zejście na dół bez utraty chwytu lub równowagi było ciężką próbą, zwłaszcza że dolny rząd znajdował się ponad poziomem głowy.

Skoczyłem z wysokości kilku stóp – nie było innego wyboru – i wylądowałem na złotych naczyniach, które brzękły jak cymbały w zamkniętej sali.

Podniosłem głowę i spojrzałem w górę, skąd przybyłem. Z poziomu podłogi okno było prawie niewidoczne, umieszczone ponad najwyższą półką.

Wiedziałem, że nigdy nie wciągnę się tak wysoko.

Opuszczając wzrok i spoglądając na mur, nie mogłem nie zauważyć niezwyklej jakości fresków. Gdybym nie dotknął farby, kiedy zsuwałem się w dół, byłbym przysięgł, że to rzeźby.

Trzy małe centaury ssące matkę wyglądały tak, jakby wysunęły zady z ramy. Twarz Atlasa podtrzymującego świat była tak żałosna, że miałem ochotę pomóc mu w dźwigniu brzemienia.

Przypomniałem sobie słowa Diona, że były one dziełem samego wielkiego Zeuksisa.

O Zeuksisie krąży pewna opowieść, choć nie wiem, czy jest ona prawdziwa.

Pewnego razu Zeuksis i jego wielki rywal urządzili zawody o to, który z nich jest większym malarzem.

Zeuksis namalował kiść winogron tak prawdziwie, że z drzew zlatywało się ptactwo, aby je dziobać. Pewny zwycięstwa, kazał rywalowi odsłonić swoje dzieło. Ten rzekł Zeuksisowi, aby sam to uczynił. Malarz stanął przed obrazem, sięgnął po kotarę, która go zasłaniała, i cofnął dłoń pokrytą farbą.

Kotara była obrazem.

Nie zwracaj na nie uwagi – przypomniał Głos Pożądania. – Znajdź księgę.

Odwrociłem się i zacząłem przeszukiwać skarby tak cicho jak to możliwe. Nie było

to łatwe, milion drachm w złocie czyni bowiem spory hałas. W skarbcu tym nawet stary król Krezus poczułby się ubogi.

Zastanów się – rzekłem sobie. Nie trzymałbym rękopisów razem z zastawą stołową.

Zacząłem się posuwać w kierunku tylnej części sali. W cieniu za posągiem, przy ścianie, stało kilkanaście ciężkich skrzyń. Otworzyłem jedną z nich – nie była bowiem zamknięta – i pomacałem w środku.

Wyczułem grube tkaniny, gruzłowate od klejnotów, które w nie wszyto.

Zajrzałem do kolejnej i znalazłem to samo. Niechciane dary – pomyślałem.

Mimo innych uchybień i bajecznego bogactwa musiałem przyznać, że Dionizjos miał prosty smak, co było godne pochwały.

Kiedy otworzyłem trzecią skrzynię, wiedziałem, że jestem blisko. Otwarte wieko uwolniło słodką, trawiastą woń rękopisów.

Sięgnąłem do środka i usłyszałem cichy szelest, gdy przesunąłem dłoń, jak szmer wiatru w papirusach nad brzegiem stawu Kiane.

Ponieważ posąg zasłaniał światło, przyciągnąłem skrzynię do świętego ognia, czyniąc okrutny hałas.

Zacząłem wyciągać zwoje i nieznacznie rozwijać, żeby sprawdzić, co jest w środku. Miałem nadzieję, że ostatnie nabytki leżą u góry.

Piąty zwój okazał się tym, którego szukałem. Nie różnił się niczym od pozostałych, niczym, co tłumaczyłoby, dlaczego był wart sto drachm i życie człowieka. Nie miał ryćcin i nie był nawinięty na złoty drążek. Zbliżyłem go do światła, ledwie oddychając.

Świadectwo Timajosa z Lokr. Wszedł on do krateru, który nie był dnem ani podstawą, zstąpił do miejsca najdalszego, do największych głębin ziemi, minął strażę i święte źródło, a po latach spędzonych w dole powrócił do krainy żyjących.

Ręka mi drżała. Trzymałem księgę, której czytanie ludzie przypłacili życiem. Czytałem dalej.

Początkowo wszechświat znajdował się w chaosie. Dobry Stwórca pragnął wywieść ład z nieładu, wziął więc elementy, z których się składał, i wlał je do krateru, a następnie zmieszał ze sobą. Uformował z nich duszę i świat materii, a następnie połączył ze sobą.

Dusza jest wieczna, ma udział w rozumie i harmonii, jest także najlepszą z rzeczy stworzonych.

Świat obdarzony duszą i władzą myślenia. Świat przeniknięty harmonią i rozumem, które miały na zawsze usunąć chaos Heraklita. Poczulem gęsią skórę na ramionach.

Bóg rozdzielił duszę na tyle części, ile jest gwiazd, i umieścił ją w ciałach, żeby mogły przeżywać doznania i doświadczać miłości, w której stapiają się przyjemność i ból, strach i gniew, i wszystkie inne emocje. Jeśli ludzie zapanują nad nimi, będą wieść sprawiedliwe życie, później zaś zajmą miejsce wśród gwiazd. Jeśli się jednak poddadzą i będą postępować nieprawo, będą utykać do końca swoich dni, po czym zostaną

zesłani do świata w dole.

Poczułem olśnienie. Przez chwilę miałem wrażenie, że sprawy, o których prawła mi Deotyma, zostały w końcu przekazane w jasnych słowach.

Dwóch rzeczy nie można połączyć bez trzeciej, którą jest proporcja, w każdych bowiem trzech liczbach, sześciennych lub kwadratowych, istnieje średnia, która jest dla ostatniej taka sama jak dla pierwszej. Kiedy zaś średnia dla pierwszego członu jest taka jak średnia dla ostatniego, wówczas staje się ona członem pierwszym i ostatnim, pierwszy i ostatni stają się zaś średnią i wszystkie z konieczności są takie same, stanowią zatem jedno.

Co o tym pomyślałem? Powiem uczciwie, nie wiem. Chciałem wierzyć, że czytam jakieś głębokie dzieło, że prawda wszechświata spoczywa ukryta w tym zwoju. Im jednak dłużej czytałem, tym mniej byłem tego pewien. Wiele tam było twierdzeń, mało zaś dowodów.

Koniec końców uznałem to wszystko za metaforę.

Niektóre rzeczy są zbyt realne, aby opisać je słowami.

Może była to wina okoliczności.

Może nie potrafiłem się skupić, ponieważ moje oczy co rusz spoglądały w kierunku drzwi, z tyłu głowy pulsowało zaś pytanie, jak się stąd wydostanę. Nadzieja na uzyskanie odpowiedzi – wyjaśnienie tego, co Agaton odkrył w tym rękopisie – nie dawała mi spokoju.

Pospiesznie przejrzałem tekst, pomijając dłuższe fragmenty traktujące o kołach i harmonii, teorii liczb, której nie rozumiałem, i trójkątach.

Później księga się urywała. U dołu ostatniej kolumny ktoś dorysował rycinę innym kolorem atramentu. Dwa trójkąty i łuk. Bez żadnego wyjaśnienia. Miałem ochotę cisnąć księgę do świętego ognia, uznałem bowiem to wszystko za stratę czasu.

Księga nie zajmowała jednak całej długości zwoju – na drążku pozostał kawałek czystego papirusu. Rozwinąłem go do końca, na wszelki wypadek.

Złota blaszka była tak cienka, że nawet jej nie poczułem. Rozwinąłem kilka ostatnich zwojów papirusu i znalazłem ją zwiniętą wokół drążka.

Złota tabliczka Agatona. Upadła mi na dłoń z cichym szeptem. Małe litery mignęły w świetle odbitego płomienia.

Pobiegłem do skrzyni, w której znalazłem księgę, i zacząłem grzebać w środku. Niemal natychmiast wśród miękkich zwojów wyczułem metalowy łańcuszek i pudełeczko. Zwinąłem tabliczkę i wsunąłem ją do pudełeczka, które zawiesiłem na łańcuszku na szyi pod tuniką.

Pora iść

– powiedział Głos Rozsądku. Wetknąłem zwój Timajosa za pas i zacząłem odkładać na miejsce pozostałe rękopisy. Chociaż święty płomień nadal syczał za moimi plecami, sala wydawała się ciemniejsza, złoto wokół mnie słabiej błyszczało.

Poczułem chłód. Jakbym się przebudził z wyjątkowo brudnego snu, nie mając nic oprócz wspomnień i wstydu.

Chciałem tylko wrócić do domu.

Było już jednak za późno. Usłyszałem krzyki i stłumione kroki dobiegające od strony zewnętrznych schodów.

Pomyślałem, żeby się ukryć za posągiem, ale byłoby to niegodne i próżne, skarby leżały bowiem rozrzucone na posadzce, a skrzynia z rękopisami była otwarta.

Wielkie drzwi się otwarły. Na progu stanęła postać. Z jednej strony oświetlał ją księżyc, z drugiej – ogień.

– Ostrzegałem cię!

Rozdział 32

JONAH – SPETSES

Nie był w stanie sobie przypomnieć, jak opuścili dom Maroussisa – zapamiętał jedynie żwirowy podjazd i zamykającą się żelazną bramę. Obserwowani przez dwa lwy na słupach bramy ruszyli w górę zakurzoną ścieżką w stronę pasma, które rozdzielało wyspę na dwie części. Księżyc zaszedł. Szli w świetle gwiazd, kierowani przez nieznane konstelacje. Ren wsunęła palce w jego dłoń. Przyjął to z wdzięcznością, potrzebował bowiem dowodu na to, że nie jest sam.

Rozpaczliwie próbował przywołać to, co powiedział Maroussis. Jakby w jego głowie obracały się opony, próbując odzyskać przyczepność, ale im szybciej wirowały, tym bardziej rozorywały ziemię, która się pod nim znajdowała.

Rozmawiał z człowiekiem, którego syn porwał Lily, ale nie potrafił sobie przypomnieć żadnego słowa. W jego wnętrzu powstała dziura, on zaś do niej wpadł.

Ścieżka zamieniła się w drogę. Poczul ciepły asfalt pod stopami, wspinając się to w jedną, to w drugą stronę zboczem wzgórza. Raz w jedną, raz w drugą – jak wibrująca struna.

Był z tego zadowolony, ponieważ wspinaczka dostarczała mu poczucia celu.

Dotarli na wierzchołek. W dole ukazała się druga część wyspy. Była pograżona w cieniu. Zdał sobie sprawę, że na niebie jest światło. Odwrócił się, żeby spojrzeć na willę Maroussisa, ale zasłoniły ją drzewa.

Świat zaczął mu ciążyć. Potknął się o kamień leżący na poboczu i na chwilę stracił równowagę. Dokuczały mu zawroty głowy. Czuł się wolny. Miał wrażenie, że gdyby spadł z urwiska, mógłby dolecieć do słońca.

– Dokąd idziemy?

Ren spojrzała w dół na odległe skupisko świateł wokół zatoki.

– Przecież ci powiedział.

A później rozwiązujemy węzeł słabym muśnięciem struny i wracamy do punktu, w którym wszystko się zaczęło.

Dopiero jednak teraz rozumiemy, gdzie jesteśmy.

– Do Włoch?

Na wschodzie, w miejscu gdzie Homerowe morze okalało horyzont, słońce zaczęło ukazywać swoją twarz.

GRECJA – OKOLICE EJO

Autobus i kręta droga między morzem i górami. Jonah pomyślał, że taki właśnie jest ten kraj: morze i góry.

Wychylił się, obserwując Zatokę Koryncką, która przesuwała się za oknem. Niedaleko stąd było miejsce, w którym poznał Lily, szpital, gdzie trzymał ją za rękę, i hotelowe łóżko, na którym kochali się pierwszy raz. Poczł zaniepokojenie na myśl, że ponownie się tutaj znalazł. Jakby opowieść dobiegła końca.

Węzeł się rozwiązuje i wracamy do punktu, w którym wszystko się zaczęło.

Tylko ich wykopu już nie było.

Patrzył na koparki wypełniające dziury po wykopaliskach po zakończeniu sezonu, jakby zasypywały grób ziemią.

Dwa miesiące pracy zatarte w ciągu dwóch dni i nic, co można by pokazać, z wyjątkiem kilku zdjęć i artefaktów.

Na znaku wskazującym drogę dojazdową widniał napis Elikl. Ren drgnęła, zwinięta na fotelu obok niego.

– Znasz Elikl?

Jakim sposobem zobaczyła znak?

Ostatnim razem, gdy na nią spojrział, miała zamknięte oczy i opierała policzek na jego ramieniu.

– Nie.

– W starożytności był tutaj duży ośrodek handlowy. Miasto przestało istnieć w ciągu dwudziestu czterech godzin. Trzęsienie ziemi sprawiło, że budynki runęły. Grunt się obsunął i na ulice wdarło się morze, topiąc wszystko.

Niektórzy badacze sądzą, że Elikl stanowiło pierwowzór Platońskiej legendy o Atlantydzle.

– Rozumiem.

Autobus skręcił gwałtownie, zmieniając pas na odcinku, gdzie wyłączono z ruchu połowę jezdni. Jakby druga część znajdowała się w budowie, na długości wielu kilometrów, ale było widać jedynie pachołki i znaki.

Robotnicy zniknęli jak zaginiona cywilizacja.

– Elikl było macierzystym miastem Sybaris. To właśnie koloniści z Elikl założyli je w siódmym roku przed naszą erą. Czy wiesz, co się stało z Sybaris?

– Zostało zmyte z powierzchni ziemi.

– Zatopione i zniszczone. Ten sam los spotkał matkę i córkę, dwa miasta, w odstępie dwustu lat, choć z różnych powodów. Schemat się powtarza.

Wracamy do punktu, w którym wszystko się zaczęło.

Nic się nie skończyło – powtórzył z uporem. – Nie pozwolę na to. Płaska toń zatoki widziana z okna autobusu w żaden sposób nie wskazywała na ludzkie istnienia, które pochłoneła.

– Dlaczego Maroussis powiedział, że jest mu przykro z powodu twojej siostry?
Ren poruszyła się w fotelu i oparła głowę na zagłówek, odwrócona w drugą stronę.

– Był okrutny.

– Dlaczego?

– To bez znaczenia.

– Jeśli spotkało ją to samo co Lily, może je mieć.

– To zupełnie inna historia. – Głos Ren był ponury, zawierający wyraźne ostrzeżenie.

– Mimo wszystko opowiedz.

Nie spojrzała na niego, jakby mówiła do siebie.

– Valerie była marzycielką, zawsze sięgała wzrokiem poza horyzont.

Oglądała czarno-biały świat i pragnęła, żeby nabrał barw. Kiedy była nastolatką, uwielbiała kryształki i kadzidełka, przed porzuceniem college’u ich miejsce zajęły narkotyki i filozofie Wschodu.

I seks – dodała cierpko. – Później próbowała medytacji, reiki, kabały...
Wszystkiego.

Wszystkiego, co obiecywało ucieczkę od tego świata.

– Co się z nią stało?

Ren spojrzała mu w oczy.

– Zadała się z rodziną Maroussisów.

Nie przeżyła tego. Nie wiem, czy przeniosło ją to do innego, lepszego świata... –
Wzruszyła ramionami.

Jonah nie wiedział, co powiedzieć.

– Lily była inna.

– Przecież ci powiedziałam, że te sprawy nie mają związku.

– Czy Ari Maroussis...?

– Tak. – Odwróciła się i posłała mu kolejne nieprzyjemne spojrzenie. – W
Pireusie kotwiczył statek wycieczkowy wycofany z eksploatacji.

Miał być sprzedany na złom. Pewnej nocy wybuchł pożar. Kiedy strażacy weszli na pokład, znaleźli ciało Valerie w opuszczonej kabinie. Była naga.

Żadnych śladów przemocy. Niczego, co pozwoliłoby ją zidentyfikować. Miała jedynie złotą tabliczkę w ustach. Kopię.

Nie zmarnowaliby na nią oryginału.

Wjechali do tunelu i w autobusie pociemniało. Jonah próbował odpędzić natrętą myśl: zardzewiała kajuta, wilgotny poplamiony materac i doskonałe ciało ze splątanymi włosami na twarzy. W jego obrazie była to twarz Lily.

– Czy policja...?

– Statek należał do Maroussisa, poszli więc prosto do niego. Media nigdy się o tym nie dowiedziały. Nie wszczęto śledztwa.

- Jak się dowiedziałaś?
- Byłam wytrwała.
- Autobus zadudnił na wybojach. Jonah czekał, aż tunel się skończy.
- Nie rozumiem – powiedział.
- Czego?
- Chcę odnaleźć Lily. Dlaczego bierzesz w tym udział?
- Jej twarz oblał promień światła, kiedy autobus wyjechał z tunelu.
- Chcę, żeby ich zabolało.

WŁOCHY

Zdążyli na nocny prom wypływający z Patras przez Morze Jońskie i o świcie wylądowali w Bari. Dalej pojechali pociągiem. Jonah drzemał, unosił się między światem snów i wspomnień. Nie miał pojęcia, czym Ren wypełniła ten czas. Kiedy się obudził, byli już na miejscu.

Od czasu wizyty Jonaha upłynęło dziesięć dni i sezon archeologiczny zaczął dobiegać końca.

Persefona rozpoczęła długi powrót do męża zamieszkującego podziemny świat: zebrano pszenicę i na polach pozostało rżysko, w powietrzu było czuć dym, światło słoneczne stało się drogocenne.

W okolicy dworca nie było taksówek, ruszyli więc piechotą. Kiedy dotarli do laboratorium, nadszedł wieczór i w oknach pojawiły się światła.

Weszli przez otwartą bramę. Na parkingu stały dwa samochody – furgonetka Richarda i biały van marki Ford z napisem Kościół Odkupiciela w South Peckham. Jonah poklepał wóz, brudząc sobie dłonie.

Chciał otworzyć drzwi, ale okazały się zamknięte. Wszedł na górę ciemną klatką schodową, starając się nie narobić hałasu.

Przez drzwi laboratorium sączyło się światło i dobiegały dźwięki muzyki fortepianoowej. Przypominającej utwory Bacha.

Czy lubi pan muzykę Bacha?

Stanął w mroku, obok drzwi, starając się usłyszeć coś przez muzykę. Po chwili włączył się archaiczny system ogrzewania i rury zaklekotały, zmieniając kształt po lecie, gdy były zimne. Luźna okiennica skrzywnęła w zawiasach. Inne dźwięki trudno było odróżnić od szumu jego wyobraźni.

Ren skinęła głową z drugiej strony drzwi.

Wchodzimy.

Poniewczasie dotarło do niego, że być może powinien zabrać ze sobą jakąś broń.

Muzyka dobiegła końca. W radiu rozległ się kobiecy głos mówiący coś po włosku. Jonah wszedł.

Sezon wykopalisk dobiegł końca.

Próbki i narzędzia, które jeszcze dwa tygodnie temu zagracwały laboratorium, leżały w skrzyniach i pudłach, gotowe do pogrążenia się w stanie hibernacji.

Ściany i tablice korkowe zrzuciły kartki, które je pokrywały. Czaszka nadal szczyrzyła zęby na stole obok zlewu, czekając, aż zostanie zabrana, laptop ciągnął za sobą przewody po stole ustawionym na kozłach. Poza tym praca była niemal zakończona.

Richard stał przy stole, mrużąc oczy i wpatrując się w ekran komputera. Nie podniósł głowy od razu – może na kogoś czekał lub był pochłonięty robotą. Kiedy to zrobił, chwycił blat tak mocno, że omal go nie przewrócił.

– Co...?!

Jonah nie dał mu żadnych szans.

Przeszedł pokój dwoma krokami i zamachnął się pięścią, uderzając go w twarz. Richard upadł. Jonah podniósł go i uderzył ponownie, po czym rzucił na podłogę.

– Gdzie ona jest?!

– Nie wiem...

– Rozmawiałem z Adamem.

Rozmawiałem z Maroussisem. Wiem, że ją porwali.

Richard wytarł usta, brudząc krwią rękaw koszuli.

– Widziałeś się z Adamem? – Spojrzał w stronę drzwi, ale Ren stała w nich z założonymi rękami, odcinając mu drogę ucieczki.

– W Atenach.

Richard wybełkotał coś boleśnie.

Jonah podniósł go za kołnierz i przysunął do niego twarz.

– Co?!

– Dlaczego nie próbował cię powstrzymać?

– Kto?

– Adam.

– Próbował. Wysłał mnie w strefę działań wojennych. Teraz jestem tutaj.

Richard podciągnął się i klapnął na stołek obok blatu.

– Mogę się napić wody?

Ren podeszła do kranu i napełniła pusty kubek do kawy.

Richard obserwował ją czujnie jak psa, któremu się nie ufa.

– Kim ona jest?

– Przyjaciółką.

Richard nie mógł się powstrzymać przed skrzywieniem ust w dwuznacznym zakrwa-wionym uśmiechu.

– Nie czekałeś długo.

Jonah miał ochotę zdzielić go ponownie, ale postanowił nie marnować sił.

– Opowiedz mi wszystko. Od początku.

– Od początku? – wymamrotał, jakby to słowo wprawilo go w zdumienie.

– Dlaczego ściągnąłeś tu Lily.

– To był pomysł Adama. Przeszedł do mnie w listopadzie i powiedział, że jego fun-

dacja sfinansuje wykopaliska. Że powinienem wysłać aplikację.

Finansowanie wykopalisk jest ostatnio tak rzadkie jak jednorożce, dlatego się zgłosiłem. Później namówiłem Lily.

– Powiedziałeś jej, w co się pakuje?

– W co się pakuje? Sam tego nie wiedziałem. Nie zamierzaliśmy się w nic wpakować. Gdybyśmy nie znaleźli tabliczki, nic by się nie stało. Ot, kolejny sezon wykopaliskowy.

– Wiedziała o Adamie?

– Kazał jej nie mówić. Powiedział, że byłoby dziwnie, gdyby wiedziała, że to on ją finansuje.

– Mów dalej.

– Później wykopaliśmy tabliczkę. Ci w Atenach się dowiedzieli. Chcieli ją mieć. Oczywiście to nielegalne, ale łatwe do wykonania w wypadku przedmiotu tej wielkości – na Boga, można go wsunąć do listu – ale w ten sposób sam wykluczasz się z gry.

Żadnych komunikatów, żadnych publikacji.

Konserwatorka wpadła w szał, zagroziła, że puści farbę. Lily chciała zrezygnować.

– A ty?

– Również nie byłem z tego rad.

– Ale pozwoliłeś, żeby wszystko skupiło się na Lily! Schowałeś się za jej plecami!

– Miałem nadzieję, że sprawa rozejdzie się po kościach. Lily poleciała do Aten, żeby pogadać z Adamem.

Wrócili razem z synem Maroussisa.

Później zwolniono konserwatorkę i zniknęła tabliczka.

– Kiedy to było?

– W noc przed twoim przyjazdem.

Zauważyliśmy to dopiero następnego rana. – W jego głosie pojawiła się nutka wyrzutu. – Wszystko, co powiedziałem ci w Londynie, było prawdą. Tabliczka znajdowała się w sejfie i tylko trzy osoby znały szyfr. Ja, Sandi i Lily.

Musiała ją ukraść. Chryste, pewnie sam jej w tym pomogłem. Tamtej nocy przyszedłem po coś do laboratorium i zastałem ją samą. Nawet podwiozłem ją do hotelu.

– A następnego ranka?

– Zaczął się kolejny pechowy dzień.

Jeden z ochotników zachorował, osteolog narzekał zaś, że niektóre artefakty zostały źle oznaczone.

Sprawdzaliśmy to pół dnia. Później wysiadła pompa i woda zalała wykop.

Zaczęliśmy żartować o przekleństwie Tutenchamona.

– A Lily?

– Była na skraju wytrzymałości, jak wszyscy.

Chciała wrócić do laboratorium, żeby przygotować się na twój przyjazd. Pomyśla-

łem, że dlatego tak nerwowo zareagowała na przyjazd Ariego.

– Zjawił się w miejscu wykopalisk?

– Pojechał do laboratorium. Lily była wtedy w wykopie. Kiedy o tym usłyszała, wściekła się. Od razu tam pojechała, zamiast na niego zaczekać.

Pewnie nigdy nie dotarła na miejsce.

Nadciągnęła kolejna fala gniewu.

Jonah okiełznał ją i policzył do dziesięciu.

– Kiedy dowiedziałeś się o porwaniu? Uczestniczyłeś w tym od początku?

– Jasne, że nie. – Zrobił minę oburzonego winowajcy, który trzyma się kurczowo resztek dumy. – Gdybym coś przeczuwał, byłbym ją ostrzegł.

– A Adam?

– Nie mam pojęcia. Do dziś nie wiem dokładnie, co się stało. Ari odkrył brak tabliczki i wpadł furię. Poznałeś go? – Jonah pokręcił głową. Richard spuścił oczy. – Ten facet to szaleniec. Musiał się domyślić, że to sprawka Lily.

Wyruszył na miejsce wykopalisk, kiedy ona je opuszczała. Musiał ją zgarnąć, gdy spotkali się na drodze.

– Zgarnąć – powtórzył Jonah. Słowa uwięzły mu w gardle, obce i brzydkie. – Ot tak, po prostu?

– Ari nie przywykł do odmowy. Stać go na to.

Wszystkie rozkosze jego rozwiązłego życia powodują jedynie, że szaleńczo pragnie więcej.

– Gdy więc dotarłem na miejsce, ty już o wszystkim wiedziałeś?

Richard zrobił żalostną minę.

– Sądziłem, że pojechała do laboratorium. Naprawdę. Do twojego przyjazdu nikt niczego mi nie powiedział.

– A esemesy? O tym, że jej matka się przewróciła?

Zapanowało długie, bolesne milczenie. Richard spojrział na stół i zaczął się bawić palcami.

– To ja je wysłałem.

Kolejna cisza, której Richard nie mógł znieść.

– Wcisnęli mi jej telefon. Kazali to zrobić. Mówili, że to cię przekona. – Policzki mu poczerwieniały, jakby zainkasował kolejny cios. – Przysięgam, nie miałem pojęcia, co się święci. Adam kazał usunąć cię z drogi. – Podniósł głowę, bojąc się reakcji Jonaha. – Boże, ja naprawdę tego nie chciałem.

Richard Andrews całe życie postępował według zasad, które wyznaczali mu inni.

Wiedział, że powinien być wściekły.

I rzeczywiście był, ale nie przepełniała go wszechogarniająca furia, na którą zasługiwał Richard. Może miała nadejść później, a może ogrom zdrady Richarda sparaliżował jego emocje.

Pewnie nie było go stać na luksus roztrząsania przeszłości.

– Co zrobili z Lily?

– Ari kazał ją zawieźć na jacht. – Richard wsunął palec za kołnierzyk, jeszcze bardziej rozmazując krew. – Jestem pewien, że ją puszczą. Kiedy to wszystko się skończy. To nie są źli ludzie. Po prostu chcieli mieć tabliczkę.

Jonah ujrzał oczy Socratisa Maroussisa obserwującego go zza morza, ze swojej wyspy. Głębokie jak świat i okrutne jak on.

– Naprawdę myślisz, że ją wypuszczą? Po tym wszystkim, co jej zrobili?

– Mają dość pieniędzy, żeby ją uciszyć. Ciebie również.

– A tabliczka? – zapytała Ren z drzwi. Dopiero teraz się odezwała.

Richard był tak zdumiony, jakby czaszka na blacie nagle ożyła.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. – Zwinął się pod jej spojrzeniem.

– Byłeś jedyną osobą oprócz Lily, która знаła szyfr.

– Myślisz, że Adam i Ari o tym nie wiedzą?

Myślisz, że mnie nie maglowali?

– Ma rację – wtrącił się Jonah. – Nie potrafiłby się im oprzeć. Zaczniemy od tego, że nigdy nie odważyłby się jej zabrać.

Richard prychnął z irytacją.

– Niektórzy nazwaliby to uczciwością.

– Gdzie zatem ona jest?

Jonah wyobraził sobie Lily w laboratorium. Jest późno, za oknem mrok, jak teraz. Lily biegnie do sejfu po tabliczkę i pisze w pośpiechu, jak dawny skryba, żeby zachować tekst w pamięci. Zastałem ją samą. Kroki Richarda na schodach, skrzypnięcie otwieranych drzwi. Nie ma czasu, żeby odłożyć ją z powrotem do sejfu.

– Wyjęła tabliczkę, ale nie zamierzała jej zatrzymać – odgadł. – Chciała skopiować tekst, zanim Maroussis ją zabierze. Zaskoczyłeś ją, nie mogła więc odłożyć jej z powrotem do sejfu.

Dlatego następnego ranka tak rozpaczliwie chciała tu wrócić. Żeby odłożyć ją na miejsce, zanim ktokolwiek się dowie.

– Obszukali ją po schwytaniu. Nie miała tabliczki. Nie znaleźli jej także w hotelowym pokoju. Tak powiedział Adam.

Obszukali ją. Przez głowę Jonaha przemknęły ponure obrazy – brutalne łapska chwytające Lily, grzebiące i obmacujące, szczypiące. Czy użyli siły? Czy byli dokładni?

Ari nie przywykł do odmowy.

– Czy Adam powiedział, że znaleźli ją później?

– Nie wiem. Nie sądzę. Jestem pewien, że wypuściliby Lily, gdyby ją mieli. Tylko tego od niej chcieli. Żeby im powiedziała, gdzie jest.

Naprawdę myślisz, że ją wypuszczą?

Jeśli Lily wiedziała, gdzie jest tabliczka, modlił się do Boga, aby im tego nie zdra-

dziła. Gdyby to zrobiła...

Wyobraził sobie Lily tamtej nocy, gdy kopiowała tabliczkę. Przypomniał sobie kartkę papieru, dziwne greckie litery i górny lewy narożnik z odnośnikiem.

– Czy R27 to numer tabliczki?

Richard pokręcił głową.

– Wykopu. Każdy artefakt zostaje umieszczony w torebce z karteczką, na której zanotowano miejsce jego znalezienia.

Ren bacznie obserwowała Jonaha, opierając głowę o framugę drzwi.

– O czym myślisz?

– Tabliczki nie ma w laboratorium.

Nie było jej w hotelowym pokoju. Lily nie miała jej także przy sobie.

– Mów dalej.

– Jedynym miejscem, w którym znajdowała się tamtego dnia, był wykop.

– Dlaczego nie zostawiła jej tutaj?

– Chciała ją odwiedzić do laboratorium, ale Ari zjawił się przed nią. Dlatego ją ukryła.

– Gdzie?

– W wykopie R27. Tam, gdzie ją znaleziono. – Odwrócił się do Richarda.

– Macie tu latarki?

Richard się nie poruszył. Na jego twarzy pojawiła się dziwna, nieszczęśliwa mina.

– Co?

– To nie będzie łatwe. Sezon archeologiczny dobiegł końca.

Zaczęliśmy zasypywać wykopy.

Wczoraj wyłączyliśmy pompy.

Reflektory furgonetki oświetlały dół, wykrawając swoim snopem kawałek nocy. Ze świeżo przywiezionej ziemi unosiła się mgła. Siedzący w kabinie Jonah ocenił, w jakim stopniu zasypali wykop. Dół miał głębokość jednej trzeciej dawnego stanu. Otwór otaczały sterty ziemi, które powodowały, że przypominał krater. Łyżka koparki unosiła się w świetle niczym szpon jakiegoś błotnego potwora.

Richard zredukował bieg i ustawił samochód na nasypie tak, żeby reflektory oświetliły wykop. Jonah pochylił się w fotelu.

Miasto zostało ponownie zatopione.

Czarne jezioro pokrywało dno, oblewając ściany dołu.

Pozostało jedynie kilka kamiennych murów nieznacznie wystających ponad powierzchnię. Jonah próbował sobie przypomnieć ich wysokość.

Trzydzieści?

Sześćdziesiąt centymetrów?

Nie wyłączając silnika, chwycili dwa szpadle ze skrzyni i zeszli na dół.

Wilgotne błoto oblepiło buty. Zatrzymali się na krawędzi sadzawki.

– To R27?

Richard rozejrzał się wokół niepewnie. Ich cienie zmarszczyły się na czarnej wodzie.

– Usunęliśmy znaczniki...

– Nie żartuj! – przerwała mu Ren. – Doskonale wiesz, gdzie jesteś.

– Jak to? – spytał Jonah.

– Powiedz mu.

– Kiedy dokonujemy przeglądu wykopu, zaznaczamy każdą pozycję za pomocą urządzenia nawigacyjnego – odpowiedział Richard.

– Gdzie to zapisano?

– W dzienniku wykopalisk – odrzekła Ren, wyjmując z torby sfatygowany notatnik.

– Pomyślałam, że może się nam przydać, zabrałam go więc z laboratorium.

Jonah spojrzał na nią z podziwem.

– Zabrałaś urządzenie nawigacyjne?

– Masz wszystko, czego potrzebujesz.

– Klepnęła jego kieszeń na biodrze. – Wystarczy twój telefon.

Otworzyła notatnik na właściwej stronie, Jonah włączył aparat. Nie używał go od czasu wizyty w Atenach, ale nie znalazł żadnych nieodebranych telefonów i esemesów.

Jedynie wiadomość tekstową od operatora sieci komórkowej witającego go we Włoszech.

Czy wszyscy o mnie zapomnieli?

Ren odczytała współrzędne i Jonah wprowadził je do telefonu. Na ekranie pojawiła się czerwona strzałka, kierując go w stronę wody. Wszedł do niej, nie zwracając sobie głowy zdjęciem butów lub spodni.

Woda była cieplejsza i głębsza, niż sądził. Po dwóch krokach sięgnęła mu kolan. Z każdym ruchem czuł, jak błoto usuwa się pod stopami, uległe i zapraszające. Musiał się oprzeć na szpadlu, żeby nie upaść. Wbijał czerpak, odpychając się nim jak wiosłem.

W drugiej ręce ścisnął telefon. Strzałka zadrżała, kiedy cyfry zbliżyły się do współrzędnych podanych przez Ren.

Strzałka zamieniła się w zielone koło.

Wbił szpadel w błoto tak mocno, że nie mógł go wyciągnąć.

– Rzuć drugi! – zawołał. Wyleciał z ciemności i wpadł do wody tuż obok niego. Wsunął telefon do kieszeni, chwycił za szpadel i zaczął kopać.

Niemal od razu się zorientował, że to na nic. Woda była zbyt głęboka, szpadel był zaś za duży. Mógł przerzucić tabliczkę i stracić ją na zawsze lub obruszyć ziemię i sprawić, że odpłynie.

Wbił drugi szpadel w podłoże i opadł na kolana. Woda sięgnęła mu do piersi.

Wyciągnął rękę, żeby chwycić trzonek szpadla, ale nie trafił i omal nie stracił równowagi.

– Wszystko w porządku?! – zawołała Ren z krawędzi wykopu. – Co się stało?!

– Jest okay.

Rozluźnił się siłą woli, nucąc kilka taktów piosenki, która przyszła mu do głowy: W dół, dół, dół... Jak bomba spadająca lotem nurkowym. Odzyskał równowagę, wziął głęboki oddech i sięgnął w dół.

W dół, dół, dół... Jego twarz pogrzyżyła się w wodzie, zanim ręce wyczuły dno. Kiedy zanurkował, woda uniosła jego nogi, pchając go do przodu.

Palce dotknęły błotnistej dna. Pochylił się i wbił ręce tak głęboko, jak to było możliwe, przedzierając się przez błotnistą maź, która przepływała między jego palcami, ukrywając swoje sekrety.

Wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza i się pozbierać. Ześlizgnął się i wylądował kilkadziesiąt centymetrów od szpadla. Wrócił na miejsce.

Lily nie zakopałaby jej głęboko.

Tylko tyle, żeby ją ukryć, dopóki Ari nie odjedzie.

Zanurkował ponownie, trzymając rękę na trzonku, aby nie odpłynąć. Wsunął dłoń w błoto aż po nadgarstek, po czym wykonał nią obrót. Kilka kamyczków – nic, co dawałoby nadzieję.

Stał w wodzie tak długo, że przestał cokolwiek czuć. Doznania powracały jedynie wtedy, gdy się wynurzał w celu nabrania powietrza, kiedy noc wysysała ciepło z jego mokrego ubrania.

Właściwie wolał znajdować się pod wodą, choć bowiem niczego nie widział, było mu tam ciepło, a smak ziemi oblepiał język. Był jak robak przebijający się przez błoto. Nie wiedział, ile razy zanurkował, wziął oddech i ponownie zniknął pod powierzchnią. Jeśli w tym czasie Ren lub Richard coś do niego mówili, niczego nie usłyszał.

Po dotyku wiedział, że to coś innego.

Twarda krawędź wystawała na zewnątrz jak nóż. Wetknął palce pod spód, chwycił i poruszył przedmiot na boki, wysuwając go z błota. Wynurzył się na powierzchnię, dysząc triumfalnie, i przykucnął w wodzie, żeby obejrzeć swój skarb.

Reflektory samochodu oświetliły staromodne litery wydrukowane na puszcze po cukierkach marki Farrah's Original Harrogate Toffee. Tej samej, do której Lily wkładała zegarek i obrączkę ślubną, kiedy pracowała na wykopaliskach.

Zadrżał tak silnie, że omal nie wypuścił jej z dłoni. Otworzył wieczko.

W środku nie było zegarka ani obrączki, ale znajdował się plastikowy woreczek zwinięty tak ciasno, że stał się niemal matowy.

Podniósł go i umieścił w świetle reflektorów.

Przez zamglony plastik błysnęły złote litery.

Rozdział 33

Choć Dionizjos był wystarczająco rozumny, aby wiedzieć, że nikomu nie może zaufać, ledwie zdołał przeżyć, nie miał bowiem wiernych przyjaciół i zwolenników.

Platon, *List VI*

Schwytali mnie na gorącym uczynku.

Dion stał w drzwiach z mieczem w ręku.

Inni czaili się w cieniu na zewnątrz obok kolumn.

– Czy wiesz, jak kara grozi za włamanie się do świątyni?

Nie odrzekłem ani słowa. Nawet Eufemos nie zdołałby się wykaraskać z takiej sytuacji.

Dion przekroczył próg.

Jego towarzysz

– starszy mężczyzna o zmierzwionych włosach, trzymający w ręku duży klucz – wszedł za nim i zamknął drzwi.

– Masz pojęcie, na co się narażasz?

– Tak sędzę.

– Przecież to oczywiste. – Dion chwycił rączkę skrzyni i przesunął ciężar za posąg. Poszedłem za nim z naręczem rękopisów. – Nie wiesz, co się stało.

– Doniesiesz na mnie Dionizjosowi?

Podniosłem głowę i skuliłem się w sobie. Niewiele jest obrazów bardziej otrzeźwiających od widoku dziewiętnastolatka, który utracił złudzenia.

– Czy coś ukradłeś?

Wyciągnąłem zza pasa rękopis Timajosa i wrzuciłem go do skrzyni. Nie wspominałem o tabliczce.

Skrzyżowałem ręce na piersi, żeby ukryć wybrzuszenie uczynione przez pudełeczko pod tuniką.

– Nie.

– W takim razie może nie uczyniłeś nic złego.

Wskazałem głową jego towarzysza, którego wziąłem za kapłana świątyni.

– A on?

– To mój wuj. Nie piśnie słowa. Jeśli rozgniewałeś boginię, sama się tobą zajmie. –

Spojrzał na posąg za moimi plecami i wykonał lekki przeprasający pokłon, choć Atena nie wyglądała na obrażoną.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Nie było cię w izbie. Jeden ze strażników doniósł, że słyszał dziwne dźwięki dochodzące ze świątyni. Wtedy przypomniałem sobie naszą rozmowę. – Pokręcił głową.

– Mam nadzieję, że księga była tego warta.

Skrzynia zamknęła się z hukiem.

Przypomniałem sobie stuknięcie wieka trumny Agatona. Czy uznał, że było warto, kiedy pracowali nad nim kaci Dionizjosa? Czy znalazł coś, czego ja nie dostrzegłem?

Ta księga to brednie. Majaki szaleńca.

– Chodź – powiedział Dion. – Musimy cię odprowadzić.

Wielkie wrota świątyni zamknęły się za nami. Zbiegliśmy po stopniach i wróciliśmy do mojej izby. Wtedy sobie o czymś przypomniałem.

– Dlaczego w ogóle zacząłeś mnie szukać?

– Żeby cię ostrzec. – Zanurkował pod ciemny łuk prowadzący na dziedziniec ćwiczeń. – Dionizjos...

Strażnik musiał stać we wnęce, niewidoczny w ciemności. Usłyszałem jedynie brzęknięcie zbroi i ostrą komendę.

– Chodź ze mną!

Dionizjos siedział na tronie pochylony do przodu, gotów do uderzenia.

Z zadrapania na ręce, którego wczoraj wieczór nie było, ciekła krew.

Spodziewałem się krwi na jego wargach, wyglądał bowiem jak wilk, który jej zasmakował i chce więcej.

Jego sługusi otoczyli salę, zaciskając pięści i czekając na sygnał, żeby rozerwać mnie na strzępy.

Spojrzałem na Diona.

Był przyjacielem czy jednym z wilków?

Dionizjos świdrował mnie wzrokiem, jakby czegoś szukał. Winy? Strachu?

Jednego i drugiego miałem w obfitości.

– Moi ludzi wstąpili do twojej izby pół godziny temu. Gdzie byłeś?

W moim pokoju musiał panować większych ruch niż na agorze. Wszyscy tam byli oprócz mnie.

– Poszedłem do świątyni Ateny.

Chciałem się pomodlić.

Dionizjos zgiął palce, sprawdzając pazury. Spojrzał na moje podrapane knykcie i ślad krwi na grzbiecie dłoni.

Musiał się dobrze bawić.

– W środku nocy?

– Nie mogłem zasnąć.

– To prawda – rzekł Dion. – Byłem z nim.

Dionizjos posłał mu groźne spojrzenie.

– Naprawdę?

– Prosił, żebym mu towarzyszył. Nie mógł chodzić po Ortygii sam jeden.

Gdybym spojrzał na Diona, zdradziłbym swoją wdzięczność.

Zastanawiałem się, dlaczego to robi.

Czy jego kłamstwo utrzyma ciężar nas obu?

– Gdzie był twój przyjaciel, kiedy znajdowałeś się w świątyni?

Dionizjos pochylił się, dając znak, abym się zbliżył. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, otwarty niczym szczęki pułapki. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

– Dion był ze mną, przecież powiedział...

– Twój przyjaciel sofista.

– Eufemos? – Wzruszyłem ramionami.

W ciągu ostatnich godzin wydarzyło się tak wiele, że o nim zapomniałem. – Nie widziałem go od obiadu.

Po chwili odzyskałem pamięć.

Rozmowa na korytarzu, wyraźne aluzje do Herodota i Gigesa.

Kiedy król zasnął, Giges wszedł do izby i go zabił.

Przyjrzałem się ranie na ramieniu Dionizjosa.

Była głębsza

– poważniejsza od tej, która powstaje, kiedy zatniesz się brzytwą, gdybyś się golił w środku nocy i przypadkiem wziął ramię za policzek.

– Twojego sofisty także nie było w izbie dzisiejszej nocy – powiedział Dionizjos. – Chciał mi udzielić lekcji ateńskiej demokracji. Przedstawił kilka silnych argumentów.

– Wykręcił ramię, żeby krew błysnęła w świetle.

– Co z nim uczyniłeś?

– Zgodziliśmy się, że się ze sobą nie zgadzamy. Syrakuzy to nie Ateny. Tutaj to nie przejdzie.

Spojrzeliliśmy sobie w oczy.

Dostrzegłem w nich zwierzęcy spryt, wyniosłą inteligencję, okrucieństwo i żądzę władzy. Koniec końców były to jednak tylko oczy.

– Niełatwo było go przekonać.

Trudno mu było przełknąć dumę.

– Gdzie on jest?

– Poszedł się położyć. Powiedział, że ma kłopoty z oddychaniem. – Żołnierze Dionizjosa zarechotali. – Jeśli dobrze pamiętam...

Skłamałbym, gdybym rzekł, że się nie bałem.

Wyczerpany, zagubiony i otepiały z powodu szoku rozumiałem jednak, że mogę wycierpieć wiele, zanim Dionizjos ze mną skończy. Nie miałem także życia w takiej nie-

nawiści, aby z własnej woli je odrzucić.

– Modliłem się w świątyni – powtórzyłem z uporem.

– Jeden Ateńczyk składa mi niezapowiedzianą wizytę w środku nocy, drugi – jego najlepszy przyjaciel – wpada na pomysł, żeby udać się na modły do świątyni. Chcesz, żebym uwierzył w taki zbieg okoliczności?

Podniósł się na krzesło, zaciskając palce na oparciach w kształcie lwich głów. Wiedziałem, że jeszcze chwila i się na mnie rzuci.

Pudełeczko ze złotą tabliczką było jak piętno winy na mojej piersi. Zebrałem wszystkie siły, jakie zdołałem, żeby stawić mu odpór. To jednak nie wystarczyło.

– Zapytaj swojego szwagra – wyjąkałem.

Dionizjos spojrział na Diona, nie opadając na krzesło. Nawet gdyby moje życie nie wisiało na włosku, dostrzegłbym wyraźną różnicę między nimi. Wielkie łapska Dionizjosa, jego kowalskie ramiona i poczerwieniała twarz, na której odcisnęło się dwadzieścia lat przespanych ze sztyletem pod poduszką. I szczupły Dion, młodzieniec smagły i ponętny, pełen radosnej pewności siebie typowej dla młodych oraz zawołowanej obietnicy, że zobaczysz coś wspaniałego, jeśli z nim pójdziesz.

– To prawda – rzucił od niechcienia Dion, jakby był znudzony.

Czy Dionizjos zazdrościł swojemu szwagrowi? Czy kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że chciałby mieć takiego syna zamiast tępego próżniaka, którego spłodził? A może tyrani nie są zdolni do podobnych rozterek?

Dionizjos opadł na siedzisko. Nawet on nie potrafił się oprzeć aurze Diona.

Miałem nadzieję, że okaże się ona trwała, dla jego dobra. Znałem niewielu ludzi posiadających ten rodzaj uzależniającego czaru – Sokratesa, Alkibiadesa, Agatona – ale żaden z nich nie dożył późnego wieku.

– Zaprowadźcie go do łóżka – rozkazał strażom i mrugnął porozumiewawczo okiem. Spojrzałem na Diona, kiedy ludzie Dionizjosa wyprowadzali mnie z sali. Zauważyłem, że i on nie ma pojęcia, co to znaczy.

Strażnicy zawiedli mnie do izby, zaryglowali drzwi od zewnątrz i zostawili samego, żebym mógł się wypłakać w materac. Żaden mnie nie tknął.

Nie poprowadzili mnie jednak najkrótszą drogą. Zamiast przejść przez sale biesiadne, skręciliśmy w korytarz wiodący do małego balkonu na końcu wyspy. W dole było widać fale rozbijające się o skały. Bezlitosne światło zachodzącego księżyca oświetliło upiorną scenę.

Eufemos leżał na ziemi rozpięty na drewnianym krzyżu. Skórzane rzemienie krępały mu kostki i nadgarstki. Na szyi miał rzemień owinięty wokół małego wrzeciona, żeby można go było powoli zaciskać. Był on zadziergnięty tak mocno, że pogrzyżył się w ciele, głowa zaś zdawała się nieproporcjonalnie opuchnięta. Martwe oczy spoglądały na bliski pełni księżyc, wypatrując czegoś, czego tam nie było.

Strażnicy odczekali chwilę, aby się upewnić, że zrozumiałem.

Później zawiedli mnie do izby.

Myślałem, że ta noc nigdy się nie skończy.

Następną rzeczą, którą spostrzegłem, było to, że ktoś lub coś poruszyło się w moim pokoju.

Zesztywniałem z przerażenia. Czyżby Dionizjos zmienił zdanie?

– Nie bój się – usłyszałem znajomy głos. – Kiedy po ciebie przyjdą, nie będą stąpać cicho.

Rozpoznałem Leona. Nie wiem, jak minął strażę. Postawił lampę na posadzce i usiadł na łóżku, kołysząc się do przodu. Miał wory pod nabiegłymi krwią oczami.

– Co się stało? – spytałem.

– Ktoś podsłuchiwał naszą rozmowę.

Dionizjos miał wyruszyć przeciw nam, Eufemos poszedł więc do niego.

Wiedział, że nic nie wskóra, ale chciał przekonać tyrana, że działał sam.

Poświęcił się, żeby nas ocalić.

– Nas?

– Mnie. Innych na dworze. Ciebie.

– Przecież nic nie zrobiłem.

– Myślisz, że tutaj ma to jakieś znaczenie?

Próbowałem połączyć tę wiadomość ze znanymi faktami.

– Wydaje się to sprzeczne z charakterem Eufemosa

– powiedziałem, nic innego nie przyszło mi bowiem do głowy.

– Sprzeczne z charakterem Eufemosa?! – Leon był wyraźnie zdumiony. – Jak dobrze go znałeś?

Dionizjos nazwał mnie jego najlepszym przyjacielem. Przebyliśmy razem niemal całą drogę z Pireusu do Syrakuz.

Teraz jednak odniosłem wrażenie, że byłem z nim najbliżej, gdy mu dokuczałem.

Powiadasz, że posługujemy się konwencją, aby ukryć samolubną, chciwą prawdę, lecz mnie się zdaje, że skrywasz w sobie coś zgoła przeciwnego. Zapomnij o konwencjach i społecznych oczekiwaniach, zdejmij je jak pierścień Gigesa, a być może odkryjesz w sobie coś dobrego.

– Eufemos od początku należał do spiskowców – wyjaśnił Leon. – Jak myślisz, dlaczego tu przyjechał?

– Chciał służyć na dworze Dionizjosa. Podziwiał go.

– Tak myślałeś?

– Zawsze miał o nim wysokie mniemanie. – Czy rzeczywiście tak było? Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam ani jednej pochwały, którą wypowiedział pod adresem tyrana. Wypytywał Demosa i Archytasa o plotki, drwił z niekonsekwencji mojego przekonania o własnej sprawiedliwości, ale nigdy nie rzekł, co naprawdę myślał.

– Nie przybył do Ortygii, podając się za wielkiego orędownika demokracji, pomyślałeś więc, że jest mu wszystko jedno? Sądziłeś, że tylko ty jesteś człowiekiem z zasadami? – Uniósł kawałek prześcieradła i otarł twarz. – Jak na filozofa zdradzasz wyjątkową skłonność do osądzania rzeczy po pozorach.

Rozejrzałem się w poszukiwaniu argumentu, ale żadnego nie znalazłem.

– Nie myśl, że twoja ostentacja nam zaszkodziła – ciągnął Leon. – Dionizjos wiedział o planowanym zamachu. Kiedy się zjawiłeś, uznał, że jesteś jednym ze spiskowców. Cóż, wydawałeś się wierzyć we własną retorykę, czemu więc i on nie miałby dać jej wiary?

– Dlaczego powierzył mi nauczanie syna?

– Myślisz, że zależy mu na chłopcu? – Zastanowił się nad swoim pytaniem. – Cóż, może i tak, ale czy byłeś z nim sam?

Cofnąłem się pamięcią. Strażnicy w bibliotece pilnowali ksiąg równie bacznie co pacholecia.

Do tego bibliotekarz i zaglądownicy niby przypadkiem...

– Dion. – Nie chciałem podążać tą drogą. – Sądziłem, że był twoją wielką nadzieją. Człowiekiem, którego chcecie umieścić na tronie.

– Diona upośledza poczucie obowiązku. Dionizjos nie wie, czy Dion jest mu wierny, ale wie, że uwielbia swojego siostrzeńca.

Chciałem umrzeć. Pragnąłem, żeby moje ciało się rozpuściło, żeby bogowie rozdarli mi duszę na strzępy, jak kosmyki dymu rozproszone na wietrze.

Kiedy czytałem tę nonsensowną księgę Agatona, Eufemos ryzykował życie, żeby obalić tyrana. Zaryzykował i przegrał.

Uważasz, że jesteś ponad wszystkim?

Żeś za dobry dla tego świata? Teraz nie mogłem temu zaprzeczyć. Odrzuciłem świat, ponieważ nie potrafiłem go pojąć, mój umysł upierał się zaś, że musi istnieć coś lepszego. Eufemos przyjął świat takim, jaki był, i go pochłoniął, nie wstydząc się swoich apetytów. Nie wierzył w istnienie dobra i cnoty, mimo to był gotów za nie umrzeć.

Sokrates powiedział: Jeśli coś wiem, to tylko to, że nic nie wiem. Ja zapomniałem nawet tego.

Leon poruszył się na łóżku, aby mi przypomnieć o swojej obecności.

– Co się teraz stanie?

– Dionizjos nadal żyje, nikt więc nie jest bezpieczny.

– Czy nie będzie mieć się teraz na baczności?

Leon spojrział na mnie, mrużąc oczy.

– Odmówiłeś, gdy kilka dni temu poprosiliśmy cię o pomoc.

– Teraz nie odmówię.

– Jutro Dionizjos wyrusza na polowanie.

Chłopiec będzie mu towarzyszyć, pojedziesz więc i ty.

- Naprawdę mnie weźmie, po... – Machnąłem ręką. – Po tym wszystkim?
 - Dionizjos wie, że Eufemos miał wspólników na dworze. Podejrzewa cię, będzie więc trzymać cię przy sobie, abyś zdradził pozostałych.
 - Skąd wiesz, że cię nie wydam?
- Leon złożył palce.
- Ponieważ Dionizjos cię zabije, kiedy uzna, że nie jesteś mu potrzebny.

Rozdział 34

JONAH – SIBARI

W Atenach była pierwsza w nocy. Adam odebrał po trzech dzwonekach.

– Mam tabliczkę – oznajmił Jonah.

W słuchawce nie rozległ się żaden dźwięk. Gdyby nie muzyka dobiegająca z tła, pomyślałby, że Adam przerwał połączenie.

– Gdzie ona jest? – zapytał takim tonem, jakby rozmawiali o zgubionym kluczu.

– Chcesz ją mieć?

– Tak, bardzo.

– To oddaj mi Lily.

Kolejna pauza.

Wiatr poruszył mokrym ubraniem, powodując, że Jonaha przeniknął chłód.

– Gdzie jesteś?

– We Włoszech.

– Będę musiał poczynić pewne przygotowania. Masz transport?

– Tak.

– Pojedź na południe. Nie wyłączaj telefonu. Oddzwonię za chwilę.

Jonah oddał telefon Ren. Jego kieszeń była przemoczona, jak reszta ubrania.

Czuł się tak, jakby język lodu pełznął ku jego sercu.

– Dokąd teraz? – zapytała.

– Wracamy do laboratorium.

Weźmiemy vana i wyjedziemy stąd. – Pragnął wyruszyć najszybciej jak to możliwe.

– Czy furgonetka Richarda nie będzie pewniejsza?

– Chcę vana. – Wóz był poobijany, zardzewiały i rzucał się w oczy, ale był przyjacielem, a teraz potrzebował przyjaciół.

Richard spojrział na zegarek.

– Co mam im powiedzieć, kiedy tutaj przyjadą?

– Co masz powiedzieć? – Jonah pokręcił głową. – Nic, pojedziesz z nami.

Ścianka ze sklejki oddzielała tylną część vana, w której trzymali instrumenty i resztę ekwipunku. Jonah zastanawiał się, czy nie umieścić tam Richarda, ale w końcu zrezygnował. Nie sądził, żeby Richard chciał zostać męczennikiem i zaatakował go, kiedy będzie prowadzić. Cała trójka wcisnęła się na przednie siedzenie i ruszyli drogą SS106

– prostym odcinkiem łączącym piętę włoskiego buta z jego dużym palcem.

Godzina była późna, mieli więc dla siebie całą drogę. Reflektory samochodu wyci-
nały tunel, który odsuwał się w ciemności, gdy w niego wjeżdżali.

– Dlaczego Maroussis chce mieć tabliczkę? – spytał Jonah.

Richard drgnął, wciśnięty między Jonaha i Ren.

– To bezcenny artefakt.

– Wszystko ma cenę – odrzekła Ren. – Wasza tabliczka nie jest nawet unikalna.

– Musi być – powiedział Jonah.

– Zapytaj Adama. Myślisz, że mówi mi o wszystkim? Uważa mnie za małą od-
szpadła.

– Zawsze cię przeceniał.

Richard zamilkł, obrażony, po czym rzucił wyćwiczony tekst:

– Adam to nihilistyczny perfekcjonista. Trudno go zadowolić.

Z przeszłości dobiegł go urywek rozmowy.

Przejrzał pozłacane kłamstwo.

– Adam nie jest nihilistą – powiedział Jonah. – To idealista, który nie może znaleźć
niczego, co sprostaby jego wymaganiom.

Zadzwonił telefon. Jonah włączył tryb głośnomówiący.

– Masz mapę? – spytał Adam.

– Tak.

– Za Lokrami jest zjazd do wioski Plati. Skręć w niego i przejedź dwadzieścia
osiem kilometrów. Kiedy ujrzysz kamienne osuwisko obok kaplicy, skręć w prawo, na
ścieżkę.

Zaprowadzi cię do wioski.

– Czy ona tam jest?

– Będzie.

– Kto się zjawi oprócz niej?

– Mam nadzieję, że zdążę, żeby odebrać tabliczkę.

– Nie! – Jonah wcisnął mocniej pedał gazu. – Przekażesz mi Lily, a wtedy ci po-
wiem, gdzie jest tabliczka.

– Nie zgadzam się.

– Myślisz, że pojedę do jakiejś zapadłej dziury z tabliczką w dłoni, ufając, że do-
trzymasz słowa? – Żadnej odpowiedzi. – Jak bardzo ci na niej zależy?

– Jak bardzo zależy ci na Lily?

– Kiedyś zrobiłbyś dla niej wszystko.

Pauza.

– Po prostu przywieź tabliczkę.

Licznik kilometrów się przekręcił.

Jonah miał nadzieję, że sygnał wygaśnie, uwalniając go od presji. Jak bardzo zależy

ci na Lily?

– Zgoda.

– Jeszcze jedno.

Jonah zamarł.

– Co?

– Droga nie jest w najlepszym stanie.

Jedź ostrożnie.

Miał wrażenie, że jechał całą wieczność. Richard przeszedł do tyłu i zasnął, Ren co chwila zapadała w drzemkę, oparta o okno. Jonah nie czuł się zmęczony. Nadzieja i strach sprawiały, że serce mu waliło, kiedy mknął wyludnionymi miastami i pustymi drogami. Mrok w lusterku wstecznym zamienił się w purpurę, później w głęboki błękit. Ren się obudziła.

– Nie masz nic przeciwko temu? – spytał Jonah.

Rozprostowała kości.

– Przepraszam?

– Przeciwko oddaniu tabliczki.

Powiedziałaś, że chcesz odpłacić Maroussisowi, a teraz dostanie to, czego chce.

Wyrzała przez okno. W szybie mignął zielony krzyż – neon apteki.

– Twoja żona jest ważniejsza.

– Tak.

– Opowiedz mi o niej. – Oparła boscie stopy na desce rozdzielczej. – Powiedz mi, dlaczego się nie poddałeś, chociaż wszystko wskazywało, że uciekła z Adamem. Nigdy w nią nie zwątpiłeś?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo... wiedziałem.

– Jak?

Zaczął szukać odpowiednich słów.

– Jak z graniem w zespole. Kiedy jesteśmy ze sobą zgrani, kiedy złapiemy wspólny rytm, to się czuje. Czasami nie jestem pewien, co z tego wyjdzie, ale wiem, że będzie dobrze. Z Lily jest podobnie. Jest w niej coś, co słyszę, czuję, odbieram... Możesz to nazwać, jak chcesz. Coś prawdziwego.

– Masz na myśli jej duszę?

Wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

– Wierzysz w reinkarnację. – Postanowił wykręcić się pytaniem. – Czy nie czułaś tego do nikogo?

– Nie. – Poruszyła palcami. – Może raz, do niego, ale to było dawno temu.

– Co się z nim stało?

Zmieniła temat.

- Znasz miejsce, do którego jedziemy? Aspromonte?
 - Nie.
 - Przypomina część historii, która przetrwała w czasie. Zaginiony świat z epoki, gdy cały ten rejon był grecką kolonią.
 - Sądziłem, że to historia starożytna.
 - W tym miejscu ona przetrwała.
- W głębi masywu Aspromonte są wioski, których mieszkańcy nadal posługują się dialektem starożytnych Greków.
- Zmarszczyła brwi. – To także kolebka Ndranghety. Słyszałeś o nich?
 - To mafia, prawda?
 - Nazwa organizacji to skażona wersja greckiego Andron Geta, „ludzie honoru”.
Jonah ominął zabitego psa leżącego na drodze.
 - Możemy się z nimi zetknąć?
 - Maroussis jest armatorem. Po drugiej stronie masywu Aspromonte znajduje się Gioia Tauro, największy port kontenerowy we Włoszech i największy europejski port przeładunkowy kokainy. Myślisz, że Maroussis nie ma przyjaciół w tej części świata?

Przed nimi pojawił się drogowskaz z napisem Plati. Kiedy skręcili, Jonah zdał sobie sprawę, że może go przeczytać bez pomocy reflektorów.

OKSFORD

Następnego dnia po sympozjone urządzonym w domu Adama Jonah obudził się wcześnie rano. Nocny śnieg pokrył świat cienką warstwą, która sprawiła, że wszystko uległo zmianie.

Innego dnia mógłby godzinami siedzieć przy oknie i podziwiać widoki. Ale nie dzisiaj.

Spali na studenckim łóżku – wąskiej żelaznej pryczy z zapadniętymi sprężynami. Lily w nim nie było. Nie było jej również w kuchni. Lód pokrył otwarte okno. Dotknął go i zdał sobie sprawę, że znajduje się w środku, między szybami. Powietrze było tak lodowate, że oddychanie sprawiało ból.

Jeszcze nie wróciła.

Znalazł w lodówce sok pomarańczowy i wypił pół kartonu.

W misce były banany. Zjadł trzy.

Zastanawiał się, czy nastawić wodę, ale myśl o kawie sprawiła, że zrobiło mu się słabo.

W miejscu, gdzie powinien się znajdować jego umysł, świeciła pustka.

Założył jakieś ubranie i wciągnął buty, narzucił wojskową kurtkę z demobilu, owinął szyję szalikiem i wyszedł na zewnątrz. Ruszył w dół, obok pubu i nowego domu mieszkalnego, a następnie skręcił w Aristotle Lane i minął tory kolejowe. Za torami w zimo-

wym słońcu lśnił daleki Port Meadow, z ciemną rzeką wijącą się między drzewami. Zapuściło się tam kilku dzielnych właścicieli psów, ale poza tym śnieg pozostał nieskazitelny.

Szedł, dzięki temu mógł bowiem nie myśleć o ostatniej nocy. Łąka została zalana i zamarzała, zanim spadł śnieg, każdy krok sprawiał więc, że lód pękał pod butami, grożąc utratą równowagi.

Jonah był tak skupiony, że dotarł do rzeki, prawie tego nie zauważając.

Wsunął ręce w kieszenie i spojrzał na czarną wodę. Do połowy zanurzona kłoda obracała się razem z nurtem.

Co się wczoraj stało?

Wspomnienia były zbyt bolesne dla jego obolałej, słabej głowy. Usunął śnieg kopnięciem i nacisnął lód piętą.

Kiedy pękł na kawałki, podniósł je i zaczął rzucać po jednym do wody.

Odpływały jak fragmenty pamięci.

Jej kroki na śniegu były tak lekkie, że ich nie usłyszał. Odwrócił głowę dopiero, gdy się odezwała.

– Nie było cię w domu. Myślałam, że wróciłeś.

Rzucił do rzeki ostatni kawałek lodu tak, żeby odbił się od powierzchni jak kamień.

– Nie powinnaś być z Adamem?

– Charis zabrała go do szpitala w Radcliffe.

Nie o to mu chodziło i nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Gniew i chłód sprawiły jednak, że jego umysł był zbyt ociężały, aby zmienić kierunek.

– Co zaszło ostatniej nocy? Między tobą i Adamem?

Sądził, że jest gotowy. Wciągnął w płuca lodowate powietrze, szykując się na cios.

Nie był jednak gotowy na to, co powiedziała.

– Adam próbował popełnić samobójstwo.

Odwrócił się do niej. Słońce odbite od śniegu uderzyło jego zmęczone oczy.

Przymknął powieki. Widział jedynie negatyw Lily, obraz ducha za zamkniętymi oczami.

– Dlaczego?

– Miał fatalny odlot. – Przeszedł ją dreszcz. Chociaż niczego nie zobaczył, wyczuł to w jej głosie. – Prochy, które dodał do wina, sprawiły, że mu odbiło.

Był przekonany, że wpadł w pułapkę wizji i jedynym sposobem na przebudzenie jest śmierć.

– Również to piłaś?

– Zrobiło mi się słabo.

Zwymiotowałam prawie wszystko.

– A pozostali?

– Czują się dobrze. – Kolejne dreszcze. – Oni tylko patrzyli, śmiali się z niego.

Julian otworzył okno i powiedział mu, żeby odleciał.

Ośłonił oczy i zaryzykował kolejne spojrzenie za siebie. Lily płakała.

– To nie twoja wina.

– On to zrobił dla mnie.

– To najbardziej popierdolona historia...

– Pragnął dotrzeć do prawdy.

– Jakiej prawdy?

– Doszedł do wniosku, że jesteśmy więźniami naszego „ja”, że narkotyk zburzy mury naszej świadomości i ujawni prawdziwe uczucia.

– Jak to?

– On myśli, że go kocham.

Dotarli do tego, o czym myślał od początku, ale z innej, nieoczekiwanej strony. Mógł jedynie stać nieruchomo i starać się nie runąć w białą pustkę, która go otaczała.

– I?

– Kocham ciebie

– odrzekła zwyczajnie.

W obumarłych drzewach na wyspie zakrakała wrona.

Lodowaty soplel w jego wnętrzu zaczął tajać, ale był zmrożony na kamień. Nie był już jednak odrętwiały. Był jedynie zziębnięty i przemoczony. I za długo stał bez ruchu.

– Wracam do domu – powiedział. – Na północ. To była zła decyzja.

– Z powodu ostatniej nocy.

– Z powodu... wszystkiego.

– Nasza relacja też?

Zamieniła się w bezcielesny głos, stała się boginią przemawiającą z lodu.

Nie potrafił na nią spojrzeć. Przekonał siebie, że to z powodu oślepiającego słońca.

– To nie jest moje miejsce.

– Jest twoje, kiedy ja tu jestem.

– Podczas wakacji było łatwo, ale Oksford... – Jak miał to wyjaśnić?

Przeprowadzka i godziny samotności.

Poczucie, że coś się dzieje poza zasięgiem jego oczu. Że zagląda w okna, słyszy słowa i śmiech, ale nie wierzy, że zdobędzie klucz, który umożliwi mu dostanie się do środka.

– To niewłaściwy czas na taką rozmowę.

Odwrócił się i zaczął iść. Pod jego butami zachręścił śnieg.

– Jeśli teraz wyjedziesz, już nie wrócisz! – zawołała za nim.

Wiedział, że to prawda. Wiedział, że popycha ją do zerwania, ale szedł dalej.

– Jeśli się teraz nie odwrócisz, więcej mnie nie zobaczysz.

Jonah szedł dalej skulony przed chłodem. Wiedział, że źle postępuje. Że będzie tego żałować.

Już czuł powstającą ranę, lód skuwający granice jego duszy. W jego wnętrzu panowała jednak ciemność, gamoniowata i dumna, która nie chciała się odwrócić. Nawet gdyby miało się to okazać największą pomyłką jego życia.

Coś zimnego i twardego uderzyło go w głowę. Odwrócił się na pięcie w samą porę, żeby dostać w twarz kolejną śnieżką. Śnieg zsunął się po włosach i wpadł mu za kołnierz.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Miała czerwoną twarz i gołe dłonie mokre od śniegu. Zadrapanie na policzku z minionej nocy posiniało.

– Chciałam, żebyś się odwrócił.

– Oszukujesz.

– Jeśli chcesz, możesz iść dalej.

Nie poszedł. Bez zastanowienia ruszył w jej stronę. Spotkali się i objęli na brzegu rzeki. Gorący pocałunek roztopił śnieg na jego twarzy, strużka wody spłynęła wzdłuż nosa. Cokolwiek w nim było, w jednej chwili się rozpuściło. W oddali, wśród iglic kościołów, odezwał się dzwon.

Oblizwał roztopiony śnieg, który miał słony smak. Lily płakała. Pocałował ją w czoło, a później ponownie, delikatnie w wargi.

– Obiecuj mi jedno.

Cofnął się i spojrzał jej w oczy, które lśniły błękitem jak zimowe niebo.

– Wszystko, co zechcesz.

– Jeśli kiedykolwiek od ciebie odejdę – z powodu dumy lub zranienia, głupoty, wszystko jedno czego – obiecuj, że za mną pójdziesz, dobrze? Że się łatwo nie poddasz.

Ukrył twarz w jej szaliku, szepcząc przyrzeczenie.

WŁOCHY

Początkowo szosa wiła się kamienistą rzeczną doliną, ale później zaczęła się piąć. Minęli wioskę. Droga stała się stroma, zawracając co pięćdziesiąt metrów. Skąły na asfalcie były tak duże, że mogły uszkodzić samochód. Duże betonowe kanały odpływowe wzdłuż pobocza opadały z góry, a dziwaczne skalne pięści wystrzeliwały spomiędzy drzew, jakby podziemni giganci zaczęli się wygrzebywać ze swojego więzienia.

Jonah skręcił gwałtownie na łuku i zahamował. Przejazd blokowały trzy betonowe bariery, ustawione niczym zapory czołgowe. Dalej droga raptownie się urywała, przypominając kłębowisko kawałków asfaltu i stalowych prętów w miejscu, gdzie powódź lub osuwisko wyrwały ogromny kęs jezdni. Można było przejechać jedynie wąskim pasem piachu szerokości niewiele większej od vana, a może mniejszej od niego.

Ruszył, zatrzymując się trzykrotnie.

Skrzywił się boleśnie, gdy jedna z zapór zarysowała bok samochodu. Jechał tak bli-

sko zбочa, że boczne lusterko szorowało o skały. Mimo to nie był pewien, że jest dość miejsca, aby przejechać.

Otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię.

Po pięciu godzinach jazdy nogi mu zdrętwiały. Zrobił dwa kroki, balansując niebezpiecznie na krawędzi urwiska.

Cisza gór odebrała mu oddech.

Prowizoryczne wypełnienie wyrwy w drodze miało około stu dwudziestu centymetrów.

Van był szerszy.

O kilkanaście centymetrów, ale nie budziło to żadnych wątpliwości.

– Czy jesteśmy daleko od zakrętu? – zapytała Ren.

Jonah wetknął głowę do kabiny i spojrzął na licznik.

– Przejechaliśmy osiemnaście mil. – Niewiele jak na godzinę mozolnej jazdy.

– To niemal dwadzieścia osiem kilometrów – dodał Richard.

– Musimy być niedaleko. – Jonah wyjął z vana złotą tabliczkę, telefon komórkowy i butelkę z wodą, po czym wycofał, choć było mało prawdopodobne, żeby ktoś tędy przejeżdżał. Jedyne samochód, który widział po drodze, był wrakiem rdzewiejącym na skraju urwiska.

Minęli plombę i ruszyli w górę.

Kiedy dotarli do następnego zakrętu, Jonah spostrzegł, że nie musieli się martwić o vana. Ziemne osuwisko pokonało betonowy mur, całkowicie blokując drogę. Kawałek wyżej, obok małej kapliczki, między drzewami biegła ziemna ścieżka.

– Wygląda na to, że Adam świetnie zna tę okolicę.

– Albo zna kogoś, kto ją zna. – Myślisz, że Maroussis nie ma przyjaciół w tej części świata? Wsunął rękę do kieszeni spodni, dotykając puszek po cukierkach na nodze. Złoty bilet – pomyślał. – Mój bilet do Lily.

– Naprawdę sądzisz, że Adam zada sobie tyle trudu?

– Czy ma coś do stracenia?

Jonah skręcił w drogę gruntową, nie czekając na pozostałych. Ren ruszyła tuż za nim. Po chwili zrobił to także Richard.

Cała trójka szła w milczeniu brzegiem wąwozu okalającego boczną grań.

Zbocze z drugiej strony opadało w kierunku morza. Powiała chłodna poranna bryza. Jonah jej nie zauważył.

Jego oczy utraciły zdolność widzenia – mógłby zobaczyć jedynie Lily zbliżającą się na jego spotkanie. Nic więcej.

Ren spojrzała na suchą ziemię pod nogami.

– Nie ma śladów butów ani opon.

– Przyjadą.

Morze zniknęło. Ścieżka skręciła za załomem i nagle otoczyły ich góry.

Znaleźli się w wysokiej dolinie między dwiema masywnymi graniami. Ren wskazała urwisko po drugiej stronie.

– Wioska.

Musiał zmrużyć oczy, żeby ją zobaczyć, ale nawet wówczas nie był pewien.

Czerwonobrunatne domy wznosiły się niemal pionowo na tle czerwonobrunatnych klifów, sprawiając wrażenie iluzji.

– Kto, u licha, mógłby tu mieszkać?

Ścieżka wiła się ku wiosce, wspinając się wyżej i wyżej. Zza chmur wyszło słońce. W dolinie nie było wiatru, Jonah zaczął się więc pocić.

Włosy oblepiły mu czoło i przysłoniły oczy. Chociaż się zbliżyli, obraz osady pozostał niewyraźny.

W końcu dotarli do kamiennego łuku na wierzchołku zbocza. Jonah odgarnął włosy z czoła i spojrzał przed siebie.

Wioska była zrujnowana: okna bez szyb, zawiasy bez drzwi, szkielety belek sterczące w ziejących otworach.

I czerwone kwiaty w szparach między kamieniami.

– Opuszczone siedlisko. – Milczące domy odbiły echem głos Richarda.

– Czy Adam podał godzinę spotkania?

– zapytała Ren.

– Nie.

Czy się zjawi? Wszedł do wioski, zostawiając w tyle pozostałych. Kościół stojący na szczycie spoglądał z góry na kaskadę umierających domów. Jedyne nienaruszony budynek, który ujrzał po drodze. Miał nawet dzwon wiszący na wieży i mocne drewniane drzwi zamknięte na kłódkę.

Zaczął w nie uderzać, aż poranił sobie knykcie.

Odgłos kołatania wypełnił dolinę, ale nikt nie odpowiedział.

– Spójrz tam!

Za jego plecami stanęła Ren. Wzięła go za rękę i sprowadziła ze wzgórze do domu, którego wcześniej nie spostrzegli, stojącego poniżej drogi na stromym, opadającym w dół zboczu. Był to jedyny budynek, który nosił ślady napraw. Okna i otwory drzwiowe wypełniono pustakami, belki stropowe pokryto kawałkami blachy falistej. Spoglądając w dół, zauważył słomę zaścielającą podłogę i żelazne koło przytwierdzone do ściany. Być może miejscowi pasterze kóz wykorzystywali domostwo jako prowizoryczną stajnię.

Zaprawa murarska była świeża, na żelaznym pierścieniu nie było rdzy.

Jonah uklęknął, wcisnął się między dwie belki i zeskoczył.

Słoma pod butami cuchnęła nawozem i moczem. Obszedł małe pomieszczenie, zatrzymując się przy kółku. Stary kamień wokół niego był porysowany. Świeże ślady sprawiły, że serce mu zabiło, a później zamarło.

Obok płataniny linii w miejscu, gdzie pierścień ocierał o kamień, widniał wyraźny znak.

Proste graffiti przedstawiające serce, w które wpisano inicjały: JB LW.

Jonah Barnes Lily Wilson.

Ponad nim ukazała się twarz Ren, ciemniejąca na tle nieba.

– Znalazłeś coś?

– Tutaj ją trzymali. – Szok przerodził się w gniew, dziką furję, że potraktowali ją w taki sposób. Że zamknęli w zagrodzie, jak zwierzę. Poczł klaustrofobię, odór brudnej słomy sprawił zaś, że żołądek podszedł mu do gardła. To miejsce było złe.

Co oni jej zrobili?

Musiał stamtąd wyjść. Ściana nie była wysoka, mógł dosięgnąć wierzchołka.

Lily pewnie także by zdołała, gdyby nie była skuta łańcuchem. Z pomocą Ren wciągnął się na drogę ponad domem.

– Lily tu była – powiedział, ale Ren go nie słuchała. – Co się stało?

– Jada.

Wskazała zbrocze w dole.

Za drzewami po drugiej stronie doliny na czystym porannym niebie ukazał się obłok kurzu podążający drogą, którą przyjechali.

Gdyby się wsłuchał, zdołałby usłyszeć hałas silnika.

– Gdzie jest Richard?

– Powiedział, że jest zmęczony.

Został przy bramie.

Jonah spojrział w dół na pusty dom i ponownie ogarnął go gniew. W jego głowie rozległa się mroczna muzyka.

Wycisz ją – powiedział sobie. – W ten sposób jej nie ocalisz.

– To nasza ostatnia szansa – powiedziała Ren.

W dolinie błysnęły promienie słońca odbite od nadjeżdżających samochodów.

Jonah wsłuchał się w muzykę.

Zeszli w dół przez opuszczoną wioskę. Drzewa na chwilę ukryły samochody, ale hałas silników narastał z każdą chwilą, jak bzyczenie gigantycznego owada okrążającego zdobycz.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy, dlaczego Maroussis chciał tej tabliczki – powiedziała.

– To wariat.

– Może. – Ren stanęła. – Mogę pożyczyć twój telefon? I tabliczkę.

Jonah podał jej jedno i drugie.

Rozwinęła złotą blaszkę na płaskim kamieniu w cieniu domu i przysunęła telefon na odległość kilkunastu centymetrów, żeby zrobić zdjęcie.

– Na pamiątkę.

Obraz tabliczki pojawił się na ekranie telefonu. Ren rozszerzyła palce, żeby tekst stał się bardziej wyraźny. Wyrte litery uległy powiększeniu.

– Pierwsza wiadomość tekstowa na świecie – mruknął Jonah, próbując zapanować nad napięciem.

Ren spojrzała na ekran, a później na złotą blaszkę. Jonah nie mógł tego znieść.

– Będiesz mogła ją odczytać, kiedy odzyskam Lily.

Podniosła głowę, ale go nie słyszała.

– Ta jest inna!

– O co ci chodzi?

– O tabliczkę. Ma inny tekst niż pozostałe.

– Jesteś pewna?

Zaczęła majstrować przy telefonie.

– Pokażę ci tę z muzeum. Spójrz na litery w pierwszej linii

– MNHMOΣYNAΣ – a teraz obejrzyj swoją.

Jonah podniósł tabliczkę na dłoni. Nie znał starożytnej greki, ale zorientował się, że znaki są inne.

– Wszystkie tabliczki, które odnaleziono do tej pory, zaczynają się tak samo.

MNHMOΣYNAΣ.

Mnemosyne, pamięć.

– Ale Charis powiedziała... – Wstrząsnęła nim przerażająca myśl.

Odgłos samochodów się nasilił – musieli być przy bramie. Wyrwał telefon Ren, odnalazł numer i go wprowadził.

Nikt nie odebrał.

Wprowadził ponownie. Tym razem się zgłosiła.

– Ach, jest dopiero szósta pięćdziesiąt osiem...

Kto jeszcze odbiera telefon w taki sposób?

– Mówi Jonah.

– Słodziutki, jest szósta rano. Nawet dzieci nie budzą mnie o tak wczesnej porze.

– Chodzi o tabliczkę, którą ci dałem.

O przepisany tekst.

Dlaczego powiedziałaś mi, że jest taka sama jak pozostałe?

Westchnienie.

– Nie możemy z tym poczekać?

– Ta tabliczka ma inny początek.

Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Nie wiem. – Pauza. – Nie trzymam tekstu na nocnym stoliku.

– Czy rozmawiałaś z Adamem? Kazał ci to zrobić?

– Ja nie... – Zamilkła na dłużej, aby w końcu prychnąć: – Adam był zawsze lepszy z greki! – Przykucnięta obok niego Ren szepnęła coś bezgłośnie.

– Co znaczą dodatkowe słowa?
– Kochanie, muszę kończyć. Xander się budzi.
– Co oznaczają?
– „Zszedłem do łona Bogini, tam, gdzie stugłowy Tyfon rozdarł ziemię”. – Powiedziała to szybko, jakby zastanawiała się nad tym wiele dni. Po ostatnich słowach rozległ się szloch.

Wyobraził sobie łzy spływające po jej twarzy, ale nie poczuł współczucia.

W pobliżu trzasnęły drzwi samochodu. Mocniej ścisnął słuchawkę, starając się nie przerwać połączenia.

– Czy podałaś Adamowi cały przekład?

Kolejny szloch.

– On wie wszystko! Od początku wiedział!

Poczuł nagłe olśnienie, złowrogie i czerwone jak krew.

– Jeśli powiedziałaś Adamowi, co zawiera, nie jest im do niczego potrzebna.

– Co? Kto jej nie potrzebuje? O czym ty mówisz?

Nie mówił już jednak do Charis.

Przerwał połączenie i spojrzał w dół.

Tuman kurzu wzniesiony przez dżipy zaczął opadać. Silniki ucichły.

– Adam zna treść tabliczki – powiedział Ren. – Nie przywiezie Lily.

– Co chcesz zrobić?

Nie miał pojęcia. Jeśli teraz się odwrócisz, nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Pusty dom wpatrywał się w niego jak martwe dusze zazdroszczące żyjącym.

Zazdroszczące nawet cierpienia.

– Zobaczymy, co mają do powiedzenia.

Spojrzała na niego na wpół rozpaczliwie, na wpół z podziwem.

– Nie wiem, co zrobili Lily, ale zrobią to także tobie.

– Muszę ją odnaleźć. – Kopnął kamień i patrzył, jak spada z urwiska. – Już za późno na cokolwiek innego.

Dwa małe dżipy z napędem na cztery koła zaparkowały przed bramą prowadzącą do wioski. Obok nich stało pięciu mężczyzn. Czterech miało czarne garnitury i okulary przeciwsłoneczne, masywne ciała i zacięte twarze. Piątym był Adam. Trzymał się nieco z przodu, przed tamtymi, w czarnych dżinsach i czarnym golfie. Wyglądał tak, jakby był ich więźniem.

Jonah ruszył z boczem w ich stronę.

Ren została z tyłu.

– Gdzie jest Lily?

– Zabiorę cię do niej.

– Obiecałeś, że ją przywieziesz.

– Masz tabliczkę?

Jonah zastanawiał się nad blefem, ale za bramą ukazał się kawałek białego rękawa koszuli Richarda. Richard mógł im wszystko powiedzieć, kłamstwo nie miało więc sensu.

– Przecież już wiesz, co zawiera.

Adam skinął głową.

– Po co ci tabliczka?

– Nie jest nam potrzebna.

– W takim razie po co mnie tu sprowadziłeś? – Poczł, że otoczyła go szeroka przestrzeń. Miał wrażenie, jakby spadał bez końca. Jego słowa rozplynęły się na górskim niebie.

– Nie uwierzyłybyś, gdybym powiedział prawdę – odrzekł Adam.

Jego słowa zagłuszył huk na niebie.

Łoskot wirujących śmigieł.

– Co to?

– Zabiorę cię do Lily.

Rozdział 35

Gość: *Istnieją dwa rodzaje polowań na lądzie.*

Teajtet: *Jakie?*

Gość: *Polowanie na zwierzęta oswojone i dzikie.*

Teajtet: *Czy ktoś chciałby polować na oswojone?*

Gość: *Tak, jeśli zaliczyć do nich ludzi.*

Platon, *Sofista*

Siedzę w niskiej szarej izbie pełnej ludzi. Jest tutaj także Deotyma. Muszę z nią rozmówić, ale ci, którzy mnie otaczają, wciąż stają nam na drodze.

Ci inni to poprzednie wersje mnie, zaglądające mi przez ramię. Jest ich całe mnóstwo. Wyglądają na nieco zawstydzonych – ponieważ wiedzą, że nie chcę ich widzieć – ale nie odedają.

Za każdym razem gdy ruszam w kierunku Deotymy, podążają za mną niczym stado owiec.

Przebudziłem się.

– Miałeś sen?

Dion wyciągnął rękę i dotknął mojego obnażonego ramienia. Po drugiej stronie namiotu spał młody Dionizjos, chrapiąc i pochrząkując jak prosię.

– Deotyma mówi, że Etna jest dobrym miejscem na sny. Powiada, że dusze wypełniają z Hadesu przez szczeliny i szepczą prawdę do naszych uszu.

– To nie był dobry sen.

– Oby się nie spełnił.

Przekręciłem się na łożu, chcąc się uwolnić od natrętnych obrazów mojego „ja”.

– Jak dobrze znasz Deotymę?

Pomyślał, zanim udzielił odpowiedzi.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek dobrze ją znał. Pojawia się i znika bez powodu.

Przychodzi, kiedy najmniej się jej spodziewasz, i nie ma jej, gdy tego pragniesz.

– Pragnienie ma wiele znaczeń.

Deotyma obawia się twojego szwagra – rzekłem.

– Myślę, że to on bardziej się boi.

– Dlaczego?

– Deotyma ma moc. Dionizjos potrafi to wyczuć – jest w tym dobry – ale nie umie

tego pojąć. Dlatego czuje się zagrożony.

Nie zaprzeczyłem, sam bowiem miałem podobne wrażenie. Chciałem jednak poznać opinię Diona.

– Cóż to za moc?

– Deotyma potrafi wyklądać sny. – Materac zatrzeszczał, gdy Dion przekreślił się na plecy. – Jest Sycelką, wiedziałeś o tym? Należy do jednego z pradawnych plemion zamieszkujących Sycylię. Wioska, z której pochodzi, jest miejscem świętym. Powiadają, że stoi tam świątynia poświęcona Demeter, ale przypuszczalnie jest to przybytek Hybli, starożytnej bogini Sycelów, która dostarcza wyroczni w formie snów.

Jeśli się tam udasz, kapłani ci je wyłożą.

– Można im zaufać?

– Nigdy tam nie byłem, ale to niedaleko stąd.

Dion miał na myśli Etnę i nasz obóz w lesie, na jednym ze zboczy góry.

Dotarliśmy do niego wczoraj o zachodzie słońca, po całym dniu uciążliwej jazdy. Od połowy ranka, kiedy zesliśmy ze wzgórz leżących na północ od Syrakuz, dominowała nad horyzontem z ośnieżonym wierzchołkiem wyrzucającym dym w błękitne niebo.

Prawie się nie odzywałem. Dion jechał przodem z Dionizjosem i jego synem.

Dostrzegłem Leona w grupie ludzi przede mną, ale udawaliśmy, że się nie znamy.

Dobry to był dzień na samotność.

Poprzednia noc wreszcie dobiegła końca, ale nie zdrzemnąłem się ani chwili. Czuję się jak piasek na arenie posiniaczony upadkami ciężkich mężczyzn, niezdolny się poruszyć.

Gdziekolwiek spojrziałem, wszędzie widziałem ciało Eufemosa, ale za każdym razem jego zwieszona głowa zdawała się bardziej obrzmiała, a wytrzeszczone oczy przybrały rozmiar większy od dłoni. Nie mogłem uciec przed oskarżeniem, które się w nich tliło.

Nie przedstawiam tego, o czym prawię, jako prawdy absolutnej. Jestem uczciwy.

Nieopodal namiotu rozległo się pohukiwanie sowy, po chwili dołączyła do niej kolejna. Wyobraziłem sobie ptaka, który widnieje na naszej srebrnej drachmie – małego, mocnej budowy, o okrągłych oczach – siedzącego na gałęzi i nasłuchującego myszy lub ropuch. Jak blisko była od naszego namiotu? Czy siedziała na srebrzystej brzoście naprzeciw wejścia?

Tej, w której była pusta dziupla? Czy gdyby spojrzała uważnie swoimi dużymi, okrągłymi ślepiami, dostrzegłaby blask stali w środku drzewa, tam, gdzie ukryłem nóż?

Przewróciłem się na drugi bok, próbując zasnąć.

Tyrani lubują się w dźwięku trąb.

Dionizjos zbudził nas o świcie – tak głośno, że musiał wypłoszyć wszelką zwierzynę mieszkającą na górze. A może wspaniałomyślnie dał jej szansę ocalenia życia?

Na pobliskiej polanie złożyliśmy ofiarę Artemidzie. Kamień ofiarny wyglądał na pradawny, wygładzony na środku przez wino i krew, które spłynęły lejem krasowym. Krawędzie ołtarza były wygięte ku górze niczym rogi lub końce łuku.

Dionizjos własnoręcznie wybebeszył zająca, którego jego ludzie schwytali we wnyki, i złożył wewnątrzności na ołtarzu.

– Święta panno, władczyni wyniosłych gór, pozwól nam przekroczyć próg swojego królestwa i wrócić ze zdobyczą.

Spojrzałem na małe organy krwawiące na ołtarzu, na dłonie ubrudzone posoką, i pomyślałem o nożu ukrytym w pniu drzewa. Czy naprawdę potrafiłbym to zrobić?

Nie mogę uwierzyć! Rozmawiamy o...

tym... a ty sprowadzasz wszystko do ćwiczenia z filozofii.

Po złożeniu ofiary krążyliśmy po obozie.

Niewolnicy ostrzyli dzidy i składali namioty. Psy wyczuły krew na ołtarzu i napięły smycze. Po drugiej stronie polany spostrzegłem Leona pociągającego wino z bukłaka.

Zauważył, że na niego patrzę, i nieznacznie skinął głową. Wino spłynęło po bukłaku i zabarwiło czerwienią jego tunikę.

Odwróciłem głowę w poszukiwaniu Diona.

Zamiast niego dostrzegłem Dionizjosa. Stał za mną, jakby mnie śledził.

Każdy człowiek ma swoje miejsce – naturalny habitat, w którym jego postać ma sens. Gdyby zabrać Achillesa z pola bitwy lub Sokratesa wyciągnąć z agory, wyglądałoby zgoła komicznie. Dionizjos czuł się w lesie jak w domu. Jego rude kudły, groźna energia i czujne oczka idealnie pasowały do górskich ostępów.

Nie czyniło go to jednak ani trochę bardziej przyjemnym.

Klepnął mnie w ramię.

– Wydajesz się dziwnie nerwowy.

Nie jesteś gotów na zabijanie?

Zwierzęta obserwują nas swoimi niemymi ślepiami, ale nigdy nie poznamy, co myślą. Czy Dionizjos wiedział, co się wydarzy? Czy byłem skazany, jak Eufemos?

– Miej oko na chłopca. Nie chcę, żeby zrobił sobie krzywdę. – Odczekał chwilę, po czym wykręcił mi ramię, jakby chciał dać do zrozumienia, co mnie wówczas spotka. Później puścił.

– Przed nami dzień pomyślnych łowów.

Sokrates porównywał poszukiwanie wiedzy z chwytaniem gołębi. Nie mam pojęcia, jak wpadł na ten pomysł – pewnie rozmawiał na targu z zastawiającymi sidła. Z drugiej strony trudno sobie wyobrazić Sokratesa w leśnych ostępach, z wabikami i wnykami.

Metafora chwytania gołębi nigdy do mnie nie przemawiała. Kocham wiedzę, ale nie lubię polowania. Tamtego dnia nienawidziłem go jak jeszcze nigdy w życiu. Promienie słońca przenikały poszycie lasu, konary mnie szarpały, głowa bolała od ujadania psów. Nóż, który przypasałem do uda, ocierał mi nogę i sprawiał, że pociełem się okrutnie.

W końcu go odwiązałem i wetknąłem do buta, mając nadzieję, że nikt nie zauważy.

Nasza kolumna rozciągnęła się szybko w poprzek góry. Późnym rankiem dobiegły nas dalekie krzyki.

– Psy podjęły woń dzika – wyjaśnił Dion. – Jestem ciekaw, czy zdołamy go osaczyć.

Nie sędzę, żeby nam to groziło, ponieważ młody Dionizjos miałby kłopot z wyprzedzeniem zółwia. Twarz mu spotniała, z nosa ciekło, w płucach świszcząco, na dodatek zanosił się kaszlem. W jego towarzystwie – ja, Dion i dwóch strażników – mielibyśmy szczęście, gdybyśmy zdołali ujrzeć dzika, zanim go zatkną na rożen.

Musieliśmy jednak udawać entuzjazm, jechaliśmy więc dalej. Drzewa się przerzedziły, powietrze było chłodniejsze.

Dionizjos wyglądał żałośnie, choć nie sędzę, abym ja sam sprawiał wrażenie bardziej szczęśliwego.

Wiedziałem, co się zbliża.

Stanęliśmy na polanie otoczonej jasnozielonymi drzewami.

Niżej szukaliśmy cienia, ale teraz wypatrywaliśmy promieni słońca, które nadal świeciło jasno, ale jakby słabiej niż poprzednio. Zatrzymałem się na środku polany i podniosłem twarz, odwracając się w taki sposób, żeby złowić jego ciepło.

Kiedy to zrobiłem, okazało się, że spoglądam na górę przez szparę między drzewami. Gałęzie obramowywały dwa wzgórza wynurzające się ze zbocza jak bąbelki z kotła zawieszzonego nad ogniem. Wzgórza były stożkowate, idealnie symetryczne.

Ich kontury rysowały się na tle nieba niczym para trójkątów, ze środkowym wgłębieniem przypominającym krąg.

Oblał mnie zimny pot, przypomniałem sobie bowiem rysunek, który znalazłem w rękopisie ze świątynnego skarbcza.

– Co to za wzgórza? – spytałem Diona.

Roześmiał się.

– Miejscowi nazywają je piersiami Hybli. To miejsce, o którym ci wspominałem. Znaleźli tam brązowy sandał Empedoklesa.

Wyciągnąłem złotą tabliczkę i ją rozwinąłem.

– Cóż to jest? – spytał Dion.

Drobne słowa zakołysały się przed spotniałymi oczami.

I podążysz dalej świętą drogą w chwale razem z innymi duszami, które przeżyły inicjację.

Przytulony do piersi Królowej Piekieł Obejrzałem się w stronę wzgórz, zasłaniając oczy.

– Czy jest tam świątynia?

– Tak, stara świątynia Sycelów. Nic po niej nie zostało oprócz...

Przerwał mu głos trąbki dochodzący z lasu po drugiej stronie góry. Nie była to rado-

sna fanfara ani sygnał do zgromadzenia, usłyszeliśmy bowiem krótkie, przerażone dźwięki.

– Stało się coś złego! – Dion chwycił dzidę i zaczął biec w tamtą stronę.

Strażnicy ruszyli za nim. Dion zatrzymał się na skraju polany, spojrzął za siebie i krzyknął: – Zostań z chłopcem!

Przypilnuj, żeby nic mu się nie stało!

Ich kroki ucichły. Młody Dionizjos siedział w cieniu na głazie za moimi plecami i rozbierał gałązkę na części.

Nie wstrząsnęła nim nawet nagła, niebezpieczna sytuacja. Spojrzałem nań z najwyższym trudem.

Dobyłem nóż z buta. Promień słońca odbił się od ostrza i padł na twarz chłopca. Dionizjos podniósł głowę.

Obaj patrzyliśmy na nóż, równie zdumieni, jakby między nami pojawił się nagle jakiś nierzeczywisty przedmiot.

Chociaż zaciskałem palce na rękojeści i czułem jego ciężar, nie miałem wrażenia, że jest realny. Że mógłby przeciąć prawdziwe ciało i położyć kres prawdziwemu istnieniu.

Zrobiłem trzy kroki w stronę chłopca i zatrzymałem się niepewnie. Spoglądał na mnie szeroko wytrzeszczonymi oczami.

Czy człowiek dobry może dopuścić się zła w słusznej sprawie?

Poszukiwanie poznania nie jest tym samym co polowanie na gołębice lub dziki.

Albo na ludzi.

Ponownie spojrzałem na nóż, próbując go pojąć.

Para brązowych oczu patrzyła na mnie z polerowanego ostrza – moich oczu.

Przyjrzelśmy się sobie badawczo, ja i moje odbicie, zastanawiając się, do czego jestem zdolny.

Nagle coś długiego i ostrego świsnęło w powietrzu. Kiedy drasnęło mnie w ramię, wypuściłem nóż, dygocząc i obejmując bolącą rękę.

Jeden ze strażników Dionizjosa stał na skraju polany. Jakim sposobem dotarł tu tak szybko? Był ubrany do bitwy, nie na łowy, z hełmem na głowie i mieczem u boku. Jego dzida chwiała się w ziemi za moimi plecami.

Zacząłem bełkotać jakąś wymówkę, ale żaden z nas nie dałby jej wiary.

Żołnierz dobył miecza i ruszył w moją stronę. Przyjrzałem się jego twarzy w poszukiwaniu gniewu, nienawiści – jakiegokolwiek emocji, która nadałaby sens kresowi mojego życia – ale on tylko patrzył w napięciu, jak człowiek, który próbuje się skupić.

Wtem spomiędzy drzew nadleciał kamień wielkości pięści i trafił go w głowę tak, że hełm brzęknął jak gong.

Kolana ugięły się pod żołnierzem.

Zachwiał się i runął do przodu, ale odzyskał równowagę i się odwrócił, żeby zoba-

czyć, kto go trafił.

Nie potrzebowałem niczego więcej.

Kamień potoczył się do moich stóp.

Podniosłem go i przebiegłem polanę.

W głowie musiało mu huczeć od pierwszego uderzenia, nie usłyszał bowiem, jak nadbiegam. Podniosłem zdrową rękę i zdzieliłem go w głowę raz i drugi, dla pewności. Osunął się na ziemię.

Czy człowiek dobry może dopuścić się zła w słusznej sprawie? Widać może, jeśli zależy od tego jego życie, pod ręką ma zaś kamień słusznej wielkości.

Coś zaszeleściło wśród drzew.

Sięgnąłem po porzucony miecz, ale ręka tak mi dygotała, że podniosłem go z najwyższym trudem. Ramię mi krwawiło w miejscu, w które trafiła je włócznia. Byłem bezbronny.

Kiedy zarośla się rozstały, z lasu wyłoniła się Deotyma, stąpając miękko jak jelenek.

Podbiegła, oderwała skrawek tuniki leżącego na ziemi żołnierza i obwiązała mi ramię.

Spojrzałem na kamień.

– To ty...? – Jej smukłe ramiona obnażone po barki wydawały się zbyt delikatne, żeby rzucić tak mocno. – Jak...?

– Dionizjos wie. Wysyła szpiegów, żeby szpiegowali jego szpiegów, strażników, żeby pilnowali straży. – Krew przesiąkła prowizoryczny bandaż.

Deotyma oderwała kolejny skrawek tuniki i zawiązała nad pierwszym.

Później zerwała kilka łodyg roślin rosnących pod jednym z buków. – Żuj je.

To powstrzyma krwawienie.

Liście były gorzkie i sprawiły, że zawirowało mi w głowie. Siedziałem otumaniony, Deotyma przechyliła głowę i nasłuchiwała, choć ja słyszałem jedynie głosy ptaków.

– Zamach się nie powiódł. Dionizjos wkrótce tu będzie.

Dźwignąłem się.

– Muszę uciekać.

Spojrzała chłodnym wzrokiem, jakby ze mnie drwiła.

– Dionizjos nie chce ciebie.

– A kogo? – Spojrzałem na nią badawczo. – Ciebie?

– Byłeś jedynie przynętą.

– Mimo to przyszłaś.

Odsunęła moją wdzięczność na odległość wyciągniętego ramienia.

– Nie chciałam, żebyś skończył jak Agaton.

Ponownie odwróciła głowę. Tym razem usłyszałem i ja: łoskot i sapanie dużych ciężkich zwierząt przedzierających się przez las.

– Musisz zejść z góry. Idź do Katanii.

Miasto jest w rękach Kartagińczyków, będziesz więc bezpieczny przed Dionizjosem. Znajdziesz jakiś statek płynący do Aten, a przynajmniej do Turioj.

– A ty?

– Znajdę cię.

Nie chciałem, żeby odeszła, ale nie było czasu na spory. Pościg był coraz bliżej. Odwróciłem się, żeby odejść, i ujrzałem młodego Dionizjosa skulonego ze strachu za drzewem, zbyt wystraszonego, żeby się poruszyć.

– Co z nim?

Deotyma wzruszyła ramionami.

– Chcesz go zabić?

Nóż leżał na ziemi tam, gdzie go porzuciłem.

Zakrzywione ostrze przypominało węża zwiniętego na środku polany. Przeszedł mnie dreszcz.

– Nie.

– W takim razie odejdz.

Zostawiliśmy chłopaka.

Deotyma zniknęła w lesie, ja zaś powlokłem się w przeciwną stronę. Ramię piekło, w głowie mi wirowało. Miałem spieczone usta i kolkę pijącą w boku jak dzida. Złoty łańcuszek kołysał się i obracał na mojej szyi. Zaplątał się o gałąź i omal mnie nie uduślił.

Przystanąłem, ciężko dysząc.

Spocone, przerażone palce nie potrafiły go rozplątać. Kiedy w końcu się udało, byłem bliski jego wyrzucenia.

Coś mnie jednak powstrzymało. Złote pudełeczko wydawało się pulsować w mojej dłoni.

Wiedziałem, że powinienem biec, ale nie byłem w stanie się poruszyć. Mogłem myśleć jedynie o bliźniaczych wzgórzach, które widziałem z polany, oddzielającej je dolinie i rysunku w księdze Timajosa.

W moich uszach rozległa się pieśń: mroczna, ekstatyczna muzyka, która mnie przyzywała.

Musisz zejść z góry – powiedziała z naciskiem Deotyma. Ujrzałem morską zatokę Katanii i oczekujący statek z wysokim dziobem zwróconym w stronę Aten. Ujrzałem także Glaukona stojącego na przylądku Sunion. Niczym stary król Egeusz osłaniał oczy przed blaskiem słońca odbijającym się od wody i wypatrywał mojego powrotu.

Czego szukasz w mrocznych cieniach Hadesu? – szeptała tabliczka. Czy zaszedłeś tak daleko, żeby się poddać?

Nie chcesz się dowiedzieć?

Trzymaj się z daleka – ostrzegł mnie Agaton, ale było już za późno.

Zawróciłem w kierunku góry.

Łowy trwały w najlepsze – z ujadaniem psów, osaczaniem i zaciskaniem sieci – jak w moich sennych koszmarach.

Chociaż wspinałem się coraz wyżej, nie odpoczywając ani chwili, ścigający byli coraz bliżej.

Pomyślałem, że przynajmniej Deotyma zdoła uciec.

Zbocze stało się bardziej strome. Rana od włóczni promieniowała na całe ciało jak pęknięcie. Ziemia stała się luźna i kruszyła się pod stopami, z każdym więc krokiem się zsuwałem, zanim zdołałem zrobić kolejny.

Wdrapałem się na wzniesienie i stanąłem. Dwa strome wzgórza górowały nade mną z lewej i prawej strony. Srebrzysta brzoza rosła w siodle między nimi, pod nią znajdowała się świątynia.

Była to prosta budowla – niewielki biały gmach o płaskim dachu i gładkich fasadach. Przedśionek nad czarnymi drzwiami otoczonymi marmurową girlandą wspierały dwie kolumny. Przed drzwiami stał ołtarz z czarnego kamienia. Mrówki ruszyły z cienką jak włos procesją do brązowego kielicha, który na nim postawiono.

Dotknąłem złotego pudełeczka.

Wydawał się drzeć, jak metalowa czasza postawiona obok wibrującej struny. Ptaki przestały śpiewać.

Pałac nocy – powiedziała tabliczka.

– Co jest w środku?

Wejdz i zobacz.

Kiedy dotarłem do schodów, spośród drzew wyskoczył biały pies. Myślałem, że zerwie mnie na strzępy przed ołtarzem, ale bestia nagle zamarła.

Rozstawiła łapy i położyła uszy po sobie, warcząc i szczekając. Nie obejrzałem się ponownie, ale wszedłem do świątyni.

W chwili gdy przestąpiłem próg, coś uległo zmianie.

Wyczułem to w powietrzu. Była to woń mroczna jak kadzidło, słodka niczym trucizna. Kiedy ciemność przysłoniła mi oczy, ujrzałem przyćmione światło w tylnej części pustej sali – kwadratową dziurę, w której migotał płomień.

Otwór otaczał mroczny, nieokreślony strach. Z zewnątrz dobiegły mnie krzyki, jak głosy pochodzące z innego świata.

Przypomniałem sobie słowa Sokratesa.

Jeśli nie sięgasz nogami dna, nie ma znaczenia, czy wpadłeś do małego zbiornika, czy znalazłeś się na środku oceanu. Tak czy inaczej będziesz musiał nauczyć się pływać.

Zszedłem w dół.

Rozdział 36

JONAH – ETNA

Leciał. W dole przesuwano się błękitne morze. Przed nim, niemal na wysokości oczu, widniał stożek Etny, przypominający ogromne usta wydmuchujące kłęby dymu.

Spojrzał na Adama.

– Chcesz mnie wrzucić do wulkanu?

Nie dali mu słuchawek, Adam nie mógł go więc usłyszeć przez huk śmigieł. Ale zrozumiał. Uśmiechnął się tajemniczo, zacisnął wargi i pokręcił głową.

Pilot zerknął do tyłu i powiedział coś do mikrofonu. Adam pochylił się i spojrzał między fotele na obłok unoszący się z wulkanu – gęsty i ciemny, jak dym płonącej ropy. Cienka warstwa popiołu pokryła osłonę helikoptera.

Jonah przypomniał sobie wulkan na Islandii, który przed kilku laty sparaliżował ruch lotniczy w Europie.

Lily była wtedy na konferencji we Florencji, uwięziona wraz z milionami innych pasażerów, którzy nagle przebudzili się w świecie, w którym nie było łatwych podróży lotniczych. Jeśli oddalony o tysiące kilometrów wulkan może być tak niebezpieczny dla samolotów, co powiedzieć o przelatywaniu małym śmigłowcem w odległości kilkuset metrów od niego?

Rozejrzał się po kabinie – trzech ochroniarzy o ponurych twarzach ozdobionych bliznami, Ren i Adam niczym anioł śmierci w swoim czarnym ubraniu i czarnym okrągłym kasku lotniczym. I ty się martwisz jakimś popiołem wulkanicznym?

Śmigłowiec przeleciał nad zboczem góry. Jonah nigdy nie był tak blisko wulkanu. Pola czarnej lawy pokrywały zbocza na długości wielu kilometrów.

Nieco dalej erupcja wyrwała szeroki krater, tworząc jałową połąć zastygłej lawy.

Pasemka dymu i obłoki przelatywały obok maszyny, a rząd wyszczerbionych szczytów strzegł flanki góry.

Wszystko to przypominało zaginiony świat.

Kiedy okrążyli górę i dotarli do południowego zbocza, Jonah zauważył, że opada ono aż do równiny Katanii.

U podstawy, na linii horyzontu, pojawiło się kilka łagodnie zaokrąglonych wzgórz.

Śmigłowiec przechylił się na bok, skręcając w stronę dwóch z nich, które wypiętrzyły się pośrodku zbocza.

Wzgórza odznaczały się osobliwą, geometryczną symetrią – były niemal identyczne,

o idealnym stożkowatym kształcie. Ich porośnięte drzewami wierzchołki unosiły się niczym para urodzajnych wysp pośród morza zastygłej skały.

Pilot posadził maszynę na asfaltowej drodze, która wiła się wokół góry, poniżej wzgórz. W poprzek drogi stał długi czarny mercedes z napędem na cztery koła, blokując przejazd. Jonah spojrział na niego, jakby był potworem z jego sennych koszmarów, przypominającym podmuch powietrza, który uderzył go na drodze w pobliżu Sibari. Ochroniarze nie dali mu czasu na podziwianie okolicy, ale pchnęli go w kierunku samochodu. Kiedy Jonah wskoczył na przednie siedzenie, helikopter odleciał. Mercedes ruszył w górę drogą prowadzącą do bliźniaczych wzgórz, które okazały się wyższe, niż wydawało się to z powietrza.

– Czy Lily tu jest?! – krzyknął Jonah.

W uszach ciągle słyszał huk helikoptera.

– To miejsce opisują tabliczki – wyjaśnił Adam. – „Zszedłem do łona Bogini, tam, gdzie stugłowy Tyfon rozdarł ziemię”. Tyfon był tytanem, którego skuto łańcuchami i uwięziono pod Etną.

Jonah wyjrzał przez okno. Po pokrytej wulkanicznym pyłem drodze włókł się za nimi tuman rzadkiego czarnego kurzu.

Niebo zasnęła przydymiona czerwona mgiełka, jakby zbliżało się zaćmienie Słońca lub nadchodził koniec świata.

Jak okiem sięgnąć, było widać jedynie ostre czarne skały i brunatne kolczaste rośliny.

Pomyślał o pływającej Lily. O jej wilgotnych ustach. O skórze, która stała się miękka po latach delikatnych angielskich deszczów. Nie potrafił sobie wyobrazić miejsca, które byłoby jej bardziej obce.

Ren pochyliła się do przodu.

– Czy wulkan się obudził?

– Z drugiej strony – odpowiedział Adam. – Za daleko, żeby nam zagrozić.

Nawet jeśli lava skręci tutaj, będziemy mieć dość czasu na ucieczkę. Rozgrzana masa porusza się z prędkością około sześciu kilometrów na godzinę. Można przed nią uciec na piechotę.

Samochód zatrzymał się w dolinie między dwoma wzgórzami, na krawędzi rowu wyłobionego przez powódź. Na dnie leżały białe bloki ciosanego kamienia, uwolnione ze swojego więzienia z lawy, tworzące prymitywną prostokątną płaszczyznę, z dwiema okrągłymi podstawami kolumn przypominającymi kocie pazury. Na końcu rowu widniała kolejna dziura, której dno ginęło w ciemnościach.

– Wykopaliście to w ciągu ostatniego tygodnia?

W chwili gdy wypowiedział te słowa, zrozumiał, że było inaczej. Krawędzie rowu zostały wygładzone przez siły natury, stos gruzu nie był zaś dostatecznie duży, żeby pochodzić z wykopu.

– Pierwotna świątynia została zniszczona podczas erupcji wulkanu około czterechsetnego roku przed naszą erą. W latach siedemdziesiątych Włosi prowadzili tu prace wykopaliskowe. My dotarliśmy tutaj przed trzema dniami

– Czy oni wiedzą, że tu jesteście? – spytała Ren.

Adam wzruszył ramionami.

– Jesteśmy we Włoszech.

Okrążył krawędź rowu, zmierzając do zielonego namiotu, który rozbito obok niego.

– Przywiozłem ich – oznajmił przez płótno.

Kłapa się uniosła i na zewnątrz wyjrzał mężczyzna. Był większy od Jonaha, postury boksera: krótka gruba szyja, płaska twarz, smagła oliwkowa cera i nabiegłe krwią oczy. Jego proste czarne włosy opadały niemal do ramion.

Chociaż Jonah nigdy go nie widział, znali się z nocnych koszmarów.

– Ari Maroussis – przedstawił go Adam.

Mężczyzna nawet nie spojrzął na Jonaha.

– Masz tabliczkę?

Adam podał mu przedmiot. Krucha blaszka zniknęła w pięści wielkości cegły.

– Znałem twoją siostrę – powiedział do Ren. Odwrócił się do Jonaha: – I twoją żonę.

Zachowaj spokój – przypomniał sobie. Pomyślał, że gra jeden akord na przekór zmiennemu, natarczywemu rytmowi, wbrew falowaniu tłumy i płynności świata.

Ogarnął go doskonały spokój.

– Gdzie ona jest?

Ari oblizał wargi, dotykając językiem czerwonego strupa.

– Wkrótce się dowiesz.

Akord umilkł. Jonah skoczył na Ariego, ale był zmęczony i obolały, Ari zaś – przygotowany na atak. Wyciągnął rękę, chwycił Jonaha za gardło i przytrzymał. Jonah zaczął się wić, ale Grek był silny jak koń.

Jakieś ręce chwyciły go od tyłu i przytrzymały. Ari wzmocnił chwyt i ścisnął gardło Jonahowi tak mocno, że prawie je zmiążdżył. Oczy zaszyły mu mgłą. Nie mógł oddychać. Z odległości wyciągniętego ramienia wpatrywały się w niego oczy pełne dziecięcej radości.

Ari się uśmiechał. Nikotyna zabarwiła jego zęby na żółto.

– Stamata! – usłyszał jakiś głos. – Dość!

Ostatni uścisk omal nie zmiążdżył mu tchawicy. Ari zrobił krok wstecz. Dłonie trzymające Jonaha się cofnęły. Opadł na stertę ziemi.

Kiedy odzyskał siły i podniósł głowę, ujrzał nową postać

– Socratisa Maroussisa ubranego niczym dżentelmen ery edwardiańskiej, który odbył podróż w czasie. Towarzyszyli mu dwaj ochroniarze.

Jonah splunął żółcią.

– Sądziłem, że jest pan więźniem na własnej wyspie. – Wypowiadając każde słowo, czuł, jakby wyciągał z gardła gruby stalowy drut.

– Pojednaliśmy się. Syn zawsze wraca do ojca.

Ari spojrzał na niego spode łba. Jego smagła skóra poczerwieniała jak u dziecka złapanego na gorącym uczynku.

– Gdzie jest Lily?

Ari chciał coś powiedzieć, ale Maroussis powstrzymał go ruchem ręki.

– Prawie ją znalazłeś. – Spojrzał na Adama, który wyszedł z namiotu z naręczem lin i uprzęży. – Jesteś gotowy?

– Zostało pięć minut. – Ziemią wstrząsnął grzmot, choć na niebie było widać jedynie dym.

– Możecie sprawdzić urządzenia?

Jakie są odczyty?

Maroussis i Ari wrócili do namiotu.

Ren i Jonah zostali na zewnątrz obserwowani przez ochroniarzy. Adam starannie zwinął linę, tak żeby każda pętla miała równą długość.

– Pamiętasz wyrocznie z Delf? – zapytał nagle.

Jonah pamiętał, ale zaskoczyło go, że Adam o tym nie zapomniał. Przypomniał sobie, jak Adam siedział ściśnięty w samochodzie Lily, śpiewając razem z zespołem Electric Light Orchestra przez otwarte okno. Jakże się zmienił.

– Dawne czasy.

– Pamiętasz, że wyrocznia zasiadała na linii uskoku?

– Z ziemi wydobywał się gaz.

Kobieta była odurzona i przepowiadała przyszłość. – Potarł szyję. – Jakie to ma znaczenie?

– Widzisz, nie sędzę, aby działało się to jedynie w Delfach.

– Rozumiem. – Nie mógł uwierzyć, że prowadzi tę rozmowę. Może jego mózg ucierpiał z powodu niedotlenienia?

A może było to łatwiejsze od myślenia o Lily?

– Czy to przypadek, że największa filozofia powstała w południowych Włoszech?

Pitagoras, Parmenides, Empedokles, nawet Platon... Dopiero gdy w wieku czterdziestu kilku lat odwiedził Italię, jego idee poszybowały wysoko. Gdzieś pod tą górą jest miejsce, o którym wiedzieli starożytni.

Brama prowadząca na wyższy poziom istnienia, gdzie można osobiście doświadczyć tajemnic wszechświata.

Kiedy Platon pojechał do Italii, znalazł coś, co wstrząsnęło jego umysłem jak bomba wodorowa.

– Czytałeś książki Timothy Leary'ego?

Filozofa prowadzącego badania pod wpływem LSD?

– Włącz się, dostrój, odpadnij.

– Leary wykorzystał narkotyki do swoich badań. Uważał, że ludzkie doświadczenie determinują dwie zmienne: stan psychiczny i bodźce docierające z otoczenia.

Element fizyczny, dany środek psychodeliczny i jego właściwości biochemiczne, oraz otoczenie, w którym go przyjmujesz, przy czym nie chodzi wyłącznie o fizyczne ramy, ale także o stan umysłu.

Nastrój, emocje, oczekiwania. Grecy nazwaliby to rytuałem. Narkotyki nie działają jedynie na twoją podświadomość, ale otwierają rozmowę.

– Rozumiem.

– Weźmy ecstazy. Przez wiele lat psycholodzy przepisywali tę substancję w celach leczniczych.

Pacjenci przyjmowali ecstazy na kanapie, dzięki czemu mogli się łatwiej zrelaksować.

Rozwiązać swoje problemy. Później odkryto, że gdy bierzesz tę substancję, tańcząc z tysiącem innych ludzi i słuchając wszechogarniającej muzyki, ecstazy stają się wrotami do transcendentnego doświadczenia.

– Tak, słyszałem.

– Nasz umysł został stworzony do rzeczy wyższych niż te, do których go używamy. Tak silnie polegaliśmy na zmysłach, że po pewnym czasie całkowicie nami zawładnęły. Niestety, nasze zmysły są żałosne. Przypominamy superkomputer podłączony do modemu komutowanego. Musimy znaleźć sposób na otwarcie kanałów poznania, abyśmy mogli zrozumieć pełny zakres rzeczywistości.

– Już raz próbowaliśmy.

Nie skończyło się najlepiej.

Adam zignorował jego słowa.

– Problem z narkotykami polega na tym, że wyłączają rozum.

Uniemożliwiają kontrolowanie doświadczenia. Narkotyki sprawiają, że pogrążamy się w oceanie podświadomości, bez żadnego czynnika kierującego doświadczeniem.

– Niektórzy powiedzieliby, że właśnie o to chodzi.

– Pewnie słyszałeś, że pitagorejczycy odkryli matematyczne podstawy wszechświata. Parmenidesa nazywają ojcem logiki. Platon powiada, że jedynym sposobem zrozumienia jego idei jest dialektyczne myślenie.

– Musiało im niezłe odbić.

Adam nie wyczuł jego sarkazmu, pewnie w ogóle go nie usłyszał.

– To, co znajduje się na dole, nie wyłącza racjonalnego myślenia, jak narkotyki, ale je uwalnia.

– Jakie to ma znaczenie? – spytała Ren.

– Po co doświadczać pełnego zakresu świata, skoro nie można tego poczuć?

Jonah spojrział na mały kwadratowy otwór widniejący w rowie. Gdzie jest Lily?

Pragnął wykrzyczeć to pytanie z całej siły, potrząsać Adamem tak długo, aż mu odpowie lub runie góra.

Z drugiej strony bał się odpowiedzi.

– Czy o czymś nie zapomniałeś?

Maska Adama na chwilę pękła, odsłaniając niepewność.

– Nie sędzę.

– W mitach nikt nie osiągnął niebiańskiej szczęśliwości, wylegając się na plaży i rozmyślając o wszechświecie. Bohaterowie mitów musieli zstąpić do piekieł.

Adam spojrział na niego głębokimi, pustymi oczami.

– Właśnie dlatego kogoś tam posłaliśmy. Żeby sprawdzić, czy to bezpieczne.

Umieściliśmy kanarka w tunelu.

– Chcecie spuścić mnie w dół, żebym pooddychał tamtym powietrzem? Żeby sprawdzić, czy nie postradam rozumu?

Źle go zrozumiał.

– Posłaliśmy.

Użyłem czasu przeszłego.

Nadal nie rozumiał. Adam zrobił wieżę z palców, jak lekarz, który zakłada biały fartuch, żeby przekazać złą wiadomość.

– Ona już tam jest.

Rozdział 37

W otworach pod powierzchnią płyną podziemne strumienie, zimne i gorące, i wielkie ogniste rzeki, strumienie ciekłego błota, rzadkiego i gęstego, jak rzeki błota na Sycylii i języki lawy, które za nimi podążają.

Platon, *Fedon*

Ruszyłem w dół.

Szedłem korytarzem prowadzącym do wnętrza góry. Wysokim na tyle, żeby delikatnie muskać moją głowę, i dostatecznie szerokim, żeby zmieściły się ramiona. Droge oświetlały mi lampy – setki lamp rozmieszczonych we wnękach co kilka łokci. Widok był niezwykły. Ciekawe, kto je zapalił?

Światło lamp odsłaniało mnóstwo odcisków stóp w czarnym pyłe, które wygładziły posadzkę. Czy były wśród nich ślady stóp Agatona?

Temperatura w tunelu wzrosła. Po pięćdziesięciu krokach moje ubranie stało się ciężkie od potu. Po stu krokach rozebrałem się zupełnie, jak wąż zrzucający skórę. Zostawiłem odzienie za sobą.

Gorąc się nasilił. Wypociłem każdą kroplę wilgoci zawartą w moim ciele.

Przypomniałem sobie letnie ćwiczenia na dziedzińcu. Było południe. Nasze ciała lśniły od oliwy, oblepione piaskiem, kiedy powalaliśmy się przy akompaniamencie wyzwisk i głośnych komend nauczyciela. Jeden z nich, weteran wojny ze Spartą, zmusił mnie do leżenia z twarzą w piasku z długim skórzanym worem na plecach. Napełnił ten wór kamieniami, był więc ciężki jak człowiek. Później kazał mi zrobić sto pompek.

Wspomnienie.

Worek wciskający mnie w gorący piasek, parzący nagą skórę.

Samo uniesienie tułowia wyciskało ze mnie wszelką siłę. Po trzech pompkach myślałem, że ramiona mi pękną. Inni atleci w gimnazjone przerwali ćwiczenia i zebrali się wokół, żeby popatrzeć.

Kiedy doliczyłem do trzydziestu, nauczyciel przyniósł misę z wodą.

Postawił ją na piasku przede mną, tak blisko, że mogłem jej niemal dotknąć językiem. A później stanął nad nią, prowokując, żebym się poddał.

Wystarczy, że się przekręcisz.

Zaczerpnąłem ją ze studni, jest smaczna i chłodna. Zrzuć worek. Nikt cię nie potępi. Ale mu nie uległem.

Sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt.
W końcu dotarłem do setki.
Z najwyższym trudem zrzuciłem worek.
Nie wiem, jak zdołałem się podnieść.
Później spojrzałem w dół, na wodę w misie, i przewróciłem ją kopnięciem.
Do dziś pamiętam, jak zasyczała, gotując się na rozgrzanym piasku.

JONAH

Miał ochotę chwycić jedną z jasnoniebieskich lin i owinąć ją wokół szyi Adama tak mocno, że kark mu pęknie.

– Wysłałeś tam Lily?

Kanarek w kopalni.

Adam rzucił mu czołówkę.

– Nikt tam nie wchodził od niemal dwóch i pół tysiąca lat. Gazy mogły osiągnąć śmiertelne stężenie. Skały mogły się obłuzować.

– Ziemią wstrząsnął kolejny dreszcz. – Ten rejon nie jest stabilny geologicznie.

– Naprawdę?!

– Myślisz, że Socratis Maroussis wczołga się tam jak Indiana Jones?

Jonah spojrzał w mroczny otwór.

Ogarnęła go wielka rozpacz, sprawiająca, że wszystko, co zrobi lub powie, wydało się daremne.

– Jak ona się czuje?

– Ma nadajnik, który powinien przekazywać na powierzchnię informacje o głównych funkcjach życiowych.

– I?

– Zamilkł wczoraj w nocy.

Jonah wziął się w garść, ale było tak, jakby próbował na nowo połączyć kawałki pękniętego szkła.

– To mogła być skała, prawda?

Sygnal nie zdołał dotrzeć na powierzchnię.

– Mogło dojść do awarii lub celowo zepsuła urządzenie. – Adam włączył swoją czołówkę.

– Dlatego tam zejdziemy.

Jonah spojrzał ostatni raz na słońce.

Ren stała na skraju rowu, między dwoma ochroniarzami, posyłając mu słaby, gasnący uśmiech.

– Wróć – powiedział Jonah. Nie chciał jej zostawiać z Arim Maroussisem i jego ojcem. Przypomniawszy sobie, jak Ari na nią spojrzał, niczym rekin wietrzący przynętę. Musiał jednak to zrobić.

– Znajdź Lily – powiedziała.

Otwór wydawał się pochłaniać światło, sprasowując świat do dwóch wymiarów. Pomyślał, jak musiała się czuć Lily, kiedy do niego wchodziła.

Zniewolona i samotna – jedno samotne światełko wobec ciemności miliardów ton skały. Jak ofiara.

– Sądziłem, że ją kochałeś. Kiedyś.

Adam wzruszył ramionami.

– Miłość jest prawdą. Przecież to jej szukamy.

PLATON

Usta mnie piekły, gardło bolało.

Korytarz w dalszym ciągu opadał, zacząłem się więc zastanawiać, jaka odległość dzieli mnie od jądra wulkanu.

Kawałek dalej ujrzałem szczelinę w prawej ścianie. Przyspieszyłem kroku i zajrzałem do środka.

We wnęce siedziała grubo ciosana bogini o dużych członkach i pełnych piersiach, wyłaniając się ze skały niczym twarz przyciśnięta do prześcieradła. Jej wargi, piersi, ręce i oczy były wypolerowane jak czarne zwierciadło. Pod stopami w świetle lampy lśniła okrągła sadzawka wypełniona ciemną wodą. Brązowa łyżka błysnęła zachęcająco na półce ponad nią.

Nie wiedziałem, skąd wytryskiwała woda ani jakim sposobem się nie rozlała, ale chciało mi się pić. W życiu niczego bardziej nie pragnąłem od skosztowania jej wargami. Chciałem zanurzyć w niej głowę i utonąć.

Uklęknąłem i chwyciłem chochlę.

Kiedy pochyliłem się do przodu, amulet na mojej szyi zadrgał i uderzył o krawędź łyżki. Złoto zadzwoniło o brąz głośno niczym dzwon.

Duch Eufemosa dotknął mojego ramienia. Myślisz, że to bezpieczne?

Spojrzałem ponownie.

Złote pudełeczko wisiało na mojej nagiej piersi, zroszone potem. Wyciągnąłem tabliczkę, próbując odczytać wyryte na niej słowa. Blaszka była tak gorąca, że się bałem, że rozpuści się mi się w palcach.

Pałac nocy i źródło po prawej stronie, Czarna woda i lśniący biały cyprys, Gdzie zstępujące dusze doznają ochłody po swoim upadku.

Trzymaj się z daleka.

Woda mrugnęła i zafalowała. Bogini wpatrywała się we mnie wypolerowanymi oczami odbitymi w sadzawce pod jej stopami.

Odłożyłem łyżkę, nie dotykając wody.

Nie obejrzałem się za siebie.

JONAH

Długi korytarz opadał w głąb góry.

Ściany wygięły się na zewnątrz, po czym zamknęły się nad jego głową niczym morska muszla. Powietrze było gorące i suche. Rząd płytkich wnęk na wysokości klatki piersiowej tworzył ząbkowaną linię na ścianie. Kiedy Adam skierował na nie latarkę, Jonah dostrzegł ciemne plamy.

– To oliwa – wyjaśnił Adam. – Kiedyś stały w nich lampy.

Były ich całe tuziny, może setki, jak daleko sięgał snop latarki. Jonah wyobraził sobie, że wszystkie się palą.

Próbował sobie wyobrazić człowieka, który tutaj schodził, żeby je zapalić.

– Skąd wiedziałeś, że to tutaj?

– Wejście zasłaniała kamienna płyta.

To ona powstrzymała lawę, kiedy doszło do zniszczenia świątyni. Włoscy archeolodzy dotarli do posadzki i się zatrzymali. Nie wiedzieli o istnieniu korytarza, nikt także nie wrócił, żeby to sprawdzić. Za pomocą nowoczesnej techniki obrazowania odnaleźliśmy go w mgnieniu oka.

Jak na przejście, którego nie używano od tysiący lat, korytarz wydawał się niezwykle czysty. Posadzkę pokrywała gruba warstwa sadzy, poza nią było widać jedynie drobne pęknięcia.

W świetle czołówki ściany miały dziwną różowawą barwę i były pokryte pofałdowanymi żyłkami, jakby przewiercił się przez nie jakiś ogromny robak.

– To zjawisko naturalne?

– Lawa stygnie w zetknięciu z powietrzem. Najpierw twardnieje górna warstwa, tworząc skorupę, ale pod nią nadal płynie rozgrzana skalna masa. Czasami, kiedy erupcja ustaje, lawa wydostaje się na zewnątrz i pozostawia po sobie puste otwory.

– Korytarz musiał istnieć przed zniszczeniem świątyni.

– To wynik erupcji, która nastąpiła tysiące lub dziesiątki tysięcy lat wcześniej. Nałożyła się na nią kolejna.

W ten sposób powstała Etna. To gigantyczne ciasto zbudowane z wielu warstw lawy ułożonych jedna na drugiej.

Adam przerwał. Snop latarki odbił się od czarnej gładkiej powierzchni na posadzce niewielkiej wnęki z prawej strony. Jonah domyślił się, że to woda, dopiero wtedy gdy Adam trącił ją czubkiem buta. Po toni rozeszły się gniewne kręgi, docierając tak blisko krawędzi, że mało się nie przelały.

– „Źródło z prawej strony” – wyszeptał Adam. Złota poświata oblała jego twarz, kiedy spojrzał na tabliczkę.

Odbite światło kreśliło maleńkie białe znaki na jego skórze. – A więc to prawda.

– Czy można się jej napić? – Wysoka temperatura panująca w jaskini sprawiła, że Jonah poczuł pragnienie.

Oddałby życie za kroplę wody.

– „Trzymaj się z daleka”. – Adam skierował snop światła w górę. Naga bogini, czarna jak noc, zaślniła ciemnymi piersiami, spoglądając na nich ze skały. – To pułapka.

Uklęknął i powąchał wodę. Mały kopczyk brązowozielonych wiórków leżał na posadzce obok źródła. Może były to resztki jakiegoś pradawnego naczynia. Adam wyciągnął z kieszeni plastikową probówkę i napełnił ją wodą, zwracając uwagę, żeby nie dotknąć cieczy.

– Pułapka? – zdziwił się Jonah.

Adam podniósł się i zakręcił probówkę.

– Kluczem do orfickiej filozofii jest pamięć.

Orficy wierzyli w nieśmiertelności duszy, która powraca na świat, dążąc do doskonałości. Forma, w której powrócisz, zależy od sposobu, w jaki przeżyłeś ostatnie życie.

– Podobnie jak w buddyźmie?

Wierzyli w karmę lub coś w tym rodzaju?

– Tak. Różnica polega na tym, że w orfizmie to nie los decyduje o naszym powrocie. Człowiek ma wybór, ale musi podjąć właściwą decyzję.

Należy zabiegać o cnotę w życiu doczesnym, aby osiąść wiedzę umożliwiającą jej podjęcie w życiu pośmiertnym. Żeby było to możliwe, musisz jednak pamiętać, czego się nauczyłeś.

Jonah potarł nos. W promieniu jego latarki zawirował kurz unoszący się nad linią wzroku.

– Czy to naprawdę takie trudne?

– Woda sprawi, że zapomnisz.

Dlatego tabliczka ostrzega, żeby jej nie pić. Gdybyś to uczynił, zapomniałbyś, kim jesteś, i wpadłbyś w ręce Hadesa.

Spojrzał w dół korytarza. Kawałek dalej tunel stawał się prosty.

– Pamięć jest wszystkim, czym jesteśmy.

Bez pamięci żylibyśmy i umierali jak złota rybka. Czy znasz greckie słowo oznaczające „prawdę”?

Aletheia. A to przedrostek przeczący, lethe zaś to „zapomnienie”. Mówiąc prosto, prawda to niezapominanie.

PLATON

Korytarz biegł poziomo, po czym zaczął się ponownie wznosić.

Lampy w ścianach oświetlały mi drogę. Nie syczały i nie trzaskały, żadna także nie zgasła.

Ponownie pomyślałem o człowieku, który miał nad nimi pieczę, napełniał je i zapalał. Czy paliły się w ciemności, godzina po godzinie, czekając na nadejście wędrowca?

Czułem się tak, jakbym przybył na obiad do domu przyjaciela i ujrzał zastawione stoły, ale nie dostrzegł żadnych domowników.

Nie czułem się jednak całkiem sam.

Czasami miałem wrażenie, że widzę blady krąg światła tańczący na posadzce lub inny cień nakładający się na mój cień na ścianie, zamazany kontur, który do mnie nie należał. Co pewien czas dźwięk moich kroków milkł lub odzywał się podwójnie, jakby dobośz nierówno wybijał rytm.

Tunel skończył się nagle okrągłą komorą. Zmyślne cienie tak dobrze ją skrywały, że omal nie wpadłem na ścianę, czy raczej na posąg, który w niej ustawiono. Była to niewiasta pod trzema postaciami: młodej dziewczyny o jędrnym ciele, dojrzałej matki i zasuszonej wiedźmy.

Rozpoznałem Hekate, królową wiedźmę.

Strzegła ona rozdroży i odstraszała złe duchy, pomagała również wędrowcom wybrać właściwą ścieżkę. Nawet w takim miejscu jak to.

Głowa matki spoglądała na korytarz, którym przyszedłem, córka i wiedźma patrzyły odpowiednio w lewo i prawo, wskazując dwie drogi rozchodzące się w ciemności.

Podążyłem za ich spojrzeniem, badając oba korytarze. Niestety, w tym miejscu światło lamp się urywało i za posągiem Hekate panował zupełny mrok.

Nie mogły mnie poprowadzić nawet ślady stóp, ponieważ posadzka przed posągiem i w obu tunelach została dokładnie zamieciona.

Zrobiłem ostrożny krok w prawo.

Jeśli coś uległo zmianie, to chyba tylko powietrze, które cuchnęło jeszcze bardziej niż w komorze, jakby na końcu tego korytarza leżała jakaś ogromna rozkładająca się padlina. Uczyniłem kilka kroków w lewo. Tutaj powietrze było cieplejsze i bardziej suche. Dusza ciągnęła mnie w tamtą stronę, jak liść odwracający się do słońca.

Są bowiem dwie drogi – powiada Parmenides. – Jedna z nich jest niemożliwa. Nie wrócił także żaden z tych, którzy ją wybrali.

Wróciłem do posągu i ponownie obejrzałem twarz Hekate, szukając jakiejś wskazówki. Młoda dziewczyna spoglądająca w lewą stronę miała gładką skórę i szeroko otwarte oczy.

Z kolei patrząca w prawo starucha wyróżniała się spiczastą brodą, zapadniętymi oczami i głębokimi zmarszczkami na twarzy. Jej uszkie piersi sięgały brzucha, cienkie żebra sterczały pod skórą przypominającą pergamin. Zadrzałem, pełen podziwu dla kunsztu rzeźbiarza, który wyciosał tę wiedźmę tak głęboko pod ziemią.

Jej oczy wydawały się pełne życiowego doświadczenia, z trudem wywalczonego od dziewczyny po lewej.

To mądrość – zdawały się mówić.

Podjąłem decyzję i ruszyłem korytarzem biegnącym w prawą stronę.

JONAH

Ruszyli dalej. Czasami sklepienie było wysokie jak w katedrze, innym razem tak niskie, że ocierali się o nie ramionami.

Ściany rozszerzały się i kurczyły, ale posadzka pozostała idealnie gładka.

Zastanawiał się, ile stóp musiało tędy przejść, żeby tak ją wygładzić.

– Niebawem dojdziemy do rozwidlenia – powiedział Adam.

Jonah szedł z pochyloną głową. Jego czołówka kreśliła słaby krąg światła na posadzce, odsłaniając ślady stóp Lily w ciemności. Odciski butów Adama były duże i kwadratowe, jakby w jaskini ścigało ją zwierzę pozbawione palców.

– Stój! – powiedział. Zanim Adam zdążył zaprotestować, przepchnął się obok niego. – Ja poprowadzę.

Teraz miał przed sobą jedynie ślady stóp Lily. Próbował sobie wyobrazić, jak musiała się czuć, będąc tu sama. Czy czuła się samotna?

Przerażona?

Przygnieciona?

Przystanął i zaczął nasłuchiwać.

Cichy chrzęst butów Adama zamarł tuż za jego plecami. Woda kapała, góra wzdychała, jakby oddychała.

Nic więcej.

– Co to było? – zapytał Adam.

– Zadawało mi się, że słyszę kroki.

Pomyślałem, że to Lily.

Po namyśle uznał to za niemożliwe, ponieważ ślady stóp wskazywały, że Lily była przed nim. Cokolwiek usłyszał, nie pochodziło stamtąd – brzmiało tak, jakby znajdowało się obok niego. Czy w ogóle był to dźwięk?

Chyba raczej uczucie, cień migoczący na krawędzi świadomości. Duch.

– Ta jaskinia wywołuje iluzje – ostrzegł go Adam. – Musisz nad sobą panować, w przeciwnym razie się zatracisz.

Dwadzieścia metrów dalej korytarz się rozwidłał. W skale wyrzeźbiono trzy postaci kobiet o nagich piersiach.

Spoglądały na nich kamiennym wzrokiem, stawiając zagadkę jak sfinks.

– To Hekate – powiedział Adam. – Wiedźma strzegąca rozstajów.

Jonah ledwie na nią spojrział. Skreślił w lewo, podążając za śladami, ale Adam chwycił go za ramię.

– To zła droga.

Jonah wskazał odciski stóp.

– Poszła tędy.

Głowa Adama lśniła od potu, twarz miał umazaną kurzem. Pewność siebie, którą okazywał w Atenach, prysła. Jonah pierwszy raz ujrzał małe dziecko, którym Adam

kiedyś był – dziecko o wytrzeszczonych oczach, bojące się świata, choć rozumie go znacznie lepiej od innych, a mimo to nie pojmuje wcale.

– Miała skrócić w prawo. – Jego suchy głos przeszedł w szept. – Tak jej powiedziałem. Zgodnie ze wskazówką tabliczek.

– Dlaczego tego nie zrobiła?

– Może się pogubiła.

– A może ci nie ufała lub po prostu chciała zrobić ci na złość.

Spojrzeni na siebie. Bogini patrzyła między nich, całkowicie obojętna na wybór, którego dokonają. W ciszy, która ich oddzielała, Jonah usłyszał ciężkie kroki dolatujące z głębi korytarza, jakby podążała nim ślepa bestia.

– To Ari – powiedział Adam, ale Jonah go zignorował.

– Dokąd prowadzi lewa ścieżka?

– Nie wiem.

– Musisz się domyślać.

– W Państwie Platon opisuje ścieżkę prowadzącą do podziemnego świata.

Sprawiedliwi wybiorą prawą ścieżkę, potępieni pójdą w lewo, do piekła.

– Co to oznacza?

Adam pokręcił głową na znak, że nie wie.

– Pewnie coś złego.

– Za chwilę się dowiemy. – Jonah chwycił ramię, które go trzymało, i zaczął ciągnąć Adama lewym korytarzem. Adam szarpał się i stawiał opór, kopał i wymachiwał rękami.

Próbował podnieść dłoń Jonaha do ust, żeby ją ugryźć, Hekate zaś obserwowała ich chłodnym wzrokiem, który nie wyrażał boskiej aprobaty ani dezaprobaty.

Dźwięk kroków się nasilił.

– Ari cię zabije – ostrzegł go Adam. – Chciał cię zabić dawno temu, ale go powstrzymałem.

– Ocaliłeś mnie tak, jak ocaliłeś Lily?

– Zarobiłem wszystko, co mogłem. To nie moja wina, że wybrała złą drogę.

Jonah go puścił. Adam cofnął się i wpadł na boginię. W głębi korytarza błysnął snop latarki Ariego.

– Chodź z nami – powiedział Adam. – Nie możesz ocalić Lily, ale możesz się uratować.

Jonah spojrzał w lewą i prawą stronę.

Dokonał wyboru, choć właściwie go nie miał.

PLATON

Smród wypełniający mrok przypominał fizyczną obecność – gęsty i ciężki – niemal tak realny jak echo podążających za mną kroków. Ruszyłem przed siebie ile sił w no-

gach, ale nigdy nie zdołałem wyprzedzić dźwięku kroków.

Poruszałem rękami w próżni, czekając na dłoń, która zaciśnie się na mojej szyi, lub na skałę, która roztrzaska czaszkę.

Serce waliło mi tak mocno, że sądziłem, że wyskoczy z piersi.

Nagle ogarnęła mnie nicość. Miałem pustkę przed sobą i wokół siebie oraz – co najważniejsze – pod stopami.

Spadałem.

Odniosłem wrażenie, że spadam przez bardzo długi czas.

Pozbawiony otoczenia, wyrwany z ram czasu, uwolniony od wszelkiego poczucia kierunku z wyjątkiem dołu.

Czy właśnie tak czuł się Agaton w ostatnich chwilach swojego życia, kiedy spadał w głąb studni?

Nie. Dion powiedział, że był martwy, gdy...

Wpadłem do wody stopami, później głową. Ciecz dotarła mi do nosa, ust i oczu. Zakrzusiałem się.

Opuściłem jeden senny koszmar, żeby znaleźć się w drugim.

JONAH

Korytarz prowadził w dół. Temperatura stale rosła. Kiedy wyciągnął rękę, żeby oprzeć się o ścianę, pojawił się na niej dziwny gąbczasty osad.

Oświetlił miejsce latarką. Ściany pokrywały pomarańczowe grzyby, sięgając niemal po sam wierzchołek, pęczniejąc w dziwne, zapętlone kształty. Niektóre z nich przypominały wykrzywione twarze, oczy lub ręce pragnące wciągnąć go do wnętrza skały.

Potępieni pójda w lewo, do piekła.

Czy już się w nim znalazł?

Szedł dalej, oświetlając czołówką ślady Lily i zasłaniając twarz ramieniem.

Nagle poczuł powiew ciepłego powietrza. Co go wywołało w zamkniętej jaskini?

Aktywność wulkanu? Przypomniał sobie film, który oglądał późną nocą w jakimś hotelu.

Z nienaturalnie wyglądającymi bohaterami, którzy biegli przez równie nienaturalne jaskinie ścigani przez wygenerowaną komputerowo lawę przypominającą roztopiony ser. Nie sądził, aby w rzeczywistości tak się to rozegrało.

Gdyby nie patrzył w dół, wpadłby do dziury, ale mimo to minął ją ledwie o włos. Ciemny próg w posadzce korytarza. Wetknął do środka jedną stopę, zanim zrozumiał, że nie ma tam niczego. Niczego oprócz ziejącej pustki.

Cofnął się gwałtownie, potknął i runął na plecy.

Leżał bez ruchu. Kiedy ponownie usłyszał własny oddech, policzył do dziesięciu. Później zrobił to ponownie, o połowę wolniej. Dzięki temu zdołał zapanować nad przerażeniem.

Myśl o Lily.

Pomacał głowę w poszukiwaniu czołówki. Po ciemku otworzył pojemnik z bateriami i wcisnął je na miejsce.

Zapalił latarkę ponownie.

Światło zapłonęło mglistą, żółtą barwą. Nie mogło dorównać głębokim ciemnościom panującym w jaskini, ale wystarczyło, żeby coś zobaczyć. Wytarł rękę o koszulkę, aby usunąć osad.

Ślady stóp Lily biegły prosto do krawędzi otworu i znikwały. Zamroczony upadkiem, przyczołgał się na rękach i kolanach, oświetlając otwór latarką.

Dziura była szybem średnicy trzech i głębokości około trzydziestu metrów, choć trudno było to stwierdzić z powodu unoszącej się pary. Przez mgłę Jonah dostrzegł coś wilgotnego i szklistego, falującego i bulgoczącego na dnie.

Pękające bąbelki gotującego się błota uwalniały parę.

Czy nie miała latarki? Jej ślady były proste i wyraźne, nie przypominały chaotycznej ścieżki człowieka podążającego na oślep. Czy w porę zdążyła zauważyć otwór?

Skierował snop światła w górę szybu.

Na tle cieni dostrzegł ciemne wgłębienie w przeciwległej skale. Dalszy ciąg tunelu.

Jak się tam dostaniesz?

Powinien był pomyśleć o linie.

Uważnie zbadał ściany szybu. Skala była nierówna, pełna szczelin i półek. Gdyby miał odpowiednie umiejętności, pewnie zdołałby przejść na drugą stronę.

Ale Jonah nie miał pojęcia o wspinaczce. Cień zabrał go kilka razy na wspinaczkę do Peak District, ale później nadgarstki tak go bolały, że ledwie zdołał utrzymać gitarę. Pamiętał jedynie podstawy: Trzymaj się i nie odpadnij. Oczywiście było znacznie łatwiej, gdy miałeś uprzęż asekuracyjną.

Spojrzał wstecz, później przed siebie na ślady stóp znikające za krawędzią.

Pomyślał, że Lily mogła zawrócić, ale nie znalazł żadnych śladów prowadzących w drugą stronę.

Nie możesz ocalić Lily, ale możesz się uratować.

Położył się na brzuchu i zawisł nad otworem, wsuwając nogę do szybu, aż znalazł punkt oparcia. Wysunął ramię poza krawędź i rozcapierzył się na ścianie jak pajak.

Myśl o Lily.

Przesunął ciężar ciała i pomacał stopą, szukając kolejnego punktu oparcia, później następnego uchwytu dla dłoni.

Centymetr po centymetrze poruszał się wokół szybu, który okazał się szerszy, niż sądził. Para sprawiała, że skała była śliska. Kiedy myślał, że znalazł pewny chwyt, palce zaczynały się ześlizgiwać, a błoto bez przerwy bulgotało i kipiało w dole.

Zaryzykował spojrzenie w górę.

Pokonał ponad połowę drogi, ale do przebycia pozostał najtrudniejszy odcinek

– szerokie, płytke wybrzuszenie niemal całkowicie gładkiej skały. Czubkami palców wyczuł niewielki występ. Opuszki poruszyły się rozpaczliwie i ześlizgnęły. Spróbował ponownie. Tym razem się udało, nie był to jednak pewny uchwyt, ale nacisk utrzymujący go w jednej pozycji.

Zaczął przesuwac stopę w kierunku następnego występu. Sięgał coraz dalej i dalej, ale zabrakło mu kilku centymetrów.

Cofnął nogę.

Palce i ścięgna nadgarstka bolały jak trzymane w imadle.

Spróbował ponownie, wykonując zamach nogą, aby zyskać kilka dodatkowych centymetrów.

Palec dotknął skały, ale się ześlizgnął.

Jonah chciał cofnąć nogę, był już jednak za daleko. Wytrącony z równowagi, nie mógł utrzymać własnego ciężaru. Lewa stopa utraciła oparcie. Zawisł na palcach wystarczająco długo, żeby poczuć, jak ogarnia go rozpacz.

Po czym z krzykiem runął w błoto.

PLATON

Skoro tyle razy śniłem, że tonę, można by pomyśleć, że powinienem do tego przywyknąć.

Nic jednak nie przygotowało mnie do szoku wywołanego wpadnięciem z ciemności do wody. Runąłem w dół i zewsząd ogarnęła mnie woda.

Zacząłem instynktownie kopać nogami, ale nie potrafiłem odróżnić góry od dołu.

W moich snach widziałem przynajmniej słońce.

Wynurzyłem głowę na powierzchnię.

Wziąłem oddech, zanurzyłem się ponownie i kopnąłem tak mocno, że niemal wyskoczyłem z wody jak delfin.

Wciągnąłem powietrze w płuca i po raz kolejny się zakrztusiłem.

Oddychaj – powiedziałem sobie.

Zmusiłem się do spowolnienia ruchów.

Wykonywałem małe okrążenia ramionami i delikatne ruchy nogami.

Jakbym miażdżył winogrona.

Kiedy oddech się uspokoił, pozwoliłem sobie zanurkować na próbę, wyciągając ramiona nad głowę tak, żeby tylko moja dłoń wystawała z wody.

Nadal żadnego dna. Wypłynąłem na powierzchnię.

Tym razem popłynąłem w bok, starając się poruszać w linii prostej.

Wyobraziłem sobie niejasno, że pływam w kółko, tracę siły i tonę. Zacząłem płynąć szybciej.

Moja ręka musnęła ścianę – teraz przynajmniej świat miał trzy wymiary.

Zacząłem płynąć wzdłuż skały, macając w poszukiwaniu szczeliny. Woda była cie-

pła i cuchnęła siarką, pozostawiając mialki osad na języku.

Wyczułem jakąś przestrzeń i obmacałem ją wokół. Pomyślałem, że mam przed sobą jakąś krawędź lub półkę wystającą nieznacznie nad powierzchnię wody. Wciągnąłem się na nią. Pragnąłem się jedynie położyć, ale półka była zbyt wąska. Pomacałem wokół i znalazłem kolejną, wyższą i bardziej cofniętą. Za nią znajdowała się kolejna.

Stopnie. Wspinałem się z ciemności w ciemność.

Pełznąłem po stopniach, opierając się na rękach i kolanach. Naliczyłem dziesięć stopni. W miejscu, gdzie powinien się znajdować jedenasty, moja dłoń dotknęła płaskiej kamiennej posadzki.

Wstałem, niepewny jak dziecko uczące się chodzić, i zbadałem pomieszczenie rękami. Była to duża przestrzeń. Rzędy gładkich kolumn zdawały się ciągnąć we wszystkich kierunkach. Czuję się tak, jakbym zabłądził w lesie.

Na szczęście nie czuję zimna.

Powietrze w jaskini miało temperaturę mojej skóry, woda kapłała w rytm bicia serca. Miałem wrażenie, jakby moje ciało rozpuściło się w jej wnętrzu.

Wszystkim, co pozostało, byłem ja – osoba istniejąca, gdy wszystko inne przeminęło.

Otoczające nas ściany sprawiają, że jesteśmy więźniami tego świata. Ciało stanowi jedną z tych barier – ścianę otaczającą duszę, przez którą trudno przeniknąć.

Teraz jednak już jej nie było.

JONAH

Spadał w dół, nie przestając krzyczeć.

Usta wypełniło mu gorące błoto. Zniknął pod powierzchnią. Nie czuł wcześniej podobnego bólu: duszącego, piekącego i obozwładniającego.

Jego ciało skurczyło się jak plastik wrzucony do ognia.

Przestał tonąć, ale nie zaczął się wznosić na powierzchnię.

Utracił pływalność w błocie, a może nie pozostało w nim żadne powietrze.

Wierzgał nogami jak oszalały, choć nie potrafił odróżnić góry od dołu.

Wyciągnął ramiona i zamachał nogami, ale błoto owinęło go niczym wilgotny koc. Nadal nie mógł oddychać.

Przepraszam – powiedział do Lily.

Nagle poczuł powiew na twarzy.

Wynurzył się na powierzchnię. Wypluł błoto z ust i wziął głęboki oddech.

Powietrze było cuchnące, pełne pary i siarki, ale przywróciło go do życia.

Otworzył oczy, poruszając nogami, żeby utrzymać się na powierzchni.

Widział, a to oznaczało, że musiało być jakieś światło. Dotknął głowy i wyczuł czołówkę. Usunął błoto z osłony.

Światło stało się jaśniejsze.

Odrzucił głowę i spojrział w górę szybu, starając się znaleźć otwór prowadzący do

korytarza.

Jedno spojrzenie wystarczyło. Trzeba było cudu, aby wspiął się tak wysoko. Jego brudne ręce ześlizgną się z kamienia, błoto zaś wessie go z powrotem.

Nie wydostanie się.

Idź za Lily – usłyszał cichy głos. Lily nie wróciła, nie sądził również, aby zdołała przejść na drugą stronę. Nie dopuścił do siebie myśli, że jej ciało może być pod nim, pogrzebane w błocie.

Dokąd poszła?

Przyjrzał się szybowi przez parę i bąbelki błota. Obmacał ściany.

Wyczuł płytki otwór. Niewielki, znajdujący się zaledwie kilkanaście centymetrów nad powierzchnią błota.

Chociaż była to pewnie jedynie pusta wnęka, wsunął rękę do środka tak daleko jak mógł.

Nie natrafił na żadną przeszkodę.

Nachylił się głębiej, próbując oświetlić otwór czołówką. Skała i mrok.

Wciągnął powietrze, ale poczuł jedynie woń błota. Zaczął nasłuchiwać, jego uszy były jednak oblepione mazią.

Nie chciał tam wchodzić. Ponownie okrążył szyb, brnąc w błocie, macając każde zakrzywienie i szczelinę w poszukiwaniu drogi wyjścia. Bez powodzenia. Pięć minut później znalazł się w tym samym miejscu.

A później rozwiążemy węzeł słabym muśnięciem struny i wracamy do punktu, w którym wszystko się zaczęło.

Nie było innej możliwości. Wiedział, że długo tutaj nie wytrzyma. Wysoka temperatura i opary sprawiały, że miał zawroty głowy.

Jego skóra była podrażniona. Prędzej czy później starci przytomność i pogrąży się w błocie.

Wziął głęboki oddech i odwrócił się plecami do ściany, po czym wsunął się do otworu – jak pacjent poddawany rezonansowi magnetycznemu – tak że z błota wystawały jedynie usta.

Powietrze było gęste od oparów i pary ściśniętych w wąskim przejściu pod skalnym sklepieniem.

W tunelu światło stało się nieprzydatne. Czuł bąbelki błota na plecach. Błotne palce wbijały się w każdy zakamarek jego ciała. Błotniste powietrze oblepiało mu język, gardło i płuca. Zamienił się w dżdżownicę, na przemian kurcząc się i rozkurczając, wijąc na oślep. Jadł błoto, wydalał błoto, stawał się błotem. Pozostał z niego tylko jeden nakaz: Iść dalej. Iść lub umrzeć.

Nagle czegoś dotknął. Czegoś, co nie przysło w zetknięciu z jego ciałem.

Czegoś twardego i stałego. Czegoś, co blokowało mu drogę.

Skalna ściana. Czyżby znalazł się w ślepej uliczce? Poczuł narastającą panikę, ale

zanim strach wziął nad nim górę, jego ramię wyczuło coś jeszcze.

A właściwie nie wyczuło niczego – brak błota, brak skały. Po prostu... pustą przestrzeń. I powietrze rozciągające się tak daleko, jak daleko zdołał sięgnąć zmysłami.

Wypełzył z błota i położył się na skalnej półce, ciężko dysząc.

PLATON

Wyobraź sobie rzecz następującą...

Leżę w jaskini. Twarda posadzka rani mi kości, skalny występ wpija się w tył mojej głowy. Nawet jednak ból w końcu słabnie. Kamień zaczyna mnie wciągać, ciepło ciała powoduje, że się z nim stapiam.

Poeci śpiewają o ciszy panującej w grobie, ale zostali pięknie oszukani.

Ponieważ w grobie nie ma ciszy.

Słysząc kapanie wody. Syk kamienia przenika uszy, dolatuje mnie muzyka ziemi wirującej wokół własnej osi.

W suchym powietrzu unosi się absurdalna woń dojrzałych fig. Bogini musi być niedaleko. Zewsząd otacza mnie słodki zapach, czuję, jakbym miał miód na języku. Otwieram nozdrza i rozluźniam usta, rozszerza się każdy por mojego ciała.

Ciemność obdarza mnie dziwną zdolnością widzenia. Nie mogę dostrzec dłoni, którą trzymam przed nosem, ale potrafię przeniknąć granicę świata, ujrzeć wszystkie przestrzenie. Mogę zanurzyć dłoń i wziąć w garść bąbelki czasu, obracając je tak, żeby ujrzeć odbijające się w nich światło.

W migocącej kuli widzę połączone miasto i dumne świątynie na wysokiej skale akropolu. W zatoce za murami stoją statki, ale nie mogę dostrzec bander. Czy to Ateny?

Myślę o tym, jak się tu dostałem.

Słyszę wszechogarniającą ciszę, moje oczy przenikają ciemności. Budzę się i zasypiam. Jestem martwy, po chwili zaś bardziej ożywiony niż kiedykolwiek dotąd.

Nagle otwierają się drzwi i do sali wpada światło. Przyćmione światło na końcu długiego głębokiego korytarza. Na jego tle pojawia się daleka postać.

Widzę człowieka idącego w moją stronę. Jest niski i zgarbiony. Porusza się niezgrabnie. Potrzebuje dużo czasu, żeby do mnie dotrzeć, choć jedynym instrumentem, którym mogę to zmierzyć, jest bicie serca. Im bardziej się zbliża, tym bardziej nasila się światło, jak blask gwiazdy spadającej na ziemię. Kiedy w końcu do mnie dociera, ledwie mogę się podnieść.

W tej samej chwili zdaję sobie sprawę, że cały czas był ze mną.

JONAH

Pomacał palcami, żeby włączyć czołówkę, ale znalazł jedynie oblepione błotem włosy. Musiała ześlizgnąć się z głowy gdzieś w tunelu.

Porusza się w ciemności jak dżdżownica dzięki włoskom pokrywającym ciało. Od-

nalazł stopnie.

Wczołgał się po nich. Wyczuł otaczającą go przestrzeń i wonne powietrze, jakby znalazł się na leśnej polanie. Po korytarzu i błocie miał wrażenie, jakby się unosił. Poczł zapach owoców w powietrzu – pierwszej zielonej rośliny, którą napotkał od czasu opuszczenia stałego lądu.

Nagle ogarnęło go wielkie zmęczenie.

Poczł, że się pogrąża. Skała pod nim się otworzyła, miękka jak materac, on zaś się w niej zanurzył. Próbował nie zasnąć, przekonany, że umknęło mu coś, o czym powinien wiedzieć.

Pamięć jest wszystkim, czym jesteśmy. Kto to powiedział?

W suficie ukazały się drzwi. Do środka wpadło przyćmione pomarańczowe światło i rozległ się szmer płynącej wody. Nadal się pogrążał, ale światło stawało się mocniejsze.

Sprawiło, że błoto oblepiające jego skórę stwardniało, jakby się w nim zapiekł. Przez otwory wokół oczu dostrzegł postać idącą ku niemu ze światła. Czy była to Lily?

Światło za postacią było zbyt silne.

Próbował wyciągnąć do niej rękę, ale gliniany grób nie pozwolił mu się poruszyć.

Uśmiechnął się. Trumna otworzyła się ze zgrzytem i rozpadła na tysiące drobin światła.

Rozdział 38

Wielu ludzi zaryzykowało zejście do podziemnego świata w nadziei, że zjednoczą się w ten sposób z ukochanymi osobami.

Czy zatem prawdziwy filozof, przekonany, że umiłowana mądrość przebywa w zaświatach, powinien lękać się śmierci?

Powinien wiedzieć, że tylko umierając, może odnaleźć mądrość w jej najczystszej postaci, a więc chętnie rozpocząć swoją wędrówkę.

Platon, *Fedon*

Mój horyzont wypełniało białe światło.

Nieokreślona jasność i nic więcej.

Jasność tak doskonała, że nie było na czym zatrzymać oka. Nie było w niej perspektywy ani odległości, krawędzi ani kształtu, który by ją ograniczał.

Mogła znajdować tuż przed moim nosem lub milion kilometrów dalej, ale nie miało to znaczenia, ponieważ światło się nie zmieniało. Po prostu było.

Cóż to jest? – zapytał Głos Rozsądku.

Gdzie jestem? – zapytał Głos Woli.

Jak je ujrzałem? – zapytał Głos Pożądania.

Moje pytania rozplynęły się w świetle. Głosy wyparowały jak rosa.

Pozostaliśmy tylko ja i światło, jak odmieniane czasowniki. Ja jestem. Ono jest.

Świat uległ zmianie. Leżałem na plecach, wpatrując się w słońce.

Zgodnie z prawami natury powinno mnie oślepić, ale widziałem wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd, jakbym spędził całą noc w zadymionym pokoju, po czym wyszedł na chwiejnych nogach na wiosenny poranek.

Usiadłem.

Znajdowałem się na zielonej łące wśród złocieni i żonkili.

Nie zauważyłem żadnych drzew. Obok wiła się rzeka, zmierzając do widocznego w oddali jeziora, na horyzoncie majaczyły wysokie góry.

Nade mną stał Sokrates. Taki, jakim go zapamiętałem, tylko jeszcze bardziej realny. Wspomnienie utrwalone w moim umyśle przypominało posąg, ale oto miałem przed sobą żywego człowieka.

Jego policzki i czoło były bardziej wypukłe niż kiedyś. Nos wydawał się bardziej szeroki, broda zdawała się mocniej potargana, nogi wyglądały na mocniej wykrzywio-

ne. Oczy zaś jaśniały jak świt.

Kiedy się zastanawiałem, czy go dotknąć, pochylił się, postawił mnie na nogi i objął uściskiem, który wydawał się trwać wiecznie. Jakby dwie połowy koła połączyły się bez śladu.

– Przyszedłeś – rzekł. – Jestem taki szczęśliwy. – Cofnął się, trzymając mnie za ramiona. Ledwie mógł ich dosięgnąć (zapomniałem, jaki jest niski). – Znakomicie wyglądasz.

Byłem zdumiony. Kiedy ostatnio sprawdzałem, moje ciało było posiniaczone, pełne otarć i zadrapań.

Teraz wszystkie zniknęły, a moja skóra była czysta.

Po ranie na ramieniu została jedynie niewielka blizna.

Sokrates się spieszył. Zaprowadził mnie do rzeki, gdzie czekała łódź o płaskim dnie przywiązana do brzegu.

Wsiadliśmy. Zająłem miejsce na środku, Sokrates stanął z tyłu i popychał łódź tyczką.

Woda była głęboka, brunatna, bogata w osady.

– Co to za rzeka? – spytałem.

– Nazywają ją Acheron.

Położyłem się na deskach i spojrzałem w niebo. Było inne od tego, które znałem. Zakrzywiało się, jakby niebiosa były szklaną kopułą zaginającą się za górami otaczającymi równinę.

Słońce wydawało się znacznie większe niż w naszym świecie i stało niżej, jakby naciskało na sklepienie.

– Przykro mi, że miałeś taką trudną podróż – powiedział Sokrates.

Przyszło mi do głowy niewygodne pytanie, ale czułem, że muszę je zadać.

– Czy ja umarłem?

Tyczka pogrzyżyła się w mule tak głęboko, że Sokrates omal nie wypadł za burtę.

Kiedy się wyprostował, zauważyłem uśmiech na jego twarzy.

Odgadłem, że zadałem mu właściwe pytanie.

– Co czyni ciało ożywionym?

– Dusza.

– Czy dusza ożywia wszystkie rzeczy, w których przebywa?

– Tak.

– Co jest przeciwieństwem życia?

– Śmierć.

– Dobrze. W świecie liczb są liczby nieparzyste i parzyste.

– Tak.

– Czy w parzystości jest coś nieparzystego i na odwrót? A może są ze sobą zupełnie niezgodne?

– Myślę, że wykluczają się wzajemnie.
– Zatem dusza, która stanowi istotę życia, nie może zawierać w sobie żadnego elementu śmiertelnego.

Prawda?

– Na to wygląda.

– Co czyni ją...?

Nigdy o tym nie pomyślałem, ale teraz odpowiednie słowo pojawiło się tak naturalnie jak oddech.

– Nieśmiertelną.

– Nie jest więc Homerowym cieniem, marą lub odbiciem zmarłej osoby.

Mówię o prawdziwej duszy, która żyła na ziemi. O osobie, którą jesteśmy.

Próbowałem pojąć głębię jego słów, choć miały one także praktyczne implikacje.

Jeśli dusza jest nieśmiertelna...

– Nie mogę być więc martwy...

Skinął głową.

– Dobrze wiedzieć.

Moją twarz przesłonił cień, chociaż niebo było bezchmurne. Sokrates oparł się mocno na tyczce.

– Nie tak dobrze, jak ci się zdaje.

Usiadł. Świat się odwrócił i nagle znalazł się u stóp kobiety, która przed nim stała. Czerwone słońce wisiało nad jej postacią, w końcu więc ujrzał ją wyraźnie.

Lily.

Miała na sobie letnią sukienkę bez rękawów, w jaskrawe, pomarańczowe i srebrne kwiaty. Upięła włosy na szyi.

Jej stopy były bose, uśmiech jaśniejszy niż słońce.

Poczuł, jakby czekał na tę chwilę całe życie. Próbował się podnieść, ale Lily uklękła na trawie i objęła go ramionami, pokrywając pocałunkami każdy centymetr jego twarzy. Odnalazła jego wargi i je otworzyła, łącząc swoje usta z jego ustami. Była chłodna jak źródłana woda.

Nie wiedział, jak długo się całowali.

Kiedy go puściła, spojrzał jej w twarz.

Była zmieniona. Zniknęły delikatne linie zmarszczek, które pojawiły się z upływem lat. Wydawała się bardziej niewinna i pełna nadziei niż Lily, z którą dzielił życie.

Zrozumiał, że była taka, gdy ją poznał.

Po kolejnym pocałunku pomogła mu wstać i zaprowadziła na wzgórze, z którego rozciągał się widok na rzeczną dolinę. Na dnie doliny, na brzegu rzeki, stał kwadratowy dom o płaskim dachu, ocieniony przez biały cyprys, który rósł obok niego. Drzwi otaczały dwie kolumny. Kawałek dalej na tle nieba rysował się rząd czarnych topoli.

Zaniepokoiło go coś w ich wyglądzie.

– Co tam jest?

Niepokój sprawił, że jej twarz jeszcze bardziej pobladła.

– Omijaj to miejsce z daleka.

– Dlaczego?

– To bez znaczenia.

Zeszli do domu. Lily otworzyła drzwi.

Jonah przekroczył próg między kolumnami i wszedł do środka.

Znalazł się we frontowym pokoju ich mieszkania w Wandsworth. Był w takim stanie, w jakim go opuścił – ze stertami dokumentów, które zostawił na podłodze, kiedy szukał swojego paszportu, i pustą miseczką po płatkach z ostatniego śniadania.

Nie, nie wszystko było tak samo. Na ścianie było puste miejsce – tam, gdzie stała jego półka z płytami CD, gitarę w kącie zastąpił kauczukowiec w doniczce. Z kuchni dobiegała muzyka – dźwięk trąbek mariachi i zawodzenie Johnny’ego Casha, rozpaczającego, że dostał się w krąg ognia. Czyżby zostawił włączone radio?

– Czy to mieszkanie jest realne?

Lily poszła do kuchni i przyniosła dwie puszkę piwa z lodówki. Usiedli na kanapie. Jonah ujął jej dłoń i pogładził.

Puszka piwa sprawiła, że stała się zimna jak lód.

– Wszędzie cię szukałem

– powiedział.

Spojrzał jej w oczy. Miała szerokie źrenice, większe od tych, które zapamiętał – głębokie jak studnia, w której mógłby się na zawsze zagubić.

– Jak długo możemy tu zostać?

– Tak długo, jak zechcesz.

W kuchni Johnny Cash ustąpił miejsca duetowi Rigtheous Brothers i Unchained Melody. Lily wstała i wyciągnęła do niego rękę.

– Zatańczymy?

Był zmęczony, ale nie chciał jej zranić. Ujął jej rękę i zaczął zataczać niezgrabne kręgi po pokoju. Krok, krok, krok, krok. Wtuliła się w niego, ale niezależnie od tego, jak mocno ją obejmował, coś wydawało się tłumić uczucie.

Rigtheous Brothers przestali śpiewać.

Didżej coś powiedział i puścił Heartbreak Hotel Elvisa Presleya.

Jonah poszedł do kuchni i wyłączył radio.

– Lubię tę piosenkę – zaprotestowała bez przekonania Lily.

Ujął jej twarz w dłonie i przytrzymał nieruchomo, próbując zajrzeć na dno oczu czarnych jak płamki na płatkach maków. Dostrzegł w nich jedynie własne odbicie.

– Kim jesteś? – zapytał.

– O co ci chodzi? Przecież znowu jesteśmy razem.

Cofnęła się o krok. Sięgnęła rękami za plecy i rozpięła sukienkę. Kiedy tkanina opa-

dła na podłogę, okazało się, że nie ma niczego pod spodem. Była naga. Miała to samo jędrne, młode ciało, które ujrzał, gdy pierwszy raz ją rozebrał. Wszystko było takie samo z wyjątkiem skóry, która wydawała się kredowo biała, jakby nigdy nie dotknęło jej śródziemnomorskie słońce.

Zauważył, że jest podniecony. Nad jej nagim ramieniem ujrzał drzwi kuchni zamknięte powiewem wiatru. Nie miało to znaczenia. W tamtej chwili wydawało się, że nigdy nie będzie musiał ponownie ich otworzyć.

Lily rozpięła rozporek jego dżinsów i wsunęła dłoń do środka. Zamknął oczy, ale nie mógł się na niej skoncentrować.

– Zapomniałaś, jak się tańczy?

Jej ręka zamarła.

– O co ci chodzi?

– Byłaś świetną tancerką.

– Zapomniałam.

– A co z pływaniem? Nadal umiesz pływać, prawda?

– Oczywiście.

Odniósł wrażenie, że jest przestraszona. Odsunął ją od siebie i spojrzał w oczy.

– Udowodnij.

Tylne drzwi były niemal zamknięte.

Podbiegł do nich i wetknął but, zanim się zatrzasnęły.

– A sąsiedzi? – spytała. – Przecież jestem naga.

– Nie zobaczą.

Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, ale Lily nie poszła za nim.

Stała na progu, zasłaniając się ramionami.

– Nie mogę tam pójść – powiedziała przerażonym głosem. – Wracaj do środka.

Do podstawy stopni przywiązano łódź: płaskodenny punt, w którym studenci lubią pić i pokazywać się w Oksfordzie. Jonah stanął na deskach, wlewając wodę do środka.

– Zostań! – zawołała z tylnych drzwi.

Cierpienie malujące się na jej twarzy przypomniało mu tamten lodowaty ranek w Oksfordzie. Jeśli się teraz nie odwrócisz, więcej mnie nie zobaczysz.

– Przepraszam.

Zdjął cumę i odpłynął z prądem, nie oglądając się za siebie.

Kiedy rozmawialiśmy, nurt unosił nas naprzód.

Minęliśmy zakole i wpłynęliśmy na jezioro, które wcześniej widziałem. Z łodzi jezioro przypominało niewielkie morze rozlane w ogromnym kraterze. Wiatr się wzmógł, poruszając toń. Nie były to fale, ale wielkie kręgi, jakby woda wpadała do jakiegoś otworu.

Sokrates musiał mocno odpychać tyczkę, żeby pokonać nurt i dobić do plaży o czerwonym piasku. Na brzeg wciągnięto także inne łodzie, ale nie ujrzałem żadnych pasażerów.

rów. Wyszliśmy na ląd i nagle znaleźliśmy się na wysokim urwisku.

Mogłem teraz spojrzeć w dół, na czaszę krateru, obejmując wzrokiem całe jezioro. Po prawej stronie uchodził do niego mętny Acheron, inna sina rzeka miała ujście z lewej strony. Nie byliśmy już sami.

Setki ludzi, może tysiące, dotarły tu przed nami. Gromada mężczyzn, kobiet i dzieci szła w świątecznym tłumie.

Wszyscy zmierzali do pary gigantycznych kamiennych kolumn stojących nieopodal. Niektórzy byli zakurzeni i utrudzeni, jakby mieli za sobą długą podróż, inni promieniowali czystością.

Wszyscy kroczyli z pochyloną głową, jakby rozważali jakąś trudną decyzję.

- Co to za ludzie? – zapytałem Sokratesa.
- To dusze.
- Dokąd zmierzają?
- Chodź i sam zobacz.

Dołączyliśmy do korowodu. Kilka osób rozpoznało Sokratesa i wyszeptalo ciche pozdrowienie, ale mnie zdawały się nie dostrzegać. Wszyscy patrzyli przed siebie na masywne kolumny.

Kiedy znaleźliśmy się wyżej, dostrzegłem pajęczce sieci pokrywające ich powierzchnię. W pierwszej chwili pomyślałem, że to pęknięcia, ale później zdałem sobie sprawę, że to drobne litery otaczające je ze wszystkich stron, zajmujące każdy fragment ich powierzchni.

Choć były znakami alfabetu, którego wcześniej nie widziałem, jakimś sposobem udało mi się odczytać fragmenty tekstu.

Słowa pamięci wyryte w kamieniu Na godzinę twojej śmierci...

Znaleźliśmy się niedaleko czoła pochodu.

Między kolumnami dostrzegłem dwie postaci zasiadające na tronie. Były potężne, odziane w białe szaty. Miały wieniec na głowie i złote berło w ręku. Dusze przechodziły między kolumnami, które przypominały ogromne odrzwia, udając się do miejsca, które im wskazano.

- Co to za istoty?
- Strażnicy – wyjaśnił Sokrates. – Nie martw się, w twoim wypadku będzie to zwykła formalność.

Kiedy skończył, nadeszła moja kolej.

Słońce znajdowało się za strażnikami, nie mogłem więc wyraźnie ich zobaczyć, ale zdałem sobie sprawę, że wpatrują się we mnie jak w zwierciadło. Złote berło uniosło się niczym pióro, którym zostanie spisany mój los.

Dlaczego tu jesteś?

Nie usłyszałem głosu, ale raczej go poczułem, jak bicie wielkiego bębna w moim wnętrzu. Spojrzałem w dół i ujrzałem złotą tabliczkę spoczywającą w mojej dłoni.

Jestem synem Ziemi i rozgwieźdzonego Nieba, Usycham z pragnienia, ginę.
Pozwól mi się napić zimnej wody, Która wypływa z sadzawki Mnemosyne.
Berło wskazywało prawą stronę.

Ruszyłem ponownie, przekraczając cień kolumn i przechodząc na drugą stronę.
Spostrzegłem ludzi klęczących wokół okrągłego, zarośniętego trawą źródła.

Pochylali się i z niego pili. Kiedy obejrzałem się przez ramię, po lewej stronie ujrzałem innych, prowadzonych w kierunku brzegu. Nie widziałem ich twarzy, ale powłóczyli nogami, jakby złożono im na barkach wielki ciężar.

Sokrates powstrzymał mnie przed podejściem do źródła.

– Ta woda nie jest przeznaczona dla ciebie. Musimy iść dalej.

Minęliśmy jezioro i wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Kiedy obejrzałem się kolejny raz, kolumny, strażnicy i tłum zniknęli.

Nie był już w Wandsworth. Rzeka płynęła przez połacie jałowej ziemi porośniętej drzewami pozbawionymi liści. Wszystko zdawało się martwe i miało siną barwę, jakby świat wstrzymał oddech.

Pomyślał o Lily stojącej w drzwiach.

O przerażeniu malującym się na jej twarzy, jakby bez niego przestała istnieć. Żałował, że nie może wrócić, ale nurt był wartki, w łodzi nie znalazł zaś wiosła ani tyczki.

W górę strumienia bez wiosła.

Koryto uległo poszerzeniu i rzeka zamieniła się w morze. Łodzią zaczęły miotać wysokie fale. Na horyzoncie ukazała się trąba wodna sięgająca obłoków. Wydawało się, że wciągnie cały ocean, wirując wokół własnej osi.

Porwał go prąd. Z przerażeniem pomyślał, że wciągnie go trąba wodna.

Wirował jak igła gramofonu zmierzająca do końca płyty. Nagle prąd ustał, a łódź zaczęła dryfować do brzegu, aby osiąść na kamienistej plaży. Wyszedł na piasek, wdzięczny, że ma stały grunt pod nogami.

Wdrapał się na skały i dotarł do krawędzi pochyłego trawnika.

Na szczycie wzgórza stał kwadratowy pobielany dom z ogrodem, zwrócony w stronę morza.

Był tu już wcześniej. Minął ogród i wspinał się bocznymi schodami.

Wiedział, co zastanie, zanim dotarł na miejsce: wiklinowe krzesła, stół i starca palącego cygaro. Nowe były jedynie dwa drzewa – topole w ogromnych terakotowych doniczkach – stojące po obu stronach stołu.

Zapadła noc. Maroussis skinął ręką, wskazując krzesło. Topole zaszumiały, kiedy Jonah przeszedł obok nich.

– Co tu robisz? – spytał Maroussis.

– Przyszedłem po Lily.

Koniec cygara zapłonął pomarańczowym światłem.

– No tak, oczywiście.

Maroussis pstryknął palcami. Pod balkonem błysnął reflektor, oświetlając zbocze. Lily stała pośrodku trawnika w krótkiej białej sukience i z wianuszkiem stokrotek na głowie.

Rozglądała się niepewnie, mrugając oczami.

Ośłoniła twarz, spojrzała w kierunku werandy i się uśmiechnęła.

Jonah przesadził poręcz i ciężko wylądował, zapominając o ostrożności.

Zaczął biec do Lily po wilgotnej trawie.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęła.

Wyciągnął ręce, żeby ją objąć...

...i niczego nie poczuł. Lily mignęła i znikła, jakby projektor przewinął do końca szpulę z filmem. Jego ramiona zawisły w powietrzu. Potknął się i upadł na twarz, lądując na wilgotnym trawniku.

Maroussis oparł się na poręczy werandy, otoczony przez dwie topole ginące w ciemności.

– Sprowadź ją! – krzyknął Jonah.

Odwrócił się gwałtownie, obserwując cienie i zarośla w poszukiwaniu żony.

– Nie możesz do niej dotrzeć – powiedział Maroussis.

Poczuł, że opuściła go wola walki.

Podniósł się i powoli wrócił na werandę. Kiedy Maroussis wskazał mu krzesło, opadł na nie bez sprzeciwu.

Maroussis nalał brandy do głębokiego kieliszka i zakręcił płyn. W środku błysnęło pomarańczowe światło.

– Proszę pozwolić, że wyjaśnię panu naturę pożądanego, panie Barnes. Kiedy pan czegoś pragnie – na przykład seksu – sądzi pan, że to najczystsze, najwyższe uczucie, jakiego można doświadczyć. Uważa pan, że jest wieczne, i nie może sobie wyobrazić, aby można było inaczej je postrzegać.

Zrobi pan wszystko, żeby doświadczyć spełnienia. W normalnym życiu jest pan szanowanym, zrównoważonym człowiekiem, ale teraz może pan myśleć tylko o tym. Pierwsza myśl, która przychodzi panu do głowy po przebudzeniu, jest tą samą, z którą pan zasypiał. Pańskie sny, pańskie jestestwo – wszystko staje się seksem. W końcu ona go panu dostarcza. Przeżywa pan trwającą dziesięć sekund ekstazę, po czym wszystkim, czego pan pragnie, jest zapalenie papierosa.

Zaciągnął się długo, ostatni raz.

– Szuka pan pragnienia, które jest wieczne? Proszę pomyśleć o paleniu.

– Poddaję się.

Maroussis zakręcił cygarem w popielniczce.

– Ludzie nie zostali stworzeni do tego, żeby otrzymać to, czego pragną.

Rodzą się, aby odczuwać niezadowolenie.

Są naczelnymi szukającymi owocu na drzewie.

Wspinają się, wyciągają rękę i go zrywają, a później rzucają niedojedzony na ziemię, ponieważ czują się syci.

Wasz poeta, Tennyson, powiada, że lepiej jest kochać i nie zdobyć ukochanej, wtedy bowiem nigdy nie można jej utracić.

– Chyba nie mówi pan tego z własnego doświadczenia.

– Jeśli szczerze kocha pan żonę, proszę pozwolić jej tu zostać. Proszę wrócić do domu – wskażę panu drogę.

Oczywiście będzie pan za nią tęsknić, ale tęsknota za Lily stanie się najlepszym, najdoskonalszym wyrazem pańskiego pragnienia. Czystą tęsknotą, która na zawsze pozostanie w pana wnętrzu.

Jonah pokręcił głową.

– Rzymski poeta Marcjalis żartował, że gdyby Hades naprawdę chciał ukarać Orfeusza, oddałby mu żonę. Czy pamięta pan pierwszy raz, kiedy pocałował Lily?

W hotelu w Ejo? Czy kiedykolwiek kochał ją pan bardziej niż w sekundzie poprzedzającej zetknięcie się waszych warg? Kiedy nieosiągalne nagle stało się pańskie?

– Myślę o tym codziennie.

– W takim razie może sądzi pan, że taki wybór byłby zbyt bolesny? Że nie mógłby pan żyć w wiecznym smutku?

Mogę pana od niego uwolnić. – Przysunął kieliszek z brandy w jego stronę. – Jeśli nie może pan mieć Lily, proszę o niej zapomnieć. Będą inne.

Niech pan zapomni o cierpieniu, o przeszłości. Niech pan się stanie nowym człowiekiem, kimkolwiek pan chce. Przemienie każda rzecz, którą pan uczynił, każde wspomnienie, które wywołuje w panu zażenowanie, każda tajemnica budząca poczucie winy.

– Nie chcę o niej zapomnieć.

– Dlaczego szuka pan żony?

– Ponieważ ją kocham.

– Ponieważ nie zdoła pan bez niej żyć. Będzie pan o niej myśleć w każdej chwili swojego życia – słysząc pukanie do drzwi, widząc jakąś twarz w tłumie.

To doprowadzi pana do obłądzenia.

Jonah nie zaprzeczył. Przypomniał sobie, jak siedział samotnie w mieszkaniu, w całkowitej ciszy, czekając na dzwonek telefonu. Marnując życie, ponieważ każda sekunda, która przeminęła, skracająca czas oczekiwania.

Podniósł kieliszek. W blasku światła brandy nabrała bursztynowej barwy.

– Czy będzie bolało?

– To proste, jak połykanie.

– A jeśli tego nie zrobię?

Maroussis wydmuchnął długi obłok dymu w nocne niebo.

– Nie ma pan innego wyboru. Są dwie możliwości: pamiętać o niej lub zapomnieć. Żyć lub umrzeć.

Jonah powąchał brandy. Obrócił kieliszek, wywołując wir, który opadał w... W co? Znalazł odpowiedź tam, gdzie opadający płyn zamieniał się w pojedynczy promień światła. Podniósł kieliszek do warg. Nad jego krawędzią spostrzegł, że Maroussis zachęcająco kiwa głową.

– Nie.

Wypuścił go. Kieliszek wyslizgnął się z palców i roztrzaskał o taras. Bez światła złocista brandy zamieniła się w ciemną plamę na kamiennej posadzce.

Maroussis uniósł się na krzesło.

– Co pan zrobił?!

– To fałszywy wybór. Tak czy inaczej Lily umrze.

– Ona już umarła.

– W takim razie odejdę razem z nią.

– To gorsze, niż pan sobie wyobraża – ostrzegł go Maroussis.

– Wytrzymam.

– A jeśli pan ją odnajdzie? Co wtedy?

Zdefiniował pan siebie za pomocą jednej rzeczy: poszukiwania żony.

Pańskie jestestwo zależy od jej nieobecności. Jeśli ona będzie żyła, pan nie będzie mógł istnieć.

– Zgodzę się na wszystko, nawet jeśli będzie to trwało całą wieczność.

– Wieczność! – prychnął Maroussis. – Wieczność to dłużej, niż pan sądzi.

– Kocham ją.

Maroussis westchnął i zgasił cygaro.

Z popiołu uniósł się kosmyk dymu.

– Pański wybór.

Ostre, pokryte łuską dłonie chwyciły go od tyłu i zaciągnęły na skraj werandy.

Poręcz, ogród i morze zniknęły. Znalazł się na wysokim urwisku górującym nad inną rzeką. Jej brudna, ciemna woda pełna gruzu i odpadków sunęła w kierunku mrocznej dziury ziejącej w ścianie klifu. Zawisł chwilę nad krawędzią przepaści, między światłem w górze i ciemnością w dole, po czym runął w dół.

Znaleźliśmy się w górach, na pustkowiu pozbawionym roślinności, jeśli nie liczyć kilku ciernistych krzewów rozrzuconych na ziemi niczym morskie muszle.

Kilka z nich rozkwitło jaskrawoczerwonymi kwiatami, bardziej intensywnymi od czerwonych kamieni, które je otaczały. Droga stała się mozolna, odłamki obluzowanego łupku raniły mi stopy, powodując, że z każdym krokiem poruszałem się wolniej. Brak cienia sprawił, że wkrótce moje ciało pokryło się potem. Przypomniałem sobie źródło. Szkoda, że Sokrates nie pozwolił mi się z niego napić.

– Dlaczego tu przyjechałeś? – zapytał tonem sugerującym, że zna odpowiedź.

– Szukałem Agatona.

Sokrates skinął głową.

– Widziałem go. Zdążyłem już zapomnieć, jaki był z niego piękny młodzieniec.
Ach, gdybym był trzydzieści lat młodszy... – Zaśmiał się do siebie. – Drogi Agaton nigdy nie cechował się twoją wytrwałością, ale był bardzo szybki.

– Gdzie on jest?

Sokrates pokręcił głową.

– Trzeba przejść różne... procedury.

– Czy wróci?

– Tak, wszyscy wracają. Chodzi o to jak.

– Jak można powrócić?

Wydmuchnął powietrze przez usta.

– To zależy. Można wrócić pod postacią ptaka lub innego zwierzęcia, żebraka lub tyrana, a nawet fasoli.

Pomyślałem, że się ze mną droczy.

– Naprawdę?

– Nie będę się przy tym upierać, ale na twoim miejscu zadbałbym o to, żeby postępować mniej lub bardziej właściwie.

Przyszła mi do głowy zabawna myśl.

– A ty? Pod jaką postacią wrócisz?

– Jeśli można, wolałbym pomówić z tobą o duszy.

Powiedział to delikatnie, ale stanowczo, wprowadzając korektę, żeby rozmowa nie obrała niebezpiecznego kursu.

– Zgodziliśmy się, że dusza to życie.

Życie nie może być śmiercią, dlatego dusza musi być nieśmiertelna.

– Pamiętam.

– Dlatego nie trzeba się kłopotać sofistami i zagadkami, które dają ludziom do rozwiązania. Na przykład powiadają, że nie można niczego poznać, jeśli bowiem wiesz, czego chcesz się nauczyć, już to znasz, a...

– ...a jeśli nie wiesz, nie będziesz mieć pojęcia, gdzie szukać

– dokończyłem. – Znam ten argument.

Zapadłem w ponure milczenie, myśląc o Eufemosie. Sokrates odczekał chwilę i podjął przerwany wywód.

– To fałszywy dylemat, ponieważ jeśli dusza jest nieśmiertelna, to już poznała i wie wszystko. To więc czego się uczymy za życia, jest po prostu przypominaniem. W końcu czymże jest wiedza, jak nie pamięcią o czymś, co kiedyś uznaliśmy za prawdziwe?

– Nie pomyślałem o tym w ten sposób.

– Kiedy nieśmiertelna dusza pojawia się na świecie, wie już wszystko, czego potrzebuje. Jaka to musi być wiedza?

– Nie rozumiem pytania.

– Czy dusza zna jutrzejszą pogodę?

Wie, co podadzą na obiad?

– Żarty sobie robisz?!

– Wszystko to są rzeczy ulotne, które wywierają wpływ na ciało. Jakie sprawy mają wpływ na duszę?

– Cnota. Prawda. – Pomyślałem o Deotymie. – Piękno.

– Zatem o nich musi wiedzieć dusza.

– Tak.

– Skoro zaś dusza jest nieśmiertelna, jaką cechę muszą posiadać wszystkie te rzeczy: piękno, prawda i tak dalej?

– Pewnie i one muszą być nieśmiertelne.

– A jeśli są nieśmiertelne, czy kiedykolwiek ulegną zmianie?

– Nie.

– Czy mogą ulec zmniejszeniu?

– Nie.

– Czyli wnioskując logicznie...

Odniosłem wrażenie, jakby dał mi klucz do drzwi, które od dawna próbowałem sforsować.

– Wynika z tego, że rzeczy, które rozumie dusza – piękno, dobro i prawda – muszą istnieć w jakimś kształcie, który jest nieskończony i niezmienny. – Niemal je ujrzałem oczami umysłu: istniejące w czystej formie ponad chaosem i paradoksalnością naszego świata. Absolutne standardy, które może pojąć dusza, nawet jeśli ciało podlega kompromisom.

Sokrates uśmiechnął się do mnie.

– Mam nadzieję, że dałem ci do myślenia.

– Przecież gdy umrzemy, zapomnimy o wszystkim.

– Mamy pamięć. To, co nazywamy rozumem, jest narzędziem umożliwiającym poruszanie się w głębinach pamięci – sposobem przypomnienia sobie o rzeczach zupełnie zapomnianych.

Wystarczy pierwsze wspomnienie, a rozum zajmie się resztą, krok po kroku rozpraszając mrok.

Dlatego pytanie sofistów jest fałszywe.

Nie możesz się niczego nauczyć, ponieważ już wszystko wiesz.

Zakładając oczywiście, że jesteś człowiekiem aktywnym i ciekawym, i nie stracisz wiary w trakcie poszukiwań.

– Wszystko, czego potrzebujemy, jest w nas.

Sokrates spojrział na mnie rozpromieniony.

– Właśnie.

Dotarliśmy do wierzchołka wzniesienia.

Znaleźliśmy się na wyżynie, z której rozciągał się widok na wyschniętą czerwoną

równinę otoczoną przez kolejne góry. Równiną płynęła rzeka zmierzająca do ziejącej pośrodku dziury, z której bił w niebo słup białego światła. Światło sięgało sklepienia nieba, która zaginało się wokół ziemi jak ogromna tęcza, której barwy zlały się w jedną, doskonałą światłość.

Oplatało ono niebo i ziemię niczym liny opasujące trierę. Była to najbardziej niezwykła rzecz, jaką widziałem.

Sokrates się położył i zgarnął ziemię, formując z niej poduszkę.

– Spędzimy tu noc.

Spojrzałem na słup światła.

– Czy ja śnię, Sokratesie?

Przewrócił się na bok i zamknął oczy.

– Wiesz, dlaczego sny są takie przekonujące? Ponieważ wyglądają tak jak rzeczywistość.

Nurt poniósł go w dół, wprawiając w ruch obrotowy. Przedmioty znajdujące się w wodzie uderzały w niego i ocierały skórę: jedne były miękkie i oślizgłe, inne twarde i ostre. Niektóre przywierały do skóry, wciągając go pod powierzchnię i zmuszając do stawienia oporu, inne spychały na środek strumienia, gdzie prąd był silniejszy.

Kiedy na chwilę podniósł głowę, ujrzał długi tunel oświetlony pomarańczowym, siarkowym światłem.

W górze przesuwało się żółte ceglane sklepienie. W miejscu, gdzie jego części się stykały, sterczały żelazne szczeble, zwisające jak brona nad powierzchnią wody.

Czy zostanie wyrzucony na powierzchnię? A może znalazł się w pułapce? W nieskończonym labiryncie pozbawionym środka i wylotu?

Zaczął wierzczać nogami, żeby odwrócić się twarzą do przodu. Teraz wiedział przynajmniej, dokąd płynie.

Spostrzegł zbliżającą się drabinę.

Wyciągnął rękę, ale chybił. Próbował chwycić następną. Zdołał jej dotknąć, nurt jednak odepchnął jego śliską dłoń, zanim zdążył się złapać.

A jeśli to była ona? Jeśli minął jedyną drogę prowadzącą do Lily?

Panika sprawiła, że stracił zapach.

Zniknął pod powierzchnią i udławił się ściekami.

Wypluł brudną breję, krztusząc się i wymiotując, żeby pozbyć się jej smaku.

Zauważył kolejną drabinę nadpływającą w jego stronę. Rozłożył ręce, żeby przyhamować, odczekał chwilę i rzucił się naprzód. Zacisnął palce na żelaznym szczeblu. Prąd szarpnął jego nogami, próbując go oderwać, ale on nie puścił.

Po chwili lewa ręka dołączyła do prawej. Podciągnął się. Kiedy wynurzył się z wody, wspinaczka stała się łatwiejsza. Na końcu drabiny dostrzegł żelazny właz. Gdy naparł na niego barkiem, wydarzył się cud – pokrywa uniosła się bez oporu. Nad jego głową pojawił się krąg światła.

Wypełzył na zewnątrz, żeby zobaczyć, dokąd dotarł.

Następnego ranka powlekliśmy się długim nierównym zboczem na opuszczoną równinę.

Ziemia była wyschła i spieczona, nawet w pobliżu rzeki. Nastał potworny skwar. Czerwony piasek oblepił moje stopy, ale Sokrates zdawał się tego nie dostrzegać. Gnał przed siebie, ja zaś dreptałem za nim, jak zawsze.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Czy Eufemos miał rację? Jestem tchórzem?

– Całkowicie się mylił. – Odpowiedź zadźwięczała jak pieśń, którą miałem nadzieję usłyszeć. – Nie przyszedłbyś tutaj, gdybyś nim był. Nigdy nie opuściłbyś Aten.

– Ty nigdy nie wyjechałeś z miasta.

Zignorował moją uszczypliwość.

– Jego ogólniejsza uwaga była jednak słuszna. Filozofia zajmuje się życiem.

Nie powinieneś porzucać jednego, aby zabiegać o drugie.

– Przecież sam powiedziałeś, że człowiek, któremu zależy na sprawiedliwości i pragnie długo żyć, powinien stronić od działalności publicznej.

– Myślę, że to twoje słowa.

Z pamfletu o moim procesie. Jestem pewien, że nie byłem wówczas szczególnie wylewny, ale nawet gdybym to powiedział, zapomniałeś o innych słowach. „Człowiek, który uważa się za mądrego, a lęka się śmierci, jest głupcem”.

– Nie lękałem się śmierci. Po prostu nie byłem przekonany.

– Zgodziliśmy się, że dusza jest życiem. Skoro celem filozofii jest dociekanie tego, co służy duszy, powinniśmy się zajmować także rzeczami, które są dobre dla życia.

Nawet dla życia publicznego.

– Bawisz się słowami.

– Przecież to prawda. Miasta, państwa i narody mogą być dobre i zorganizowane jak pojedyncze osoby.

Jedno wynika z drugiego. Jeśli zdołamy ustalić, co czyni ludzi dobrymi, doprowadzimy do powstania dobrego społeczeństwa.

Moje stopy wzbijały tumany czerwonego kurzu.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem był zabić syna Dionizjosa?

– Sądzisz, że trzeba było to uczynić?

– Nie.

– Pewnie uczyniłeś więcej dobra, czytając mu bajki Ezopa. Ileż mądrości kryje się w tych krótkich opowieściach!

Nie obchodziły mnie bajki.

– Jak więc mam postępować?

Mówisz, że nie powinienem stronić od codziennych spraw, a gdy próbuję czegoś do-

konać, powiadasz, że nie należy czynić złych rzeczy, których to wymaga. – Oto miałem przed sobą Sokratesa w jego najgorszej, świętoszkowatej postaci: przedstawiał mi różne możliwości, po czym je obalał, jedna po drugiej. Zapomniałem już, jaki potrafi być irytujący.

– Dlaczego zakładasz, że po wyjściu na scenę musisz wygłosić kwestie, które napisano?

Dlaczego nie dać publiczności czegoś lepszego?

– Czego?

– Co było istotą metody, której cię uczyłem?

– Eliminowanie hipotez w celu odkrycia pierwszej zasady.

– Spojrzałem nań z wyrzutem, ponieważ nie miała ona zastosowania w obecnej sytuacji. – Czuję się tak, jakbym obalił wszystkie przyjęte założenia i nie znalazł niczego, co mogłoby je zastąpić.

– Prawie dotarłeś do celu – dodał mi otuchy. – Istnieją dwa rodzaje ślepoty.

Jedna towarzyszy przechodzeniu ze światła w ciemność, druga

– z ciemności do światła.

– W którą stronę się poruszam?

– We właściwą.

– Mam nadzieję, że niebawem dotrę do celu.

Sokrates zatoczył ręką krąg, wskazując nasze otoczenie.

– Spędzamy życie w ziemnych otworach, zgromadzeni wokół bajora jak żaby wokół mokradła. To ciemne, wilgotne miejsce. Żaden z nas nie widzi wyraźnie, ponieważ nie znamy niczego innego, sądzymy więc, że tylko to istnieje.

– Do czego zmierzasz?

– Do tego, że w górze jest inny świat – prawdziwe niebo i prawdziwa ziemia

– przekraczający ułomne możliwości naszego poznania. Zadanie filozofa polega na dotarciu do górnej granicy jaskini, wytknięciu głowy na zewnątrz i ujrzaniu świata w górze.

Ogarnęły mnie wątpliwości, ale Sokrates się rozechocił, nie zdołałem więc ich wyraźnie określić. Gdy mówił, wszystko wydawało się proste.

– Prawdziwy świat, który istnieje na powierzchni, jest wspaniałym miejscem.

W słońcu wszystko błyszczy olśniewająco. Rośliny, drzewa i owoce, nawet skały są nieskończenie bardziej wyraźne niż normalnie.

Ujrzałem obraz, ale nie zrozumiałem metafory.

– Filozof nie może pozostać w raju, który odkrył. Musi wrócić na dół.

– Dlaczego?

– Ponieważ kiedy ujrzy to, co jest w górze, i gdy jego wzrok ponownie przywyknie do jaskini, będzie widzieć dziesięć tysięcy razy wyraźniej od ludzi, którzy w niej mieszkają. Dlatego zdoła pomóc bliźnim odróżnić dobro od zła, prawdę od fałszu.

– Czy mieszkańcy jaskini zechcą jego pomocy? Ateny nie były wdzięczne za twoją.
– Jeśli oddamy sprawy publiczne ludziom, którzy zajmują się nimi wyłącznie ze względu na prywatę i sądzą, że polityka zdoła odkupić ich moralne upadki, dojdzie do katastrofy.

Będą całe życie walczyć o urzędy, a konflikty, do których to doprowadzi, zniszczą rząd i państwo.

Zauważyłem zmianę osoby – przejście od formy „on” do „ty”. U kogoś innego byłaby to jedynie inna forma wypowiedzi, ale Sokrates miał obsesję na punkcie precyzyjnego wyrażania swoich myśli.

– Musisz wrócić – przypomniał delikatnie i nagle zrozumiałem, że metafora miała związek z moją osobą.

Poczułem ból w sercu, jak na plaży nieopodal Sunionu.

– Już raz cię straciłem. Nie mógłbym zostać?

Pokręcił głową. Dostrzegłem w nim pewien żal, choć jak sądzę, raczej ze względu na mnie niż na siebie.

– Musisz wrócić.

– Nie chcę. – Kopnąłem ziemię jak dziecko. – Mam wrócić do Aten, przedstawiając się jako autorytet...

w jakiej dziedzinie? Co mam im rzec?

Przecież nawet sam tego nie wiem?

Gdzie mam zacząć?

– Wszystko, czego potrzebujesz, jest w tobie. – Zaśmiał się cicho. – Cała sztuka (moim zdaniem także cała przyjemność) polega na jego odnalezieniu.

Dotarliśmy do słupa światła, który wynurzał się z potężnej szczeliny w ziemi, mającej co najmniej kilka tysięcy stóp szerokości. Rzeka, za którą podążaliśmy, wlewała się do środka, znikając nam z oczu. Po drugiej stronie szczeliny ujrzałem siną rzekę spadającą w dół nieskończonym wodospadem.

Poniżej z otworów w ścianie urwiska wytryskiwały inne rzeki.

Światło igrające w ich rozpryskach wywołało zjawisko tęczy.

Powiew wiatru ochlapał mi twarz kropelkami wody. Oblizałem wargi.

Woda była gorąca. Spojrzałem w dół rozpadliny i ujrzałem ściany pełne otworów. Przypominały okna jaskiń, które się za nimi znajdowały, jedna warstwa na drugiej, jak korytarze w kopalni.

Dostrzegłem Syzyfa toczącego głaz w górę zbocza, do krawędzi szczeliny, tylko po to, żeby stoczył się w dół. Gdyby zdołał wypchnąć go poza krawędź, w próżnię, uwolniłby się od niego na zawsze.

W innym otworze zobaczyłem Tantala skutego łańcuchami. Stał w wodzie sięgającej brody, ale nie mógł zgiąć szyi, żeby się napić, tak ciasno przywiązano go do słupa. Wi-

działem zabójców i tyranów smaganych cierniami przez dzikusów o gniewnym spojrzeniu, tratowaną kobietę z twarzą w błocie i inną, próbującą napęłnić dziurawe wiadro wodą w sicie. Na każdym poziomie w tle majaczyła potargana głowa Orfeusza rozpaczliwie szukającego żony, ale znajdującego jedynie duchy i zwidy.

Spojrzałem w górę. W słupie światła pojawiły się wirujące wstążki – jaśniejsze i ciemniejsze – powodujące, że przybrał on formę schodów.

Widziane od dołu, przypominały doskonałą trójkąt mający wierzchołek w niewyobrażalnie odległych niebiosach.

Sokrates mnie objął. Nawet w takim miejscu jego głowa sięgała tylko mojej brody. Przytuliłem go jak dziecko, choć odniosłem wrażenie, że powinno być na odwrót.

– Nie zapomnij, czego się nauczyłeś.

Wkroczyłem w światło.

Rozdział 39

Wrócił na plac Konstytucji, ale sytuacja uległa zmianie. Zawierucha, z której ocalała go Ren – rozpoczęta wiele dni lub żyć temu – trwała nadal. Wszędzie leżeli ranni i umierający, nadzy i zakrwawieni. Każdy kamień wyrwano i rzucono w inne miejsce. Gmachy otaczające plac zostały rozdarte jak koperta.

Nad pobożowiskiem rozpościerało się krwawe niebo, wybrzuszone pośrodku, w miejscu, gdzie gromadził się dym.

Rozejrzał się wokół, szukając drogi, którą mógłby się wycofać, ale pokrywa wjazdu studzienki zniknęła.

Nigdy jej nie odnajdziesz.

Nie znalazł drogi odwrotu, pewnie nigdy jej nie było. Nie pozostało mu nic innego, jak szukać Lily.

Skoro tak, zacznij jej szukać!

Usłyszał krzyk.

Odwrócił się i spostrzegł zataczającą się kobietę ściganą przez policjanta – demona z przeszłości, w masce i mundurze. Tym razem zamiast głowy płonęło całe ciało, ale języki ognia nie robiły mu krzywdy.

Smagał kobietę pejczem ukręconym z płonącego drutu kolczastego. Ludzie o wychudłych, przerażonych twarzach patrzyli na to, ale żaden nie ruszył z pomocą.

Zanim Jonah zdążył zareagować, kobieta i demon zniknęli w dymie.

Lily tu jest.

Ruszył przed siebie, w kierunku ludzi, obserwując twarze wyłaniające się z dymu. Początkowo serce biło mu żywiej, gdy kogoś zobaczył, ale później – nie potrafiłby powiedzieć, po jakim czasie – zaczął nienawidzić tych, którzy go otaczali, ich smutnych twarzy, kruchych ciał i kości widocznych pod skórą. Pragnął, żeby zniknęli, żeby zostawili go samego, ponieważ każda mająca w oddali postać oznaczała, że nie powinien tracić nadziei.

Nie zatrzymuj się – przypomniatł sobie. – Nie zapominaj.

Tam, gdzie wyrwano bruk, ukazała się ziemia, jakby plac zbudowano na pustyni, która zaczęła się powoli wyłaniać na powierzchnię. W jednym z takich miejsc ujrzał rząd głów tkwiących w piasku, jak marchewki.

Niektóre zdołały zgiąć szyję na tyle, by dotknąć językiem ziemi i zlizać znajdujące się na niej krople rosy.

W miejscach, gdzie poranili sobie język, na piasku widniały smugi krwi. Jonah chciał ich uratować, ale nie mieli ramion, gdy zaś próbował wyciągnąć jednego za uszy, spłoszyły go przeraźliwe krzyki.

Czy naprawdę byłoby lepiej, gdyby ją odnalazł? Może powinien pozwolić sobie na nadzieję, że jej tu nie ma?

Tęsknota za Lily stanie się najlepszym, najdoskonalszym wyrazem pańskiego pragnienia. Powtarzał sobie, że nie jest to prawda.

Wszedłem w krąg światła, ale nie upadłem. Światło pochwyciło mnie i uniosło jak piórko na sam wierzchołek nieba.

Spojrzałem z wysoka na wrzeczono zawieszono w słupie światła.

Osiem potężnych czasz wirowało wokół osi. Umieszczone jedno w drugim, miały różną wielkość i barwę i kręciły się w różne strony.

Ich krawędzie znajdowały się na tej samej wysokości, z góry wyglądały więc jak osiem koncentrycznych kół poruszających się nawzajem.

Wszystkie ruchome części wytwarzały muzykę, trzeba było jedynie mieć uszy, żeby ją usłyszeć. Każda wirująca czasza wydawała jedną nutę, wszystkie razem – najdoskonalszą pieśń, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Kiedy słuchałem tej muzyki, skąpany w olśniewającym białym świetle, otwarły się pory mojej duszy i do środka wlało się poznanie.

Oto rzeczy, które zrozumiałem.

Zrozumiałem czas. Odkryłem, że „było” i „będzie” to iluzja, istnieje bowiem tylko „jest”. Zrozumiałem piękno. Pojąłem, że nie zakwita ono i nie więdnie jak kobieta, która bywa nadobna w młodości i brzydka w podeszłym wieku, lub jak młodzieniec, który ma piękne oczy i krzywy nos. Piękno jest takie samo z każdego punktu widzenia, z daleka i bliska, niezależne od miary, i trwałe jak czas. Wszystko na ziemi czerpie swoje piękno ze wspólnego zasobu piękna, którego nie można powiększyć ani pomniejszyć, ponieważ jest nieskończone. Jeśli coś do niego dodasz, nie przeleje się, jeśli zaś ujmiesz, jego poziom nie opadnie.

Czasze wirowały coraz szybciej, powodując, że koła, dźwięki i barwy zlały się ze sobą. Zrozumiałem, że istnieje dobro, podobnie jak piękno, i że wszystko, co dobre na tym świecie, ma w nim swój udział. Heraklit i sofiści byli w błędzie.

Pitagoras dotarł najdalej, ale nie dość daleko. Jego liczby stanowią kolejną metaforę, która opisuje świat, ale go nie wyjaśnia. Są szkieletem wszechświata, choć nie są jego duszą.

Nasza dusza jest życiem, życie zaś nie jest i nigdy nie będzie śmiercią.

Wszystko, co musimy wiedzieć, znajduje się w nas – przychodzimy z tym na świat – ale świat jest pogrążony w chaosie, zapominamy więc, gdy przezeń przechodzimy.

Żyjemy w świecie zmysłów, stając się istotami zmysłowymi. Omylnymi, niepełnymi i przemijającymi. Jedynie gdy skupimy się na pięknie, prawdzie i dobroci – nie po-

strzegając ich za pomocą zmysłów, ale czystą myślą – na nowo odkryjemy pewną odwieczną wiedzę, która znajduje się w duszy.

Na tym polega ścieżka prowadząca do mądrości.

Nie wiedział, jak długo szedł. Chociaż słońce zniknęło, niebo nie uległo zmianie. Stracił z oczu budynki, świat odwrócił się w inną stronę. Ludzie, których mijał, spoglądali w tym samym kierunku, jak drzewa odchylone pod wpływem wiatru. Jakby w centrum znajdowało się coś, czego pragnęli uniknąć.

Usłyszał brzęk pod nogami. Spojrzał w dół. Na ziemi leżała roztrzaskana gitara: szyjka była pęknięta, luźne struny splątały się wokół podstawka, tworząc coś na kształt ptasiego gniazda. Usiadł po turecku, wziął ją do rąk i spojrział, jakby zapomniał, co to takiego. Chciał połączyć pęknięte połówki, niczym dziecko próbujące naprawić zepsutą zabawkę, ale instrument rozpadł mu się w rękach.

Rozwinął i wyciągnął jedną ze strun.

Owinął ją wokół pękniętej szyjki, przełożył przez otwór w skrzyni rezonansowej i wyciągnął przez szparę w tylnej ścianie. Zawiązał. Struna spajała części instrumentu niepewnie jak bandaż.

Założył pozostałe struny. Napiął je delikatnie, starając się nastroić gitarę.

Kiedy skończył, uderzył akord. Mroczny, pełny beznadziejności wywołanej stratą i tęsknotą.

Usłyszał w uchu szept Ren. Pamiętaj, kim jesteś.

– Kim jestem? – spytał na głos.

Zagrał kolejny akord i usłyszał odpowiedź z ust Maroussisa.

Zdefiniował pan siebie za pomocą tej jednej rzeczy: poszukiwania żony. Całe pańskie jestestwo zależy od jej nieobecności.

Coś twardego i ostrego uderzyło go w policzek.

Dotknął go dłonią i zauważył, że jest zakrwawiona. Przed nim stał płonący mężczyzna trzymający cep z drutu kolczastego.

Jonah krzyknął i odrzucił gitarę.

Związana struna puściła, a instrument rozpadł się głucho na dwie części.

Skoczył do ucieczki, czując na plecach uderzenia cepa.

Zaczęła w nim narastać pewna myśl, rozchodząc się jak muzyka w pustym pokoju. Biegł pod prąd, w przeciwną stronę niż tłum oddalający się od centrum placu. Strażnicy nawet nie próbowali go powstrzymać.

Jeśli ona będzie żyła, pan nie będzie mógł istnieć.

Przedarł się przez dym i płonącą benzynę. Przez potworne sceny, których nie zdołałby wymyślić i których nigdy nie zapomni, przez rzesze ludzi bez twarzy.

Tłum uległ przerzedzeniu, po czym znikł. Mgła zgęstniała. Biegł teraz sam, ale wiedział, dokąd zmierza.

Nagle dotarł w miejsce, które zapamiętał – do niebieskiego znaku metra wiszącego

na wygiętym słupie, okolonego przez dwa spalone, pozbawione konarów drzewa. Między nimi, pod znakiem, widniał płaski kwadratowy otwór.

Ruszył w jego stronę. Świat zadrżał, jak zardzewiałe koło, które przed chwilą zaczęło się obracać.

– Jonah!

Odwrócił się i ujrzał Lily biegnącą ku niemu przez dym. Zadrżała, gdy świat ruszył na nowo, niemal przewracając się na bruk, który zagrzecotał na ziemi.

Wejście do metra zamieniło się w koło, poszerzyło jak krąg ropy wypływający z ziemi. Budynki w oddali zaczęły się obracać.

Lily stanęła w odległości pół metra od niego. Ostrożnie wyciągnął rękę, jakby próbował złapać piórko unoszone przez wiatr. Zawahała się, nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Ich oczy się spotkały. Ich ręce się dotknęły. Palce splotły się ze sobą, ale było już za późno.

Ponownie zawisł w próżni, a jej ręka była jedyną rzeczą, która łączyła go ze światem. Spojrzał jej w oczy, próbując zapamiętać tę chwilę do końca życia, nawet jeśli pozostało mu jedynie kilka sekund.

– Kocham cię – powiedział.

Puścił jej rękę. Poczł się nieważki, gdy jego ciało osiągnęło idealny punkt równowagi między czymś i niczym, między bytem i niebytem. Po czym runął w dół.

Drzewa i budynki przestały istnieć.

Dach nieba ściągnał się i uniósł, jak pokrowiec chroniący przed kurzem, który zasłaniał świat. Dobiegły go dźwięki muzyki, głęboki jęk organów brzmiących tak, jakby nie grano na nich od wieków. Niebo zwinęło się w słup światła. Świat zniknął w wirującej pustce.

Muzyka organów ryknęła wściekle.

Jeśli ona żyje, ty nie możesz istnieć.

Spadał, wirując w powietrzu, czując szum w uszach i słysząc, jak śmieje się z niego człowiek w czarnym ubraniu.

Runął w dół...

Wrzeczono wirowało tak szybko, że barwy zlały się w białe światło, stopiły z jasnością, która je otaczała. Muzyka przyspieszyła. Wszystkie nuty stały się jedną nutą i słyszałem tylko jeden dźwięk – podstawową częstotliwość wszechświata. Równina w dole uległa zamazaniu. Chciałem skupić wzrok na czymś stałym, spojrzałem więc w stronę gór.

Góry jednak stopniały. Ciemne wstęgi spłynęły z wierzchołka i położyły się na niebie. Zahaczyły o wrzeczono i zaczęły się nawijać, ciągnąc za sobą resztę świata. Góry stały się płaskie, równina pękła. Nici rzeczywistości przelatowały w powietrzu, nawijając się na drążek wrzeczona – migając morskim błękitem, złotem, bielą śniegu, każ-

dym kolorem żywszym i piękniejszym od tego, jaki kiedykolwiek widziałem.

Zacząłem spadać. Czasze wirowały w odległości kilkunastu centymetrów ode mnie – gdyby mnie wciągnęły, zostałbym rozerwany na strzępy, rzucony w niebyt – jakimś sposobem nie zdołały jednak tego uczynić, ponieważ byłem osią, wokół której się obracały. Byłem punktem środkowym, centrum okręgu, cały wszechświat znajdował się w zasięgu moich ramion.

Nagle rozbłysło białe, czyste światło i niebiosami wstrząsnął grzmot, później światło zniknęło i pogrążyłem się w ciemności.

Rozdział 40

A teraz wyobraź sobie człowieka, którego wloką stromym i skalistym zboczem, siłą wyciągając na światło.

Czy nie doświadczałby on bólu i nie czułby się zagubiony?

W miarę zbliżania się do światła jego wzrok stałby się przyćmiony i nie zdolaby dostrzec niczego z nowej rzeczywistości.

Platon, *Państwo*

Upadł tak ciężko, że siła uderzenia otworzyła mu oczy. Leżał w ciemności na twardej posadzce. Ciemności nie były jednak zupełne.

W pobliżu dostrzegł słabe czerwone światełko, które wystarczyło za sygnał, że nadal żyje.

Poruszył ramieniem, żeby sprawdzić, czy ma nad nim władzę. Później zrobił to samo nogą. Zeschnięte błoto odpadło od skóry, kiedy zgiął staw. Wstał i uniósł rękę.

Wyczuł kamienne sklepienie kilkanaście centymetrów nad głową. Skała pod palcami była ciepła.

Ruszył w kierunku światła, odgarniając kolumny, jakby płynął.

Niemal do niego dotarł, kiedy trącił coś nogą. Nie była to skała, ale jakiś miękki, plastyczny przedmiot. Coś, co jęknęło pod wpływem dotknięcia.

Coś ludzkiego.

Stanął nad nim i schylił się w poszukiwaniu światła. Czołówka.

Odnalazł włącznik. Czerwona poświata zamieniła się w biały snop przecinający ciemności.

Adam leżał na wznak z ramionami złożonymi na piersi, jak ciało wystawione do oględzin. Wydawał się spać, ale jego oczy były szeroko otwarte, a źrenice rozszerzone do krawędzi tęczówki.

Jakby chciały uchwycić najmniejszy okruch światła w mroku.

Jonah rozejrzał się wokół. Przez las kolumn dostrzegł zarys kwadratowej kamiennej sali, do której prowadziła para schodów. Przy jednych z nich zauważył błotnistą sadzawkę, w której spoczywał jakiś parujący kształt.

Jak długo spałem?

Socratis Maroussis i jego syn zastygli na posadzce obok Adama.

Byli pogrążeni w transie, leżąc z szeroko otwartymi oczami.

Twarz Ariego wykrzywił gniewny grymas, twarz jego ojca zamarła w wyrazie przerażenia.

W odróżnieniu od nich Adam, być może pierwszy raz w życiu, wyglądał na doskonale szczęśliwego.

Posadzka zadrżała.

Po sali przetoczyło się basowe dudnienie przypominające odgłos nisko lecącego samolotu. Kolumny się poruszyły.

Ogarnęła go rozpacz. Czy był to kolejny poziom snu? Zamarł, oczekując, że świat się rozsypie, roztopi w nowej rzeczywistości i ciśnie go z powrotem na ateński plac Konstytucji. Albo jeszcze gorzej.

Dygotanie ustało, ale hałas pozostał.

Przypominał teraz dźwięki, które można czasem usłyszeć w kinie – odgłosy eksplozji dobiegające z sąsiedniej sali.

Jestem pod wulkanem. Musiał się wydostać na powierzchnię, ale nie mógł wrócić drogą, którą przyszedł.

Podwójne schody, jedno nie do przebycia.

Ponownie omiótł salę światłem czołówki. W jednej ze ścian spostrzegł kamienną framugę, w której mogły znajdować się drzwi, ale zostały zablokowane przez język bazaltu, który spłynął podczas poprzedniej erupcji.

Oprócz drzwi jedynym wyjściem były schody. Spojrzał na te po drugiej stronie, naprzeciw korytarza, którym wpełzł do środka. Schody wydzielają siarkowy odór rozkładu, ale po długim przebywaniu w jaskini Jonah prawie go nie wyczuł.

Zszedł dziesięcioma stopniami.

U dołu znajdowała się sadzawka wypełniona mętną wodą o białym, mlecznym odcieniu, liżącą stopnie i odbijającą snop latarki. W górze wznosił się kamienny szyb, stanowiący zwierciadlane odbicie szybu, którym runął w błoto. Z jedną podstawową różnicą.

Przy ścianie zwisały liny, dwie błękitne liny wspinaczkowe, opadając do wody niczym węże. Oświetlił je latarką i spostrzegł skalną półkę przypominającą wejście korytarza.

Usłyszał kolejny huk, głośniejszy od poprzedniego. Lustro sadzawki pokryło się zmarszczkami. Na powierzchni ukazały się bąbelki. Zanurzył palec w wodzie, zastanawiając się, czy pływanie w niej jest bezpieczne.

Ponownie spojrzął na liny. Adam, Ari i stary Maroussis musieli się tu dostać górnym tunelem. Opuścili się na linach, przepłynęli sadzawkę i dotarli do stopni.

Powrót ich śladem wydawał się prosty.

Czy o kimś nie zapomniałeś?

Poczucie winy sprawiło, że na chwilę skamieniał. Później wbiegł po stopniach do jaskini, rozpaczliwie oświetlając wnętrze w poszukiwaniu Lily. Przeszedł obok Ada-

ma, Maroussisa i Ariego, którzy ciągle spali. Minął zablokowane drzwi i las kolumn.

Miejsce, którego szukał, znajdowało się tam, gdzie zaczął. Obok odciśniętego w błocie kształtu spoczywał mroczny cień, tak blisko, jakby widział podwójnie. Kiedy jednak oświetlił go snopem latarki, cień się poruszył.

Lily skuliła się w kręgu światła, jak w niezliczone poranki. Błoto oblepiało całe ciało z wyjątkiem oczu, które wpatrywały się martwo w posadzkę.

Leżała obok niego, kiedy spał.

Jonah uklęknął. Tylko mi nie zniknij – modlił się. – Nie wiem, w jakiej rzeczywistości się znajduję, ale, błagam, zostań ze mną tak długo, żebym mógł cię dotknąć.

Poślinił palec, próbując usunąć trochę błota z twarzy. Poczuł ją. Jej skóra nie była chłodna i blada jak we śnie, ale ciepła i opalona słońcem, ze zmarszczkami uśmiechu w okolicy oczu i ust. Pochylił się i ją pocałował.

Posadzka zadrżała.

Delikatnie potrząsnął jej ramię, a gdy nie zareagowała, zrobił to mocniej.

Oczy pozostały jednak nieruchome.

Położył się, otulając ją własnym ciałem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale spostrzegł, że jej ucho jest zaklejone błotem.

Usłyszał kolejny łoskot. Ze stropu posypał się kurz. Zasłonił jej oczy dłonią.

Zaśpiewał jej. Dźwięk wydobył się z trudem przez spieczone gardło. Suche wargi nieporadnie formowały słowa, ale nucił dalej. Śpiewał piosenkę, którą dla niej napisał, i piosenki, które zamierzał skomponować w przyszłości.

Nasłuchiwał łoskotu pękającej góry, przytulając ją mocniej.

– Kocham cię – wyszeptał.

Zamrugnęła powiekami, drgnęła i przewróciła się na bok.

– Jonah?

Kiedy otworzyłem oczy, światło zgasło.

Znajdowałem się w ciemności. Leżałem na ciepłej twardej posadzce. Bolały mnie wszystkie mięśnie, skóra mrowiła na wspomnienie złotego snu.

Zamknąłem oczy, starając się go przywołać. Zastanawiałem się, czy gdybym zasnął, ponownie znalazłbym się z Sokratesem w wirze światła, upajając się tajemnicami wszechświata.

Czułem jednak, że wspomnienia zaczynają się cofać jak fala przyływu.

Przyprawiło mnie to o rozpacz.

Jaskinią wstrząsnął łoskot.

– Obudź się! – Usłyszałem głos szepczący do ucha.

Nie możesz tu zostać. Musisz wrócić.

Ponownie otworzyłem oczy. Deotyma pochyliła się nade mną. Nie mogłem jej zobaczyć, ale czułem jej oddech na wargach.

– Jak się tu znalazłaś?

– Musimy uciekać.

Jej ręka chwyciła moją i dźwignęła mnie z podłogi. Jak długo spałem?

Ziemia drgnęła ponownie, ze stropu posypał się kurz. Wnętrzem jaskini wstrząsnęło echo przypominające wycie wiatru na szczycie góry. Deotyma prowadziła mnie za rękę przez las kolumn z nieomylnością osoby, która widzi w ciemności.

– Schyl się – ostrzegła.

Podniosłem rękę i namacałem nad głową płaski, ręcznie obrobiony kamień.

Ściany wokół mnie się skurczyły.

Znajdowałem się w tunelu – wąskim korytarzu biegnącym w poprzek góry.

W oddali dostrzegłem plamę światła.

Była wielkości igielnego otworu, ale powoli rosła. Nie wiedziałem, czy rzeczywistość kolejny raz się nie rozpadnie i ze światła nie wyjdzie Sokrates, żeby wprowadzić mnie do snu.

Przede mną nie było jednak nikogo z wyjątkiem Deotymy.

Tunel piął się stromo. Światło się przybliżyło.

Miało dziwne sine zabarwienie, jakby prześwitywało przez wodę.

– Zamknij oczy – powiedziała Deotyma.

Usłyszałem stuknięcie i szuranie, kiedy przeciskała się do tyłu. Oparła dłonie na moich plecach i pokierowała naprzód. Wykonaliśmy ostry zwrot na rogu i nagle moją twarz ogarnęło ciepło – nie było to jednak stęchłe powietrze pochodzące z wnętrza jaskini, było to bowiem powiew ogrzany bezpośrednim żarem słońca.

Otworzyłem oczy i oślepiłem ponownie.

Pragnął obejmować ją całą wieczność, ale kolejny łoskot dobiegający z wnętrza góry podpowiedział, że nie zostało wiele czasu.

– Możesz iść? – zapytał.

Lily wstała, chwiejąc się jak nowo narodzony cielak.

– Gdzie jestem?

– Tam, gdzie wolałabyś nie być.

Objął ją w talii i przeprowadził przez salę. Nie tak to sobie wyobrażał – nie było wybuchów radości, nie mieli nawet czasu, żeby nacieszyć się zwycięstwem.

Chodziło tylko o to, żeby przeżyć.

Lily spojrzała w dół, kiedy snop czołówki przesunął się po śpiących postaciach.

– Czy to Adam?

Jonah pociągnął ją za sobą i sprowadził schodami do mlecznobiałej sadzawki. Zwisające liny zakołysały się w nieistniejącym powiewie. Gdyby zdołał je zatrzymać siłą wzroku, mógłby odnieść wrażenie, że to góra się kołysze.

– Dasz radę płynąć?

Na pokrytych błotem ustach ukazał się grymas przypominający uśmiech.

– Mogę płynąć, ale wspinalczka...

Zanurzyli się w wodzie i przepłynęli na drugą stronę, dysząc z gorąca. Jonah związał pętlę na końcu jednej z lin i owinał nią Lily. Później chwycił drugą i zaczął się wspinać. Para powodowała, że nylon był śliski. Wysoka temperatura pozbawiła go sił w stopniu, który uznaliby za niemożliwy. Kilka razy stracił chwyt i się ześlizgnął, czując pieczenie dłoni, ale bardziej od oparzenia bolały go stracone centymetry.

W końcu dotarł na górę, ale nie było czasu na odpoczynek. Dźwięk w tle uległ zmianie – stał się głębszy, bardziej gniewny.

Opasał się liną, żeby wykorzystać efekt dźwigni, następnie przechylił się do tyłu i zaczął ciągnąć.

Mokre ubranie sprawiło, że Lily była ciężka. Lina otarła mu dłonie do żywego. Zagryzł zęby i ciągnął dalej.

Ciągnął jedną bolącą dłonią po drugiej, aż wydostał Lily na górę.

Położył ją na półce. Zdrętwiałymi palcami zaczął rozsypywać wilgotną linę, ale po chwili zrezygnował i po prostu zsunął z niej pętlę. Opierając się na sobie, pokuśtykali korytarzem i dotarli do posągu o trzech twarzach, strzegącego rozwidlenia dróg.

Pomarszczona starucha posłała im spojrzenie.

– To prawa ścieżka – zdał sobie sprawę Jonah. – Obaj skończyli w tym samym miejscu.

Ruszyli w dół korytarza za światłem czołówki. Minęli czarną sadzawkę strzeżoną przez boginię i ruszyli w górę.

Huk stał się tak nieprzerwany, że Jonah prawie go nie słyszał.

Światło latarki zaczęło słabnąć. Jonah stuknął czołówkę, ale w tej samej chwili zrozumiał, że jej snop zbladł z powodu światła, które pojawiło się przed nimi.

Byli niedaleko wyjścia, kiedy Jonah poczuł dym.

Już nie potrzebował latarki. Ściągnął ją z głowy i odrzucił. Stał pod wejściem

– kwadratowym oknem otwartym na świat – i spojrzał w górę.

Ujrzał czerwone niespokojne niebo, jak to nad placem Konstytucji.

Co to za świat? Co zastanie na górze?

Objął Lily, przerażony, że ją utraci.

– Nie pozwolę ci odejść

– powiedział. – Niezależnie od tego, co tam jest.

Uśmiechnęła się z trudem.

– Ani ja.

Zrobił schodek z dłoni, żeby ją podsadzić. Kiedy postawiła stopę, uniósł chwiejącą się Lily do światła.

Była za słaba, żeby się podciągnąć i przeleźć przez otwór, musiał ją więc wypchnąć tak, że runęła na ziemię. Po chwili podciągnął się za nią.

Obraz, który ujrzał, przypominał stary świat, który pamiętał. Wyblakłe białe kamienie odkopanej świątyni i bazaltowe ściany wykopu. Lily zaczęła się wspinać po meta-

lowej drabince.

Ruszył tak szybko, że niemal ją przewrócił, kiedy dotarł na górę.

Lily stanęła, spoglądając na Etnę i osłaniając oczy przed słońcem.

W ich stronę sunął język czerwonej lawy.

Usiadłem na górze, kryjąc twarz w dłoniach. Czułem się tak, jakby błyskawica roz-
płatała mi czaszkę, wypaliła mózg. Z moich niewidzących oczu kapały łzy.

– Oślepiłem.

– Odzyskasz wzrok – powiedziała Deotyma.

– Nie mogę wrócić do jaskini? – Nagle zateśkniałem za wygodną ciemnością, zamar-
zyłem o tym, żeby powrócić do snu i jeszcze raz usłyszeć odwieczną muzykę. Zdawało
mi się, że przez szum w uszach słyszę słabe echo podstawowej nuty łączącej w sobie
wszystkie harmonie.

Nie możesz tu zostać.

Ziemia zadrżała pode mną. Nagle zdałem sobie sprawę, że skała, na której siedzę,
jest gorąca, a huk dobiegający z oddali nie jest muzyką wszechświata, ale gniewnym
rykiem przypominającym wycie zranionego giganta.

– Co to takiego?

– To wulkan – odrzekła spokojnie Deotyma. – Wybuchnął.

– Zginiemy?

– Tak, jeśli tu zostaniemy.

Mimo wszystko zostałem, gdyby śmierć pozwoliła mi powrócić do snu.

Później przez huk, muzykę i szum w uszach usłyszałem głos. Nie był to głos Sokrate-
sa ani Deotymy, ale – ze wszystkich ludzi – Eufemosa.

Kiedy filozofowie medytują w górach, kreśląc trójkąty, my przebywamy na dole, w
salach sądów i zgromadzeń, zmagając się z problemami prawdziwego życia.

Odnalazłem rękę Deotymy i pozwoliłem, żeby sprowadziła mnie w dół.

Lawa spływała z góry. W promieniach słońca nie wyglądała imponująco – przypo-
minała błotnistą maź koloru skały, z małą pomarańczową obwódką zdradzającą tempe-
raturę panującą we wnętrzu. Naukowcy powiedzieliby, że emituje dużo światła, ale
głównie w paśmie ultrafioletu niewidocznym dla ludzkiego oka, pirotechnicy przyskli-
by zaś po zapadnięciu zmroku.

Lawa sunęła powoli, jak skalna fala nakładająca się na siebie, wypełniając każdą ja-
skinię i szczelinę, która stanęła na jej drodze. Dotarła do dwóch stożkowatych wzgórz i
przesunęła się między nimi, nieomylnie wybierając drogę stawiającą najmniejszy opór.

Drzewo runęło i stanęło w płomieniach.

Namiot zamienił się w popiół.

Świątynia legła w gruzach. Zbiornik z benzyną eksplodował, wyrzucając fontanny
lawy. Przez dym i czas ukazały się cienie postaci uciekających przed roztopioną skałą

– Orfeusza o zmierzwionych włosach z żoną uwieszoną na ramieniu, zapaśnika o

szerokich barach, potykającego się jak starzec, i lekkonogiej bogini sprowadzającej go w dół.

Żyjemy między górami i morzem, niewzruszoną prawdą i wiecznie skłębionymi falami.

Bawimy się u podnóża gór, rzadko ryzykując wspinaczkę. Ponieważ góry są zbyt potężne, zbyt trwałe, żeby je pojąć.

Ale i góry czasami się zmieniają.

Kamień się topi, skały zaś zaczynają płynąć jak woda, stopione przez żar rodzącego się nowego świata.

Rozdział 41

*To wszystko wydarzyło się podczas mojego pierwszego pobytu na Sycylii.
Osobiście brałem w tym udział, po czym wróciłem do domu.*

Platon, *List VII*

Wyobraźcie sobie jaskinię, w niej zaś ludzi – wszyscy z obrozą na szyi i w łańcuchu tak ciasnym, że nie mogą się poruszyć ani nawet odwrócić głowy.

Za ich plecami płonie ognisko, którego nie są w stanie zobaczyć, przed ogniem tańczą kukiełki. Więźniowie widzą jednak tylko cienie rzucone na kamienną ścianę.

Siedzą tak całe życie i myślą, że cienie to rzeczywistość. Skąd bowiem mogliby wiedzieć, że jest inaczej?

Przypuśćmy, że jeden z nich rozerwie obrozę i ucieknie – wstanie, odwróci się i pojdzie do ognia. Zostanie oślepiiony. Ujrzy kukiełki, ale nie będzie wiedzieć, czym są. Weźmie je za iluzję, ponieważ świat cieni – jedyna rzeczywistość, którą zna – nie potrafi wyjaśnić ich istnienia. Zamknie oczy i wróci na swoje miejsce, zapnie obrozę na szyi i nigdy więcej się nie obejrzy.

A jeśli będą tam strażę, które chwycą go za ręce, zaciągną do stromego wyjścia jaskini i wypchną na światło?

Co się wówczas stanie? Zostanie oślepiiony. Będzie odczuwać ból tak wielki, że pomyśli, że strażnicy wypalili mu oczy rozżarzonymi węglami.

Później jego oczy zaczną się oswajać, powoli i boleśnie. Zacznie rozpoznawać cienie na ziemi, ponieważ wyglądają znajomo, choć są tysiąc razy ostrzejsze i żywsze od obrazów, które oglądał w jaskini. Następnie przejdzie do obrazów odbitych w wodzie, na koniec do samych rzeczy – skał, drzew i zwierząt – które wydadzą mu się tak piękne i rzeczywiste, że nie będzie mógł uwierzyć, że przeżył całe życie, nie wiedząc o ich istnieniu.

Na koniec zdobędzie się na odwagę i spojrzy w górę. Najpierw na gwiazdy i księżyc, później – na sam ostatek – na słońce, takim, jakie jest.

I wtedy pozna prawdę.

TURIOJ

Świat wydawał się inny pod koniec tamtego lata. Z pól zebrano pszenicę.

Niektóre zagony zbieleły od popiołu po wypaleniu ścierniska. Na innych grupki

chłopów orały ziemię, przygotowując ją pod nowy zasiew. Persefona rozpoczęła wędrówkę do podziemnego świata. Ja również wyruszyłem w powrotną drogę.

Usiadłem przy trakcie na zboczu grobli, spoglądając na mokradła.

W nieruchomej wodzie odbijało się niebo. Pod powierzchnią majaczyło zatopione miasto pogrążone w głębokim grobie. Powiew przyniósł melodię wygrywaną na lirze.

Odwrociłem głowę, starając się zmienić kierunek wiatru, aby dźwięki ucichły. Nie potrafiłem już słuchać muzyki. Po pieśni, którą usłyszałem w jaskini, wszystko brzmiało jak wrzask dziecka.

– O czym myślisz? – zapytała Deotyma, siadając obok mnie.

– O tym co zawsze.

Zeszliśmy z góry miesiąc temu. Kiedy się upewniłem, że jesteśmy bezpieczni przed wulkanem i ludźmi Dionizjosa, padłem na ziemię. Z podróży pozostały mi jedynie niewyraźne, mętne obrazy: wóz, miasto, szybki statek, później duży dom w Turioj. Nie opuszczałem go, jak ptak w klatce – zbyt słaby, żeby go opuścić, i zbyt przerażony, żeby zobaczyć się z moim przyrodnim bratem.

Mogłem jedynie myśleć o jaskini.

W chwilach czuwania odtwarzałem wszystko bez końca, jak aktor uczący się roli, we śnie marzyłem zaś o niej tak często, że nie wiedziałem już, czy to jawa czy sen. Czułem się podobnie po śmierci Sokratesa. Goście wyszli, lampy zgasły, a ja zostałem sam w pustej izbie.

Właściwie sam byłem tą pustą izbą.

Różowe niebo nadało miękkość skórze Deotymy. Suknia się zsunęła, obnażając jedno z ramion. Pragnąłem je pocałować, ale nie śmiałem. Od czasu Etny dotykała mnie jedynie jak opiekunka. Nauczyła się mnie unikać.

Pewnej nocy poszedłem do jej pokoju, ponieważ nie mogłem dłużej tego zdzierżyć. Nie zastałem jej w łóżu.

Intymność, która łączyła nas w Syrakuzach, na zawsze zniknęła.

O tym również śniłem.

– Zastanawiałem się nad czymś, co mi powiedział Sokrates. Że zadaniem filozofa jest dotarcie do granic świata zmysłów i przebicie się do rzeczywistości, która istnieje poza nim.

Deotyma skinęła głową.

– Kiedy byłem w domu Archytasa, gospodarz dał mi do rozwiązania zagadkę. Człowiek dociera do granicy wszechświata i próbuje wytknąć rękę na zewnątrz. Jeśli mu się uda, poza granicą istnieje przestrzeń, nie dotarł więc do granicy prawdziwej. Jeśli zaś nie zdoła tego uczynić, coś blokuje mu drogę, ponownie zatem nie znalazł się u prawdziwego kresu.

– To paradoks.

– Czyż nie zaprzecza on słowom Sokratesa? Czy w ogóle można wyjść poza granicę

tego świata?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, na czym polega siła paradoksu? Na tym, że rozum potrafi dotrzeć jedynie do pewnego punktu, później zaś zaczyna się plątać.

Nad mokradłami rozległ się krzyk żurawia, unosząc się nad wodą jak lament. Podniosłem głowę i ujrzałem zachodzące słońce. Zmrużyłem oczy.

Nadal mi łzawiły, kiedy przebywałem za długo na zewnątrz. Około południa pojawił się znajomy pulsujący ból w czaszce i trwał dopóty, dopóki nie poszedłem spać.

Wbiłem palce w wilgotną ziemię skrywającą tajemnice znane jedynie robakom.

– Czy będę mógł wrócić do jaskini?

– Tak jak poprzednio, nie. Nie w tym życiu.

– Nie wiem, czy zdołam wytrzymać.

– Tak będzie lepiej – odrzekła. – Jaskinia to niebezpieczne miejsce, nawet dla wtajemniczonych.

Pamiętasz Timajosa?

Pamiętałem.

Nie zapomniałem brudnego, bełkoczącego szaleńca przesiadującego w krużgankach świątyni w Lokrach. Mimo tego, co widziałem, upłył długi czas, zanim zdołałem zapomnieć jego zapadnięte, wypalone oczy.

– Timajos także odnalazł jaskinię.

Spędził w niej dwa lata. Kiedy wrócił, świat jaśniał tak mocno, że nie mógł tego znieść. Wypalił sobie oczy, żeby go nie oglądać.

Usłyszałem westchnienie, choć może był to tylko powiew wiatru na wodzie.

– Człowiek może znieść jedynie określoną ilość prawdy.

– Co się stało z Agatonem? – zapytałem. – Czy on również wszedł do jaskini?

– Próbowałam go ostrzec, ale nie posłuchał.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Chciałam ci tego oszczędzić. Gdyby Dionizjos się zorientował, że wiesz...

Wyczułem palcami wybrzuszenie pod tuniką, w miejscu, gdzie wisiało pudełeczko z tabliczką.

– Rzeczy, które widziałem... Czy były prawdziwe?

– Były obrazem.

– Wydawały się bardziej rzeczywiste od wszystkiego na tym świecie.

W moim głosie zadźwięczała tęsknota. Deotyma spojrzała na mnie surowo.

– Jaskinia jest oknem. Możesz przez nie spojrzeć, ale nie możesz dostać się do środka. Musisz znaleźć inną drogę.

– Gdzie?

– Jak – poprawiła mnie.

– Jak?

W odpowiedzi otrzymałem jedynie niecierpliwe spojrzenie, sugerujące, że już znam odpowiedź.

Ja: Co było podstawą metody, której cię uczyłem?

Ja: Eliminowanie hipotez w celu odkrycia pierwszej zasady.

Ale co dalej? W jaskini zszedłem do samego fundamentu wszechświata.

Dokąd jeszcze miałem się udać?

Istnieją dwie drogi – powiada Parmenides...

Sofiści niestrudzenie zadają pytania, żeby złamać ludzi i pomieszać im w głowie. W pewnym sensie Sokrates był winien tego samego, tylko na bardziej fundamentalnym poziomie.

W ciągle zmieniającym się świecie Heraklita nic się nie ostoja przed bacznym spojrzeniem. Za każdym razem gdy ci się zdaje, że dotarłeś do dna, okazuje się, że to zapadnia, która zrzuca cię jeszcze bardziej w dół.

Teraz wiedziałem jednak, że dno istnieje. Że istnieją dół i góra.

Widziałem słup światła wznoszący się do nieba i wewnętrzną spiralę tworzącą szczeble gigantycznej drabiny. Można się było po niej wspiąć, choć była to trudna, mozolna wędrówka. Krok po kroku, aż dotrze się na sam szczyt. Kiedy jednak już się tam znajdziesz, widok okaże się wart włożonego wysiłku.

Nie mogłem uczynić tego sam.

Rozmowa wymaga partnera.

Wyciągnąłem rękę do Deotymy.

– Pojedź ze mną do Aten.

– Nie mogę.

– Pewnie, że możesz.

– Po co? Żeby zostać twoją żoną?

Zamkniętą w pomieszczeniach dla kobiet, zajętą tkaniem i opieką nad dziećmi? Czy takie masz o mnie zdanie?

– Moglibyśmy żyć razem, jak równi.

Jak Perykles i Aspazja.

– Nie opędzilibyśmy się od plotek.

– W takim razie zostanę tutaj. – Dopiero teraz o tym pomyślałem, ale wyrzekłem to szczerze, całą duszą. – Kocham cię.

– Musisz wrócić.

– Kocham cię – powtórzyłem, jakby był to argument.

Uśmiechnęła się niczym sfinks.

– Zapomniałeś, co ci powiedziałam.

Ludzka miłość to jedynie pierwszy krok do poznania. Już go uczyniłeś.

– Nie chcę wyjeżdżać.

– Co jest prawdziwym celem miłości?

- Nieśmiertelność
- odrzekłem znużonym głosem.
- Dla większości ludzi miłość jest jedynym sposobem zakosztowania nieśmiertelności duszy, ale ty widziałeś więcej. Nie byłbyś zadowolony, nie powinieneś być.

– Chcę z tobą zostać.

– To niemożliwe.

Może miała słuszość, ale znienawidziłem ją za to. Nagle wstałem i zerwałem medalion. Chciałem się od niego uwolnić raz na zawsze, i od złotej tabliczki, która znajdowała się w środku.

Deotyma wyciągnęła rękę, ale nie zamierzałem jej go dać. Chwyciłem łańcuszek i zakręciłem nad głową.

Pudełeczko zaszumiało w powietrzu.

– Jeśli wyrzucisz tabliczkę, ktoś ją odnajdzie – ostrzegła, choć nie miała zamiaru mnie powstrzymać, jakby już wiedziała o wszystkim, co się stało. Że któreś nocy, obłąkany wspomnieniami, sięgnąłem po igłę i wyryłem własne słowa w pustym miejscu złotej blaszki.

Żeby nie poszło w zapomnienie wszystko, czego doświadczyłem.

Zszedłem do łona Bogini, tam, gdzie stugłowy Tyfon rozdarł ziemię. Obok wyryłem zaś rysunek z księgi Timajosa – dwa trójkąty połączone łukiem.

Wypuściłem łańcuszek. Pudełeczko poszybowało w wieczornym powietrzu i zniknęło na mokradłach, czyniąc małą zmarszczkę na odbiciu nieba.

LONDYN

Van z napisem Kościół Odkupiciela w South Peckham dotarł do kresu swojej podróży o godzinie piętnastej w ciepłe wrześniowe popołudnie. Na liczniku przybyło dwa tysiące czterysta kilometrów, ale nikt nie wiedział, ile razy go wyzerowano, nie miało to więc większego znaczenia.

Jonah wysiadł i zszedł do mieszkania w piwnicy. Zawołał, żeby uprzedzić swoje przybycie.

Alice zostawiła zapasowy klucz pod doniczką.

Przekręcił go, otworzył drzwi... i znieruchomiał.

W środku było słyhać muzykę.

Stał na wycieraczce i zaglądał do środka, ciekaw, co znajdzie.

– Umieram z pragnienia

– powiedziała Lily, stając za jego plecami. Przepchnęła się obok niego i weszła do salonu.

Mieszkanie było w takim stanie, w jakim je zostawił: puszki piwa na podłodze, butelka wódki i miseczka płatków śniadaniowych na stole, gitara w kącie i stojak z płytami CD przy ścianie. W kuchni grało radio. Tom Petty i zespół Heartbreakers śpiewali,

że się nie poddadzą. Musiał zostawić je włączone.

Lily nalala szklankę wody i wyłączyła odbiornik. Jonah obszedł mieszkanie, zbierając listy, które nadeszły, i sprząając bałagan. Nadal nie odzyskał całkowitej równowagi. Powrócili do nowego świata i musieli poznać się na nowo. Jakby sięgnęli po książkę, której dawno nie czytali i nie pamiętali jej tak, jak myśleli.

Zadzwoił telefon. Przypomnił sobie o rozpaczach pustych godzin, kiedy siedział tu samotnie, błagając, żeby telefon zadzwonił. Teraz spojrział na niego z niechęcią i zignorował.

– Odbierz – powiedziała Lily. – Muszę wziąć prysznic.

Poszła do łazienki. Jonah niechętnie podniósł słuchawkę.

– Wróciłeś.

Głos Ren wywołał w nim mieszane emocje. Przez pewien czas była jego jedynym przyjacielem na świecie – zawdzięczał jej wszystko – a teraz nie wiedział, co powiedzieć.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Fundacja Eikasia wydała oświadczenie, że Socratis Maroussis i Ari Maroussis utonęli, gdy ich jacht poszedł na dno u wybrzeży Sycylii.

Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

– Niekoniecznie, ale dziękuję.

Znaleźli Ren w namiocie, z kostkami i nadgarstkami skrępowanymi plastikowymi zapinkami. Ochroniarze uciekli.

Richard zniknął.

Obóz opustoszał. Jonah przeciął zapinki, przerażony językiem lawy, który sunął w kierunku obozu.

Lily była ledwie przytomna. Miała zamknięte oczy i płytki oddech, ale coś bełkotała. Jonah przysunął ucho, żeby ją usłyszeć przez ryk wulkanu.

– Adam...

Odwrócił się, ale lawa wlewała się już do środka wykopu i sunęła w kierunku wejścia do korytarza.

– Za późno.

Zwlekli się ze wzgórze. Jonah niemal niósł Lily. Kiedy dotarli do drogi, zatrzymali samochód i wezwali policję, ale Etna nadal grzmiała, nikt więc nie posłałby zespołu ratunkowego na pole świeżej lawy.

– On śpi. Niczego nie poczuje – powiedział jej Jonah.

Lawa musiała zalać otwarty korytarz i sięgnąć przynajmniej do rozwidlenia.

Pomyślał, że nie przedostanie się przez błoto i wodę do jaskini. Że Adam będzie mieć dość powietrza, aby przeżyć przez kilka godzin, może nawet dni. Dłużej, jeśli w skale były szczeliny, którymi powietrze mogło się dostawać do środka.

Pomyślał o Adamie śpiącym jak dziecko. O głębokim spokoju malującym się na jego

twarzy. Czy w ogóle się obudzi? A może po prostu zgaśnie, wolno przechodząc do wieczności?

Czasami mu zazdrościł w egoistycznym zakamarku duszy – wyruszył w podróż i nie wrócił, nie musiał więc uczestniczyć w konfrontacji z kawałkami rozbitego świata – ale kiedy spojrzął na Lily, wiedział, że jest na właściwym miejscu.

– Dasz sobie radę? – zapytał.

– Tak.

Ucieszyła go pewność pobrzmiwiająca w jej głosie. Odnalazł Lily, ale wiedział, że sprowadzenie jej z powrotem będzie wymagać czasu. Nie zapomniał o tym, że kobiety z dawnych opowieści, które wróciły z podziemnego świata, nigdy nie były takie jak kiedyś.

W oczach Lily malował się ból, który nie osłabł, choć na to liczył. Przerывała w pół zdania lub odpływała myślami, kiedy do niej mówił. W nocy budził go jej krzyk. Trzymała się go kurczowo, jakby jakaś ogromna fala chciała ją zabrać. Tulił ją całymi godzinami i śpiewał, żeby zasnęła.

– Czy cię jeszcze zobaczę? – zapytał Ren.

Był przekonany, że zaprzeczy. Zjawiła się w jego życiu nie wiedząc skąd, uznał więc, że zniknie w ten sam sposób.

A jednak go zaskoczyła.

– Nadejdzie taki dzień.

Rozłączyła się. Lily wyszła z łazienki owinięta białym ręcznikiem sięgającym ud. Jej skóra była wyszorowana do czysta, mokre włosy były zaczesane do tyłu. Odniósł wrażenie, że jej oczy odzyskały odrobinę dawnego blasku.

Pocałowała go.

– Potrzebuję świeżego powietrza.

Ruszyli do tylnych drzwi. Jonah się zawahał, ale Lily śmiało przekroczyła próg i wyszła na podwórko. Idioto – powiedział do siebie, ale czasami trudno się otrząsnąć ze snów. On również potrzebował czasu.

Usiedli razem na brzegu rzeki i patrzyli na przepływającą wodę. Objął ją ramieniem, ona oparła głowę na jego barku. Byli jak dwie połowy jednej całości. Żadne się nie odezwało, ponieważ nie musieli niczego mówić.

Wspólnie przeżywali chwilę wieczności, której nie można opisać słowami.

ATENY

Gaj został nazwany imieniem Akademos, starożytnego bohatera, który pomógł ocalić Helenę porwaną przez Tezeusza (niewiele jej to pomogło, ponieważ gdy tylko wróciła do domu, uprowadzili ją Trojanie). Na terenie ogrodzonym niskim murem rosły cisy i topole w otoczeniu sękatych drzew oliwnych poświęconych Atenie. Między nimi stał gimnazjon z kolumnadą, z której rozciągał się widok na tory biegowe i piaskowni-

ce.

Znowu przyszło lato. Moja podróż powrotna z Italii nie obyła się bez komplikacji, ale w końcu dotarłem do domu. Przyszedłem tutaj z Glaukonem, żeby zobaczyć świąteczne obchody.

Niebawem rozpocznie się bieg z pochodniami dla uczczenia Prometeusza, który wykradł ogień bogom i przekazał go ludziom.

Wokół kłębią się tłumy, czekając na zapadnięcie zmroku i początek wyścigu.

Młodzieńcy o nagich, naoliwionych i lśniących ciałach rozciągają nogi i ukradkiem spoglądają na rywali. Na piasku atleci ustawiają się w kolejce, aby wykonać skok w dal. Ciekawa sprawa – każdy wygląda tak, jakby się starał z całych sił, mimo to skacze kilka centymetrów dalej niż poprzednim razem. Jak im się to udaje?

– Odyseusz powrócił! – Fileb ruszył ku nam, podpierając się laską, rad, że mnie ujrzął. – Nie został usidlony przez syreny? Nie uwiodły go italskie czarodziejki?

Posłałem mu wymuszony uśmiech, ocierając krople śliny, którymi spryskał mi twarz. Była czarodziejka i był śpiew syren, ale nie zamierzałem mu o nich powiedzieć.

– Przeżyłem morską katastrofę.

Szczęka mu opadła.

– Naprawdę? Naprawdę? Musisz mi o tym opowiedzieć. Jakiś ty szczupły. – Uszczypnął mnie w brzuch jak gdacząca matka. – Musisz być jedynym, który powrócił z Italii chudszy, niż wyjechał.

– Ich obżarstwo nie odpowiadało mojej naturze.

– A sofista? Co się z nim stało?

– Zginął. – Postawiłem mu kamień nagrobny przy drodze z Aten, obok tego, który kupiłem Agatonowi.

Nie wiedziałem, co Dionizjos zrobił z ciałem Eufemosa, ale pomyślałem, że Deotyma uznałaby to za rzecz pozbawioną znaczenia.

Fileb wybałuszył oczy.

– Jakież to tragiczne!

Zmarł z przejedzenia?

Albo innych...

ekscesów?

– Próbował zabić tyrana Dionizjosa.

Został uduszony.

Fileb nie wiedział, co odrzec.

Niemożliwość znalezienia odpowiednich słów była dla niego bardzo przykrym stanem przypominającym zatwardzenie, przeprosił mnie więc i odszedł.

Chwilę później zjawił się Glaukon z ustami lepkiemi od miodowego placka.

Myślę, że celowo zwlekał, aby uniknąć spotkania z Filebem.

– Nie żałujesz, że wróciłeś?

– Czuję się tak, jakbym nigdy nie opuścił Aten. – Nie była to jednak prawda, choć bowiem Ateny nie uległy zmianie, ja sam bardzo się zmieniłem.

– Właśnie tutaj chciałem wrócić – rzekłem Glaukonowi. – Do tego gaju.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Przecież już w nim jesteś.

– Pitagoras miał szkołę w Krotonie.

Sokrates chadzał na agorę. Potrzebuję miejsca, w którym mógłbym kształcić uczniów.

Gaj był dobrym miejscem na nowy początek – oddalony kilkaset stóp od Aten, wolny od atmosfery intryg panującej w stolicy, jednocześnie zaś tak bliski, żeby można go było stamtąd zobaczyć. Gimnazjon przyciągał wielu młodych mężczyzn, którzy mogli poczuć ochotę na ćwiczenie umysłu, gdy już utrudzą ciało. Kiedy zaś słońce zacznie grać zbyt mocno, będą mogli się schronić w cieniu drzew.

– Zamierzasz nauczać? – zapytał Glaukon, który pierwszy o tym usłyszał.

– Nie można zostawić świata w rękach takich ludzi jak Fileb. Musimy wskazać młodym lepszą drogę.

– Sokrates próbował. Pomyśl o tym, co go spotkało.

– Sokrates próbował walczyć z błędem. Ja zamierzam szukać prawdy.

– Będziesz musiał zaniechać pracy.

– Nie popełnimy błędu Sokratesa i Pitagorasa, będziemy wszystko spisywać. – Wskazałem młodzieńca mającego nie więcej niż czternaście lat, stojącego obok kolumnady i przypatrującego się skoczkom. Stał na progu dojrzewania, świadomy swojej urody, ale jeszcze niewiedzący, jaka jest pusta.

Udawał, że nie dostrzega mężczyzn przechadzających się w cieniu, choć ci nań patrzyli i planowali atak. Jeden już się szykował do zagajenia rozmowy. Fileb. Chłopak uśmiechnął się nieśmiało, rad, że został dostrzeżony.

– Kiedy umierał Sokrates, tego chłopca jeszcze nie było na świecie.

Ludzie zaczynają już zapominać jego słowa. Niebawem będzie tak samo realny jak Tezeusz lub Orfeusz.

W wypadku Pitagorasa ludzie zapamiętali jedynie trójkąty.

Jeśli zamierzamy poszukiwać prawdy, musimy dopilnować, żeby została zapamiętana.

W końcu czymże jest wiedza, jak nie pamięcią czegoś, co kiedyś uznaliśmy za prawdę?

Upływ roku zdołał utemperować mój optymizm. Nadal widzę lśniąca drabinę prowadzącą do nieba, ale teraz wydaje się wyższa niż kiedyś. Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek dotrę na szczyt. Mogę jednak wskazać drogę innym i mieć nadzieję, że zajdą dalej.

Nawet jeśli Archytas ma rację i szczyt drabiny przypomina wiecznie oddalający się

paradoks, wysiłek jest tego wart. Można dalej zejść, kiedy człowiek wie, dokąd zmierza, niezależnie od tego, czy dotrze do celu.

– Pomówimy o tym później. – Za chwilę miały się zacząć zawody w zapasach, a Glaukon chciał je obejrzeć. Zostawszy sam, usiadłem na stopniach między dwiema kolumnami.

Chciałem się oddać rozmyślaniom, ale poczułem coś pod siedzeniem. Sięgnąłem ręką i wyciągnąłem jakiś przedmiot. Okazała się nim woskowa tabliczka pokryta drobnym pismem, był również rylec.

Litery zafalowały mi przed oczami.

Przez chwilę mój umysł nalegał, że to tekst ze złotej tabliczki. Powiodłem wzrokiem po tłumie, szukając Deotymy, która mogła ją podrzucić, ale jej nie spostrzegłem.

Ponownie przyjrzałem się pismu. Nie były to teksty orfickie, ale jakieś liczby.

Gimnazjarcha musiał zapisywać na tabliczce swoje rachunki.

Słońce jeszcze nie zaszło, na niebie było więc dość światła, żeby widzieć.

Wygladziłem wosk dłonią i zacząłem pisać.

Wczoraj zszedłem do Pireusu z moim bratem Glaukonem...

Wszystkim zaś pisarzom, dawnym lub jeszcze nienarodzonym, którzy będą twierdzić, że zdołali rozwikłać wielkie tajemnice, którym poświęciłem życie – dzięki temu, co usłyszeli, przeczytali lub sami odkryli – odpowiem: Niczego nie wiecie.

Platon, *List VII*

Wszystkim zaś pisarzom, dawnym lub jeszcze nienarodzonym, którzy będą twierdzić, że zdołali rozwikłać wielkie tajemnice, którym poświęciłem życie – dzięki temu, co usłyszeli, przeczytali lub sami odkryli – odpowiem: Niczego nie wiecie.

Platon, *List VII*

Podziękowania

Oprócz treści filozoficznej dialogi Platona są świadectwem przyjemności, która płynie z rozmowy i poszukiwania oświecenia. Chciałbym podziękować Angelowi Strano, który pokazał mi Etnę.

Dziękuję doktorowi Andrew McGonigle'owi z Sheffield University oraz profesorowi Alessandrowi Aiuppie z uniwersytetu w Palermo, którzy wyjaśnili mi, co znajduje się pod wulkanem.

Składam podziękowania profesor Dorze Katsonopoulou i organizacji Helike Project za możliwość udziału w niezapomnianej dwutygodniowej ekspedycji archeologicznej.

Dziękuję moim kolegom archeologom: George'owi, Savannah, Rundowi, Sandrze, Courtneyowi, szczególnie zaś Sarze Wilson, która udzieliła odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

Dziękuję również pracownikom Ministerstwa Spraw Zagranicznych: Ionie Thomas, Amy Cumming, zwłaszcza Clive'owi Correi, który wyjaśnił mi sytuację osób zaginionych.

Dziękuję Sethowi Kim—Cohenowi za dobre piwo, opowieści o życiu w kapeli rockowej i zgodę na przytoczenie słów jego piosenki.

Dziękuję Julii Kim-Cohen za sześć wspañałych tygodni w New Haven.

Składam podziękowania wytwórni Lucasfilm Ltd za zgodę na przytoczenie dialogu z Poszukiwaczy zaginionej arki oraz pracownikom Saul Bass Library w Yale, British Library w Boston Spa i Londynie oraz biblioteki JB Morrell z York University. Dziękuję Michaelowi Ridpathowi za zachętę, aby nie lękać się filozofii, Virginii Stewart-Avalon za zgodę na wykorzystanie jej eleganckich przekładów hymnów orfickich, wydawnictwu Penguin Books za pozwolenie przytoczenia fragmentu Platońskiego Menona w przekładzie Adama Beresforda. Dziękuję Oliverowi Johnsonowi za jego sokratejską mądrość i uczyty godne Syrakuzanów, wspañałym pracownikom redakcji wydawnictwa Hodder za ich trud, szczególnie Anne Perry, Kerry Hood i Ellen Wood. Jane Conway-Gordon była moim Głosem Rozsądku. Dziękuję moim synom, Owenowi i

Matthew, którzy razem ze mną penetrowali jaskinie i wspinali się na wulkany, oraz mojej żonie Emmie, uosobieniu piękna.

W miejscu starożytnych Sybaris i Turioj prowadzono liczne prace wykopaliskowe (które trwają do dziś).

Rzeczywiście znaleziono tam kilka tabliczek orfickich.

Ekspedycja archeologiczna opisana na kartach tej książki nie jest wzorowana na żadnych prawdziwych wykopaliskach. Platon i jego bracia, Sokrates, Archytas, Eurytos, Dion i Dionizjos są postaciami historycznymi.

Wszyscy pozostali bohaterowie i organizacje, dawne i współczesne, są dziełem mojej wyobraźni.

